



NIESAMOWITA OPowieść
O OKRUTNEJ
ELZBIECIE BATORY

PANI NA SZACHTICACH

JOŹO NIŹNÁNSKY

-Książnica-

Jožo Nižnánsky

Urodzony w roku 1903, zadebiutował jako poeta w 1928, później pochłoneło go dziennikarstwo. Pismu, w którym pracował, w roku 1932 zagroziło rozwiązanie, toteż redaktor naczelny, próbując je ratować, zwrócił się do współpracowników o napisanie rozrywkowej powieści, która drukowana w odcinkach zwiększyłaby poczytność, w ten sposób powstała ***Pani na Czachticach***. Czytelników zachwycała fabuła i... czasopismo zostało uratowane, a Jožo Nižnánsky odnalazł się w tym gatunku. W szybkim tempie powstawały kolejne powieści, m.in. ***Dobrodružstvá Mórica*** ***ka Beňovského*** (Przygody Maurycego Beniowskiego, 1933), ***Spišske tajomstvo*** (Spiska tajemnica, 1934), ***Krásna Hedviga*** (Piękna Jadwiga, 1935), ***Právo prvej noci*** (Prawo pierwszej nocy, 1937). W czasie drugiej wojny światowej i tuż po wojnie nie publikował. Dopiero w roku 1960 powrócił do literatury cyklem powieści dla młodzieży oraz z powieścią ***Lásky Žofie Bošniakovej*** (Miłość Zofii Bosniakowej, 1960). Zmarł w roku 1976.

Jego twórczość, choć niezbyt ceniona przez krytyków literatury, ma do dziś wiernych czytelników. Na podstawie powieści ***Pani na Czachticach*** Węgrzy nakręcili film, a ***Przygody Maurycego Beniowskiego*** posłużyły za materiał do słowackiego serialu telewizyjnego.

Jožo Nižnánsky

Pani na Czachticach

Z języka słowackiego przełożyła
Cecylia Dmochowska

Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginału
Čachtická pani

Koncepcja graficzna serii
Marek J. Piwko

Logotyp serii i projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Na okładce wykorzystano fragment obrazu
Triumf Śmierci Pietera Breughla

© BRIDGEMAN/INDIGO

Copyright © Heirs of Jožo Nižnánsky For the Polish edition
Copyright by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2003

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez uprzedniej pisemnej *zgody* wydawcy żaden fragment niniejszego utworu nie może być reprodukowany ani przesyłany za pośrednictwem urządzeń mechanicznych lub elektronicznych. Niniejsze zastrzeżenie obejmuje również fotokopiowanie oraz przechowywanie w systemach gromadzenia i odtwarzania informacji.

ISBN 83-7132-862-1
978-83-7132-862-6

Wydawnictwo „Książnica” Sp. z o.o.

Al. Korfantego 51/8

40-160 Katowice

tel. (032) 203-99-05, 254-44-19

faks (032) 203-99-06

Sklep internetowy: <http://www.ksiaznica.com.pl>

e-mail: ksiazki@ksiaznica.com.pl

Katowice 2006

Skład i łamanie:

Z.U. „Studio P”, Katowice

1 . W cieniu szubienicy

Nocny gość

W **późny** marcowy wieczór roku **1610** senior Jan Ponice-nus-Ponicky*, proboszcz kościoła ewangelickiego w Czachticach, niezmordowany głosiciel Słowa Bożego, opuścił izbę czeladną w stanie ogromnego wzburzenia.

Ponoć Turcy znów wtargnęli z południowych obszarów do górnej części kraju, grabią i łupią. Nie na rozkaz **paszy**, lecz tak, **na** własną rękę, bez wiedzy wezyrów, którzy **przy-**najmniej od oka starają się dochować rozejmu **zawartego** po śmierci Mohameda* u ujścia Żitvy*. Tureckie hordy, gwałcąc **zbrojny pokój**, wpadły niespodzianie niczym za-wierucha, grabią wszystko, co zdołają unieść, hańbią dziewczęta, porywają dobytek.

Lecz lud nie tylko w strachu przed Turkami szuka u Jana Ponice-nusa pociechy. W izbie czeladnej znów postyszał mnóstwo przerażających opowieści o tym, co dzieje się na

* **J a n P o n i c e n u s** — według źródeł historycznych **Jan Poniken**, duchowny ewange-licki z Czachtic, który pod koniec 1610 r. publicznie oskarżył Elżbietę Batorównę przed sądem oktawialnym (patrz przyp.) któremu przewodniczył palatyn Jerzy Thurzo.

*Po Śmierci Mohameda — tj. po śmierci sułtana tureckiego Mohameda III (1566 - 1603). Był to syn Murada III, a panował od roku 1593.

***R o z e j m u u j ś c i a Ż i t v y** — rozejm ten został zawarty przez wysłańców Rudolfa II i sułtana Ahmeda i w dniach od 20 października do 11 listo-pada 1666r. Turcy zrzekli się rocznego haraczu za dar 200 000 talarów i uznali Rudolfa I I jako cesarza.

zamku. Parafianie opowiadali rzeczy wprost niewiarygodne. Czy to możliwe, aby tutaj, o krok zaledwie od plebanii, mozną opływająca w dostatki, szlachetnie urodzona pani na Czachticach okrutnie pozbawiała życia młode dziewczęta, depcząc wszelkie boskie i ludzkie prawa?

Nie, to niemożliwe. To są bajdy, oszczerstwa wymyślone przez poddańczy lud nienawidzący surowej pani.

Zapatrzył się w świecę, lęklonie migocącą na ciężkim dębowym stole, i przypomniał sobie wszystkie pytania, na które musiał odpowiedzieć w izbie czeladnej parafianom, szukającym światła i podpory.

Nad Czachticami sroży się wichura. Marcowa, jeszcze zimna, ale już tchnąca wiosną. Chwilami z wściekłością napiera na okiennice plebanii, a Jan Ponicensus-Ponicky od czasu do czasu unosi głowę i wpatruje się w okno, jakby się zastanawiał, czy okiennice oprą się tym atakom.

„We wszystkich chatach panuje teraz niepokój” — takie myśli krążyły po głowie pastora. — „Przez okna spoglądają w ciemność wylęknione oczy. Lud wierzy, że gdzieś kona czarownica, a złe duchy obstały ją szarpią wnętrzości, wyrrywają język. Wichura szaleje, ziemia się wstrząsa, krąży nad nią kruki, a o północy na cmentarzu diabły wykopią grób, w którym ciało czarownicy nigdy nie zetleje. Kto potrafiłby powiedzieć, czy to, w co wierzy lud, jest prawdą? Czy istnieją czarownice? Czy niewiasta może obcować z diabłem? Ale czy można o tym wątpić, skoro jak ziemia długa i szeroka wznoszą się ku niebu płomienie stosów, na których goreją żywoty tysięcy czarownic, skazanych na śmierć przez spalenie? I to na mocy praw zarówno świeckich, jak i kościelnych. Czyż i duchowni, i świeccy prawodawcy mogliby się mylić i gubić niewinne żywoty ludzkie.”

Gdy wicher na chwilę przycichł, Jana Ponicensusa wyrwał z zadumy tętent konia. Przybliżał się coraz bardziej.

Zdziwiony i zdjęty ciekawością, kim może być ten jeździec, spojrzął w okno, jakby zapomniawszy, że przez masywne okiennice nie przeniknie nawet najbystrzejszy wzrok. Wtem tętent ucichł i ktoś gwałtownie załomotał w okiennicę.

Cóż to za niespodziewany nocny gość? Zuchwały zbójnik czy Turek-grabieżca? Przemógł strach, zdjął ze ściany pistolet, otworzył okno i ostrożnie uchylił okiennicę.

Z izby padła na drogę słaba smuga światła i wydobyła z ciemności rosłą postać jeźdźca, wysokiego, barczystego, w szerokoskrzydłym kapeluszu, aż po buty okrytego czarną oponczą

Gdy Jan Ponicens dojrzał twarz, straszliwie bladą w wątlym świetle świecy, aż drgnął ze zdumienia. Otworzył okiennica wychylił się z okna i przyjrzał się jeźdźcowi z bliska.

— To naprawdę ty. Janie Kalina? Nie mamiać mnie stare oczy? — spytał osłupiały.

— Tak, to ja — odparł jeździec głębokim basem. — Przebaczcie, wielebny ojczu, że niepokoje was o tak późnej godzinie. Przed czterema laty od was, z waszym błogosławieństwem wyruszyłem w świat i teraz, po czterech latach, dci was wracam.

— Ciszej, synu, i chodź co rychlej do wnętrza! Biada, jeśli cię zobaczy jaki przepatrywacz!

Pastor zamknął okiennicę i okno, zawiesił pistolet na ścianie i pośpieszył na dwór. Cicho otworzył bramę, gość wjechał i zeskokczył z konia. Pastor objął go bez słowa, po czym zaprowadził konia do stajni. Zbudziwszy śpiącego parobka, polecił mu oporządzić konia, a sam wrócił do gościa. Ujął go pod ramię i po cichu wprowadził do izby, aby nie obudzić nikogo z domowników. Kazał zdjąć mu oponczę i kapelusz. Sprawdził, czy okiennica i okno są dobrze zamknięte, a następnie zaniknął również drzwi.

— Musimy mieć się na baczności — rzekł siadając przy stole naprzeciw swego gościa — Powiedz wszakże, dlaczego wróciłeś? Czyż nic przyobiecałeś mi, iż przez wzgląd na własne dobro nigdy nie wrócisz do Czachtic? — Na dobrotliwym obliczu, okolonym siwymi włosami, pojawił się wyraz surowości.

— Nie mogłem inaczej postąpić, ojcze, mimo iż magister Eliasz Ursini, profesor wittenberskiej akademii, a wasz zacy przyjaciel, odwoził mnie od tego. Pozdrowia was jak najserdeczniej, wielebny ojcze. Był mi zawsze życzliwym poradcą we wszelkich moich strapieniach, a kiedy było potrzeba, wspierał mnie nie tylko słowem, ale i czynem. Wielebny ojcze, jestem wam niepomiernie wdzięczny, że powierzyliście mnie jego pieczy. Kazał wam oznajmić, że zapewne już niebawem was odwiedzi.

— Jak to? Czyżby chciał rozstać się z bakalarstwem?

— Nie. Zmieni jedynie miejsce pobytu. Grafka Katarzyna Pálffy*, która niedawno założyła gimnazjum ewangelickie w Banovcach, chce powierzyć mu kierowanie szkołą, by spożytkować jego przebogata wiedzę i doświadczenie. Superintendent Eliasz Lani również utwierdza go w tym zamiśle. Wiem, że teraz już nie oprze się pragnieniu, by ujrzeć swój kraj rodzinny, który opuścił przed wieloma laty.

— Magister Ursini dobrze ci radził i winieneś był go posłuchać. Czy zapomniałeś, że wedle obowiązujących teraz w naszym kraju praw czeka cię kara śmierci?

— Wiem, ojcze, ale nawet to nie mogło mnie odstraszyć

— Miej się na baczności, Czachticka pani wyznaczyła dwieście złotych nagrody za ujęcie ciebie. W tych skażonych czasach za brzęczącą monetę najlepszy przyjaciel gotów cię wydać.

— Łacno nikt mnie nie dostanie, tego jestem pewien w

*Katarzyna Pálffy (1542—1618) — grafka, żona palatyna Stefana Illesházyego, założycielka gimnazjum ewangelickiego w Banovcach.

Wittenberdze nie tylko zgłębiałem tajniki wiedzy i uczyłem się języków, ale i tego, jak radzić sobie z przeciwnikiem — wypiął pierś, a po twarzy przemknął mu uśmiech zadowolenia. — Nie ma broni, którą bym nie władał, a i bez broni kopa chłopów miałaby ze mną niemało roboty!

Pastor z upodobaniem mierzył wzrokiem swojego młodego gościa. Obcisły ubiór uwydatniał potężne, jak z żelaza ciało.

— Byś miał jeszcze więcej siły i zdrowia, synu, wzmocnij się błogosławionym nektarem naszych winnic — rzekł z uśmiechem i zdjął z półki dzban i dwa puchary. Nappełnił je perlącym się czerwonym winem.

Gość wychylił puchar duszkiem, twarz mu się zasepiła. Jasnyniebieskie oczy pociemniały, gdy zwrócił je na dobrotliwe oblicze Jana Ponicensusa.

— Wielebny ojczcie — rzekł — dłużej już nie mogę powstrzymać pytania, które od czterech lat, od chwili gdym po kryjomu przestąpił granicę naszej ziemi, dręczy moje serce. Ono przymusiło mnie do powrotu, choć może czeka mnie tu zguba. Co dzieje się z moją matką i siostrą? Nie dosięgła ich pomsta czachtickiej pani?

Jan Ponicensus spojrział na gościa z załęknieniem.

— Powiedzcie mi.— Powiedzcie mi szczerą prawdę! Przygotowany jestem na najstraszliwszą rzecz. Pastor mówił pomalą, jakby z wahaniem.

— Matka twoja jest żywa i zdrowa. Pani już przestała ją prześladować. Z twoim losem matka też się pogodziła, bom ją nieustannie zapewniał, że dobrze ci się wiedzie!

— A moja siostra?

— Magdalena... — rzekł pastor w największym pomieszaniu. — Bądź silny, synu, nie mogę zataić przed tobą prawdy. I tak byś się dowiedział, jeśli nie ode mnie, to od kogoś innego.

— Nie żyje?

Niepokój i posępne przeczucie wprawiły go w stan takiego wzburzenia, iż bezwiednie zerwał się na nogi.

I Ponicensus wstał, z ojcowską tkliwością położył mu ręce na ramionach i rzekł:

— Nie wiem...

— a więc żyje? — spytał Jan Kalina z błyskiem nadziei w duszy. — Co się z nią stało?

— Przed trzema dniami znikła bez śladu...

Tajemnice czachtickiego zamku

Posłyszawszy tę straszliwą wieść Jan Kalina osunął się na zydel jak uderzony obuchem Pociągła bladą twarz, okoloną długimi czarnymi włosami, zwrócił ku świecy i zapatrzył się w migotliwy płomień jakby w nadziei, że promyk światła przeniknie aż do jego duszy i rozproszy zalegającą tam ciemność.

— Znikła bez śladu — powtórzył. — Byłem przygotowany na złe wieści, ojczy, ta wszakże jest ze wszystkich najstraszliwsza. Gdyby siostra moja zmarła naturalną śmiercią, czas zagoiłby moje rany. Gdyby zginęła śmiercią gwałtowną, mógłbym ją pomścić. A tak — stoję wobec zagadki i niepewności. W jaki sposób znikła? Kto się do tego przyczynił? Gdzie się znajduje i czy żyje jeszcze? Czy zbrodnicza ręka nie ugasiła już jej życia?

Pod brzemieniem dręczących pytań opuścił głowę i zamilkł. Wnet jednak na nowo wstąpiło weń życie, a tlejące od dawna uczucie nienawiści i gniewu buchnęło płomieniem.

— Ale wiem — rzekł — iż po odpowiedzi na te pytania nie trzeba iść daleko... Kilka kroków ledwie, do bram butnego zamku.

— Synu — zawołał pastor ze wzburzeniem — milcz, skryj swoje podejrzenie w najtajniejszym zakątku serca!

— Dlaczego, wielbny ojcze? Czyżbyście się, stali rzecznikiem grafiki Elżbiety Batorówny? Albo też, zdęci strachem, słabniecie w boju o prawo i sprawiedliwość?

— Nie, synu, jesteś w błędzie — rzekł pastor już spokojnie. — Upominam cię i radzę ci milczeć, jako że nie ma dla ciebie innego wyjścia. Rozważ swoje położenie: jesteś poddanym i jako takowy nie posiadasz żadnych praw, a przecie dopuściłeś się gwałtu wobec przedstawicieli swej zwierzchności. Wedle praw ustanowionych po stłumieniu powstania Dózsy* jesteś rebeliantem. A wiesz, jak karze się bunt. Prócz tego bez zezwolenia zwierzchności, to jest czachtickiej pani, opuściłeś granice jej dóbr. Toć wiesz, że poddańca nieraz ściga kara za to jeno, że przeszedł na obszar cudzych posiadłości. Ty zaś uciekłeś za granicę i przebywałeś tam całe cztery lata.

Jan Ponicensus zamilkł na chwilę, w zamyśleniu patrzył przed siebie, po czym poważnym głosem podjął:

— Wiesz, co cię czeka, jeśli ktoś cię wyda. Gdziekolwiek byś się skrył, któż zdoła się oprzeć ponęce nagrody? Nad tobą synu, unosi się cień szubienicy, ty zaś jeszcze bardziej chcesz rozgniewać Elżbietę Batorównę, od której zależy twój żywot? Byłoby to ze wszech miar nie-rozumne. A wreszcie, czymże możesz doświadczyć swoje podejrzenie, iż w zamku szukać należy wyjaśnienia tajemnicy zniknięcia twojej siostry?

— Nie wiem — odparł gość, — ale z każdą chwilą coraz bardziej umacnia się we mnie przeświadczenie, iż czachtic-

* Powstanie Dózsy — György Dózsa (1475—1514) był przywódcą powstania chłopskiego na Węgrzech w r. 1514. Za zasługi w wojnie z Turkami został podniesiony do stanu szlacheckiego i w r. 1514 mianowany wodzem wyprawy krzyżowej przeciw Turkom. Pod Czegledem zebrał około 40 000 chłopów. Gdy król rozkazał wtargnąć mu do Bośni, wezwał lud do walki przeciw wiarołomnej szlachcie, co doprowadziło do wybuchu buntu. Dózsa, zwyciężony i pojmany pod Temeszwarem przez Jana Zapolyę, wziął na siebie całą winę i został żywcem upieczony na rozpalonym żelaznym tronie.

ka pani nie tylko wie u zniknięciu mojej siostry, lecz ma je na sumieniu. W Wittenberdze, w obcym świecie, przez cztery lata zżerała mnie obawa o matkę i siostrę. Nigdy sobie nie przebaczę, że swoją ucieczką ściągnął gniew na swoich, najbliższych. Winiennem był zostać z nim, bronić ich, nie zaś uciec tchórzliwie przed karą. Jakaż zresztą kara mnie czekała? Podniosłem rękę na draba, który dozorując roboty uderzył moją matkę, zdało mu się bowiem, że biedna starowina nie dość szybko-ko pracuje. Położyliby mnie na dereszach i za każde uderzenie pańskiego sługi wymierziliby mi dziesięć. Zawlekliby mnie do chaty półżywego, alebym wydobrzeł, byłby w domu mężczyzna, zaś siostra moja zapewne by nie znikła. I choćby czachticka pani nie wiem jak oczerniła mnie przed sądem, ten mając wzgląd na okoliczności i młody wiek nie osądziłby mnie na gardło. Nie, nie powinienem był uciekać.

— Nie trapże się! — pocieszał go Jan Ponicensus. — Niezbadane są wyroki naszych sądów. I gdybyś był został. Tak czy owak cierpielibyście wszyscy troje. Los matki i siostry nie byłby ani krztyne lepszy. Jesteś w błędzie, jeśli mniemasz, że Magdalena nie znikłaby, gdybyś był w domu.

— A w jaki sposób znikła?

— Jednego wieczora przyszła do was jakaś leciwa kobieta z wieścią, że wasza ciotka w Starej Turze zaniemogła i nie ma jej kto pielęgnować. Prosi przeto twoją matkę, by puściła do niej Magdusię. Ponoć na parę dni ledwie, póki się jej nie polepszy Matka przyzwoliła bez wahania i Magdusia tegoż jeszcze wieczora ruszyła w drogę. Kiedy minęło kilka dni, a Magdusia nie wracała ani nie dawała o sobie żadnej wieści, matka, zdjęta obawami, wybrała się do Starej Tury. Ciotkę znalazła w najlepszym zdrowiu. Ani nie była chora, ani Magdusi do siebie nie wzywała...

— Przeświadczony jestem, że siostrę moją wywabiła

z domu jedna z tych odrażających służebnic czachtickiej pani.

— Milcz, synu — przerwał mu Jan Ponicensus — nie bądź przeświadczony o niczym. Jak widać, na nieszczęsne dziewczę zastawiono pułapkę. A wobec podstępu nawet najtwardsza siła jest bezsilna. Masz w podejrzeniu Elżbietę Batorównę*? I ja o niej pomyślałem, synu, niechaj Bóg mi przebaczy, że źle myślałem o bliźnim. Po-wiedz wszakże, byłaby się uciekała do kłamstwa, kiedy to całkiem zbytuczne? Jakiś się dostał na studia? Wbrew woli nieboszczyka ojca i własnej. Twój ojciec w bitwie z Turkami z narażeniem życia ocalił grafa Franciszka Nádsadyego*. Kiedy odparowywał wymierzony w pana śmiertelny cios, Turek uciął mu prawicę. Pan odwdzieczył mu się tym, że posłał cię na studia...

— Po to, by pani mnie z nich odwołała — wpadł pastrowi w słowo Jan Kalina. To wspomnienie wzbudziło w nim gniew — Prosto ze szkoły posłała mnie do stajni...

— Synu mój — uśmierzał go pastor — gdyby widział to nieboszczyk grafi Franciszek Nádsady, w grobie by się obrócił. Gdyby żył, nie spotkałby cię taki zły los. Byłeś jego ulubieńcem, miał względem ciebie wielkie plany.

Jan Kalina machnął ręką.

— Powróćmy wszakże do tematu. Tak więc pan posłał cię na studia wbrew woli rodziców, albowiem pan może w każdej chwili odebrać swemu poddanemu dziecko, zrobić z nim, co zechce, i podług swoich skłonności i uznania wybrać mu zatrudnienie. Toteż grafka nic musiała uciekać

* Elżbieta Batorówna (1560—1614) — grafka, wdowa po Franciszku Nádsadym. Właścicielka włości czachtickich i zamku, przeszła do historii jako sadystka maltretująca młode dziewczęta i kobiety. I chociaż nie kąpała się we krwi, jak głosi legenda, istotnie uśmierciła wiele kobiet i wyzywała się w zadawaniu im mąk. Gdy w r. 1610 wyszło to na jaw, aby uniknąć kompromitującego procesu, uwięziono Elżbietę Batorównę dożywotnio we własnym zamku. Zmarła tam 28 sierpnia 1614 r. (niektóre źródła podają, że została otruta).

* Franciszek Nádsady (1555 —1604) — grafi syn palatyna Tomasza Nádsadyego (1498 —1562) i mąż Elżbiety Batorówny.

się, do kłamstwa. Jej hajducy mogli kiedykolwiek zastukać w okno twojej maiki i Oznajmić: „Czachticka pani rozkazuje, aby córka twoja natychmiast przyszła na zamek”, Gdyby nie posłuchała, gdyby się sprzeciwiła, mogli zaprowadzić ją siłą albowiem prawo zezwala na to.

— Wasze wywody, wielebny ojcze, nie obalają niego podejrzenia. Wobec mojej siostry pani nic skorzystała ze swego prawa, lecz kazała ją potajemnie uprowadzić dlatego, aby nikt nie poszukiwał jej na zamku, jeśli pewnego dnia zniknie na wiek i. Albowiem prawo zezwala nawet obłupić poddanego ze skóry, lecz nie zezwala pozbawić go życia.

Ostatnie słowa niemal wykrzyczał, jak gdyby stał twarzą w twarz z przeciwnikiem, którego trzeba przekonać.

— Synu mój? — przemówił pastor spokojnym, łagodnym głosem. — O tych rzeczach nawet za zamkniętymi drzwiami nie należy rozprawiać. Skoro wszakże już je roztrząsamy, otwarcie wypowiem swoje zdanie. Jesteś przeświadczony, iż grafka ponosi winę za zniknięcie twojej siostry, i podejrzewasz, że ją zamordowała. Trzeba najprzód odpowiedzieć na pytanie, czy grafka istotnie morduje dziewczęta. Ja w to niewierze.

— A przecie wierzy w to cała okolica, mówi się o tym w Preszporcku, ba, nawet i w Wiedniu.

— Doprawdy? — spytał pastor ze zdziwieniem.

— To skłoniło mnie do powrotu, aczkolwiek czeka mnie tutaj kaźń. Przez całe cztery lata nie otrzymałem żadnej wieści ze stron rodzinnych, ba, w ogóle z kraju, a kiedym ukończył studia i osiągnął godność bakałarza, dniem i nocą jeły dręczyć mnie wyrzuty sumienia, zem opuścił matkę i siostrę i wydał je na pastwę pańskiej samowoli. Złe przecucia nic dawały mi spokoju, aż w końcu za oszczędności uciulane z wynagrodzenia za przepisywanie starych łacińskich foliałów kupiłem konia i wyruszyłem do Wiednia.

Rzekłem sobie — na dwór cesarski zjeżdżają magnaci z całej ziemi węgierskiej, Ich słudzy wałęsają się po mieście, Bez wątpienia dowiem się od nich jakich wieści z ojczyzny. Ledwom się rozsiadł w małej oberży przy Weihburgstrasse i poleciłem przynieść sobie jadło i napitek, zwróciła moją uwagę grupa gości przy sąsiednim stole. Nic byli to słudzy węgierskich szlachciców, lecz stateczni obywatele wiedeńscy. Ze zgrozą opowiadali sobie historie o węgierskiej szlachciance. Nazywali ją „die Blütgrafin”, krwawa hrabina. Zagadnąłem ich. Po wiedzieli mi, że węgierska grafka Elżbieta Batorówna ma przy Weihburgstrasse pałac.

— Tak jest — przerwał mu Jan Ponicensus — wiem i o tym, Trzy, cztery razy w roku grafka udaje się na kilka tygodni do Preszporka, a stamtąd zajeżdża również do Wiednia.

— I ponoć — ciągnął Kalina — kiedy tam przebywa, po nocach dzieją się w pałacu podejrzane rzeczy. Przechodnie zatrzymują się przed pałacem i z przerażeniem słuchają okropnych kobiecych krzyków i jęków, jakby je tam ktoś bił, męczył, mordował... Pobożni franciszkanie, których klasztor mieści się na-przeciw, wyrwani ze snu, w rozpacz rzucają w okna pałacu skorupami doniczek, nawołując o ciszę.

Jan Ponicensus z wielkim zajęciem słuchał opowieści swego młodego wychowanka.

— Oto, o czym rozprawiali wiedeńczycy przy winie. We mnie zaś dojrzało postanowienie, iż nie bacząc na nie pojedę do Czachtic, by sprawdzić, co dzieje się z matką i siostrą. Do Preszporka przybyłem samopas. Tam wdałem się w rozmowę z niejakim Pawłem Ledererem, pochodzącym spod Niemieckiego Prawna. Rodem Niemiec, zamecznik, też powracał właśnie z Niemiec, gdzie był na wanderce. Był to pierwszy po długich latach człowiek, z którym rozprawiałem po słowacku. Bo w Wittenberdze, aczkolwiek było nas wielu Słowaków, przeważnie mówiliśmy po łaci-

nie i niemiecku. Od słowa do słowa zaprzyjaźniliśmy się z onym Pawłem Ledererem, zwierzyłem mu się, on zaś ofiarował się towarzyszyć mi w dobrej i złej doli. Do Pieszczan dotarliśmy jeszcze za białego dnia. Stanęliśmy w oberży „Pod Trzema Zielonymi Lipami”. Z ostrożności, aby nie zoczył mnie jaki znajomek, który mógłby mnie zdradzić, zostałem w izbie. Przed ciekawym oberżystą wymówiłem się tym, że jestem wielce utrudzony. Mój nowy przyjaciel udał się do miasta, by zasięgnąć języka. Nie musiał nawet się wypytywać. We wszystkich karczmach głównym przedmiotem rozmów była Elżbieta Batorówna. O zmroku dosiadłem konia i ruszyłem prosto do was, z sercem udreńczonym niepewnością, wyrzutami i niepokojeni o los matki i siostry.

Jan Kalina upił z puchara i spoglądając na Jana Ponice-nusa rzekł z wymówką:

— Dziwi mnie, wielebny ojcze, iż jesteście tak dobrego mniemania o Elżbiecie Batorównie.

— Synu mój — odparł mu pastor — ja dobrze ją znam. Oszczercy jej nie znają. Jest to pani wzniosłego ducha, aczkolwiek jej wykształcenie jest dość słabe, gdyż poza językiem ojczystym zna jedynie język słowacki, trochę łacinę i niemiecki, tyle co pochwyciła przy takiej lub innej sposobności. Lecz odznacza się byстрыm umysłem. Pogardza marnościami tego świata, a teraz, po śmierci swego małżonka Franciszka Nádsadyego, jeszcze bardziej niż dawniej stroni od społeczności. A chociaż będąc niewiastą wielkiej urody, mogłaby błyszczeć pośród najpierwszych pań Wę-gier, pędzi żywot tutaj w odosobnieniu, nosi się z wiejska i gospodarny dla swoich córek, które powydawała już za mąż, i syna przebywającego na studiach w Preszporoku. Jest samotniczką i jak wszyscy ludzie tego charakteru odznacza się popędliwością, pojmuje przeto, iż względem poddanych i sług jest surowa. Ale czy okoliczni panowie albo też pa-

nowie w jakimkolwiek innym kraju są pobłażliwsi? Takie już obyczaje zapanowały w naszych czasach: panowie widzą w poddanych istoty niższe i wedle tego obchodzą się z nimi. Czyż możemy żądać, aby pani na Czachticach była wyjątkiem? Wiem, jest bardzo sroga, sierzdzi się z powodu najmniejszej małości. Surowo karze wszelkie wykroczenie, lecz i nagradza posłuszeństwo. Stare służebne, co od lat są u niej w obowiązku, nie mogą się jej nachwalić. Mają znaczne sumy uciulanych pieniędzy, córki zamężne. Pani wywianowała je...

— Była to nagroda za pomoc w zadawaniu męczarni, w złoczynstwach i nieludzkich mordach — przerwał mu Jan Kalina — nagroda za milczenie. Wielebny ojcze, jesteście nazbyt dobroduszny, wasze serce nazbyt jest czyste i szlachetne, nie możecie pojąć, że ryle zła i zwyrodniałości mogłoby się skrywać w niewieście tak pięknej, cieszącej się wielkim poważaniem wśród państwa. Ale wspomnijcie swojego poprzednika...

— Tak, mój poprzednik Andrzej Berthoni, jak parafianie często mi napomykają, wiedział o strasznych rzeczach. Ponoć w dobie swojej działalności tutaj musiał pochować nocą w największej tajemnicy, dziewięć dziewcząt zmarłych w zagadkowych okolicznościach. Tam oto — wskazał na półkę — mam kronikę Andrzeja Berthoniego, w której to kronice niemal dzień po dniu, dokładnie i sumiennie spisywał, co się przygodziło w Czachticach, a także zdarzenia ze swojego osobistego życia, lecz o kryjomych pogrzebach nie ma tam wzmianki.

— I nigdy nie naszły was wątpliwości, wielebny ojcze? Andrzej Berthoni pisał ową kronikę nie na własny, lecz na publiczny użytek. Na zamku wiedziano o jej istnieniu, ba, ponoć sam graf Franciszek Nádsady kazał mu ją pisać.

— Przemyślałem o tym, a niekiedy i we mnie zrodziły się wątpliwości. Lecz po każdym odwiedzinach u grafki, która co czas pewien wzywa mnie na debatę o sprawach

nauki i wiary, wątpliwości zawsze się rozpraszały. Zawszem widział przed sobą niewiastę gorliwie zajmującą się teologią piśmiennictwem i sztukami pięknymi, pełną uczuć religijnych. Czyż taka istota byłaby zdolna do tych złoczynstw, o jakie ją podejrzewają?

— Złoczyńcy zawsze skrywają swoje ohydne postęпки za wszelkiego autoramentu maskami, wielebny ojcze. Nie zdało się wam, że postać, w jakiej się wam ukazuje, jest kłamliwa, przybrana po to jeno, by was w błąd wprowadzić i zaślepić?

— Rozwazałem to ze wszystkich stron, zawsze wszakże dochodziłem do konkluzji, iż pani jest ofiarą potwarzy.

— I nigdy nie nachodziło was pokuszenie, aby najprościej przekonać się, jakie podstawy mają opowieści, które nazywacie potwarzą?

— Co masz na myśli?

— Skoro terażniejszość jest dla was tak nieprzenikniona, mogliście bodaj zbadać tajemnicę przeszłości. Czyż nigdy nie przyszło wam na myśl, aby otworzyć grobowce pod kościołem i przeświadczyć się, czy w istocie spoczywa w nich dziewięć trumien ze zwłokami kryjomie pochowanych dziewcząt? Odślonięta przeszłość w innym świetle ukazałaby wam terażniejszość.

— Nigdy nic powstałoby mi w głowic myśl, by zakłócać spokój zmarłym.

Między Janem Ponicenusem i jego młodym wychowawcą Janem Kaliną rozwierała się głęboka przepaść różnicy poglądów. Obaj milczeli, jakby szukali przekonujących argumentów, które ponownie by ich zbliżyły.

— Czas bieży, synu — przerwał milczenie Jan Ponice-nus. — Nie wolno nam tracić z pamięci najważniejszego: co będzie z tobą? Widzę tylko jeden sposób, abyś cało wyniósł głowę. Wrócisz do zajazdu „Pod Trzema Zielonymi Lipami” i tam czekać będziesz na posłańca ode mnie. Z sa-

mego rana pójde na zamek i poproszę gratkę, aby ci przebaczyła, odstąpiła od ukarania cię, gdy wrócisz. Bardzo jest zagniewana na ciebie, lecz ma szlachetne serce, da się uprosić. Ty zaś, powróciwszy, pójdziesz do niej i podziękujesz za łaskę...

W Jana Kalinę jakby grom uderzył. Błądą twarz oblał rumieniec, oczy zapłonęły.

— Nie! Nigdy! — zakrzyknął. — Nigdy nie pójde prosić czachtickiej pani o łaskę i nie ścierpiałbym, abyście wy, wielebny ojcze, kłónili przed nią głowę w prośbie...

— Wiedziałem, synu, znam twoją gwałtowność. Ani przez, chwilę nie wierzyłem, że przyjmiesz ten sposób ocalenia. Przed czterema laty też daremnie ci go przedkładałem. Wspomniałem wszakże o nim, gdyż innego nie ma. Obawiam się o twoje życie, synu, lecz jestem dumny z ciebie, że wybierasz raczej śmierć niż ukorzenie się.

Krwawe poselstwo

Świeca w lichtarzu dopaliła się, zamigotała bezsilnie i zgasła, nim Jan Ponicensus zdążył zapalić drugą. Izba pograżyła się w ciemnościach. Przez szpary okiennic wpadało zaledwie kilka bladych promieni księżyca.

Jan Ponicensus macał wokół siebie w poszukiwaniu nowej świecy i ze zdziwieniem nasłuchiwał.

— Cóż to się dzieje? — zdumiał się gość. — Cała plebania już dawno śpi, skąd wiec ten gwar i harmider pośród cizy nocnej?

— Pst! — napomniał go pastor i z napięciem wsłuchiwał się w niewyraźne dźwięki dochodzące — jak się zdało — z kuchni. Raz po raz trzaskały drzwi i słyhać było gwar pomieszanych głosów.

Wtem rozległ się przeraźliwy krzyk. Nasłuchujący w izbie Zamarli. Chwilę stali w ciemnościach jak skamienia-
niali, wnet jednak, opamiętawszy się, rzucili się ku
drzwiom.

Jan Ponicensus namacał klucz, przekręcił go, otworzył
drzwi i omal nie zderzył się ze służebną, która ze świecą
w ręku, w samej jeno koszuli, wołała bez tchu:

— Na Boga, księżu proboszczu, prędko, prędko!

— Co się stało?

Nie dostał odpowiedzi, lecz gdy drzwi kuchni stanęły
przed nimi otworem, sam wnet się dorozumiał. Straszny
widok przykuł ich do progu.

Najpierw ujrzeli w świetle świec pastorową, w nocnej
bieliźnie, z rozpuszczonymi włosami, bosą, bezwładnie le-
żącą przy drzwiach. Pochylała się nad nią jedna ze służeb-
nych i nacierała jej czoło mokrym ręcznikiem.

— Dawno już byśmy spały — jęła wyjaśniać służebną,
która cucila pastorową — kiedy ktoś zastukał w okno, a po-
tem do drzwi kuchni, rozpocznie wołając o pomoc. Pani i ja
wyskoczyłyśmy z łóżek i pobiegłyśmy do kuch-ni. Ledwo
otwarłyśmy drzwi, ta dziewczyna zwała się na podłogę,
a pani krzyknęła, zachwiała się, ułapiła za serce i padła jak
martwa.

Obaj mężczyźni spojrzeli tam, gdzie służebna pokazy-
wała palcem. Teraz dopiero zoczyli leżącą tam postać.
Krew zastygła im w żyłach. Na ziemi leżała naga dziew-
czyna, częściowo jeno przykryta rańtuchem. Ręka, którą
zapewne przytrzymała rańtuch, spoczywała nieruchomo
przy obnażonym udzie. A całe ciało sphywało krwią, świe-
żą, niezakrzepłą krwią, nie-przerwanie sączącą się z ran.

Gdy podeszli bliżej, zmartwieli ze zgrozy. Z policzków
dziewczęcia powyrywane były kawały ciała, cała klatka
piersiowa jakby rozorana kłami dzikiego zwierza.

— Wodę i czyste szmatki, prędko! — zawołała do słu-

żebnych pastorowa, którą już ocucono z omdlenia.

Z pośpiechem chwyciła dzban z wodą i uklękła przy dziewczęciu. Z oczu bezustannie płynęły jej łzy, a omywając, namaszczając oliwą i przewiązując rany dziewczęcia powtarzała płaczliwie:

— Niebożatko, niebożatko...

— To Ilona Harcajówna — ozwał się wreszcie Jan Ponienus. — Znam ją. Nie jest z naszej wsi, lecz skądś z Dolnej Krainy. Co niedziela przychodziła do kościoła, żarliwie słuchała kazań, pomnę też, jak pięknie rozbrzmiewał w świątyni jej głos przy śpiewaniu psalmów. Nieszczęsne dziewczę!

Pod wpływem zimnej wody i mokrych okładów Ilonie Harcajównie jakby wróciła przytomność. Otworzyła oczy i lękliwie powiodła wzrokiem po nachylonych nad nią postaciach.

Pastor przyłożył jej do czoła delikatną, miękką dłoń i ze współczuciem wpatrując się w umęczone oblicze, spytał łagodnie:

— Kto cię tak skatował, córko moja? W kuchni zapanowała głęboka cisza.

Ilona odpowiedziała szeptem, ledwo słyszalnie:

— Grafka...

Znów zapadło milczenie, które przerwał Jan Kalina. Pastorowa i służebne teraz dopiero go zoczyły.

— Wielebny ojczy, czy odmieniliście swoje mniemanie o Elżbiecie Batorównie?

Nie odpowiedział, jeno patrzył na nieszczęsną dziewczynę, na jej zamykające się znów oczy i mówił jakby do siebie:

— Nie masz dla niej ratunku. Niechaj Bóg ulituje się nad jej duszą...

Ledwo to wyrzekł, wszyscy posłyszeli rozgłośny tętent koni, Zmartwieli, gdy tętent ustał nagle przed ple-banią, zaś

brama poczęła się wstrząsać od gwałtownych uderzeń:

— Otwierać, otwierać!

Dał się słyszeć piskliwy, cienki głos o tak złowrogim brzmieniu, że na jego dźwięk każdy wzdrygał się mimowolnie.

W kuchni nikt się nie poruszył, nikt nic szedł otworzyć.

— Wyłamać bramę! — znów rozległ się na dworze skrzekliwy głos, a wnet potem trzeszczenie bramy.

W kuchni wszyscy jeszcze stali jak wryci. Jedyne pastor przejawiał wielki niepokój. Przystąpił do Kaliny i ponaglił go wzburzonym głosem:

— Żywo, synu! To hajducy Elżbiety Batorówny! Jeśli cię tu zdybia, jesteś zgubiony! Chodź! — Chwycił go za rękę i przez dwie sienie przeprowadził do swojej izby.

W tej samej chwili plebanią wstrząsnął silny huk: brama ustąpiła pod naporem atakujących, jej skrzydła rozwarły się gwałtownie i z ogłuszającym łomotem uderzyły o mur.

Jan Ponicensus otworzył okno i okiennicę. Do izby wtargnął strumień świeżego powietrza.

— Uchodź — szepnął Kalinie — uchodź co sił w nogach. Jak najdalej stąd. Tutaj nigdzie nie jesteś bezpieczny. Niechaj Bóg cię prowadzi i ochrania!

Kalina, wzruszony troskliwością swego opiekuna, gorąco uścisnął jego rękę i bez słowa sprężysto zeskoczył z okna na ulicę.

Walka o zwłoki

Jan Ponicensus spiesznie powrócił do kuchni.

Jednocześnie z nim w drzwi wszedł niski mężczyzna o potwornie szpetnej twarzy, czarnych poszczerbionych zę-

bach i małych mysich oczkach. Spod niskiego czoła, w części zarośniętego szczeciniastymi rudymi włosami, wystawał niezwykle wielki nos, zaś żółtawą twarz marszczył kłiwy grymas. Prawe ramię miał znacznie wyższe od lewego, gdyż lewa noga była o wiele krótsza. Zawsze pochylony był ku ziemi, jak gdyby pod ciężarem garbu, który sterczał mu na plecach i sprawiał, że i tak niska postać wydawała się jeszcze mniejsza. Wzdłuż zdeformowanego ciała zwisały długie, sięgające aż do kolan ręce, zakończone wielkimi dłońmi o długich palcach, których końce rozszerzały się łopatkowo.

W każdym, kto ujrzał tego stwora, budziły się wątpliwości, czy rzeczywiście jest on istotą ludzką.

Był to Ficko.

Jako niemowle został znaleziony w wiklinowym koszyku przy drodze, że zaś poddańcy mieli powinność oddawać panom wszelką znaną rzecz, zanieśli go do zamku. Graf powierzył go na wychowanie jednemu ze swoich pasterzy, Ujváryemu, od którego otrzymał również nazwisko. Gdy ten niewiadomego pochodzenia chłopiec, którego nazwali Fickiem, osiągnął piąty rok życia, był już istnym trefnisiem, błaznem. Pańska społeczność, która zbierała się w zamku dla zabawienia się, na sam widok tego skrzata wybuchała gromkim śmiechem. A kiedy stropiony jął stroić grymasy, pobudzany okrzykami chodzić na tych swoich długachnych rękach i fikać kozły, nawet poważne matrony chwytaly się za brzuchy ze śmiechu. I tak rósł, wszystkim na pośmiewisko, przez wszystkich pogardzany. Z roku na rok wzrastała jego szpetota i siła fizyczna. Gdy skończył dwadzieścia lat, panowie już nie śmiali się na jego widok, albowiem od dawna im spowszedniał, poddańcy zaś już nie odważali się śmiać. Był straszliwie silny i natychmiast mścił się za każdą obrazę. Panowie mieli teraz nową krotchwilę: z upodobaniem przypatrywali się, jak ta karłowata kreatura bez trudu obala na ziemię dorodnych młodych

i starszych szuhajów, okłada ich kułakami i ze złośliwym grymasem, nigdy nieznikającym z oblicza, skacze po nich. Był postrachem całej okolicy, dla swojej pani zaś oddanym sługą. Stał się jej prawą ręką, wykonawcą najokrutniejszych poleceń.

Buńczucznie stanął przed pastorem w drzwiach kuchni, mając za plecami czterech hajduków obowiązanych spełnić każdy jego rozkaz.

— Jako żywo, nie spodziewaliście się nas, księżo proboszczu, he, he, he — zarechotał, — Dobry wieczór! Kto by przypuszczał, że macie taką mocną bramę! Wszakże daliśmy jej rade!

Pastor, choć płonął gniewem, odrzekł lodowato:

— Nikt na świecie nie śmie wdzierać się przemocą na plebanię. Naruszyliście prawo i będziecie za to odpowiadać.

W odpowiedzi Ficko znów wybuchnął rehotliwym śmiechem.

— Księżo proboszczu, wy też nic macie prawa udzielać schronienia służebnym grafki, zbiegłym ze strachu przed pełnym wymiarem zasłużonej kary. Jako też rebeliantom i bieżącym nic macie prawa udzielać schronienia. To się grafka zadziwi. Ona również ma prawo pociągnąć was do odpowiedzialności. Postaram się, aby to uczyniła.

— Róbcie sobie, co chcecie. Nie udzieliłem schronienia żadnemu zbiegowi. Przypatrzcie się, kogo przyjąłem pod swój dach: trupa. Tu już nie ma co karać. Jeno niechaj Bóg pokarze tych, co zniweczyli żywot ludzki...

Ficko zaskoczony spojrzął na Ilonę Harcajównę. Nie dała już najsłabszego znaku życia. Wszakże jadowny uśmiech nie zniknął mu z twarzy, nie przestał też rechotać.

— Żywa czy umarła — zaskrzeczał — to wszystko jedno. Hej, weźcie ją i zawieźcie na zamek.

Hajducy ruszyli w stronę ciała dziewczyny. Wtem pastor zastąpił im drogę, wyciągnął ostrzegawczo rękę i wykrzyknął:

— Ani kroku dalej!

Hajducy zatrzymali się stropieni i nie poruszyli nawet wówczas, gdy Ficko wrzasnął rozjuszony:

— Psy! Kogo macie słuchać?

— Ani kroku dalej! — zawołał pastor jeszcze ostrzej i bardziej stanowczo. — Ilona Harcajówna nie żyje, nie jest już sługą pani na Czachticach. Jej dusza jest u Boga, do jej martwego ciała zaś już jeno Kościół ma prawa. Kościół, którego jam jest namiestnikiem.

Oczy Ficka, zwrócone na hajduków, miały błyskawice.

— Czemu mitręzycie? Baby! Boicie się starego klechy? — wrzeszczał. — Spełnić mój rozkaz albo na deresz u uczą was posłuszeństwa!

Hajducy z wahaniem postąpili do przodu, lecz Jan Ponienus stał przed nimi niewzruszenie jak skała,

Z dumnie wyprostowanej szczupłej postaci i surowych lic biła taka godność i dostojeństwo, że znów się zatrzymali ogarnięci pomieszaniem.

Śmiertelnie blada pastorowa rozważała w duchu, czy nie powinna rzucić się pomiędzy swego małżonka i hajduków, przerażenie wszakże spętało jej nogi.

A więc odmawiacie posłuszeństwa, psy nędzne — krzyczał Ficko na hajduków. Dobrze! Sam ją zawiozę! Ale biała wam!

I ruszył z miejsca.

— Księżu, ustąp mi z drogi! — wrzasnął piskliwym, zachrypłym ze złości głosem.

— Do tego trupa — oświadczył pastor z zimnym zdecydowaniem — jeno po moim trupie się dostaniesz!

Ficko sprężył się do skoku.

Na swoje ofiary rzucał się krwiożerczo jak drapieżna bestia i tak je oplątywał nieludzko długimi, silnymi rękoma i krzywymi nogami, że nie były w stanie się ruszyć. Szamotoły się tylko w żelaznym uścisku, aż wreszcie padały wyczerpane na ziemię i stawały się pastwą jego rozbestwienia. Ficko zaś tak zawsze skatował swoją ofiarę, iż tygodnie upływały, nim wróciła do zdrowia.

Hajducy, którzy nieraz już byli świadkami takich zmagañ ze zgrozą patrzyli, jak Ficko zbiera się do skoku, nie bacząc, że to osoba duchowna. Kobiety o twarzach zbiełałych z przerażenia chciały rzucić się pomiędzy pastora i Ficka, lecz jego odrażająca postać napawała je nieprzewyciężonym obrzydzeniem i wstrętem. Czują, że gdyby go tylko dotknęły, padłyby trupem.

Wtem na dworze rozległ się przenikliwy gwizd, który w napiętą ciszę kuchni wwiercił się z podwójną siłą. Hajdukami aż targnęło, a i Ficko się wzdrygnął. Jakby nieco znalazł To wskazywało, iż napięte do skoku mięśnie zwiotczały. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Czuli, że pastor jest uratowany.

Wnet po pierwszym ozwał się drugi gwizd, a chwilę potem trzeci.

— Żywo na dwór — wymamrotał Ficko do hajduków.

— Coś się przytrafiło.

Hajducy na łeb na szyję wybiegli z kuchni.

— Jeszcze z wami pomówię, księżu, jeszcze tu wrócę!

— odgrażał się Ficko, ochłonawszy nieco, i utykając pokus tykał za hajdukami.

Hajduk, którego po wyłamaniu bramy zostawili przy koniach, aby się nie rozbiegły, wciąż jeszcze zdjęty prze-rażeniem opowiadał Fickowi i swoim kamratom:

— Anim się czego spodziewał, jak na jednego konia

wskoczyła czarna postać i uczułem, że uździenica wyszarpnęła mi się z rąk. Kiedym się spamiętał, czarna postać już się oddalała co koń wyskoczy. Nie zwlekając skończyłem i ja na siodło, jeno że ów chłop zniknął, jakby go ziemia pochłoneła. W tej wichurze nie słyszałem nawet tętentu jego konia. Zniknął gdzieś na skraju Komarna. Bez pochyby zmierzał w stronę zamku.

Ficko zarechotał złowieszczo.

— Wiem, kim jest ten śmiałek! Dopadnę go rychlej, niż się spodziewałem! Na koń, chłopcy, i za nim!

Hajducy w okamgnieniu znaleźli się w siodłach, a Ficko zwinnie jak kot wskoczył jednemu z nich na grzbiet.

Kiedy służebna, która gnana ciekawością wybiegła przed plebanie, powtórzyła Janowi Ponicensowi, co się stało, westchnął zatroskany:

— Oby jeno uszedł przed tą diabelską sforą!

A ujrzawszy w swojej izbie przewrócony puchar i krople wina skapujące ze stołu, poczytał to za zły omen. Krople wina czerwone były niczym krew.

Hajducy, ustawicznie popędzani krzykiem Ficka, dziko bodli konie ostrogami. Przez Komarno przemknęli lotem strzały.

Jednakie po tajemnym jeźdźcu ślad zaginał.

Daleko za Czachticami, na drodze przy potoku, z lewej strony obramowanej wzgórzem, z prawej zaś lasem, zatrzymali się. Przed nimi wspinał się zgoniony koń, parszcząc ze zmęczenia,

— Toć to mój rumak! — zawołał zdumiony Ficko. — He, he, he! Nasz śmiałek ukrył się tchórzliwie. Dalej z koni, musicie go znaleźć. Niechybnie jest gdzieś w pobliżu! — zawołał do hajduków.

Hajducy zeskoczyli z koni i z dwu stron wbiegli do lasu. Ficko również zagłębił się w gąszcz, szukać zbiega.

Było to niełatwe przedsięwzięcie.

Księżyc skrył się akurat za czarną jak smoła chmurą, a wicher znów zaciął dąć. Gałęzie mokrych od deszczu drzew uderzały o siebie z tak przerażającym jęklwym łomotem, że hajdukom zdało się, iż wydobywa się z nich wyście złych duchów, zawrođenje zaklętych istot. Zaś szmer pobliskiego potoku zdał im się szcękaniem zębami całego hufca kościotrupów. Ostrożnie przedzierali się przez krzaki, a ilekroć pod ich ciężkimi butami trzasnęła chrust, stawali jak wryci i z bijącym sercem wypatrywali, skąd rzuci się na nich jakieś straszycło. Opodał, niby mara piekielna, czerniał opuszczony kasztel, zamieszkaany jedynie przez starego kasztelana i garstkę służby.

Dodawali sobie odwagi ustawicznym pokrzykiwaniem i stale kręcili się w pobliżu drogi w obawie, aby nie zabłądzić.

Daremnie Ficko napominał ich, aby stąpali cicho i ostrożnie. On sam przedzierał się przez krzaki bezszelestnie jak łasica, co i raz przystając i nasłuchując. Na próżno jednak Wokół rozpościerał się nieprzebyty las i ciemność tak gęsta, że siekierą mógłby ją rąbać.

Hajduacy odetchnęli z ulgą, gdy Ficko krzyknął, by zaprzestali poszukiwań.

— Toć ja go dostanę — pocieszał się, rozwścieczony daremnością wysiłków.

Po chwili cała wataha pognała z powrotem.

Z jodły w pobliżu drogi zsunęła się ciemna postać Jan Kalina.

Księżyc przebił się przez grubą chmurę i zalał bór błękitnąwą poświata.

— Głupiec — mruknał Jan Kalina, kiedy przesadził rów i znalazł się na drodze.

Śmiać mu się chciało na wspomnienie, jak Ficko kręcił się pod jodłą, na którą się wdrapał. Nie tknęło go, że ściga-

na ofiara znajduje się nad jego głową, na jodle, jedynym iglastym drzewie w okolicy.

Otrzeptał ręką opończę, kapelusz wcisnął głęboko na czoło, wiatr bowiem nim szarpał, i żwawym krokiem ruszył do Czachtic...

Matka, syn i ktoś trzeci

Jan Kalina nie spotkał po drodze żywego ducha.

Na skraju Czachtic skręcił w jedną z uliczek, pogrążoną w głębokiej ciszy, jakby zaklętą Ciszę mącił jedynie świst wiatru i poszczekiwanie psów. Okienka niskich, krytych słomą chałup były ciemne niby zmrużone oczy. Zaledwie tu i ówdzie sączyła się z nich na ulicę strużka bojaźliwego światła.

Zatrzymał się przed jedną z chat, z wahaniem przystąpił bliżej i zajrzał przez okno do wnętrza.

W pobliżu komina ujrzał kołowrotek, przy nim zaś drobną staruszkę. Zapatrzył się w jej miłe, pomarszczone, tchnące dobrocią oblicze. Długo tak spoglądał na tę drogą, umiłowaną, niewidzianą przez długie lata postać, zaś nieustająca cicha piosenka kołowrotka brzmiała mu w uszach niby najwspanialsza muzyka. Raptem uświadomił sobie, że przecie przez zamknięte okno nie może słyszeć piosenki kołowrotka, to jeno wspomnienia mu ją podsuwały...

Potem przebiegł oczami po całej izbie i w zdumieniu zatrzymał wzrok na dziewczynie, która siedziała przy staruszce. Wspiął się na palce i przycisnął twarz do okna. Dziewczyna była niepowszednio urodziwa. Kragłą, delikatną drobną twarz zwróciła akurat ku staruszce i coś powiedziała. Jan Kalina nie uchwycił sensu słów, posłyszał jeno przez okno stłumiony miły głos, Gdy spostrzegł, że oblicze staruszki rozjaśniło się uśmiechem, zrobiło mu się ciepło

na sercu. Wpatrywał się w dziewczynę i coraz to odkrywał nowy powab. Jego oczy z lubością błędziły po bujnych zło-cistych warkoczach spływających po ramionach na pierś i na kolana, to znów przesuwały się po niewiarygodnie cienkiej kibici, by w końcu spocząć na piersiach, buńczucznie rysujących się pod obcisłym niebieskim kaftanikiem.

Zachodził w głowę, kim ona jest, lecz nie mógł odgadnąć.

Ruszył do bramy. Nacisnął klamkę i brama natychmiast się otworzyła. „Po cóż poddany miałby się zamykać?” — cierpki uśmiech przemknął mu po twarzy. — „Przed panami daremnie byś się zamykał. A przed zbójnikami? Oni poddanemu nie uczynią krzywdy.”

Ledwo znalazł się na podwórzu, zaskoczony cofnął się o krok i aż się zachwiał pod wpływem gwałtownego uderzenia. To skoczył na niego wierny czworonożny stróż domu, Cerber, Sam go tak ongiś nazwał, kiedy pierwszy raz przyjechał na wakacje z łacińskich szkół, do których pan go posłał.

Cerber już od niejakię chwili skomlał na podwórzu, lecz Jan Kalina, pochłonięty widokiem izby, nie posłyszał jego cichego powitania. Teraz Cerber szalejąc z radości skakał, ocierał się o niego, lizał mu twarz i ręce.

— Cerber, kochane psisko! Tyś mnie jeszcze poznał? — zagadywał do psa głaszcząc go i poklepując. Pies obiegał go w kółko, a gdy Kalina stanął na progu i zapukał nieśmiało, Cerber rozszczękał się radośnie.

Na pukanie nie od razu przyszła odpowiedź, widać kobiety przelekły się tak późnych odwiedzin. Ledwo jednak zapukał powtórnie, posłyszał za drzwiami lekkie kroki; wnet też ozwał się wystraszony dźwięczny głos:

— Kto tam?

— Nieszczęsny, zdrożony i głodny wędrowiec. Noc zaskoczyła go na gościńcu, że zaś chłód panuje, nie może

przenocować pod gołym niebem i prosi ludzi o przytulisko.

— Wpuść tego nieboraka, Marisza — ozwał się z izby słaby, drżący głos — dobrzy ludzie zawsze znajdą u nas schronienie i kromkę chleba.

Kiedy zdjął kapelusz i pozdrowił, staruszka popatrzyła nań w osłupieniu jak na widziadło, po czyni zerwała się, podbiegła do niego, spojrzała mu z bliska w twarz, jakby nie wierzyła własnym oczom, i wykrzyknęła radośnie:

— Janku!

— Matulu!

Matka i syn padli sobie w objęcia.

Wzruszeni spotkaniem, w pierwszej chwili nie byli zdolni wyrzec słowa. Zresztą żadne słowa nie mogły wyrazić szczęścia, które przeżywali.

— Przecie wróciłeś, synu mój najmilszy — przemówiła w końcu matka.

Z upodobaniem spoglądała na jego barczystą, smukłą postać i z ożywieniem świergoła:

— A jakiś ty urodziwy i zmężniały! Widać Niemcy dobrze cię żywili! A jakżeś wrócił? Kiedy? Nic jesteś zdrożony? Nie jesteś głodny? — zasypała go pytaniami.

Dziewczyna podczas tego wzruszającego powitania kręciła się zmieszana przy kołowrotku, ukradkiem ocierając łzy rozczulenia, i to poprawiała kądziel na przęślicy, to wrzecziono, jak gdyby w kołowrotku wszystko raptem się popsuło, a ona bezzwłocznie musiała to naprawić.

— A któż to u nas jest, matulu? — spytał Jan Kalina wskazując dziewczynę spojrzeniem.

— Nie poznajesz jej? — zdumiała się matka. Dziewczyna, zwrócona ku niemu twarzą, czuła, jak ją lustruje wzrokiem. Zapłonila się jak róża i w pomieszaniu mięta rąbek fartucha.

— Nie, nie poznaję — rzekł zakłopotany.

— Toć to Marisza Szutowaska, córka sąsiadów — wy-

krzyknęła matka. — Ona ma lepszą pamięć. Nie schodziłeś jej z myśli, a czekała cię z takim prawie utęsknieniem jak ja.

— I ja o tobie często myślałem — Jan Kalina przystąpił do dziewczyny i serdecznie uściskał jej rękę — wszakże jako o nadobnym dziewczątku, które pożegnałem, i nigdy bym się nie spodział, że zastanę istną krasawicę.

Pomieszanie Mariszy jeszcze wzrosło, rumieniec nie znikał jej z lic. Wyrwała rękę, którą Kalina ciągle trzymał w swej dłoni, i aby ukryć miotające nią uczucia, jęła mówić z pośpiechem:

— Gdzie my mamy pomysłupek! Ani siadać cię nie prosimy, ani poczęstunku nie szykujemy! A pewnikiem jesteś zdrożony i głodny.

Żywo podbiegła do stołu, odsunęła ciężki zydeł, wytarła go fartuchem i poskoczyła do komory.

Odłożył kapelusz i opończę na łóżko i siadł za stołem. Gdy teraz spojrział na matkę, serce ścisnęło mu się z bólu. Przed chwilą jej twarz promieniała radością, szczęście prawie wygładziło głębokie zmarszczki i wyprostowało zgięte pod brzemieniem starości ciało. Teraz na jej obliczu odzwierciedlało się cierpienie, z oczu płynęły łzy, a bezsilnie zgarbiona postać zdała się jeszcze drobniejsza.

Syn przysunął do niej swój zydeł, tkliwie pogłaskał ją po siwych włosach, ocierał jej łzy i pocieszał najczulszymi słowami.

— Biedak — westchnęła — nie może zaznać ni chwili szczęścia. Ledwie się uradowała z twojego powrotu, a już serce przepelnia mi gorycz: co z tobą będzie? I co jest z Magdusią? Synu mój, ty nie wiesz, co się stało...

— Wiem, matulu, wiem...

Marisza akurat wróciła z komory Postawiła na stole dzban mleka i kubek, położyła grube kromki chleba i wsty-

dliwie go zachęcała.

— Jedz, Janku, jedz!...

— Marisza jest mi drugą córką rzekła matka głaszcząc zapłonioną twarz Mariszy dobrotliwym wzrokiem. Nie wiem, co bym bez niej poczęła. Dniem i nocą przebywa ze mną, sypia tutaj, wszystko zrobi, a mnie jeno rozdelikaca; poniechajcie tego, siadźcie sobie, ciotko. A zdarzało się, że i chodziła robić za mnie na pańskim. Bez niej już dawno urobiłabym się i zatrapiała na śmierć. Cięgiem mnie pociesza, a nieraz to i tak rozweseli, że zapominam o wszystkich swoich zgryzotach.

Marisza z wolna się ośmielała. Już nie umykała przed wdzięcznym spojrzeniem Kaliny, gdy matka ją wychwalała, a nawet sama przemówiła:

— a co byśmy to byli za sąsiedzi, gdybyśmy was poniechali samą w strapieniu? Nas jest pełna chałupa. W domu pewnikiem mnc nie braknie. I cóż bym po prawdzie robiła, gdybym nie przychodziła do was?

Syn wiedział, że matka nie może oderwać myśli od Magdusi, przeto jął beztrosko rozprawiać z Mariszą Szutowską o przeszłości, jakby się zmówili. Wspominki napełniły izbę dawnym szczęściem. Przed ich oczami, tęsknie wpatrzonymi w przeszłość, rozpościerały się skoszone łąki pachnące świeżym sianem i macierzanką. Mały Janek i Mariszka sąsiadów razem po nich hasali. Falowały przed nimi bezkresne morza złocistych zbóż, w których zrywali bławatki i wili z nich wianki. Brązowiły się ścierniska, na których wspólnie pasali nieprzeliczone stada pańskich gęsi: Mariszka bawiła się na miedzy, a gdy była jej kolej, Janek szedł zamiast niej zaganiać gęsi, które wlażyły w krzyżaki*.

Jan Kalina słuchał Mariszy z podziwem, gdyż w jej opowieściach ożywały ich dziecięce przygody, miała żywo w pamięci nawet najdrobniejsze zdarzenia, zaś twarz jej ja-

*Krzyżaki — snopki zboża układane na krzyż.

śniała przy tych wspominkach, odzwierciedlały się w niej dawne radości.

— Jejku, jakiś ty był ucieszny — śmiała się — gdyś przyjechał na wakacje z tych łacińskich szkół. Biały byłeś jak giezło, chodziłeś ciągiem w czarnych szatach i z księga pod pachą. A mnie ledwoś zauważał...

Cichy wyrzut brzmiący w tych słowach obudził w nim szczery żal. Jakże te łacińskie księgi mogły aż tak go zaślepić?

Teraz dopiero zoczyli, że i Cerber jest w izbie. Wśliznął się niepostrzeżenie za Kaliną i przycupnął pod stołem. Przez cały czas siedział tam cichutko, raptem wszakże jął warczeć wyskoczył spod stołu i biegał po izbie.

— Nie zwietrzył aby czego? — zaniepokoiła się matka.
— Nie zoczył cię kto, synu, gdyś do nas szedł?

— Nie, matulu, nikt.

— Psy szczekają w całej ulicy — rzekła Marisza, by ją uspokoić, i jęła uciszać psa, który wreszcie usłuchał i wsunął się potulnie pod stół. — Zasłonę wszakże okno, aby kto trafunkiem nie ujrzał, jakiego gościa mamy!

— Nie rób tego, Mariszka, toć nam zakazali!

— Zrobię, cokolwiek by się miało stać — powiedziała rezolutnie. — Trzeba nam było od razu to uczynić, gdyż hajducy za dnia i w nocy węszą po ulicach jak psy gończe, nie daj Bóg, aby do nas zajrzeli.

Życie poddanych musi być dla panów otwartą księgą. Bramy nie śmieją zamykać, aby pańscy pacholcy w każdej chwili bez przeszkód mogli wtargnąć do ich domostw, wieczorem zaśnie śmieją zasłaniać okien, aby nie mogli się gromadzić, knuć spisków... Nieczyste sumienie boi się, iż cierpliwość ciemieżonych kiedyś się wyczerpie.

— Synu mój. Bóg wie, co się stało z Magdusią, co zaś będzie z tobą? — zabiadała matka. — Gdzież ty się podzie-

jesz?

— O mnie się nie turbujcie — uspokajał ją syn. — Świat jest rozległy, znajdzie się na nim schronienie dla wygnańca. A co się tyczy Magdusi, od tej chwili jedynym celem mojego życia będzie wyśledzenie, gdzie ją uprowadzono czy uwięziono, albo też pomszczenie jej, jeśli ją uśmiercili!

Zniweczone szczęście

Naraz wszyscy troje wzdrygnęli się, posłyszawszy pi-skliwy, skrzeczący ostry głos.

W drzwiach, które otwały się bezgłośnie, jak gdyby wszedł duch, stał Ficko.

— Nie rozpędzaj się tak, uciekinierze! — zarechotał. — Nie będziesz ty nikogo szukał ani mścił. Nie będziesz miał kiedy!

Kobiety stały przy stole półprzytomne ze strachu. Cerber zaszczekał wściekle i z wyszczerbionymi zębami wyskoczył spod stołu. Jak Kalina nie odrywał oczu od Ficka, który przyjąwszy swoją bojową postawę skoczył na niego jak żbik. Lecz Kalina był w pogotowiu. W chwili, gdy Ficko miał runąć na niego całym ciężarem ciała i zebranej siły, zamachnął się i odrzucił go zaciśniętą w kułak pięścią. Ficko uderzył garbem o ścianę, która zadudniła głucho, i padł na ziemię jak uleگاłka, jak kawał martwej, bezkształtnej masy. Pies, który wprzód tylko go obskakiwał, teraz, rzu-cił się na niego. Złapał go zębami za udo i rozerwał mu no-gawicę. Ukazało się nagie ciało porośnięte rudymi kudłami. Pies już-już miał się w nie wgryźć, lecz powstrzymał go su-rowy, rozkazujący głos Kaliny.

— Cerber!

Niechętnie i z ociąganiem, lecz przeczołgał się do pana, nie przestając szczyrzyć zębów na Ficka.

— Cerber, wierne moje psisko — poklepał go po łbie — ten potwór niegodzien jest tego, abyś splamił swoje białe zęby jego ohydną krwią.

I polecił Mariszy zamknąć go w komorze.

Ficko leżał w kącie bez ruchu.

Kalina nastąpił mu na brzuch i krzyknął:

— Łotrze nikczemny! Dobrze, żeśmy się spotkali wcześniej, niż się spodziewałem. Mam z tobą do pomówienia. Odpowiedz mi na pytanie albo rozgniotę cię jak nędznego robaka! Gadaj, co się stało z moją siostrą?!

Ficko milczał. Złośliwy grymas zniknął mu z twarzy, zastąpił go wyraz strachu. A Kalina chwycił go za gardło:

— Gadaj albo pożegnaj się z żywotem!

Pobladła, żółta twarz Ficka poczęła obrzmiewać i zmieniać barwę.

— Gdzie jest moja siostra?

Staruszka i dziewczyna ze zgrozą patrzyły na tą scenę. Czują, iż jest to ostatnie pytanie zadane Fickowi. Ficko również to sobie uzmysłowił i wreszcie poruszył wargami. Kalina rozluźnił uścisk. W izbie zabrzmiał chrapliwy głos, jakby wychodzący spod ziemi:

— Twoja siostra jest...

Tu Ficko z nagłą urwał, a Kalina odjął ręce od jego szyi, zdało mu się bowiem, że nie jest w stanie mówić. Wtem matka i Marisza krzyknęły przeraźliwie. W tej samej chwili Ficko jakimś istic cudownym sposobem zerwał się z podłogi i wybuchnął śmiechem.

W drzwiach pojawili się czterej hajducy.

Kalina nawet nie zdołał się obejrzeć, gdy rzucili się nań od tyłu i obalili go na ziemię.

Ficko skakał wokół skłębionych ciał i baczył, by hajducy dobra pętali kalinę.

— Tak, tak, waszmość studencie! — ze złośliwą uciechą

szczyrzył czarne zęby. — Spójrz jeno! Zdrow jestem jak ryba! Za słabyś ty na to, aby mnie zdusić. He, he, he. Igrałem z tobą jak kot z myszą użyczyłem ci chwilowego zwycięstwa, abyś tym mocniej odczuł porażkę. A wy, łotry — zwrócił się do hajduków, którzy stali nad mocno związanym Kaliną dysząc ze zmęczenia po krótkiej, lecz zacieklej walce — przybyliście w samą porę. Gdzieżeście przepadali tak długo? Toć wiedzieliście, że nie idę na przyjacielską, pogwarke, a przecie omal nie przybyliście za późno. Dostaniecie za swoje! Nauczę ja was karności!

Podszedł do Kaliny i kopnął go z wściekłością.

— Ciebie też sobie zakarbowałem, Nie uszanowałeś mojego gardła, jako żywo nie! Najchętniej wnet tutaj bym ci odpłacił, jeno że twój żywot ma dla mnie większą cenę niżli twoja śmierć. Dostanę zań złoto, he, he, he. Zaś luby oberżysta z „Trzech Zielonych Lip” w Pieszczanach niechaj poczeka na swoją część. Ha, radzę ci, jeśli powtórnie narodzisz się na świat, nigdy nic zatrzymywać się w tym zajęździe. Jego właściciel ma bystry wzrok i dobry słuch, i łasy jest na zarobek. He, he, he, czekaliśmy na ciebie, ptaszku, jako żywo, czekaliśmy. Oberżysta dał nam znać, że przebywasz pod jego gościnną strzechą. A tak w lesie dobrze się utaił, bardzo dobrze. Co tu wszakże pomogło? Wiedziałem, że rozceckany synaczek nic ominie swojej matuchny, he, he, he!

I skakał wokół Kaliny, upojony zwycięstwem,

— Ale palec prawdziwie masz jak z żelaza złośliwy rehot zastąpił wybuch złości i żądza zemsty. Srodze mnie przydusiłeś. Nie pozostanę ci dłużny. Każę przywiązać cię do deresza, że ani zipnąć nie zdołasz, i popatrzymy sobie, jak kij odskakuje ci od zadka i od pięt, aby odeszła cię ochota uciekać. A to będzie jeno zadatek!

Matka chwyciła się oparcia zydlą, gdy bowiem wyobraziła sobie, co czeka syna wydanego na pastwę tego łotra i pańskiej zemsty, nogi się pod nią ugięły. Mariszę naszła

pokusa wypuścić psa z komory i poszczuć go na Ficka i jego drabów. Cerber dałby sobie z nimi radę! Widząc w tym jedyną możliwość ratunku, poruszyła się chcąc otworzyć drzwi komory.

Wszakże jej zamysł nie uszedł baczności Ficka.

— Dokądże to, dokąd, gołąbko? — przystąpił do niej, — Chcesz wypuścić to psisko? A może ze strachu przede mną chciałybyś uciec? Nie bójże się mnie, nie bój! Na ciebie się nie gniewam krasawico, jako żywo nie, choć nie przypada mi do smaku, żeś sobie tego łotra wybrała na miłego! I uniósł rękę o kosmatych spleaszczonych palcach, chcąc ją uszczypnąć w pałający rumieńcem policzek. Odskoczyła przerażona.

— Nie tylko nie gniewam się na ciebie, he, he, he, lecz przeciwnie, tak cię nawidzę, że wystaram ci się o dobrą służbę u grafki, he, he, he!

Staruszkę znów przejęła groza.

— A ty co? — wyszczerzył do niej zęby Ficko. — Ty też byś chciała pójść na służebną do grafki? Takich staruch, co jedną nogą stoją już w grobie, nie potrzebujemy. Wszakże i na ciebie się nie gniewam, boć nie jesteś winna, żeś przywiodła na świat takiego niewydarzonego syna. Tobie też sprawię uciechę. Jak przyjdzie pora, każę cię wezwać, abyś widziała, jak twojemu synowi uczona głowizna zlatuje z karku!

Matka osunęła się na zydel i bezsilna, udręczona, wybuchnęła rozdzierającym płaczem. Marisza przyskoczyła do niej, bez słowa przytuliła do piersi jej głowę, gładziła ją po włosach.

Syn, słysząc płacz matki, targnął sobą. Napiął mięśnie Hajducy z wielkim zajęciem śledzili jego zmaganie się z powrozami, zdało się, iż pragną, by przerwał je jak nitki.

Przewracał się z boku na bok, powrozy wrzynały mu się w ciało, oblicze czerwieńiało z wysiłku.

— No, bierzcie go i hajda! — rozkazał Ficko.

Gdy hajducy go podnieśli, matka wyrwała się z objęć Mariszy, krzyknęła i z płaczem rzuciła się na spętanego syna.

— Synu mój umiłowany, żegnaj, już cię więcej nic ujrzę!

W hajdukach przebudziły się ludzkie uczucia. Żal im się zrobiło płaczącej matki.

— Nie gawrońcie się tu jak zdychające konie! — wrzasnął na nich Ficko. — Może jeszcze łyzy poczniecie ronić, he, he, he! — i krzyknął: — Precz, stara, nie zawadzaj!

Gdy zaś się nie poruszyła, szarpnął ją za rękę i odepchnął od syna. Byłaby upadła, gdyby, Marisza jej nie podtrzymała.

Hajducy na ponowny rozkaz otrząsnęli się ze wzruszenia. Ruszyli do drzwi.

Oczy Kaliny na pożegnanie spoczęły z niewysłowioną czułością na matce, następnie przesunęły się na Mariszę i przyłgnęły do niej z wyrazem głębokiego żalu.

— Żegnaj, Janku! — zawołała. Jego spojrzenie czuła całym rozpłomienionym wzruszeniem ciałem. Boleść ścisnęła jej serce, zwierła gardło i mgłą przesłaniała oczy.

Gdy za wychodzącymi stuknęły głucho drzwi, jakby trafiona w samo serce, ze staruszką w objęciach padła na ziemię.

Dwie zbolełe niewiasty, rozpaczliwie szlochając, leżały na ziemi. Gliniana polepa chciwie piła ich gorzkie łyzy. Olej w kaganku dopalił się, knot zaskwierczał i izba pogrążyła się w ciemności.

Złowrogie posągi przed bramą

Kiedy hajducy ze swoim żywym łupem wyszli z chaty Kalinów na podwórze, odetchnęli z ulgą, że już nie mają przed oczami nieszczęsnej staruszki i zbolątego dziewczęcia. Niemile to zadanie pojmać człowieka i wydać go na pastwę niewiadomego losu. Całe Czachtice dowiedzą się o tym ludzie będą spoglądać na nich z jeszcze większą, nienawiścią pogardą. Cóż z tego, że powodowani strachem będą milczeć. Niewysłowioną nienawiść odczują z podwójną mocą. Wszyscy jednak uśmierzali sumienie: rozkaz jest rozkazem. Co mogli począć?

Ficko wyprzedził ich i otworzył bramę. Raptem rehotliwy śmiech uwiązał mu w gardle, stanął jak wryty.

Przed bramą półkolem, niby warowny mur, groźnie, w milczeniu, stało dziesięć ciemnych barczystych wysokich postaci. Pośród nich górował olbrzymi mężczyzna, wyższy od pozostałych o jakie dwie, trzy głowy.

Wiatr ucichł, księżyc przedarł się przez chmury i zalał uliczkę niebieskawym światłem, w którym nieruchome postacie wyglądały jak wykute z żelaza posągi.

Ficko nie zdołał się opamiętać ze zdumienia, zaś hajducy ciągle jeszcze trzęśli się ze strachu, gdy najrośniejszy z mężczyzn przystąpił do Ficka, który sięgał mu zaledwie po pas.

— Poznajesz mnie, Ficko? — ozwał się olbrzym, — Poznajecie mnie, hajducy, pańskie sługusy?

Zaden mu nie odpowiedział, jakby oniemieli.

— Hajda wszyscy pod jabłoń i stanąć tan w kupie niechaj żaden nie waży się ruszyć.

Hajducy bez słowa jak posłuszni chłopcy, stanęli na oznaczonym miejscu.

— A ty, Wawrzek, poskocz do nich i gdyby któremu za-

chciało się drapnąć, pomacaj mu kości — rzekł obracając się ku ciemnym postaciom.

Jeden z mężczyzn wystąpił z szeregu i podszedł do hajduków.

— A ty, ryży karle — spojrział koso na Ficka — omijasz Jaworzynę, nie wpadłeś mi w ręce. Przeto zczekałem na ciebie, aby wyrwać z twoich szponów niewinnego człeka i aby zmierzyć się z tobą. A wiesz jak? Oto moja jedna ręka przeciw tobie całemu, przeciw całej twojej sławetnej sile! Przygotuj się do walki: zrzuć kubrak i popuść pasa, Masz sławę najniebezpieczniejszego siłacza. Nuże, pokaż, co umiesz!

Hajducy z zapartym tchem wytrzeszczyli oczy. Ciemne postacie nadal siały jak posągi.

Kalina, skrępowany tak, że nie mógł się ruszyć, z napięciem chłonał słowa olbrzyma

Ficko zrzucił wyświechtaną bekieszkę i w tej samej chwili skoczył na potężnego chłopca Użył fortelu. Chciał zaskoczyć przeciwnika, zyskać przewagę niespodzianym atakiem. Lecz daremnie. Wprawdzie skok mu się powiódł, zdołał nawet opleść przeciwnika ramionami, ale siłacz jednym szarpnięciem wyrwał ręce z tej obręczy, jakby wydobywał je z rękawów.

— A toć ściskaj mnie i obłapiaj, skoro tak mnie miłujesz — śmiał się serdecznie — wszakże nie zostanę ci dłużny.

I wałnął go pięścią w garb jak miotem w kowadło. Ficko z bólu zazgrzytał zębami, a mięśnie mu zwiotczały. Jeszcze ćmiło mu się w oczach, gdy przeciwnik uwolnioną ręką chwycił go za ramię, oderwał od siebie i podrzucił wysoko w górę. Złapał go w locie, znów cisnął jak zabawkę jeszcze wyżej, i znów, ale tym razem już go nie chwycił

Śmiał się niby chłopiec oddający się miłej zabawie, a ciemne postacie mu wtórowały. Hajdukowi jedynie strach zdusił śmiech w gardle.

Ficko spadł na ziemię jak kamień.

Głuchy odgłos towarzyszący jego upadkowi odbił się radosnym echem w wielu sercach, albowiem poddani z najbliższych chałup zoczywszy, że coś się dzieje, nasamprzód jeno wyglądali przez ciemne okna, potem zaś, gnani ciekawością, wymknęli się na ulicę i tam, przezornie skryci za drzewami, przypatrywali się podniecającemu widowisku.

— Mniemam, że to ci starczy. — Nieznajomy spojrzął z pogardą na nieruchomego Ficka i przeszedłszy obok niego skierował się do związanego Kaliny.

Wtem Ficko, który leżał jak martwy, zerwał się niespodzianie i w świetle księżyca błysnął w jego ręce nóż, wyciągnięty ukradkiem zza cholewy.

— Zdychaj! — ryknął i rzucił się na siłacza chcąc wbić mu nóż w plecy.

Na ten okrzyk siłacz odwrócił się błyskawicznie, a sekundę potem ze wszystkich stron ozwało się westchnienie ulgi. Siłacz złapał Ficka za rękę trzymającą mordercze narzędzie i zwiераł ją w żelaznym uścisku tak długo, póki nóż nie zadzwonił o twardej ziemię. Ficko, rozwścieczony udaremieniem morderczego zamachu, z dziki zaciekłością oplątał krzywe nogi i długie ręce wokół ciała przeciwnika, lecz nie trwało tu długo. Siłacz, którego podstępny atak rozsierdził, wstrząsnął gwałtownie ramionami, podskoczył i Ficko zleciał na ziemię. Wtenczas chwycił go mocno za nogę i zakręcił nim młynka.

Oстрым głosem zdradzającym, że gniew jeszcze się w nim burzy, powiedział:

— Wybierz sobie drzewo, na które chcesz polecieć, by tam wypluć zęby. Ej, szkoda, że obiecałem walczyć jeno jedną ręką, już i lewa okrutnie mnie świerzbi.

Nie puścił go wszakże. Przestał okręcać się w koło, podrzucił go w górę, a gdy spadał, grzmocił go z dołu pięścią. I tak wciąż od nowa wyrzucał go w powietrze przy wtórze

pełnych uniesienia okrzyków towarzyszy i stłumionego śmiechu ukrytych obserwatorów.

Teraz nic była to już zabawa. Ficko już nie wierzgał i nie wymachiwał rękoma. Polatywał bezwładnie nad głową siłacza jak szmata.

— Wybierz sobie gwiazdę, na którą mam cię wyprawie — rzekł siłacz, kiedy gniew z wolna jął go opuszczać.

I raz jeszcze wy grzmocił spadającego Ficka, po czym podrzucił go w górę na wysokość kilku metrów, odskoczył i pozwolił mu pacnąć na ziemię. — Chyba masz już dosyć!

Podniósł nóż i rozciął więzy Kalinie.

— No, dokładnie cię spętali, przyjacielu!

— Dzięki ci, nieznany wybawco! — Kalina z wdzięcznością uściśnięła jego rękę. — Ocaliłeś mnie przed niechybną śmiercią!

— Nie ma nad czym się rozwodzić, przyjacielu. Czyż naprawdę nie poznajesz swojego starego wiernego druha, Andrzeja Drozda?

— Tyżeś to, Andrzej? Ależ wybujaleś! Istny olbrzym!

I starzy przyjaciele padli sobie w objęcia.

— Jakżeś się dowiedział, że powróciłem i że jestem w niebezpieczeństwie? — zdumiał się Kalina.

— Ha — Andrzej Drozd uśmiechnął się zagadkowe — człowiek różnych rzeczy się dowiaduje, osobliwie, gdy jest tak wielkim panem jak ja. Kiedym był dzisiaj na przechadzce w górach, spotkałem pachółka pieszczańskiego oberżysty z „Trzech Zielonych Lip”, zapytałem go, jaką nową zdradę, knuje jego przebiegły pan, który zawsze wszystko wypatrzy Pachółek nic śmiał nic odpowiedzieć na pytanie tak wielkiego pana. Tym sposobem dowiedziałem się, jakie sidła na ciebie zastawiono, i jak widzę, przybyłem w samą porę.

— A kimże ty jesteś? — nie posiadał się ze zdumienia Kalina.

— Zbójnikiem! — odparł z dumą. — To zaś są moi kamraci — dodał wskazując swych towarzyszy.

Jan Kalina nigdy w życiu nie zetknął się ze zbójnikami, zaś nimb sławy, który spowija ich w wyobrażeniach ludu, dawno już. W nim przyćmiło wychowanie szkolne. Wszczępiło mu ono przeświadczenie, że zbójnik to złoczyńca, który winien być ścigany przez prawo i którym porządny człowiek musi pogardzać.

Jednakże okoliczność, że jego wybawca jest zbójnikiem, nic umniejszała w nim uczucia wdzięczności.

— Chociaż jesteś zbójnikiem, Andrzeju, w piękny sposób dowiodłeś, że długie lala, kiedyśmy się nie widzieli, nie zniszczyły w tobie przyjaźni, dokonałeś szlachetnego czynu. Dziękuję ci!

I obejrzał się na dom, powiódł wzrokiem po podwórzu. Nic było lam drogich istot, których szukały jego oczy. Matka i Marisza zgoła nic zauważyły, co się dzieje na dworze, gdyż boleść zamroczyła im zmysły.

Jan Kalina pośpiesznie skierował się do drzwi domu.

Spotkanie serc

Gdy wszedł do izby, powitała go ciemność. Lecz po chwili w prószącym przez okno świetle księżycy rozpoznał sprzęty oraz postacie matki i Mariszy.

— Matulu! Mariszko! — zawołał głosem drżącym z bólu nad ich cierpieniem i radością z ponownego spotkania.

Staruszka i dziewczyna, posłyszawszy jego głos, w jednej chwili powróciły do życia. Blask radości odegnał chmury rozpacz.

Z okrzykami szczęścia rzuciły się ku niemu, obejmowały go i całowały, jakby powstał z grobu.

Raptem Marisza opamiętała się. Uświadomiła sobie, że dała się porwać wybuchowi uczuć, i stropiona odskoczyła od Kaliny. W pomieszeniu i bezradności, zawstydzona, iż mimowolnie zdradziła się z długo tajoną miłością, ukryła twarz w dłoniach i znów się rozpląkała. Był to płacz ulgi, iż otworzyła serce przed przyjacielem z czasów dzieciństwa, o którym długie lata śniła i za którym tęskniła. I płacz wywołany obawą, czy jej uczucia znajdą oddźwięk w jego sercu.

— Jesteś uratowany... — cieszyła się matka.

Kalinę, gdy Marisza w porywie radości całowała go i obejmowała wyznając mu w ten sposób bez słów miłość, zalała gorąca fala szczęścia. A jego dawne przyjacielskie uczucia raptem przerodziły się w miłość.

Matka w końcu wysunęła się z objęć syna, aby zapalić kaganek. Kiedy po dłuższej chwili postawiła go na stole ujrzała Mariszę w ramionach syna. Jej głowa spoczywała na jego piersi. Gładził ją po złotych włosach i szeptał:

— Mariszko moja najmilsza!...

Oblicze matki rozpromieniło się. Położyła im na ramionach swe stare, znużone ręce i powiedziała:

— Dzieci moje, jakże jestem szczęśliwa, spełniło się moje dawne najgorętsze pragnienie: wasze serca się spotkały.

Twarz Mariszy już się wypogodziła, modre oczy pojaśniały jak niebo po burzy, nie było nawet śladu po łzach. Znikły jak rosa z kwiatów o wschodzie słońca.

Kalina czuł się niewypowiedzianie szczęśliwy. Ale trwało to zaledwie moment, gdyż twarda nieubłagana rzeczywistość wyrwała go z błogiego zapomnienia.

— Nie, Mariszko, nie śmiem wiązać cię ze mną — rzekł po chwili milczenia smutno, lecz stanowczo. - Nie śmiem rzucać cienia na twoje życie. Zapomnij o mnie. Będą mnie prześladować, nigdzie nie znajdę bezpiecznego kąta. Wy-

znaczyli nagrodę za ujęcie mnie. Nic dobrego mnie nie czeka. Prędzej czy później zginę marnie. Nie wolno mi wciągać w nieszczęście i ciebie.

— Ale ja cię miłuję, Janku, i będę miłować do ostatniego tchu! — zawołała z żarem i oddaniem. — A twoja śmierć będzie i moją. Może przecie wszystko obróci się na dobre...

— Nie, Mariszko, nie pocieszaj się płónnymi nadziejami — powiedział przemagając wzruszenie. — Los wykopał między nami głęboką przepaść, która jeszcze bardziej się pogłębi. Mam już co niemiara karbów u grafki, a jeszcze ich przybędzie, gdy spełnię, com sobie ślubował: odnajdę siostrę lub pomszczę jej śmierć. Potem zaś — niech się stanie, co się ma stać...

Chciał rzec, że potem życie już nie będzie miało dla niego ceny, skoro nie będzie mógł wrócić tam, gdzie pozostawił swoje serce Zamilkł wszakże.

W izbie zapanowała cisza.

Nowy towarzysz zbójnika

Wtem do izby wszedł Andrzej Drozd. Drzwi były dlań za niskie i chociaż się schylił, zawadził kapeluszem o odrzwia.

Z roześmianą, tryskającą zdrowiem twarzą, w której dwoje czarnych oczu płonęło niby dwa węgle, serdecznie pozdrowił kobiety.

— A cóż się z tobą dzieje, Janie? — zagadnął wesoło, z wymówką w głosie. — Dlaczego nie idziesz? Toć czekamy na ciebie.

— Na mnie? — zdziwił się Kalina i teraz dopiero uświadomił sobie, że odbiegł od zbójników i hajduków bez jed-

nego słowa.

— Jeno na ciebie. Ze zaś niedobrze jest zbyt długo tu zostawać przyszedłem cię ponaglić! Chodź!

— Dokąd?

— Z nami! — odparł.

— Z wami? Ze zbójnikami?

— Tak, z nami!

— To i ja mam zostać zbójnikiem? — Jan Kalina nie posiadał się ze zdumienia.

— Cóż innego ci pozostaje? — odrzekł Andrzej Drozd spokojnie.

On miałby zostać zbójnikiem? On, który zbójników uważał za złoczyńców? Lecz gdy patrzył na szerokie, dobrotliwe oblicze Andrzeja Drozda, ożywało w nim dawne pojęcie o zbójnikach, jakie niegdyś wyniósł z rodzicielskiej chaty do szkół.

Wspomniał Branka, zbójnika, o którym tyle się nasłuchał na prządkach w długie zimowe wieczory. Czy istotnie zasługiwał na wzgardę i potępienie? Bo jakże len sławiony przez wszystkich Branko, rodem z żupanii nowohradzkiej, stał się zbójnikiem? Kiedy Turcy zdobyli również żupanię nowohradzką, obłupili Branka ze wszystkiego. Zrabowali mu bydło, spalili dom, żonę zaś z dwojgiem dzieci uprowadzili na jasyr. On sam ocalał jeno gołe życie. Uszedł w góry i wkrótce stał się postrachem Turków. Jak kraj długi i szeroki miał oddanych sprzymierzeńców i kiedy trzeba było zrobić wypad przeciw Turkom, na Polanie na oznaczonych szczytach płonęły nocą ognie, a dzielni junacy pieszo, konno i wozami ciągnęli do Branka zewsząd Bianco nie tylko mścił się na Turkach, lecz i karał za każdej krzywdę, o której posłyszał. Tak oto stał się zbójnikiem, znieawidzonym przez miasta i żupanie. Pewnego razu, gdy zjawił się koło Zwoleniu, rajcy miejscy kazali bić w dzwony na trwogę i wyprawili przeciw niemu wszystkich mieszczan. Przemo-

gli go. Padł w tym boju przeważającą siłą. Pochowano go w lesie na szczycie nad Breznem. Był zbójnikiem, wyrzutkiem społeczności ludzkiej, zasłużył na karę. Taki osąd wbijano Kalinie do głowy w szkołach. Ale czy to prawda? Czyż wszyscy ci biedacy z chałup od Tatr aż po Dunaj, którzy sławią go jako bohatera, mylą się? Nie, nie mogą, się mylić. Nic może być złoczyństwem mszczenie krzywd i bojowanie o sprawiedliwość na tym świecie.

— Co poczniesz sani? — wyrwał go z zamyślenia Drozd — Ledwoś się uwolnił z rąk pańskich zauszników, wnet zasię w nie wpadniesz. Nigdzie nie skryjesz się przed nimi, a rozumem przeciw przemocy nie poradzisz. Jeno w górach możesz się ukryć i jeno w naszej kompanii, jako że my znamy każdy kopiec, każdą dolinę, każdą jaskinię, każde spróchniałe drzewno.

— A pomożecie mi odnaleźć siostrę, jeśli żyje, lub pomścić ją, jeśli zbrodnicza ręka zgasiła jej żywot? — wpadł mu w słowo Kalina, najwyraźniej podjąwszy już decyzję.

— Niechybnie, wszyscy co do jednego!

I Andrzej Drozd podał mu swą silną rękę, a Kalina uściśnął ją serdecznie.

Staruszka i dziewczyna odetchnęły z ulgą. Matka rada była, iż syn będzie w pobliżu i że nie będzie sam. Marisza pocieszała się nadzieją, że go przecie czasem ujrzy. Jeśli on nie przyjdzie, ona pójdzie do niego, choćby był za górami, za lasami, choćby i do trzeciej żupanii.

Zbójnicy czekali przed domem na swego przywódcę, otaczając ciasnym kołem hajduków i Ficka, który leżał na ziemi sztywny i nieruchomy.

— Psy pańskie — krzyknął Andrzej Drozd do hajduków — dzisiaj pierwszy raz spotkałem się z wami jako zbójnik, przeto puszczam was cało, Ale biada wam, jeśli powtórnie wpadniecie mi w ręce! Wszakże nie wróćcie do zamku z pustymi rękami. Nuże, zabierzcie sobie swojego pana.

Hajdacy bojaźliwie zbliżyli się do Ficka. Twarz miał wykrzywioną złością. Milczał — nie poruszał się, ale oczy mu płonęły. Hajdacy uświadomili sobie, że teraz będą mieć o wiele lżejsze brzemię jak przed chwilą, toteż tylko jeden z nich schylił się po Ficka i wziął go na ręce niby szczenię.

— A ty, Ficko — zawołał Drozd z pogróżką — sam na siebie wydasz wyrok, jeśli nie pozostawisz w spokoju Kalinów i Szutowskich. Kalinowa dosyć już się naharowała na pańskim, już nie ważcie się pędzić jej do roboty. Za każdy dzień, kiedy ją pognasz na pańskie, złamię ci żebro, a jak nie starczy twoich żeber, dopełnię rachunku na hajdukach i twojej pani.

Do Ficka przystąpił również Kalina, który właśnie pożegnał się z matką. Chwycił go za ramię i tak nim potrząsnął, że hajduk, który trzymał go na rękach, aż się zachwiał.

— Słuchaj bacznie, jeśliś jeszcze nic ogłuchł: Jan Kalina, co stał się zbójnikiem, nakazuje pani, aby uwolniła jego siostrę, uprowadzoną przez jej zauszników. Jeśli w przeciągu trzech dni nie wróci do domu, dla zbójnika Kaliny będzie to znakiem, że nie żyje. A wtenczas biada czachtickiej pani!

Hajdacy z Fickiem oddalili się bez słowa i chwilę później zniknęli z oczu.

— Pójdźmy, chłopcy — zagrzemiał głos Drozda.

Kalina jeszcze raz pożegnał się z matką, po czym przystąpił do Mariszy. Jej rozpalona ręka zadrżała w jego dłoni. Uścisnął ją delikatnie:

— Ostań z Bogiem, Mariszka!

Z jej twarzy wyczytał bezgraniczną miłość i oddanie.

— Do zobaczenia! — wyszeptała i spuściła oczy, jakby paliło ją jego spojrzenie.

Jan Kalina przemógł swoje uczucia, puścił jej rękę i pewnym krokiem ruszył za odchodzącymi zbójnikami.

Barbaro, Barbaro!

Paweł Lederer odprowadził swojego nowego przyjaciela, Jana Kalinę, aż do Czachtic. Lecz nie zatrzymał się tam.

Rozstał się z przyjacielem obiecując, że wkrótce zjawi się w Czachticach. Odwiedzi tylko starych rodziców, którzy od chwili, kiedy ruszył w świat na wanderkę, nie mieli o nim wieści, i rozejrzy się za jakąś robotą. Od matki Kaliny dowie się, co się z nim dzieje i gdzie przebywa. Jeśli Kalina zechce, połączy swój żywot z jego życiem. Lecz gdy składał tę obietnicę, zbudziły się w nim wątpliwości. A jeśli połączy życie z życiem swojej wybranki — cnej panny Barbary Repaszówny, córki mistrza, u którego się wyuczył? Mógłbyż wtenczas składać ofiary przyjaźni i wystawiać na niebezpieczeństwo żywot, który już nie należałby do niego?

W ciemny wieczór, z sercem przepelnionym tęsknotą, śpieszył ku Nowemu Miastu, Mimo że cała kraina tonęła w gęstej mgle, rozeznawał tu każde drzewo, każdy zagajnik. A Skalny Wierch, gdy go mijał, jakby witając starego znajomego rozjaśnił zachmurzone oblicze. Serce jeźdźca zabiło gwałtowniej pod wpływem wspomnień: tutaj przechadzał się co niedziela ze swoimi przyjaciółmi czeladnikami po całotygodniowej pracy wolny jak ptak. I nie tylko z nimi, często także z nią. Jakby poczuł w powietrzu woń fiołków, polnych różyczek i czeremchy, które dla niej zrywał.

Ani się spostrzegł, jak z ciemności wynurzyło się przed nim Nowe Miasto.

Przy rogatkach zatrzymał go nocny strażnik. O tak późnej porze każdy obcy musiał wykazać się jakimś dokumentem. Po okolicy wałęsa się wielu podejrzanych ludzi, miasto zaś musi strzec bezpieczeństwa i majątku swych obywateli- Paweł Lederer okazał swoje świadectwo wyucze-

nia. Strażnik przyjrzał mu się w świetle padającym z okna rogatek.

— A toć was poznaję — rzekł przyjaźnie czeladnikowa-
liście u mistrza Repasza, prawda?

— Tak, u wielmożnego mistrza Repasza, którego go-
ścinnie dom, jak ufam, serdecznie mnie powita po tak dłu-
gim czasie.

— Jakże to? Czyż nic wiecie, że mistrzowi się zmarło,
a w jego domu sprawuje rządy nowy pan?

Duszę Pawła Lederera omroczyły złe przeczucia. Mnó-
stwo pytań cisnęło mu się na język, lecz nie odważył się
wysłowić żadnego z nich.

— Tak, tak, będzie już półtora roku, jak mistrz Repasz
przeniósł się na tamten świat — opowiadał rozmowny
strażnik. — Raziła go apopleksja. Na zebraniu nowomiejs-
kiego cechu kowali i zameczników, akurat kiedy piętno-
wał nieprawości panoszące się już nawet w familiach
członków cecha, które zawdy były twierdzami cnót. Padł
jak podcięty i już nie zdołano wskrzesić go do życia. Po-
grzeb miał wielce uroczysty. W ostatniej drodze towarzy-
szyły mu wszystkie cechy z chorągwiami i całe miasto...

— A kto został panem w jego domu? — przerwał tę
opowieść, która zdała mu się nieznośnie rozwlekła.

— Kto? Przecie Marcin Szuba.

— A na jakiej podstawie?

Domyślał się. Czyżby jednak było to możliwe?

— Ano, jak to bywa: gdy rok żałoby upłynął, pojął za
żonę jego córkę.

— Barbarę?

— A juści, Barbarę.

A więc Barbara, jego Barbara poszła za męż...

Pomknął jak strzała, zostawiając zdumionego strażnika,
i długie godziny przemierzał bez celu miasto i okolice.

Dopiero późną nocą zatrzymał się na czworokątnym

rynku przed zajazdem, którego wiechą wiatr szarpał zajadłe. Namacał w ciemności kołatkę i zastukał lak gwałtownie, jakby od szybkiego otwarcia bramy zależało jego życie.

Długo siedział w izbie zajazdu wpatrzony w płomyk spalającej się świecy. Serce ścisnęło mu się z bólu i żalu.

Jakie to niepojęte. Tak tęsknił przez te dwa lata w dalekich krajach za chwilą, kiedy ją obejmie, wyczuje i poprowadzi do ołtarza! Jakże pięknym zdało mu się życie u jej boku, ile czuł w sobie siły i odwagi, gotów był zakasać rękawy i stawić największym przeciwnościom! A ona tymczasem za pomniała o nim i o swoim ślubowaniu, że będzie na niego czekać choćby wrócił za sto lat. Zapomniała o wszystkim, została żoną innego i gdy on tęsknił za nią całym żarem młodego serca, ona innego obejmowała i całowała, innemu przysięgała wierność.

Długo przewracał się na posłaniu nie mogąc usnąć i szeroko otwartymi oczami patrzył w ciemność Marcin Szuba... Kto by pomyślał, że ten właśnie człowiek stanie się jego zwycięskim współzawodnikiem w miłości? Toć dobrze go zna. Wyzwolił się ledwo parę lat przed nim. Nigdy nie był mu miły i w ogóle nikt go nie lubił. Był swarliwy, pił, z każdym rwał się do bitki. Cechmistrz Repasz nieraz w surowych słowach upominał go, aby postępował i żył, jak na uczciwego majstra przystoi. A kilkakroć groził mu nawet wykluczeniem z cechu. W grobie by się obrócił, gdyby wiedział, iż ten oto człowiek został mężem jego córki Barbary i panem jego warsztatu.

Do izby zajazdu wkradał się już świt, kiedy śmiertelnie znużonego Pawła Lederem głęboki sen na krótko wyzwolił z męki rozmyślań.

2. Zbójnik w zamku

Na deresz

Pani na Czachticach, jak to było od niepamiętnych czasów w zwyczaju u Batorych i Nádsadych, wstawiała o świcie. Wydawcy polecenia służbie, kazała siodłać swego ulubionego konia Wichra i udawała się na krótszą lub dłuższą przejażdżkę po okolicy każdego ranka odwiedzała swoje folwarki wokół Czachtic, a wszędzie witała ją wyteżona praca.

Po owej burzliwej nocy, kiedy to Jan Kalina powrócił z Niemiec i został zbójnikiem. Czachticka pani, pogłaskawszy i poklepawszy miłego Wichra, już miała go dosiąść, gdy wtem dostrzegła w kącie podwórca jednego z hajduków. Przywiodło jej to ma myśl Ilonę Harcajównę Ficka, którego posłała w pogoń za nią, i powrót Kaliny. Zdjęta ciekawością, co się stało, zawołała hajduka. Zbliżył się blady, na trzęsących się nogach. Na pytania pani ledwo był zdolny odpowiadać, wyjąkał wszakże relację z nocnych wydarzeń.

W pierwszym wybuchu gniewu rozkazała, aby hajduka natychmiast wzięto na deresz. Po nim przyszła kolej na pozostałych. Sama zaś zasiadła w miękkim fotelu, który zawsze kazała stawiać obok deresza, niby na stolcu sędziowskim.

— Tchórze! — krzyczała kipiąc gniewem. A chociaż świst uderzeń koł jej gniew, chwilami rozjuszona zrywała się z fotela, chwytając grubą kij leszczynowy i smagała rozciągniętych na dereszach hajduków gdzie popadło.

Gdy się zadyszała, odrzuciła kij i rozkazała odwiązać hajduka.

Zbity straszliwie hajduk dowlóknął się do swoich kamratów.

— Nędznicy! — krzyczała na nich. — Już ja wam przetrzępię skórę, której tak szciedzicie.

Hajducy dygotali ze strachu, czy nie zabrzmi rozkaz, aby znowu kładli się na dereszach.

— A gdzie jest Ficko? — zawołała nagle pani, wzburzona nieobecnością wiernego sługi.

Opodal hajduków stały trzy stare służebne, Anna Darabulowa, Ilona Jó i Dora Senteszowa. One to przyniosły pani fotel i czekały na dalsze rozkazy.

Anna nie wiedziała, co odpowiedzieć na pytanie pani, przeto zmilczała. Była to niewiasta już w podeszłym wieku, ale czerstwa i żwawa, jakby każdym mchem chciała dowieść, iż rzadkie siwe włosy, zwinięte na ciemieniu głowy w nieforemny kok, wodniste, pozbawione blasku oczy, pobrużdżone zmarszczkami oblicze, bezzębne usta i wysoka, koścista postać są jeno kłamliwymi oznakami starości, zaś naprawdę w jej zwiędłym ciele burzy się młodzieńczy temperament.

Obok niej stała Ilona Jó, kobieta również wysoka i chuda, wszakże nietrzymająca się prosto jak Anna Darabulowa, lecz zgarbiona pod brzemieniem lat. Z jawną rozkoszą patrzyła na skatowanych hajduków, rosnących chłopców drżących ze strachu, czy wymierzona im kara nie była jeno zadatkiem. Uśmiech złośliwej radości jeszcze bardziej pogłębił zmarszczki wokół jej szerokich ust, a jedyny ząb, sterzący do przodu niby kieł, unosił górną wargę. Nikt by nie

dał wiary, że ta pomarszczona starucha własną piersią wykarmiła wszystkie dzieci grafki: Annę, Urszulę, Katarzynę i Pawła.

Dora Senteszowa, odznaczająca się potężną męską postacią i takimż głosem, w porównaniu z nimi była istnym olbrzymem.

Przed Anną, Iloną i Dorą, które pochodziły skądś z Dolnej Krainy, trząśł się cały zamek i wszyscy poddani, były one bowiem najbardziej zaufanymi służkami i doradczyniami grafki, która we wszystkim kierowała się ich radą. Anna i Ilona prześcigały się w zabieganiu o względy u pani. Pierwszeństwo zawsze zdobywała Anna, niewiasta popędliwego, mściwego, wścibskiego i swarliwego charakteru. Ilona zresztą odznaczała się tymiż cechami. Dora Senteszowa na te ich przegony o łaski pani spozierała z jakąś męską pogardą.

Również czwarta stara służebna, zajmująca się praniem i najpodrzedniejszymi robotami domowymi, Katarzyna Benecka z Czachtic, którą na praczkę do zamku zarekomendowała matka sarwarskiego predykanta, nie brała udziału w tych przegonach. Była to niewiasta drobnej postaci o starej, promieniejącej dobrocią twarzy, sumienna, pracowita, dobroduszna, uległa, a przeto słuchała i Anny, i Ilony Jó i Dory Senteszowej, jakby były jej paniami. Robiła wszystko, co jej poleciły. A zyskiwała za to jedynie ich wzgardę. Miał ją za nic i poza wydawaniem rozkazów nie zamieniały z nią prawie słowa.

Temu, co działo się na dworze, Katarzyna Benecka przypatrywała się z daleka, z drzwi pralni, jakby nie miała śmiałości zbliżyć się do pani.

Elżbieta Batorówna, gdy nikt jej nie odpowiedział, jeszcze gniewniej spytała, gdzie jest Ficko. Wtenczas jeden z hajduków zebrał się na odwagę i powiadomił panią, że Ficko leży. Jest tak poturbowany, iż nie zdołał wstać.

— Zaraz go tu przyprowadźcie! — rozkazała.

Anna i Ilona, zawsze gotowe na każde pani skinienie ruszyły co tchu po Ficka. Na środku podwórca Ilona przystała rozgoryczona. Anna znów ją wyprzedziła. Pobiegnęła rączo jak młoda dziewczyna i już otwierała drzwi czeladni.

Ficko leżał jak martwy.

— Wstawaj, pani cię wzywa! — krzyknęła nagląco, aby jak najszybciej spełnić rozkaz.

Ficko wzdrygnął się i z ogromnym wysiłkiem usiadł. Potem zwłókł się z posłania. Widać było po jego twarzy, jaki ból sprawia mu każdy ruch. Najchętniej pozostałby w łóżku, by nie pokazywać się pani w takim opłakanym stanie. Lecz wiedział, że jeśli nie przyjdzie sam, pani każe przynieść go na noszach, a to byłaby jeszcze większa sromota.

Ruszył do drzwi. Anna widząc, z jakim trudem kroczy chwyciła go za ramię, aby go podeprzeć. On wszakże spojrział na nią koso i odtrącił od siebie.

— Patrzcie go! — warknęła rozzłoszczona. — Człowiek chce mu pomóc, a on tak się odpłaca!

Zataczając się jak pijany, z ledwością dowlókł się przed oblicze pani, którą już ogarniał gniew, że musi czekać na służbę. Kiedy go jednak ujrzała, gniew rozplynał się i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Tak ucieszmy widok przedstawiał nieszczęsny Ficko. Stał przed nią gorzejac ze wstydu, jeszcze bardziej zgarbaciła, ze spuszczoną głową. Jego zbita, opuchnięta twarz była jeszcze szkaradniejsza, a po obu stronach ich czoła ze skudlonych, pozlepianych rudych włosów wystawały dwa wielkie guzy.

— Cha, cha, cha! — zaśmiewała się pani. — Trafiała kosa na kamień. Koniec twojej sławie niepokonanego siłacza. A widzi mi się, że i rogi ci wyrastają, diabli pomociu!

Ficko stał przed nią niby ucieleśnienie wstydu i pokory, Hajducy patrzyli nań z satysfakcją. Widząc go w takim poniżeniu zapomnieli o własnych ranach i wspominali zbójników z pewną wdzięcznością.

Lecz ich nadzieja, że ujrzą swego dręczyciela na dreszu, nie spełniła się.

— Ficko — rzekła pani, kiedy naśmiała się do syta — mimo wszystko bohatersko się sprawiłeś i zasłużyłeś sobie na uznanie. Nie zawiodłam się na tobie. Nie szczędziłeś dla mnie skóry. Połóż się i leż, pokąd nie wydobrzejesz. Aby zaś nastąpiło to jak najrychlej — ciągnęła zwracając się do Anny — dziś jeszcze sprowadź Majorową.

Majorowa była słynną zielarką i znachorką, znaną ze swej sztuki nie tylko w całej okolicy Myjavy, lecz i w odleglejszych krainach. Ilekroć czachticką panią chwyciła jakaś słabość, kazała ją wzywać. Ścisłe stosowała się do jej rad i hojnie ją wynagradzała.

Majorowa we wszystkich budziła wielki mir i strach. Lud wierzył, iż zaprzedała się diabłu, który w zamian za duszę dał jej zdolność przeniknięcia tajemnic ziół, poznania ich leczniczej mocy oraz sztukę zażegnania chorób i zamawiania nieszczęść. Wszyscy schodzili jej z drogi. Podczas prądek i darcia pierza snuto o niej straszliwe opowieści, lecz gdy kogoś dotknęła duchowa albo cielesna udręka, do niej się zwracał. Nie tylko lud, ale i mieszkańcy kaszteli i zamków. Szlachetnie urodzone panie z całej okolicy kapały się w wonnych wywarach z jej ziół.

Była to wielka cześć i wyróżnienie dla Ficka, iż pani kazała wezwać do niego Majorową. Przepelniła go bezgraniczna wdzięczność. W jednej chwili jakby zaczął wracać do sił. Wyprostował się, uniósł głowę i patrzył na panią z oddaniem.

A i język mu się rozwiązał. Opisał wszystkie nocne wydarzenia. O pastorze Ponicensie, o zbiegłym Kalinie i o zbójniku Droździe mówił zionąc wściekłością. Wszelako wskazanie Drozda i Kaliny przemilczał tak sarno jak hajduk.

Wysokie czoło grafki znowu się zmarszczyło.

— Ficko, jak najrychlej staw się u mnie po rozkazy, co przedsięwziąć przeciw tej zbójnickiej bandzie i jej najnowszemu członkowi.

Odwiedziny zbójnika

Pani raz jeszcze obrzuciła hajduków złowróbnym spojzeniem, wstała majestatycznie z fotela i rozkazała koniuchowi przyprowadzić Wichra, gdy zdumiał ją wyraz osłupienia na twarzy Ficka, wpatrzonego w wielką bramę zamkową. Wtem z jego ust wyrwał się okrzyk:

— Andrzej Drozd!

Wszystkie oczy przyłgnęły do okutej żelazem bramy.

W rzeczy samej, szedł tam Andrzej Drozd, ciężkim, dudniącym, pewnym siebie krokiem.

W pierwszej chwili z trudem go poznali. Odziany był odświętnie niczym jakiś szlachcic wybierający się w odwiedziny. Krawiec nie szył chyba tych szat dla niego. Z kogoś wszakże mógłby je ściągnąć, któryż szlachcic dorównałby mu posturą? Jakaś szczególna godność znamionowała jego postać i rażny krok.

Zmierzał wprost do czachtickiej pani, która tak samo jak wszyscy pozostali oniemiała ze zdumienia

Cóż to za zuchwalstwo i bezczelność? Herszt zbójnickiej bandy ośmiela się wkroczyć na dziedziniec zamku!

Pierwszy oprzytomniał Ficko. Byłby się rzucił na Drozda, ale kiedy się sprężył do skoku, w krzyżu łupnęło go straszliwie. Ach, gdyby był teraz w pełni sił i tu. W obliczu pani, mógł się pomścić za nocną porażkę! Wrzasnął na hajduków, aby pojмали zbójnika.

Hajduków otrzymane cięgi tak pozbawiły sił, iż ledwo stali na nogach. Usłuchali jednak rozkazu.

Andrzej Drozd był już o parę kroków od grafki.

— Stójcie! — jego gromki głos osadził hajduków w miejscu. — Toć wiecie, że choćby was było dwakroć tyle, nie dalibyście mi rady, nawet wspomagani przez Ficka.

Hajducy zatrzymali się, a i Ficka skonfundowało zu-chwalstwo zbójnika, który śmiało stanął przed Elżbietą Batorówną, śmiało na nią spojrzął i ceremonialnie zdjął kape-lusz na powitanie.

— Miłościwa pani — ozwał się — powstrzymaj swoje sługi i oszczędź ich. Twój wierny sługa Ficko już się prze-konał, że nie lubię żartować.

Spojrziała na Andrzeja Drozda oszołomiona. Jej gniew ustąpił zdumieniu. Przecie nie tak dawno jeszcze Andrzej Drozd był posłusznym poddanym, który bez szemrania pra-cował od rana do zmroku, Nawet na dereszku kładł się po-tulnie i bez sprzeciwu znosił bicie. Skądże ta zmiana? Stoi tu przed nią dumnie wyprostowany jak przed równą sobie, potężny pewien, że włos mu z głowy nie spadnie. I uśmie-cha się jak człowiek wyższy ponad cały świat. A ten szla-checki strój całkiem doń pasuje. Jakby rzeczywiście był na niego skrojony.

Ficka i hajduków nie trzeba było powstrzymywać. Stali niepewni, co począć, i czekali na rozkaz pani. Ona wszakże jakby zapomniała o ich obecności. Spytała Andrzeja Droz-da zaciekawiona:

— Co cię sprowadza? Czego chcesz?

— Przychodzę z poselstwem od Jana Kaliny.

Nie spostrzegł, jak złowrogo zachmurzyła się jej twarz na dźwięk tego imienia. Sięgnął w zanadrze i wydobył list. Podał go grafce.

Elżbieta Batorówna w pierwszym odruchu chciała go podrzeć nie czytając, lecz ciekawość była silniejsza od gniewu. Jęła czytać:

Jaśnie Oświecona Pani!

Tym oto tytułem zwracam się do was, aczkolwiek tytułu onego, należnego szlachetnie wodzonym i cnym paniom staliście się niegodna już dawno, od śmierci swego świętej pamięci małżonka grafa Franciszka Nádsadyego, mojego dobrodzieja i opiekuna, który nigdy nie zapomniał, iż ojciec mój, dobry, wierny sługa, salwując mu życie w boju z Turkami, pozostawił na pobojuwisku swą prawicę. Jak niegodną towarzyszką życia grafa Franciszka Nádsadyego byliście, dowiedliście, ledwo na zawsze zamknął swe dobrotliwe oczy. Odlewaliście mnie od źródła wiedzy i nauki, aczkolwiek małżonkowi swemu, gdy leżał na śmiertelnym łożu, ślubowaliście, iż zgodnie z jego życzeniem pozwolicie mi studiować, pokąd jeno głód wiedzy, wzbudzony przezeń, mnie nie opuści. Aliści ledwo nad trumną mego dostojnego opiekuna przebrzmiały żałobne pienia, już wasz poseł wyruszył po mnie co koń wyskoczy, abym nie zwlekając do domu powrócił i służbą w stajniach objął.

Wszelako nie tak moja własna krzywda, co krzywda moich najbliższych i całego waszego poddańczego ludu skłania mnie do kroku tego.

Jaśnie oświecona pani, wydaję wam walkę! A choćbym i życie w niej postradał, przysięgam, iż dołożę starań, aby wieść o krzywdach i złoczynstwach przez was popełnionych przeniknęła do najwyższej postawionych osób w naszej krainie i aby dosięgła was karząca sprawiedliwość, w której istnienie nie wątpię. Jesteśmy nierównymi przeciwnikami. Wy — grafka szczyłająca się tytułami, wpływowymi koneksjami, jedna z największych pań na Węgrzech, ja zaś poddany, bieżeniec rebeliant i zbójnik. Wszelako prawda jest po mojej stronie, prawda nie da mi zginąć przedwcześnie, prawda musi zwyciężyć!

Otwarcie wypowiadam wam walkę. Wiedźcie, iż od dnia

dzisiejszego każdy wasz czyn bacznie jest obserwowany przez śmiałków, co jako jedyny cel życia wytyczyli sobie odślonięcie rąbka tajemnicy, którą zakrywacie swoje zło-czynstwa, ujawnienie całemu światu, ile zwyrodnialstwa kryje się za waszą niewinną powierzchownością, oraz po-stawienie was przed obliczem sprawiedliwości.

Nadto ostrzegam was, jaśnie oświecona pani! Magdusię siostrę moją uprowadzoną, bezzwłocznie uwolnijcie, aby jak najrychlej mogła powrócić do strapionej matki. I po-wiadamiam was, iż jeśli matce mojej i jej sąsiadom Szutow-skim krzywdę uczynicie, dosięgnie was najsroźsza pomsta

Do zobaczeniu, jaśnie oświecona pani przed obliczem sprawiedliwie was sądzącego trybunału!

Jan Kalina

Twarz grafki podczas czytania jęła płonąć, krew w niej zawrzała. Skoczyła jakby ukąszona przez żmiję.

W pierwszym wybuchu gniewu podarła pismo na drobne kawałki. Wiatr poniósł je niby uwiedle liście

Na hajduków i służebne padł blady strach. Znali ją, i wiedzieli, że kiedy jest tak wzburzona, biada każdemu.

Tylko Andrzej Drozd stał nieustraszenie, pewny siebie. Na obliczu igrał mu lekki uśmiech.

Gdy czachticka pani spojrzała na niego, mało jej się, żółć nie uląła. Zdało się, iż rzuci się nań i rozszarpie jak lwica, lecz nie uczyniła tego, jeno chrapliwym, jakby mę-skim głosem krzyknęła do Ficka i do hajduków:

— Nuże, bierzcie go! Co stoicie jak słupy? Boicie się tego nędznego zbójnika, rebelianta? A może byście chcieli, abym pana zbójnika ugościła śniadaniem? Bierzcie go i zwiążcie!

Że zaś sama zwątpiła, czy im się to uda, spojrzała rozka-zująco na Annę i Ilonę:

— Biegnijcie na wieżę i bijcie w dzwony na larum!

Ficko i pobudzeni jego okrzykami hajducy rzucili się do Drozda, aby go otoczyć.

— Stójcie! — zawołał Drozd. — Który mnie dotknie, postrada życie! Miłościwa pani — ciągnął z groźną twarzą, — ja przyszedłem z własnej woli, jako poseł. Posłów tak się nie traktuje!

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się pani z gniewem. Winnam była kazać cię powiesić na najbliższym drzewie, ledwoś się tu zjawił, a nie wdawać się z tobą w dyskursy. Zbójnik chce nas pouczać! Czekaj, już my cię pouczymy.

Na jej znak Ficko zebrał wszystkie siły i rzucił się na Drozda. Ten wszakże puścił w ruch swoją żelazną pięść Ficko odleciał jak piłka na odległość kilku metrów i padł na ziemię. Wrzeszczał z bólu i złości, gdyż nie był już zdolny podnieść się.

— Z własnej woli się wam poddam! Ubrudzilibyście mi szaty, podeptali karmazynowe ciżmy. Nawet się nie godzi w takim pańskim przyodziewku brać się tak po chłopsku za bary. Szabli, niestety, zapomniałem w domu. Pościłałbym wam łby jak makówki — szydził Drozd z hajduków, — Tak jest, z własnej woli się poddam, lecz najprzód, miłościwa pani, musicie mnie wysłuchać.

Hajducy z wyraźną ulgą znowu przystanęli, albowiem żaden z nich nie wierzył, by przemogli Drozda. Czachticka pani spojrzała nań zdumiona.

— Z własnej woli się poddam waszym hajdukom — mówił Drozd spokojnym głosem — lecz najprzód dobrze sobie rozważcie, co ma dla was większą cenę: ja czy wasze domy i folwarki w Czachticach i Myjavię,

Grafka nie od razu pojęła sens jego słów.

— Albowiem — ciągnął — jeśli do południa nie wrócę do swoich towarzyszy lub nie powiadomię ich, że nic mi się nie stało, wieczorem w waszych majątnościach zapieją czerwone kury, a niebo zakrwawi się od płomieni!

Hajduków przejęła groza na wyobrażenie płonących kaszteli, folwarków, spichlerzy i stogów. Lecz czachtickiej pani ten obraz nie przeraził, zaś gniew jakby ją opuścił.

Po obliczu przemknął jej zagadkowy uśmiech i powiedziała spokojnie:

— Ty masz dla mnie większą cenę niż wszystkie majątności Nádsadych i Batorych!

— Dotrzymam słowa! Poddaję się! Hajducy, zwiążcie mnie!

Patrzyli na Drozda z niedowierzaniem. Może to być, aby niezwyczęzony olbrzym z własnej woli dał się związać, nie stawiając najmniejszego oporu? Przecie czeka go szubienica!

— Tam oto macie powrozy, koło deresza! — pokazał hajdukom, Teraz dopiero uwierzyli, iż naprawdę się poddaje.

Chwilę później leżał na ziemi skrępowany. Hajducy w obawie, że jeno stroi sobie z nich żarty, by nagle wstać i wziąć się z nimi za bary, tak się przyłożyli do roboty, aż się zasapali.

Grafka zaś rzekła szyderczo:

— Siły dał ci Bóg w nadmiarze, lecz rozumu ani za grosz. Łacno cię dostaliśmy, cha, cha, cha! Wszelako nic bój się na szubienicy nie zawiśniesz, albowiem jeśli twoi kamraci podpałą wieczorem któryś mój folwark albo stóg, każę cię żywcem upiec. A wraz z tobą starą Kalinową i Mariszę Szutowską. Gdybyś jednak ich pożałował, a sam wolał rozłączyć się ze światem na szubienicy, nie zaś w płomieniach, świadom swoich kamratów; aby pogodzili się z tym, że już do nich nie wrócisz.

— Ten się śmieje, kto się śmieje ostami — odparł Drozd niezmaconym spokojem. — Starczy, bym raz szarpnęła, będę wolny, dla mnie to nici, nie powrozy.

— Przechwałki! — zawołała grafka ze śmiechem.

Hajdacy nie roześmieli się, wiele bowiem słyszeli o niezwykłej sile Drozda i wierzyli, iż mógłby się uwolnić.

— Po prawdzie bierze mnie chętka, aby się uwolnić, skoroście mnie okłamali i jeszcze obiecujecie mi szubienicę albo upieczenie żywcem. Rozkażcie hajdukom, aby przynieśli kamień młyński i przywalili mnie nim, gdyż mogę wam ulecieć jak ptak.

Hajdacy nawet nie czekali rozkazu, na złamanie karku pognali do młyna.

Ledwo odbiegli, śmiech grafki stał się jakiś wymuszony niepewny. Z napięciem wpatrywała się w Drozda, który jął się wiercić, chwilę później usiadł i uśmiechając się oznajmił:

— Wnet, wnet będę gotów!...

Z ust grafki wydarł się okrzyk zdumienia, Drozd uwolnił się z pęt i stanął przed nią z groźną twarzą.

— Widzicie, ja się śmieję ostatni. Znam was i całe pańskie plemię, przeto wiem, czego można się po was spodziewać. Wiedziałem, że wybierając się do zamku, igram życiem, wszelako jak widzicie, jestem panem nie tylko swojego, lecz i waszego żywota. Patrzajcie, tymi oto dłońmi mógłbym was zgnieść na miazgę...

I wyciągnął do grafki dłoń. Wrzasnęła przerażona, jakby już czuła ich miazdzący uścisk.

Wtem w porannej ciszy zabrzmiały dzwony na larum, z wyższej wieży po zachodniej stronie kościoła i z niższej nad prezbiterium płynęły nad Czachtice budzące trwogę dźwięki. Anna i Ilona dzwoniły, jakby pół miasta stało w płomieniach.

Ludzie wybiegali na ulice i przestraszeni rozpytywali co się stało.

Czachtickiej pani bicie dzwonów zdało się słodką muzyką, strach ją opuścił.

Kiedy hajducy którzy akurat wracali, ujrzeli uwolnionego z pęt Drozda, stanęli jak wryci, ze zdumienia upuszczając kamień młyński, i staliby tak do wieczora, gdyby im pani nie rozkazała pojmać Drozda.

Drozda bicie dzwonów nie stropiło. Przyskoczył do pobliskiego wozu, błyskawicznie wyrwał dyszel i trzymając go oburącz, spokojnym wzrokiem mierzył zbliżających się hajduków i sługi.

— Który zamierza mnie tknąć, niech najprzód zamówi sobie trumnę u stolarza! — krzyknął do atakujących.

Hajducy, poddani, słudzy i chłopci, którzy przybiegli z ulicy, stali nie ośmielając się przekroczyć kręgu opisywanego przez dyszel w rękach Drozda.

Wtem Drozd za plecami otaczających go ludzi spostrzegł znanego sobie konia. Był to Wicher, ulubiony koń czachtickiej pani, która osobiście po kilkakroć w ciągu dnia doglądała, czy niczego mu nie brakuje. Służba za nic nie dostawała tyle kijów, co z jego przyczyny. Zawsze przytrafiło się coś, co wzbudziło pani niezadowolenie. Ten koń, czarny jak noc, o sierści lśniącej i jedwabistej, był przedmiotem jej dumy. Głaskała go z niezwykłą tkliwością, zagadywała doń pieścizotliwie, a gdy go dosiadła, z całej jej postaci biła jakaś szczególna rozkosz. A Wicher, wdzięczne stworzenie, jak gdyby czytał jej w myślach, bez spinania ostrogami zawsze dostosował się do jej nastroju. To kroczył sprężysto, niby w takt muzyki, to znów pędził jak szalony z wiatrem w zawody. Nie tylko okoliczni, ale i z odleglejszych części kraju panowie zazdrościli jej tego konia. Kiedyś podczas wielkiego polowania graf Krzysztof Erdödy*, syn Tomasza Erdödyego*, pana na Dobrej Wodzie, tak był oczarowany Wichrem, iż nie dbał o cześć my-

**Krzysztof Erdödy (zm. 1620) — graf, syn bana chorwackiego Tomasza Erdödyego, pojął za żonę Barbarę Thurzo.

*Tomasz Erdödy (1558—1624) — graf, ban chorwacki, właściciel włości Dobra Woda i Smolenice.

śliwską nakazującą ustrzelić jak najwięcej zwierzyny. Przez dzień cały nie odrywał oczu od Wichra, zaś wieczorem, kiedy wesola społeczność zabawiała się na podwórku zamkowym, zawołał: „Całą wieś dam ci za Wichra, waszność pani!” A stary Erdödy go nie ofuknął, gdyż i on na równi z synem podziwiał Wichra. „Lopaszov, Lanczar, Dobra woda, Radoszovce, Osuskie, Hradiszcze, Górne Dąbie, Golec, Jasłowce, Paderowce, Katlovce i Sterusz, wszystko to nasze wsie. Którą z nich wraz z bydłem i poddanymi, ze wszystkim, co do niej przynależy, chcecie za Wichra?” — spytał z podnieceniem młody Erdödy. A czachticka pani odparła: „Choćbyście mi niejedną, lecz wszystkie wsie ofiarowali, nie oddam go. Za nic na świecie!”

Wicher już od wczesnego ranka stał przygotowany w stajni, a kiedy Elżbieta Batorówna kazała koniuchowi go przyprowadzić, jeno siodło trzeba było mu nałożyć. Lecz koniuch, przerażony rozgrywającymi się wydarzeniami, zapomniał o siodle. Andrzej Drozd z lubością przypatrywał się Wichrowi, który grzebał kopytami i rżał.

Gdy już nasycił wzrok urodą konia, obróci się do grafki:

— Z wielkimi honorami mnie przyjęliście, miłościwa pani: kazaliście bić w dzwony na moją cześć. Uznacie przede wszystkim po tak uroczystym wydzwanianiu nie mogę iść przez Czachtice pieszo jak zwyczajny śmiertelnik. Pożyczam sobie waszego konia!

I dzierżąc dyszel sztorcem, ruszył w stronę konia. Ciżba ckliwie rozstępowała się przed nim. Koniuch obok Wichra stał jak słup. Andrzej Drozd sprężyście wskoczył na konia, Wicher najprzód się opierał, otrząsał, jakby chciał zrzucić niezwykłego jeźdźcę, kiedy jednak poczuł, że jest w silnych rękach, pomknął przez dziedziniec jak strzała.

Nikt się nie ośmielił uniemożliwić ucieczki, jedynie Elżbieta Batorówna z przeraźliwym krzykiem pobiegła za swoim koniem, lecz daremnie. Andrzej Drozd gnał już uli-

ca.

Czachticka pani, złamana upokorzeniem doznanym od zbójnika i utratą konia, chwyciła się za serce zachwiała się upadła na ziemię. Zbiegły się służebne i ułożyły ją w fotelu.

Podczas gdy cucily ją zimnymi okładami, Andrzej Drozd oddalał się od zamku. Przed plebanią spostrzegł pastora, który wybiegł dowiedzieć się, dlaczego dzwonią na larum. Ujrawszy zbójnika na Wicherze, wszystko pojał i oblicze mu sposepniało. Drozd z szacunkiem zerwał przed nim kapelusz a pastor w milczeniu pochylił głowę.

Jan Ponicensus długo stał przed plebanią patrząc za zbójnikiem. Patrzyły tak za nim całe Czachtice, wszyscy bowiem wylegli przed domy. Ludzie przeczuwali, iż coś się kroi, skoro zbójnicy już nie zaszywają się w górach, opuszczają leśne kryjówki i ośmielają się wtargnąć aż do zamku.

Andrzeja Drozda wszyscy znali, wszystkim był bliski Teraz wszakże, gdy wśród bicia dzwonów ujrzeli go pędzącego na najmilszym koniu Elżbiety Batorówny, zdał im się jakiś obcy, daleki. Potężniał i rósł w ich oczach. Czuli, iż wzniósł się ponad nich, stał się panem, nawet na zamku boją Siego...

Chwilę później za Andrzejem Drozdem pognęła chmara ścigających.

Miłość przed niczym się nie cofnie

Paweł Lederer obudził się późnym rankiem z ciężką głową. Karczmarka teraz dopiero go poznała, kiedy przyniosła mu posiłek. W nocy przy świetle łożówki, gdy z trudem wyjąkał prośbę o nocleg, myślała, że jest cudzoziemcem.

— Przecie to ty, Pawle! — zawołała z radością, przyrzawszy mu się lepiej. Już jako terminator przypadł jej do

serca i nieraz doznawał od niej przejawów miłości, jaką bezdzietne kobiety darzą cudze dzieci.

Paweł Lederer przymusił się do uśmiechu, albowiem po tak ciężkim ciosie nawet to radosne spotkanie nie zdołało poruszyć jego serca.

— Wiesz już, co się stało? — spytała widząc, że wszelkie wysiłki rozweselenia go są daremne.

— Wiem — odparł głuchym głosem.

Karczmarka popatrzyła nań ze współczuciem, a po chwili milczenia rzekła:

— Już ją Bóg pokarał za niedochowanie wiary...

Zatrwożyły go te słowa, lecz pytań, które cisnęły mu się na język, nie wypowiedział. W milczeniu opuścił zajazd nawet do stajni nie zajrzał, by sprawdzić, czy pacholek oporządził i nakarmił konia. Błądził bez celu po mieście. Był dzień targowy, ulice roily się od obcych ludzi. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wprawdzie niektórzy przyglądali mu się ze zdziwieniem, jakby poznając, kiedy jednak napotkali jego obojętny, pusty wzrok szli dalej przeświadczeni, iż duli się zwieść podobieństwu.

Jedną tylko ulicę omijał. W końcu wszakże zboczył w nią — z ociąganiem, jakby wbrew woli, lecz popychany jakąś nieprzepartą siłą.

Oto ten dom. Tutaj przed laty ojciec przyprowadził go i powierzył mistrzowi Repaszowi, aby ten zrobił z niego człowieka. Tutaj uśmiechnęło się doń szczęście, tu w jego sercu zrodziła się odwzajemniona miłość i stąd poszedł w świat na wędrowkę czeladniczą, by wykazać swoje umiejętności i przysporzyć honoru swojemu rzemiosłu. A cóż to za dziwną okrągłą plama na murze przy bramie? To ślad po drewnianym zegarze cechowym, który ukazywał dzień i godzinę, kiedy mistrzowie mieli się zejść na naradę. Gdzież podział się zegar, czyj dom teraz ozdabia?

Okno jest otwarte, a w nim jak niegdyś zieleni się roz-

maryn. Ten sam, jeno bardziej rozkrzewiony i wyższy. A gdyby tak uszczknął na pamiątkę jedną gałązkę i zajrzał do izby frontowej, czy nic się tam nie zmieniło?

Zaledwie jednak zbliżył się do okna, drgnął jak złodziej schwytyany na gorącym uczynku

— Pawełku! — zabrzmiał z okna przenikliwy okrzyk i ukazała się w nim zdumiona twarz Barbary.

Chwilę stał jak przykuty do ziemi, potem zaś ogarnęło go przemożne pragnienie, by uciec stąd i nigdy więcej nie ujrzeć tej twarzy, nigdy nie usłyszeć tego głosu... Ale drzwi już się otwarły na oścież. Barbara wybiegła na ulicę, zawiśla mu na szyi, obejmowała go i całowała, i mówiła ze łzami:

— Pawełku najmilejszy, przecie żeś wrócił!...

Oszło mu to nieoczekiwane powitanie. Uczucie niewysłowionego szczęścia poraziło go jak błyskawica. On też ją objął i szczerze oddawał pocałunki. Lecz słodkie upojenie trwało jeno chwilę. Nieubłagana rzeczywistość zmroziła gwałtownie poryw uczuć.

— Wróciłem poniewczasie — westchnął ciężko i delikatnie, lecz stanowczo wysunął się z jej objęć. — Ostań z Bogiem! — rzekł ochryple i odwrócił się, by odejść.

Lecz Barbara chwyciła go za rękę. Pociągnęła go na podwórko, stamtąd zaś do domu, do izby. Opierał się, lecz daremnie.

Byli w domu sami.

Bez słowa patrzył przed siebie. Ból ścisnął mu gardło, łzy napływały do oczu. Chciał zasypać niewierną lawiną wyrzutów, które nagromadziły mu się w duszy podczas bezsennej nocy — wszelako w jej smutnym obliczu, zapłakanych oczach i drżącym głosem tyle było rozpaczy, iż słowa wyrzutów przemieniły się w słowa pociechy.

— Mniemałem, iż jesteś szczęśliwsza ode mnie,

— Nie jestem i nie byłam szczęśliwa! Lecz będę, skoro

ty wróciłeś. Miłuję cię i ty musisz mnie miłować!

— Innemu ślubowałeś miłość i wierność.

— Fałszywie ślubowałam, albowiem ciebie jeno miłuję.

— Czemużeś więc poszła za Marcina Szubę?

Padła przed nim na kolana, objęła go drżącymi ramionami i płacząc mówiła:

— Nie znasz go, nie wiesz, jaki to zły i nikczemny człek. Ledwo odszedłeś, jał się do mnie zalecać, chciał mnie pozyskać pięknymi słówkami i obietnicami. Potem groził. Że podpali dom, mnie zaś nastęrczy na służbę do czachtickiej pani. Nic ulękałam się jego gróźb. Na jakiś czas zostawił mnie w spokoju, aż pewnego dnia przyszedł i pokazał mi ostry sztylet: „Przypatrz się dobrze, jak błyszczący. Ale wiedz, iż wiecznie tak błyszczeć nie będzie. Jeśli nie pójdziesz za mnie, gdy Paweł wróci, ten sztylet spłynie jego krwią!...” Więc poszłam za niego. On by cię zdradnie zamordował!... Wszelako teraz, kiedy wróciłeś, twoja jestem!

— Miłość przyniesie ci jeno udrękę. Męża nie śmiesz i nie możesz opuścić.

— Opuścę go! — zawołała z determinacją. — Pójdę z tobą na kraj świata. Nie myślę ginać z tęsknoty za tobą przy mężu, którego nienawidzę. Chodź, chodź, pójdę z tobą, dokądkolwiek mnie powiesz. Z tobą wszędzie będę kontenta i szczęśliwa.

— Nie! — zawołał Paweł stanowczo. Surowe wychowanie i zasady wszczepione mu przez mistrza zwyciężyły. — Nie, nigdy nie będę pożądał żony bliźniego swego ani żadnej rzeczy, która jego jest. Dla mnie umarłaś, a ty też musisz zapomnieć... Nasze drogi rozchodzą się na zawsze...

Wyrwał się z jej kurczonego uścisku i ruszył do drzwi...

— Pawle, nic opuszczaj mnie! Żywot bez ciebie nie ma dla mnie wartości. Dniem i nocą myślałam o tobie, czeka-

łam na ciebie jak na wybawienie z mąk i cierpień. Aż w końcu wróciłeś, słońce dla mnie zaświeciło. Nie, nie możesz odejść! Jeśli ci wadzi, że jestem żoną innego, zaczekaj jedną noc, a będę wdową...

Paweł Lederer zatrzymał się w progu jak uderzony białym. Barbara była całkiem przemieniona. Łzy znikły, łagodna twarz stwardniała, odzwierciedlała się w niebezwzględność kobiety zdecydowanej walczyć o swoje szczęście wszelkimi środkami,

— Barbaro, ty byś go...

— Tak, ja bym go...

Otrząsnąwszy się z osłupienia rzekł twardym głosem:

— Córce czcigodnego mistrza Repasza nie przystoi nawet w myślach splamić rąk krwią bliźniego. Barbaro, diabeł cię kusi i sący jad w duszę. Musimy się rozstać: innego wyjścia nie ma. Cierp, jak i ja cierpię i będę cierpieć, lecz ze wzniesioną głową i czystym sercem. Odchodzę od ciebie nie z gniewem, lecz przejęty żalostí i nieszczęśliwy, że i ty nie znalazłaś szczęścia...

— Pawle! — zawołała błagalnie. — Idę z tobą!

Ale już zamknęły się za nim drzwi; śpiesznym krokiem oddalał się wąską uliczką.

Gdy wdowa po mistrzu Repaszu wróciła z targu, zastała córkę we łzach. Po długim wypytywaniu Barbara powiedziała matce:

— On wrócił i znowu odszedł...

A po chwili milczenia zawołała z determinacją:

— Wszelako ja się go nie wyrzeknę...

Spotkanie na skraju lasu

Daleko za Czachticami, kiedy pędzący cwałem Wicher

pokrył się pianą ze zmęczenia, a spoza drzew widać już było wieże Wierzbowskiego kościoła, Andrzej Drozd zwolnił i obejrzał się za siebie. Wokół nie było żywego ducha — tylko tu i ówdzie widniała postać samotnego oracza, który wszakże nie dbał o nic poza swoją robotą. Pogoń straciła jego ślad albowiem wnet za Czachticami zбочzył z traktu i puścił się przez pola, łąki i pastwiska, a chociaż jechał w kierunku Nowego Miasta, okrężną drogą dostał się na przeciwną stronę. Hajducy widzieli go pędzącego na przełaj przez pole, nie mieli wszakże ochoty spotkać się z nim.

Koń przeszedł w stępa, a Drozd otarł spocone czoło. Uśmiechnął się na myśl, jak towarzysze wybałuszą oczy, gdy zjawi się na słynnym koniu czachtickiej pani i opowie im, co przeżył. Z uciechy aż zaczął pogwizdywać. Raptem jednak przestał.

Zza zakrętu leśnej ścieżki niespodzianie wyłoniła się dziewczyna na konia.

Zatrzymał się, dziewczyna również się zatrzymała. Oboje byli zaskoczeni spotkaniem w tym pustkowiu.

Andrzej Drozd opamiętał się wszakże i spiął konia.

Dziewczyna stała nadal i z zadziwieniem przypatrywała się nieznanemu jeźdźcowi na znanym sobie koniu.

Wichra bowiem poznała od pierwszego rzutu oka.

Drozd przypomniał sobie, iż widywał w Czachticach tę smukłą, zgrabną dziewczynę w wierzbowskim stroju ludowym i karmazynowych ciżemkach. Wiedział nawet, jak się nazywa, lecz że nic dbał o niewiasty, wyleciało mu to z pamięci.

Zatrzymał go podrażniony głos:

— Dzień dobry, panie szlacheciu!

Andrzej Drozd spojrzął przez ramię na dziewczynę, która obróciła swojego konia i patrzyła na niego z obliczem

zarumienionym z gniewu. W pierwszej chwili nie umiał sobie wyjaśnić jego przyczyny, wnet jednak pojął.

— Tak poczyna sobie jeździec, kiedy spotyka na odludnej drodze samotną damę? Ani kapelusza nie zdejmie, ani nie pozdrowi uprzejmymi słowem? — zawołała dziewczyna i szarpnęła nogą w strzemieniu. Gdyby stała na ziemi, byłoby to rozszoszczone tupnięcie.

Wyraz zdumienia zniknął mu z oblicza, roześmiał się dźwięcznie, z całego serca.

— Patrzajcie no! Ledwo od ziemi odrosła, a robi z siebie damę! U nas takie damy jeszcze się w piasku bawią i trzymają się maminej spódnicy, nie zaś żeby dosiadały konia i wypuszczały się same do lasu.

Jego śmiech i słowa uraziły dziewczynę do żywego. Lica spąsowiały jej jak piwonie i wybuchnęła:

— Nieokrzesaniec, grubianin!

Lecz jego nie opuścił dobry humor. Dziewczątka nadzwyczaj mu się podobało. Ile wigoru jest w tym wątłym stworzeniu, jak się potrafi rozognić i rozsierdzić, oho, jej oczy zaiskrzyły się gniewem. A na koniu siedzi jak przyrośnięta.

Podjechał do niej. Stał tuż przy jej koniu.

— Cichaj, malutka, bo wujek się rozgniewa! — pogroził jej żartobliwie palcem.

Zachowanie jeźdźca wzburzyło krew w hardej amazonce. Och, rzuciłaby się na niego jak dzika kotka, wczepiła mu palce w czuprynę i różowymi paznokietkami podrapała to okrągłe jak księżyc w pełni oblicze i te kpiące oczy.

Lecz dała upust wściekłości słowami:

— Gdyby twoja powierzchowność nie zdradzała szlachcica i gdybyś nie siedział na ulubionym koniu czachtickiej pani, rzekłabym, żeś jest nikczemnym zbójnikiem lub kimś jeszcze gorszym. Nie jesteś godzien ubioru, który nadaje ci jeno pozór szlachcica, i nie jesteś godzien, aby cię Wicher

nosił na swym grzbiecie.

Znowu się roześmiał, aż w lesie zbudziło się echo. Pochylił się ku rozsierdzonej dziewczynie, uniósł ją z siodła, a z im większym strachem nań spozierała, tym bujniejsza opanowywała go wesołość.

Delikatnie trzymał wylęknioną dziewczynę za ramiona.

— Ej, malutka, nie obrażaj poczciwego człeka. Brr, ja i szlachcic! Nie, nie jestem szlachcicem ani nie będę! Zostanę tym kim jestem, choćbym nie wiedzieć jaki przyodziewek nosił.

Gniew dziewczyny przerodził się w lek.

Kim jest ten straszny człowiek? Uciekać, jak najrychlej uciekać!

Rozpaczliwie jęła się szamotać.

Żal mu się zrobiło wylęknionej dziewczyny. Posadził ją z powrotem w siodle. Raptem spoważniał, umilkł. Taki milczący i poważny zdał się dziewczynie jeszcze straszniejszy.

— Kim jesteście? — spytała bojaźliwie, widząc, że spina konia. Już nie ośmieliła się go tykać,

Oblicze Drozda znowu się rozjaśniło.

— Jak ci to rzeknę, malutka, złękniesz się mnie jak straszdyła, a mamusi tu nie ma. Skoro wszakże taka jesteś ciekawa, to ci rzeknę, iż nie jestem gorszy od zbójnika, albowiem nie mogę być gorszy od tego, czym jestem. A mianowicie zbójnikiem!

— Zbójnikiem? — powtórzyła dziewczyna i z niedowierzaniem utkwiała w nim wylęknione oczy.

— Tak, zbójnikiem, noszę zaś poczciwe nazwisko Andrzej Drozd — dumnie wyprężył się w siodle.

Z przerażenia nie była w stanie wyrzec słowa. Drżała, czy zbójnikowi nie przejdzie dobry humor i czy nie pomści się za to, że tak go ofuknęła. Ach, czemu go zaczepiła, cze-

mu nie uciekła jak najdalej i co koń wyskoczy!

— A tyś kto? — spytał nie przestając się uśmiechać.
— Widzisz, chciałaś mnie uczyć obyczajności, a teraz mnie to przypadło w udziale. Czyż nie godzi się rzecz swego nazwiska temu, kto się nam zarekomendował?

— Jestem Erzika Priborska z Wierzbowa — odpowiedziała dziewczyna posłusznie. Nie odważyła się na najlżejszy sprzeciw, aby nie wywołać jego gniewu.

— Córka Beniamina Priborskiego?

— Tak.

— Tego, co z poddaństwa został wywyższony do stanu szlacheckiego, a teraz tak się bogaci?

— Tak — przyświadczyła Erzika Priborska.

— Znam go! — Andrzej Drozd zmarszczył czoło.

Beniamin Priborsky ongiś wraz z jego nieboszczykiem ojcem, który niejednokrotnie mu o tym opowiadał, pracował na pańskim w Czachticach. Lecz od chwili, gdy mu się narodziła córka, zaczęło mu się dziwnie szczęścić. Świętej pamięci graf Franciszek Nádsady ponoć za wstawiennictwem pani wystarał się o wyniesienie go z poddaństwa do stanu szlacheckiego. Potem przeniósł się do Wierzbowa. Jedni gadali, że znalazł w polu ukryty skarb, inni, że czachticka pani obsypała go pieniędzmi. Postawił sobie dwór, kupił ziemię, teraz zaś coraz to dokupuje kawał gruntu. Nie dalej jak w grudniu nabył łąkę za tysiąc złotych. Skąd bierze pieniądze? Teraz już ludzie nie mówią, iż znalazł skarb, albowiem takie szczęście może się przytrafić jeno raz w życiu, lecz że jest gachem czachtickiej pani. A dlaczegoż by nic? Skoro nie sromała się publicznie obłapiać z prostym pacholkiem. Żelaznogłowym Istokiem z Dolnej Krainy, który zniknął równie niespodzianie, jak się był zjawił, czemu nie mógłby wpaść jej w oko Beniamin Priborsky, chłop dorodny i dorzeczny? Niechybnie tak jest. Przecie ilekroć Priborscy pojawiają się w zamku, witają ich i goszczą ni-

czym grafów, a i czachticka pani często zaszczyca ich odwiedzinami.

— Twój ojciec był niegdyś poczciwym człowiekiem — rzekł Andrzej Drozd posepnie po chwili milczenia. — Lecz gdy stał się szlachcicem, odmienił się. Teraz jest takim samym nieludzkim ciemźycielem jak wszyscy panowie.

— Mój ojciec i teraz jest poczciwym człowiekiem! — wybuchnęła dziewczyna, nie mogąc ścierpieć, by ktoś obrażał jej ojca.

— Dajmy pokój twojemu ojcu. — Andrzej Drozd machnął ręką, a oblicze znowu jęło mu się rozjaśnić. — Powiedz mu, że go pięknie pozdrawiam i zlecam, aby nigdy nie wychodził z domu z pustymi kieszeniami, albowiem rad bym się z nim spotkał!

— Obrabowalibyście i oćwiczyli mojego ojca, jak to czynicie z panami? — przeraziła się. — Nie, ja w to nie wierzę!

— Cha, cha, cha! Ej, malutka, dopiero co nazwałaś mnie gorszym od zbójnika, a teraz byś chciała, abym był potulnym barankiem! Pan panu równy i jednakie im przysługuje traktowanie.

Jej strach wzrastał, zaś do oczu napływały łzy bezradności.

— Ty też przynależysz do państwa. Chciałem cię wyminać, albowiem niewiasty zostawiamy w spokoju. Z jedną tylko radzi byśmy się spotkali na odludnej drodze, rzeknij jej to, malutka, rzeknij to czachtickiej pani. Cóż wszakże mam z tobą uczynić, skoro nie ja tobie, lecz ty mnie tak po zbójnicku zastąpiłaś drogę?

Z uśmiechem obserwował jej zakłopotanie i strach.

— Abyś więc zapamiętała sobie, że nie przystoi zatrzymywać zbójników, za karę pójdziesz do domu piechotą. Przyda się nam taki foremny konik. Jeden z moich towa-

rzyszy spadł z drzewa i kuleje, zaskarbię sobie jego wdzięczność tym darem.

Ani się spodziała, już stała na własnych nogach. Uniósł z siodła lekko jak piórko i postawił na ziemi. Potem przyciągnął jej konia do swojego, jakby się zbierał do odjazdu,

Erżikę Priborską opuściła cała jej duma. Rozpląkała się jak dziecko, któremu bezlitośnie odebrano najmilszą zabawkę.

Patrzył bezradnie na szlochającą dziewczynę. Opadły go wyrzuty, iż tak dręczy to miłe stworzonko. Toć on wcale nie chciał zrabować jej konia. Podjechał do niej i zeskoczył z siodła. Chwilę stał bezradnie. Najchętniej pogłaskałby po głowie i pocieszył: „Nie płacz, nie płacz, malutka, masz tu swojego konika”.

Lecz nic umiał przejawić swoich uczuć.

— Taka dama, a jak to się rozbeczała! — powiedział z udaną surowością, chwycił ją za ramiona i posadził w siodle. — A teraz zmykaj, póki się nie rozmyślę!

Nie ruszyła się jednak. Szlochała tak rozpaczliwie, iż nawet nagła zmiana sytuacji nie zdołała jej uciszyć.

Andrzeja Drozda ogarniało coraz większe zakłopotanie. Złościło go, że dziewczyna nie chwyta za uzdę i nie rusza z kopyta kontenta, iż tak łącno udało się jej wywinąć z opresji. Nigdy nie umiał sobie radzić z płaczącymi niewiastami.

Pomyślał, że najlepiej byłoby odjechać, coś go wszakże powstrzymywało. Zostawić dziewczynę, przerażoną, nieszczęśliwą, na pustej drodze? Wspomniał, jak niegdyś w rodzinnym domu uciszał płaczące dzieci. Dawał malcowi, co miał pod ręką, jakąkolwiek drobnostkę. Jeśli dziecko nie przestało płakać, dawał mu jeszcze coś, a gdy nie poskutkowało, jeszcze coś. Może i na nią byłby to dobry sposób? Ale co jej u diaska, dać? Kieszenie ma puste, a wokół nic nie ma.

Błysnęła mu myśl:

— Masz i mojego konia!

Na Erżikę Priborską słowa te podziałały jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki. Płacz ucichł w mgnieniu oka, wyprostowała się w siodle, oczy jej zajaśniały.

— Chcesz mi dać swojego konia?! — Znowu go tykała, przejęta nagłą radością. W jej szeroko rozwartych oczach widniał nietajone zdumienie i podziw.

— Ano, weź go sobie!

Wetknął jej w ręce uzdę Wichra, odwrócił się i pewnym krokiem odszedł.

Erżika Priborska patrzyła za nim w osłupieniu. Gdyby nie dzierżyła w reku uzdy Wichra, nie uwierzyłaby, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. To się ciotka ucieszy, kiedy jej przywiedzie ulubionego rumaka!

Cóż to wszakże za dziwny zbójnik? Nie dość, że jej nie obrabował, ale jeszcze sam daje się ograbić. A jaki to wielki chłop, jak góra, twarz zaś ma stale uśmiechniętą i taką dobrotliwą. A jak delikatnie ją podnosił! I jak pragnął ją pocieszyć, gdy się rozpląkała! Wprawdzie nie wyrzekł ani słowa, lecz ona to czuła. Teraz na domiar darował jej swego konia, Wichra. W jaki sposób go zdobył? Dziwny człek. Chce iść piechotą, chociaż wie, że to ułatwi hajdukowi pojmanie go. Z dziesięcioma niechybnie dałby sobie radę. Jeśli wszakże napotka dwudziestu, tak jak ona po tamtej stronie lasu? A może było ich nawet więcej. Nie, ona nie nuże przyjąć tego konia, aczkolwiek wielce by uradowała czachticką panią. Gdy te myśli wirowały jej w głowie, Andrzej Drozd zniknął już w lesie.

— Nie chcę twojego konia! — zawołała za nim.

Lecz nie dostała odpowiedzi. W ciszy lasu postyszała jeno oddalające się kroki...

Więc zawołała raz jeszcze, na całe gardło.

— Dawaj baczenie, za lasem są hajdacy!

Gdy uprzytomniła sobie, iż ostrzegła zbrojnika oblała się rumieńcem.

Dlaczego ostrzega zbrojnika przed niebezpieczeństwem, dlaczego nie jest w stanie pragnąć jego zguby, choć krew jeszcze w niej wrze na wspomnienie, jak obraźliwie ją potraktował?

3. *Przed zwierciadłem*

Sama z sobą

Kiedy Elżbieta Batorówna po ucieczce Andrzeja Drozda ocknęła się z omdlenia na podwórcu zamkowym, ujrzała nad sobą fioletowe obicie swojego fotela i zatroskane oblicza Dory, Anny i Ilony, które przybiegły, jak tylko stary dzwonnik zastąpił je w dzwonienu.

W całym ciele czuła straszliwą słabość, jednakże zerwała się z fotela.

Służba jeszcze tłoczyła się na dziedzińcu. Nie wazyli się roztrząsać ostatnich wydarzeń, czekali, co uczyni Elżbieta Batorówna.

— Ilu was jest, ruszajcie w pogoń. Kto mi przywiedzie Wichra, dostanie niebywałą nagrodę! — zawołała raczej błagalnie niż rozkazująco.

Ficko stał oparty o drzewo. Sam, opuszczony, nikt nie zwracał nań uwagi. Chwilami, gdy ból przewiercał mu członki, oblicze ściągało mu się w złośliwy grymas i zgrzytał zęba mi. Za każdym razem folgował sobie klnąc cały świat, że akurat teraz, kiedy najlaciej mógłby pozyskać przychylność pani i zarobić piękną sumkę, nie jest w stanie uczynić kroku Bał się, że Elżbieta Batorówna ujrzy go w tym żalonym stanie i znowu smagnie szyderczym śmiechem jak biczem. Lecz nawet go nie spostrzegła. Od razu

poszła na swoje pokoje.

Dora, Anna i Ilona spoglądały za odchodzącą panią z radością, której nie zdołały ukryć za głębokimi zmarszczkami. Zdało im się, iż pani chwieje się na nogach i patrzy gdzieś w dal, jakby w zaświaty.

Trzy najwierniejsze służki wiedziały, iż znowu nadchodzi czas. Będzie sposobność zyskać radami wdzięczność pani, za sowitą nagrodę podszeptać jej, jak może dać upust nagromadzonej złości. Ilona Jó niedawno wydała za mąż córkę Pani dorzuciła jej do wiana pięćdziesiąt złotych i czternaście sukien. Anna Darabulowa nie ma córki, lecz i ona lubi brzęk pieniędzy, a już od dawna nie zakopała ani denara w skrytce za domkiem ogrodnika... Musi jakoś wysłużyć sobie okazałą nagrodę, albowiem Ilona Jó ciągle się przechwala, co dostała jej córka, aby Anna widziała, iż obecnie ona jest pierwsza w oczach pani... A i Dora Senteszowa nie gardzi brzęczącą monetą.

Cizba na podwórku w milczeniu odprowadzała panią wzrokiem, a gdy ta zniknęła w drzwiach zamku, rozpierzchli się wszyscy. Zostali jeno poddani, którym przydzielono robotę w zamku, i służba. Kilka dziewcząt chciało skorzystać ze sposobności, i wymknąć się, lecz oczy Dory, Anny i Ilony wpiły się w nie niby sępie ślepie.

Grafka udała się prosto do swej sypialni na piętrze. Był to najcichszy zakątek w zamku. Chociaż bowiem dwa okna sypialni wychodziły na ulicę, do środka nie docierał najgłośniejszy nawet hałas. Przez zamknięte i za dnia okiennice oraz ciężkie aksamitne kotary turkot najcięższych nawet wozów przesączał się do wnętrza w postaci cichego odległego szmeru. Ściany obwieszane były wspaniałymi makatami. Również podłogę pokrywały drogocenne, tkane w barwne kwiaty kobierce.

Na stole nieustannie paliła się srebrna lampa, napełniona wonnym olejkiem. Sypialnia tonęła w przyjemnym półmroku i przesycona była miłą wonią. W izbie tej, pieczołowicie

chronionej przed dziennym światłem, Elżbieta Batorówna trawiła długie godziny. Nikt nie wiedział, co tam robi, jeno służba szeptała, iż naga wysiaduje przed zwierciadłem. Po takich godzinach spędzonych w sypialni cały zamek stawiany był na nogi. Wzywała służebne i szwaczki. Jedną cesała, druga skrapiała włosy pachnącą wodą, trzecia wplatała w nie sznury pereł albo pasma złotych nici. Najmniejsze przeoczenie lub niezręczność karała nieludzko.

Rozkazy ściagały się wzajemnie, a po wielogodzinnej gorączkowej krzątaninie służebne padały z nóg: musiały biegać z izby do izby, przynosić i odnosić rzeczy, których pani zażądała, a kiedy miała je przed sobą nic chciała nawet rzucić na nie okiem. Tak samo w największym pośpiechu musiały narzucać na nią dziesiątki sukien, by zaraz je zdejmować.

Dziewczęta martwiały z przerażenia, iż pomylą się w czymś, nie zrobią co do joty tak, jak sobie życzy. Ze strachu trzęsły się im ręce. Nie dziwota przeto, że przy czesaniu niekiedy szarpnęły ją za włosy, że nieraz szarfa, agrafa, szpilka czy jakieś inne przedmioty wypadły im z rak. Kara następowała natychmiast. Pokojowej wbiła szpilki pod paznokcie, a gdy dziewczyna odchodząc od zmysłów pod wpływem bólu i widoku tryskającej krwi wyciągnęła je, została dodatkowo ukarana za nieposłuszeństwo. Rozebraną do naga stare służebne wraz z panią były rękoma i kijami a powaliwszy na podłogę smagały po piętach, póki nie omdlała. Innej znowu porzeczinała skórę między palcami lub też nawbijala igieł w piersi. W zamku rozbrzmiewały okrzyki bólu i przerażenia.

Potem zaś, kiedy już ubrały panią niby młódkę, Anna, Ilona i Dora zaciągały wybrane przez nią rozpaczliwie brońące się dziewczęta do podziemnych pomieszczeń. Naza jutrz służebne daremnie wypatrywały kilku swoich towarzyszek. Ubyły z ich grona na zawsze...

Ostatnio w katowaniu dziewcząt wyróżniała się Dora, która na służbę u czachtickiej pani przed pięciu laty naraiła i najęła Ilona.

Jak gdyby diabeł opętał tę potężną niewiastę o męskiej sile i ruchach. Męczy tak wyrafinowanie i taka jest pomysła w wynajdywaniu sposobów męczarni, że Anna i Ilona spoglądają na nią ze zdumieniem i zawiścią, czachticka pani zaś z podziwem. Odnosi się do niej coraz łaskawiej, jak do równej sobie.

Nikt nie wiedział, co się dzieje w podziemiach. Ilona Anna, Dora i Ficko, mając na względzie własne dobro oraz pomni surowego zakazu, nie pisnęli o tym ni słowa. Wszelako straszliwe opowieści szerzyły się, a dziewczęta omijały zamek z daleka...

Elżbieta Batorówna starannie zamknęła za sobą drzwi sypialni na klucz.

Podeszła do wysokiego łoża. Na czterech miedzianych kolumnach rozpiął się nad nim jaskrawo haftowany baldachim. Weszła na stopień przy łożu, rozgarnęła boczne zasłony z purpurowego aksamitu i padła na puchowe poduszki. Zanurzyła się w nich cała. Zaś w cichej sypialni rozległ się spazmatyczny, nieutulony płacz.

Byłże to płacz pańskiej dumy, tak niesłuchanie urażonej przez zbójnika? Płacz niewiasty, którą pozbawiono najmilszego stworzenia? Czy też rozpaczliwy płacz nad całym swoim życiem?...

Gdy po długiej chwili zeszła z łoża i kroczyła po kobiercu, zdało się jej, iż kwiaty na nim ożywają pod jej stopami i ronią żałosne łzy...

Chwyciła się za głowę jakby w obawie, iż rój myśli rozsądzi czaszkę. Podeszła do okna. Czyżby chciała je otworzyć i rozwalić okiennice, aby promienie słońca wdarły się do wnętrza i rozproszyły półmrok? Nie...

Tam przy oknie, w wielkim weneckim zwierciadle

wchłaniającym szarość izby, ujrzała całą swoją postać,

Przypatrywała się sobie uporczywie i jeszcze bardziej zbliżyła się do zwierciadła, jakby zapytując, kto to jest.

Siadła na wysokiej skórzanej poduszce i nie odrywa wzroku od zwierciadła, przypatruje się sobie. Ze szklanej taili spoziera na nią pociągła twarz o subtelnym rysach, blada, zimna jak marmur. Od bladego owalu twarzy odbija czerwień delikatnie wykrojonych ust. Wielkie czarne oczy, niebieskawo podkrążone, zdają się jeszcze przepastniejsze. Ciemne jak noc włosy rozplotły się i bujną falą spływają po ramionach i plecach aż do ziemi. Spogląda we własne oczy błyszczące jak w gorączce, przysuwa oblicze do zwierciadła, aż tafla zachodzi mgłą oddechu.

I raptem krew uderza jej do lic, blada twarz płonie. Znowu przybyło zmarszczek wokół oczu i ust!

Jeszcze niedawno mogła je policzyć bez trudu.

Dzisiaj nieprzeliczone ich mnóstwa ściąga podstępnie skórę — a tu oto, w łagodnych łukach od nozdrzy do kąciók ust, biegną ukradkiem dwie bruzdy rozgałęziające się we wszystkie strony siecią drobnych zmarszczek. Na czole lata żłobią swoje ślady. Wysokie czołu jakby się zwięzło, zaś cała twarz nieznacznie się skurczyła. A w ciemnych splotach bujnych włosów szyderczo połyskują srebrne nitki, jakby złośliwa niewidzialna ręka wplatała je tam z niesłabnącą wytrwałością. Elżbieta Batorówna wyrывa niecierpliwie włos po włosie, lecz srebrnych nitek jakby nieustannie przybywało. Ma już w ręku cały pęk, a jeszcze tu i ówdzie bieleją...

Nagle z falującej ze wzburzenia piersi wyrwał się krzyk jakby zoczyła marę. Obok swojej twarzy ujrzała inną: zeszpeconą krostami i dziobami po ospie, niemiłosiernie napiętnowaną starością. Wyskrzeczła jej straszliwe proroctwo: „Poczekaj, dumna pani, i ty będziesz taka!”

To pałające mściwością oblicze widziała naprawdę.

Wczoraj.

Wracała na Wicherze z Beckova, Gdy przejeżdżała przez Wiśniewo, jak spod ziemi zjawiała się przed nią stara Cwengroszowa, zgarbiona wynędzniała żebraczka o dziobatym obliczu, wspierająca się na sękatym krzywym kosturze. Wymamrotała uniżenie:

— Szczęść wam Boże, miłościwa pani!

Zaskoczona tym nieoczekiwanym pozdrowieniem, zatrzymała się. Naraz zdało jej się, że to szpetne, wpatrzona w nią oblicze bruka ją. Podjechała tuż do żebraczki. Wicher w pierwszej chwili opierał się, lecz spięty ostrogami usłuchał.

— Precz mi z drogi, szkaradna starucho! — krzyknęła.

Posłyszała plusk, albowiem żebraczka zwała się do rowu pełnego wody po niedawnym deszczu. Ruszyła z kopyta. Lecz znowu posłyszała jej ohydny głos:

— Poczekaj, dumna pani, i ty będziesz taka!...

Obejrzała się. Żebraczka ociekając wodą wygramoliła się z rowu i z obliczem pałającym gniewem pogroziła jej sękatym kosturem. To oblicze wryło jej się w pamięć. W nocy budziła się kilkakrotnie i widziała je przed sobą, także teraz widzi je i słyszy prorocze słowa z bezzębnych ust: „Poczekaj dumna pani, i ty będziesz taka!”

Z przerażeniem patrzyła w zwierciadło. Spozierały na nią stamtąd dwie twarze, z każdą chwilą coraz bardziej upodabniające się do siebie. Zakryła oczy rękoma. Potem, jakby się dusiła, gwałtownie odpięła sponkę koronkowego kołnierza na smukłej szyi i odsłoniła łono.

Odetchnęła z ulgą, Mara, którą głębokie przeżycie wrażyło w pamięć, a rozdrażnione nerwy wywołały w zwierciadle, rozplynęła się jak banka mydlana. Potarła dłonią czoło, jakby się ocknęła z ciężkiego snu.

Spojrzała na swoje odsłonięte łono. Było śnieżnobiałe, lecz piersi, na których jeszcze niedawno stanik ledwie się

dopinał, zwiotczały niby więdnące róże.

Poraziła ją świadomość, że się starzeje. I jak zawsze, gdy postrzegła na swoim ciele ślady lat, zrodził się w niej bunt. Bunt przeciw odwiecznym prawom przyrody i nieodmiennym kolejom żywota ludzkiego, Przeciwno starości burzyła się każda cząstka jej ciała. Aby się nie starzeć, co dnia kąpie się w odwarze ziół o cudownej mocy, nabożnym szeptem wymawia czarodziejskie zaklęcia. Nie rozumie pozbawionych sensu słów, lecz ich dźwięk i tajemnicza melodia wywołują w niej słodkie wzruszenie. Co roku w maju dzień w dzień bosobrodzi po wysokiej, perlącej się rosą trawie i tarza się w niej naga. Niezachwianie wierząc w magiczną moc majowej rosy z największą rozkoszą chłodzi rozpalone ciało na kobiercu trawy.

I wszystko to nie pomaga.

Nie skutkują również suknie krasawic myjawskich, które kupuje i przynosi Majorowa. Przeciwnie, kibić poszerza się, jest już prawie równa biodrom, rosnące zwały tłuszczu zniekształcają jędrne ongiś ciało, zaś młodzieńcza różowa płeć więdnie.

Nie zestarzeć się, za nic! Przeto zdecydowała się walczyć ze starością jedynym skutecznym środkiem, o którym Majorowa i stare służebne tyle jej naopowiadały, a czytała też o nim w różnych księgach.

Krew! Ludzka krew! Samo wyobrażenie tej zagadkowej czerwonej cieczy sprawia, iż jakaś odurzająca mgła spowija mózg, a na ciele jakby się rozbierały tysiące małych ust, spragnionych tego czarodziejskiego napoju.

Krew niewinnych dziewczic!

Legenda z czasów Noego prawi, iż koczownicy rozbijając namioty pod gołym niebem skrapiali je perłami dziewczyczej krwi, aby się uchronić przed wszelakim nieszczęściem. Dziki zwierz ponoć omijał namioty skropione krwią, nie porwał ich wicher ani nie uderzył w nie grom.

Kiedy siedemdziesięciodziewięcioletni papież Sykstus V gasł starości, czym wielce mądrzy i uczeni lekarze chcieli uratować mu żywot? Krwawymi kąpielami. Co stosowała demoniczna Lukrecja Borgia, aby zachować świeżość ciała? Także krwawe kąpiele.

Dlaczego więc nie wyzyskuje się mocy krwi, dlaczego nie uwolni się jej z więzienia żył, aby czyniła cuda? Jeno dlatego, że boskie i świeckie prawo chroni żywot ludzki. Kościół za zgaszenie życia i za przelanie krwi grozi potępieniem wiecznym, zaś świeckie prawo haniebną śmiercią.

Elżbieta Batorówna zaśmiała się szyderczo z samej siebie, ze swego tchórzostwa. Bała się kary, którą groziło prawu, a jeszcze bardziej potępienia wiecznego. Jeno dlatego dotychczas się wahała.

Gdy wstała od zwierciadła, jęła przechadzać się po izbie wyraźnie uspokojona, lecz głęboko zamyślona.

Wyrwało ją z zamyślenia głośnie pukanie do drzwi.

Drgnęła i zapłonęła gniewem, iż ktoś ośmiela się jej przeszkadzać. Głosem złowrogim spytała:

— Kto tam?

Za drzwiami posłyszała świeży dziewczęcy głos;

— To ja, Erzika Priborska.

A wnet potem rozległ się dźwięczny śmiech, jakby dziewczę wiedziało, iż tak łacniej zostanie poznane niż po nazwisku.

Zimną twarz Elżbiety Batorówny opromieniła jakaś dziwna czułość.

— Wnet, wnet ci otworzę, Erziko najmilsza!

Tajemnica Elżbiety Batorówny

Szybko poprawiła włosy, raz jeszcze spojrzała w zwier-

ciadło, czy ślady łez zniknęły, po czym podeszła do drzwi i otworzyła je.

Erzika Priborska wbiegła do sypialni z błyszczącymi oczyma i pałającym liczkami. Jakby wniosła do tego odosobnionego zakątka słońce i wiosnę. Srebrne lampy zamigotały wesołej, a zwierciadło swawolnie rzuciło ich blaski na dwie obejmujące się niewiasty.

— Witaj, Erziko, witaj, druga moja. Przybyłaś tak nieoczekiwanie i sprawiłaś mi tak radosną niespodziankę, że niemal już zapomniała, jak byłam na ciebie zagniewana. Całe dwa tygodnie nie odwiedziłaś mnie, jakby Czachtice leżały na końcu świata.

I czule obejmowała Erzikę, całowała jej rozpalone policzki, głaskała warkocze bujnych włosów.

— Prawdziwa niespodzianka dopiero cię czeka, droga ciotko. A wtenczas twój gniew rozplynie się bez śladu — zaszcebiotała Erzika.

— A czegoż tyczy się ta niespodzianka?

— Wichra!

Erzikę zdumiała raptowna zmiana, jaka nastąpiła w czachtickiej pani. Ręce, które ją tuliły i głaskały, opadły i zacisnęły pięści, oczy zapłonęły dziko.

— Co się stało z Wichrem? — zapytała ostro w przypływie gniewu.

Erzika wyczuła jednak, że nie na nią się gniewa, toteż spojrzała figlarnie i rzekła:

— Wnet zobaczysz, ciotko, chodź.

I poprowadziła ją na dziedziniec, gdzie stał Wicher otoczony gromadą poddanych i służby.

Ujrzawszy go Elżbieta Batorówna krzyknęła radośnie podbiegła doń, kurczowo objęła go za szyję i zapłakała ze szczęścia. Potem z dziecięcą uciechą jęła skakać wokół wierzchowca, głaskała go, jakby chciała się przekonać, czy

nic mu się nie stało, w końcu wskoczyła na siodło i szalonym pędem jęła okrążyć przestronny podwórzec.

Ludzie z przestachem uskakiwali jej z drogi i cisnęli się do ścian i murów. Włosy powiewały za nią jak czarny jedwabny zawój. Błada twarz poróżowiała i Erzika Priborska nie mogła się nadziwić, gdyż piękna amazonka młodniała z każdą chwilą.

Dopiero, gdy Wicher pokrył się pianą, Elżbieta Batorówna zeskoczyła z siodła i rzuciła się na szyję Erżice.

— Tyś mi go przyprowadziła, ty? — spytała ucieszona i przepelniona wdzięcznością.

— Ja, ja, ciotko!

Była szczęśliwa, iż wyczarowała na podwórku zamkowym tyle szalonej radości.

Po chwili siedziały obie w sypialni.

— Ale w jaki sposób odzyskałaś Wichra? — spytała czachticka pani.

Erzika zmieszała się, aczkolwiek była przygotowana na to pytanie. Dla niej samej nie jest jasne, jak się to stało. Nie pojmuje, dlaczego Andrzej Drozd, zabrawszy jej konia, raptem zwrócił go, a na dokładkę wcisnął jej w ręce uzdę Wichra.

— Jak go odzyskałam? — powtórzyła w pomieszaniu — Dostałam go w podarunku.

— W podarunku? Od kogo?

— Od jakiegoś nieznanego pana.

Czuła, iż rumieniec pali jej lica, i skonfundowana spuściła oczy. Nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego wspomnienie tej przygody przyprawiają o takie wzburzenie i dlaczego imię Andrzeja Drozda w żaden sposób nie może przejść jej przez gardło.

— Niechybnie oczarowałaś tego nieznanego pana — śmiała się Elżbieta Batorówna łagodnie i czule. Taki śmiech znała jedynie Erzika. — A jak ci go podarował?

— Całkiem zwyczajnie! — Erzika czuła, że płonie-coraz silniejszym rumieńcem. — Na skraju lasu spotkałam jeźdźca. Był to szlachcic olbrzymiej postury, którego nigdy w życiu nie widziałam. Lecz poznałam Wichra. Pozdrowił mnie grzecznie i zjechał z wąskiej ścieżki, aby dać mi drogę. Zamieniwszy ze mną kilka słów, podarował mi Wichra.

— Niebywałe! Jeszcze nie słyszałam, aby jeździec podarował damie czy komukolwiek konia w lesie, a sam podążył dalej piechotą. Jak się to mogło zdarzyć?

— Bez wątpienia widział, że Wichra nadzwyczaj mi się spodobał, i mniemał, że pragnęłabym go mieć...

Łagodny, powstrzymywany śmiech czachtickiej pani wybuchnął z niepohamowaną siłą.

Zmieszanie Erziki dosięgło szczytu. Zakryła twarz dłońmi i gwałtownie zapragnęła skryć się przed całym światem i przed samą sobą. Gardło ścisnęła jej skurcz, ślina w ustach zgorzkniała, do oczu napłynęły łzy.

— Mój mały głuptasku ozwała się czachticka pani i przytuliła ja, nawet nie przeczuwasz, w jakiej byłaś opresji. Wiesz kto to zacz, ten twój szlachcic? Pospolity zbójnik Andrzej Drozd, który na Wichrze umknął ze szponów niechybnej śmierci.

Erzika nie rzekła ani słowa. Wyrzuty sumienia i wstyd, że kłamała, sama nie wiedząc dlaczego, wymogły jej niepojęty smutek, nie mogła już powstrzymać płaczu.

Elżbieta Batorówna nie domyślała się, co dzieje się w duszy dziewczyny. Spojrzała na Erzikę z zadziwieniem, lecz uśmiech nie zniknął z jej oblicza.

— Wiem — rzekła — gorzko się rozczarowałaś: spotkałaś dzielnego rycerza, a pokazało się, że był to pospolity zbójnik. Trzeba wszakże przyznać, iż zachował się wobec ciebie po rycersku. Dziwna rzecz, teraz myślę o nim bez gniewu i wszystko bym mu odpuściła, gdyby wstąpił na służbę do mnie i został moim hajdukiem.

— Za skarby świata nie zostałby hajdukiem! — wykrzyknęła Erzika. Jej zapłakana twarz rozpromieniła się i dziwnie ożywiła. Zdało się to podejrzanym, lecz po chwili jęły rozprawiać o różnych różnościach i czachticka pani przestała myśleć o zdarzeniu z Drozdem.

Wtem twarz Elżbiety Batorówny spoważniała, wstała, objęła Erzikę i przemówiła uroczyście:

— Drogie dziecko, jesteś jedyną istotą na świecie, którą miłuję, a przecież mam przed tobą wielką tajemnicę. Już od lat nęka mnie pokusa, aby ją odsłonić, Przed kilku dniami zdecydowałam się uczynić to.

Majestatycznym krokiem zbliżyła się do sekretery koło zwierciadła i wyjęła z szuflady szkatułę, z niej zaś wielką, ciężką, oprawną w skórę księgę z masywnymi złotymi klamrami. Dzierżąc ją oburącz, rzekła;

— Jest to Pismo Święte. Rękopis węgierskiego przekładu, dzieło Władysława Batorego, Bogu oddanego członka naszego rodu, mnicha zakonu paulinów, którego Kościół katolicki wkrótce po jego śmierci w 1416 roku zaliczył w poczet błogosławionych i czci jego pamięć 27 lutego. To zabytkowa księga. Klęknij tu przede mną i na tę świętą księgę przysięgnij, iż z tego, co ci wyjawię, nigdy i nikomu w żadnych okolicznościach nie zdradzisz ani słowa.

Erzika przysięgała pierwszy raz w życiu, przeto słowo ślubowania wymówiła drżącym głosem, cała dygocąc w oczekiwaniu wielkiej tajemnicy.

— Erziko droga — ozwała się grafka, schowawszy księgę na powrót do sekretery — jesteś jeszcze bardzo młoda i ciernie życia nie drasnęły jeszcze twojej czystej duszy. Masz wszakże wrażliwe serce, przeto pojmiesz i wnिकiesz w uczucia innych. Opowiem ci o swoich cierpieniach, albowiem jesteś w prawie i musisz wiedzieć o wszystkim, abyś nigdy mnie nie potępiła.

Sypialnia pogrążona była w ciszy i półmroku, gęstym od

duszających oparów wonnych olejków, którymi napełnione były lampy.

Erżikę opanował jakiś dziwny niepokój. Brała ją pokusa by otworzyć okno i wpuścić do komnaty dzieńne światło. Ale w pełnym powagi i namaszczenia głosie Elżbiety Batorówny drgającym głębokim smutkiem, kryła się jakaś moc hipnotyczna, która spętywała jej ciało, zmuszała do słuchania w bezruchu i z najgłębszą uwagą.

— Abyś wszystko dobrze pojęła, zacznę swą opowieść od czasów najwcześniejszej młodości.

I ją opowiadać.

Rodzice Elżbiety Batorówny, Jerzy i Anna z Escede, znalazłszy się u szczytu powodzenia i bogactwa, postanowili połączyć swój ród z drugim najznamienitszym rodem Węgiei z rodem Nádsadych. Przeto jedną ze swoich trzech córek ledwie czternastoletnią, zaręczyli z Franciszkiem Nádsadym synem palatyna Tomasza Nádsadyego. Tak oto rozwiął się sen dziewczęcia o życiu na dworze cesarskim w Wiedniu Najgorętsze marzenie młodziutkiej Elżbiety, która za szczyt szczęścia uważała przebywanie w pobliżu tronu, wśród najpierwszych person kraju, i przyjmowanie hołdów kawalerów, nie spełniło się.

Matka narzeczonego, którego Elżbieta ujrzała dopiero w dniu ślubu, surowa matrona Urszula Kanizsaj, życzyła sobie, aby okres od zaręczyn do wesela narzeczona spędziła u niej, w czachtickim zamku. Chciałaby Elżbieta nawykła do obyczajów panujących w domu Nádsadych i była małżonką wedle jej wyobrażeń i gustu.

Tak leż się stało.

Kocz, do którego zaprzęgnięto cztery najlepsze konie Jerzego Batorego, uroczyście przywiózł czternastoletnią Elżbietę do Czachtic i los jej został przypieczętowany. W rodzicielskim domu żyła nieskrępowanie, zaspokajając

wszystkie swoje chętki, dowolnie trawiąc czas. W Czachticach każdy jej krok ograniczano z największą surowością.

Jak strasznie różnił się żywot w Ecsede od żywota w Czachticach! Podczas kiedy zamek ecsedzki nieustannie rozbrzmiewał gwarem beztroskich biesiadników i każdy folgował swoim upodobaniom, w Czachticach panował najsurowszy rygor. Tu zabawy były rzadkością, zaś życie toczyło się podług ustalonych zasad.

Elżbieta Batorówna od pierwszego dnia znienawidziła świekrę. Ta bowiem ustawicznie deptała jej po piętach, przydzielała zajęcia, które musiały być wykonane co do minuty, dobierała ubiory, dyktowała rodzaj uśmiechu, śledziła wzrokiem każde drgnienie jej twarzy, pragnąc przeniknąć nawet myśli.

Z tej niewoli nie było wyzwolenia!

Jedynie jasne chwile, jakie miała, to kiedy do domu zawitał Tomasz Nádsady. Lecz zdarzało się to rzadko, albowiem wojna z Turkami, którzy panoszyli się za Dunajem, oraz inne sprawy nie zezwalały mu na częste ogrzewanie się u domowego ogniska. Podczas tych jego nielicznych pobytów zamek ożywał, panował w nim niezwykły ruch, zaś Urszuli Nádsady w nawale zajęć nie starczało czasu na ciągłe pilnowanie narzeczonej syna. Do Czachtic zjeżdżały się tłumy szlachty z bliższej i dalszej okolicy, zabawa następowała po zabawie krotochwila po krotochwili. Życie, które wraz z palatynem wstępowało do cichego zamku, było odblaskiem urozmaiconego i barwnego życia na dworze cesarskim, przeto i Elżbiecie przyniosło zawsze nieco szczęścia.

Lecz po dniach wciąż nowych wrażeń i przyprawiającego o słodkie odurzenie ruchu następowały dni ponownego niewolnictwa i niewysłowionej nudy.

— A czy nie można było wyzwolić się ucieczką, lub w inny jakiś sposób? — przerwała opowieść Erzika

— Nie. Tajni posłańcy, których słałam do domu z rozpaczliwymi listami, pisanymi w nocy, kiedy cały zamek spał głębokim snem, wracali z odpowiedzią rodziców, abym cierpiała i czekała dnia ślubu, który przyniesie mi wyzwolenie. Przeto cierpiałam i czekałam, lecz serce moje zatwardzało się w strasznym, tłumionym wciąż gniewie, a całą moją istotę opanowywały złość i pragnienie zemsty. Pomścić się za to, że pozbawiono mnie swobody i ograbiono z marzeń.

Jej oblicze przybrało bezlitosny gniewny wyraz, złagodniało wszakże pod wpływem nowego wspomnienia.

— Raz jeden w mojej czachtickiej niewoli zdarzyło się coś, co rzuciło cień i wywarło wpływ na cały mój żywot, To zdarzenie do śmierci będę wspominać.

Umilkła i zapatrzyła się w migocące światło lampy, jak gdyby wahając się, czy opowiadać dalej.

W objęciach nieznajomego

Po chwili milczenia czachticka pani podjęła swoją opowieść.

...Był piękny majowy dzień. Elżbieta Batorówna bez zezwolenia Urszuli Nádsady wymknęła się z Czachtic na przejażdżkę. Bezlitośnie bodła konia ostrogami. Upojona chwilką swobody, z burzącą się krwią, gnała na przełaj przez pola, łąki i lasy, aż raptem zagroził jej drogę Wag, wijący się ciemnozieloną wstęgą u podnóża wzgórz. Kapitulując przed tą przeszkodą zeskoczyła z konia i znużona usiadła w bujnej trawie. Z rozmarzeniem wpatrywała się w pluskające fale i w obłoki wsłuchiwała się w wesoły świergot ptaków i szum lasu.

Z rozmarzenia wyrwał ją osobliwy szelest, jakby w po-

blizu koszono trawę. Kiedy się obejrzała, zobaczyła obok swojego konia pasącego się drugiego wierzchowca, a w następnej chwili i zobaczyła młodego mężczyznę — stał nieruchomo i przyglądał się jej uporczywie.

Krzyknęła. Ze zdumienia i niepojętego strachu, który ją ogarnął. Wytrzeszczonymi oczyma wpatrywała się w stojącego jak posąg mężczyznę.

Nieznajomy, który zda się, spadł na brzeg Wagu z nieba, widząc strach dziewczęcia wybuchnął gromkim śmiechem. Ten śmiech wprowadził dziewczynę w dziwny stan. To mróz ją przenikał, to zalewała fala gorąca. Lecz w mieszaninie różnorodnych uczuć najwyraźniejszy był strach, który wzmagał się, a dosięgał szczytu, gdy mężczyzna poruszył się i zbliżył do niej.

— Piękna rusałko — rzekł — z obu stron jest gęsty las, możesz uciec jeno w fale Wagu lub w moje objęcia.

Wszystko to odegrało się w krótkiej jak mgnienie oka chwili. Zdjęta przerażeniem wybrała fale Wagu. Lecz kiedy uczyniła ruch, by rzucić się do rzeki, nieznajomy przyskoczył do niej jak błyska wica i oplótł ją ramionami.

Wywiązała się między nimi zażarta wałka.

Wyteżając wszystkie siły próbowała wyzwolić się z żelaznych objęć.

Lecz już po chwili ręce jej osłabły. Zmagali się leżąc w trawie. Kopała, biła i drapała.

On śmiał się jeno i mówił bez przerwy. Stylem wyszukany, znamionującym rycerza.

— Od was nawet ciosy przyjmuję z rozkoszą, wybranko serca!

— Wdzięczny wam będę, jeśli nawet ostrze swego sztyletu zatopicie w mojej piersi!

— Pozwólcie, pani, bym się przedstawił: jestem tym, który w bezsenne noce błądzi pod oknami czachtickiego zamku szepcząc wasze imię — Elżbieta, piękna Elżbieta!

— Miłuję was, miłuję was i jedynie pocałunek waszych warg uśmierzy moją mękę!

— Naznaczony klątwą miłości, jak rozbójnik czyham na was już od wielu miesięcy. Nareszcie was dopadłem, trzymam w objęciach. Żadna siła nie zdoła wyrwać was z mojego uścisku!

Dźwięk jego słów odurzał ją i osłabiał bardziej niż obręcz ramion, a jego usta paliły mocniej niż słońce.

Przejmująca nieznana rozkosz rozplómiła całe jej ciało. Słodkie upojenie spętało jej członki i broniła się przed jego pocałunkami już jeno słabymi odruchami sprzeciwu, jakby nieświadomie.

Pokonał ją. Stała się niemal bezwolną igraszką jego szaleńczej namiętności. A gdy potem zdało się jej, iż słyszy szept „do widzenia, do widzenia” i głuchy, oddalający się tętent końskich kopyt, chciała wyciągnąć za nim rękę i zawołać, aby nie odchodził, aby został z nią na zawsze. Lecz obezwładniona dziwnym znużeniem nic była w stanie ani się poruszyć, ani odezwać.

Kiedy ocknęła się z odurzenia w zgniecionej zległej trawie, niebo purpurowiało już w zapadającym zmierzchu, zaś ciemniejący las rozszumiał się wieczornymi pieśniami.

Z niewysłowionym przerażeniem, przeniknięta straszliwym przecuciem jak szalona wskoczyła na konia i dzikim cwałem pognąła do domu, do Czachtic.

Pędząc przez lasy, a omijając wsie i osady, drżała, gdzie z gąszcza nie wyskoczy nagle ten nieznajomy mężczyzna. Wyteżała wzrok na pustych drogach, czy w dali w gęstniejącym mroku nie zbliża się koi niej jego potężna postać, lży znowu chwycić ją w objęcia.

Ale już czuła, iż nie stawiałaby mu oporu. Gdy wywołała w pamięci jego obraz, nie było w nim nic strasznego, nic odstręczającego. Ba, przyłapała się nawet, iż z każdą chwilą gorącej pragnie spotkać go znowu...

Po przyjeździe do domu siły całkiem ją opuściły.

Spadła z konia. Włosy miała rozczochrane, suknię podartą. Na rękach zanieśli ją do jej izby,

Kilka tygodni przeleżała majacząc w gorączce.

Medycy, felczerzy, zielarki i znachorki nie odstępowali jej posłania. Przestraszona Urszula Nádsady wezwwała matkę. Córka jeno chwilami ją rozpoznawała w białej mgle.

Gdy ozdrowiała, jakby ją kto odmienił. Bez najmniejszego sprzeciwu spełniała wszystkie polecenia Urszuli Kanizsay, która teraz w listach do matki swojej wychowanki nie mogła się jej nachwalić. Jej krnąbrność znikła bez śladu. Poruszała się jak lunatyczka. Stale zadumana, zatopiona w sobie. Gdy podczas krótkotrwałych odwiedzin palatyna w zamku wszczynął się ruch, którego niegdyś tak była spragniona, wymykała się do swojej izby i jeno obserwowała przez zakratowane okno rojny dziedziniec. Właściwie wypatrywała, czy spośród tego roju postaci nie wynurzy się raptem postać jej nieznanego, czy nie spojrzą na nią jego ogniste oczy. W księżycowe noce godzinami wystawała w oknie, natężając wzrok, czy nie dostrzeże go w parkowej alei, albo też budziła się nagle i zdawało się jej, iż w cieniach drzew rzucanych przez księżyc na ścianę rysuje się jego sylwetka. Podczas przechadzek rozglądała się ukradkiem, czy nie dojrzy go gdzieś.

Miesiąc płynął za miesiącem w ustawicznej tęsknocie i oczekiwaniu, że on się zjawi, Bez namysłu rzuciłaby mu się na szyję. A tymczasem zbliżała się data ślubu i narzeczony niebawem miał powrócić ze studiów w Wiedniu.

Pewnego dnia Elżbieta Batorówna poprosiła, świekrę, aby ją wyprawiła do rodziców, gdyż pragnie pożegnać się z nimi i ze wspomnieniami dzieciństwa i lat dziewczęcych, Urszula Kanizsay, która tę odmienioną Elżbietę pokochała, z radością i macierzyńską dbałością wyprawił a ją w drogę.

Elżbiecie towarzyszyła pewna poddana z Czachtic. To

właśnie jest tajemnica jej życia, którą zna jeno jej matka i dwoje ludzi: poddana i jej mąż.

Udała się do domu, aby odbyć poród...

Anna Batory po szczerej powiedzi córki wpadła w rozpacz. Bała się skandalu, ludzkich języków, zerwania zaręczyn i innych niemiłych następstw. Wszelako nie straciła głowy. W najgłębszej tajemnicy zawiozła córkę do jednego z kaszteli Batorych daleko w Siedmiogrodzie. Rozgłosiła, iż kobieta zaniemogła, że choroba jest zaraźliwa, i sama ją pielęgnowała wraz z czachticką poddaną i babą pomocną, złożyły przysięgę, iż nigdy nie zdradzą, co to była za niemoc.

Elżbieta urodziła dziewczynkę. Anna Batory za sowitym wynagrodzeniem powierzyła ją czachtickiej poddanej, która uznała dziecko za swoje. Elżbieta pragnęła chociaż od czasu do czasu z daleka widywać córeczkę, upieścić ją wzrokiem. Jej matka chciała, aby dziecko przebywało jak najdalej, bała się bowiem, iż Elżbieta mogłaby się czymś zdradzić. Dlatego postanowiła, iż poddana i jej mąż przeniosą się z Czachtic do Siedmiogrodu. Lecz uległa błagalnym prośbom i łzom Elżbiety. Sowitą zapłatę dostała też baba pomocna, którą Anna Batory kazała wywieźć do Rumunii, wzięwszy od niej wprzód przysięgę, iż nigdy nie wróci na Węgry.

Z kasztelu w Siedmiogrodzie matka i córka udały się wprost na zaślubiny do zamku Nádsadych we Wranowie. Był to najbardziej gorzki dzień w życiu Elżbiety Batorówny.

Pośród radosnego i uroczystego nastroju panującego we Wranowie, w całym tym otaczającym ją weselnym rozgardiaszu błędziła niby w jakimś nierzeczywistym, fantastycznym świecie. W żaden sposób nie mogła uwierzyć, iż ma zostać żoną człowieka, którego dopiero co poznała i którego nie darzy uczuciem.

Znowu szukała wzrokiem w tłumie weselnych gości jego nieznajomego, ojca swojej córki, tego jedyne go, którego miłowała. Nawet, gdy stała już u ołtarza, wierzyła niezłomnie, iż nagle przyskoczy do niej i on będzie tym, który ją poślubi.

Lecz cud się nie zdarzył. Nikt jej nie pytał, czy chce zostać żoną Franciszka Nádsadyego, w przyszłości znamienitego żołnierza, co zdobywał coraz większe zasługi w służbie dla ojczyzny, lecz jej serca nigdy nie zdobył. Zachowała w nim obraz nieznajomego, aczkolwiek wyzbyła się już nadziei, iż kiedykolwiek go zobaczy.

A jednak raz go zobaczyła. Było to w pierwszym roku małżeństwa, gdy mąż wezwał ją do Preszporka na bal krajowy. Pojechała z radością, albowiem oznaczało to wyrwanie się z nudy codziennego życia, a przede wszystkim z nadzieją, iż spotka tam swojego nieznajomego.

Bale krajowe gromadziły śmietankę szlachty. Była przeświadczona, iż nieznajomy również się tam zjawi.

Szykowała się na ten bal przez kilka tygodni niczym na ślub, na którym miałyby być młoduchą. Szatę balową szyły jej najgłośniejsze wiedeńskie szwaczki, kapała się w odwarach pachnących ziół, pragnąc być piękną, tak piękną, aby olśnić swojego nieznajomego. Piła czarodziejskie napoje miłosne przygotowane przez słynne guślarki, a o północy wymawiała czarodziejskie zaklęcia, by odzyskać utraconego kochanka.

Małżonek i pan Elżbiety nie posiadał się z zachwytu ujrzawszy żonę w balowej szacie, i chociaż język jego w twardym żołnierskim żywocie odwykł od dworności, zasypał ją komplementami. Była najbardziej podziwianą damą na balu nieustannie utuczoną przez rój admiratorów.

Ledwie wstąpiła do sali tanecznej, stanęła jak skamieniała.

Pośród tańczących zoczyła nieznajomego. Rozpoznała

jej obliczę, które owego majowego dnia wryło jej się w pamięć na zawsze. Wyciągnęła ku niemu ręce tak, jak on niegdyś ku niej na brzegu Wagu, krzyknęła jak wtenczas, gdy ujrzała go po raz pierwszy. I śmiertelnie blada padła jak podcięta na ziemię. Ocknęła się z omdlenia na sofie w bocznym pokoju. Zatrwożony małżonek pochylał się nad nią i skropił jej czoło rzeźwiącym pachnidłem. Wstała co rychlej, i uśmiechem zapewniając wszystkich, że nic jej nie jest, że to małe zasłabnięcie wywołane trudami podróży z Czachtic, i wsparta na ramieniu męża wróciła do sali tańecznej. Zebrała wszystkie siły, aby przy spotkaniu z nieznanym nie okazać wzruszenia.

Lecz daremnie przebiegała wzrokiem olbrzymią salę oświetloną mnóstwem świec i pochodni. Nie zobaczyła go. Czyżby przed chwilą uległa złudzeniu, widziała jeno zjawę, którą wyczarowało jej stęsknione i rozkołatanе serce?...

Erzika Priborska słuchała spowiedzi czachtickiej pani z osobliwym wzruszeniem. Serce jej zawierało głębokie współczucie wobec niespełnionych marzeń, lecz darmo szukała słów pociechy.

Lata małżeństwa Elżbiety Batorówny były latami ciężkiego niewolnictwa. W codziennym żywocie stała się we wszystkim podobna do Urszuli Kanizsay. Podczas gdy jej małżonek w Preszporku zajmował się sprawami publicznymi lub wojował z Turkami, ona żyła jak pustelnica, hodując drób i kierując całym gospodarstwem. Jeździła od folwarku do folwarku, chodziła w ciężkich ubłoconych cizmach doglądając wszystkiego, popędzając ludzi przy robocie, ucząc poddanych posłuszeństwa, wychowywała dzieci, pisywała do męża listy z wyrazami obowiązkowej miłości i czułości małżeńskiej, a gdy wracał, witała go otwartymi ramionami i słowami nieodczuwanej radości.

I tak jak ongiś, gdy pierwszy raz wkroczyła do czachtickiego zamku, ulgę znajdowała w złości. Cierpiąc sama,

pragnęła, aby i inni cierpieli. Dlatego stała się niemiłosierna wobec służby, hajduków i poddanych. Cudze łyzy i cierpienie były lekiem na jej rany. Nie mogła znieść czyjegoś radosnego śmiechu, zaś cudze szczęście wywoływało w niej szaleńczą wściekłość.

Erżikę zdjęło przerażenie, gdy usłyszała to wyznanie Elżbiety Batorówny, zionące bezwzględnością i nienawiścią.

— Lecz ty, najmilsza moja, nigdy nie bój się mnie, dla ciebie zawsze z całego serca pragnęłam jeno szczęścia.

I zwracając ku niej twarz, z której czułość starła wyraz złości i nienawiści, objęła ją.

— Ciebie miłuję, miłuję ponad życie!

Erżice cisnęło się na usta pytanie dlaczego. Nie pierwszy już raz. Lecz i tym razem nie odważyła się go zadać. Myślała o córce Elżbiety Batorówny, o tym zatajonym przed światem dziecku, którego nikt nie zna i które ma tak zagadkowego ojca.

Spytała bojaźliwie, jak się ta dziewczynka nazywa, gdzie jest i czy ona ją zna.

— Nosi to samo imię co ja i ty. Nazywa się Elżbieta Erżika, mieszka w Wierzbowie i ty bardzo dobrze ją znasz...

Spojrzała na czachticką panią ze zdziwieniem, Wyteżyła pamięć, w duchu czyniła przegląd Wierzbowskich dziewczyn i szukała wśród nich nieślubnej córki Elżbiety Batorówny.

Czachticką pani, trzymając ją w ramionach, z tklwym uśmiechem wpatrywała się w jej zdziwioną buzię; przytuliła ją do siebie gorąco i wyszeptwała:

— Ty mój głuptasku, moja niemądra Erżiko!..

Szydercza twarz w oknie

Pastora Jana Ponicensa ostatnie wydarzenia całkiem wytrąciły z równowagi. Nocny gość, na którego pada cień szubienicy, krwawe poselstwo z zamku, oblicze Ficka i jego oburzające wystąpienie na plebanii, zbójnik galopujący przez miasto — wszystko to wstrząsnęło nim i pozbawiło go spokoju. Najbardziej go rozjątrzało nieustannie powracające wspomnienie bezprzykładnego postępowania Ficka i zmasakrowanego ciała Ilony Harcajówny, spoczywającej już w kostnicy.

Z samego rana po odprawieniu nabożeństwa postanowił udać się do czachtickiej pani, potem wszakże uznał, iż raczej poczeka, aż się trochę uspokoi, Zastanawiał się, jakimi słowami zaprotestować przeciw samowoli Ficka, a zwłaszcza jak pociągnąć ją do odpowiedzialności za pozbawienie życia młodej dziewczyny.

Gdy zapadł zmierzch, wziął płaszcz i grubą laskę, wierną swoją towarzyszkę, i pewnym krokiem ruszył do zamku.

Czachticka pani przyjęła go w sali gościnnej, siedząc w podobnym tronowi fotelu i mając za plecami rząd podobizn Nádsadych i Batorych. Jan Ponicensus skłonił się z szacunkiem. Grafka odpowiedziała łaskawym uśmiechem i wskazała mu miejsce.

Siadł na niskim zydłu i poczuł się tak, jakby siedział u stóp tronu.

— Rada jestem, że mam sposobność — ozwała się urzędowym tonem — porozmawiać z wami, księżę proboszczu. Pragnę, aby między mną i wami, między kościołem i zamkiem, panowała zgoda. Przeto nie od rzeczy będzie omówić sprawy, które tę zgodę nieco naruszyły,

— Nie jest to moją winą, dostojna pani — rzekł pastor nie tracąc kontenansu. — To właśnie skłoniło mnie do

przybycia tutaj. Wasz sługa Ficko minionej nocy zachował się wobec mnie i wobec godności urzędu, który piastuję, w sposób zasługujący na najwyższą naganą.

— Opowiedzcie mi, księżę proboszczu, wszystko dokładnie, a zapewniam was, że jeśli Ficko zawinił, kara go nie minie.

Opowiadał, znów rozgorzały gniewem na wspomnienie nocnych wydarzeń.

Grafka słuchała z wielkim zajęciem, a kiedy skończył swą relację, rzekła niezwykle łaskawie:

— Pojmuję wasze oburzenie i przyznaję, iż mój sługa zachował się karygodnie.

Potrząsnęła dzwonkiem na stoliku przy fotelu i w drzwiach natychmiast pojawiła się Anna Darabulowa.

— Przyrowadź Ficka! — zleciła złowrogim głosem. A kiedy Anna pośpiesznie znikła za drzwiami, rzekła do pastora:

— Co się zaś tyczy Ilony Harcajówny, wyprawcie jej piękny pogrzeb z mową żałobną, w której moglibyście mimochodem wspomnieć, iż jej własne nieposłuszeństwo przyprawiło ją o śmierć. Być może zbyt się zapamiętałam w sprawiedliwym gniewie, karząc ją ponad jej siły. Jeśli zawiniłam, nie omieszkam zmyć swojej winy, że zaś Ilona była zupełną sierotą, nawet krewnych nie miała, odkupię swoją winę składając ofiarę na kościół ewangelicki w Czachticach. Jutro mój posłaniec przyniesie wam pieniądze wraz z oddzielną sumą za wyprawienie tej dziewczynie godnego pogrzebu.

W tej chwili Anna wprowadziła Ficka, który zmierzył pastora nienawistnym spojrzeniem. Gdy jednak stanął przed grafką, na obliczu jego odzwierciedlił się nieopisany strach.

Elżbieta Batorówna, jakby chcąc przydać dostojności swoim słowom, mówiła z bezwzględnością surowością:

— Nikczemniku! Za swoje karygodne wybryki, na które ksiądz proboszcz słusznie się uskarżał, zostaniesz wtrącony na trzy dni i trzy noce do lochu, o chlebie i wodzie, a kiedy rankiem trzeciego dnia wypuszczą cię stamtąd, dostaniesz na dodatek dwadzieścia pięć kijów, tyleż samo w południe i wieczorem, i to w pięty nóg, którymi przekroczyłeś próg plebanii, niepomny należnego szacunku.

Ficko wytrzeszczył na panią oczy.

Taką nagrodę miałby dostać za wierną służbę?

Surowy, lodowaty głos pani i jej miażdżące spojrzenie rozproszyły jego wątpliwości.

— Bezzwłocznie zaprowadź go do lochu!

Anna raczej go wyniosła niż wyprowadziła, tak był zgębiony surowym wyrokiem.

Pastor nie posiadał się ze zdumienia, iż pyszna czachcicka pani od samego początku podkreśla potrzebę zgody między nimi i usuwa wszystko, co by tę zgodę naruszało. Ciężka kara, jaka spadła na Ficka, oszołomiła go. Wiedział, że nigdy jeszcze nie ukarała swego najwierniejszego sługi.

— Mam nadzieję — ozwała się Elżbieta Batorówna z godnością siadłszy w fotelu — że uważacie to za dostateczne zadośćuczynienie?

Chciał powiedzieć, iż nie obstaje przy wykonaniu kary, lecz nie zdołał dojść do głosu.

— Na przyszłość zaś — ciągnęła grafka tonem przestrogi — żądam, abyście nie mieszcili się do moich spraw, jako ja nigdy nie wglądam w wasze. W przeciwnym wypadku koniec ze zgodą między nami, a następstwa tego wam przypadłoby ponosić.

Zaskoczył go jej zmieniony głos. Nie było w nim już ani śladu uprzedniej łaskawości. I czego właściwie dotyczą te pogróżki? Przecie nie jest jej poddanym ani zależnym od niej! Dostaje wprawdzie z zamku rocznie czterdzieści miar

żyta, dziesięć konwi wina i osiom złotych. Nie jest to wszakże dar, lecz arenda za cześć gruntów parafialnych, które czachtliccy państwo wzięli w użytkowanie. Miałaby go pozbawić skromnego dochodu? Chciał zadać jej kilka pytań, by dowiedzieć się w czym rzecz, ale grafka już wstała, dając w ten sposób wyraźnie do poznania, iż uważa rozmowę za zakończoną. Podała mu rękę.

Uściskał ją chłodno, skłonił się i odszedł.

Wpadło mu namyśl, czy zakończenie tej rozmowy nie jest zapowiedzią otwartej wrogości pomiędzy zamkiem i plebanią. Postanowił, iż nie przyjmie daru pieniężnego grafki, a Ilonę Harcajównę pochowa jak najciszej, bez mowy pogrzebowej. Nie powstrzymałby się przed obwinieniem czachtickiej pani.

Ledwo drzwi się za nim zamknęły, weszła Ilona z wiadomością, iż Erzika Primorska — którą czachticka pani w obawie przed zbójnikami zatrzymała w zamku, zaś do Wierzbowa wyprawiła posłańca dla uspokojenia rodziców — płacze w swojej izbie.

— Dlaczego?

Nie dostała odpowiedzi, lecz nie była jej potrzebna. A więc Erzika pojęła jej tajemnicę...

Gdy Jan Ponicensus mijał przybudówkę, dla czeladzi, mimowolnie spojrzął w jedno z okien — stanął jak wryty, jakby ujrzał zjawę. Z okna wykrzywiła się do niego uśmiechnięta szyderczo twarz.

Twarz Ficka...

A zatem Ficka nie wtrącono do lochu. Siedzi w swojej komórcie i rechoce ze śmiechu, że wywiedli pastora w pole. Jan Ponicensus teraz dopiero uświadomił sobie, iż grafka oznajmiwszy swój wyrok jakby mrugnęła do Anny Darabulowej. Dała jej tym do poznania, że jej słowa przeznaczone są jedynie dla niego. Gdy zaś za Fickiem i Anną zamknęły się drzwi, zdało się mu, iż słyszy tłumiony

śmiech. Teraz wie, że słuch go nie mamił.

Krew zagrzała mu w żyłach.

Ścisnął kurczowo ciężką laskę i zamachnął się nią, chcąc uderzyć w okno. Lecz twarz już znikła.

4. *Żelazna panna*

Z zawiązanymi oczyma

Po ucieczce od Barbary duszą Pawła Lederera jęła miotać burza różnorakich uczuć, To chciał bezzwłocznie opuścić miasto i pognać gdzie go oczy poniosą, byle jak najdalej stąd, to w następnej chwili całym wysiłkiem woli walczył z pokusą powrotu do domostwa mistrza Repasza. Przecie Barbara miłuje go! Gotowa jest opuścić Marcina Szubę, a nawet... Czy może pozwolić, by cierpiała?

Na myśl o Marcinie Szubie, dla którego miał wzgardę i nienawiść, budziły się w nim gniew i odraza. Barbara jest jego żoną. Nie, nie może wrócić. Nigdy!

Rozczarowanie zadało śmiertelny cios jego miłości Ukochana nie zaczekała na jego powrót, poszła za męża za tak nikczemnego człowieka.

Ani się spostrzegł, jak znalazł się za miastem.

Błądził bez celu po ścieżkach, po których niegdyś chodził z Barbarą. Przysiadł w miejscach, gdzie z nią siadywał, a u podnóża Skalnego Wierchu długo stał wpatrzony w krzak, przy którym pierwszy raz wyznali sobie miłość i pierwszy raz się całowali.

Wtenczas krzak rozkwitał pachnąc odurzająco, ptaki śpiewały, a po niebie swawolnie goniły obłoki. Teraz zewsząd zieleje martwą pustką, gałęzie chrzęszczą sucho, odar-

te z liści drzewa wznoszą ku niebu prześwitujące korony, słyhać jeno krakanie wron.

Tutaj śnił niegdyś sen o miłości i szczęściu. Prysł jak barka mydlana.

Gdy wracał do miasta, zapadał już zmierzch. Postanowił osiedlać konia i natychmiast opuścić Nowe Miasto.

Ledwie jednak przestąpił próg zajazdu, zagadnęła go oberżystka. Nadarza mu się sposobność dobrego zarobku. Kupcy z Dolnej Krupy przynieśli wieść, iż grał Brunswick*, który kocha się we wszelkich machinach, poszukuje zręcznego majstra. Przed laty najął starego zamecznika — Niemca, aby mu zbudował zegar mechaniczny. Majster dwa lata nad nim pracował i aż do śmierci sprawował nad nim pieczę. Ów słynny zegar, ściągający do Kropy ludzi z odległych okolic, zepsuł się przed pół rokiem, a graf Brunswick daremnie szukał majstra, który by tę jego największą dumę naprawił.

Paweł Lederer pragnął jak najrychlej zobaczyć rodziców, jednakże dał się namówić na tę robotę. Konia zostawił w zajeździe i siadł na wóz kupca, który chciał zaskarbić sobie wdzięczność grafa.

Naprawa mechanicznego zegara zajęła mu trzy dni. Trzeciego dnia wieczorem, z sowitą zapłatą w kieszeni, zajechał w powozie grafa przed zajazd w Nowym Mieście.

Poszedł wprost do swojej izby. Chciał się położyć, wypocząć, aby wczas rano ruszyć w drogę do rodziców.

Wszelako ledwie wszedł do izby, ktoś zapukał.

W drzwiach stanęła niska postać w czarnej masce na twarzy i ozwał się piskliwy głos, na dźwięk którego Pawłowi ciarki przebiegły po grzbiecie.

* Graf Brunswick — prawdopodobnie chodzi tu o szlachcica Tomasza Brunachwicę, który w latach 1622 — 1625 był dworzaniem palatyna Stanisława Thurzo. Ród Brunswicków zdobył posiadłości w Dolnej i Górnej Krupie pod koniec XVII w, a tytuł grafa otrzymał dopiero Antoni Brunswick w r. 1775.

— Czy istotnie jesteś zamecznikiem?

— Tak. Przed paru dniami zaledwie powróciłem z wanderki, teraz zaś wracam z Krupy, gdzie naprawiłem mechaniczny zegar grafa Brunschwicka — odparł niechętnie, lecz z dumą.

— Chcesz dobrze zarobić? — spytał zamaskowany człowiek, który w młodym zameczniku wzbudzał odrazę.

— Tak, lecz jeno uczciwą pracą.

— Pozwól przeto, abym zawiązał ci oczy. Nie śmiesz wiedzieć, dokąd cię zaprowadzę, i nikomu nie śmiesz wyjawić, coś tam robił.

Pawłowi Ledererowi nie podobał się zamaskowany gość ani ta cała tajemnicza wyprawa w nieznane miejsce. Zawahał się, lecz coś go nęciło, nie pozwoliło odmówić.

Pociągała go niebezpieczna przygoda, w której mógłby znaleźć zapomnienie.

— Dwieście złotych wypłacę ci wnet po wykonaniu pracy, z którą niechybnie raz-dwa się uporasz — rzekł zamaskowany człowiek widząc, że Paweł waha się. — a jeśli dowiedziesz, żeś majster jak się patrzy i że umiesz trzymać język za zębami, naraję ci takie miejsce, jakiego sam nigdy byś nie znalazł.

— Dobrze — zdecydował się Paweł. — Oto moja ręka!

I śmiało uściskał rękę człowieka w masce, lecz zaraz ją puścił, albowiem przy dotknięciu owłosionej dłoni doznał nieprzyjemnego uczucia, które wzmogło się gdy musnęła jego twarz przy zawiązywaniu oczu czarną chustą.

Gdy świat zniknął mu sprzed oczu, znowu zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej ściągnąć chustę i odżegnać się od roboty, do której wiedzie taka tajemnicza droga. Przecie dwustu złotych uczciwą pracą nie zarobiłby nawet przez kilka lat, choćby pracował dniem i nocą.

Ale nim się opamiętał, siedział na wozie — i to ze związanymi rękami.

Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że człowiek w masce wyprowadził go z zajazdu tylnym wyjściem, a nie przez izbę szynkową, gdzie ściągnęliby na siebie uwagę gości. A więc nikt nie wie, kto go wywiódł i dokąd. Może jeno oberżystka. Przecie to od niej ów człowiek dowiedział się, iż jest zamecznikiem, ona zaś nie narabiaby go wiedząc, że może mu się przydarzyć coś złego. Aczkolwiek komu w tych podłych czasach da się zaufać? A gdyby zniknął, kto by go szukał?

Kopyta koni głucho dudnią po zmarzniętej ziemi, a koła turkoczą jednostajnie po wyboistej drodze. Dokąd go wiezie ten milczący zamaskowany człowiek? Aha, do Mneszic. Ale nie. Furman coś zbyt często skręca w lewo. Czyżby jechał w kierunku Bziniec? Też nie. Przecież droga do Bziniec nie ma takiego ostrego zakrętu w prawo, jaki teraz zrobili.

I chociaż skupił całą uwagę na śledzeniu drogi, w żaden sposób nie mógł się w niej rozeznąć. A jak długo już jadą? Pochłonięty odgadywaniem kierunku, stracił poczucie czasu. Godzinę, dwie?

— Długo jeszcze będziemy jechać? — zapytał.

— Zadajesz mi to zbyteczne pytanie z ciekawości czy strachu? — odparował szyderczo jego przewodnik. — Ciekawość jeszcze bym pojął, strachu nie. Uważam cię za mądrego człeka, który nie zna co to strach. Albowiem mądry poradzi sobie w każdej sytuacji i wszystko obróci na swoją korzyść.

Wóz wreszcie zatrzymał się i Pawłowi polecono wysiąść. Gdzie się znajdują? Posłyszał świst wiatru w koronach drzew. Więc są w lesie. Tajemniczy przewodnik trzykrotnie klasnął w dłonie. Czekał chwile, po czym przenikliwie gwizdnął. Rozległ się głuchy łoskot. Paweł Lederer drgnął zaskoczony, Co to? Potem usłyszał, iż wóz odjeżdża. A on, popychany przez tajemniczego przewodnika,

zstępował po jakichś schodach.

Poczuł zapach smoły, przez chustę na oczach przeniknęło nieco światła. Niechybnie stoi tam ktoś z pochodni ją.

— Mamy go! — ozwał się przewodnik ze złośliwą radością lecz zaraz jął kogoś łajać:

— Ty już jesteś głucha, gęsi ci paść, a nie wykonywać poważne zadania! Człowiek mało płuc nie wygwizdże!

— Hi, hi, hi! — odpowiedział mu niewieści chichot.

Chwilę później znów rozległ się łoskot. Paweł Lederer poczuł falowanie powietrza. Aha, to zamknęły się za nimi żelazne wrota.

Przesyccone pleśnią, zatęchłe powietrze. Podziemny korytarz.

Długo szli w milczeniu. On, jego tajemniczy przewodnik i niewiasta z pochodnią. Zatrzymują się. Zapalają drugą pochodnię. Paweł Lederer jest już tylko ze swoim przewodnikiem. Kroki niewiasty cichną w dali. Jeszcze stoją przewodnik Lederera czegoś szuka. Lekki zgrzyt. Postępują kilka kroków do przodu i znowu zgrzyt klucza.

Po chwili chusta spada zamecznikowi z oczu. Jego spojrzenie najprzód spoczęło na przewodniku, który już zrzucił maskę. Takiej szpetnej twarzy i postaci życia nie widział. I domyśla się, kto on zacz. Może to być jeno ów człowiek, o którym słyszał tyle strasznych rzeczy.

— Ja jestem Ficko, ty zaś jesteś Paweł Lederer — szczerzy czarne zęby, jakby się cieszył z jego osłupienia. — Wiem, iż jesteś przyjacielem zbiega, rebelianta i zbrojnika Jana Kaliny. Mówię ci to, abyś i ty wiedział.

Ze zgrozą uświadomił sobie, iż jest w mocy postrachu całej okolicy Czachtic, złoczyńcy, który najął go do służby u czachtickiej pani. W jakiej zbrodni ma pomagać?

Rozejrzał się. Przestronna komnata. Ściany przesłonięte kobiercami. I na podłodze kobierce. W jednym rogu złożony fotel z baldachimem z ciemnego aksamitu, na wprost

kunsztownie rzeźbiona skrzynia. Zna takie skrzynie. To duma reńskich mistrzów, która rozślawiła ich po całej środkowej Europie.

— Podoba ci się tutaj, co? — wykrzywił się Ficko. — No, rzeknę ci krótko, w czym rzecz, co masz robić i co cię czeka. Jesteś panem swego losu. Od ciebie jeno zależy, czy się wzbogacisz czy zginiesz...

Słuchał bez słowa. Ta upragniona przygoda była kosztownym snem, z którego jakże by chciał się przebudzić.

— Twoja praca jest w tej skrzyni — ciągnął Ficko jakby z większą powagą. — Weź rozum w garść i napraw co należy. Koło skrzyni masz jadło i napitek, abyś mógł się posilić i wzmocnić, tam zaś leży twoja zapłata, dwieście złotych. Zawdzięczasz ją szczodrości i dobrotliwości czachtickiej pani. Ja bym ci zapłacił zamknięciem ust na zawsze. Nie tylko dlatego, że jesteś przyjacielem Jana Kaliny, lecz i dlatego, że nikomu nie ufam. Spodziewam się, iż do rana skończysz pracę. Mam cię później zaprowadzić do pani. Tam się okaże czy masz rozum. Jeśli tak, nie zabraknie ci niczego, jeśli nie biada ci!

Ficko zwrócił się do wyjścia, Za kobiercem były drzwi.

— Aby nie przeszkadzała ci w pracy ciekawość, dokąd wiodą te drzwi, wyjawię ci, że nie tam, gdzie byś pragnął. Stąd nie ma ucieczki. Baw się dobrze ze swoją milutką towarzyszką!

I drzwi zamknęły się za nim. Zamecznik został sam w oświetlonej pochodnią komnacie.

Przejął go strach. Jaka towarzyszka? Rozejrzał się. Nigdzie żywego ducha. Jakaż to praca czeka nań w reńskiej skrzyni? I co będzie jutro?

Poszedł do skrzyni i ostrożnie uniósł wieko. Krew ścięła mu się w żyłach.

W skrzyni leżała naga niewiasta w skrzącym naszyjniku.

Leżała bez ruchu.
Spała czy nie żyła?

W śmiercionośnym uścisku

Kiedy otrząsnął się z przerażenia, nachylił się nad skrzynią, by przypatrzeć się niewieście z bliska.

Roześmiał się i sam siebie złażał od głupców.

To był posąg.

W następnej chwili stwierdził, iż jest po mistrzowsku odrobiony z metalu. Postukał weń palcem. Zadudniło pustką. Malował go prawdziwy mistrz. Wszystkie barwy są jak żywe, nie dziwota, że pierwsze spojrzenie zwiodło go i zmamiło, a pod posągiem masywna podstawa. Ciężka jak diabli. Zakrywa całe dno skrzyni. Trzech chłopców miało by co dźwigać. Nie będzie się uszarpywał. Postawi posąg w skrzyni.

"A więc to jest ta moja milutka towarzyszka" — rozjaśniło mu się w głowie. — „Ale co mam z tobą zrobić? Wyznać ci miłość?”

Nie było mu jednak do żartów.

Jak ten naszyjnik się skrzy! Byłyżby to naprawdę drogie kamienie? I po cóż zawieszono go posągowi na szyi?

Wyciągnął rękę, aby zdjęć naszyjnik i przypatrzeć mu się z bliska. Ledwie wszakże go dotknął, struchlał ze zgrozy.

Posąg zamrugał oczyma, jak gdyby ożywał, z jego wnętrza dobyły się niewyraźne dźwięki, jakby chciał przemówić, a martwo zwisające ramiona poruszyły się. Nim zdołał odskoczyć, objęły go w miażdżącym uścisku.

Wytrzeszczył oczy.

Piers posągu rozwarła się ukazując rząd sterczących

noży. Wysuwają się, zbliżają ku jego piersi, jak gdyby kierowane ręką niewidzialnego mordercy.

Krzyknął.

Nuże z wolna, lecz nieubłaganie zbliżają się ku jego piersi. Czuje już ucisk ich ostrych końców. Czuje, iż pot występuje mu na czoło. Oto nadeszła śmierć.

Jeszcze chwilka a lśniące noże wbiją się w jego serce i płuca i wykrwawi się w objęciach żelaznej panny.

Lecz co to? Zgrzyt we wnętrzu żelaznej panny cichnie, czy już nie mrugają, noże zatrzymały się.

Odetchnął z ulgą. Czuł, że jest ocalony. Ale nogi trzęsą się pod nim. I znowu przenika go strach. Czy nie jest to jeno okrutny żart żelaznej panny, czy nie zatrzymała noży jeno dlatego, aby napawać jego męką swoje bezlitosne metalowe serce?

Lecz nie.

Stoi nieruchomo i jakby uśmiecha się swawolnie. Od niej zależy jego życie i śmierć.

Jak długo już spoczywa w jej straszliwych objęciach? I jak się wyswobodzić? Choć znajdował się na pograniczu życia i śmierci, rozważał z zimną krwią.

Zaświtało mu w głowie, na czym rzecz polega. Uścisk żelaznej panny nie jest śmiertelny na skutek zepsucia mechanizmu. Noże zatrzymują się przed czasem i dlatego jeno dotykają ciała, nie wbijają się. Jak wszakże ponownie wprowadzić w ruch ten przemyślny mechanizm, aby objęcia się rozwarły, pierś zamknęła, a noże znikły w jej wnętrzu? Noże jeły wysuwać się do przodu, gdy uniósł lekko naszyjnik. Czy ułożenie go na dawnym miejscu nie podziała przeciwnie?

Długo wpatrywał się w naszyjnik. Wahał się. Prawą rękę ma wolną, albowiem w chwili gdy objęły go ramiona żelaznej panny, była wzniesiona ku naszyjnikowi.

Rozważył wszystkie okoliczności i stwierdził, iż siłą nie wyswobodzi się z uścisku. Z determinacją sięgnął do naszyjnika.

Na jednym z kamieni dostrzegł cieniutki sztyfcik zagłębiający się w dziurce w gardle. Wyciągnął go nieco. Niechybnie to on uruchamia i zatrzymuje mechanizm. Wyciągnąć go całkiem czy wsunąć? Zastanawiał się. Czy dotknięcie nie wprawi noży ponownie w ruch i czy nie wbiją mu się w pierś?

Raz jeszcze rozejrzał się po straszliwej komnacie. Po tym małym, oświetlonym pochodnią skrawku wielkiego pięknego świata, z którym się rozstawał.

Zmrużył oczy. Jakby nie chciał spojrzeć śmierci w twarz Wsunął sztylecik w dziurkę. Znowu posłyszał dźwięki, które już raz przyprawiły go o przerażenie. Zatoczył się, bowiem otaczające go ramiona nagle wypuściły go z uścisku. Z brzękiem opadły wzdłuż boków posągu.

Spojrzał na żelazną pannę, jakby darowała mu życie.

Wyczerpany przerażeniem wyciągnął się na miękkim kobiercu. Niezdolny skupić myśli rozglądał się po podziemnej komnacie, to znów wpatrywał się w kopcającą pochodnię i w żelazną pannę, która w jej świetle lśniła zimnym blaskiem.

Oto przeświadczył się na własne oczy, iż katownie i narzędzia tortur nie są czczym wymysłem. Jego zaś czeka tutaj straszne zadanie. Czyż po to tak długo się uczył i po to spędził lata na wanderce, wzbogacając swoje wiadomości i doświadczenie, aby teraz móc naprawić morderczy przyrząd?

Paweł Lederer wzdrygnął się wyobrazivszy sobie ludzi ginącym w objęciach żelaznej panny. Wstał i ze wzburzeniem jął chodzić po komnacie.

W końcu przystanął przy żelaznej pannie. Owładnęła nim ciekawość, czy istotnie umiałby naprawić to szatańskie

urządzenie. Spróbuje. A jeśli uda mu się naprawić mechanizm, to potem znowu go popsuje.

Zza pleców posągu ujął ostrożnie naszyjnik i uniósł go. Ale - nic. Żelazna panna stoi bez ruchu. Uniósł naszyjnik jeszcze raz i znowu nic. Po krótkim zastanowieniu znalazł przyczynę. W plecach panny widnieje mały otwór, zaś tam w kącie skrzyni połyskuje srebrna korbka: mechanizm trzeba nakręcić. Gdy po nakręceniu uniósł naszyjnik, we wnętrzu żelaznej panny zazgrzytało, zabrzączało, ramiona gwałtownie uniosły się i złączyły w objęciu, pierś się otwarła, a noże jęły się wysuwać.

Zajrzał w otwartą pierś panny.

Mnóstwo większych i mniejszych trybików jak w mechanizmie zegarowym. Znał się również na zegarmistrzostwie. Przeto z zainteresowaniem oglądał trybiki. Wkrótce oblicze rozpromieniła mu radość odkrywcy. Jeden z trybików był zbyt słabo osadzony, chybotał się, tak, że jeno niekiedy zahaczał o zębki sąsiednich trybików, wskutek czego nie obracały się tyle razy, ile trzeba było, aby noże całkiem się wysunęły. Po skończeniu roboty nakręcił mechanizm ponownie i oblicze jeszcze bardziej mu się rozpromieniło. Przekonał się, że się nie mylił. Noże wysunęły się aż do zgiętych ramion.

Lecz radość mistrza z udanego dzieła rychło zgasła. Pośpnie patrzył na naprawione narzędzie śmierci. Nie zwlekając popsuł żelazną pannę od nowa.

A dwieście złotych wysypanych z mieszka mamiąco lśniło w przerażającej ciszy.

Ile szczęścia i uciechy można kupić za ten stosik złota. Na myśl o tym zakręciło mu się w głowie. Lecz nie, nie splami sobie rąk taką podłą pracą. Gdyby dostał tę zapłatę, mógłby postawić sobie dom i urządzić warsztat. I na krowę by jeszcze starczyło, i na kawałek pola. Rodzice przenieśli by się do niego i do śmierci nie musieliby się już o nic tra-

pić. Ale nie, nie, choćby nawet mógł postawić sobie pałac, kapać się w winie i w jedwabie odziewać, nie sprzeniewierzy się swemu sumieniu. Lecz co go czeka, jeśli tego nie uczyni?

Wyobraził sobie wykrzywione szyderczym grymasem li-cze Ficka, a na myśl o czachtickiej pani zadrzał. Igra swoim życiem. A gdyby usłuchał i był posłuszny, zyskałby ich zaufanie, miałby nie tylko tych dwieście złotych, lecz i bez-troski żywot,

W jego duszy uczciwość toczyła bój z pokusą. Zwycię-żyła uczciwość. Nie naprawi ponownie żelaznej panny, co-kolwiek by go miało spotkać.

I raptem wynurzył się przed nim obraz Barbary.

Z tak głęboką raną w sercu łatwiej mu będzie rozstać się z żywotem.

Zdawszy się na łaskę losu, zasiadł do jadła i wina. Pod-jadł sobie z apetytem i opróżnił dzban. Dopiero, gdy miał przed sobą puste naczynia, przemknęła mu przez głowę myśl, czy aby jadło i wino nie były zatrute. W ten sposób Ficko pozbyłby się go i w dodatku mógłby zagarnąć zapła-tę za jego pracę.

Kiedy zaś upewnił się, że Ficko go nie otruł, jął rozwa-żać czy nie udałoby mu się uciec przed przyjściem Karła.

Wstał, począł oglądać i obmacywać pokryte kobiercami ściany. Tu za kobiercem są drzwi, którymi Ficko wyszedł. Tędy nie przyszli. W ogóle nie weszli tutaj drzwiami. Do-brze pamięta, iż przed wejściem do katowni nie słyszał ani zgrzytu klucza, ani skrzyknięcia zawiasów. Niechybnie są tutaj dwa wejścia.

Omam zaczął skakać z uciechy, kiedy wpadł na to, na co już dawno powinien był wpaść. Przecie do katowni któ-rędyś musi napływać powietrze! I wcale nie musi szukać, którądy wskazuje to dym z pochodni, co niby ociężyły czarny wąż pełźnie za plecami żelaznej panny w kąatow-

ni, gdzie przysysa się do jednego z kobierców i wsiąka weń. Tam musi być otwór. Jednym skokiem znalazł się w kącie i odgarnął kobierzec. Wionęła nań fala zimnego powietrza, a przed nim rozdziawił się czarny otwór, mniej więcej na metr szeroki i dwa wysoki.

Wpatrzony w czarny otwór zasepił się, lecz jeno na chwilę, albowiem przeświadczenie, iż za pomocą narzędzi wydostanie się na świat Boży, przywróciło mu pewność siebie.

Wziął w prawą rękę płonąca pochodnię, niezapaloną wetknął za pazuchę na zapas, a lewą ręką ujął skrzynkę z narzędziami. Uśmiechnął się zwycięsko do żelaznej panny, kopnął kupkę złota i zniknął w otworze.

Ledwo wszakże postąpił dwa kroki, wpadł do zakrytego kobiercem wgłębienia. Kiedy — posadzony tak z nagłą i wbrew woli — rozejrzał się wokoło, sam siebie by wyśmiał za swoją głupotę. Znowu otaczały go pokryte kobiercami ściany, a on już widział się na wolności! Zawiedziony pozbierał pilniki, dłuta, obcęgi i inne narzędzia, które przy upadku wysypały się ze skrzynki. W świetle pochodni załśniły marmurowe kafelki, którymi wgłębienie było wyłożone. Po chwili dostrzegł rynnę wiodącą z kąta katowni. Domyślił się, co odkrył...

Żelazna pani stoi w kącie przy wejściu. Stamtąd umieszczona pod posadzką rynna prowadzi do tej oto łazienki, gdzie czachticka pani kąpie się w krwi.

A może dopiero zamierza to robić?

Uważnie obejrzał łazienkę.

Nie, jeszcze nie była używana. Nawet po najstaranniejszym wymyciu musiałaby zostać jakaś plamka, choćby najdrobniejszy ślad krwi. Również żelazną pannę poddał ponownym oględzinom. Nie odkrył na nożach najmniejszego zadrapania, którego nie dałoby się uniknąć przy czyszczeniu na żadnej z części mechanizmu nie osiadła rdza. A więc

dopiero są czynione przygotowania do potwornego przelewu krwi.

A kiedy Paweł Lederer uprzytomnił sobie, iż jest jedynym obcym, który wie, że tutaj na nieszczęsne ofiary czeka żelazna panna i kąpiel czachtickiej pani, zacisnął pięści i zaciął zęby Musi się stąd wydostać i uniemożliwić planowane zbrodnie! Czego wszakże może dokonać on, zamecznik, który ma jeno mężne serce i pracowite ręce, czego może dokonać jego nowy przyjaciel Jan Kalina, na śmierć skazany bieżeniec?

Jak najrychlej wydostać się z tego dusznego podziemia! Po krótkich poszukiwaniach natrafił na drzwi za kobiercem. Choćby sam diabeł wykuł ich zamek, narzędziami, które dał mu Ficko, w końcu je otworzy! Drzwi wszakże, o dziwo, nie były zamknięte. A więc dlatego Ficko wprowadził go tutaj nie czyniąc najmniejszego hałasu.

Paweł Lederer znalazł się w szerokim murowanym korytarzu, który coraz, to skręcał. Co pewien czas odchodziły od niego w prawo i w lewo węższe, nieobmurowane korytarczyki.

Nie zbaczając biegł głównym korytarzem, jakby śmierć deptała mu po piętach. Dokąd wszakże wiedzie ten korytarz, jakie niespodzianki jeszcze go czekają?

Po pewnym czasie poczuł, iż powietrze jest już świeższe. Serce zabiło mu radośnie.

Jeszcze chwila i korytarz skończył się murem.

Staął i rozejrzał się.

Dym pochodni wzbijał się ku żelaznym drzwiom po lewej stronie, do których prowadziły strome schody. Jak wszakże otworzyć te drzwi-zapadnię? Tu nie pomogą narzędzia ani siła, jeno rozum.

Wszedł po schodach i oglądał drzwi kawałek po kawałku. Zawiasy są po lewej stronie, zatem nie może otworzyć drzwi stojąc na górze, albowiem strąciłyby go ze stromych

schodów albo zmiażdżyły swoim ciężarem o mur.

Zapalił drugą pochodnię i wyteżył wzrok. Piędz po piędzi opukiwał ścianę, lecz nigdzie żadnego odgłosu!

Zlany potem usiadł na stopniu, rozglądał się dokoła i zastanawiał. W pewnej chwili spostrzegł, iż po prawej stronie, pod przeciwległą ścianką korytarza ziemia jest jakby wybrzuszona, pulchniejsza niż koło schodów, i widać na niej liczne ślady stóp, jakby się tam ktoś z kimś bił albo wycinał hołubce.

Wstał, gorączkowo jął rozgarniać sypką ziemię. Raptem namacał wzdłuż ściany grubą, długą żerdź. Odłożył pochodnię i niecierpliwie, jakby się obawiał, że nagle zniknie mu sprzed oczu, ułapił ją oburącz i pociągnął z całej siły.

Bum!

Drzwi opadły i z ogłuszającym łoskotem obity się o mur. Na górze zaszeleściły gęste suche krzaki, które je obrastały.

Paweł Lederer jak urzeczony wpatrywał się w błękitnawy prostokąt nad sobą. To uśmiechało się doń rozgwieżdżone niebo. Nieprzytomny ze szczęścia wybiegł po schodach na górę. Rozłożył ramiona, jakby chciał objąć cały świat. A księżyc zdał mu się najwspanialszym cudem.

Nagle skoczyła na niego jakaś czarna postać, głowę przeszył ból straszliwy od uderzenia twardej pięści i zwałił się na ziemię jak rażony gromem.

Jeszcze jakby z ogromnej dali posłyszał śmiech, potem gwiaździste niebo nad nim zasnuło się mrokiem i on także pogrążył się w mroku...

Oskarżenie zetłałych kości

Jan Kalina szybko nawykł Jo nowego zbójnickiego żywota. W Andrzejcu Drożdziej i je go zawadiackich towarzy-

szach znalazł oddanych druhów.

Ale niebawem poddał ich przyjaźń ciężkiej próbie. Siedzieli akurat wokół ogniska w jednej z kryjówek. Przedstawił zamierzenia, przede wszystkim to najbliższą noc.

— Przyjaciele, ślubowaliście mi, iż moja walka stanie się waszą walką. Zbójników uważa się za wyrzutków, pańskie prawa mają dla nas jeno karę haniebną śmierci. Jeśli nie będziemy dawać baczenia, lada dzień spłonimy na stosie z odciętymi głowami i członkami, zawisniemy na szubienicy lub zemrzemy łamani kołem. Ufajmy, iż nie spotka nas taki los. A gdyby nawet miał spotkać, pokażemy, że strach przed nim nie uczyni z nas tchórzy, nie będziemy jak susły kryć się po ciemnych norach, póki nas głód z nich nie wygna.

Tak mówił, zaś zbójnicy zbożnie go słuchali.

Ogień trząskał i szerzył miłe ciepło.

— Walki z Elżbietą Batorówną, którą wszczynamy — ciągnął Kalina — nie możemy wieść sami. Na głos zbójników panowie będą głusi. Musimy znaleźć współbojowników, których słowa panowie sobie ważą, i to więksi panowie niż jest czachticka pani. Nasamprzód musimy pozyskać Jana Ponicensa-Ponickiego.

Zbójnicy chybaby parsknęli śmiechem, gdyby nie rzekł tego tak poważnie.

Oni i — pastor! Lecz Kalina zaraz im wszystko wyjaśnił.

— Żaden z nas nie może przekroczyć progu urzędów, gdyż przypląciłby to głową. A choćby któryś się odważył, cóż innego by uzyskał za oskarżenie rzucone na jedną z najbogatszych i najbardziej poważanych magnatek węgierskich, jeśli niezaostrzone więzienie i karę śmierci? Inaczej wszakże przyjęto by oskarżenie z ust czcigodnego i cieszącego się szacunkiem starca, wspieranego i chronionego przez kościelne, a jak mniemam również przez świeckie

urzędy!

Andrzej Drozd siedział przy ognisku milczący, zapatrzony w płomienie. Wciąż jeszcze nękało go pytanie, dlaczego podarował dziewczynie swego konia. I dlaczego nie jest zdolny myśleć o niczym innym jeno o tym drobnym, ładnym stworzeniu?

Dopiero teraz z uwagą jął przysłuchiwać się wywodom przyjaciela. I przecząco machnął ręką:

— I na cóż to wszystko się zda, Janie? Darmo byśmy szukali sprzymierzeńców wśród panów. Pan od pana się nie różni, wszyscy ciągną za jeden postronek. I pastor jest panem. A zresztą nie ma na świecie sądu, który by osądził czachticką panią, choćby nawet wymordowała pół kraju.

— Dobrze mówi! Dobrze mówi!

— Skręcić kark każdemu napotkanemu panu, a przede wszystkim Elżbiecie Batorównie — rzekł posepnie Andrzej Drozd — oto, co jedynie możemy zrobić! Wybijać ich, puszczać z dymem!

Wawrzek dołożył na ogień chrustu z takim zapałem, jakby podpałał czachticki zamek.

— Gdybyśmy, powiedzmy, podpálili zamek i sami skazali czachticką panią na śmierć, co byśmy osiągnęli? Pani, jako nieszczęsnej ofierze rozbewzwoionych zbójników, towarzyszyłoby do grobu współczucie panów i niepanów, my zaś rychło spotkalibyśmy się z nią w piekle. Albowiem wnet urządziliby na nas takie łowy, jakich świat nie widział! Wyłapałiby nas poznalibyśmy w którejś z naszych kryjówek, jak się umiera z głodu...

Ostudził zapał zbójników wzbudzony słowami Andrzeja Drozda i widział, że pozyskuje ich dla swoich zamierzeń. Kiedy wszakże objaśniał, co trzeba uczynić najbliższej nocy, wyczytał na ich obliczach grozę.

— Pójdziemy do kościoła i przekonamy się, czy prawdą jest, iż poprzednik obecnego proboszcza, Andrzej Berthoni,

potajemnie pochował w krypcie dziewięć dziewcząt uśmierconych w zamku.

Wokół ogniska zapadła grobowa cisza, którą naruszał jeno trzask płonących gałęzi.

— Co to, to nie, kamracie! — zawołał Wawrzek, najbardziej przesądny ze wszystkich. — Z diabłem wziąłbym się za bary nawet do samego piekła możesz mnie posłać, lecz umarli niech spoczywają w spokoju. Do śmierci by nas prześladowały.

— Tak, do śmierci by nas prześladowały — odrzekł mu ostro Kalina — ale gdybyście naruszyli ich spokój dla niej przyczyny, nie zaś po to, by odsłonić tajemnicę ich śmierci i dopomóc w tym, aby ich zabójców dosięgła kara!

— A co by nam dało wygrzebanie ich kości? — spytał Wawrzek z rozdrażnieniem.

— Pokazalibyśmy wątpiącym, iż Elżbieta Batorówna już przed laty dopuszczała się krwawych zbrodni. Trumny z ciałami zamordowanych dziewcząt byłyby pierwszym wielkim oskarżeniem przeciwko zamkowi!

Długo musiał perorować, nim ich przekonał i przewyciężył zabobonny strach przed wydobyciem zwłok z grobu.

Kiedy się ściemniło, zbójnicy pod przewodem Kaliny wyruszyli do Czachtic.

— Ja nie pójdę z wami, na nieboszczyków jest was dosyć — uśmiechnął się Andrzej Drozd. — Nie żebym się bał, lecz dla tego, że od dzisiaj będę chodził na czaty w to podejrzane miejsce, o którym wam wspominałem. Jak będziecie gotowi zbroccie za Wiśniewem i gwizdnijcie na mnie.

Zbójnicy darmo dodawali sobie animuszu. Zabobonny strach ogarniał ich wciąż odnowa. Przy kościele przystanęli niepewnie pośród krzyży i nagrobków zalanych światłem księżycy. Gdyby się nie wstydzili, uciekliby stąd na złamanie karku.

Kalina skierował się prosto do drzwi kościoła. Był pewien, iż na cmentarzu nic nie znajda. Tu nie może być tajnych grobów. Całe Czachtice wiedzą o każdym nowym grobie. Tutaj nie ma żadnej tajemnicy.

Drzwi kościoła jak zwykle były otwarte.

Zbójnicy z ociąganiem weszli za Kaliną i potykali się między ławkami.

Przed ołtarzem łagodnie mrugała wieczna lampka, a przez barwne okna wpadały blade promienie księżyca.

Kościół należy obecnie do ewangelików, lecz katolicka wieczna lampka nadal nieustannie świeci, a to gwoli przesądowi, że jeśli lampka zgaśnie, kościół się zawali. Gdyby nawet nie było tego przesądu, po cóż miano by w kościele zmieniać wszystko podług nakazów nowej wiary, skoro nie wiadomo, czy już jutro katolicy znów nie będą odprawiać w nim mszy? Albowiem wiara zmienia się w zależności od nastroju i wyrachowania panów. A jaką wiarę wyznaje pan, taką muszą wyznawać i poddani.

Kalina wziął z zakrystii świecę woskową, zapalił ją od wiecznej lampki i poświecił na kamień nagrobny, pod którym spoczywał ostatni Országh. Na marmurowej płycie leży postać rycerza z proporcem w ręku, u nóg herb Országhów i napis: „Hic iacet Spectabilis as Magnificus Dmus olim Comes Christophorus Országh de Guth Judex Curiae as consilarius Sacrae Rom. Caesariae Mattis nec non Comitatus Neogradien Comes. Obiit aetatis a. 32 Die Oct. 1567.”*

Kalina czytał napis, który od dawna umiał na pamięć, z czasów, kiedy jeszcze jako katolik służył do mszy, kiedy

* „H i c i a c e t S p e c t a b i l i s...” — łaciński napis na płycie nagrobnej. W przekładzie: „Tu leży urodzony i wielmożny pan, niegdyś graf Krzysztof Országh z Guthy, sędzia krajowy i doradca najjaśniejszego cesarza rzymskiego, jak również graf żupy nowomiejskiej. Zmarł w wieku trzydziestu dwóch lat 9 października 1567.” Krzysztof Országh był ostatnim z rodu, gdyż ze swoją małżonką, Heleną Zrinyi, nie miał dzieci. Po jego śmierci wszystkie jego posiadłości przypadły komorze królewskiej.

jeszcze państwo wraz ze wszystkimi poddanymi nie przeszli na wiarę ewangelicką. Wpatrywał się w napis jakby wyczytał żeń coś nowego, jakby między zatartymi literami objawiła mu się wielka tajemnica.

— Kamraci, wyjmijmy ten kamień! — rzekł do zbójników, którzy stali wokół nie osmielając się oderwać. Wiedział, że jedynie w krypcie Országha, niegdysiejszego pana czachtickiego zamku, mogą coś znaleźć.

Uśluhali bez słowa. Podźwignęli ciężki kamień i cicho, bez najmniejszego hałasu złożyli go obok otworu. Z krypty wionął ciężki zaduch. Kalina bez wahania zszedł na dół ze świecą w rękę. Ledwo rozejrzał się po krypcie, oczy mu zaśmiały.

— Są tu! — zawołał do zbójników. — Dziewięć trumien stoi na trumnie Krzysztofa Országha i obok niej. Wyniesiemy wszystkie, jeno trumny Országha nie!

Wezwał na dół Wawrzka.

Wawrzek chcąc nie chcąc zszedł do niego.

— Widzisz — tłumaczył Kalina — w tej wielkiej, drogocennej trumnie leży ostatni Országh, zaś w tych dziewięciu, zbitych z nieheblowanych desek, dziewięć nieszczęśliwych dziewcząt, których zwłok szukamy... Potem podawali z dołu trumnę po trumnie, zaś zbójnicy ustawali je w kościele.

Kiedy wyszli z krypty, zbójnicy byli już przy drzwiach, oddychali z ulgą i pragnęli co rychlej znaleźć się jak najdalej od tego straszego miejsca.

— Jeszcze nie koniec! — powstrzymał ich Kalina — Musimy jeszcze zrobić to, czego inni by nie zrobili...

Chwycił dłuto i jął otwierać trumny.

Roztoczył się przed nim przerażający widok. Dziewięć trupów naznaczonych już ostatecznym piętnem nieubłaganej skazy, zwłoki dziewięciu dziewcząt, które mogły żyć jeszcze teraz, cieszyć się życiem, rodzić dzieci.

W jednej z trumien Jan Kalina ku swemu największemu zdumieniu znalazł poźółkły, zapieczętowany list. Wyjął go i przeczytał:

„Niechaj to oto pismo Andrzeja Berthoniego w jakimkolwiek czasie zostanie oddane czachtickiemu głosicielowi Słowa Bożego, ktokolwiek by nim był i jakkolwiek by się zwał.”

Brała go pokusa, by list otworzyć i przeczytać, jakąż to tajemnicę powierza Andrzej Berthoni swemu następcy. Lecz wahał się jeno chwilę. Wsunął list do kieszeni, postanowiwszy przy pierwszej sposobności doręczyć go pastorowi, do którego był skierowany.

Zbójnicy jeno z daleka obrzucali trumny bojaźliwymi spojrzeniami. Byli śmiertelnie bladzi, tak samo jak Kalina, kiedy podszedł do nich.

— Jutro — rzekł — całe Czachtice się wzburzą, Przyjdą tu wszyscy, aby obejrzyć ten straszliwy obraz. Nikomu nie trzeba nic tłumaczyć, każdy będzie wiedział, kto leży w trumnach i kto jest mordercą tych dziewcząt... A teraz uchoźmy!

Szli posepni i zgnębieni. Dopiero za Czachticami zrobiło im się lżej na duszy,

„Czy też Drozdowi się poszczęściło?” — pomyślał Jan Kalina, gdy jeden ze zbójników gwizdnął przenikliwie. Gwizd poniósł się wesoło przez cichą noc, a za chwilę ozwała się odpowiedź. Całkiem z bliska.

Andrzej Drozd witał swoich druhów rozradowany:

— Widzicie, zem się nie mylił? Onegdaj, gdy szedłem z tymi staruchami, Iloną i Dorą, i chciałem uwolnić młodą dziewczynę, która była z nimi, w tym miejscu klasnęły w ręce i raptem znikły mi sprzed nosa. Domyśliłem się, że są tutaj tajemne drzwi, Bóg wie dokąd wiodące. I nie darmo zasadziłem się na czatach. Zamiast baby schwytałem jakiegoś galanta, z którym niestety jeszcze nie gawędziłem,

albowiem bardzo twardo usnął, gdy go pogłaskał.

Zbójnicy otoczyli mężczyznę, który leżał nieruchomo u nóg Drozda.

Kalina w pobliskim potoku zaczerpnął wody do kapelusza i chlusnął ją twarz nieprzytomnego mężczyzny. Ten ocknął się z omdlenia i rozglądał wkoło oszołomiony.

Światło księżyca padło na jego twarz, a Kalina nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Paweł! — zawołał zdumiony. — Tyżeś to? Skąd się tu wziąłeś?

Paweł Lederer nie mniej zdumiony zerwał się z ziemi i przyjaciele padli sobie w objęcia.

Gdy zamecznik opowiedział swoją osobliwą przygodę, Kalina rzekł:

— Nie, Pawle, nie uciekniesz, lecz wrócisz do katowni i naprawisz żelazną pannę.

Lederer spojrział na przyjaciela szeroka otwartymi oczami.

— Tak, naprawisz żelazną pannę, by pozyskać zaufanie czachtickej pani. Dasz się najać do służby u niej. Tym sposobem będziemy mieli w zamku swojego człowieka. Wracaj natychmiast, aby nie spostrzeżono twojej ucieczki. Naprawisz żelazną pannę, zaś naszą powinnością będzie czuwać, aby nie miała kogo brać w objęcia.

— Dobrze! — przystał Lederer bez wahania i przyjaciele uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

— Jutro o tym czasie — rzekł Kalina — będę na ciebie czekał przy czastkowickiej drodze krzyżowej.

Zdrajca

Wróciwszy do katowni Paweł Lederer wyciągnął się na

kobiercu. Wyczerpany ekscytującymi przeżyciami, z głową obolałą od ciosu Drozda, usnął niczym na najmiększym łożu.

Wcale nie słyszał, jak w drzwiach zgrzytnął klucz i wszedł Ficko, który zdumiał się niepomierne, stwierdziwszy, że zamecznik śpi jak kłoda.

— Wstawaj, śpiochu! — zatarł nim. Zamecznik siadł i przecierał oczy.

— To było do przewidzenia, że taki obwieś zeżre, co ma na podorędziu, wysuszy dzban i chrapnie sobie. A co z robotą, hę? — podskakiwał rozindyczony.

— To nie jest robota dla mnie — wymawiał się Lederer — nie będę włąził w paradę zegarmistrzowi.

Ficko się wykrzywił.

— Patrzcie no. To, coś w Krupie u grafa Brunschwicka wykonał z radością, u nas ci śmierdzi. Ale żebyś wiedział jeśli tego nie naprawisz, już nigdy nikomu nie wleziesz w paradę.

— Naprawdę — rzekł Lederer po chwili ostentacyjnego wahania — nie dlatego, bym się zląkł twoich grózb, ale dlatego, aby ci pokazać, że nie byle jaki majster.

Ficko przypatrywał się z zainteresowaniem, jak się krząta wokół żelaznej panny. Nie zdołał ukryć podziwu, gdy zamecznik po krótkim poszukiwaniu znalazł uszkodzenie i naprawił je.

— A teraz stań tutaj, wypróbujemy, czy uściski panny są dostatecznie ogniste — powiedział ze śmiechem, chwycił Ficka za ramiona i popchnął do żelaznej panny.

Ficko odskoczył z przerażeniem.

Widział na własne oczy, iż żelazna panna działa sprawnie.

Zamecznik przyklął obok pieniędzy, rozdzielił je na dwie kupki i rzekł:

— Narabiłeś mi lekki zarobek. Nie jestem niewdzięcznikiem podzielę się z tobą. Oto twoja część!

Oblicze Ficka rozpromieniło się. Przyskoczył do kupki monet i zachłannie pakował je do kieszeni. Nie posiadał się z uciechy.

— Spodziewam się, że i ty nie okażesz się niewdzięczny — natarł zamecznik na Ficka, który z uszczęśliwioną miną poklepywał się po wypchanej kieszeni — i wyjednasz mi miejsce u swojej pani, co po prawdzie już mi obiecałeś. Dość natulałem się po świecie, rad osiadłbym gdzieś, gdzie dobrze płacą.

— Dopomogę ci w tym — zapewnił go Ficko. — a skoro to mówię, to tak jakbyś już był dworskim zamecznikiem!

Lecz nagle spochmurniał:

— Jeno, że jesteś, przyjacielem zbójnika Kaliny. Jakże więc mogę ci zawierzyć?

— Jak mam zyskać twoje zaufanie? Czego żądasz?

— Kaliny albo Drozda! — odparł Ficko bez namysłu. — Pomóż mi wciągnąć któregoś z nich w pułapkę, a będziesz miał zapewnione ciepłe miejsce do samej śmierci.

Paweł Lederer w zamyśleniu krążył po katowni. Ficko z szyderczym grymasem wodził za nim wzrokiem.

W końcu zatrzymał się przed Fickiem, spojrział mu twarodo w oczy i zapytał:

— A co za to dostanę? Ile?

— He, he, he! — zarechotał Ficko. — Widzę, żeś chłop do rzeczy! Dogadamy się. Gdybym nie posłyszał od ciebie tego pytania, wyśmiałbym cię. Ja dałbym ci tyle, ile zdołałbyś unieść. Wszelako to zależy od pani, ile dostaniesz.

— Połowa znowu będzie twoja! — rzucił wielkodusznie Paweł.

Ficko znów zarechotał.

— Okrutnie mi przypadłeś do gustu, okrutnie! Będziemy

przyjaciółmi. Ale czas już, abym zaniósł pani radosną wieść, że panna jest naprawiona, i wyprowadził cię stąd.

Zawiązał mu oczy.

— Muszę to uczynić — rzekł, jakby się usprawiedliwiał — albowiem tutaj nikt nie śmie wejść z niezastłoniętymi oczami. Nie będziesz tu miał wstępu nawet jako nasz człowiek zatrudniony w zamku, a jeśli, to także jeno z zawiązanymi oczami. Wielce musisz się zasłużyć, nim wolno ci będzie rozglądać się tu swobodnie jak po zamkowym dziedzińcu.

Po pewnym czasie Ficko zdjął Ledererowi chustę.

Ujrzał oświetlony pochodnią korytarz, który po kilku krokach tak się zwięził, iż nie mogli iść obok siebie.

— Tutaj zawsze bywam najgrzeczniejszy, he, he, he! — zaśmiał się Ficko — swojego towarzysza zawsze przepuszczam do przodu. Ale ty zasłużyłeś na to, abym nie był wobec ciebie... taki grzeczny. Stój!

Postąpił parę kroków, postawił na ziemi dzban od wina, który zabrał z katowni, po czym wrócił, puścił Pawła do przodu, a kiedy len znalazł się o jakiś metr od dzbana, rzekł:

— Stań i oprzyj się dobrze o ścianę, bowiem oczy twoje ujrzą coś, czego jeszcze nie widziały. I dawaj baczenie, by nie zakreśliło ci się w głowie, bo nimbyś się spodział, już by cię szczury obgryzały, he, he...

Usłuchał. Ledwie oparł się o mur, ziemia przed nim rozwarła się, zwodzone drzwi opadły z ogłuszającym łoskotem, a w następnej chwili postyszał, jak dzban roztrzaskał się na dnie zapadliska.

— Widzisz, jeno swojemu rozsądkowi zawdzięczasz, że nie spotkał cię los tego dzbana — oświadczył Ficko.

Z zapadliska buchnął trupi odór. Ficko z nietajoną rozkoszą napawał się przerażeniem zamecznika.

— Jenó zdrada cię ocaliła, kamracie — ozwał się w końcu przyjacielsko, lecz natychmiast głos jego zadźwięczał groźbą: — Ale musisz tej zdrady dokonać, bo jeśli nie, to mamy tu i ówdzie jeszcze kilka takich zapadlisk gotowych pochłonąć każdego, kto okaże nieposłuszeństwo albo kogo zacznie świerzbić język.

Pociągnął za ukryta w murze i zamaskowaną dźwignię i drzwi się uniosły. Paweł Lederer, znowu z zawiązanymi oczyma, kroczył za śmiejącym się nieustannie Fickiem.

Kiedy karzeł ściągnął mu z oczu czarną chustę, stwierdził, iż znajduje się w izbie o okopconych ścianach i dawno nieszorowanej podłodze. Prycza, stół, ława i skrzynia z nieheblowanych desek — to było całe jej umeblowanie.

5. Pod kasztelem bitwa, na rynku szubienica

Przygotowania

Ficko zostawił zamecznika w swojej izbie, sam zaś udał się do pani. W Pawle ta brudna nora budziła taki wstręt, że nawet wsiąść się brzydził. Czas mu się dłużył, więc stanął przy niewielkim oknie.

A było na c o patrzeć.

Podwórzec roił się od ludzi, mężczyzn i niewiast, hajduków i służby. Wszyscy rozprawiali o czymś z podnieceniem, a na widok Ficka rozpierzchli się w popłochu, Ficko krzyknął na umykających hajduków. Przystanęli wylęknięci, a na pytania odpowiadali jakby z ociąganiem. Ficko straszliwie się rozsierdził. Wrzeszczał tak, że nawet Lederer słyszał, skakał, jakby giez go ukłuł, i wściekle wymachiwał rękoma.

Wtem otwarła się brama zamkowa i na dziedziniec wpadła na Wichrze czachticka pani wracająca z porannej przejażdżki. Twarz miała zarumienioną, a ruchy tak żywe, iż Paweł Lederer, który przyglądał się jej z ciekawością, nie mógł wyjść z podziwu. Osadziła konia przy Ficku i hajdukach i zapytała z rozdrażnieniem:

— Co to sic dzieje? Na ulicach pełno ludzi, a przed kościołem taka ciżba, że ledwo zdołałam przejechać.

Przemilczała, iż nie liczebność tłumu była największą przeszkodą. Ludzie stali murem, z groźnymi twarzami, w pierwszej chwili doznała uczucia, jakby tysiące oczu, pełnych grozy i bezbrzeżnej nienawiści, wbiły się w nią. Dopiero, gdy wściekle smagnęła Wichra, gotowa przedrzeć się przez tłum, rozstąpili się w milczeniu, bez słowa, dając jej drogę. W drzwiach kościoła ujrzała Jana Ponicensa. Stał tam jak posąg, jak uosobienie wyrzutu. Majestatycznie wzniesiona głowa nie pochyliła się w ukłonie...

— Dzieją się straszne rzeczy, miłościwa pani — odparł Ficko, który dopiero przed chwilą dowiedział się o nocnych wydarzeniach. — Dziś rano kryptę Országha zastano otwartą, a w kościele stało dziewięć otwartych trumien ze zwłokami dziewięciu dziewcząt...

Pani zbladła.

— Kto to uczynił? — wybuchnęła.

— Ponoć ziemia sama wyrzuciła je ze swego łona, albowiem...

— Nie jestem ciekawa, co baje ciemny lud — przerwała mu z rozdrażnieniem, gdyż i ona, będąc przesadną, nasamprzód pomyślała, iż wdały się w to tajemnicze, nadprzyrodzone siły,

Fickowi błysnęła zbawienna myśi i, obliczeniu się rozjaśniło.

— Nikt inny tego nie uczynił, jeno Jan Kalina ze zbójnikami! — zawołał tryumfująco.

On czy nie on, to nie ma znaczenia — pomyślał. Niechaj pani zapłonie gniewem i niechaj zarządzi bezlitosne łowy na zbójników. Nie umknie ni Kalina, ni Drozd! Kalinę tak jakby już miał w garści. A będzie miał i Drozda, trzeba jeno ruszyć głową!

— Jeszcze dzisiaj chcę Kalinę tu widzieć, żywego czy umarłego! — zawołała pani głosem chrapliwym ze złością — Biada ci, jeśli go nie przywiedziesz!

Ficko rozwrzeszczał się na zgromadzonych na podwórku ludzi, aby patrzyli swojej roboty. Hajducy, słudzy i poddani rozbiegli się jak oparzeni.

Potem Ficko opowiedział pani, jakiego dobrego zamecznika jej znalazł, a zarazem wybornego pomocnika dla siebie, w końcu zaś przedłożył swój plan wyłapania zbójników po schwytaniu Drozda.

— Dobrze — wyraziła zgodę pani. — Z zamecznikiem zrób, co uznasz za właściwe. Za Kaliną, żywego czy umarłego, dostaniesz dwieście złotych. Aby zaś ni jeden zbójnik nam nie uszedł, zażądaj od najbliższych miast przysłania do Czachtic wszystkich pandurów, bez których mogą się przez kilka dni obyć. Z moich wsi ściągnij połowę hajduków.

Po chwili na podwórku znowu się zaroiło niby w mrowisku. Ficko wydawał rozkazy, konni i piesi posłańcy ruszali we wszystkie strony zwoływać do Czachtic pandurów i hajduków.

Kiedy Ficko wrócił do swojej nory, Lederer wciąż jeszcze stał przy oknie, dziwując się nowej gorączkowej bieganinie.

— Winszuję ci, kamracie — zwrócił się doń Ficko — i winszuję również sobie. Masz tyle szczęścia, że i na mnie zawsze krzyna spada. Od tej chwili jesteś dworskim zamecznikiem. Dawny zamecznik już zbiera manatki, aby zrobić ci miejsce. Jeśli dziś jeszcze schwytamy Kalinę, znowu dostaniesz dwieście złotych, właściwie sto, he, he, he, a sto ja.

Lederer roześmiał się do wtóru Fickowi, lecz jakoś z przymusem i cierpką, nękała go bowiem myśl, czy dobrze uczynił podejmując się tego zadania i czy Jan Kalina z jego winy nie straci życia.

Jeszcze bardziej zaczął się gryźć, kiedy podwórzec wypełnił się hajdukami i pandurami z pobliskich miast.

Czerwone mundury falowały jak krwawe morze. Brzęczały ostrogi, szczekała broń, rżały pokryte pianą konie, strażnicy ładu i spokoju klęli zbójników, przez których muszą narażać skórę.

Gdy padnie rozkaz, wysypią się z podwórca jak sfera diabłów...

Paweł Lederer jak bez duszy obijał się po swojej izbie, którą jego poprzednik, zamecznik Piotr Duchorowicz, osiwiwały w służbie na czachtickim dworze, tak pośpiesznie musiał opuścić.

Udęczony, siadł na pustej skrzynce. Z zamyślenia wyrwał go łagodny, lecz pełen powagi głos:

— Synu, wybacz, iż tak się do ciebie zwracani, nie znam wszakże twego imienia — odchodzę, by ustąpić ci miejsca. Jednakże zapomniałem zabrać drogą mi rzecz, nie miej mi za złe, iż wróciłem po nią.

I stary zamecznik zdjął ze ściany drewniany krzyż i mały kaganek, palący się pod nim.

Paweł Lederer ze wzruszeniem patrzył na starca, którego cała postać tchnęła dobrocią. Sumienie go gryzło. Zdecydował się. Wstał, by uścisnąć mu rękę, prosić o przebaczenie, że chciał zająć jego miejsce, i zapewnić, że nie pozbawi go chleba. Pójdzie szukać pracy gdzie indziej.

Lecz raptem jego wzruszoną twarz wykrzywił szyderczy grymas, a osłupiałego starca smagnęły okrutne słowa:

— Stary głupiec!...

Tę nagłą przemianę wywołało pojawienie się w drzwiach Ficka, który słysząc to wybuchnął śmiechem, zaś Lederer mu zawtórował.

Piotr Duchorowicz spojrział na nich ze smutkiem, przycisnął drewniany krzyż do piersi i wyszedł bez słowa.

— Masz słuszność, kamracie, to głupiec! — Ficko poklepał Lederera po ramieniu. — Ciekaw jestem, czy mu jego Zbawiciel teraz pomoże, kiedy nie ma gdzie się po-

dział, a musi bezzwłocznie wynieść się stąd razem z rupieciami, i sześciorgiem osieroconych wnucząt, które wziął do siebie, aby pospołu z nim modliły się i głodowały. Niechybnie pod jakąś rosochatą wierzbą diabeł go porwie razem z tymi bachorami, he, he, he!...

W pułapce

Andrzej Drozd z kryjówki na szczycie Pleszivca z zaniepokojeniem obserwował trakt i boczne drogi:

— Chłopcy, coś złego się szykuje!

Zbójnicy spojrzeli w dolinę.

— Do Czachtic już od południa ściągają zewsząd pandury i hajducy. Łacno się domyślić, po co ich zwołali.

— Do diaska! — ulżył sobie Wawrzek. — Jak tak pójdzie do wieczora, to jutro wypadnie na nas cała chmara tych pańskich psów!

Zbójnicy spojrzeli po sobie bezradnie.

— Oby już była wiosna! — westchnął któryś.

To dopiero jest życie, kiedy lasy przyodzieją się w gęstą zieleń, a każda dolina, hala i zagajnik ochoczo udzielają schronienia. Wtenczas nie trzeba za dnia się kryć i jeno w nocy wychodzić na świat. Wtenczas zbójnicy są wolni i bezpieczni jak ptaki.

— Mamy za to nieszczęsne trupy! — rzucił Wawrzek, ale w jego głosie nie było wymówki. — Hej, toż to musiał być dzisiaj w Czachticach sądny dzień! — oczy zaświeciły mu z uciechy, kiedy wyobraził sobie, w jaką wściekłość wpadła czachticka pani dowiedziawszy się o ich nocnym wyczynie.

Tymczasem zbójnicy naradzali się, co począć, aby atak nie zaskoczył ich nieprzygotowanych. Byli pewni, iż nie

nastąpi wcześniej jak nazajutrz, noc bowiem nie sprzyja łapaniu zbójników. A nazajutrz oni już będą za górami, za lasami.

— Wieczorem pójdę na spotkanie z przyjacielem — mówił Jan Kalina — wy zaś wystarajcie się o prowiant. W Żelovanach, Hrachowiszczu, Kościelnem i Krajanem zajdźcie do karczmy, weźcie słoninę, szynki i wino i jak najrychlej zbierzcie się za wiśniewską gajówką, gdzie i ja przyjdę, tam się naradzimy, w której kryjówce, dobrze zaopatrzeni w żywność, przeczekamy, póki ta czerwona szarańcza nie odleci.

Wszyscy zgodzili się na to.

O zmierzchu Jan Kalina wyruszył na spotkanie z Pawłem Ledererem. Kiedy z góry ogarnął wzrokiem okolice i ujrzał wieże czachtickiego kościoła, serce zabiło mu żywiej. Stęsknionymi oczyma szukał dwóch chat w małej uliczce. Ze wstydem uświadomił sobie, iż bardziej tęskni za Mariszą niż za staruszką matką, i zdjęła go pokusa, by zboczyć do Czachtic. Jeno na chwilę stanął pod oknem, ujrzeć twarz matki i ucieszyć oczy widokiem Mariszy. Wieczorami często opanowywała go ta tęsknota, lecz zawsze ją przełamał. Przemógł i teraz i rażno ruszył do Czastkovic.

Na skraju wsi w pobliżu młyna, na poboczu obramowanej drzewami drogi, gdzie zaczynały się stacje Męki Pańskiej, siadł na wyciosanej z kamienia ławie.

Gałęziami drzew kołysał słaby wietrzyk, poniżej drogi szemrał potok i sennie stukały koła młyńskie.

Myślał o siostrze. Biedna Magdusia. Gdzie jest, jaki los ją spotkał?

Kto wie, czy nie wrócił za późno, czy jej łagodne, płochliwe oczy już nie zagasły czy okrutna śmierć nie starła różanej barwy z jej lic?

Z wdzięcznością wspomniął swojego nowego przyjaciela Lederera. Z jego pomocą, gdy najmie się do pracy

w zamku, niechybnie uda mu się odnaleźć siostrę — żywą czy umarłą.

Posłyszał kroki, podniósł głowę.

Zbliżała się ku niemu ciemna postać.

— Czy to ty, Pawle? — zapytał.

— Tak, ja.

W tej samej chwili Kalina osłupiał.

Jakby drzewa wokół stacji Męki Pańskiej nagle przemieniły się w ludzi, ze wszystkich stron suną ku niemu ciemne postacie. Ile ich jest? Nie nadąza policzyć. Ale z taką chmarą nawet cała drużyna Drozda miałaby sporo pracy.

Wtem dojrzał niską, kuternogą postać.

Byłbyż to Ficko? Jego podejrzenie wnet zostało potwierdzone: posłyszał skrzekliwy śmiech.

— Co to ma znaczyć? — spytał zbity z tropu.

— O nic nie pytaj — odparł Paweł Lederer. — i bądź rozsądny. Nie wdawaj się w walkę z przeważającą siłą.

Czyżby najlepszy przyjaciel zdradził go? Nie inaczej. Stoi tu jak skamieniały, przygnieciony swoją nikczemnością, podczas gdy ciemne postacie przy wtórze rechotu Ficka osaczały jego ofiarę.

Zdjęty straszliwym gniewem przyskoczył do zamecznika i uderzył go pięścią w twarz.

— Podlec! Zdrajca!

Wtem Ficko rzucił się nań i opasał go rękoma i nogami jak obręczami. I już się tarzali po ziemi. Po chwili, gdy przyłączyli się do tych zmagających hajducy, miotał się tam kłęb ciał. Kalina walczył zaciekle, niebezpieczeństwo przydało mu się. Bił i kopał, drapał napastników, gryzł. Było ich ze dwudziestu, a i Lederer im pomagał: chwycił jego nogi w pętli i związał niemiłosiernie jak kłody drzewa. Tak zaciśnął postronek, że Kalina z bólu zgrzytnął zębami.

— Nie rzucaj się, przyjacielu — uspokajał go Lederer

— twoje wysiłki są daremne.

— Judasz jest twoim przyjacielem — krzyknął Kalina.

— On przewyższył Judasza, he, he, he! — ozwał się Ficko, — Zdradza jeno za złoto!

— Za złoto mnie zdradziłeś? — zapytał Kalina, a w jego głosie rozjątrzenie mieszało się z nieopisanym bólem.

Lederer patrzył na przyjaciela bez słowa. Gdyby w tej chwili świecił księżyc, Kalina ujrzałby przed sobą kajającego się człowieka, którego twarz odzwierciedlała bezbrzeżny żal, smutek i ból.

— Przebacz mi! — rzekł ze skrucą.

— Mojego trupa proś o przebaczenie, kiedy zawisnę na szubienicy!

— Nie rób sobie oskomy na szubienicę, he, he, he, byłaby to zbyt lekka śmierć dla ciebie.

Rzucili go na wóz, który ruszył do Czachtic.

Elżbieta Batorówna cały ten wieczór przeżyła w męczącym niepokoju. Pierwszy raz w życiu ogarnął ją lęk, nie-swoja krążyła po komnatach zamku, ostrymi słowami przepędzała służebne i co chwila wyglądała oknem, czy już Ficko nie wraca z Kaliną.

Musi schwytać i ukarać wszystkich zbójników, choćby nie wiem co! A nasamprzód Kalinę, który jest człowiekiem uczonym i dlatego najniebezpieczniejszym! Zadufanie przemogło lęk. Któż by się poważył ograniczyć swobodę postępowania Elżbiety Batorówny, należącej do znamienitego rodu, wdowy po bohaterze i zwycięzcy nad Turkami Franciszku Nádsadym, siostry księcia siedmiogrodzkiego Gabriela*, synowicy króla polskiego Stefana Batorego! A jeśli by się ktoś poważył, pokaże mu, że ona zawsze będzie robić, co zechce i przed każdym obroni swoją swobodę! Szczególnie wtenczas, kiedy jej uroda zajaśnieje jak

* Siostra księcia Siedmiogrodzkiego Gabriela — Gabriel Batory był księciem Siedmiogrodu w latach 1608—1613. Elżbieta Batorówna była jego siostrą stryjeczną, a nie rodzoną.

słońce i oślepi młodych i starych.

A ona będzie piękna, jej powaby zasłyną jak kraj długi i szeroki. Swoją urodą omami każdego, nawet prawo!

I biada każdemu, kto ośmieli się mieszać do jej spraw. Zbójników jak najrychlej zgładzi. W zapadliskach zamkowych lochów znikną bez śladu jak kamień w wodzie. Nie, nie odda ich trybunałowi, gdyż nawet pod szubienicą mogliby wykrzyczeć obwinienia przeciw niej. Ale co zrobić z czachtickim proboszczem?

Uświadomiła sobie, iż odczuwa przed nim lęk. Jest przyjacielem superintendenta Eliasza Lániego z Bytczy, jako senior może podburzyć przeciw niej okolicznych duchownych, zna dobrze palatyna Jerzego Thurzo.* Musi go jakoś unieszkodliwić. Przecie stał się jawnym jej wrogiem. Nie przyjął pieniędzy, a Ilonę Harcajównę pochował w cichości, bez nakazanej mowy żałobnej... Zaś dzisiaj nawet nie skłonił przed nią głowy. Trzeba zrobić z nim porządek. Otruć go czy wymóc u władz kościelnych przeniesienie do innej parafii?

Zdecydowana walczyć choćby z całym światem, odurzona wyobrażeniem swej przyszłej urody, chwiejnym krokiem wyszła na podwórzec.

Niespostrzeżona przez, nikogo, obserwowała panujący tam tumult, słuchała brzęku cynowych kubków, śpiewu i pokrzykiwań pandurów, hajduków i służby.

Pośrodku podwórca stał wyprzęgnięty wóz, a na nim ogromna beczka. Z kurka bez ustanku lało się wino do dzbanów. Niecierpliwi wdrapywali się na beczkę i żłopali wino wprost z pipety. Lekkie niewiasty, których nigdy nie braknie tam, gdzie są mężczyźni i wino, zalotnie kręciły się pośród pandurów, piły wino bez zachęty i piszczały, gdy

* Jerzy Thurzo (1567—1616) — graf, nadzupan żupy orawskiej, a od 1609 r. palatyn. Najszlachetniejszy członek swego rodu w początku XVII w. przywódca węgierskich protestantów. Jego główną siedzibą była Bytcza.

obląpiały je lubieżne ręce.

A wtem sprzed zamki dobiegł zwycięski wrzask drużyny Ficka, wracającej z oblawy.

Brama otwarła się na oścież i na podwórzec wjechał wóz ze spętanym Kaliną, otoczony przez hajduków i pandurów.

Podpici pandurzy z radości podnieśli nieopisany zgielk, klepali się po cholewach, skakali jak szaleni i nalewali wino wracającym kamratom.

Wtenczas Elżbieta Batorówna wyszła z ukrycia. Spostrzegł i ją i w jednej chwili na podwórku zaległa cisza.

Przykuśtykał do niej rozpromieniony Ficko.

— Ujęliśmy Kalinę żywcem, miłościwa pani, i składamy go u waszych stóp.

Dwaj pandurzy chwycili Jana Kalinę i jak kłodę rzucili go z wozu do nóg pani.

Pawła Lederera zdurniał wyraz jego twarzy. Nie było to już oblicze, które od pierwszego rzutu oka w Preszporoku, gdzie się poznali i zaprzyjaźnili, wryło mu się niezatarcie w pamięć. To szlachetne, blade, uduchowione oblicze pustosząca burza uczuć zmieniła nie do poznania.

Grafka rzekła lodowatym głosem:

— Oto Jan Kalina, krnąbrny, zuchwały poddany czach-tickiej pani, biezeniec i zbójnik. I cóż, znalazłeś się w mojej mocy rychlej, niż się spodziewałeś. Wiedz, że już jutro dosięgnie cię zasłużona kara, o świcie zawiśniesz na szubienicy!

Zwróciła się do kapitana pandurów:

— Mości kapitanie, niezawodnie nie sprzeciwiacie się temu. Zachodzi bowiem obawa, iż Jan Kalina, który już przed czterema laty zasłużył sobie na szubienicę, mógłby uciec. Ma wielu popleczników.

Kapitan Imrich Kenderessy, aczkolwiek był temu przeciwny, nie ośmielił się zaoponować. W milczeniu skinął głową. A Ficko zapytał:

— Gdzie postawić szubienicę, miłościwa pani?

— Na rynku, aby całe Czachtice widziały, jak się karze rebeliantów, zbiegłych poddanych i zbójników!

Anna Darabulowa z Iloną Jó nie czekając rozkazu już niosły fotel z baldachimem, jak zawsze gdy pani wymierzała na podwórcu sprawiedliwość.

Pani z godnością zasiadła w fotelu.

— Ficko, gdzie jest mój nowy zamecznik?

Paweł Lederer stał jak przykuty do ziemi. Język i nogi wypowiedziały mu posłuszeństwo. Ficko przykuśtykał do niego, chwycił go za ramię i powiódł do grafki.

— Wielce ci jestem zobligowana — uśmiechnęła się doń przychylnie. — Zasłużyłeś sobie na zapłatę i miejsce zamcznika. Zaraz dam ci nową sposobność wykazania się swoimi umiejętnościami. Idź do kuźni i rozżarz kleszcze.

Paweł Lederer nie pojmował, czego chce od niego, domyślił się jednak natychmiast, gdy obróciwszy się do Kaliny spokojnym głosem, z którego wszakże zionęła nienawiść.

— Ukoronowaniem twoich złoczynstw był list, który považyleś się do mnie napisać. Sztukę pisania, którą posiadałeś dzięki swemu zmarłemu panu, Franciszkowi Nádsadyemu, wyzyskałeś do obrażania wdowy po nim, swojej pani, której winien jesteś najgłębszy szacunek i posłuszeństwo. Za to rozpalonymi kleszczami będą ci wyrwane z prawicy trzy palce, co dzierżyły pióro!...

Na podwórcu panowała grobowa cisza.

Jan Kalina leżał u stóp grafki bez ruchu, z zaciśniętymi zębami. Paweł Lederer, przerażony rozkazem, posłyszał rozgłośne bicie własnego serca. On, poczciwy majster, ma użyć swego narzędzia do okaleczenia ręki przyjaciela! Nie, za nic! Chciał zawołać, że będzie pracować od rana do wieczora, do uznojenia, robić wszystko, co jest związane z

jego rzemiosłem, lecz katem nie będzie. Jednakowoż stał jak słup soli.

Ficko znowu chwycił go za ramię.

— Chodź, pomogę ci...

Poszedł bezwolnie. Wciąż jeszcze nie mógł się opamiętać.

— Masz piekielne szczęście, kamracie, he, he, he — szeptał mu do ucha Ficko, Pierwszy dzień jesteś u pani, a już cię tak wyróżniła!

Paweł Lederer widział jedyne wyjście: uciec, uciec jak najdalej z tego zamku, gdzie dzieją się takie potworne rzeczy.

Weszli do kuźni. Ficko z zapalonym naciskał miechy.

Gdy oni w kuźni nagrzewali kleszcze, kapitan pandurów podszedł do grafki:

— Wyrwanie palców, miłościwa pani, jest zaostreniem kary śmierci, Wedle zwyczaju zaostrenie kary winno być dokonane przed samym straceniem, czyli w tym przypadku dopiero nad ranem.

Kapitan rozważył procedurę tego sądu i obawiał się następstw. Wiedział, że jeśli zwierzchność nie przymknie oczu na to samowolne wymierzenie sprawiedliwości, wszystko skrupi się na nim.

— Nie! — wykrzyknęła czachticka pani. — My naruszamy zwyczaj!

Kapitan ośmielił się jeszcze przeciwstawić:

— Skoro tak, trzeba pozwolić zbójnikowi Kalinie wyrazić trzy ostatnie życzenia.

— Dobrze — przystała pani. — Powiedz, skazańcze, jakie masz życzenia?

Jan Kalina poruszył się i zawołał z nienawiścią:

— Mam jedno jedyne życzenie: aby was diabli porwali!

— Twojego życzenia — ozwał się kapitan szyderczo

— niestety nie możemy spełnić. Diabli porwą, ale ciebie.

Jan Kalina nie wyrzekł już ani słowa. Pogodził się z losem. Za chwilę straci trzy palce, a nad ranem żywot. Smutkiem napawała go jeno świadomość, iż nie zdoła ocalić albo chociaż pomścić Magdusi i że staruszka matka i Mariszka Szutowaska stracą obrońcę.

Wtem oczy mu się rozszerzyły. Zbliźali się do niego Ficiko i Lederer, który niby pochodnię dzierżył w rękę długie rozpalone kleszcze. Górna ich część rozżarzona była do czerwoności.

— Kat! Kat! — krzyknął Kalina.

Paweł Lederer już nie zwracał na niego uwagi. Wypatrywał jeno sposobnej chwili, aby wziąć nogi za pas, dopaść koni, które pandurzy po powrocie z Czastkovic przywiązali opodal bramy. Gotów był użyć kleszczy jako broni, gdyby usiłowali go zatrzymać.

Ficko nachylił się nad Kaliną, aby uwolnić mu z więzów prawą rękę. Wtem przez otwartą bramę wbiegła na podwórzec wysoka niewiasta męskiej postury, zdyszana, w zaszarganej po kolana sukni. Krzyczała:

— Zbójnicy! Zbójnicy!

Była to Dora Senteszowa,

Na podwórku powstało zamieszanie. Grafka zerwała się z fotela, pandurzy rzucili się do ustawionej w kozły broni, Lederer, który akurat gotował się do ucieczki, spoglądał niezdecydowanie na bramę, a nuż zbójnicy zaraz ją zatarsują. Jeden Ficko nic stracił głowy. Przyskoczył do Dory, zatarmosił ją za ramię i wrzasnął:

— Co zbójnicy, gdzie są? Mów!

— Za Wiśniewem!

Hajducy i pandurzy odetchnęli z ulgą. Stanowczo woleli być napadającymi niż napadniętymi.

— Kiedym późnym wieczorem wracała z Wadowic

— opowiadała Dora zdyszczanym głosem — w ciemnościach na drodze posłyszałam za sobą turkot wozu. Powiedziałam sobie: skryj się, Doro, bo nie wiadomo, kto to się tak zapóźnił. Schowałam się w rowie. Na wozie siedzieli dwaj chłopci. Po co mam dyrdać piechotę, pomyślałam, podjadę sobie. Kiedy mnie minęli, wybiegłam z rowu, dogoniłam wóz, wdrapałam się nań cichcem i przykryłam płachtą rozpostartą, na jakichś tobołach. Poczulałam zapach wędzonych szynek, namacałam baryłkę, dzieżę ze smalcem i bochny chleba. Jęłam się przysłuchiwać rozmowie chłopów na koźle. Włosy mi się zjeżyły. Poznałam głos Drozda: „Ej, niepotrzebnie tak go grzotnałem, kto wie, czym mu żebra nie złamał!” A ten drugi, którego nie znam, odrzekł: „Nie turbuj się tym, Andrzej. Powinieneś być, przeklęte karczmarzysko, dać po dobroci i nie podnosić krzyku!” Andrzej Drozd zaśmiał się i z uciechy klepnął po udzie: „No, aleśmy przyszli w samą porę, akurat po świniobiciu, ledwie zdążyli podwędzić dla nas te szynki.” Zbójnicy się śmiali, ale mnie, jako żywo nie było do śmiechu. Chociaż dwóm chłopom łącno dałabym radę, z Drozdem ni e chciałabym się próbować. Ale, rzekłam sobie, skoro już siedzę na wozie, niech tam, jak dojedziemy do Czachtic, zleżę tak samo cichcem jak wlażłam, a przynajmniej czegoś się dowiem.

Pani niecierpliwie wpadła jej w słowo:

— No i czego się dowiedziałaś?

— Z ich rozmowy dorozumiałam się, iż zamyślają tej nocy drapnąć przed obławą. Wieczorem wszyscy się rozeszli po okolicy, aby zdobyć żywność, i mają się spotkać w Wiśniewie. Stamtąd kopną się do Bohuslavic, zbudzą przewoźnika, a nad ranem będą już za Wagiem, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy ich szukać. Ukryją się na Jaworzu albo na Inovcu i do maja nie wytkną stamtąd nosa. Ale potem ponoć biada czachtickiej...

— Tego już nie jestem ciekawa — przerwała jej pani i zawołała: — Ficko!

Ficko nawet nie czekał na jej pytanie. Wiedział, iż trzeba udaremnić zbójnikom ucieczkę.

— Miłościwa pani, zrobimy oblawę — zawołał. — Osaczymy ich. A gdyby się wymknęli i uciekli, będziemy ich ścigać. Noc jest jasna, księżycowa — dostaniemy ich!

Kapitan rozkazał pandurom siadać na koń, Ficko taki sam rozkaz wydał hajdukom, a grafka powiedziała do Kaliny:

— Za parę godzin cała twoja zbójnicka banda w komplecie znajdzie się na tym podwórku. A wtenczas wszyscy zobaczą jak nowy zamecznik umie wrywać palce rozpalonymi kleszczami!

Paweł Lederer odetchnął z ulgą, że egzekucja ulega zwłoce. Nim pandurzy wrócą z pojmanymi zbójnikami, on coś wymyśli...

— Ficko — poleciła pani — na razie zamknij z Dorą tego zbója w jakimś pewnym miejscu.

— Zamknę go w takim miejscu, że nawet wszyscy święci go nie uwolnią, he, he, he! — i schylił się, aby podnieść Kalinę.

— Poniechaj mi go! — odepchnęła go ze śmieciem Dora. — Cięższych chłopców nosiłam!

Zarzuciła go sobie na plecy jak worek i ruszyła za Fickiem.

Pandurzy i hajducy dosiadali koni. Anna i Ilona z kilkoma służebnymi na rozkaz pani krążyły wśród nich z dzbanami i poiły ich winem.

Ficko wróciwszy też wskoczył na konia. Pokrzykiwał dla dodania sobie i innym animuszu. Po chwili horda jeźdźców z wrzaskiem wypadła na ulicę,

Wysypali się z zamku jak diabli z piekła,

Paweł Lederer w zamyśleniu patrzył za nimi. Ilu ich jest? Ponad pięćdziesięciu. Czy też zbójnicy dadzą im radę,

czy oprą się pięcio- albo nawet sześciokrotnie przeważającej sile?

Pani skinęła na Dorę.

Na podwórku zapanowała cisza. Ilona i Anna odniosły fotel z baldachimem.

— Chodź, Dora, powiesz mi, co się dzieje z Magdą Kalinianką...

Bitwa się zaczyna

Pandurzy i hajducy przelecieli przez Czachtice jak strzały. Mieszkańcy, którzy już ułożyli się do snu, i ci, którzy jeszcze czuwali przy świetle kaganków i łójówek, podbiegli do okien, aby zobaczyć, co się to dzieje. Czyżby Turcy wtargnęli do Czachtic? Gdy za gromadą jeźdźców pozostał jeno tuman kurzu na ulicach, wyszli przed domy i z ożywieniem roztrząsali ostatnie wydarzenia.

— Wyprawili się na zbójników! — niesło się z ust do ust, szerzyła się także wieść: — Kalinę już mają. Rano powieszą go na rynku!

Na rynku czterech hajduków wznosiło szubienicę. Pomstowali w duchu, że im przypadło to zadanie, albowiem zebrano się przy nich kilkunastu wolnych mieszczan i rzemieślników, którzy poza powinnością bezpłatnego oddawania do zamku części swoich wyrobów byli niezależni od panów na Czachticach, i rzucali kąśliwe uwagi:

— Ej, widać, żeście wyuczeni w katowskim rzemiośle — ozwał się jeden.

— Szkoda was na hajduków — nadmienił drugi
— Oprawcom lepiej płacą.

— Zasię wy, nieboracy — rzekł z udanym współczuciem trzeci — częściej w kijach niż w pieniądzech dostaje-

cie zapłatę za swój usilny trud i ciągle turbacje, jakie macie z nieposłusznymi poddanymi. Może się nawet zdarzyć, że w nocy gdzieś się na was zaczają...

W hajdukach wrzała krew. Wyczuli w tych uwagach głęboką wzgardę, drwinę i nienawiść.

— Nakazuję wam rozejść się — zawołał najbardziej krewki z hajduków — i nie przeszkadzać nam w wykonywaniu rozkazu, bo możecie pożałować.

— Patrzcie go! — niby się rozsierdził jeden z mieszczan

— Człowiek się nad tymi nieborakami lituje, a oni za to huzia!

— I nie rozkazuj nam tutaj, ciuro hajducka — zgromił go inny. — Jak się nam spodoba, będziemy stać i przypatrywać się do rana.

Przyszedł na rynek rychtarz i na widok wznoszonej szubienicy zapalał gniewem.

— Obywatele — rzekł stanowczo — na czachtickim rynku bez naszego zezwolenia nic nie wolno przedsiębrać. A my nigdy nie ścierpimy tu szubienicy!

Mieszczanie żywo mu potakiwali.

— Nie chcemy się mieszać do spraw państwa — powiedział rychtarz z naciskiem, spoglądając po hajdukach i po tłumie, czy nie ma w nim szpiegów z zamku — lecz nie damy także ukrócić naszych praw!

Już chwilę później po mieszczanach, powołanych do rządzenia miastem i bronienia jego przywilejów, chodził jeden z ławników i zwoływał ich na pilną naradę.

Tymczasem sfera hajduków i pandurów z Fickiem na czele zbliżała się do Wiśniewa. Ficko aż zachrypnął od ustawicznych bojowych okrzyków i rehotu. Krew w nim wrzała z niecierpliwości, aby pomścić się na Andrzeju Drożdzie za niedawne upokorzenie. Na ciele nie miał już żadnych śladów zmagania ze zbrojnikiem, ziola bowiem i ma-

ści Majorowej z Myjavy były wielce skuteczne, zresztą miał taką twardą naturę, że i bez nich wprędce by się wyliżał — lecz w duszy jeszcze go pali straszliwa rana, którą jedynie krew Drozda może zagoić!

Zbójnicy z obfitym łupem i dwoma wozami już się zbrali na umówionym miejscu. Czekali tylko na Jana Kalinę, aby się naradzić, gdzie się ukryją, póki ta pandurska i hajducka nawałnica nie przetoczy się nad czachtickimi włościami. Lecz Jan Kalina nie nadchodził. Wawrzek z najwyższego drzewa na zboczu orlim wzrokiem obserwował trakt. Nagle gwizdnął ostrzegawczo. Zbójnicy, którzy siedzieli ciasną grupą przy wozach, zerwali się na równe nogi,

— Źle jest, chłopcy! — krzyknął Wawrzek. — Kaliny ani widu, ale za to wali tutaj całe piekło hajduków i pandurów!

— Istotnie — zawołał Drozd na nas idą! Ilu ich jest, Wawrzek?

— Dziesięciu, dwudziestu... Nie, w tej kurzawie nie zdołam policzyć. Ale siła ich jest, siła!

— Dwudziestu biorę na siebie, chłopcy — oświadczył Drozd — z resztą sami dacie sobie radę!

— Schowajmy się za wozami — radził Wawrzek zląwszy z drzewa. — O ucieczce nie ma co myśleć.

— Ucieczka byłaby tchórzostwem — rzekł Drozd. — i na nic by się zdała, gdyż jasna noc nie daje ukrycia, do jakkolwiek byśmy ruszyli, dogonią nas, wyłapią albo wystrzelają.

Zbójnicy, uzbrojeni w noże, czekany, pałki i pistolety za pasem, wycofali się za wozy i z determinacją oczekiwali nieuniknionego starcia.

— Najważniejsze, aby nie mogli do nas strzelać już z daleka. Walkę na pistolety niechybnie byśmy przegrali, chociaż celnie strzelać i my umiemy. Mamy mało pistoletów i prochu, w tym rzecz! Wpadniemy między nich, aby

nie mogli użyć pistoletów, jeśli nie chcą postrzelić kóregoś ze swoich, i wtenczas im pokażemy, co potrafią nasze czekany i pięści.

Dodawali sobie otuchy jak mogli, wszelako trapił ich jakiś lęk. Kto wie, ilu tych diabłów przypadnie na jednego, kto wie czy dożyją rana?

— A ja im pokażę, jak się szermuje dyszlem! — zawołał Andrzej Drozd, odczepił od wozu dyszel i zatoczył nim takiego młynka, że aż zaświszczało.

Tętent koni zbliżał się. Nie trwało długo, a prześladowcy z Fickiem i kapitanem pandurów na czele dopadli wozów i otoczyli je.

— Chłopczy — zawołał Drozd do zbójników — nie ważcie się ruszyć, póki nie dam rozkazu!

— Na nich, na nich! — wrzeszczeli Ficko i kapitan — Rozdeptać ich jak chrabąszcze!

„Żebyśmy my ciebie nie rozdeptali jak robaka!” — chciał zawołać Andrzej Drozd, lecz nie było czasu na gadanie. Trzeba ba było szybko działać, gdyż huf pandurów i hajduków z przeraźliwym wrzaskiem otaczał zbójników coraz ciaśniejszym kręgiem.

Andrzej Drozd z dyszlem w rękach wskoczył na wóz z takim impetem, że aż się pod nim zakołysał i zaskrzypiał.

Kilku pandurów wymierzyło weń pistolety, lecz nie zdążyli wypalić. Drozd machnął dyszlem i Ficka wraz z kapitanem i chyba tuzinem ich ludzi zmiotło z koni.

— Hajda, chłopcy! — krzyknął Andrzej Drozd i jak błyskawica wskoczył na wierzchowca Ficka — koń aż się ugiął pod niespodziewanym ciężarem i spłoszony stanął dęba. Lecz zaraz się uspokoił i posłusznie dał się powodować nowemu panu. Drozd nieustannie wymachiwał dyszlem i zwał napastników całymi rzędami. Niektórzy widząc, co ich czeka, gdy nawiną mu się pod rękę, sami zeskakiwali z siodła.

Zbójnicy z dziką zajadłością rzucili się na powalonych na ziemię napastników, skakali po nich, usiłujących wstać okładali pięściami, kopali, młócili pałkami i czekanami.

Ficka zaskoczył sposób walki Drozda. Opamiętawszy się, wycelował z pistoletu w jego nogę. Nie chciał pozba-
wić go życia, broń Boże, za nic nie zgotowałyby mu takiej
lekkiej śmierci. Chciał jeno uczynić go niezdolnym do wal-
ki. Akurat nacisnął kurek, kiedy dyszel grzotnął go w plec-
y. Padając wystrzelił — i trafił, ale nie Drozda

— Aj, moja noga! — wrzasnął kapitan. Fickowi na
chwilę zaćmiło się w głowie, ostry ból przeniknął go na
wskroś. Lecz nie omdlał, leżał jeno nieruchomo. Żółć go
zalewała, żądza zemsty i nienawiść przywróciły rześkość
osłabłemu ciału. Nagle skoczył na Drozda, oplótł go długi-
mi ramionami i ściągnął z konia.

Tymczasem pandurzy i hajducy otrząsnęli się z oszoło-
mienia, że tak niespodziewanie zostali spieszeni. Wrócił im
animusz, tym bardziej, że Drozd już nie wymachiwał z ko-
nia straszliwym dyszlem, lecz tarzał się po ziemi we wście-
kłych zmaganiach z Fickiem. Hurmem rzucili się Fickowi
na pomoc i po chwili nad Andrzejem Drozdem zakłębiło
się od ciał

Księżyc przyglądał się walce ze zdumioną twarzą, jakby
zapytując, kto zwycięży.

Pozólkty list

Jan Ponicens, gdy już cała plebania zapadła w sen, udał
się do swojej izby. Ostatnie dni pozbawiły go spokoju du-
cha. Wstrząsające wydarzenia, które tak niespodzianie
wtargnęły w jego życie, zawsze płynące cicho i spokojnie,
zbrzdziły mu czoło, a zatem prawdą jest wszystko, w co
długie lata nie wierzył, o czym powątpiewał. Przekonała go

Ilona Harcajówna, która na jego oczach wyzionęła ducha, a także wizyta u czachtickiej pani, a dzisiaj dziewięć otwartych trumien w kościele. Jakże straszny był to widok — i jakaż burza musiała rozpętać się w duszach wiernych! W owej chwili, otoczony skamieniałymi ze zgrozy parafianami, chciał zawołać wielkim głosem: „Ludu Boży, zburzmy to gniazdo grzechu, aby kamień na kamieniu nie pozostał!” Opanował się jednak, ukląkł na zimnej posadzce kościoła i modlił się, by nie podburzyć wiernych do zemsty i pustoszenia: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie!...”

To, co działo się w bliskości domu Bożego, przyprawiło go o rozpacz. Opowieści o okrucieństwach grafki w swym zaślepieniu poczytywał za oszczerstwa. Że też musiał dożyć takiego zawodu!

Z duszą udręczoną wyrzutami i pytaniami, co uczynić, aby jak najrychlej i na zawsze zapobiec mordom w czachtickim zamku, siadł przy stole i ukrył głowę w dłoniach.

Jednakże tak był wzburzony, iż nie mógł skupić myśli.

Sięgnął po „Postyllę” znamienitego, beckowskiego kanonodziei Bornemissy. Ale i czytać nie był w stanie. Litery skakały po stronicach, linijki tańczyły mu przed oczyma.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, chodził po izbie. Z zamyslenia wyrwało go pukanie do okna.

Był to mieszkaniec Wiśniewa.

— Wielebny ojczy, przynoszę wam list — powiedział bojaźliwie, sumitując się, że niepokoi go o tak późnej porze.

— Jaki list? — zdziwił się pastor.

— Zjawił się u mnie nieznamy człowiek — opowiadał wiśniewianin — pozdrowił, jak obyczaj każe, i poprosił mnie abym był łaskaw zanieść list na czachticką plebanię. „Dobrze — powiedziałem — ale dopiero rano, któż by się tłukł w nocy?” „Nie, pastor musi dostać ten list do rąk jeszcze dzisiaj” — rzekł nieznamy, ale w jego głosie już nie

było prośby. — Zląkłem się, bo...

— Czego się zląkłeś?

— Bo przyszło mi na myśl, że to może być jeno zbójnik. Inny z taką pilną sprawą nie bałby się iść sam do Czachtic, kiedy pełno tu pandurów i hajduków z okolicznych włości. Jeno zbójnikom mogą oni wadzić.

Pastor był przeświadczony, że list jest od Jana Kality, przeto wzięwszy pismo nawet nie rzucił nań okiem w obecności posła, który przyniósł je nie z ochoty, lecz ze strachu. Podziękował mu za fatygę i podał przez otwarte okno kielich wina na pokrzepienie, Dopiero, kiedy zamknął okiennice i okno, wziął list ze stołu.

Nie, to nie Jan Kalina pisze. To nie jest jego charakter pisma. Zna go wszakże z kroniki czachtickiej plebanii. To pismo jego poprzednika.

Przeczytał:

„Niechaj to oto pismo Andrzeja Berthoniego w jakimkolwiek czasie zostanie oddane czachtickiemu głosicielowi Słowa Bożego, ktokolwiek by nim był i jakkolwiek by się zwał.”

Złamał pieczęć i jął czytać pożółkły list.

"Historia jednego dnia, która w kronice czachtickiej plebanii nie jest zapisana.

Z duszą wzburzoną i myślą w najwyższej mierze rozjątrzoną straszliwym wydarzeniem, tu opisuję, czego nie uchodzi ani nie wolno mi opisać, jako też nie staje mi odwagi, by uwiecznić to w kronice, w której za wskazaniem grafa Franciszka Nádsadyego notuję przypadki czachtickiego kościoła czachtickich włości dotyczące.

Przejęty zgrozą czytający te słowa czachticki Słowa Bożego głosiciel, dla którego historia ona spisana została, niechaj ją po dziesiątkach czy setkach lat, kiedy ją ludzka ręka odkryje w trumnie, gdzie ludzkie ciało w proch się obróci-

ło, chrześcijańskim wyrozumieniem przeczyta, jego wargi zasię niechaj miast słów potępienia modlitwę odmówią, aby kara Boża dosięgła onych, co zagładę dziewięciu ludzkich żywotów na sumieniu mają, a także i za mnie, słabego i ułomnego człowieka, com podległ upomnieniom i groźbom i nie odważył się wołającego o pomstę do nieba złoczyństwa pozwać do odpowiedzialności i przywieść zasłużonej świeckiej kary na ich głowy

Te oto straszliwe wydarzenia zaszły w czachtickim zamku i kasztelu:

Elżbieta Batorówna, z jak największą surowością karząca służebnictwo swoje za najbłahsze nawet przewinienie, z niepojętych dla mnie przyczyn nie chciała, by najbliżsi krewni wiedzieli, jak niemiłosierne kary zadaje, przeto przed kilkoma dniami, gdy umyślny przyniósł wieść, iż córka jej Anna z małżonkiem swoim grafem Zrinyim w odwiedziny się wybiera, pozostawiła w zamku jeno najstarsze i najwierniejsze służebne swoje, zasię młodsze, niemal co dnia karane — dziewięć ich było — aby trafunkiem lub z rozmysłu nie uzałyły się przed służebnictwem gości na swoją dolę ni ranami swymi nie zdradziły tego, co w tajemnicy ma być zachowane, poleciła Dorze zaprowadzić do kasztelu i tam trzymać o głodzie i pragnieniu, pokąd wypuść ich nie rozkaże.

Służebna Dora spełniła rozkaz co do joty. Podziemnym korytarzem dziewczęta do kasztelu zawiodła, tam je uwięziła i hajduka na straży postawiła, aby każdego, kto by im pokarm lub napój podać się odważył, również do lochu wtrącił. Wszelako Dora pozostała w kasztelu albowiem i hajdukowi nie ufała. „Niechaj grom razi tego, kto się ośmieli dać im jeść albo pić!” — wykrzykiwała doń. Rozdziane do naga służki zimną wodą oblewała nie dała im ni jeść, ni pić. Za potrzebą ich nie wypuściła i całą noc doglądała, by nie mogły się położyć, lecz na nogach stały.

Kasztelan Mikołaj Loszonsky widząc, co się dzieje, od swych gwiazdarskich ksiąg i lunet, przy których dnie i noce trawi, z rozgoryczeniem się oderwał i do czachtickiej pani pośpieszył.

— Miłościwa pani — zawołał oburzony — czyli sława czachtickiego kasztelu tak już przygasła, iż do roli więzienia dla krnąbrnych służebnych go zniżacie?

— Mości kasztelanie — odparła grafka surowo — nie mani powinności zdawać wam rachunku ze swoich poczynań, waszą wszakże powinnością jest ważyć sobie i spełniać każdy mój rozkaz, i to bez deliberowania nad nim. Zaś najnowszy mój rozkaz brzmi: nie zwlekając udacie się do Wranowa z serdecznym pozdrowieniem dla brata mego Stefana Batorego i z przesłaniem, by czachticką panią odwiedzić raczył, albowiem jej siostrzane serce srodze się za nim stęskniło!

Kasztelan zaraz konia swego osiodłać kazał i z onym przesłaniem do Wranowa wyruszył.

Na trzeci dzień o przedwieczornej porze przybyła córka czachtickiej pani, grafka Anna Zrinyi, wraz z małżonkiem w odwiedziny. Nie zabawili w Czachticach długo, już naza jutrz koło południa w powrotną drogę do Preszporka jęli się zbierać.

— Odprowadzę was aż do Pieszczan, drogie dzieci i — oznajmiła im czachticka pani i posłała Katarzynę do kasztelu po kilka dziewcząt, które me mają widocznych ran, aby jej w podróży towarzyszyły. Nie puszczałyby ich od siebie, przeto nie miałyby sposobności z nikim i o niczym mówić.

Katarzyna przybiegła z kasztelu w popłochu:

— Miłościwa pani, ni jedna z dziewczyn nie może przyjść!

— Dlaczego?

— Leżą wszystkie w lochu, głodem, zimnem i pragnie-

niem śmiertelnie wycieńczone!

— Cóż się to stało? — zdumiał się graf Zrinyi.

— Dla odbycia kary dziewczęta nieposłuszne do kasztelu posłałam, a leniwe służebne karmić je zaniedbały — odparła pani, zaś Katarzynę ofuknęła: — Niechaj dziewczęta z kasztelu do zamku zaraz przywiodą. A ty i Dora, gdy powrócę z Pieszczan, nie ujdziecie kary!

Za pośrednictwem służebnej onej, Katarzyny, dowiedziałem się, co się później zdarzyło: dziewczęta nie mogły być z kasztelu na zamek wedle rozkazu pani przywiedzione, albowiem tak były słabe, iż na nogach już ustać nie mogły. Jedna z nich w nocy ducha wyzionęła. Stare służebne na własnych grzbietach do zamku podziemnym korytarzem je przeniosły i tam w świetlicy dla służby przeznaczonej półmartwe złożyły. Teraz dawały im jeść i pić, wszelako było już za późno albowiem w dziewczętach żywot ledwo się tlił. Stare służebne rozsierdzone, iż dziewczęta jadła i napoju nie przyjmują, biły je tak okrutnie, iż do wieczora jeno trzy zostały przy życiu, lecz i one w ciągu nocy ten padół łez opuściły.

Grafka dopiero na drugi dzień, to jest dzisiaj po południu powróciła, a kiedy stare służebne oznajmiły jej, co się stało, nie wyrzekła ni słowa, jeno stolarzowi dziewięć trumien do wieczora zbić kazała i po mnie umyślnego wyprawiła:

— Księżę proboszczu rzekła do mnie zimnym głosem, jakiegom nie był zwyczajny — proszę, abyście ani mnie, ani nikogo innego nie pytali, co i jak to lub owo się stało, i abyście okoliczności, w jakich służebne moje zmarły, nie dochodzili. Dzisiejszego wieczoru późną porą, kiedy na ulicach Czachtic żywej duszy już nie uświadczy, bądźcie w kościele, przygotowany na to, by spełnić moje życzenie.

— Jakie życzenie? — Było to jedyne pytanie, na które się zdobył, jej chłodem i głosem skonfundowany.

— Dowiedcie się we właściwej porze, wieczorem w ko-

ściele — odrzekła i oddaliła się.

Stałem jak słup soli pośrodku komnaty, w której ten krótki dyskurs się odbył, nic nie pojmując. Cóż się mianowicie stało i jakie życzenie mam spełnić? Ledwie do domu wróciłem dowiedziałem się wszystkiego. Służebna Katarzyna, wyrzutami sumienia nękana, żonie mojej się zwierzyła i wszystko co się w kasztelu i na zamku zdarzyło, opowiedziała. Zasię pacholcy moi co i raz znosili mi wieści, które z zamku do miasta przenikały. Ponoć zamkowy stolarz trumny z desek zbija. Cztery są już gotowe, wszelako pracy nie przerywa. Ponoć potrzeba ich dziewięć.

Przeżywałem straszliwe męki. Jakże to, została popełniona wołająca o pomstę do nieba zbrodnia, a ode mnie żądają, abym przymknął na to oczy, abym był ślepy i niemy wobec śmierci zadanej niewinnym młodym dziewczętom. Wnet też dowiedziałem się, jakie życzenie czachtickiej pani mam spełnić.

Przyszedł Ficko. Oznajmił, iż musi ze mną mówić w cztery oczy. Drzwi mojej izby zamknął, a gdy przyłożywszy do nich ucho przeświadczył się, iż nikt nie podsłuchuje, wybuchnął swoim wstrętnym śmiechem:

— Nie trzęś się, proboszczu. Włos ci z głowy nie spadnie, jeśli masz w niej krztynę rozumu i będziesz posłuszny. Czachticka pani nie chce od ciebie nic okrom tego, abyś służebne, co nieposłuszeństwem do śmierci swej się przyczyniły, pochował w krypcie Országha — przynajmniej po śmierci będą przebywać pod jednym dachem z panem, he, he, he! — i abyś trzymał język za zębami. Trumny potajemnie do kościoła przyniesiemy.

Po czym wziął ze stołu drogocenny nóż do przycinania piór, którymi graf Franciszek Nádsady darował, gdym czachticką kronikę pisać zaczął:

— Pójrzyj na ten nóż! — i Ficko wbił go w stół — Łacniej by wszedł w ludzkie ciało niżli w twarde drzewo. Jeśli nie usłuchasz dziś jeszcze w polu za Wiśniewem znajdują

trupa dziewczyny — w jej sercu tkwić będzie ten oto znany wszystkim nóż. Trupa do Czachtic zanoszą, zbiegną się ludzie, a wtenczas zabrzmia okrzyki: „To nałożnica pastora!” „Widziałem ich kiedyś razem!” „To pastor ją zamordował, aby się jej zbyć!”

Słabość mnie ogarnęła, na zydel się osunąłem i siwą głowę dłońmi ścisnąłem, albowiem od nawalu przerażających myśli omal mi nie pękła.

— Jeszcze i inne obwinienia przeciw tobie będą wykrzykiwać, proboszczu, kto bowiem nie chciałby językiem zrobić trochę grosza? Potem zaś rozjuszony tłum pociągnie na plebanię. Twoi własni parafianie, którzy jeszcze wczoraj słuchali cię jak świętego, ukamienują cię, he, he, he!

O Boże! Jużem życzenie czachtickiej pani spełnił. Pochowałem w krypcie ofiary straszliwej zbrodni...

Czemuż moje włosy są już siwe, czemuż ręce moje słabe i czemuż nie ma w mym lęklwym sercu bojowej odwagi!

Odpuść mi, Boże, słabość, żem pomógł zataić zło czynswo i że milczę teraz, kiedy na całe gardło winienem wołać, by krzywda została ukarana. Godzina za godziną mija, po ciemnej nocy jasne słońce wschodzi, lecz w mojej duszy wciąż jeszcze ciemność nieprzenikniona zalega, a sen nie spływa na znużone powieki.

Czuję, iż dni moje dobiegają końca. O, zlituj się nademną, miłosierny Boże, zlituj się i powołaj mnie jak najrychlej do królestwa swojego.

W ud ręce wielkiej kończę spisywać przypadki dnia dzisiejszego, a pismo to w najbliższych dniach do jednej z trumien potajemnie włożę, abys ty, miły bracie w Chrystusie, znał cierpienie moje, odpuścił mi słabość i do Boga się za mnie pomodlił.

Już świta poranek.

Otwieram okno. Do izby świeża woń i powietrze majowe płynie, i śpiew ptasi. A oto hajducy ze śmiechem ulicę

przed plebanią słomą zaścielają i już od zamku suną sanie. To graf Stefan Batory, który w nocy akurat w czasie pogrzebu przybył, wielmoża w całym kraju słynący z tego, iż zimą i latem sankuje, na ranną przejażdżkę się wybrał. Wściekle smaga dwie pary koni ciągnących sanie. Przy hajdukach zatrzymuje się i biczem ich okłada. „Dlaczegoście mi drogi grubiej słomą nie pośnieżyli, buhaje!” — krzyczy i tnie ich biczem, tnie.

Jeden z hajduków stoi potulnie, jakby był z drewna, bicz spada nań ze świstem, owija się wokół jego ciała i oto z przeciętego oblicza krew tryska.

Pan smaga biczem, sługa od zwierzęcia pokorniejszy bić się pozwala, zaś krew z rany płynie strumieniem...

O Boże, Boże, czemu jestem taki słaby!

Andreas Berthoni

duchowny ewang. kościoła w Czachticach”

Jan Ponicensus skończył czytać i przejmujący ból ścisnął mu serce. Nieszczęsny starzec! Andrzej Berthoni, gdy pisał te słowa, miał ponad osiemdziesiąt pięć lat. Kto rzuciłby weń kamieniem potępienia za jego słabość? Nazajutrz po owym potajemnym pogrzebie niemoc przykuła go do łóża, zaś kilka tygodni później zasnął i już się nie przebudził...

Jego miejsce zajął on, Jan Ponicensus. Tu w tej izbie, w której on nie może znaleźć spokoju, sędziwy Berthoni cierpiał straszliwe męki. O ileż jednak dotkliwsze męki sprawiają wyrzuty sumienia, które palą duszę jego następcy?

Wtem Jan Ponicensus posłyszał przed plebanią gwałtowny tętent końskich kopyt. Otworzył okno. W świetle księżycy ujrzał Ficka, który wykrzywił się do niego złośliwie:

— Módlcie się za swojego ulubieńca, księżę proboszczu, aby mu w piekle przygotowali dobre miejsce, he, he, he!...

A za Fickiem z krzykiem gnali pandurzy i hajducy.

Pastor dowiedział się od swojego pacholka o ostatnich wydarzeniach. Kalinę nad ranem powieszą na rynku, a wraz z nim pewnie i zbójników, których teraz wyłapia!

— Czachticka pani nie ma prawa sądu i wieszania!
— zawołał pastor takim głosem, że pacholek aż się zląkł.

Narzucił płaszcz, wziął laskę i opuścił plebanię z mocnym postanowieniem, iż stanie przed Elżbietą. Batorówną i zaprotestuje przeciw nadużywaniu władzy i naruszaniu prawa.

Lecz tuż przed plebanią zatrzymał go zaspany ławnik:

— Wielebny ojcze, macie niezwłocznie przyjść do rychtarza na pilną naradę.

— Dobrze — odparł, a w jego duszy zabłyśła iskierka nadziei: całe miasto będzie protestować, może więc uda się oswobodzić Jana Kalinę z mocy czachtickiej pani.

Czy wszakże czeka go lepszy los, gdy znajdzie się w mocy trybunału?

Ptak w żelaznej klatce

Czachticka pani płonęła z ciekawości, co się stało z Magdusią Kalinianką.

Jeszcze niedawno nie zależało jej tak bardzo na tej dziewczynie. Lecz od chwili, gdy przeczytała list jej brata, wszystko dałaby za to, aby mieć ją w swojej mocy, Szczególnie teraz, kiedy rebeliant i zbójnik Jan Kalina jest już za kratami, O, cóż to będzie za widok, gdy dziewczyna ujrzy, jak bratu wrywają palce i jak zarzucają mu na kark stryczek, aby na szubienicy rozstał się z życiem. Jak będzie dygotać ze zgrozy i bólu, zgrzytać zębami nad swoją bezsilnością?

— Mów, Doro, czegoś się dowiedziała! — ponaglała ją

pani niecierpliwie.

Ilona i Anna również chłoneły każde słowo Dory, albowiem z ich to winy Magdusia nie znalazła się w zamku. One zaczęły się na nią, kiedy skłoniona fałszywym wezwaniem, przyniesionym przez ledwie jej znaną wdowę Sabową, wieczorem wybrała się do Starej Tury, by pielęgnować chorą ciotkę. One miały napaść na nią w szczerym polu i podziemnym korytarzem zawlec do zamku. Już ją miały w swoich rękach, gdy — Bóg wie skąd wzięła tyle siły — wyrwała im się i uciekła. Ścigały ją aż do północy, zachodziły w głowę, gdzie też mogła zniknąć, tropiły, lecz wszystko na nic. Pani mogły przynieść jeno wieść o swoim niepowodzeniu.

Dora odczuła to, jako wielki honor, gdy pani nazajutrz wysłała ją na przeszpiegi po okolicy. Miała nie wracać, póki Magdusi nie znajdzie. I rzetelnie dokładała starań, aby wpaść na jej ślad, Każdego napotkanego człowieka pytała ze strapionym obliczem, czy nie widział takiej a takiej dziewczyny, udając, iż chodzi o jej córkę.

— Miłościwa pani — oznajmiła gracie zawiedziona, zaś Ilona i Anna uśmiechnęły się złośliwie — schodziłam całą okolicę, nie użyczyłam sobie ni chwili wytchnienia. Ale nigdzie nie widziano obcej dziewczyny, która byłaby podobna do Magdusi Kalinianki.

Czachticka pani obrzuciła swoją ulubioną służebną surowym spojrzeniem;

— Wstydź się, Doro, żeś nie spełniła mojej woli. Nie znalazłaś dziewczyny, na której osobliwie teraz mi zależy. Jeśli naprawdę nie użyczyłaś sobie wytchnienia, ja również ci go nie użyczę. Ruszaj natychmiast z powrotem, idź gdzie chcesz, jeno mi co rychlej przyprowadź Magdusię Kaliniankę.

Dora wiedziała, że ściągnęłaby na siebie biedę, gdyby sprzeciwiła się rozkazowi, przeto wybiegła z komnaty jak strzała.

Annie i Ilonie ta rosła niewiasta wydała się teraz strasznie mała i niepozorna.

Zaś Ilona, aby wkraść się w łaski pani, ozwała się przy pochlebnie:

— Miłościwa pani, ośmielę się rzec, iż klin klinem się wybija. Skoro Magdusia Kalinianka nam uciekła, rozkażcie przyprowadzić Mariszę Szutowską.

Twarz pani pojaśniała.

Marisza Szutowską! To ta dziewczyna, która nie odstępowała starej Kalinowej, chodzi za nią na pańskie, jest zakochana w Kalinie, a on w niej. Inaczej nie przestrzegaliby w swoim zuchwałym liście, aby nie skrzywdziła jego matki i Szutowskich.

— Wnet ją przyprowadzę! — zawołała Anna pozieleniała z zawiści, że myśl ta nie od niej wyszła.

— Nie ty, lecz ja! — skoczyła Ilona.

Czachticka pani rozstrzygnęła ich spór:

— Ilona po nią pójdzie!

Ilona wyszła pośpiesznie, odprowadzona nienawistnym spojrzeniem Anny. Na rynku przystanęła i spoza pleców gapiów syciła swoje stare oczy widokiem szubienicy bielejącej w księżycowej poświacie. Była już gotowa. Jeno jeszcze wbić hak w ramię, groźnie wyciągnięte ponad głowami hajduków.

Za oknami domów mrugały płomyki kaganków i świeczek. Całe Czachtice były na nogach. Jeszcze nigdy na czachtickim rynku nie stała szubienica, tutaj nigdy nie wieszano! I jak tu spać, gdy za Wiśniewem zbójnicy walczą na śmierć i życie z pandurami i hajdukami? Oby zbójnicy zwyciężyli! W przeciwnym wypadku powieszą nie tylko Kalinę, ale i pojmanych zbójników. Czachticzanie nie mogą pomóc ani Kalinie, ani Drozdowi, ani ich mężnym druhom — więc przynajmniej sercem są przy nich.

W uliczce zamieszkaney przez poddańców również jeszcze się świeciło. Ilona doszła do chaty Kalinów i stanęła wystraszona. Cerber tak się na nią rozszczękał, iż nie ośmieliła się postąpić dalej ani kroku.

— Kto tam? — ozwał się łagodny smutny głos.

To Marisza Szutowska wybiegła przed dom. Wiedziała już o wszystkim, gdyż złe wieści szerzą się lotem ptaka. Kryjąc własne cierpienie, pocieszała zboląłą matkę, lecz zmogła ją żałość i obawa o życie umiłowanego i razem wylewały łzy.

W swojej rozpaczey pocieszała się nadzieją, iż coś się stanie, cud jakiś, który ocali Kalinę! Andrzej Drozd! W jej wyobraźni urastał do nadprzyrodzonych wymiarów. On ocali Jana powtórnie! Tylko patrzeć, jak przyjdzie, zastuka w okno i wprowadzi Jana...

Spozierała na postać przed domem zawiedziona. Nie, to nie Andrzej Drozd przyszedł.

— To ja, Ilona. Nie poznajesz mnie, Mariszko? — rzekła Ilona starając się, aby jej głos brzmiał jak najśłodziej.

Cerber znowu się rozszczękał, jakby rozjątrzyła go fałszywa dobrotliwość Ilony.

— Czego chcecie ode mnie? — spytała Marisza chłodno, znała bowiem Ilonę z najgorszej strony i jej przyjście nie zwiastowało nic dobrego.

Ilona, odpędzając warczącego nieustannie Cerbera, podeszła do dziewczyny i wprawiła ją w oszołomienie niespodzianym pytaniem:

— Chcesz się zobaczyć z Janem Kaliną?

— Chcę! Chcę się z nim zobaczyć! — zawołała Marisza bez namysłu.

— To chodź ze mną! — rzekła Ilona i chwyciła ją za ramię.

Dotyk kościstych rąk Ilony wzbudził w niej odrazę i ostrożność.

— A jakże mogłabym się z nim zobaczyć'?

— Ha, nie tak, duszko, jak byś chciała, ani tak, jak on by pragnął — przymuszała się Ilona do smutku i współczucia. — Biedak, już mu nawet sam Pan Bóg nie pomoże. Szubienica stoi, wyrok został wydany. Ostatnim jego życzeniem jest ujrzeć cię jeszcze raz, nim go powieszają... Takie to będzie widzenie.

— Ale gdzie?

— W więzieniu. Mam cię do niego zaprowadzić.

Świat wokół niej za wirował. Więc już po wszystkim, do prawdy nie stanie się cud, który by go ocalił? I chce ją ujrzeć ostatni raz... To jest jego wyznanie miłości. Przeniknęło uczucie szczęścia, gdy uświadomiła sobie, w jakich okolicznościach to się dzieje. Pójdzie do niego, gdziekolwiek jest. Musi spełnić jego życzenie.

Pójdzie, albowiem i ona pragnie go widzieć.

— Wnet wrócę — powiedziała do Ilony i pobiegła do starej Kalinowej. Przepelnione niepokojem i obawą o Jana nasłuchiwały każdego szmeru na dworze. Usłyszawszy szczekanie Cerbera obie zadrżały. Kto to przychodzi, jaką wieść przynosi? Marisza, rozdygotana, natychmiast wybiegła na dwór. A teraz, kiedy już wie, kogo Cerber witał, i kiedy zdecydowała się pójść z Iloną, nie jest w stanie powiedzieć staruszce, dokąd się wybiera.

— Cerber czekał na ponocnego — zaspokoila ciekawość staruszki małym kłamstwem. Jakby na potwierdzenie ozwało się przeciągłe nawoływanie ponocnego: „Już dwunasta na zegarze...”

— Dwunasta!... — westchnęła Kalinowa i w duchu liczyła, ile jeszcze godzin życia pozostało jej nieszczęsnemu synowi.

Marisza ze zmieszaniem wymówiła się, że musi już iść i wypadła z izby, jakby ją kto gonił, obawiała się bowiem, że zniecierpliwiona Ilona wejdzie za nią do chaty.

Po drodze Ilona trajkotała bez przerwy, lecz Marisza jej nie słuchała. Wyobrażała sobie spotkanie w więzieniu i szukała słów dla wyznania Janowi miłości, powiedzenia mu, że go miłuje ponad wszystko na świecie i że gdy pozabawią go życia, ona też umrze z żalu.

Szły przez rynek.

Szubienica była już gotowa. Pod nią stali hajducy i baraszkowali z Dorą Senteszową. Zgodnie z rozkazem pani wyszła niby szukać Magdusi Kalinianki i utknęła tutaj. Wiedziała, że jej nie znajdzie. Zniknęła bez śladu. Uciekając prawdopodobnie zbłądziła w górach, spadła po ciemku w przepaść lub dziki zwierz ją rozszarpał. Pał ją lichem. Miast niej zwabi do zamku pięć innych dziewcząt i znowu będzie najzaufańszą służebną pani. Ilona i Anna przedwcześnie się radują, że odsunęły ją w cień. Niefrasobliwie żartowała z hajdukami, w przypływie dobrego humoru poklepywała ich po ramieniu, waliła pięścią w plecy i zwijała się ze śmiechu, kiedy ci, rosnąc chłopiska, odskakiwali jak oparzeni, uchylając się przed twardymi ciosami jej niewieściej pięści.

Mariszy Szutowskiej na widok szubienicy zaćmiło się przed oczyma. A więc to tutaj Jan Kalina zemrze haniebną śmiercią Wołałaby sama na niej zawisnąć. Umarłaby szczęśliwa, byleby on mógł żyć...

— Tę wiedźmę powinni powiesić! — syknęła Ilona Jó widząc wesołość i beztroskę Dory.

Naraz chwyciła Mariszę wpół, pociągnęła ze środka ulicy pod ścianę domu i przycisnęła się wraz z nią do muru. Na wprost nich szalonym cwałem pędziło dwoje jeźdźców.

Amazonkę Ilona poznała natychmiast. Przecie to Erzika Priborska! Ale kim jest ów jeździec? Czego tu szukają po nocy?

— Kogo będą wieszać? — posłyszała Ilona spod szubienicy wzburzony głos Erziki.

— Zbójnika Kalinę! — odparł z respektem jeden z hajduków. Wszyscy ucichli jak na komendę. W zamku odno-
szono się do Erżiki z poważaniem, gdyż była ulubienicą
Elżbiety Batorówny.

— Jenó Kalinę? — spytała Erżika z wyraźną ulgą.

— I innych zbójników też! — zawołała Dora zdziwiona
jej obecnością tutaj, na domiar z nieznanym mężczyzną.
— Może nawet całą bandę, jeśli nie złożą wcześniej głów
pod kasztelem.

— Co się dzieje pod kasztelem?

— Pandurzy hajducy gromią tam zbójników!

Na to Erżika Priborska ubodła konia ostrogami, a jej to-
warzysz poszedł za jej przykładem. Ruszyli z kopyta.

Hajducy, Dora i Ilona patrzyli za nimi w osłupieniu, Ma-
risza natomiast była ślepa i głucha na wszystko. Drgnęła
jeno, gdy mowa była o Kalinie.

Łzy cisnęły jej się do oczu, Wszyscy są przeświadczeni,
że go powieszają. Jakże więc mogłaby mieć choć iskierkę na-
dziei?...

Doszły do zamku.

Stąpała u boku Ilony jak ślepa. Nie widziała nic wokół
siebie. Wszystkimi myślami była przy nim.

Nawet nie spostrzegła, że Ilona w obawie, aby w ostat-
niej chwili nie uciekła, znowu ujęła ją za rękę, a dobrotliwy
wyraz całkiem już zniknął z jej oblicza.

— Zaczekaj tu na mnie chwilę — jak przez sen poły-
szała jej głos. Znajdowała się w oficynie dla czeladzi. Ilona
wnet wróciła z latarnią i pękiem kluczy.

Po chwili skrzypaneły otwarte z klucza drzwi i jeły scho-
dzić po schodach. Potem poprowadziła ją długim koryta-
rzem. Marisza ze zdumieniem spozierała w prawo i w lewo
na czarne ściany, w których tu i ówdzie widniały drzwi z
żelaznych krat. Duszne powietrze zapierało jej dech.

Wtem krzyknęła przeraźliwie:

— To jeno szczury, głupia — ofuknęła ją Ilona, przestraszona jej krzykiem. — Musisz się z nimi zaprzyjaźnić, bo pełno ich tu jest. Nie czynią krzywdy temu, kto się z nimi zaprzyjaźni.

Na korytarzu otworzyła jedno z żelaznych drzwi wskazała je palcem i rzekła:

— Tam jest twój kochaneczek...

Marisza wbiegła niecierpliwie do środka, a Ilona błyskawicznie zatrzasnęła kratę i wybuchnęła śmiechem:

— Alem złapała ptaszka, hi, hi, hi! Możesz sobie teraz szukać swojego kochaneczka. Zobaczysz go, jeśli jaki czarodziej przemienił go w szczura, inaczej nie!

I przysunęła latarnię do kraty. Spłoszone szczury miotały się po lochu, uciekały do nor, kilka przecisnęło się przez kraty na korytarz.

Marisza pojęła, że Ilona ją oszukała.

— Wypuść mnie, wypuść stąd! — krzyczała, jak szalona szarpiąc kratę.

Ilona wykrzywiła się złośliwie.

— Przestań wrzeszczeć, bo ściągniesz wszystkie szczury zlecą się do ciebie. Jeszcze by cię nadgryzły i skaziły twoją urodę. I podnieś z ziemi chustkę, bo tutaj nie pali się w piecu. Ten piękny nosek szczerwieniałby od kataru jak burak.

— Chcę zobaczyć Jana Kalinę!... — krzyczała Marisza.

— Chcę go zobaczyć, a potem możecie mnie nawet zabić!

Wkrótce potem Ilona doniosła czachtickiej pani:

— Ptaszek już w klatce, miłościwa pani!...

— A po drodze widział was kto?

— Nie, nikt!

Ilona wahała się, czy powiedzieć pani o Erzice Priborskiej. W końcu wszakże powiedziała.

— a kto z nią był? — spytała pani zaskoczona wieścią,

i iż Erzika przyjechała w nocy do Czachtic, a do zanku nie wstąpiła...

— Nie znam go — odparła Ilona.

Grafka z zasepioną twarzą zapatrzyła się w dal.

Tajemnicze postacie na stoku

Erzika Priborska po spowiedzi czachtickiej pani na wpół przytomna schroniła się w izbie, w której miała przenocować.

Podęjrzenie, iż ona jest ową nieślubną córką, zakiełkowało w niej już w chwili, gdy Elżbieta Batorówna wyjawiała tajemnice swego życia. Od dawna łamała sobie głowę, dlaczego wyniosła ich z poddaństwa do stanu szlacheckiego, dlaczego ją tak lubi. Wreszcie znalazła wyjaśnienie. Uderzyło to w nią jak grom z jasnego nieba. Padła na posłanie i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Ilonę Jó, gdy ta weszła do izby i zastała ją szlochającą rozpaczliwie, przepędziła z rozdrażnieniem, zamknęła się na klucz i nadal zalewała się łzami.

Niezmiernie trudno było jej pogodzić się z nieoczekiwaną rzeczywistością, iż nie jest córką Beniamina Priborskiego i jego żony Marii, a Michał nie jest jej bratem. Jej ojcem jest nieznan rycerz, matką zaś — Elżbieta Batorówna.

Przeplakała całą noc.

Jeszcze przed wschodem słońca wyszła na podwórzec kazała osiodłać sobie konia i pośpiesznie opuściła czachticki zamek, albowiem serce w niej zamierało na myśl, że musiałyby się spotkać z matką. Do domu? Jej domem powinien być zamek czachticki. Wierzbowski dwór jest miejscem jej wygnania. Rzekomi rodzice i brat są obcymi ludźmi. Ach nie, to nieprawda, kocha ich mimo wszystko...

W ciągu tych długich godzin nieprzespanej nocy z wesołego stworzenia przeistoczyła się w chmurną dziewczynę, dręczoną tajonym smutkiem. Od dzisiaj musi żyć w kłamstwie i udawaniu. Rzekomym rodzicom nie może się przyznać, że wie już wszystko, albowiem związana jest przysięgą, zaś do czachtickiej pani nawet w cztery oczy nie odważy się powiedzieć: mamó, mamusiu...

Jedynie gdy myślała o Andrzeju Droździe, w jej zmroczniałą duszę wlewała się odrobina światła. Jak by to było cudownie przytulić się do niego, znaleźć w nim ojca i matkę, powierzyć mu wszystko, cały swój żywot, i odejść z nim w daleki świat. Gdy mijała skraj lasu, gdzie się spotkali, zatrzymała się w przypiływie pomieszanych uczuć. Rozglądała się na wszystkie strony, a nuż znowu zjawi się tutaj, istny olbrzym z łagodnym, dobrotliwie uśmiechniętym obliczem. Gdyby teraz uniósł ją z siodła, nie drżałaby ze strachu, lecz z radości i szczęścia.

Tam na skraju lasu uświadomiła sobie, że go miłuje, a gdyby zjawił się przed nią, rzuciłaby mu się na szyję.

Długo tam stała, zniewolona uczuciem.

Wiosenny wietrzyk targał jej włosy i chłodził rozpalone lica. A w jej sercu kiełkowało niezłomne postanowienie zdobycia jego miłości.

W domu nie mogli jej poznać. Chodziła milcząca, do nikogo słowa nie przemówiła. Maria Priborska z zatroskaniem przyglądała się jej coraz bledszej buzi.

— Co ci jest, Erziko, córeczko? — pytała zasmucona — Coś cię trapi...

— Nic, nic, mamusiu... — uśmiechała się z wysiłkiem. Posmutniał cały dwór. Nawet Michał daremnie wyśpiewywał Erzice najweselsze piosenki i stroił żarty. Erzika, jakby nagle się zestarzała, przyjmowała wszystko obojętnie, i w końcu rzekła mu:

— Dobry z ciebie chłopiec, Michale, nie trudź się jed-

nak, mnie nic nie rozweseli.

— Dlaczego?...

Lecz nie dostał odpowiedzi. Czyż mogła mu wyjawić tajemnicę czachtickiej pani i jeszcze straszniejszą własną tajemnicę, że zakochała się w zbójniku?

Kilka dni później Erzika raptem ożywiła się. Stało się to, gdy posłańcy z czachtickiego zamku jęli ściągać zewsząd do Czachtic hajduków i pandurów. W Wierzbowie co krok spotykało się czerwone mundury, czerwone jak twarz zatrwożonej Erziki.

Poprosiła Michała, aby spenetrował, co się dzieje, dlaczego zebrała się taka ćma hajduków i pandurów.

— Tylko patrzeć, jak będziemy mieć wyborną zabawę — doniósł Michał. — Czachtickiej pani obmierzło panoszenie się zbójników i postanowiła położyć mu kres. Wezwwała do Czachtic pandurów i hajduków z całej okolicy i szykuje obławę, z której ani jeden zbójnik się nie wymknie.

— Nawet Andrzej Drozd? — wyrwało się Erzice.

— Nawet on. Wprawdzie to chłop na schwał, muszę przyznać, co jednak poradzi sam, a choćby nawet i z tuzinem swoich towarzyszy przeciw takiej sile uzbrojonych po zęby ludzi?

Niepokój Erziki wzrastał z godziny na godzinę. Już prawie o zmierzchu zwróciła się przymilnie do Beniamina Priborskiego:

— Tatku, pozwól mi odwiedzić ciotkę w Czachticach.

— Co też ci wpadło do głowy, Erziko? Przecie już wieczór. A teraz nawet za dnia niebezpiecznie jest kręcić się po polach i lasach. Banda Drozda zanadto się rozzuchwiała.

— To nie, tatku. Drozd nie uczyni krzywdy córce Beniamina Priborskiego,

— Skąd masz tę pewność, Erziko?

— Mniemam, że nie zapomniał, iż ongiś z jego ojcem jadłeś gorzki chleb poddanych czachtickiej pani...

Przypomnienie poddaństwa ukłuło go, toteż rzeki stanowczo:

Teraz nie pojedziesz do Czachtic. Jutro rano, jeśli zechcesz, nie będę stawiał przeszkód.

We dworze wszyscy już spali, jeno Erzika niespokojni rzuciła się na posłaniu. W półśnie jawiły jej się straszne obrazy, widziała, jak ciżba hajduków i pandurów pokonuje broniącego się mężnie Drozda, jak go wiążą i łamią kołem. Przerazona zerwała się z łóżka i zdumiała się, iż księżyc tak pięknie świeci i takim jasnym blaskiem zalewa dwór i otaczający go ogród.

Długo stała zamyślona przy oknie, a potem cichutko otworzyła drzwi i jęła się skradać do izby Michała.

I te drzwi otworzyła bezgłośnie i równie bezgłośnie zamknęła za sobą.

— Michale! — szepnęła.

Lecz dziewiętnastoletni młodzieniec spał twardym snem młodości. Kiedy delikatnie potrząsnęła go za ramię, drgnął konwulsyjnie, jakby go zrzucano z Siwka Złotogrzywka, na którym we śnie galopował do krainy baśni.

Usiadł przestraszony na posłaniu, zaraz wszakże się roześmiał:

— Ach, to ty, Erziko! Co się stało?

A kiedy popatrzył na jej twarz jaśniejącą delikatną białością, na promienne, przepastne oczy, na krucze włosy spływające na ramiona i piersi, nie zdołał ukryć zachwyty:

— Jaka ty jesteś piękna, Erziko!...

Chwyła go za rękę jak w gorączce, ścisnęła ją płonącymi dłońmi i szepnęła:

— Michale, powiedz, jesteś mi naprawdę bratem i miłujesz mnie?

Jej ręce drżały, a oddech palił.

— Co ci się stało, Erziko? Czemu pytasz mnie o tak dziwne i oczywiste rzeczy?

— Powiedz, czy naprawdę mnie miłujesz? Objął ją i pocałował w czoło:

— Miłuję cię, Erziko, jak nikogo na świecie!

— A gdybym zażądała od ciebie dowodu twojej miłości, złożyłbyś go?

— Złożyłbym!

— W tej chwili?

— W tej chwili!

— Więc osiodłaj konia, weź broń i jedź ze mną!

— Ale dokąd, Erziko?

— Ocalić mojego miłego!

— Ty masz miłego? — wytrzeszczył oczy.

— Mam! — łzy napływały jej do oczu. — Mam, ale może już go zabili albo wtrącili do lochu...

— Masz miłego... — wyszeptał Michał, jakby nie był w stanie w to uwierzyć, i dziwny ból ścisnął mu serce.

— Nie potępiaj mnie. Michale, i nie gniewaj się na mnie. Nikomu innemu na świecie bym tego nie wyznała. Ty zawsze miałeś dla mnie wyrozumienie, nigdy za nic inie nie potępiłeś. I teraz będziesz wyrozumiały.

— Kim jest twój miły? — przerwał jej niecierpliwie.

— Zbójnikiem! — odparła ledwo dosłyszalnie.

— Zbójnikiem? — powtórzył przerażony.

Nic okropniejszego nie mogła mu powiedzieć.

— Andrzej Drozd? — odgadł jakby z ulgą.

— Andrzej Drozd!...

Michał Priborsky, jak każdy szlachcic, nie lubił zbójników i gardził nimi. Z wyjątkiem Andrzeja Drozda. W głębi serca podziwiał go za niepowседневną siłę i odwagę. Dłate-

go wprędcie ochłonął z przerażenia, w jakie wprawilo go wyznanie Erziki, iż jej miły jest zbójnikiem, natomiast z każdą chwilą Umacniał się jego podziw dla Andrzeja Drozda. Ożywała mu w pamięci wszystko, co o nim słyszał, i coraz bardziej rósł w jego oczach. Uświadomił sobie, iż zazdrości mu potężnej postury, szaleńczej odwagi, siły i sławy, jaka szła za nim przez świat.

— A on cię miłuje? — zapytał w końcu,

— Nie wiem... — odparła drżącym głosem i wybuchnęła płaczem, który wzbierał w niej przez cały wieczór.

— Nie płacz — pocieszał ją Michał. — Nie może to być, aby ktoś nie odwzajemnił twojej miłości...

Sama nie wiedziała, dlaczego płacze. Musiała płakać, albowiem serce jej przepełniał nadmiar uczuć, a płacz sprawiał jej ulgę.

Niepomne przekonanie Michała podniosło ją na duchu. Otarła zalane łzami oczy.

Opowiedziała mu o spotkaniu na skraju lasu. Wiernie, ze wszystkimi szczegółami a także o wydarzeniu na podwórku zamkowym, jak Andrzej Drozd przyniósł czachtickiej pani poselstwo od Jana Kaliny, sam, bez broni, jeno z gołymi pięściami, jak łatwo zerwał wiązy i uciekł na Wicherze ściągany biciem dzwonów na larum.

Jej słowa przepełnione były zachwytem i podziwem.

— Chodź, nie zwlekajmy! — zawołała na koniec,

— Idziemy! — odrzekł Michał, gotów walczyć nawet z siedmiogłowym smokiem. Marzył o jakiejś niebezpiecznej przygodzie, pragnął pokazać Erzice, że nie jest tchórzliwym gołowąsem, lecz śmiałym, męznym junakiem. Upajała go myśl, iż stanie się wybawcą niezmożonego Andrzeja Drozda, w ostatniej chwili wyrwie go z rąk wroga

Musi go ocalić!

Chwilę później zdumionemu i zaspanemu pachółkowi w stajni kazał osiodłać konia swojego i Erziki. Jak złodziej

wśliznął się do zbrojowni ojca, wziął cztery pistolety i zaknął je za pas.

Kiedy przechodzili przez podwórze, Erzika z upodobaniem zmierzyła jego zgrabną postać i oczy jej z zadowoleniem spoczęły na pistoletach.

— Wyglądasz, jak rycerz wyruszający na bój! — wyraziła swój podziw. Michał dumnie wypiął pierś i wskoczył na konia.

— A ty trzymaj język za zębami! — fuknął na pachółka swego rówieśnika, który walczył z pokusą zbudzenia waszmości i powiadomienia go o nocnej wycieczce córki i syna.

— Jeśli się poważysz pisnąć choć słowo mojemu ojcu, żeśmy tej nocy wyjeżdżali, stłukę ci gębę!

Pachółek kręcąc głową zaszył się w stajni.

Erzika bodła konia ostrogami, a Michał gnał za nią. W sztuce jeździeckiej bezsprzecznie górowała nad nim. Patrzył z podziwem, jak pewnie siedzi w siodle. Znała wszystkie drogi, wszystkie ścieżki w całej okolicy. Ostrów, Oczków, Korytne, Podole, Czastkovice, Želovany, wieś, przez które przejeżdżali lub które mijali, jedna po drugiej zostawały za nimi czerniejąc w księżycowej poświacie.

Po drodze nie przemówili ani słowa.

Kiedy na czachtickim rynku zabieliła się przed nimi szubienica, Erzika, zdjeta złym przeczuciem, omal nie spadła z konia. Jakiej ulgi doznała usłyszawszy, że nie dla Andrzeja Drozda ją postawiono, że jeszcze jest na wolności, jeszcze walczy!

W pobliżu Wiśniewa Erzika zatrzymała się raptem Michał, dogoniwszy ją, też ściągnął konia.

— Słyszysz? — Nasłuchiwała z napięciem.

— Słyszę okrutną wrzawę. Gdzieś tu się biją — odrzekł Michał.

— Zjedźmy na bok, przywiążemy konie tam w zaro-

ślach, a sami ostrożnie podejźmy w pobliże placu boju! — Erzika jak najrychlej chciała zobaczyć, po czyjej stronie jest przewaga.

Szli trzymając się za ręce jak dzieci, aż w końcu ujrzeni przed sobą straszliwą kotłowaną, kłęb walczących, migające w powietrzu pięści, posłyszeli bojowy wrzask, krzyki i jęki rannych.

— Wejźmy na zbocze — radził Michał. — Stamtąd lepiej ogarniemy położenie i zobaczymy, co byśmy mogli przedsięwziąć.

Ze zbocza z napięciem obserwowali bitwę.

— Tam jest, tam jest! — Erzika ze wzburzeniem chwyciła Michała za rękę i pokazała palcem.

Ale nie było to potrzebne. Andrzej Drozd co najmniej o dwie głowy górował nad atakującymi. Co raz ułapał którego z nich za nogi, kręcił nim młynka jak wprzód dyszlem i kładł pokotem szeregi napastników. Opoдал Ficko wściekle zmagął się z dwoma zbójnikami, lecz w tym zamieszaniu zdarzało mu się, iż skakał na oślep na jakiegoś hajduka albo pandura. Opamiętawszy się, z jeszcze większą zajadłością rzucał się na najbliższego zbójnika Szalał. Był przeświadczony, że wszystko pójdzie jak z płatka, a tymczasem trwa to już całą wieczność. Gdzie spojrzy, tam hajduk albo pandur wije się z bólu lub jęczy cicho. Zaś Andrzej Drozd nadal stoi pewnie i niezłomnie jak posąg, powala każdego, kto się poważy nań rzucić, i jeno się śmieje, butnymi okrzykami wlewa w swoich druhów wytrwałość i siłę. Fickowi błysnęła pewna myśl, Jeśli zmagą Drozda, walkę wygrają! Początkowo chciał go rzucić do nóg czachtickiej pani żywego, w okowach. Skoro wszakże nie ma na to nadziei, niechaj raczej zginie, niż gdyby on miał stanąć przed panią jako pokonany.

Wiem Wawrzek rąbnął Ficka pałą. Osunął się na ziemię zamroczony. Wawrzek nie zajmował się nim więcej, nawet by nie mógł, albowiem pandurzy sypnęli się ku nie-

mu jak osy.

Ukryci na zboczu obserwatorzy z zapartym tchem śledzili bój. Z ciemności patrzyły na Andrzeja Drozda dwie pary zachwyconych oczu. Erzika była dumna i uszczęśliwiona. Patrzcie, jej wyśniony bohater stoi murem i śmieje się, śmieje się, chociaż ze wszystkich stron nacierają nań rozwścieczone krwiożercze bestie, hajducy i pandurzy, by pozbawić go wolności i żywota. Nie, nie dostaną go!

Zagadkowy wystrzał

Naraz Erzika struchlała, krew zastygła jej w żyłach. Nie odrywała oczu od Ficka, który przed chwilą zwałił się na ziemię.

— Michale! — chwyciła go kurczowo za ramię.
— Spójrz! Spójrz!...

Ficko najwidoczniej ocknął się z zamroczenia, bo oto pełźnie pomiędzy jęczącymi rannymi jak wąż, niechybnie chce się wydostać z placu boju. Teraz na czworakach podkraada się do leżącego samotnie pandura i wyciąga mu pistolet zza pasa. Zważył pistolet na dłoni i pełźnie dalej.

— Michale, Michale! — szepcze Erzika drżąc na całym ciele.

Ficko, jak gdyby bitwa przestała go obchodzić, wspina się na zbocze.

Erzika i Michał drętwieją. Zda się im, że Ficko ich szuka w ciemności i że zmierza prosto do nich.

Lecz po kilku krokach raptem stanął, odwrócił się plecami do pary młodych, uniósł rękę z pistoletem i bierze na cel Andrzeja Drozda.

Zaś księżyc, jakby się z nim sprzymierzył, szczerze oblewa pobojuwisko srebrzystą poświatą. Wyraźnie widać

pełno dobroduszne, roześmiane oblicze Andrzeja Drozda i jego potężną, jakby z metalu odlaną postać.

— Giń, przeklęty zbójniku! — wrzasnął naraz Ficko i pewną ręką wycelował prosto w głowę Drozda.

Na ten przeraźliwy okrzyk wszyscy się wzdrygnęli i wszystkie twarze zwróciły się ku zbocz.

Uśmiech zniknął z twarzy Drozda, i on wlepił wzrok w zbocze, lecz nie domyślił się, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża.

Erzika w jednej chwili uświadomiła sobie, że jest stracony, jeśli Ficko wystrzeli.

Echo jeszcze nie zwróciło okrzyku Ficka, gdy zagrzmiał ogłuszający wystrzał.

Ficko wrzasnął jeszcze przeraźliwiej niż przed chwilą, runął na ziemię i potoczył się w dół po stoku. Wrzeszczał z bólu i z wściekłości, że niewidzialny strzelec przestrzelił mu rękę i wytrącił pistolet, a wraz z nim nadzieję na zwycięstwo.

Patrzący nie pojmowali, co się stało, wytrzeszczali jeno oczy na pogrążony w ciemności stok i na Ficka, który sturłał się do ich nóg i wił się tam jak przydeптany wąż, wrzeszcząc nieustannie.

To Erzika strzeliła, Przed chwilą błyskawicznie wyrwała oniemiałemu i niezdolnemu od uczynienia ruchu Michałowi pistolet z za pasa i wycelowała w ramię Ficka. Ledwo jednak huknął wystrzał, nerwy wypowiedziały jej posłuszeństwo. Zaćmiło jej się w oczach, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Michał jej nie pochwycił.

Był pełen podziwu dla Erziki. Ze wstydem uświadomił sobie, że gdyby nie ona, Andrzej Drozd już by nie żył. Zanim on się zdobył na czyn, Ficko dopiąłby swego.

Tam na dole pierwsi opamiętali się Andrzej Drozd i kapitan pandurów. Drozd domyślił się, iż zdradliwy Ficko wymknął się z ciżby walczących, aby ze zbocza wziąć go

na cel i zastrzelić, i że ktoś stojący ponad nim na zboczu w ostatniej chwili udaremnił mu to. W błysku wystrzału jego orli wzrok zoczył dziewczęcą postać i dziewczęcą buzię Mignęła jak we śnie i natychmiast pochłonęły ją gęsta ciemność. Kapitan pandurów wszakże nie pojmował, co się stało, podbiegł więc do Ficka, aby mu objaśnił zagadkowe zdarzenie, które przerwało bój.

Reszta stała nie mogąc się ocknąć ze zdumienia. Nad tą skamieniałą gromadą znowu rozległ się niefrasobliwy śmiech Drozda.

Ledwo kapitan schylił się nad wrzeszczącym Fickiem, Andrzej Drozd przyskoczył do nich, lewą ręką ułapił za kark kapitana, zaś prawą Ficka.

Uniósł ich w górę i zderzył głowami, aż zadudniło.

Pandurzy i hajducy przyjęli to jako znak do dalszej walki, lecz powstrzymał ich gromki głos Drozda:

— Jeśli choć jeden z was się ruszy, rozłupię głowy waszych dowódców niczym orzechy! Który chce wziąć ich śmierć na swoje sumienie?

Zaś do swoich, jeńców, którzy miotali się w jego rękach jak szaleni, rzekł:

— Ficko i ty, czerwony kapitanu, rozkażcie swoim frantom, aby natychmiast wynosili się do domu, bo jeśli ruszą na mnie i moich druhów, wy w tej samej chwili rozstaniecie się z życiem.

I aby dodać wagi swoim słowom, bezlitośnie ścisnął im szyje i wymierzył każdemu kopniaka.

— No co? Oniemieliliście? — Potrząsnął nimi gwałtownie.

Ficka roznosiła wściekłość. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie był taki bezsilny i ośmieszony Wisi w rękę Andrzeja Drozda jak na szubienicy i nic nie może na to poradzić. Woli raczej zginąć, niż tak zhańbiony pokazać się

czachtickiej pani na oczy.

Kapitan pandurów był z innej gliny, a ze zbójnikami walczył nie z nienawiści, lecz tylko z powinności, Teraz zaś drżał o swoje życie. Gdy Andrzej Drozd chwilami mocniej ścisnął mu szyję, łapał powietrze jak tonący. Gotów był ulec.

— Czy wam języki przyrosły do podniebienia?
— krzyknął Drozd na swoich jeńców i znowu wymierzył im po kopniaku. — Jeśli się nie ozwiecie, nim doliczę do trzech przeniesiecie się na tamten świat!

I głosem twardym jak z metalu jął liczyć:

— Raz!.... Dwa!...

Kapitan szarpnął się.

Drozd postawił go na ziemi i zwolnił nieco uścisk.

— Pandurzy! — wycharczał kapitan. — Bitwa skończona, wracajcie do Czachtic.

Ficko zatrzepotał się wściekle i nim Drozd się spostrzegł, kopnął kapitana

— Tchórze! — ryknął.

Drozd tak go ścisnął za szyję, że miast zionących wściekłością słów słychać było jeno charkot.

— Teraz jesteś czerwony jak mundury twoich drabów. — rzekł Drozd złowrogim głosem. — Za chwilę staniesz się fioletowy jak twój kaftan, a diabły powitają twoją czarną duszę w piekle. Wszelako użyję ci jeszcze chwili, abyś mógł się zastanowić — rozluźnił uścisk palców wpijających się w gardło Ficka. — Jeszcze raz policzę do trzech. Jeśli przez ten czas nie nabierzesz rozumu, będzie to kres twego żywota.

Ficko był już przeświadczony, iż nadeszła jego ostatnia chwila. Teraz, gdy Drozd dał mu sposobność ocalenia, strach przed śmiercią, której już patrzył w twarz, przemógł wszystkie inne uczucia. No to co, że ocali żywot w tak haniebny sposób? Przynajmniej będzie miał możność zemścić

się straszliwie, jak nikt na świecie jeszcze się nie zemścił, Byle żyć, żyć za wszelką cenę żyć! Zresztą, pocieszał się, hańba nie będzie aż tak wielka. Cóż bowiem może począć sam ze swoimi hajdukami, skoro kapitan poddał się tchórzliwie. On to wypije, na nim się skrupi gniew i złość czachtickiej pani.

— Raz!... Dwa! ... — liczył Drozd w grobowej ciszy.

— Dosyć! — syknął Ficko. — Poddaję się!

— Ty nie masz co się poddawać — zaśmiał się Drozd.
— Za ciebie i twój żywot, jak cię tu trzymam, nikt nie dałby złamanego grosza! Rozkaż, hajdukom, aby się wynieśli.

Ficko usłuchał.

— Pandurzy, hajducy! — zawołał Andrzej Drozd.
— Wróćcie do Czachtic bez swoich dowódców. Puścimy ich dopiero rano. Wiem, że gdybym teraz puścił ich wolno, znowu popędziliby was do walki. A my już nie mamy czasu na bijatykę. Przed nami daleka droga. No i litość nas zdjęła nad wami. Mielicie takie piękne gębusie, a teraz spuchły wam jak banie i zsiniały...

Pandurzy i hajducy zbierali się do odwrotu. Zwoływali i chwyтали rozpierzchłe konie, zbierali z ziemi rannych towarzyszy i sadzali ich na konie, tych zaś, którzy nie byli zdolni utrzymać się w siodle, znosili w jedno miejsce i pocieszali, że wrócą po nich.

Zbójnicy związali Ficka i kapitana, wrzucili ich na wóz i zaprzęgali konie. Byli weseli, żartowali, pokrzykiwali kpiąc na hajduków i pandurów, pogwizdywali sobie i podśpiewywali.

Jeno Andrzej Drozd stał pośród tej krzątaniny beczynie coś rozważając. Badawczo wpatrywał się w stok pogrążony w nieprzeniknionej ciemności. Po chwili energicznym krokiem ruszył w to miejsce, skąd padł strzał, zaś w jego blasku mignęła owa twarz...

— Chodźmy, Michale, chodźmy! — Erzika ciągnęła.

Machała za ramię.

Jakże pragnęła spotkać się z nim, ujrzeć go, posłyszał jego głos! a teraz, kiedy jest tak blisko, coś pędzi ją stąd, coś ją wygania. Nie, teraz, nie może się z nim spotkać. On nie może się dowiedzieć, że to ona uratowała mu życie. Nie chce jego wdzięczności, chce znacznie więcej — jego serca...

Lecz ucieczka była niemożliwa. Andrzej Drozd, jakby widział w ciemnościach, pewnym krokiem wspinał się po zboczu. Nim Erzika i Michał się spostrzegli, już stał przed nimi. Uczuli na sobie jego badawczy wzrok.

— Tyżeś to, Erziko? — zapytał stłumionym, tklwym i rozedrganym głosem, jakiego Erzika jeszcze nie znała.

— Tak, ja — odpowiedziała nieśmiało i zalała ją fala gorąca.

— A kto jest ? tobą?

— Mój brat Michał.

— Kto wytrącił Fickowi pistolet z ręki?

Erzika milczała zmieszana. Lecz jeno chwilę, wnet odzyskała głos:

— Michał!

— Nie, ja nie, to Erzika! — zaprzeczył Michał. — Jeszcze trzyma w ręce pistolet, z którego wystrzeliła...

— Pokaż ten pistolet, Erziko!

Podala mu pistolet, a kiedy ich ręce zetknęły się niechęcący, zadrzała.

— Pocziwe i odważne z was dzieci — rzekł Andrzej Drozd — Ten pistolet wezmę sobie na pamiątkę.

Wsunął pistolet za pas i wpatrzony w Erzikę, chwilę stał niezdecydowanie. Toczył ze sobą walkę.

Raptem podszedł do Erziki, ujął ją delikatnie pod ramiona, uniósł jak piórko i przytulił mocno.

A potem pocałował w usta.

Kiedy postawił ją na ziemi, zatoczyła się oszołomiona, łyzy szczęścia przesłoniły jej oczy. Wyciągnęła ramiona, chcąc go objąć i wygnać, że go miłuje...

Lecz on już oddalał się bez słowa, już schodził po zboczach, już wmieszał się na dole między swoich druhów.

Spoglądała za nim przez łyzy, w końcu zaś wybuchnęła płaczem.

— On mnie pocałował... miłuje mnie... — szeptała, a Michał bezradnie głaskał ją po włosach i rozpalonej buzi.

Dziwny ból zwierzał mu serce. Powinien być szczęśliwy, skoro siostra jest szczęśliwa. Lecz nie jest zdolny się cieszyć, serce przeszywa mu ból.

Andrzej Drozd pocałował Erżikę. Pocałował!

Nie może pojąć, dlaczego ten pocałunek tak go pali, dlaczego taką gorycz wsączył w jego serce?

— Erżiko — ozwał się, jakby budził ją ze snu — musimy już iść.

Pandurzy i hajducy opuszczali pobojoywisko. Bez śpiewu, bojowych okrzyków i zapału, z jakim gnali tutaj. I nie bodli koni ostrogami. Ciągnęli w milczeniu, jak posępny kondukt pogrzebowy.

— Gdzie jest Kalina? — zapytał Andrzej Drozd zbójników. Lecz żaden nie umiał mu odpowiedzieć.

— Wawrzek — polecił — ty wrócisz do Czachtic wywiedzieć się, czy coś mu się nie stało.

Nachylił się i szepnął mu, gdzie ma wrócić.

Po chwili na pobojoywisku została tylko gromada jęczących pandurów i hajduków. Erżika i Michał wrócili po swoje konie, zaś zbójnicy na dwóch wozach mszyli w stronę Nowego Miasta.

Gdy mijali Skalny Wierch, wóz wiozący Ficka i kapitana pandurów zatrzymał się. Andrzej Drozd chwycił jedną ręką Ficka, drugą kapitana i cisnął ich do przydrożnego

rowu.

— Tutaj poczekacie sobie do rana albo i do wieczora,
dopóki was nie znajdą.

6. *Jak w sądny dzień*

Sromotny powrót, gorzka zapłata

Ojcowie miasta, zebrani u rychtarza Kubanowicza, radzili długo i burzliwie. Każdy miał jakąś skargę na zamek. Wszyscy zaś oburzali się, iż czachticka pani nie przestrzega prawa i przywilejów nadanych miastu przez różnych panujących. Jeno patrzeć, a zacznie się odnosić do wolnych mieszczan jakby byli jej poddańcami.

Postanowili udać się wprost do zamku i tam przez usta najwymowniejszego spośród siebie, Jana Ponicensa, złożyć protestację miasta przeciw wieszaniu na czachtickim rynku.

Akurat gdy wychodzili z domu rychtarza, obławnicy wracali z wyprawy na zbójników.

Rozbici na gromadki, jedni na koniach, inni pieszo wlekli się noga za nogą, jakby szli na stracenie. Truchleli na myśl, co ich czeka, gdy staną przed grafką pokonani i bez dowódców.

Całe miasto wyległo na ulice.

Chociaż szli jak mogli najciszej, mieszczanie, którzy oczekując w podnieceniu na wynik bitwy pod kaszteltem i poranną egzekucję nie zmrużyli oka, posłyszeli ich. Dla czerwonych strażników pańskiej władzy i porządku pu-

blicznego był to sromotny powrót. Sromotniejszy niż gdyby wracali z przegranej wojny, z uszami i nosami odciętymi przez wroga dla pohańbienia. Wtenczas w oczach patrzących nakręciłyby się przynajmniej łzy współczucia i zapłonęłyby gniewem. Ich zaś nikt nie żałuje. Zewsząd padają kpiące, uszczypliwe uwagi pieką do żywego, jak gdyby wokół paliły się domy i z dachów sypały się na nich płonące żagwie.

— Niebożęta, ale was zbójnicy oporządźli!

— Toście i konie stracili w owej bijatyce? Pewnikiem spodobały się zbójnikom?

— A dowódców swoich zgubiliście po drodze?

— Biedacy, nie chciałbym ja być w waszej skórce!

Każdy rzucił im jakieś pytanie lub słów kilka, niby to współczująco, a w istocie z prześmieciami. Pandurzy i hajducy, wyczerpani, ledwie trzymający się w siodle, opancerzyli się przed w tym ukłuciom obojętnością.

Za zmierzającym do zamku orszakiem obławników ciągnęli mieszczanie z rychtarzem i pastorem na czele.

Co uczyni czachticka pani, kiedy się dowie, iż zbójnicy pojмали Ficka i kapitana? To ci będzie krotochwila! Żaraz wszakże ze zgrozą w sercu pomyśleli o Janie Kalinie. Biedak, za parę godzin okaleczą mu rękę, a potem go powieszają...

Brama zamkowa rozwarła się niby olbrzymie usta i gromada zbrojnych wwalila się na dziedziniec. Czachticzanie pozostali przed bramą i jeno wodzili oczyma po podwórku, Ha, tam już przyszykowano dla pani fotel z baldachimem, opodał zaś deresz. W pobliżu stoi nowy zamecznik i w zamysleniu wpatruje się w ogień, w którym rozgrzewają się kleszcze. A tam Katarzyna Benecka z kilkoma służkami krząta się przy partaczących kotłach, w których gotuje się gulasz, obok zaś rozpierają się trzy pękate beczki wina. Obfita ucztą czeka na zwycięzców!

Powyżej zaniku pod rozgwieżdżonym niebem czerni się stodoła o szeroko otwartych wierzejach, gdzie strudzeni wojownicy znajdują odpoczynek na łożach z wonnego siana.

— Jada już, jada! — woła Ilona Jó. Nawet nie pyta, ilu zbójników wiodą, pędzi na złamanie karku, aby co rychlej powiadomić panią o powrocie obławników.

Grafka przez cały wieczór nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Podniecała ją świadomość, iż teraz właśnie w zamkowym lochu zuchwalec, który ośmielił się jej grozić, gotuje się na śmierć, zaś jego towarzysze toczą za Wiśniewem nierówną walkę z przeważającą siłą. Rano wiatr rozkołysać na szubienicy ich trupy i wrony nad nimi zakraczą.

Gnana niepokojem krążyła po komnatach, w gotowalni wyrzuciła ze skrzyni szaty i nienawistnie deptała kosztowne czarne spódnice, staniki i płaszcze, które od śmierci męża stanowiły jedyny jej ubiór. Wszechwiedząca Majorowa rzekła jej dzisiaj, iż czerń zabija urodę, jest grobem młodości. Postanowiła przeto zniszczyć wszystką czarną odzież i nosić jeno jasną, o żywych jaskrawych barwach. Piętnaście szwaczek już jej szyje nową suknię z różowego jedwabiu.

Gdy Ilona przybiegła z wieścią o powrocie obławy, zastała panią słuchającą w zbożnym skupieniu pouczeń Majorowej. Elżbieta Batorówna ozłociłaby tę zasuszoną staruchę za jej bezcenne rady, jak zachować urodę i zapobiec starzeniu się. Ona otworzyła jej oczy, ona dała jej receptę. Jej zadzięcza, że będzie piękna, najpiękniejsza na całych Węgrzech. Wybiegła na podwórzec w nastroju uniesienia. Porachuje się z wrogami i pokaże, co czeka każdego, kto ośmieli się mieszać w jej sprawę.

Ledwie jednak zasiadła w fotelu, uniesienie znikło. Zaskoczonym wzrokiem wodziła po obławnikach — spodziewała się, iż powitają tryumfalny wrzask, i tymczasem stali

cicho, z opuszczonymi głowami.

— Co się stało? — zawołała zdjęta złym przecuciem.

— Ficko i kapitan rozkazali nam przerwać walkę i wrócić spokojnie do Czachtic — odpowiedział bojaźliwie jeden z hajduków.

Jakby grom w nią uderzył. Zerwała się z fotela.

— a gdzie Ficko i kapitan? — krzyknęła.

— Zbójnicy ich pojмали i puszcza dopiero nad ranem — brzmiała lękliwa odpowiedź.

Grafka jak oszalała rzuciła się na hajduków.

— Tchórzliwie wydalście swego dowódcę na pastwę zbójników! Psy ńędzne!

I natychmiast padł rozkaz wymierzenia kary, najstraszniejszej dla hajduków.

Zaświstały leszczynowe pręty i grube kije. Hajducy musieli chłostać się nawzajem. Gdy pani zdało się, iż któryś bije towarzyszy zbyt słabo, przywoływała go do siebie i sama tak zaciekle okładała kijem, aż padał omdlały. Nastraszeni tym przykładem hajducy chłostali się gorliwie ze wszystkich sił. I jeden po drugim zwalali się na ziemię, jęcząc przeraźliwie.

Czachticzanie przyglądali się temu oniemiałi. Nie cierpieli hajduków, lecz teraz, gdy widzieli, jak na rozkaz pani grzmocą się wzajemnie i wiją na ziemi z bólu, przebudziło się w nich współczucie. Zwłaszcza kiedy ujrzeli, że grafka śmieje się jak szalona, sama łapie za kij, rzuca się na jęczących hajduków i okłada ich gdzie popadnie. Potem wzięła w obroty pandurów. Istny smok, brakuje tylko, by z oczu posypały jej się skry, a z ust buchnął płomień. Obrzuca pandurów najokropniejszymi wyzwiskami, wpada między nich niczym jastrzęb, wymachuje na oślep kijem, a pandury rozpierzchają się jak stado kuropatw.

Goni to tego, to owego, ledwo już dyszy ze zmęczenia, zachrypla od krzyku.

Przy kotłach znowu wybucha:

— Co, jeszcze byście chcieli dostać gulasz i wino? Roztopionym ołowiem powinnam was nakarmić.

I przewraca kijem kotły. Mięso i wonny sos wylewa się na palenisko. Ogień parska, syczy, buchają kłęby pary. Grafka biegnie do beczek, wybija kijem dna, wino leje się strumieniami, zaś spragniona ziemia pije je łapczywie. Cały podwórzec pachnie zmieszaną wonią wina i gulaszu, a leżącym na ziemi hajdukom i ukrytym po kątach pandurom napływa do ust ślina.

Czachticka pani ledwie już się trzyma na nogach ze zmęczenia. Znieruchomiali hajducy nie pobudzają jej wściekłości, szuka nowej ofiary, na której mogłaby się wyładować. Przy wywróconych kotłach stoi bezradnie Katarzyna, obok fotela i baldachimem Ilona, Anna i Dora, która dopiero przed chwilą przyłączyła się do nich. Zaś opodał, koło ogniska, w którym rozgrzewają się kleszcze, zamecznik Paweł Lederer. Oprócz nich na podwórku nie widać żywej duszy. Pandurzy poukrywali się w najciemniejszych kątach.

Ilona i Anna pragnęły gorąco, aby gniew pani skupił się na Dorze. Myślały, że Dora, wypadłszy z łask pani, nie ośmieli się pokazać jej na oczy, póki nie odnajdzie i nie przyprowadzi Magdusi Kalinianki. I doprawdy dziki wzrok grafki zatrzymał się na Dorze. Wszakże zawistne służebne doznały zawodu, gdyż rozkaz pani jest nowym wyróżnieniem:

— Dora, przynieś Jana Kalinę!

Protestacja

Dora odmaszerowała różnym krokiem, zaś grafka zasiadła w fotelu.

Ojcowie miasta z zastępem mieszczan uznali, iż jeśli odpowiednia chwila do wystąpienia, Czachticka pani ujrawszy kroczących dostojnie rajców, z Janem Ponicenusem na czele, zmierzyła ich chmurnym spojrzeniem.

— Czego chcecie? — zapytała zimno.

— Przychodzimy imieniem miasta Czachtice — zaczął Jan Ponicensus prostując się z godnością.

— w ostatnich dniach, jak miałam sposobność się przekonać, wielce chętnie tu przychodzicie — uśmiechnęła się grafka kpiąco. — i zbytecznie. Wszakże powiedziałam wam niedawno, czego macie się trzymać, wiecie przeto, że i dla was, i dla waszego kościoła byłoby najlepiej, gdybyście się wynieśli na sto mil od zamku, jeśli nie poniechacie mieszania się w jego sprawy.

— Próg zamku przekroczyłem nie z własnej woli, lecz z woli mandatu danego mi przez miasto Czachtice — rzekł pastor surowo — i proszę, abyście dozwolili przedłożyć sobie protestację!

— Jaką protestację? — wybuchnęła grafka.

Ogarnęła ją dzika pasja na widok tego dumnego starca. Postanowiła skończyć z nim jak najrychlej.

Opanowała się jednak i rzekła lodowato:

— Słucham was!

— My, których powinnością jest dbać o obyczajność i dobrobyt miasta, czuwać nad jego przywilejami i dobrym imieniem, nie zgłębiamy, w jakiej mierze jesteście, miłośnica pani, uprawnieni do ferowania wyroków śmierci, tedy do samowolnego wkraczania w kompetencje trybunałowi przysługujące...

— Abyście nie łamali sobie nad tym zbytecznie głowy — przerwała mu z rozdrażnieniem — gdyby się wam, księżę proboszczu, zachciało wraz z czcigodnymi ojcami miasta Czachtice zgłębić mój postępek, zapewniam was, iż nie naruszyłam prawa i nie wkroczyłam w kompetencje trybu-

nałów. Okoliczności wymagają, natychmiastowego unieszkodliwienia Jana Kaliny, rebelianta i zbójnika. Ale proszę, proszę, czymże to właściwie zajmują się czcigodni ojcowie miasta!

— Jaszczcze raz zaznaczam, miłościwa pani — mówił pastor spokojnie, chociaż krew w nim wrzała — nie zgłębiamy, w jakiej mierze przysługiwało wam prawo czynić tak jak czynicie.

— O, cóż za łaskawość z waszej strony — przerwała mu zjadliwie.

— Nie zgłębiamy tego — ciągnął uparcie pastor — albowiem jesteśmy przeświadczeni, iż uczynią to ludzie powołani do czuwania nad tym, by prawo było przestrzegane.

— Nie mam ochoty wysłuchiwać kazania — zachnęła się Elżbieta Batorówna. — Mówcie zwięźle.

Jan Ponicensus już nie władał sobą. Nić przygotowanej przemowy zerwała się. Wybuchnął:

— Na rynku czachtickim nigdy nie stała szubienica! Protestujemy przeciw wieszaniu na rynku!

— Protestujemy! — zawtórowali stojący za pastorem mieszczanie rozjątrzeni butnym zachowaniem grafki, a i przed zamkiem rozległy się okrzyki: — Protestujemy!

— Cha, cha, cha! — brzmiała odpowiedź grafki. — Wiem, że kamieniem obrazy jest nie sama egzekucja na rynku, lecz fakt, że stracony ma być akurat zbójnik Kalina. Jeżeli nie odstąpicie od protestacji, oskarżę przed zwierzchnością miasto Czachtice, iż sprzyja zbójnikom i tajnie pakuje z nimi. A wtenczas Czachtice będą mogły dowieść swego poszanowania praw, karmiąc i hołubiąc niby troskliwa matka kilkuset niemieckich żołnierzy!

I wybuchnęła śmiechem, z którego tchnęła pewność, iż wszyscy są wobec niej bezsilni.

— Jeszcze protestujecie? — spytała z pogroźką.

Ojców miasta na chwilę zastraszyła groźba, że ściągnie im na kark żołnierzy, którzy opróżnią skarbiec miasta, zakłócą spokój rodzin i ogołocą spiżarnie mieszczan. Lecz nawet ten okropny obraz nie ostudził ich oburzenia, przeto zawołali gromko:

— Protestujemy!

W trakcie tego od bramy zbliżyła się, niezauważona przez nikogo, drobna, zgrabna postać kobieca, Była to stara Kalinowa. Po długim daremnym wyczekiwaniu na powrót Mariszy Szutowskiej zdjęta rozpaczą wybrała się na poszukiwania dziewczyny. Lecz nie znalazła nigdzie, a wtenczas w jej udręczonej duszy dojrzało postanowienie, iż uda się do czachtickiej pani.

Stała przed nią, wyprostowała się dumnie, aż zaskoczonym ojcom miasta zdało się, że urosła.

— I ja protestuję, miłościwa pani! — zawołała głosem, który poruszył wszystkie serca. — Nie po to rodziłam dzieci abyś ty je wygubiła! Uprowadziłaś mi córkę, dla syna, z którego uczyniłaś zbójnika, wzniosłaś szubienicę, zaś dzisiejszej nocy twoje zaprzędane diabłu służebne nawłokły do lochu Mariszę Szutowską, ostatnią moją pociechę.

Nieoczekiwane zjawienie się staruszki i jej gwałtownie oskarżenie tak stropiły grafkę, iż w pierwszej chwili nie pomyślała, aby zamknąć jej usta i z miejsca ukarać za zuchwalstwo.

— Kto widział, że służebne pani włokły siłą tę dziewczynę? — krzyknęła groźnie Ilona.

— Kiedy w Czachticach albo w okolicy zaginie dziewczyna, każdy wie, że przepadła w lochach czachtickiego zamku! — zawołała Kalinowa z najgłębszym przekonaniem.

Jan Ponicensus z podziwem patrzył na staruszkę, biedna poddana, w którą miłość macierzyńska wlała tyle odwagi. iż ośmieliła się stanąć przed obliczem swojej pani z tak

ciężkim obwinieniem.

Podeszła bliżej do grafki z głową dumnie wzniesioną, rozłożyła ramiona, jakby chcąc pokazać, że nie ma przy sobie żadnej broni, i podkreślić tym swoją bezsilność.

Oto stoję przed tobą, pani — zawołała rozdzierającym głosem — wbij we mnie pazury, krwiożerczy smoku, jeśli rozkoszą cię napawa widok ludzkiego cierpienia i śmierci i zgaś mój żywot, albowiem nie ma on dla mnie już ceny skoro pozbawiłaś mnie wszystkich moich dzieci!

Wtem grafka rzuciła się na nią jak furia, pięścią jąła ją okładać po twarzy, biła ją i kopała.

— a masz, a masz, ty rebelianckie nasienie! Zdechnij jak zdechną twoje bękarty! — syczała.

Staruszka bez słowa znosiła ciosy.

Czachticzenie ze zgrozą patrzyli na ten przejaw złości ludzkiej, tu i ówdzie ozwały się okrzyki oburzenia.

Gdy staruszka osunęła się na ziemię, grafka krzyknęła do służebnych:

— Odnieście ją do lochu!

Raptem błysnęła jej szatańska myśl:

— Albo nie, zaczekajcie chwilę, niechaj weźmie sobie na pamiątkę i pociechę trzy palce syna! Zameczniku! — zawołała do Pawła Lederera. — Daj kleszcze, ja sama wyrwę mu palce... Ilona, biegnij ponaglić Dorę!

Paweł Lederer na chybcika omotał sznurami długie rękojeści, bo mimo drewnianej okładziny zbyt się rozgrzać; i niósł kleszcze ostrożnie jak pochodnię. Grafka wyrwała mu je z ręki, uniosła w górę i szczęknęła nimi. Zdało się, iż rozżarzone kleszcze płoną niczym ognisty język, posypały się iskry i oświetliły na chwilę całą postać czachticzej pani.

Napięcie na podwórku wzmoгло się do ostateczności.

Ktoś zniknął, ktoś się zjawił

Przez dziedziniec przeleciał głuchy pomruk.

Z drzwi wybiegła Dora, a za nią Ilona.

Grafkę ogarnęło złe przecucie, kleszcze wypadły jej z rąk.

— Co się stało? — wykrzyknęła.

— Loch jest pusty! — zawołała Dora z rozpaczą. — Kalina zniknął bez śladu!... Drzwi lochu byty zamknięte, a w środku znalazłam jeno o powróż, którym zbójnik był skrępowany.

Wieść o ucieczce syna wlała w Kalinową nowe życie.

Czachticzenie nie posiadali się z uciechy.

Kto by dbał o to, że jutro mogą go pociągnąć do odpowiedzialności za okazanie zadowolenia z ucieczki zbójnika?

Elżbieta Batorówna nie mogła ochłonąć z zaskoczenia. Chyba cały świat sprzymierzył się przeciw niej. Pod naporem wściekłości mózg wypowiedział jej posłuszeństwo. Nie wiedziała, jak uciszyć radosną wrzawę, jak zmyć hańbę, która spadła na nią tak niespodziewanie.

— Pod moim dachem kryje się zdrajca! zawołała w końcu, pałając żądzą zemsty, i jastrzębim wzrokiem obrzuciła służbę, jakby wybierała, kogo obwinić o zdradę i natychmiast przykładowie ukarać, aby kleszcze i szubienica dostały swój łup.

Każdy, kto uczył na sobie jej wzrok, dygotał z przerażenia, czy za chwilę nie stanie się bezwolną igraszką pomsty,

Nawet czachticzenie ucichli. Opamiętali się, uświadomili sobie, że powinni byli zataić swoją radość. Stało się wszakże coś nieoczekiwanego.

Przed czachticką panią wyskoczył jak spod ziemi hajduk przysadzistej postaci, który zawołał gromkim głosem;

— Tak, masz zdrajcę pod swoim dachem, miłościwa pan Zdrajcę, co zaprzedał przyjaciela!

Śmignął niemal w powietrzu i dopadłszy osłupiałego Pawła Lederera tak zdzielił go pięścią po głowie, iż ten zwałił się na ziemię jak kłoda.

— To jeno zadatek na to, co jeszcze dostaniesz za zradę!

Nowy skok i już znowu stał przed grafiką.

— A i tobie, smoku, trochę przytnę pazury!

Złapał kleszcze, rozwarł je i wyciągnął ku Elżbiecie Batorównie. Wrzasnęła z bólu. Zacisnął kleszcze na jej udzie.

— Naści, abyś wiedziała, jak to smakuje, kiedy się szarpie rozpalonymi kleszczami żywe ludzkie ciało!

Jeszcze jeden skok i delikatnie podniósł starą Kalinową:

— Chodźcie, babciu, nie damy was!

Nim ktokolwiek się spostrzegł, hajduk posadził starszkę na koniu, wskoczył na siodło za nią i ruszył z kopyta.

Czachticzenie uskakiwali mu z drogi, wołając ze zdumieniem: — Wawrzek! Wawrzek!

Istotnie, był to zbójnik Wawrzek. Kiedy Andrzej Drozd wysłał go do Czachtic na zwiady, co się stało z Janem Kaliną wpadł na pomysł, aby ściągnąć mundur z któregoś z pokierszowanych hajduków i przebrać się. Tym sposobem dostał się niezauważony do zamku, a tam wmieszał się między pandurów, aby hajducy go nie poznali. Kiedy zaś pandurzy rozpierzchli się po zakamarkach podwórca, niepostrzeżenie ukrył się za przewróconym kotłem. Jeno pandurzy to widzieli i podziwiali jego łakomstwo Myśleli, iż znęciła go woń mięsiwa. Wawrzek wszakże chciał być w pobliżu czachtickiej pani, aby we właściwej chwili podjąć próbę uwolnienia Kaliny. Jeśli mu się to nie uda, podpali stodołę i stogi za zamkiem, a zbójnicy widząc łunę wyrozumieją, że druh jest w niebezpieczeństwie, przybędą,

i uratują go. Skoro jednak Kalina w niepojęty sposób uciekł, postanowił ocalić jego matkę.

Przemknął jak błyskawica i zniknął za bramą.

Grafka, zmożona bólem, gniewem i złością, osunęła się w ramiona swoich służebnych.

— Wynoście się, wynoście się natychmiast! krzyknęła jeszcze na czachticzan, niebywale radych z rozwoju wydarzeń, i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Kiedy służebne niosły ją, bezwładną i szlochającą, ni jedno serce nie drgnęło ze współczucia.

Czachticzenie w milczeniu opuścili dziedziniec.

Cały zamek był na nogach. Młode służebne biegały z sali do sali jak ptaki w klatce, spłoszone, przerażone. Przy świetle świec sprzątały, aby wszystko lśniło, aby nigdzie nie znalazł się ani paproszek, ani pyłek kurzu.

Szwaczki trzęsącymi się rękoma robiły ostatnie ścięgi w nowej wspaniałej szacie pani. Dręczący niepokój nękał ich młode dusze i wyzierał z zapadniętych z niewyspania oczu.

Także trzy staruchy, Dorę, Ilonę i Annę, ogarnęły złe przeczucia. Z posępnymi twarzami kręciły się wśród dziewcząt. Drzwi sypialni tak pochłaniały ich uwagę, że nawet nie łąjały dziewcząt.

Naraz z sypialni doleciał przeraźliwy krzyk. Nigdy nie słyszały swej pani tak krzyczącej z bólu, choć służą już u niej długie lata. Wszelako ten bolesny krzyk nie obudził w nich współczucia. Jeno strach, jakiego nigdy jeszcze nie doznały. A jeśli obwini je, że one mają na sumieniu wszystko, co się stało? a jeśli postanowi ukarać je za ucieczkę Magdusi Kalinianki i Jana Kaliny oraz za wszelkie niepomysłowości i upokorzenia, których wcale nie zawińczyły? Zimny dreszcz przemknął ich wyschłe ciała.

Wspólny strach i wspólne niebezpieczeństwo sprzymierzyły zazdrosne rywalki. Anna Darabulowa, Dora Senteszowa

wa i Ilona Jó stanąwszy pod drzwiami sypialni i zsunęły głowy i jeły radzić nad sposobem wywiniecia się z opresji.

Dziewczęta przypatrywały im się z przerażeniem.

Skoro staruchy, które rozdziela śmiertelna nienawiść w walce o łaski pani, tak zgodliwie i wspólnie coś knują, jest się czego obawiać.

Dwanaście dziewcząt na śmiertelnym łożu

Elżbieta Batorówna wijąc się z bólu leżała na wysokim łożku z baldachimem, a nad nią pochylała się stojąca na stopniu Majorowa.

— Już jeno małą chwilkę, miłościwa pani, a ból ustąpi — pocieszała grafkę.

Wawrzek porządnie ją szczypnął. Nad kolanem miała głęboką ranę, jakby wyszarpaną kłami drapieżne go zwierza.

— Zabiję cię, czarownico — krzyczała grafka i zacinała zęby, gdy Majorowa przemywała ranę oliwą i smarowała gojącą maścią. Od tej cudownej ponoć maści rana paliła ją jak ogniem, a rwący ból wzmagął się coraz bardziej. Znachorka stała nad nią z pewnym siebie uśmiechem.

— Jeszcze chwilka, miłościwa pani, a zapomnicie, że coś was bolało.

Ledwo to rzekła, Elżbieta istotnie z westchnieniem ulgi siadła w łożu.

Rany w nodze prawie już nie czuła, tym boleśniej wszakże zaczęła ją piec zraniona pycha i duma; upokorzenie doznane od zbójników oraz krnąbrność mieszkańców Czachtic. Wspomnienie gawiedzi radującej się z zagadkowej ucieczki Jana Kaliny przywodziło ją do furii. Oblicze tak jej się zmieniło że Majorowa z przestachem zeskoczyła

ze stopnia przy łożu.

— Biada im, moja pomsta ich nie minie! — wykrzyknęła tak przerażającym głosem, że stare służebne jak oparzone odskoczyły od drzwi, a dziewczęta w sąsiednich komnatach jęły dygotać.

Spojrzawszy na silnie zaognioną oparzeliznę, posmarowaną czarną cuchnącą maścią, krzyknęła jeszcze przeraźliwiej.

— Za dwa, trzy tygodnie rana całkiem się zagoi — uspokajała ją Majorowa.

— Całkiem i bez śladu?

— Całkiem, a może i bez śladu.

— Jeno może? — zapytała z rozdrażnieniem,

— Jestem jeno głupia baba — odparła Majorowa ostrożnie — nieuczona, tyle że mam trochę praktyki. Mniejsze oparzenia goję bez śladu. Wszelako po takiej wielkiej ranie może się zdarzyć, iż pozostanie ciemna blizna. Radzę miłościwej pani zwrócić się do mądrego, uczonego medyka. W Preszporku ponoć jest medyk, który czyni istne cuda.

Grafka postanowiła jak najrychlej wybrać się do Preszporka. I tak musi się zobaczyć z Jerzym Thurzo, oskarżyć Czachtice, iż sprzyjają zbójnikom i poprosić go, aby dla ukarania miasta, dla ochrony przed zbójnikami i pojmania ich wysłał do Czachtic wojsko.

Majorowa starannie owiązała ranę.

Uśmiercenie bólu, nadzieja, iż rana zagoi się bez śladu, perspektywa ukorzenia Czachtic i okrutnej zemsty na zbójnikach na chwilę rozjaśniły oblicze czachtickiej pani. Stare służebne, jakby to odgadły, ośmieliły się wejść do sypialni.

— Miłościwa pani — oznajmiła Dora Senteszowa pewnym siebie głosem — szwaczki akurat skończyły szyć nową suknię.

— Świat jeszcze takiej nie widział — dodała Ilona.

— Może miłościwa pani zechce teraz ją przymierzyć?

— ozwała się również Anna.

— Nowa suknia! — zawołała grafka z ożywieniem i już myślała jeno o tym, jak rozbłyśnie w różowej jedwabnej sukni.

W gotowalni stanęła przed zwierciadłem, szwaczki zaś jęły ją ubierać we wspaniałą szatę, którą przyniosły rozpostartą na rękach, w milczeniu, z wystraszonymi twarzami i bijącym trwożnie sercami.

W gotowalni panowała grobowa cisza.

Grafka narzuciwszy suknię podeszła do zwierciadła i oglądała się ze wszystkich stron. Potem przysunęła się do samej tafli i nieruchomo wpatrywała się w swoją twarz. Go uwalnia tonęła w jasnym świetle mnóstwa świec

Twarz Elżbiety Batorówny była blada, oczy wpadnięte bez blasku, na wysokim czole i wokół ust rysowały się zmarszczki.

Przeraziła się widoku swej wędnącej twarzy, gasnącego blasku oczu i niknącej urody.

Stare służebne wiedziały, że jeśli w trakcie takich oględzin czoło pani chmurzy się złowieszczo, trzeba przyprować do niej dziewczęta i obwinić je o jakiegokolwiek uchybienie, aby jej złość znalazła ujście w okrutnych karach, w bólu, krzyku i przerażeniu trzęsących się, jęczących i spływających krwią młodych istot.

Dora podeszła do pani, uniosła kraj sukni i krzyknęła ze złością na szwaczki:

— Która z was to obrębiała?

Ni jedna się nie ozwała, oniemiały ze strachu.

— Która z was to szyła? — obrzuciła dziewczęta badawczym spojrzeniem.

Już i pani obróciła się do dziewcząt, rozdrażniona, iż źle wykonały robotę.

— Ściegi są takie nierówne i pogrubione, jakby to nie

było szyte najcieńszymi nićmi, lecz powrozem — podzęgała panią Dora.

Elżbieta Batorówna przypatrywała się delikatnym, równym ściegom — delikatne ściegi grubiały w jej oczach z sekundy na sekundę, a jej spochmurniałe oblicze mroczył się coraz bardziej.

— Która z was to szyła? — smagnęła dziewczęta spojrzeniem.

A gdy nie dostała odpowiedzi, oświadczyła lodowato:

— Wobec tego wszystkie poniesiecie karę!

I pani z trzema staruchami jęły się prześcigać w zadawaniu męczarni. Krzyki torturowanych dziewcząt przenikał przez grube mury i słały oskarżenie w szarość budzącego się ranka.

Gdy Elżbieta Batorówna za poduszczeniem Ilony i opuściła gotownię, w której na czarnych szatach, wyrzuczonych ze skrzyń i zaścielających podłogę, niby na łożu śmiertelnym leżało dwanaście skatowanych szwaczek — słońce już wspinało się na niebo.

Elżbieta Batorówna w asyście Ilony, Dory i Anny zeszła do podziemi.

W jednym z korytarzy Ilona odłączyła się od nich i skierowała się do lochu, w którym zamknęła Marię Szutowską.

Dziewczyna przez całą noc nie zmrużyła oka. Wypłakała wszystka łzy. O brzasku zmogły ją zmęczenie i zimno. Skuliwszy się przy żelaznej kracie zapadła w głęboki sen.

Zbudził ją głos Ilony:

— Chodź, gołąbeczko, pokaże, ci prześliczną lalkę, jaką nigdy się nie bawiłaś. Calutka jest z żelaza...

Nocna wycieczka wychodzi na jaw

Nim się rozwidniło, Erzika i Michał byli już w domu, w Wierzbo wie.

Erzika z gwałtownie bijącym sercem pędziła na swoim wierzchowcu, jakby ścigała się z marzeniami, które snuła jej podekscytowana fantazja. Wierzyła niezłomnie, iż Andrzej Drozd miłuje ją. Czowała to, gdy tam na stoku wziął ją w ramiona i wycisnął gorący pocałunek na jej wargach. Lecz to radosne wspomnienie zmałyły smutne myśli. Co z tego, że się miłują, skoro dzieli ich cały świat? Ona jest szlachecką córką, on zaś zbójnikiem, który nigdy nie wie, czy dożyje rana. Dla niej po dworach zapobiegliwe matrony szukają dobrze urodzonego i majątnego męża, podczas gdy dla Andrzeja Drozda czachticka pani obmyśla najokrutniejszą zemstę.

Michał ledwo za nią nadązał. Jego serca nie zraniła miłość, a przecie ścisnął je ból. Daremnie pasował się z sobą, niepojęta zazdrość brała górę. Erzika jest szczęśliwa, bo kocha i jest kochana, a jej szczęście dla niego jest męką. Potępiał się i łajał za to, lecz na próżno.

Ich wyjazd z domu pozostał niezauważony, gdyż pacholek nie chcąc narazić się swemu młodemu panu trzymał język za zębami. Po powrocie ostrożnie przekradli się do izb i zmęczeni, wyczerpani przeżyтыми wzruszeniami, pomarznieci w chłodnie nocy, od razu usnęli.

Słońce jeszcze nie wyniosło się wysoko, gdy przebudziły ich głośnie krzyki. Wskoczyli z łóżek i nasłuchiwali.

Beniamin Priborsky, człek spokojnego i cichego usposobienia, krzyczał, jakby go opadł rój os:

— A kogo ty masz słuchać, nicponiu?

I wnet potem rozległy się głośnie kłaśnięcia — Erzika i Michał łącznie domyślili, że są to siarczyste policzki,

które mogła wymierzać jeno ojcowska masywna szeroka dłoń.

Michał spostrzegł coś jeszcze. Z podwórza wyjeżdżał akurat hajduk. Wbiegł do izdebki Erziki:

— Jesteśmy zdradzeni! — oznajmił ze wzburzeniem — Spójrz, z podwórza wyjeżdża hajduk czachtickiej pani, który niechybnie nas widział i doniósł ojcu. A pacholek dostaje cięgi za to, że zmilczał o naszej nocnej wycieczce.

Chwile później do izby weszła Maria Priborska. Podbiegła do niej, aby ją ucałować jak każdego ranka. Ale z całej jej postaci tchnęła surowość.

— Coście uczynili, nieszczęśnicy? — Chodźcie, ojciec was wzywa!

Beniamin Priborsky właśnie wyrzucił z izby pacholka, oblicze miał czerwone jak mundur hajduka, który zdradził nocną wyprawę Erziki i Michała. Hajduk, dbały o swoją skórę, od razu na początku potyczki ze zbójnikami czmychnął z placu boju i ukrył się na stoku, będąc zdania, że milej jest przyglądać się walce, niżli w niej uczestniczyć. No i widział nie tylko bitwę, lecz również Erzikę i Michała, był świadkiem wystrzału i sceny, która nastąpiła później. Beniamin Priborsky opłacił go sowicie za wiadomość, a jeszcze sowiciej za przyrzeczenie, iż nikomu nie wyjawia, co widział.

— Gdzieście byli tej nocy bez mojej wiedzy i zezwolenia? — krzyknął na drżące dzieci.

— W Czachticach! — odparł Michał, który nie skłamałby nawet wówczas, gdyby był przeświadczony, że uchroni go to przed wybuchem ojcowskiego gniewu.

— Czegoście tam szukali?

Teraz już Michał nie zdobył się na powiedzenie prawdy za nie bowiem nie zdradziłby tajemnicy Erziki.

— Czegoście tam szukali? — powtórzył ojciec.

— Byliśmy ciekawi, co się będzie dziać, jako że ze-

wsząd tam ciągnęli hajducy i pandurzy — powiedział Michał i oblał się rumieńcem.

— Aha. byliście ciekawi! — rzekł z szyderczym uśmiechem ojciec i ruszył ku niemu złowieszczo.

Matka wiedziała, co nastąpi.

Cichy i spokojny Benjamin Priborsky stawał się groźny, gdy wpadał w gniew. Chciała rzucić się między męża i syna, lecz Erzika ją ubiegła.

— Ojczy — zastąpiła mu drogę — nie karz Michała. on niczemu nie jest winien. — To ja go zbudziłam i namówiłam, by pojechał ze mną.

Zdawać by się mogło, iż Benjamin Priborsky trochę ochłonął, albowiem chwilę w milczeniu patrzył na Erzikę. Ale był to jeno pozór.

Śmiałe wystąpienie i szczere przyznanie się dziewczyny wprawiły go w osłupienie, lecz zaraz zawrzał jeszcze większym gniewem.

— Co cię ciągnęło do Czachtic, ki diabeł kazał ci włączyć się po nocy i wystawiać siebie i bratu na niebezpieczeństwo? — spytał groźnie, z trudem panując nad sobą.

Milczała. Krew napłynęła jej do lic, poczerwieniała jak piwonია. Maria Priborska stała przy nich nie wiedząc, co począć. Czuła, że powinna uśmierzyć gniew męża. Lecz bała się otworzyć usta, wiedziała bowiem z doświadczenia, iż każde jej słowo byłoby dolaniem oliwy do ognia. A Michał za plecami Erziki, drżąc ze zdenerwowania, zastanawiać się gorączkowo jak ściągnąć gniew ojca na siebie.

— Czego szukaliście w Czachticach? Chcę wiedzieć wszystko! — krzyczał Benjamin Priborsky.

Erzika milczała uparcie.

Czy prawdą jest to, co widział hajduk ukryty na stoku?

— Nie wiem, co widział hajduk, ojczy — rzekła Erzika spokojnie. — Jeśli powiedział, że miłuję Andrzeja Drozda,

że lęk o jego życie i pragnienie, by mu pomóc w niebezpieczeństwie, zagnały mnie na miejsce bitwy — prawdę mówił!

Matka z rozpaczą załamała ręce, zaś oblicze ojca zbrunatniało jeszcze bardziej.

— Wstydz się, wstydz! — zawołał. — Niczym jakaś ladcznica włóczysz się po nocy za zbrojnikiem, obłapiasz się z nim i całujesz w lesie, a w dodatku strzelasz do sług czachtickiej pani!

Przypomnienie pocałunku Andrzeja Drozda, zniewalanie go i pohańbienie w takich okolicznościach podziało na Erżikę tak, jakby dotknięto świętokradczą ręką jej najdrogocenniejszego skarbu. Była zdecydowana walczyć, nie dopuścić, by zbrukano jej najpiękniejsze i najczystsze przeżyte.

— Ojczy! — zawołała z tak dziwną intonacją, że Michał zdrewniał, u rodzice drgnęli jak ugodzeni sztyletem — Beniaminie Priborsky, którego czcze jako swojego ojca miarkuj swój gniew. Nie obrażaj mnie, bo opuszczę twój dom!

To niebywale śmiałe wystąpienie Erżiki niespodziewanie powściągnęło jego gniew.

Zrodziło się w nim podejrzenie, że Erżika poznała tajemnicę swego pochodzenia.

— Znaliście ojca Andrzeja Drozda? — zapytała nagle?

— Znałem — odparł zbity z tropu.

— Wiem, żeście go znali i że społem jedliście gorzki chleb poddaństwa. I mimo to uważacie, iż syn Drozda nie jest godzien wznieść na mnie oczu, zapłonąć miłością do mnie?

— Nie, nie jest godzien! — wykrzyknął.

Erżika spojrzała na niego spokojnie, lecz niezwykle twardo.

— Andrzej Drozd nie jest winien temu, że jego ojciec nie miał takiego szczęścia jak wy, że czachticka pani nie

jego ojca, lecz was zaszczyliła swoim zaufaniem, i was wyniosła z poddaństwa do wolnego i szlacheckiego stanu!

Po czym obróciła się i opuściła izbę. Matka i Michał bez słowa poszli w jej ślady.

Beniamin Priborsky pozostał w izbie sam. W ataku gniewu ciskał wszystkim, co ma wpadło w rękę, aż dwór wstrząsał się w posadach.

Jeszcze nigdy w życiu tak nie szalał. Żona słysząc to drżała nie tylko o sprzęty i bibeloty, gromadzone przez długie lata dla ozdobienia mieszkania, lecz poważnie się obawiała, czy nie postradał zmysłów. Zachowanie Erziki ją również wytrąciło z równowagi. Jakim cudem ta posłuszna dziewczyna mogła się tak zmienić?

Erzika weszła do swojej izby, a Michał jak cień osunął się za nią.

— Erziko — omal nie płakał — wstydzę się, zem taki tchórz. Jesteś odważniejsza ode mnie. Przeświadczyłem się o tym w nocy i teraz. Nie ty mnie, lecz ja ciebie powinienem był obronić przed wybuchem ojcowego gniewu.

Erzika przytuliła go.

— Nie trap się tym, ja zawsze sobie poradzę!

Jakby jej nie słyszał. Patrzył gdzieś w dal.

— Nie wiem, Erziko, ale coś mi mówi, że stanie się coś strasznego, że coś rozłączy nas na zawsze.

— Głuptasku — roześmiała się Erzika — co by nas mogło rozłączyć?

— Czuję, że cię stracę. Ba, zda mi się, że już cię straciłem. Tam przed ojcem to już nie ty stałaś, lecz ktoś inny, obcy, nienależący do nas...

Rozmowę ich przerwał okrzyk ojca:

— Zaprzęgać!

Gdy Beniamin Priborsky wyładował gniew, począł trzeźwo rozważać sytuację.

Erzika niechybnie dowiedziała się w jakiś sposób, iż nie jest jego córką, lecz jeno wychowanicą. To przyprawiało go o większe wzburzenie niż niemądra miłość, którą bez wątpienia uda się wybić jej z głowy. Ale czy Erzika wie już także, kto jest jej matką? To pytanie dręczyło go najbardziej. Czy Elżbieta Batorówna — jeśli to nie ona sama powiedziała Erzice prawdę — nie rozsierdzi się na niego i nie wtrąci go z powrotem w poddaństwo?

Bał się także zemsty Ficka. Hajduk za pieniądze niechybnie i Fickowi zdradzi, kto przestrelił mu rękę. W jaki sposób Erzika mogłaby ująć przed zemstą tego łotra? Jeno wówczas, gdyby wiedział, że jest córką Elżbiety Batorówny. Lecz on nie śmie mu tego wyjawić. A czy pani zdobyłaby się na to, by odsłonić największą swoją tajemnicę przed sługą? Męczyło go mnóstwo pytań. W końcu uznał, iż najlepiej będzie udać się do czachtickiej pani razem z Erzika. Niechaj ona postanowi.

— Zaprzęgać, zaprzęgać! — popędził pachołków przez okno, po czym zawołał: — Erza, przyszykuj się jedziemy do Czachtic!

— Koniec... — w oczach Michała zalśniły łzy. — Spełniło się moje przeczycie. Odjedziesz do Czachtic, stamtąd wywozają cię gdzieś daleko, abyś zapomniała o tej niedozwolonej miłości, i już cię więcej nie zobaczę...

Erzikę przejęła litość. Co się dzieje z jej wesołym bratem, jakież to uczucia dręczą jego serce?

Na podwórzcu nastąpiła bieganina. Pachołcy wytoczyli z wozowni paradny kocz i zaprzęgli najpiękniejsze konie. Chwilę później Beniamin Priborsky, przebrany w odświętnej szaty, wszedł do izby Erziki. Erzika też już była gotowa do drogi.

— Chodźmy — rzeki ponaglająco i surowo, lecz w głosie jego nie było już ani śladu gniewu. Wprędce oswajał się z każdą sytuacją. Uświadomił sobie, że gniewem raczej by wszystko popsuł, niż naprawił.

Nastąpiły pożegnania, które ojciec ukrócił:

— Chodź, Erziko, już zaprzęgli!

Po chwili kocz ruszył. Michał z matką stali w oknie. Erzika machała im, póki powóz nie zniknął za bramą.

Michał już nie mógł się opanować. Wybuchnął płaczem. Matka, objęła go, głaskała i całowała:

— Co ci jest, synku? — nie pojmowała, czemu płacze, ale współczuła mu.

— Nic, nic, mamusiu! — otarł łzy i przymusił się do uśmiechu.

7. Człowiek, który spadł z nieba

Coś musi się stać

Czachticzenie, poruszeni do głębi ducha wydarzeniami na podwórku zamkowym, w milczeniu wracali do swoich domostw. Wejrzeni na samo dno ludzkiego zła. Widzieli Elżbietę Batorównę w całkiem nowej postaci. Widzieli ją odartą z człowieczeństwa. Widzieli dostojną damę bijącą biedną staruszkę, ciągle mieli ją przed oczami trzymającą rozpalone kleszcze, gotową szarpać nimi ciało żywego człowieka. Ich zgrozy nie umniejszyło ani wystąpienie zbójnika Wawrzka, ani zagadkowe ocalenie Jana Kaliny. Przejmował ich strach przed przyszłością.

Jan Ponicensus wrócił do domu blady, roztrzęsiony, rozgorączkowany. Długie godziny chodził po swojej izbie. Już rano zaglądał w okna, a jego postanie nadal było nietknięte. Nie mógłby uleżeć, taki niepokój go nękał. Żywo przedstawiał sobie udręki, jakie spadną na Czachtice. Elżbieta Batorówna spełni swoją groźbę. Przybędzie wojsko! w każdym domu zakwaterują żołnierza, ladaco spod ciemnej gwiazdy. Żołdacy z jednakim apetytem będą objadać biedaka i bogacza, w spokojnym i bogobojnym mieście zasieją ziarno zepsucia. A mieszkańcy w milczeniu będą musieli ścierpieć złoczynstwa w zamku.

Czyliż istotnie prawda i sprawiedliwość znikły już ze

świata? Grafka Elżbieta Batorówna istotnie może deptać ludzkie i boskie prawa, a władza świecka jeszcze jej pośle wojsko na pomoc? Za karę, że Czachtice sprzyjają zbójnikom, jedynym obrońcom prawa i mścicielom krzywd? Jakież to odwrócenie przyrodzonego porządku, gdy zbójnicy, wyrzutki ludzkiej społeczności, bronią prawdy i praw depantanego samowolnie przez jedną z najszacowniejszych magnatek Węgier!

I pastor wciąż od nowa odczytywał list swego poprzednika, Andrzeja Berthoniego. Tu na tych pożółkłych kartkach jest dowód masowego morderstwa dokonanego przez Elżbietę Batorównę. A gdyby to komuś nie wystarczyło, znajdzie drugi dowód w dziewięciu trumnach... Jest także świadek. Kasztelan jeszcze żyje!

Narzucił płaszcz, wziął nieodłączną laskę i wyszedł z domu.

Co rychlej musi porozmawiać z kasztelanem Mikołajem Loszonskim, naradzić się z nim. Nie wątpił, iż czcigodny starzec oderwie się na chwilę od swoich gwiazd, którym poświęcił żywot, spojrzy w dół, a ujrawszy, co się tam dzieje udzieli mu rady swego bystrego umysłu i sprawiedliwego serca.

Gdy senior Ponicensus niczym duch opiekuńczy szedł przez ciche miasto, Czachtice po burzliwej nocy jeszcze spały spokojnym snem. Na rynku nocne wydarzenia przypominał już tylko niezasypany dół, w którym stała szubienica. Zionął tam jak wołająca o pomstę do nieba otwarta rana.

Jan Ponicensus po drodze rozważał, co czynić. List Andrzeja Berthoniego trzeba doręczyć palatynowi Jerzemu Thurzo i powiadomić go również o sprawie Ilony Harcajówny oraz innych zbrodniach. Komu powierzyć to zadanie? Może superintendentowi Eliaszowi Lániemu, który w zamku bytczańskim jest codziennym gościem i zdobył

sobie wpływ na serce i umysł pierwszego dostojnika w kraju? Czy też znalazłby się inny, bardziej dogodny sposób, by zwrócić uwagę na bezecne czyny czachtickiej pani?

W objęciach żelaznej panny

Elżbieta Batorówna ze służebnymi weszła do podziemi głównym wejściem. Wiodło ono do piwnicy, gdzie leżały nieprzejrzone rzędy beczek.

Stąd tajny korytarz prowadził do lochów.

Zamkowi winogrodnicy nieraz łamali sobie głowę, dlaczego nigdy nie nalewają wina do jednej z największych beczek, na końcu piwnicy pod ścianą. I dziwili się, dlaczego żadnemu z nich nie wolno się zbliżyć do tej beczki i obejrzeć jej. Ilekroć mieli tam coś do roboty, zawsze kręcił się wśród nich Ficko, a jeśli nie on, to Ilona, Anna albo Dora. Beczka dostojnie górowała nad innymi, mniejszymi i większymi, niczym matka nad dziećmi.

Gdy grafka ze swą świtą zbliżyła się do niej, Dora dotknęła górnej obręczy i dno uchyliło się. Grafka weszła do środka, a służebne za nią.

Beczka maskowała tajne drzwi.

Zgrzytnął klucz, drzwi się otworzyły i niewiasty znalazły się w wąskim, niewysokim korytarzu. Chociaż na dworze świeciło słońce, tutaj panowała gęsta ciemność, w której latarnia Dory ledwie migotała. Nie przenikał tu najslabszy hałas z zewnątrz. W zatechłej ciszy kroki idących odzywały się głuchym echem.

Po jakichś stu krokach znów zazgrzytał klucz. Dora otworzyła drzwi katowni, w której stała żelazna panna.

Anna od latarni zapaliła pochodnię — naga żelazna panna zaśniła w jej czerwonym świetle,

Elżbieta Batorówna pogłaskana ją czule, po czym weszła do łazienki i obejrzała ją dokładnie, rozemocjonowana oczekiwanym cudem. Znowu wróciła do panny. Stała za jej plecami i drżącą ręką dotknęła iskrzącego naszyjnika. Ramiona panny uniosły się, oczy zamrugały, zaś z piersi wysunął się rząd noży.

— Ej, aleś niecierpliwa, moja miła! — roześmiała się grafka, a Dora i Anna zawtórowały jej. — Zaczekaj, zaczekaj trochę, ognista panno, jeszcze się naobejmujesz do syta — zapewniła ją i znowu dotknęła naszyjnika.

Gdy ramiona żelaznej panny opadły, a noże zniknęły we wnętrzu piersi, siadła w fotelu naprzeciw niej.

Marisza Szutowaska, kiedy Ilona zatarmosiła ją za ramię budząc ze snu, wzdrgnęła się, jakby to było dotknięcie kościotrupa, i zerwała się z ziemi:

— Puście mnie, puście mnie!

— Nie krzycz, Mariszka uciszała ją Ilona. — Krzyk nic ci nie pomoże. Jeno posłuszeństwem możesz się ocalić. Chodź ze mną.

— Nie ruszę się ani na krok, póki nie przyprowadzicie mi Jana Kaliny!

— No to zostaniesz tu na wieki — zaśmiała się Ilona.

— Przespałaś śmierć swego miłego!

Marisza zatoczyła się. Ilona pochwyciła ją kościstymi rękami.

Z uśmiechem zadowolenia patrzyła na znękaną dziewczynę. Wiedziała, że jeśli wmówi w nią, iż Jana Kalinę powiesili, stanie się uległa i posłuszna jak baranek.

Marisza jednak opamiętała się. Wątpliwość, czy Ilona mówi prawdę, przywróciła jej siły.

— Ilono Jó — zwróciła się do podstępnej staruchy — przysięgnijcie na wszystko, co jest wam święte, iż Jana

Kalinę istotnie powieszono.

Przysięgła bez wahania. I to z powabnym obliczem, uroczyście i ze smutkiem.

— Co się stało, to się nie odstanie! — dodała, rąbkami fartucha ocierając niewidoczną łzę. — Nieborak, już po nim Ach, a był to taki dorodny junak!...

Mariszy zdało się, że ciało jej zamiera, a serce twardnieje na kamień.

Koniec z Janem Kaliną, koniec z miłością, koniec ze wszystkim. Z nią również.

Dlaczego jeszcze bije jej serce, dlaczego oczy wpatrują się w ciemność i dlaczego nogi jeszcze ją noszą dlaczego napada na ziemię i śmierć jej nic zabiera?

— Dobrze — ozwała się w końcu bez szczypty krnąbrności czy oporu. — Prowadź mnie!

Stała przed staruchą pogrążona w apatii. Nie obchodziło jej, dokąd ją zawiedzie, zubożyła na wszystko.

Pragnęła umrzeć. Niechaj pozbawią ją życia, byle ją pochowali w jednym grobie z nim, aby chociaż po śmierci spoczywali razem, skoro niedane im było razem żyć.

— Chodź. — chwyciła ją za rękę Ilona.

W milczeniu szła obok staruchy oświetlającej drogę latarnią.

Tymczasem w katowni Elżbieta Batorówna coraz bardziej się niecierpliwiła. Kiedy Ilona wpełnęła dziewczynę do sali, zerwała się z fotela.

— A więc jesteś tutaj, turkaweczko Jana Kaliny! Chodź, chodź, czekam na ciebie z utęsknieniem.

— Tak, jestem, pani — rzekła dziewczyna. Nieustraszenie wyprostowana stała przed grafiką, która uśmiechając się z zadowoleniem znowu wygodnie rozsiadła się w fotelu. — Jestem tutaj z własnej woli. Uśmierciłaś mojego miłego, przeto uśmierć i mnie!

Grafka spojrzała na dziewczynę zdumiona.

Dwóch rzeczy nie mogła pojąć. Jedną wyjaśniły ukradkowe spojrzenia Ilony. Jakiego też fortelu użyła, że udało jej się przekonać Mariszę o śmierci Jana Kaliny? O, gdybyż to była prawda! Lecz w dalszym ciągu nie rozumiała, jak to jest możliwe, iż taka piękna i odważna dziewczyna dobrowolnie, bez najmniejszego oporu oddaje się jej w ręce i pragnie śmierci...

— Powiedz — spytała — naprawdę chcesz zemrzeć? Ale dlaczego?

— Skoro kazałaś uśmiercić mojego miłego — dziewczyna śmiało patrzyła jej w oczy — żywotnie ma dla mnie ceny. Uśmierć i mnie. Za zamordowanie Jana Kaliny odpowiesz kiedyś przed sądem Bożym. Zamorduj i mnie, niechaj ta zbrodnia powiększy czekającą cię karę!

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się grafka, lecz wymuszenie. Gdyby dziewczyna opierała się, krzyczała z rozpacz i strachu, byłaby zdolna rzucić się na nią i rozszarpać na kawałki albo zagnać ją w objęcia żelaznej panny. Lecz ta dziewczyna chce przyjąć śmierć z jej rąk jeno dlatego, by zwiększyć karę, którą wymierzą jej na tamym świecie... Kary Bożej zawsze bała się bardziej niżli świeckiej. Skoro jednak nie boi się świata, nie złąknie się i Boga!

— Nie jestem morderczynią — rzekła z fałszywym uśmiechem — bym zadawała ci śmierć za to, że jesteś kochanką zbójnika. Przeciwnie, chcę ci dać lekką i wygodną służbę. O nic nie będziesz się troszczyć, jeno o tę ślicznotkę, o moją żelazną pannę, a osobliwie o jej drogocenny naszyjnik, który od czasu do czasu trzeba przecierać jedwabną chusteczką...

— Nie będę służyć morderczyni Jana Kaliny! — powiedziała dziewczyna stanowczo.

Elżbieta Batorówna nachmurzyła się, zmarszczyła czoło zacisnęła pięści.

— A więc dobrze! — zawołała złowrogo, — Nie będę

się z tobą bawić w ślełą babkę. Wyjawię ci, że wcale nie zamierzałam najać cię do służby. Po to jeno zostałeś tu przyprowadzona, aby umrzeć, a umrzesz! Wiedz bowiem, iż żelazna panna nie jest zabawką, lecz niezawodnym narzędziem śmierci. Z jej objęć nikt nie wyjdzie żywy!

Marisza Szutowaska z osłupieniem spojrzała na żelazną pannę. Bezwiednie wzdrygnęła się.

Elżbieta Batorówna z rozkoszą napawała wzrok strachem dziewczyny.

W duchu już słyszała krzyk śmiertelnego przerażenia, kiedy żelazna panna chwyci ją w objęcia, a lśniące noże wysunęły się, aby przeciąć nić młodego żywota. Z upojeniem wyobrażała sobie, jak tryska młoda krew, jak spływa ukrytym ściekiem do wanny. Potem zaś...

Uroda dziewczyny przejdzie na nią. Będzie piękniejsza o jej urodę!

Ilona, Dora, i Anna stały za fotelem pani z zapartym tchem. Ich pomarszczone oblicza poczerwieniały z podniecenia.

— Będiesz miała lekką śmierć! — ozwała się grafka — Dotknij jeno naszyjnika — a umrzesz. Spełni się twoje pragnienie!

Marisza niepewnym krokiem zbliżyła się do żelaznej panny.

Spojrzała w lśniące zimnym blaskiem oczy, na nagie ramiona, śnieżną pierś i na iskrzący naszyjnik.

Zadrżała.

A więc tutaj, tej nieczulej pannie odda swój zmarnowany i zniweczony żywot, który bez miłości nie ma racji bytu. Tutaj na zawsze przestanie bić jej serce...

Pomału wyciągnęła rękę do naszyjnika.

Zamknęła oczy.

Z zamkniętymi oczyma lżej się umiera.

Niespodziewany ratunek

Elżbieta Batorówna i jej służebne jak urzeczzone wpatrywały się w wyciągniętą rękę dziewczyny. Nerwy miały napięte do ostateczności.

Drżące palce szukają po omacku naszyjnika, zaraz go dotkną.

Wtem Elżbieta Batorówna z przeraźliwym krzykiem skoczyła, jakby piorun uderzył w jej fotel. Służebne skamieniały i oniemiały z przerażenia.

Stało się bowiem coś nieoczekiwanego.

W chwili gdy Marisza dotknęła naszyjnika i w piersi żelaznej panny rozległy się złowieszcze zgrzyty, nie wiedzieć skąd przyskoczył wysoki smukły mężczyzna i odciągnął dziewczynę od straszliwego posągu.

Żelazna panna miast rozdygotanego dziewczęcego ciała objęła cuchnące dymem pochodni powietrze.

Marisza uczuwszy, że ktoś gwałtownie porywa ją w objęcia, otworzyła oczy. Ujrzała twarz zasłoniętą maską. Spod maski spoglądały na nią ogniste czarne oczy.

„To on, mój nieznanый kochanek!” — ozwało się w duszy czachtickiej pani.

Tajemniczy mężczyzna w obcisłym ubiorze, który wydawał atletyczne kształty dorodnego ciała, wywołał w niej te same uczucia, co kiedyś dawno zagadkowy rycerz na brzegu Wagu. Przysięgłaby, że to on, jej wytęskniony kochanek. Ta sama postawa, te same ruchy i ta sama upojna groza wionie od niego.

Skąd wszakże wzięłyby się tutaj tak nieoczekiwane ów człowiek, za którym długie lata tęskniła i którego przez długie lata szukała? Dlaczego miałyby się z nim spotkać akurat w tak niezwykłych okolicznościach? Dlaczego właśnie on miałyby krzyżować jej zamierzenia?

To, co nastąpiło, rozegrało się błyskawicznie.

Pierwsza ochłonęła z osłupienia Dora. Wyskoczyła zza fotela i rzuciła się na mężczyznę w masce, lecz zdzielił ją pięścią. Od tego uderzenia zahuczało jej w głowie, pociemniało w oczach, zatoczyła się i padła na kobierzec jak worek. Anna i Ilona poszły za jej przykładem i spotkało je to samo. Ogłuszone, rozpląszczyły się na kobiercu niby żaby.

Elżbieta Batorówna siedziała jak przykuta.

Nie istniało dla niej nic poza pytaniem, czy istotnie jest to bohater jej snów i marzeń.

Mężczyzna w masce obrzucił przelotnym spojrzeniem katownię, poczym utkwił wzrok w czachtickiej pani.

Dreszcz ją przeniknął.

Tak, to te same oczy, co rozpląmieniały ją w jego objęciach tam na brzegu Wagu, to oczy nieznanego rycerza, którego usta szeptały upojne słowa: „Miłuję was, miłuję. I jeno pocałunek waszych warg zdoła uśmierzyć moją mękę!”...

Krzyknęła i wyciągnęła do niego ramiona.

Lecz mężczyzna w masce nie puścił dziewczyny wydarłej ze szponów żelaznej panny, aby pobiec do czachtickiej pani z namiętym wyznaniem miłości.

Wyprostował się dumnie, jego oczy wpiły się w nią jeszcze bardziej paląco. I znowu dreszcz przeniknął całe jej ciało. Lecz teraz nie był to słodki dreszcz rozkoszy, a dreszcz grozy. Nie, to nie są oczy jej rycerza! Goreją nienawiścią.

Mężczyzna w masce chwycił jedną z pochodni i równie nagle, jak się pojawił, zniknął za kobiercem skrywającym wejście do łazienki, zaś chwilę później trzasnęły drzwi wiodące na korytarz.

Grafka oprzytomniała. Kimkolwiek jest ten człowiek, nie śmie uciec! Zerwała się z fotela.

— Gonić go! — krzyknęła do służebnych, które z wolna ocykały się z zamroczenia.

Anna, Ilona i Dora poderwały się jak smagnięte biczem i wraz z panią pognały za mężczyzną w masce i uratowaną przez niego dziewczyną.

Ale drzwi na końcu korytarza były zamknięte od zewnątrz. Daremnie szarpały za klamkę i biły w nie pięściami. Nie ustąpiły.

— Dora, leć co sił w nogach do zamku i postaw straż przy głównym i bocznym wejściu do piwnic. Ilona, idź z nią, natychmiast weź wóz i hajduków i zasadźcie się na uciekinierów przy tajnym wyjściu pod kasztele! a ty, Anno, biegnij do kasztelu i powiedz kasztelanowi Mikołajowi Loszonskiemu, aby uzbroił służbę i pilnował drzwi wiodących z podziemi i do kasztelu. Nie ujdą nam!

Służebne zawróciły do katowni, zapaliły pochodnie i pobiegły do drugich drzwi. Stały przerażone.

— Jesteśmy zamknięte! — zawołała Dora.

Grafka zbladła tak samo jak i one. Zdawały sobie sprawę, że jeśli nie uda im się wyważyć drzwi, są zgubi one. W zamku nikt nie wie, iż zeszyły do podziemi. Jedyne skatowane dziewczęta. A one na pewno nie otworzą ust, aby je ocalić. Wołać o pomoc? Tu krzyk nie pomoże. Można by z armaty strzelać, na gorze nic nie usłyszą.

Śmiertelnie przerażone służebne z całej siły napierały na drzwi. Grafka też im pomagała. Dora natężyła się, aż żyły jej nabrzmiały i trzeszczały kości. Wszystko daremnie. Drzwi ani drgnęły.

— Jesteśmy zgubione! — lamentowały służebne, zaś Elżbieta Batorówna gorączkowo szukała sposobu wydostania się z katowni.

Lecz na próżno.

Wybuch radości na korytarzu grozy

Podczas gdy Elżbieta Batorówna i jej służebne miały się rozpaczliwie przy drzwiach, zamaskowany mężczyzna niósł Mariszę Szutowską przez pograżony w ciemności podziemny korytarz.

Nie umiała sobie objaśnić, dlaczego czuje się tak bezpieczna na rękach tajemniczego mężczyzny w masce, dlaczego serce jej bije spokojnie i nie ma w nim ani krzty obawy, dokąd ją uniesie i jaki los ją czeka. I dlaczego tak bardzo pragnie, aby ta droga trwała wiecznie, aby ręce, które tak delikatnie ją trzymają, nigdy nie złożyły jej na twardej ziemi?

Nieznajomy niósł ją bez słowa, a ona także milczała, chociaż brała ją pokusa zapytać, komu zawdzięcza uratowanie życia.

Po długiej wędrówce mężczyzna zatrzymał się i postawił Mariszę na ziemi. Stali twarzą w twarz, a pochodnia oświetlała ich postacie.

— Kim jesteście? — nie zdołała już przemóc ciekawości.

Nieznajomy zerwał maskę i przed Mariszą zabelalało uśmiechnięte oblicze. Wybałuszyła oczy, jakby ujrzała zjawę. lecz zaraz twarz jej się rozpromieniła pod wpływem szalonej radości, a serce omal nie wyskoczyło z piersi.

Podziemny korytarz, tajne przejście służące zbrodni, nigdy nie był świadkiem takiego wybuchu radości i szczęścia.

— Już cię oplakałam, a ty żyjesz, żyjesz! — mówiła z uniesieniem. Pocałunki przeświadczyły ją o tym, że naprawdę żyje.

Lecz nagle wzdrygnęła się, zdjęta lękiem.

W miejscu gdzie stali, korytarz rozgałęział się na trzy węższe. Jednym z nich zbliżała się postać z latarnią.

— Nie bój się, Mariszko, to mój przyjaciel, z którym wyznaczyliśmy tu sobie spotkanie — uspokajał ją Kalina. — a gdyby nawet był to wróg, taką siłę w sobie czuję, że obroniłbym cię przed całym światem!

Uspokojona przytuliła się do niego, objęła go gwałtownie jakby pragnęła roztopić się w tym objęciu.

— Już nigdy się nie rozstaniemy — powiedział Jan Kalina. — Zabiorę cię ze sobą, a w razie niebezpieczeństwa ukryję tak, że nikt cię nie znajdzie.

Marisza posmutniała nagle.

— Zostać z tobą na zawsze jest moim najgorętszym pragnieniem. Lecz nie wolno nam myśleć jedynie o własnym szczęściu, a zapominać o innych. Nie mogę pójść z tobą.

— Dlaczego? — zdziwił się Kalina

— Co by poczęła twoja matka, gdyby mnie postradała — jedyną swoją pociechę i oporę?

Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć. Lecz odpowiedział na nie przybyły przyjaciel:

— O matkę się nie trap, a i twoja narzeczona niechaj się o nią nie obawia. Już nikt jej nie skrzywdzi, albowiem póki krwiożerczy smok nie zostanie unieszkodliwiony, ona nie wróci do Czachtic. Jest w gościnie u Andrzeja Drozda i jego druhów. Wawrzek wyzwolił ją spod władzy czachtickiej pan i uprowadził w góry.

— Wawrzek to chwacki chłopak! — wykrzyknął z uznaniem Jan Kalina.

— I owszem, ale nieco nazbyt krewki — odparł przyjaciel obmacując sobie głowę. — Ten guz to podarunek od niego.

Kalina roześmiał się, zaś Marisza ciekawie przyglądała się mówiącemu.

— To jest Paweł Lederer — odpowiedział Kalina na nie-me pytanie w jej oczach — którego raz jeszcze proszę

o przebaczenie, żem uważał go za zdrajcę! On ocalił mnie przed szubienicą, dzięki czemu mogłem uratować ciebie.

A Paweł Lederer opowiedział pokrótce, jakie męki przeżywał w ciągu minionego dnia i nocy.

Zasadną cenę nie stałby się zdrajcą. W tę niebezpieczną grę wdał się jedynie dlatego, aby pozyskać zaufanie Ficka i grafki.

— Już wieczorem w Czastkovicach, kiedyśmy cię ujeli — mówił — ogarnęła mnie rozpacz. Serce mi się krajało, gdym widział, jak okrutnie zbiry Ficka poczynają sobie z tobą. Bałem się, że któryś tak cię grzotnie, iż nic już cię wie wskrzesi. Dlatego poskoczyłem im z pomocą, aby co rychlej cię związali. Od pierwszej chwili miałeś mnie za zdrajcę...

— Pół życia oddałbym za to, iż nie zawiodłem się na tobie! — rzekł Jan Kalina rozczulony.

— Potem wszakże — ciągnął Paweł Lederer wszystko jęło się toczyć wbrew moim rachubom. Liczyłem na to, że wtrąca cię do lochu i do rana zostawia w spokoju, Zamierzałem natychmiast cię odnaleźć i uwolnić. Byłem bliski postradania zmysłów, kiedy czachticka pani bezzwłocznie odbyła sąd nad tobą, a ja musiałem nagrzewać kleszcze. Coraz bardziej traciłem kontenans, odwagę i nadzieję, ciebie uważałem za zgubionego, siebie zaś za niedołęgę.

— I jam już czynił obrachunek z życiem przerwał mu Kalina z uśmiechem, a Marisza przytuliła się do niego. — Już widziałem się na szubienicy.

— Były chwile — podjął Paweł Lederer — że zdjęty rozpaczą szykowałem się do ucieczki. Powiadomiłbym Andrzeja Drozda, jakie niebezpieczeństwo ci grozi, aby cię uwolnił. Ale drżałem i o niego, albowiem miał walczyć z przeważającą siłą. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

— A bitwa pod kasztelem? — spytał Kalina, bowiem

wówczas przyjaciel wyprowadził go z lochu, bitwa dopiero się zaczynała.

Lederer opisał przebieg bitwy i późniejsze wydarzenia w podwórcu zamkowym, poczym rzekł:

— Zbyt długo się tu zatrzymaliśmy. Najwyższy czas ruszać dalej! Powiedz, Janie, dobrze zamknąłeś to wyjście z katowni, którym uciekłeś ze swoją narzeczoną?

Zapewnił go, że dobrze.

— Ja zaśię dokładnie zamknąłem drugie wyjście — zaśmiał się Lederer — tak dokładnie, że jeno ja mogę je uwolnić.

— A uwolnisz je? — zapytała Marisza.

— Uwolnię! — odparł z uśmiechem. — i zyskam ślepe zaufanie czachtickiej pani i jej sług.

— Powodzenia! zawołał Jan Kalina. — Widzi mi się, że chcesz zostać wyzwolicielem z powołania.

— A mnie się widzi, że to rzemiosło i tobie przypadło do smaku — odparował Lederer żartobliwie. — Ubiegasz mnie. Sprzątnąłeś mi sprzed nosa taką powabną istotę jak twoja narieczona, mnie zaś poniechałeś ocalenie takich czarownic.

Wszyscy troje roześmiali się serdecznie. Najserdeczniej zaś Marisza, zdało jej się bowiem, iż z nocnych udręk i z progu śmierci wstępuje w nowe życie, w którym istnieje także radość.

— Janku, jakam ja szczęśliwa! — zawołała i przytuliła się do niego gorąco.

Paweł Lederer spoglądał na nich ze wzruszeniem. Ich szczęście i jego czyniło szczęśliwym, a jednak w sercu budził się żal, wspomniął bowiem Barbarę...

— No chodźmy, chodźmy — ponaglił ich w końcu — Mamy przed sobą dwie drogi. Jedna wiedzie do kasztel druga zaś do tajnego wyjścia koło kasztelu. Pójdziemy tą

drugą. Pora jest wczesna, na polach jeszcze pusto, na drogach nie będzie żywego ducha. Wy dwoje choćby dlatego, że hajducy i pandurzy odpoczywają, bezpiecznie dotrzecie do miejsca, w którym się schronicie, póki nie spotkacie się z Andrzejem Drozdem i resztą przyjaciół. Ja zaś przy samym wyjściu pożegnam się z wami i pośpieszę do zamku, aby moja nieobecność nie wzbudziła podejrzeń.

— Nie, Pawle — sprzeciwił się Jan Kalina — nie przy wyjściu, lecz już tutaj się pożegnamy.

Paweł Lederer spojrział na niego nie pojmując.

— Nie wolno mi myśleć jeno o doraźnym bezpieczeństwie wyjaśnił Kalina, lecz muszę mieć na uwadze ciężkie czasy, które nas czekają. Wiem, że Elżbieta Batorówna po niepowodzeniach, jakich doznała za naszą przyczyną, sprzymierzy się choćby z samym piekłem, przeto już teraz musimy zadbać, aby nie zaskoczyli nas nieprzygotowanych, skoro zaś nie dorównujemy wrogom siłą, musimy coś wymyślić dla swego ocalenia. A że wpadł mi na myśl kasztel, postanowiłem rozejrzeć się po nim. Przeczekamy tam do wieczora, a po zapadnięciu ciemności pójdziemy dalej.

— Aby jeno te odwiedziny w kasztelu nie wyszły ci na złe! — przestrzegł Paweł. — Nie zapominaj, że nie jesteś sam, lecz z narzeczoną!

— w kasztelu będzie bezpieczna — odparł Kalina z uśmiechem. — Wiem, iż przebywa tam jeno kasztelan Mikołaj Loszonsky z garstką sług. Niegdyś bardzo mnie lubił, ufam więc, iż jeszcze mnie pamięta i ucieszy się z moich odwiedzin. A jeśli nie, bez pardonu zamknę go w jego gwiazdarni, ze sługami też łącznie sobie poradzę. Wspólnie z Mariszą zawładniemy kasztelem. Bez użycia broni i bez przelewu krwi zdobędziemy kasztel, spod którego wróg zawsze odstępował z nosem opuszczonym na kwintę.

Paweł Lederer, wyzbywszy się obaw, uściśnął na pożegnanie dłoń przyjaciela i jego narzeczonej.

— Mimo wszystko, Janie — rzekł — abym miał pewność, że nic wam się nie stało i nie potrzebujecie pomocy, gdy w południe rozzwonią się czachtickie dzwony, roznieć na palenisku suty ogień, aby dym wzbił się aż pod niebo. Będę wypatrywał dymu, uspokoję się dopiero, jak go zobaczę. Jeśli dym nie wzbije się z komina, polegaj na mnie, przybędę z pomocą!

Jan Kalina i Marisza Szutowaska, świecąc sobie pochodnią, ruszyli korytarzem wiodącym do kasztelu. Trzymali się za ręce niczym dzieci i byli weseli, jakby szli nie korytarzem grozy, lecz po ukwieconej łące. Paweł Lederer chwilę odprowadzał ich wzrokiem, po czym skrzył w korytarz, którym miał wyjść z podziemi.

Wkrótce doszedł do zwodzonych drzwi. Nacisnął dźwignię. Drzwi otwały się z łoskotem. Przycupnąwszy w kącie czekał chwilę, niepewny, czy przypadkiem w pobliżu tajnego wejścia nie wałęsa się akurat ktoś i czy nie będzie chciał zbadać przyczyny niezwykłego łoskotu.

Nie posłyszawszy z góry żadnego podejrzanego dźwięku, wszedł na schody, po których spływała kaskada promieni słonecznych i wdzierała się aż do podziemi. Już był na górze, a jeszcze mrużył powieki, przywykł bowiem do ciemności i mdłego światła latarni, toteż blask słońca oślepił go.

Gdy w końcu rozejrzał się, ze zdumienia, zaskoczenia i przestachu zaparło mu dech. Nie wierzył własnym oczom. Chyba stał się jakiś cud? Czy to możliwe?

Miłość silniejsza od śmierci

Stała przed nim Barbara...

Ona też patrzyła na niego z osłupieniem jak na zjawę

która w każdej chwili może zniknąć.

— Paweł! — zawołała nie posiadając się z radości, gdy przekonała się, iż nie jest wytworem jej wyobraźni. Podbiegł doń i nim się opamiętał, zawisła mu na szyi obejmując go kurczowo jak topielica swego wybawcę, ścisłała go i całowała.

— Skąd się tu wzięłaś? — wymotywał się z objęć i odsuwał ją od siebie.

— A skąd ty się tutaj wzięłeś? — odpowiedziała pytaniem — Świat jest tak wielki, a przecie spotkaliśmy się! Czy to nie dowód, że jesteśmy sobie przeznaczeni?

— Byliśmy... — rzekł ze smutkiem.

Barbara ochłoneła nagle. Jedyne jej ogromne ogniste oczy płonęły i wpijały się w niego szukając odpowiedzi na niewymówione pytanie.

— Pawle, ty mnie już nie miłujesz... Nigdy nie miłowałaś!... — rzekła, jakby stwierdzała oczywisty fakt.

Chciał potaknąć, aby pomścić się za to, że go zdradziła, że nie zaczekała na jego powrót z wanderki, że uległa cudzej namiętności, podczas gdy on śnił o niej jako o najczystszej i najwierniejszej kochance i tęsknił za nią ciałem i duszą. Lecz przemógł pokusę pomszczenia się kłamstwem. Za cóż ma się mścić? Niewierna kochanka stoi oto przed nim jak ucieleśnienie bólu i rozpacz. Pokora, smutek i żal wioną od smukłej postaci, czernieją w krucznych włosach, bieleją w poblakłych licach, wyzierają z przepastnych oczu. Patrzył na nią bez słowa, ze ściśniętym sercem.

Smutne oczy swoja niemą mową rozpętują w nim burzę uczuć. Ale żar oczu Barbary gaśnie, burza ucisza się.

— Nigdy mnie nie miłowałaś!... — powtarza zamierającym głosem, a bladą twarz zraszają łzy.

— Miłowałem — mówi wzruszony wspomnieniami ale co było, już nie wróci!

— Już nie wróci!... — Czerpie siłę z tonu, jakim wyma-

wia te słowa, opancerza serce przed nawałą uczuć.

— Barbaro, już nic nas nie łączy, jeno ciekące wspomnienia. Nasze drogi rozeszły się na zawsze. Staliśmy się sobie obcy! Tak obcy, jak ongiś byliśmy bliscy!

I spogląda na nią już bez cienia tkliwości:

— Zegnaj...

Lecz twarz Barbary nagle rozjaśnia się, radośnie zwiera w uścisku podaną sobie rękę.

— Pawle — woła, jakby oznajmiała najweselszą nowinę — ty jeszcze nie wiesz! Jestem wolna!

Wolna!... Jakby wymówiła czarodziejskie zaklęcie, jej oczy znów nabierają blasku, a twarz oblewa się dziewczęcym rumieńcem.

Paweł Lederer patrzy na nią z niemym zdumieniem i raptem budzi się w nim straszliwy domysł,

— Jestem wolna, Pawle — upaja się własnymi słowami. — Nic już nie stoi na przeszkodzie naszej miłości. Kochałeś mnie i będziesz kochać!... Uczynię wszystko, aby na powrót zdobyć twoją miłość.

— Co się stało z twoim mężem? — pyta chłodno, nękanym podejrzeniem.

— Umarł tej nocy! — odpowiada, jakby powiadamiała o radosnym wydarzeniu. Dosięła go śmierć godna jego życia. W szynku, spity na umór, rzucił się z nożem na takich samych jak on opojów. Ale że nogi mu się plątały, upadł i wraził sobie nóż prosto w serce. Sam się przebił. Przynieśli go do domu już nieżywego. Była to najradośniejsza chwila w moim życiu, niechaj Bóg mi to odpuści...

Owej nocy leżała w łóżku dygocząc ze strachu.

Od powrotu Pawła jej nienawiść i wstręt do męża wzrosły jeszcze bardziej. Nie wytrzyma dłużej. Ucieknie z Nowego Miasta i pójdzie za Pawłem, bez którego jej żywot jest pusty i zbyteczny. Wstrząsnął ją zimny dreszcz, gdy

wyobraziła sobie, jak pijany mąż na siłę ją obejmie, pokona jej opór i będzie ją całował, podczas gdy ona będzie tęsknić za innym, do którego należy całą duszą i ciałem.

Mężczyźni, którzy przynieśli trupa, i sąsiedzi, którzy się zbiegli, myśleli, że Barbarze rozum się pomieszał. Na widok zakrwawionego oblicza męża chwycił ją konwulsyjny śmiech. I podczas gdy zebrane kobiety modliły się za grzeszną duszę jej męża, ona śmiała się i śmiała, a w końcu wypadła z domu i biegła przez pogrążone w ciemnościach nocy ulice, aż znalazła się za miastem. Tam jak lunatyczka upojona odzyskaną wolnością błądziła po drózkach, po których niegdyś chodziła z Pawłem. Postanowiła nie wracać do rodzicielskiego domu, póki go nie znajdzie i nie wprowadzi do opustoszałego ojcowskiego warsztatu i póki jej serce nie będzie tak szczęśliwe jak przed laty...

— Znalazłam cię i nigdy już nie opuszczę — mówiła z roztkliwieniem. Do udręczonego serca zawitało szczęście. Tulila się do Pawła i wpatrywała w niego z bezgranicznym oddaniem. Słuchał jej słów jak w omamieniu.

Budziły się w nim wyrzuty sumienia, Dlaczego okazał się taki okrutny po powrocie z wanderki? Jakże był niesprawiedliwy! Jej zamążpójście niebyło zdradą, lecz dowodem miłości. Nie uległa przecie groźbie Szuby, iż wyda ją na pastwę czachtickiej pani, złamał ją dopiero strach, że jeśli go nie poślubi, Szuba zamorduje jej miłego.

Zmagał się ze sobą.

Szukał pewności w chaosie uczuć. Czy jeszcze miłuje Barbarę? Nie oszukiwał się, mówiąc sobie, że doznany zawód zabił miłość w jego sercu? Nieodparta siła popycha go do niej, latarnia wypada mu z ręki, chwytą ją w objęcia i obsypuje pocałunkami.

— Miłujesz mnie, miłujesz!... — wykrzykuje radośnie Barbara wśród pocałunków. — Jesteś mój, a ja jestem twoja...

Lecz nagle tak gwałtownie wypuścił ją z ramion, że aż straciła równowagę. Oblicze mu sposepniało, a słowa brzmiały jak uderzenia:

— Ten pocałunek był pocałunkiem rozstania! Nie możemy zacząć tam, gdzieśmy skończyli przed laty. Między nami stoi cień Marcina Szuby, przesłania mi twoją urodę i czystość, którą wielbiłem. Nie zdolnym obejmować ciała, które on obejmował!...

Nim się opamiętała, zniknął w podziemnym korytarzu, jakby się weń zapadł.

Tam zaś, gdzie zniknął, z suchym szelestem wyrósł z ziemi krzak.

Zdjęta zgrozą stała przed krzakiem, nie mogąc pojąć, jak mógł się rak nagle odmienić i - zniknąć...

Stała tam zrozpaczona jak nad grobem.

Nie był to wszakże grób, z którego nie ma powrotu. Czowała, że Paweł wróci i że ona jednak go odzyska.

Z kaganka, który wypadł z latarni, olej wyciekał niby krew ze zranionego serca, lecz błękitne niebo uśmiechało się, a ptaki śpiewały.

Cieżka powinność

Jan Ponicens doszedł do kasztelu głęboko zamyślony, spocony i zdyszany.

Przed ogromną okutą żelazem bramą zatrzymał się zafrasowany.

Gdy rozważał, czy uda mu się dostukać, brama rozwarła się na oścież. Stał w niej siwowłosy brodaty kasztelan.

— Witaj, przyjacielu — rzekł z uśmiechem — i nie dziwuj się, iż brama sama się przed tobą otwiera. Mógłbyś kołatać do wieczora, albowiem jestem chwilowo w kasztelu

sam i trawię czas w wieży nad księgami i przy lunecie. Tam mój słabnący słuch nie złowi żadnego dźwięku. Lecz ostatnio na ziemi jakby się działy ciekawsze rzeczy niżli na niebie. W nocy z takim napięciem śledziłem walkę pod kasztelam, iż zapomniałem o gwiazdach. Zaś dzisiaj rano, gdy słońce zmiotło z firmamentu tysiące iskrzących gwiazd, rozglądałem się po okolicy. Ujrzałem ciebie i odgadłem, że zmierzasz do mnie.

Starzy przyjaciele uścisnęli sobie dłonie. Kasztelan zamknął bramę, i powiódł gościa przez podwórzec do wieży.

Ledwie siedli tam w małej komnacie i poczęli rozmawiać Jan Ponicensus spytał z niepokojem:

— Jesteś pewien, przyjacielu, iż oprócz ciebie nie ma tutaj żywego ducha? Zda mi się, że słyszę jakieś podejrzaną hałas...

— Nie obawiaj się — uspokajał go kasztelan. — Jesteś obecnie jedynym mieszkańcem kasztelu, gdyż dwóm starym sługom zezwoliłem odwiedzić rodziny, gdyby wszakże ktoś niepowołany wtargnął tutaj spod ziemi lub z nieba — aczkolwiek jest to niemożliwe — jeszcze dałbym sobie z nim radę.

Stary kasztelan wy dobył spod stosu ksiąg nabity pistolet i położył obok siebie.

— Chciałbym opowiedzieć ci o sprawach, o których nie należy mówić przy świadkach — zagał pastor.

— Chcesz mówić o Elżbiecie Batorównie, wiem...
— zachmurzył się Mikołaj Loszonsky.

I Jan Ponicensus zwierzył mu wszystko, co miał na sercu: śmierć Ilony Harcajówny, zniknięcie Magdusi Kalinianki, powrót Jana Kaliny i jego przystanie do zbójników, swoje pierwsze i drugie odwiedziły w zamku, nocne wydarzenia, po czym wyjął z zanadrza list swego poprzednika, Andrzeja Berthoniego.

Mikołaj Loszonsky słuchał z wielką uwagą. Gdy zaś

przeczytał pożółkły list Andrzeja Berthoniego, sposepniał jeszcze bardziej.

— Pojmuję twoje wzburzenie — rzekł — i potrafił obrazić sobie męki duchowe, jakie przeżywasz od chwili, kiedy uchyliłeś rąbka zamkowych tajemnic i uświadomiłeś sobie, iż powinnością twoją jest udaremnić deptanie boskich i ludzkich praw. Wszakże podejmując walkę z grafką, porywasz się na mocnego przeciwnika. Życzę ci zwycięstwa.

Mikołaj Loszonsky jął rozważać wszystkie okoliczności. Co się tyczy tych dziewięciu trumien... Elżbieta Batorówna, gdyby ją powołano przed sąd, winą za śmierć dziewięciu dziewcząt bez mrugnięcia okiem obarczy służebne. One prawdopodobnie zapłacą życiem, lecz ona będzie się tryumfalnie śmiać. Jakie tam tortury? Takie oto pytanie zadała sobie wielmoże, jeśli do tego dojdzie. Czachticka pani nie torturuje dziewcząt, ona jeno karze je za nieposłuszeństwo. A czyż nie ma prawa karać nieposłuszeństwa? Ilona Harcajówna... Jan Ponicensus wraz ze wszystkimi domownikami i swoim nocnym gościem Janem Kaliną widział ją nieludzko skatowaną na jego rękach wyzionęła ducha. Ale jakież znaczenie miałyby to świadectwo w oczach sędziów, którzy badaliby postęпки Elżbiety Batorówny? Żadnego. Powiedziałyby, że Ilona Harcajówna ze strachu przed karą wbiła sobie nóż w piersi lub że skoczyła z murów zamkowych i tak oto zadała sobie śmiertelne obrażenia. Albo też znowu odpowiedzialność poniosłyby służebne, na które by zwała, iż zbyt były gorliwe w wymierzaniu kary. Znajdzie setki wykrętów, a gdzież jest sędzia, który by się ośmielił nie wierzyć słowom jasnie oświeconej pani, grafki, należącej do kwiatu węgierskiej szlachty?

I czy w ogóle można mniemać, że kiedykolwiek stanie przed sądem?

— Co czynić, co czynić? — szukał wyjścia zrozpaczony

Jan Ponicensus.

— Miły przyjacielu — odparł Mikołaj Loszonsky — rzekłem ci, jak ja to widzę, lecz nie śmiem udzielić ci żadnej rady. Wiąże mnie przysięga wierności wobec czachtickiej pani. Byłbym nikkczemnikiem, gdybym ją naruszył. Czyń co ci dyktuje sumienie. Ja, póki jestem kasztelanem czachtickiego kasztelu, nie mogę knować przeciw grafce...

Jan Ponicensus patrzył na kasztelana zafrasowany.

— Nie mam ci tego za złe — rzekł. — Przysięga jest rzeczą świętą... Wszelako gdzie, do kogo się zwrócić, w kim szukać sprzymierzeńca?

— Zwróćcie się do tych, których również wiąże przysięga wobec grafki. Lecz przysięga pomsty i kary... — zabrzmiała odpowiedź na jego pytanie, od drzwi, które otwarły się niedostłyszalnie.

Pastor i kasztelan obejrżeli się zdumieni.

W drzwiach stał uśmiechnięty Jan Kalina z Mariszą Szutowską. Pastor zerwał się uradowany i objął Kalinę.

— Jakże drżałem o jego żywot, synu! Już miałem cię za straconego, a ty zjawiasz się tu zdrów, w pełni sił i roześmiany! Kto cię ocalił, dla kogo mam prosić niebiosa o błogosławieństwo?

— To tajemnica, którą mogę wyjawić jeno w cztery oczy.

Rzekł to, albowiem spostrzegł, iż w duszy Mikołaja Loszonskiego toczy się walka, co jako kasztelan czachtickiego kasztelu winien uczynić ze zbrojnikiem.

Podczas gdy Jan Ponicensus serdecznie ścisnął rękę Mariszy i głąskał ją po złotych włosach. Jan Kalina podszedł do kasztelana:

— Na waszym obliczu, mości kasztelanie, nie widzę radości. Nawet najśłabszego odblasku mojej uciechy, że po długich latach znowu was spotykam...

Kasztelan spoglądał gdzieś w bok. Kalina czuł, iż starzec

zbiera odwagę do słów i czynu. Jego oblicze stwardniało w wyrazie nieubłaganej surowości, nielicującym ze śnieżnobiałymi włosami i brodą łagodnie spływającą na piersi.

Jan Kalina darzył kasztelana synowską miłością. Jego ojciec wespół z grafem Nádsadym i kasztelanem wojował z Turkami. Obaj wielce sobie upodobali ojca Jana i przenieśli to upodobanie na syna. Kasztelan zabierał go do siebie na całe dni i dziesięcioletniego zaledwie chłopca wtajemniczał w arkana gwiazdziarstwa, prowadził jego żądny wzrok po Mlecznej Drodze, po niewidzialnych orbitach ciał niebieskich Tym sposobem zarwał w jego duszy zamiłowanie do spraw wyższych i budził w nim głód wiedzy, pragnienie, by wiedzieć i poznać jak najwięcej. A kiedy młody student przyjeżdżał ze szkół na wakacje, niejedną noc spędzili błakając się po drogach i bezdrożach, pograżeni w uczonej dyspacie. Ludzie przystawali zdumieni i wytrzeszczali oczy na tę osobliwą parę: siwego męża i niedorostrka, którzy rozprawiali ze sobą jak równy z równym.

Jan Kalina nie poznaje swojego starego przyjaciela. Tak posepny nie bywał nawet wówczas, gdy zagłębił się w jakiś nierozwiązalny problem.

Trzy pary oczu z napięciem wpatrują się o odmienionego raptownie starca.

— Janie Kalina ozwał się w końcu Mikołaj Loszonsky lodowatym głosem — jesteś zbójnikiem, ja zaś kasztelanem. Muszę spełnić swoja powinność.

Wszyscy zamarli. Starzec wyprostował się, jakby mu wracała młodość i dawne męstwo, błyskawicznie chwycił pistolet leżący na grubej księdze i wymierzył w Kalinę.

— Ręce do góry, zbójniku! — zawołał twardo. Na Jana Ponicensa i Mariszę Szutowską, którzy chcieli się rzucić między nich, krzyknął: — Nie przeszkadzajcie mi w spełnieniu powinności!

— Oszalałeś, oszalałeś, stary przyjacielu! — zawołał pa-

stor blednąc, zaś Marisza stała przy nim z gwałtownie bijącym sercem.

Lecz Mikołaj Loszonsky nie zwracał na niego uwagi.

— Zbójniku — zawołał ruszaj przodem, w milczeniu i nie oglądając się!

Jan Kalina chwilę patrzył na kasztelana roziskrzonymi oczami, nacisnął pięści, mięśnie nóg prażyły mu się do skoku. Przez głowę przemknęła myśl, by rzucić się na starca, wytrącić mu pistolet z ręki, powalić na ziemię i rozprawić się z wrogiem, który chce wepchnąć go w objęcia śmierci. Lecz dziwny ból ścisnął mu serce i ostudził wzburzoną krew. Nie był zdolny podnieść ręki na tego starca nawet w obronie własnej wolności i żywota.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Kasztelan z pistoletem za nim.

Drzwi zamknęły się z hukiem, klucz zgrzytnął w zamku. Pastor i Marisza uświadomili sobie, że zostali uwięzieni w wieży kasztelu...

Kasztelan ze swoim jeńcem zstępowali po schodach coraz niżej.

Starzec wkrótce zmęczył się i zadyszał, a kiedy na dole otwierał ciężkie żelazne drzwi, był już tak wyczerpany, że starczyłoby tknąć go palcem, aby wtoczył się do lochu zamiast swego więźnia.

Jan Kalina wszedł przez uchylone drzwi do lochu. Drzwi wszakże nie zamknęły się, kasztelan stał w nich nadal, z pochodnią w jednej i pistoletem w drugiej ręce. Ale ręka z pistoletem bezwładnie zwisała wzdłuż ciała.

A na Kalinę nie patrzyły już surowe oczy w lodowatym zimnym obliczu.

— Janku — ozwał się kasztelan po długim milczeniu wybac mi, nie mogę inaczej. Przysięga jest rzeczą świętą...

— Świętą, chociaż ja przypłacam ją życiem! — przerwał

mu Kalina z rozdrażnieniem.

— Przysięga nakazuje mi bezwzględność wobec zbrojnika i spiskowca, choćby był moim rodzonym ojcem albo synem — rzekł kasztelan usprawiedliwiając swój postępek.

— W takim razie nie mam czego wam wybaczać, mości kasztelanie!... — odparował.

— Nie pragnę twojej zguby — mówił dalej kasztelan — i nie przeżyłbym twojej śmierci, gdybym się do niej przyczynił. Widzisz, Janku, tam w wieży stał przed tobą godny przeciwnik, w którym poczucie obowiązku być może raz ostatni rozgrzało żołnierską krew. Tam nie radziłbym ci stawiać mi oporu. Tu wszakże masz przed sobą jedynie wyzutego z sił starca...

A gdy Kalina spojrział nań ze zdziwieniem, wykrzyknął:

— Powal mnie i salwuj się ucieczką!...

— Nie — odparł z niezłomną stanowczością. — Opuszczę loch, jeśli sami ustąpicie mi z drogi, mości kasztelanie i oświadczycie, że jestem wolny... Zawsze was považałem, byliście dla mnie wzorem rzetelności i sprawiedliwości. Tak, jestem zbrojnikiem. Wy wszakże uważacie mnie za złoczyńca przeto i we mnie budzą się wątpliwości. Jeśli dopuścił się zbrodni obierając najprostszą drogę pomśzczenia i ukarania krzywdy, niechaj mnie dosięgnie zasłużona kara!

Serce miał przepełnione goryczą, jakby wsączono w nie piołunu.

— Na co czekacie, mości kasztelanie? — wybuchnął — Zamknijcie mnie!

— Janku — ozwał się kasztelan niemal błagalnie — miej krzywą rozwagi. Jeśli nie usłuchasz mojej rady, wydasz wyrok nie tylko na siebie, lecz i na swoją narzeczoną, na Jana Ponicensa i na mnie. Jeśli bowiem zostaniesz tutaj, ja zaś odejdę kto wie, czy te strome schody nie wyczerpią mnie tak, iż siądę gdzieś, by odpocząć chwilę, a ta

chwila przemieni się w odpoczynek wieczny. Kto wie, czy mój żywot nie zgaśnie rychlej niż, ta pochodnia, którą dzierżę w ręku... Gdyby tak się stało, śmierć głodowa skosi nie tylko ciebie, lecz również twoją narzeczoną i czachtickiego głosiciela Słowa Bożego... Słudzy wrócą aż za kilka dni, gdy będzie już za późno...

Kalina był bliski szaleństwa, gdy sobie to wyobraził, lecz zarazem zaciął się jeszcze bardziej. Zacisnąwszy zęby przemógł pokusę, by posłuchać kasztelana.

— Jesteście kasztelanem — wybuchnął — ja zaś zbójnikiem, czyńcie swoją powinność!

Mikołaj Loszonsky zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz, wyjął go i zatknął za pas.

— Bóg mi świadkiem — rzekł — iż nie chciałem twojej zguby. Lecz niezdolny jestem postąpić wbrew przysiędze i sumieniu...

— No to przyjdźcie mnie obejrzyć, mości kasztelanie, gdy będę dyndać na szubienicy — odburknął Jan Kalina.

8. *Uciekająca do lasu dziewczyna*

Znalezieni i znaleziona

Ficko i kapitan pandurów przeżywali okropne męki w rowie pod Skalnym Wierchem. Ficko ranny był w rękę, kapitan w nogę. Po niedawnych deszczach na dnie rowu stała jeszcze woda. Nasiąknęła nią odzież i ziębiła jak lodowaty okład.

Szczękali zębami z bólu i nieznośnego zimna, jęczeli i klęli.

Wozy zbójników już dawno zniknęły w dali. Wokół panowała martwa cisza. Daremnie wyteżali słuch, czy na drodze nie rozlegną się kroki jakiegoś niestrudzonego wędrowca.

— Wyglądamy jak zmokłe kury — westchnął kapitan Imrich Kenderessy.

— Lepiej nam było skapieć! Taka hańba! — wściekał się Ficko. — Żeby jeno nie znalazł nas kto znajomy.

— Znajomy czy nieznajomy, mnie tam wszystko jedno — rzekł kapitan.

— Jeśli w godzinę lub dwie nie natrafią na nas, ze mną będzie koniec — załamentowała Ficko. — Przemarzę do kości, a ręka tak mnie boli, żem bliski wariacji!

Nie natrafili na nich ani w godzinę, ani we dwie, a jed-

nak wyżyli. Nad ranem, cali zgrabiali i osłabli z upływu krwi, już z daleka posłyszeli turkot wozu. Ten dźwięk wlał nowe siły w ich skostniałe, zwątlone ciała. Na ich wołanie o pomoc wóz zatrzymał się i zeskoczył zeń starszy człek.

— Ficko! — zawołał zdumiony, gdy w jednym z nieszczęśników rozpoznał sługę czachtickiej pani.

Wyswobodził Ficka i kapitana z więzów.

Był to czachticki gajowy, najęty do służby nie dalej jak przed miesiącem. Mieszka w drewnianej chacie na Skalnym Wierchu, pilnuje lasów, aby biedota nie kradła drzewa, i pali wapno, z którego dwie trzecie musi oddawać do zamku, a jedną trzecią wolno mu sprzedawać. Wybrał się właśnie z wapnem do okolicznych wsi.

Ficko i kapitan po zdjęciu powrozów ledwo mogli ustać. Nogi im się uginały, tak że musieli oprzeć się o gajowego. Z jego pomocą wygramolili się z rowu.

— Zrzucić wapno z wozu rozkazał Ficko — bo inaczej się nie zmieścimy, zresztą twój stary koń nie uciągnąłby takiego ciężaru.

Gajowy zrzucił wapno na kupę i biadał:

— Rozkradną mi, nim wrócę!

— Niech tam — pocieszył go Ficko — nie poniesiesz szkody. Przez cały tydzień możesz palić jeno na swój użytek.

Uspokojony gajowy pomógł im wleźć na wóz, po czym zapytał, dokąd ma ich odwieźć.

— Do siebie odrzekł Ficko — opatrzysz nam rany i doprowadzisz do porządku odzież. I trzymaj język za zębami, nie przechwalaj się, z jakiej mizerności nas wydobyłeś. O zmiernych odwieziesz nas do Czachtic.

— Ale ja mam bardzo małe i skromne pomieszczenie — wzdragał się gajowy z widoczną niechęcią.

— Nie szkodzi, niechybnie jest zbytkowniejsze od rowu — wykrzywił się Ficko.

Gajowy najwyraźniej był skonfundowany,

— Dobrze powiedział w końcu — ale obiecaj mi na wszystkie świętości, że choćbyś nie wiedzieć co ujrzał w mojej chacie, nie wyrzesh zemsty ani na mnie, ani na nikim innym.

— Zgoda, obiecuję ci! — rzekł Ficko zdziwiony. — Pewnieś ustrzelił sarnę albo odyńca, stary kłusowniku, co?

— Uchowaj Boże — zaprzeczył gajowy. — Jestem uczciwym człkiem, cudze mnie nie nęci.

Po chwili wóz zatrzymał się.

Na skraju drogi stały piece do palenia wapna oraz szopa z małą stajnią. Wszystko to należało do posiadłości czachtickich.

Ficko, choć ręka rwała go z bólu i trzął się z zimna, nie odrywał oczu od gajowego. Coś świtało mu w głowie. On najał go do służby. Przyszedł do Czachtic wynędzniały, oberwany, wygłodzony. Czy istotnie nazywa się tak, jak mu się zdaje?

— Słuchaj no — zagadnął gajowego, gdy ten pomagał zejść mu z wozu — czy ty nazywasz się Jan Lederer?

— Tak — odparł gajowy zdziwiony.

— To mam dla ciebie dobrą nowinę.

— Dobrą nowinę, dla mnie? — spytał z niedowierzaniem.

— Tak, dla ciebie. Nie masz ty przypadkiem syna Pawła?

— Mam, ale jakbym nie miał. Poszedł w świat na wanderkę i od lat już nie daje znaku życia — posmutniał.

— Syn twój wrócił, jest zdrow i jeśli zechcę, dziś jeszcze go zobaczysz!

— Prawda to? — wykrzyknął uradowany gajowy.

— Tu nie miejsce na rozmowy — upomniał go Ficko

— Powiedz lepiej, jak się dostaniemy na górę.

Nieco powyżej na stoku między rzadkimi drzewami, zalana blaskiem porannego słońca, bieląła chata gajowego, Z komina wesoło wzbijał się ku błękitnemu niebu gęsty czarny dym.

Gajowy chwycił Ficka i kapitana pod ramiona i ostrożnie taszczył ich pod górę.

Gdy zbliżyli się do chaty, czoło gajowego, uszczęśliwionego powrotem syna, zachmurzyło się nagle.

Zaś kapitan jak i Ficko, oniemiałi, wpatrywali się w czarowne zjawisko.

Spomiędzy drzew powyżej chaty wyszła dziewczyna w białym kabatku, czerwonej spódnicy i czerwonych ciżemkach, smukła, jasnowłosa, z nareczem chrustu. Spostrzegłszy na polanie dziwną trójkę stanęła zaskoczona. Skąpana w promieniach słońca wyglądała jak leśna wiła, spłoszona widokiem ludzi.

— To właśnie jest tajemnica mojej chaty — szepnął gajowy. — Pamiętaj, Ficko, coś mi przyobiecał.

— Dotrzymam słowa! — odparł Ficko z taką stanowczością, iż rozproszyło to niepokój gajowego.

Ledwo wzrok dziewczyny spoczął nu Ficku, krzyknęła z przerażenia, rzuciła chrust i jak szalona zawróciła do lasu.

— Zaczekaj! — wołał za nią gajowy.

— Leć za nią, bo już jej nie ujrzysz na oczy! — nakłaniał go Ficko.

Ranni podparli się wzajemnie, zaś gajowy pobiegł za dziewczyną, która na złamanie karku uciekała do lasu. Tupot jego kroków jeszcze ją poganiał.

Dopiero kiedy się obejrzała i stwierdziła, że to gajowy biegnie za nią, przystanęła i zawróciła. Rzuciła mu się na szyje i drżąc z przerażenia łkała:

— Nie zatrzymujcie mnie, muszę uciekać. Biada mi, jeśli wpadnę w łapy tego łotra!...

— Przyobiegał mi, że nie skrzywdzi ani ciebie, ani mnie.

— Dla tego człowieka obietnica nic nie znaczy.

— Chodź, nie bój się, może cię nie pozna — próbował uspokoić ją i nakłonić do powrotu.

— Oby nie poznał! Ale pozna, niechybnie. Puśćcie mnie, skryję się choćby w lesie, byle jak najdalej od niego albowiem już sama świadomość, że jest w pobliżu, napawa mnie śmiertelnym strachem. Pół roku prześladował mnie swoją miłością, ślubował mi wierność, bogactwo, złote góry. Gdym nie chciała go wysłuchać, jął się odgrażać — i spełnił swoje groźby. Nasłał na mnie te nikczemne staruchy, które omal nie zawlokły mnie do zamku.

— Przebacz, żem chciał cię zatrzymać — rzekł gajowy.

— Gdybym wiedział, że uciekasz przed Fickiem, nie pobiegłbym za tobą, lecz z całej duszy życzył ci abyś natrafiła na dobrych ludzi, którzy daliby ci przytulisko i obronili w niebezpieczeństwie. Idź więc i niechaj Bóg prowadzi!

Lecz Magdusia Kalinianka nie ruszyła się z miejsca.

— Wstydzę się i czynię sobie wyrzuty, żem myślała jeno o sobie i o własnym ocaleniu. Ładnie bym się wam odwdzięczyła, wystawiając na gniew i pomstę Ficka!

— Co zamyślasz, drogie dziecko? — zdziwił się gajowy, który już się pogodził z rozstaniem.

— Kiedy zmarznięta i głodna odważyłam się zapukać do waszych drzwi, daliście mi schronienie. Przyjęliście — Szczodrze mi za to odpłaciłaś. Do gruntu odmieniłaś mój pusty i samotny żywot. Tak dalece, że już nawet nauczyłem się cieszyć, choć w sercu noszę ciężki ból. Wybierając z pieca bielutkie wypalone wapno nieraz łapałem się na tym, że gwizdzę sobie wesoło. Tak jak niegdyś...

Janowi Ledererowi przed rokiem — mieszkał wtenczas w pobliżu Niemieckiego Prawna i również utrzymywał się z palenia wapna umarła żona, wierna towarzyszka życia. Zaś wkrótce potem spłonęła mu chałupa. Gdy któregoś

wieczoru wrócił z targowiska, na jej miejscu zastał jeno zgłiszcza.

Złamany, nie wierząc już w powrót syna, opuścił strony, z którymi wiązały go jeno smutne wspomnienia. Tułał się po wsiach w dolinie Wagu, najmował się do nędznie płatnych przygodnych robót, a w końcu dotarł do Czachtic.

Tam szczęście uśmiechnęło się do niego. Został gajowym i znowu mógł oddawać się swemu ulubionemu zajęciu, paleniu wapna. A potem, jakby ją niebo zesłało, weszła w jego bezradosny żywot Magdusia... I chociaż ona również pogrążona była w smutku, pocieszała go, on zaś pocieszał ją, cierpienie ich zbliżyło, a dni stały się łatwiejsze do zniesienia.

Raptem przypomniał sobie radosną wieść, iż syn powrócił, oblicze rozjaśnił mu uśmiech, oczy zabłyśły:

— Magdusiu, syn mój wrócił! Wrócił!

Gdy dowiedziała się, że powiedział mu o tym Ficko, nie zdradzając wszakże miejsca pobytu Pawła Lederera, utwierdziła się w przekonaniu, że powinna zostać.

Rozwścieczony Ficko z zemsty mógłby mu tego w ogóle nie powiedzieć i ojciec z synem nigdy by się nie spotkali.

Gajowy daremnie perswadował jej, by uciekała.

Poszli w dół, do chaty.

Rywale

Ficko i kapitan wciąż jeszcze stali wsparci o siebie. Zmięte, sine oblicze Ficka na widok dziewczyny podtrzymującej starca rozciągnęło się w radosnym grymasie. Przy starym gajowym młodość i uroda dziewczyny jeszcze bardziej biły w oczy.

— He, he, he! — roześmiał się jakimś nie swoim śmie-

chem, bez szyderstwa, złości i wzdury, jeno ze straszliwą goryczą — Spłoszona sarenka wraca...

Magdusia wzdygnęła się, a gajowemu, gdy poczuł szarpnięcie jej ramienia, zdało się, iż znów rzuci się do ucieczki. Lecz przemogła swój wstręt.

Chwilę później gajowy wprowadził swoich nieproszonych gości do chaty, Podczas gdy Magdusia zbierała porzucony chrust, dał im suche odzienie i opatrzył rany. Ficko i kapitan, przebrani, obandażowani, z wolna zapominali o niemiłych przygodach, a kiedy zadymiała przed nimi gorąca polewka, wpadli w znakomity humor. Zwłaszcza Ficko.

— Ale z ciebie czarownik, stary — rzekł ze złośliwym grymasem, gdy Magdusia weszła do izby — że udało ci się przyczarować taką urodziwą towarzyszkę! Ubiegali się o nią już inni, he, he, he, ale to pyszałka, czekała na księcia. No i patrzajcie, zadowolili się zgrzybiałym staruchem! Eh, wy Ledererowie macie takie szczęście, że musi w tym być jakaś siła nieczysta!

Gajowy i dziewczyna kwitowali jego złośliwe uwagi milczeniem, co Ficka jeszcze bardziej podbechtywało. Drażnił starca:

— Wszelako syn twój ma więcej szczęścia od ciebie!

— Byłbym ci wielce wdzięczny — ozwał się gajowy gdybyś mi wreszcie rzekł, gdzie jest mój syn.

— Możesz się wypchać swoją wdzięcznością — wykrzywił się Ficko — ale za tę życiodajną polewkę wyjawię ci, iż znalazł sobie bardzo dobrą służbę. A jak zarabia, człowiecze! Jeżeli tak dalej pójdzie, za parę lat wystawi ci pałac i będzie cię wozić czwórką koni. Z piekła rodem chłopak!

Wyszczrzył zęby do Magdusi:

— Ty także winnaś mu wdzięczność. Twój brat, ten łotr...

— Mój brat nie jest łotrem! — uniosła się Magdusia nie mogąc już ścierpieć jego spojrzeń i złośliwych słów.

— Nie jest, he, he, he! Już nie jest, albowiem dziś rano skończył swój łotrowski żywot na szubienicy!

— To niemożliwe! — krzyknęła Magdusia, a gwałtowny ból ścisnął jej serce. Wierzyć mu czy nie.'

— Niemożliwe, he, he, he! Zapewne byłoby niemożliwe, gdyby nie miał takiego wiernego przyjaciela. Przywiódł go sobie aż z Niemiec, ten zaś oddał go tutaj katu. Za brzęczącą monetę?

Jan Lederer, tknięty strasznym przecuciem, zapytał:

— Kto był tym przyjacielem?

— Dobrze się domyślasz, stary lisie, he, he, he! Tak, twój syn, Zdradził go za dwieście złotych!

— Boże! — jęknął Jan Lederer. Jakże znikczemniał jego syn w szerokim świecie! Nie, już nie jest jego synem, nie chce go widzieć na oczy. A tak się ucieszył, gdy posłyszał, że Paweł wrócił. O, gdyby raczej przepadł!

Zdało się, iż w jednej chwili postarzał się o dziesięć lat. Nogi uginały się pod nim, postać zgarbiła się, a białe włosy lśniły jak świeżo spadły śnieg...

— Czyżbyś mniemał, że to mało, stary skąpcze? Nie masz powodu wstydić się za syna. Kazał sobie słono zapłacić za zdradę. A oprócz pieniędzy dostał też miejsce zamcznika u czachtickiej pani. Ma rozum. Dla takich ludzi grafka jest szczodra. Będzie miał pieniądze jak plew!

Ojcu zakreśliło się w głowie od tej głębi upodlenia, w jaką stoczył się syn, zmamiony brzękiem pieniędzy. Magdusia objęła go. Te nowe ciosy jeszcze bardziej ich zbliżyły. Ona straciła brata, a on syna...

— Piękna z was para — śmiał się Ficko. — Wszelako Paweł lepiej by do ciebie pasował niżli jego ojciec, Magdusiu.

Kapitan bez słowa słuchał naigrawań Ficka i ze współ-

czuciem spoglądał na zboląłego starca i spłoszoną dziewczynę. Chociaż serce dawno mu stwardniało, szlachetność w nim nie wygasła. Nie mógł dłużej patrzeć na ich udramę.

— Stary — rzekł — idź, zbierz swoje wapno, wtoch wóz do szopy, a konia odprowadź do stajni. Nie zapominaj, iż wapno jest twoim w pocie czoła zdobytym zarobkiem, zaś wóz i koń nie są twoją własnością!

Gajowy uchwycił się słów kapitana jak tonący słomki. Nie zwlekając ruszył do drzwi.

— Pójdę z wami! — zawołała Magdusia.

— Idź, idź — wykrzywił się Ficko obrzucając kapitana kosym spojrzeniem. Zły był, iż przerwał mu zabawę. — Idź, lecz radzę ci wrócić, jeżeli nie chcesz stracić również matki. Szubienica jeszcze stoi!

Gajowy i dziewczyna wyszli z izby chwiejnym krokiem, jakby wychodzili z cmentarza, gdzie pogrzebali swoich najbliższych. Dziewczynę przenikał ból nad utratą brata i obawa o los matki, i starzec opłakiwał syna. Syna, który sprzedał przyjaciela, musi wyrzucić z serca.

W milczeniu schodzili po zboczu na drogę.

Słońce wesoło wędrowało po niebie i ciepło uśmiechało się do budzącej się z zimowego snu przyrody. Tchnienie wiosny ogrzewało poranne powietrze, a ptaki ćwierkały wśród gałęzi pęczniejących nowymi sokami. Jenó w ich serca sączył się chłód i beznadziejność.

— Ficko — rzekł ze wzburzeniem kapitan, gdy gajowy i Magdusia wyszli z izby — nie jestem już młodzikim, wiele w życiu doświadczyłem, byłem na wojnie, która czyni ludzi gorszymi od dzikich bestii, siedziałem w niewoli u Turków. Wszelako takiego łotra jak ty jeszcze nie spotkał!

— Patrzajcie no! Pan kapitan gotów się rozszlochać jak rozpieszczona panienka.

— Ani stary, ani dziewczyna nic ci nie uczynili, czemu więc ich dręczysz! — powiadł kapitan na Ficka. Zakonotuj sobie: jeżeli nadal będziesz sekować naszego gospodarza, który nas nakarmił, i znęcać się nad Magdusia Kalinianką, ze mną będziesz miał sprawę!

Lecz Ficko się nie przestraszył. Przeciwnie. Wpadł w wyborny humor.

— Ejże, Ejże, mości kapitanie — śmiał się szyderczo — wszak jesteście szlachcicem! Jako szlachcicowi nie przystoi wam tak się troszczyć o gajowego, jednego z najostatniejszych sług czachtickiej pani. Zaś jako kapitanowi pandurów nie przystoi wam tak gorliwie bronić siostry powieszzonego zbójnika!

— Tak, jestem szlachcicem — zareplikował ostro kapitan — i kapitanem pandurów! Właśnie dlatego nie ścierpię, by w mojej przytomności ktoś znęcał się nad starcem i bezbronny dziewczęciem!

— Starca wam poniecham, he, he, he, aby wam dogodzić. Wszelako do tego dziewczęcia nie mieszajcie mi się. Wiem, co mogę sobie dozwolić wobec siostry powieszzonego zbójnika.

— W mojej przytomności nic sobie nie dozwolisz, zakonotuj to sobie!

Byli w wielce bojowym nastroju. Co i raz usiłowali zwlec się z łóżek i stanąć o własnych siłach. Ale pod wpływem przejmującego bólu znowu opadali na posłania i miarkowali gwałtowne ruchy.

Gdy Magdusia i gajowy wrócili do chaty, kapitan nie mógł się nadziwić nagłej zmianie, jaka zaszła w dziewczynie.

Już niebyło to wystraszone, zahukane stworzenie. Weszła do izby śmiało, pewnym krokiem. Spojrzała na Ficka bez obawy, z pogardliwą wyniosłością. Ficko już otwierał usta do złośliwych przycinków, lecz raptem opuściła go

wojowniczość. Bowiem zamiast bezradnej istoty ujrzał przed sobą nieustraszoną przeciwniczkę. Zamrugał małymi oczkami jak mysz zapędzona w kąt przez igrającego sobie z nią kota.

— Leż, leż, Ficko, wyleż się — powiedziała Magdusia — nabierz sił. Czachticka pani i deresz czekają na ciebie z utęsknieniem. Rychło wydobrzej, im później bowiem wrócisz, tym więcej kijów zafasujesz!

I roześmiała się dźwięcznie. Ficka mało nie rozniosło.

— Ale z ciebie bohater! Cała okolica opowiada sobie jakęś się poddał razem z hajdukami, aby uratować skórę. Przede mną umiesz się puszyć, gdy wszakże przychodzi do bitwy byle zbójnik zadaje ci bobu!

— Ja tobie zadam bobu!

I siadł na posłaniu, zbierając siły.

Kapitan sprężył się w sobie. On też zbierał siły, aby przyjść dziewczynie z pomocą, jeśli będzie trzeba.

— Nie waż się ruszyć, Ficko — zawołała Magdusia i zdjęła z gwoźdźnia zawieszony tam czekan — bo tym oto czekaniem rozwalę ci twój podły łeb!

Kapitan spokojnie wyciągnął się na posłaniu. Widział, że dziewczyna da sobie radę sama. Jego wzgardliwy uśmiech rozjuszył Ficka, który i tak już trząsł się ze złości. Uśmiech kapitana był iskrą rzuconą na beczkę prochu. Wyteżywszy siły zeskoczył z łóżka i z wykrzywioną ohydnie twarzą rzucił się ku Magdusi.

Ona wszakże nie straciła przytomności umysłu. Oganiając się czekaniem z całej mocy walnęła go w garb.

— Przekłęta zmija! — wrzasnęła. Upadł, lecz natychmiast zerwał się, dysząc jeszcze większą wściekłością.

Wtem gajowy zdzielił go pięścią w twarz, z jednej i drugiej strony, i Ficko znowu upadł, zgrzytając zębami i charcząc.

— Jeden policzek był dla ciebie, a drugi oddaj temu podlecowi, który był moim synem — mówił starzec głosem zmienionym z gniewu. — i powiedz mu, aby nie ważył się pokazać mi na oczy, albowiem miast błogosławieństwa na dalszy żywot dostanie ode mnie jeno klątwę.

— Zapłacicie za to! — wycharczał Ficko.

Gajowy przystąpił do kapitana:

— Wybaczcie, wielmożny panie kapitanie, że was tu zostawimy i nie będziemy dalej pielęgnować. Przed chwilą jeno ta dziewczyna, teraz wszakże i ja muszę się ratować przed zemstą tego potwora.

Ficko oddałby pół życia, aby przeszkodzić im w ucieczce. Ale mógł jedynie się odgrażać.

— Choćbyście nie wiem gdzie się skryli, nie ujdziecie mi. A ty, źmijo, zakonotuj sobie, iż nie spocznę, póki i ciebie nie przywiodę na szubienicę, tak jak twego brata!

Magdusia wybuchnęła śmiechem.

I Ficko dowiedział się, iż nocna porażka i doznane później upokorzenie to jeszcze nie wszystko, co go spotkało. Kalina uciekł, jego matką zaopiekowali się zbójnicy — zaś grafkę straszliwie znieważono: chwacki Wawrzek wypalił jej na udzie hańbiące piętno,

Fickowi odebrało mowę. Nigdy jeszcze nie spotkała go taka sromota. Z ust do ust niesie się wieść o jego hańbie. Na jego widok każdy będzie się uśmiechać ze złośliwą radością, a miary upokorzenia dopełni niełaska pani. Czy nie byłoby lepiej zrezygnować ze służby, w której prześladowuje go niepowodzenie za niepowodzeniem, wykopać w nocy uciulanę pieniądze, czmychnąć gdzieś daleko i wśród nieznanym ludzi rozpocząć nowy żywot?

— Chodź, Magdusiu — ozwał się gajowy i objął ją z czułością. — Straciłem syna, lecz w tobie znalazłem córkę. Świat jest wielki i nie brak na nim dobrych ludzi, nie zginiemy!

Widząc dumny uśmiech dziewczyny Ficko porzucił zamiar ucieczki. Nie, nie zrejętuje tchórzliwie z placu boju. Cokolwiek miałyby się stać, nie zniesie myśli, że i ta krnąbrna dziewczyna szydziłaby z jego tchórzostwa. Gdyby nawet nie zależało mu na całym świecie, gdyby obojętna mu była czy niełaska Elżbiety Batorówny, gdyby nie dbał o ludzkie, gardziłby sam sobą, że nie ukorzył pyszałki, która go odtrąciła, kiedy ofiarował jej się bez reszty, gotów służyć jak pies. Od niej też otrzymał najboleśniejszy cios w swoim życiu. Z garbu dotychczas na całe ciało promieniuje piekący ból. Nie, nie ucieknie. Choćby grafka kazała wymierzyć mu sto kijów, choćby spadł z deresza pół martwy, zostanie, ponownie zdobędzie utraconą przychylność pani i znowu wszyscy będą drzeć przed nim, zaś najbardziej ona!...

— Pamiętaj! — wrzasnął do wychodzącej ze starcem dziewczyny. — Choćbyś wywędrowała na koniec świata, znajdę cię, ślubuję ci to! I pomszczę się za obrazę!

Długo jeszcze wlepiął wzrok w zamknięte drzwi, jakby chciał je przepalić płonącymi nienawiścią oczami.

Kapitan również wpatrywał się w drzwi. Lecz w jego wzroku nie było gniewu ani żądzy zemsty — jakaś tklivość w nim jaśniała, tklivość, która całkiem zmieniła wyraz jego twardego marsowego oblicza.

— Ficko! — zawołał. — Do twojej przysięgi dołączam swoją! Przysięgam, iż jeśli chociaż małym palcem tkniesz tę lubą istotę, odrąbię ci rękę.

— Co się wam stało, mości kapitanie? — wytrzeszczył oczy Ficko.

— Bez pamięci się rozkochałem w tej dziewczynie! — odparł kapitan. — I ślubuję, iż ją odnajdę, obronię i zdobędę jej przychylność!

Cztery niewiasty pogrzebane za życia

Gdy Pawła Lederera — jak się Barbarze zdało — pochłonięła ziemia, zwodzone drzwi zamknęły się nad nim i otoczyła go nieprzenikniona ciemność, uprzytomnił sobie, iż zbyt pochopnie postanowił dojść podziemnymi korytarzami do katowni, by uwolnić czachticką panią. Teraz dopiero spostrzegł się, że zostawił na górze latarnię. Bez światła nie miał odwagi zapuścić się w labirynt korytarzy

Z napięciem usiłował odgadnąć, czy Barbara stoi jeszcze tam na górze. I przyłapał się, iż pragnie, aby tam stała, aby nań czekała. Ale on żeby pozostał niewidoczny, gdyż nie jest w stanie pokazać się jej na oczy i mówić z nią. Nienawiść i miłość przedziwnie przeplatały się w jego sercu.

Macał wokół siebie szukając dźwigni otwierającej zwodzone drzwi. Miast niej namacał pod murem pochodnię. Ucieszył się, bowiem osądził, iż lepiej pójść do katowni przez podziemia w zamku, gdzie wszyscy już od dawna są na nogach, zniknięcie czachtickiej pani i trzech jej służebnic niechybnie wywołało ogromny niepokój. Hajduk daremnie sterczy na podwórku z osiodłanym Wichrem, na którym Elżbieta Batorówna miała udać się na poranną przejażdżkę, zaś wszystkie oczy, jawnie czy też ukradkiem, nieustannie wpatrują się w wejście do podziemi i czyhają na chwilę, kiedy pojawi się w nim grafka ze służebnymi. Paweł wiedział, że gdyby zoczono go wchodzącego do podziemi z pochodnią lub latarnią wzbudziłyby podejrzenia i domysły, które mogłyby go kiedyś drogo kosztować,

Pozbierał suche liście i gałęzie, które spadły z krzaka nad zwodzonymi drzwiami, skrzesał ogień, zapalił pochodnię i pewnym krokiem ruszył do krwawej łazienki.

Po drodze nawiedziły go wszakże przeróżne pokusy i obawy. Czy wyratowanie grafki istotnie przyniesie mu jej bezgraniczne zaufanie? A może wręcz przeciwnie

— wzbudzi w niej i służebnych niedowierzanie i gniew, że sam, bez dozoru ośmielił się wejść do podziemi przenikając w ten sposób pieczołowicie strzeżone tajemnice czachtickiego zamku? Lecz zwalczał te obawy i pokusę, by pozostawić uwięzione niewiasty własnemu losowi.

Tymczasem zamknięte w katowni kobiety spływały już potem, śmiertelnie wyczerpane bezskutecznymi usiłowaniami, aby wyważyć drzwi.

Mijały godziny, które im zdały się wiecznością. Grafka bezwładnie leżała w fotelu, a rozjątrzona wyobraźnia podsuwała jej wyraziste obrazy czekającego ją końca. Niechybnie zemrze z głodu i pragnienia. I natychmiast naprawdę, poczuła głód i pragnienie. Takie same męki przeżywały jej służebne, albowiem i one oczekiwały śmierci głodowej. Nie miały już ani isierki nadziei na ocalenie.

W ciszy katowni rozległ się nagle krzyk Dory:

— Ktoś nadchodzi!

Nasłuchiwały w napięciu. Gdy kroki zatrzymały się, przy drzwiach i dźwięknął klucz, ozwał się radosny okrzyk:

— Jesteśmy ocalone!

Lecz klucz nie obrócił się w zamku i drzwi nie otworzyły się. Ki diabeł igra sobie z nimi? Kto dał im posmakować szczęścia bliskiego ocalenia, by śmierć stała się tym straszniejsza?

Najsilniejsza pokusa ogarnęła Pawła Lederera właśnie w chwili, gdy od drzwi wiodących do żelaznej panny dzieliło go zaledwie parę kroków. Była zaś tak nieodparta, że chociaż wetknął już klucz w zamek, raptem cofnął rękę, jakby się sparzył.

Czy nie powinien zostawić Elżbiety Batorówny i jej służebnic, sprawczyń i posłusznych narzędzi wołających o pomstę do nieba zbrodni, tam gdzie są?

Po co zabiegać o zaufanie czachtickiej pani i snuć się

potem po zamku w ustawicznym strachu, że pewnego dnia jego dwulicowość wyjdzie na jaw? Po co drżeć przed chwilą, kiedy się dowiedzą, iż jest sprzymierzeńcem zbójników? Prędzej czy później niechybnie to nastąpi, a wtenczas — biada mu! I po co wdawać się w nierówną walkę z tak potężnym przeciwnikiem? Oto jest sposobność, by sprowadzić ze świata czachticką panią i okrutne staruchy — a tym samym walka zostanie wygrana!

Już chciał się odwrócić i odejść.

Powstrzymała go wszakże wątpliwość, czy może wziąć na swoje sumienie cztery żywoty ludzkie. Azali ma prawo sądzić i skazywać? Ale czy nie uczyni jeno tego, co ziemską sprawiedliwość, gdyby istniała także dla panów, już dawno by uczyniła? Oko za oko, ząb za ząb, żywot za żywot! Ile żywotów winna mieć Elżbieta Batorówna, aby sprawiedliwości stało się zadość? Nie, nie uwolni jej. Niechaj skapieje tam, gdzie niweczyła i nadal zamierzała niweczyć żywoty innych.

Tym sposobem położy kres krzywdom i złoczynstwom skończy się także nierówny bój. Elżbieta Batorówna nie będzie więcej siać grozy. Żelazna panna już nie będzie przelewać niewinnej krwi!

Radosne okrzyki czachtickiej pani i jej służebnych utwierdziły go w tym postanowieniu.

Odwrócił się i ruszył niemal biegiem, gdyż obawiał się, że pochodnia wypali się, nim przebędzie powrotną drogę.

Tupot jego kroków przeniknął do katowni i rozbrzmiał w sercach uwieczonych kobiet echem rozpaczcy.

Pawła zaś ogarnął wyniosły nastrój jak po dokonaniu bohaterskiego czynu. Chciało mu się skakać z radości, iż wpadł na taką wyborną myśl. Co by rzekł Jan Kalina, gdyby wiedział, że już nie będzie miał z kim walczyć?

Lecz gdy zajaśniało nad nim błękitne niebo, wzniosły nastrój prysnął. Znowu wynurzyła się w pamięci Barbara.

Bez reszty zaprzątęła jego myśli. Rozglądał się na wszystkie strony, czy jej gdzie nie ujrzy.

Wokół nie było żywego ducha, jeno w dali na trakcie tu i ówdzie mignęła jakaś postać.

Panowała głęboka cisza, zaś w górze dumnie i milcząco wznosił się czachticki kasztel.

Kiedy będzie południe, kiedy odezwą się dzwony? I czy z komina kasztelu wzbije się ku niebu umówiony słup dymu?

Ucieczka

— Dokąd pójdziemy? — spytała Magdusia, gdy opuścili gajówkę, i rozglądali się po świecie.

— Dokądkolwiek — odparł Jan Lederer — byle jak najdalej od czachtickiej pani i jej łapaczy.

— Jakże trudno się z tym pogodzić! — westchnęła Magdusia. Musimy uciekać w świat i skrywać się niczym złooczyńcy.

— Gdziekolwiek się znajdziemy, wobec ludzi będzie moją córką, a ja twym ojcem.

— Dobrze, tatku — odrzekła z uśmiechem Niemiłosierny los pozbawił mnie wszystkiego, lecz wdzięczna mu jestem, iż dał mi was, bo i ja was miłuję jak rodzzonego ojca.

Zeszli ze Skalnego Wierchu na gościniec, Jan Lederer przesunął wzrokiem po plecach, po małej szopie i stajni i posmutniał:

— Przyrosłem już trochę do tego miejsca. A odkąd ty ze mną jesteś, rany mego serca poczęły się zablizniać,

Wszedł do stajni, pogłaskał konia, nasypał mu owsa do żłobu, zaś Magdusia go napoiła.

— Moglibyśmy wziąć wóz, nie musielibyśmy iść pieszo — kusiło gajowego. — Konik z ochotą zawiózłby nas, gdzie byśmy chcieli, prędzej dostalibyśmy się w bezpieczne miejsce.

— Pani nawet by nie zauważyła — podbechtywała go Magdusia — że straciła starego konia i rozklekotany wóz.

— Nie! Przyszedłem tu bez niczego — zwalczył pokusę. — i bez niczego odejdę. Nigdy nie splamiłem rąk kradzieżą.

Jeszcze raz pogłaskali konia, dosypali mu owsa i wyszli.

Gdy dochodzili do szopy, zastąpiła im drogę niska kobieta o śniadym obliczu.

— Gdzie jest Ficko? — zawołała groźnie.

Gajowy stanął zaskoczony, ale wnet odzyskał rezon.

— Chodź, to ci go pokażę — rzekł spokojnie, po czym dodał z uśmiechem: — Chyba jesteś jego lubą, że tak gorliwie go szukasz?

Otworzył wrota szopy i wskazał ręką w kąt:

— Tam leży, przykryty płachtą, aby ci się nie przeziębził!

Wpadła do szopy i dopiero, kiedy pod płachty namacała jeno snop słomy i posłyszała, iż wrota szopy zamknęły się za nią, pojęła, że wystrychnął ją na dudka.

— Wbiegła tam jak mysz do dziury — śmiał się gajowy, a Magdusia mu wtórowała. Serdecznie i niefrasobliwie, jakby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

Uwięziona niewiasta szalała z wściekłości, tłukła pięściami w ściany z desek.

— Nie trudź, się. Erza — rzekł gajowy — sam tę szopę wystawiłem, jest solidnej budowy Nie wydostaniesz się stąd. Siedz cicho, bo za chwilę zaschnie ci w gardle, a tam nie znajdziesz przepalanki, chyba że ciebie bym przepalił.

Ujął Magdusię za rękę i poprowadził:

— Znam babę. To stara służebna Elżbiety Batorówny, Erza Kardoszowa, która jedno ma do roboty; wyszukiwać

w okolicy i w odleglejszych miejscowościach dziewczęta marzące o dobrze płatnym miejscu i najmować je do służby.

— Teraz i ja przypominam ją sobie — powiedziała Magdusia. — Widziałam ją raz, jak wyszła z zamku. Oblicze jej płonęło i była tak pijana, że budziła śmiech wśród dzieci, które zbiegły się wokół niej.

— Dziwię się, że jest trzeźwa — roześmiał się gajowy. — Jeszcze nie widziałem jej trzeźwej.

Nie szli traktem wiodącym do Nowego Miasta, już się bowiem zapełniał furmankami i ludźmi idącymi do roboty. Spotkanie z Erzą było dla nich ostrzeżeniem, iż mogłby ich spotrzec jeszcze ktoś ze służby i donieść gratce.

— Otóż to — rzekł gajowy. — Dlatego pójdziemy na przełaj. Koło Hruszowego, Lubini albo Bzinców zaczekamy w lesie do zmroku, potem zaś poprosimy dobrych ludzi o jadło i nocleg. A jutro przedostaniemy się na Morawy, tam będziemy najbezpieczniejsi.

— Najchętniej zostałabym tutaj — oświadczyła Magdusia. — Smutek mnie przejmuje na myśl, że odejdę tak daleko od mej biednej matki i brata. O, jakże chciałabym się z nim spotkać! Kto wie, jak dalece się zmienił przez te długie lata, com go nie widziała. Najchętniej zrzuciłabym niewieście szaty, oblekła nogawice i przystała do Andrzeja Drozda!

— Nie przemieniłabyś się w ten sposób w mężczyznę — uśmiechnął się gajowy — i nie wydzierzyłabyś zbójnickiego żywota. No, nie trap się, nie odchodzimy na Morawy na zawsze. Gdy sprawy przybiorą inny obrót, wrócimy i będziemy żyć spokojnie. Ty niechybnie tego doczekasz, lecz ja...

Machnął ręką, a Magdusia ze smutkiem spozierała na niebo, po którym spiesznie płynęły obłoki, jakby też uciekały przed jakąś nieznaną zgubą.

Nie wiedzieli, iż daremnie zboczyli z nowomiejskiego traktu, daremnie unikali ludzi.

Nie czuli, iż do pleców przyssały im się, niczym pijawki czyjeś szpiegowskie oczy...

Kiedy uwięzionej Erzy przeszła złość, że tak się dała wywieść w pole, bacznie rozejrzała się po szopie, do której przez szpary desek sączyło się światło. Serce podskoczyło jej radośnie, gdy w kącie spostrzegła opartą o ścianę drabinę. Już po chwili wyrwała z dachu gont po gonicie, wysunęła przez otwór głowę i pilnie śledziła uciekinierów.

— Idźcie, gdzie chcecie — zachichotała — znajdę was i jako żywo lepiej was zamknę.

Aż gwizdnęła z radości, że to ona przyprowadzi pani Magdusię Kaliniankę i tego starucha. Co też on przeszkobał?

Wygramoliła się na dach, wciągnęła za sobą drabinę, spuściła ją na ziemię i chyżo jak wiewiórka zsunęła się na dół.

Nie dawała jej spokoju myśl, gdzie podział się Ficko z tym kapitałem od pandurów. Gdy zoczyła gajówkę, ruszyła tam bez namysłu. Jeśli nawet ich nie znajdzie, z pewnością natknie się na coś wartego zachodu, kradzież była jej najmniejszą nieprawością.

W chacie panowała cisza.

Ficko i kapitan milczeli jak zakłęci. Tylko niekiedy spotykały się ich oczy płonące nienawiścią i wżgardą.

Kiedy otworzyły się drzwi, ze zdziwienia aż siedli.

— Skąd się tu wzięłaś, piekielnico? — wrzasnął Ficko wściekły, że akurat niewiasta znalazła go w takich tarapatach. To dopiero będzie żer dla ludzkich języków! Erza będzie się przechwalać, jak go znalazła, wyolbrzymi jego miżerę i do śmierci będzie się powoływać na swoje zasługi.

— No, no, no — uspokajała go Erza — jeno się tak nie sierz, bo sobie pójdę, jakbym tu w ogóle nie zajrzała.

A wówczas pożałujesz!

Opanował się, chociaż najchętniej by ją przeklął.

— Biedaku — uśmiechnęła się złośliwie — jak widzę, zbójnicy dokładnie porachowali ci gnaty!

Zazgrzytał zębami.

— Boli cię, boli? — pytała z udanym współczuciem — No, nasza pani jest dobra, znów pośle po Majorową do Myjavy. W ogóle powinna się przenieść do Czachtic, abys zawsze miał ją pod ręką

Tego już było Fickowi za wiele.

— Czego tu mieszesz ozorem, diable nasienie? Ruszaj natychmiast za starym gajowym i tą dziewczyną, bo ci wyskubie wszystkie włosy, a jeśli ich nie przyprowadzisz, każe, rozciągnąć cię na deresz! I daj znać do zamku, by hajducy przyjechali po nas!

Erza trochę się złękła i pożałowała, że potraktowała Ficka tak z góry. Ten łotr potrafi się zemścić na sto sposobów.

— Idę już, idę — spotulniała. — Mnie oni nie umkną: pójdę za nimi jak cień i ręczę ci, że niebawem znajdą się w Czachticach.

Zbierała się do wyjścia, lecz w drzwiach jeszcze przystała:

— Wiesz, Ficko, że ja nie zarabiam tak świetnie jak ty. Muszę się pokrzepić, a nie mam za co.

— Raz mogłabyś nachleptać się wody — burknął Ficko. Wszakże wyciągnął z zanadrza mieszek i cisnął na podłogę parę denarów.

Erza Kardoszowa chciwie rzuciła się na toczące się monety i zbierała je mamrocząc:

— Nie dajesz z dobrej woli, ale grunt, że dajesz!...

Serce jednak zwyciężyło!

Mikołaj Loszonsky opuścił Jana Kalinę z ciężkim sercem. Uczynił to, co nakazywały mu przysięga i sumienie. Dręczyły go jednak wątpliwości, czy istotnie postąpił słusznie. Czy sumienie, jeśli Jan Kalina zginie, nie będzie go męczyć okrutniej, niż gdyby złamał przysięgę?

Im bardziej oddalał się od lochu, tym większy ból ścisnął mu serce, tym bardziej ciążyły mu nogi i siwa głowa.

Coraz wolniej szedł w górę po schodach, z coraz większym wysiłkiem podnosił nogi i pokonywał stopnie. Chwilami musiał opierać się o ścianę, odpoczywać i zbierać siły do dalszej drogi. Ręka, w której trzymał pochodnię, trzęsła mu się, z przerażeniem stwierdził, że i wzrok go zawodzi i z każdą chwilą ubywa mu sił!

A pochodnia nieubłaganie się wypala!

Boże!

Nie przebył jeszcze nawet połowy drogi, a znużone ciało stawało się jakby z ołowiu. Czy zdoła dojść do swojej izby w wieży, ocalić przyjaciela i nieszczęsną dziewczynę, których tam zamknął?

Strach o trzy ludzkie żywoty zwałił się nań niby olbrzymi głaz. Pod jego ciężarem osunął się na kamienne schody, ręka z pochodnią piasnęła o zimny stopień jak zdrewniała, pochodnia z niej wypadła. Szukał jej po omacku, rozpaczliwie. A znalazłszy chwycił jak tonący słomkę i wyteżywszy wszystkie siły dźwignął się i stanął.

Muszę, muszę, dojść na górę! Rozgorzała w nim niezłomna wola. Lecz ten ulotny płomień nie zdołał na trwałe wzmocnić jego ciała.

Po chwili znów osunął się na schody, pochodnia znowu wypadła mu z ręki. Lecz na próżno po nią sięgał: toczyła się w dół po schodach niby stracona iskierka nadziei.

Otoczyła go ciemność, gęsta jak smoła i ciężka, straszli-

wie ciężka.

Mikołaj Loszonsky daremnie się natężył, nie ma już siły wstać. Lecz woła go dźwiga, nie pozwala na chwilę wytchnienia. Byle dalej, byle wyżej! Nikt nie może zginać przez niego, on nie może mieć niczyjego życia na sumieniu! Na czworakach, z zaciśniętymi zębami pełźnie w nieprzeniknionych ciemnościach, wlecze swoje ciało ze stopnia na stopień.

Jeszcze jeden stopień, jeszcze jeden! — biczuje go woła. A ciemność rzednie. Z góry przez otwarte wejście do lochów wsączają się w ciemność promienie dziennego światła.

Byle dalej, dalej!

Chłód kamiennych schodów przenika go na wskroś, przemarzył do szpiku kości, lecz pełźnie dalej. Już jest przy drzwiach swojej izby, siada, wyciąga rękę do klucza i przekręca go.

Jan Ponicensus podbiegł do drzwi i otworzył.

Mikołaj Loszonsky zwałił się do środka bezwładnie jak trup.

— Co ci się stało, przyjacielu? — Jan Ponicensus z lękiem patrzy na jego blade oblicze i zapadnięte szkliste oczy, dźwiga go na fotel.

Jakże kasztelan się zmienił! Gdy prowadził więźnia do lochu, był mężczyzną w pełni sił, a teraz patrzajcie, dusza ledwo się w nim kołacze.

Marisza zwilża wodą z dzbana białą chustkę i przebiera nią zbrudzone zmarszczkami czoło kasztelana. Pastor przytyka mu do ust kubek wody. Zimny okład i woda otrzeźwiają starca.

W mętnych oczach rozbłyskuje życie, stężale oblicze mięknie, pojawia się na nim rumieniec.

— Przyjacielu, przyjacielu — szepcze, słabiutko ściska-

jąc dłoń pastora, a jego wzrok spoczywa na nim i na dziewczęciu z niewysłowioną czułością. — Przebacz mi, przebaczcie mi, że wystawił was na takie niebezpieczeństwo. Gdybym nie zdołał tu dojść, zemrzelibyście z głodu...

Pastor i dziewczyna uprzytamniają sobie, jaka straszna śmierć im groziła, lecz troska o Kalinę dręczy ich i napętnia znacznie większym niepokojem niż niebezpieczeństwo, które zresztą już minęło.

— Co uczyniłeś z Janem Kaliną? — pyta Ponicensus, a Marisza czeka na odpowiedź równie niecierpliwie jak on.

— Uwięziłem go — odpowiada kasztelan. Ma uczucie, jakby przyznawał się do złoczynstwa.

— i pragniesz jego śmierci? — pyta Jan Ponicensus chłodno.

— Nie! — zawołał Mikołaj Loszonsky. — Nie pragnę jego śmierci, Chcę, by żył. I unosząc się w fotelu wskazał palcem klucz zatknięty za pas: — Przyjacielu, to jest klucz od lochu, weź go!

A gdy Jan Ponicensus uczynił to nie pojmując, o co chodzi, kasztelan dodał:

— Uwolnij Jana Kalinę, uwolnij go!

Śladem uciekinierów

Erza Kardoszowa opuściła gajówkę z rozpromienioną twarzą. Obliczała, ile przepalanki dostanie za zdobyte denary.

— Sknera z tego Ficka! — skrzywiła się, ponieważ w mig ukończyła rachunek. Ale nie można rzec, aby była niezadowolona: na solidne pokrzepienie starczy.

Stojąc na zboczach rozejrzała się za uciekinierami. Wchodzili akurat do lasu, zaraz znikną wśród drzew.

Jej oczy z upodobaniem spoczęły na postaci Magdusi. Pani nie będzie tak skąpa jak Ficko, gdy przyprowadzi jej to urodziwe stworzenie!

Ziemia była wilgotna, na krzakach i suchej trawie lśniła poranna rosa. Podkasała spódnicę, aby jej nie ubrudzić, poczym rażno pomaszzerowała w dół po zboczu.

Gościńcem, koło pieców do wypalania wapna, szedł akurat młodzieniec z tobołkiem na plecach, jak wszystko wskazywało — czeladnik szukający pracy,

— Hej — krzyknęła Erza Kardoszowa na całe gardło.
— Zaczekaj, szuhaju!

Czeladnik przystanął.

— Nie miałbyś chętki na lekki zarobek? — spytała zbliżwszy się do niego.

Widziała, że rad podjąłby się nawet ciężkiej pracy, toteż kazała mu iść do czachtickiego zamku i powiedzieć hajdukowi, aby przyjechali wozem pod Skalny Wierch po Ficka i kapitana pandurów, których spotkało nieszczęście i nie są w stanie utrzymać się na nogach.

Czeladnik ryknął śmiechem, aż się w lesie rozlegało:

— Wiem, jakie nieszczęście ich spotkało, cha, cha, cha! Dobrze im tak! Zrobione. Chociaż idę właśnie z Czachtic, wrócę tam. Jeno kto mi zapłaci za fatygę?

— Ficko, do którego możesz z Czachtic pojechać wozem — odparła śmiejąc się na wypródki z czeladnikiem.

Tylko że jej, w przeciwieństwie do czeladnika, nie pobudzała do śmiechu złośliwa radość z porażki Ficka, lecz wyobrażenie miny tego sknery, gdy czeladnik wyciągnie do niego dłoń.

Czeladnik pogwizdując zawrócił do Czachtic, Erza zaś ruszyła na przełaj przez pole do lasu, tropem gajowego i dziewczyny.

Słońce przypiekało, a ona tak pędziła, że po czole spły-

wały jej grube krople potu. Uradowała się widząc, że w lesie wyrębana jest wąska droga. Odsapnęła z zadowoleniem, gdy w dali między drzewami mignęła czerwona spódnica Magdusi. Ostrożnie szła za nimi. Trzymała się skraju drogi, a kiedy śledzeni się obejrzel, śmignęła za drzewo jak wieiórka.

Magdusia Kalinianka nie mogła pogodzić się z myślą, iż odejdzie tak daleko od matki i brata, za którym przeogromnie się stęskniła. Najchętniej odszukałaby zbójników, by zobaczyć, jak ma się matka, i pocieszyć ją. Toć biedaczka nie wie, co się z nią dzieje, żyje czy umarła, ani brat tego nie wie.

W końcu wszakże, choć z ciężkim sercem, dała się przekonać, iż nie należy wałęsać się po okolicy.

— Jak tylko Ficko znajdzie się w zamku — mówił gajowy — pośle za nami sforę szpiegów, którzy będą węszyć po wszystkich wsiach. Znaleźliby nas. Kto zaś wie, gdzie są zbójnicy, kiedy byśmy na nich trafili. A gdybyśmy nawet trafili, czyż nie mają dość strapień z twoją matką? Słyszeliśmy jak grafka zagroziła czachticzanom, że ściągnie im na kark wojsko. Uczyni to niechybnie, a wtedy zbójnikom zrobi się gorąco, dobrze będą musieli kluczyć, aby wynieść cało skórę.

Nagle Erza Kardoszowa na ścieżce przecinającej drogę leśną, którą się skradała, spostrzegła jakąś dziewczynę.

Była to Barbara Repaszówna, która od tajnego wejścia do podziemi u podnóża kasztelu, gdzie Paweł Lederer zniknął jej z oczu, też szła bezdrożami, by nikogo nie spotkać. Nie wiedziała, gdzie się obróci i co uczyni, aby odzyskać miłość Pawła. Jedno wiedziała na pewno — że nie wróci do Nowego Miasta, już na samą myśl bowiem, że ludzie mylnie by sobie tłumaczyli jej smutek, braliby go za żal po tragicznie zmarłym mężu, chwyciła ją taka złość, iż zapomniała nawet o bólu wzgardzonej miłości. Nie, nie może wrócić do Nowego Miasta. Im uparciej by twierdziła, iż

nienawidziła Marcina Szuby i cieszy się z jego śmierci, z tym większym zastanowieniem ludzie kręciliby nad nią głowami. Nie umieliby sobie wyjaśnić, dlaczego pogrążona jest w smutku, dlaczego z dnia na dzień więdnie, skoro tak ją raduje wdowieństwo.

Nikomu nie mogłaby się przyznać, że jej dumne serce zżera ból nieodwzajemnionej miłości!...

Erza przekonana, iż tropieni i tak jej nie ujdą, zboczyli na ścieżkę. Barbara drgnęła ze zdumienia, kiedy raptem ujrzała ją przed sobą. Erza po drodze podniosła kilka suchych gałęzi — miała już gotowy plan, jak i tę dziewczynę zwerbować na służbę u czachtickiej pani.

Barbara złąkla się, gdy niespodziewanie wyrosła przed nią mówiąc:

— W imię Boga cię proszę, ratuj mnie. Jestem ubogą wdowa z Hruszovego, przyszłam tutaj nazbierać sobie drzewa. Gajowy ma mnie na oku, boję się, że mnie przydybie. Jest niedaleko wraz z córką!

I żałośnie prosiła Barbarę, aby dała baczenie na gajowego, ona zaś obejdzie go tą ścieżką i odniesie uzbierane drzewo gdyż w domu nie ma już ani trzaski.

— Potem wrócę — obiecywała — i zaprowadzę cię do siebie. Widzę bowiem, że jesteś opuszczona. Zostaniesz u mnie, podzielę się z tobą swoją biedą, a jeśli będziesz chciała znaleźć ci dobrą służbę.

Barbara nawet nie zdołała się odezwać, tak wartko płynęły z ust Erzy słowa i wszelkie obietnice. Uradowały one Barbarę, nareszcie bowiem znalazła wyjście, ma się czego uchwycić. Puści w niepamięć, iż jest córką dumnego majstra. Pójdzie do służby, ta dobra kobieta znajdzie jej miejsce, a przy pracy zapomni, wróci do równowagi po strapieniach ostatnich dni. Potem zaś zobaczy, co czynić, jak dostać się w pobliże Pawła Lederera. Pomogła jeszcze Erzy nazbierać drzewa słuchając jej pouczeń, że musi iść kawa-

łek drogi za gajowym i jego córką, aby potem, gdy ona wróci po nią z Hruszowego, nie wpadły mu w łapy. Jeśli gajowy wyjdzie z lasu, ma wymiarkować, w jakim kierunku podąża, potem wrócić tutaj, gdzie się teraz rozstają i czekać na nią.

Barbara obiecała wszystko i Erza odeszła zadowolona, Uginając się pod ciężarem drzewa. W duchu śmiała się, iż tak łącno otumaniała to grupie stworzenie. Była przeświadczona, że choćby wróciła za kilka godzin, dziewczyna będzie tam na nią czekać, a przy tym wyśledzi, dokąd udali się uciekinierzy — o ile przed nocą nie skryją się w lesie.

Spory kawałek od Barbary rzuciła drzewo w gąszcz krzaków i w podkasanej spódnicy wesoło pognąła do Hruszowego. Zadowolona zasiadła w karczmie i piła dokąd starczyło jej pieniędzy. Potem posłała karczemnego pachółka do zamku z poleceniem, aby wieczorem dwaj hajducy przyjechali wozem do Hruszowego i czekali na rozkazy u rychtarza.

Kiedy wróciła do lasu, tam gdzie miała czekać Barbara, nie znalazła żywego ducha.

Wrony na drzewach krakały jakby wyśmiewając się z niej.

Chwilę czekała, myślała bowiem, że Barbara odeszła nieco dalej, aby wyśledzić, dokąd udał się gajowy z córką.

Lecz czekała daremnie.

Zalała ją wściekłość, że dziewczyna, którą uważała za taką prostoduszną, przechytrzyła ją. Uciekła, a w dodatku ostrzegła gajowego i Magdusię.

Rozpalone gorzałką oblicze aż zbrunatniało. Zacisnęła pięści i zgrzytnęła zębami:

— Czekaj, niech no dostanę cię w swoje ręce! A dostanę was wszystkich troje!

9. Złe duchy występują z piekieł

Ujawnienie strasznej prawdy

Czachticzanie już przed południem dowiedzieli się o zniknięciu pani i jej trzech służebnych. Bodajby zniknęły na zawsze w najgłębszych czeluściach piekła!

Hajducy w popłochu biegali po ulicach i każdego, kto im się nawinał, wypytywali, czy nie widział czachtickiej pani Dory, Ilony i Anny. Wprawdzie podejrzewali, że jest w podziemiach — potwierdziła to Katarzyna Benecka, kiedy z bojaźnią przyznała się, iż widziała, jak wchodziły do piwnicy — wszelako wypytywali na wszystkie strony dla spokoju sumienia, że szukali pani gorliwie. Do podziemi żaden nie odważył się wkroczyć. Nie zapomnieli o surowym zakazie. Wejście do podziemi bez wiedzy i zezwolenia Elżbiety Batorówny i bez nadzoru jej najzaufańszych ludzi było w zamku najcięższym przestępstwem. Mieli odstraszający przykład w osobie pewnego hajduka. Wśliznął się raz do piwnicy przez drzwi, które służebne czy też Ficko zapomnieli zamknąć, i wychlipał z beczki trochę wina, przyłapano go wszakże i zaćwiczone na deresz na śmierć. Ile kropli wina wysączył tyle kijów dostał! Któż by się odważył poddać skórę takiemu trzapaniu?

Czachtice były podniecone i chciwie nasłuchiwały wieści z zamku.

— Bodajby ją pospołu z tymi strzygami diabli porwali!
— było to serdeczne życzenie wszystkich czachticzan.

Przed południem zjawił się czeladnik i wśród gromkiego śmiechu zebranych opowiadał przed karczmą, iż przyszedł po hajduków, aby pojechali po Ficka pod Skalny Wierch, albowiem leży w gajówce jak niemowlę.

— A rzeknij hajdukom — śmiał się któryś z mężczyzn — aby wciągnęli rękawice, kiedy go będą taszczyć na wóz, bo mogą mu połamać te kości, które jeszcze ma całe.

— Raczej nie mów zgoła nic — wtrącił inny — Jak po niego nie pojedą może tam skapieje z głodu razem z tym pandurzystkiem! Byle tylko się nie wzmogli i nie uratowali się sami.

Wszystkim trafiło to do przekonania. Czeladnikowi również. Gryzło go jeno, że zbyt wcześnie wrócił i że stracił obiecaną nagrodę.

— My cię wynagrodzimy! — zapewnili go czachticzanie, gdy zwierzył im się ze swego strapienia. Wnet też zebrali między sobą garść denarów, potem zaś zaciągnęli go do karczmy, postawili mu kwartę wina, po niej jeszcze jedną i jak na stypie radośnie opijali śmierć Ficka

Zbliżało się południe. Wokół zamku miło się od ludzi przeświadczonych, iż lada chwila coś się stanie.

Wszelako nic się nie stało.

Jeno goście przyjechali. Beniamin Priborsky z Erżiką w paradnym koczku. Zaskoczył ich panujący na zamku zamęt i wieść o zniknięciu grafki oraz trzech służebnic,

Byli całkiem zbici z pantałyku: wrócić do domu czy zostać?

Zostali. Zajęli izby gościnne.

Erzika obeszła wszystkie komnaty. Przypadkiem zajrzała i do gotowalni. To, co zobaczyła, ścięło jej krew w żyłach, niemal przyprawiło o omdlenie.

Na rozrzuconych czarnych szatach czachtickiej pani le-

żało albo siedziało dwanaście dziewcząt o twarzach stężających w wyrazie bólu, strachu i rozpacz. Leżały tam od rana, pozostawione swemu losowi. Nie odważyły się wstać, udzielić sobie pomocy ani wezwać innych na pomoc. Drżąc z przerażenia czekały, kiedy otworzą się drzwi i zjawi się w nich pani, aby od nowa zacząć się nad nimi zneść.

Drzwi się otworzyły, nie stała w nich wszakże czachtliwa pani, lecz dziewczyna równie młoda jak one i przerażona widokiem, na który bez wątpienia nie była przygotowana. Poznały ją. Czy mogą oczekiwać pomocy od ulubienicy okrutnej pani? A jednak skatowane dziewczęta utkwily w niej wzrok z nieśmiałą nadzieją, że im pomoże. Na jej twarzy nie ma ni śladu gniewu, złości i okrucieństwa, widnieje w niej współczucie, zaś w oczach lśnią łzy.

— Pomocy! — zawołała jedna ze szwaczek, a za nią ozwały się i pozostałe: — Pomocy! Pomocy!

To wołanie brzmi jak rozpaczliwa modlitwa. Wyciągają do Erziki ręce jak człowiek, który tonie.

Erzika pokonuje przerażenie, zbiera myśli. Widzi, że dziewczętami trzeba się zająć. Przez otwarte drzwi woła służebne. Zjawia się jedynie stara praczka, Katarzyna Bennecka. Jest biała jak ściana, a ujrzawszy dziewczęta wybuchła płaczem i lamentem:

— Niebożątka, niebożątka, co z wami uczynili!

— Nie masz serca — łaje ją Erzika. — Dlaczego nie udzieliłaś im pomocy?

— Nie mogłam — usprawiedliwia się Katarzyna — zakazali mi. O, niejednokrotnie opatrywałam skatowane, wygłodniałe biedactwa! Gdybym miała tyle złotych, ile razów zebrałam za to, żem czyniła, co mi serce kazało, nie byłabym skazana na ten gorzki chleb, jaki mam tu w zamku. Wyniosłabym się na skraj świata, aby go nawet z daleka nie oglądać.

— Prędey, prędey! — ponagliła ją Erzika. — Przynieś

wodę i czyste płótna, i zawołaj Majorową. Jest tutaj.

Z oblicza Katarzyny bije radość i ochota, wszelako jeszcze nie odchodzi.

— Szczęśliwam, iż mogę im pomóc — mówi. — Jeno czy mogę wam wierzyć, że mnie nie zdradzicie?

— Robisz wszystko na moją odpowiedzialność. Idźże już — odrzekła Erzika.

Katarzyna uspokojona, że nie poniesie kary za okazanie miłosierdzia, pobiegła po potrzebne rzeczy. Przyproceedziła również Majorową. Stara nie chciała opatrzeć nieszczęsnych dziewcząt, lecz Erzika zmusiła ją do tego groźbami. Rozłożyła w gotowalni leki i maście, obmywała, smarowała i obwiązywała rany dygocząc ze strachu.

Biada jej, gdyby zjawiła się tu Elżbieta Batorówna!

Erzika nie poprzestała na dozorowaniu praczki i zna-chorki. Sama krzątała się wokół dziewcząt, poiła je, karmiła przemawiała do nich tklawie i z głębokim uczuciem, a serce ścisnęło jej się z bólu, gdy patrzyła na te biedactwa, które wzdychając, jęcząc i płacząc skarżyły się:

— Wbiła mi igły pod paznokcie, a gdy je wyciągnęłam, Dora tak mnie wysmagała, że nie mogę usiąść!

— Mnie przecięła skórę między palcami!

— A mnie rozpalonym żelazkiem do fryzowania włosów przyskwarzyła ucho!

Tak żaliły się umęczone dziewczęta. Erzika ze zgroza spojierała na okropne rany szpecące różowe młode ciała. Pobladała, serce biło jej gwałtownie. Był to przerażający widok. Lecz jeszcze straszliwsza była świadomość, iż wszystkie te męki zadała jej matka!

Jej matka!

Naraz Katarzyna krzyknęła przeraźliwie.

Jedna z dziewcząt leżała koło skrzyni, twarzą do ziemi. Katarzyna myśląc, iż dziewczynę z wyczerpania zmorzył sen, obróciła ją na plecy. I w tej samej chwili odskoczyła,

jakby owionęło ją tchnienie zarazy.

— Nie żyje! — zawołała, zawiosłowała w powietrzu skrwawionymi rękami i padła na ziemię bez przytomności.

Wszystkie oczy zwróciły się na umarłą dziewczynę.

Była obnażona do pasa. Czarne włosy spływały na ramiona, wytrzeszczone wielkie czarne oczy nieruchomo wpatrywały się w przerażone twarze. Kilka dziewcząt omdlało.

Dziewczyna miała odciętą pierś. Kurczowo zwierła ją w drobnej rączce.

Krzyk i zamieszanie ściągnęły do gotowalni Beniamina Priborskiego.

Stanął w drzwiach jak wryty i zakrył oczy dłonią.

Majorowa przykryła zwłoki dziewczyny czarnym płaszczem czachtickiej pani, oblała Katarzynę zimną wodą i ocuciła, zemdlone dziewczęta. Erzika stała oparta o skrzyżnię niby marmurowy posąg. Jakby żywot w niej zgasł. Nogi uginały się pod nią, ogarniała ją coraz większa słabość.

Beniamin Priborsky podszedł do niej akurat w chwili, gdy cisnąc ręką serce zachwiała się i byłaby padła jak podcięty kwiat. Pochwycił ją i na poły niosąc wyprowadził z gotowalni.

W komnacie, którą zajmowali, posadził ją w fotelu i uspokajająco głaskał po rękach, twarzy i włosach.

Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Erzika kurczowo uchwyciła się jego ręki, przytuliła głowę do jego piersi i wybuchnęła płaczem.

— Tatusiu, zabierz mnie stąd!

— Ale dokąd, Erziko?

— Wszystko jedno, byle jak najdalej stąd, aby ten straszny obraz zatarł mi się w pamięci, abym zapomniała, że uczyniła to moja matka. O niej też chcę na zawsze zapo-

mnieć.

— A więc wiesz, że jest twoją matką?

— Wiem. Sama mi to rzekła.

Milczała chwilę, gdyż wzbierał w niej jakiś sprzeciw, przestała płakać, lzy obeschły.

— Tyś jest moim ojcem, a Maria Priborska moją matką. Miłowałam was jako rodziców i jako takich będę miłować do śmierci. Chodźmy! Duszę się w murach tego zamku, serce mi tu pęknie.

Beniamin Priborsky był twardym człowiekiem, lecz serce miał miękkie. Wczuwał się w ból wychowawcy, albowiem kochał ją jak rodzoną córkę. Lecz chociaż z największym wysiłkiem przemógł się, by nie zapłakać nad jej cierpieniem, pozostał nieugięty. Nie może zabrać stąd Erziki, nie ma prawa. Zwłaszcza teraz, gdy jej sercem owładnął zbójnik, człek niegodny. Nie zdoła jej ustrzec, wszak miniona noc dowodnie to ukazała, a nie może wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co mogłoby się zdarzyć. Jeśli czachticka pani, dowiedziawszy się o nieszczęsnej nocnej wyprawie, zgodzi się, by odwiózł ją do Wierzbowa i nadal się nią opiekował, będzie najszcześliwszym z ludzi.

— Niestety, nie mogę spełnić twego życzenia.

Erzika spojrzała nań z wyrazem takiej rozpaczki, iż wstrząsnęło to jego sercem.

— Wiem, że nie możesz — rzekła z goryczą. — Twoja miłość ku mnie nie jest tak wielka, by zdołała przemóc strach przed utratą faworów pani.

Milczał. Nie bał się, że popadnie w niełaskę u czachtickiej pani i wszystko straci. Przezornie zabezpieczył swoje szlachectwo i majątek na wypadek, gdyby Batorówna chciała go kiedyś pozbawić jednego i drugiego.

Bał się jedynie o los Erziki i nie chciał sam ponosić zań odpowiedzialność. Zna swoją wychowanicę, zaś dzisiejsze zdarzenie we dworze Wierzbowskim przeświadczyło go, iż

zapałała do zbójnika namiętną miłością. Jaki koniec może przybrać ta miłość? Nie, on nie chce jej zła, nie chce jej zguby, niechaj nad jej szczęściem pomoże mu czuwać jej matka...

Podeszła do niego, ujęła za ramiona, popadła mu w oczy przenikliwie, jakby czytała na dnie jego duszy, lecz w tym badawczym spojrzeniu była również czułość i oddanie dziecięcej miłości.

— Tatusiu, odpuść mi, zem cię obwiniała o strach i tchórzostwo. Czuję, że mnie kochasz, Dlatego otworzę przed tobą serce i ufam, że pojmiesz, jaki zamęt panuje w mej duszy i jaki ból ją żera. Kiedy się dowiedziałam, że we dworze Wierzbowskim jestem obca, że moja matka jest dostojną panią, pod której dachem nie śmiem przebywać, gdyż wszyscy dowiedzieliby się o jej upadku — był to dla mnie druzgocący cios. Kto jest moim ojcem, tego nawet matka nie wie, mnie zaś prześladowa uczucie, iż jestem istotą, która nie powinna była przyjść na świat. Byłam szczęśliwa, póki wierzyłam, że moimi rodzicami są Priborscy. Byłam z wami szczęśliwa nawet w poddańczej chałupie, szczęśliwsza niżli teraz, kiedy wiem, iż moim ojcem jest nieznany człowiek, matką zaś dostojna pani, która dopiero teraz się do mnie przyznała i jeno tajnie okazuje mi swą matczyną miłość. Zapałaby się swego macierzyństwa nawet przed najnędniejszym sługą. Godziłam się z tą poniżającą świadomością, wzywałam się w położenie matki, usprawiedliwiałam ją. I miłowałam ją jakąś bolesną miłością, tęskniłam do niej lękliwie.

Po chwili milczenia podjęła jeszcze żywiej:

— Już od dawna słyszałam o okrucieństwach Elżbiety Batorówny. Przede mną wszakże zawsze jawiła się jako poważna, dobrotliwa, aczkolwiek często i surowa pani, niezdolna dopuścić się krzywdy, zaś wszystko, co się o niej mówiło, uważałam za obmowę, za wymysły złych ludzi.

Lecz dzisiaj, tatusiu, widok tych skatowanych dziewcząt w gotowni przeświadczył mnie, iż opowieści o jej okrucieństwach nie były kłamstwem... Czuję, że gdybym żyła jeszcze sto lat to straszliwe wspomnienie zawsze przyprawi mnie o drżączkę. I niewymownie boli mnie i smuci, że zdolna jest do takie go nieludzkiego okrucieństwa.. Wyjedźmy, tatusiu, wyjedźmy stąd, wyjedźmy jak najrychlej! Boję się spotkania z Elżbietą Batorówną. Paliłyby mnie jej pocałunki i umarłabym w jej objęciach... Ona zaparła się mnie przed światem, ja zaprę się jej w swym sercu. Nie jest dla mnie matką. Jedźmy, tatusiu, jedźmy — i ciągnęła go za rękę.

— Zaczekaj, Erziko — odrzekł wzruszony i ułagodzony — Rad cię zabiorę, lecz musisz, mi coś obiecać!

— Nie ma na świecie rzeczy, której bym nie uczyniła obiecawszy uczynić.

— A więc, Erziko — powiedział z wahaniem — obiecaj mi, że wyrzucisz ze swego serca Andrzeja Drozda, przestaniesz o nim myśleć, a jeśli przypadkiem go spotkasz, mienisz obojętnie jak obcego.

Twarz jej zapłonęła, oczy rozgorzały:

— Serce możesz mi wydrzeć z piersi, nie ma wszakże na świecie siły, która wydarłaby zeń moją miłość!... Tego jednego nie mogę ci obiecać, gdyż byłaby to czcza obietnica!

— Zostaniemy przeto! — rzekł Beniamin Priborsky już surowo i chłodno. Jej ponowny wybuch miłości do zbójnika wzbudził w nim okrutny sprzeciw.

— Ty sobie zostań! Ja nie zostanę! — i pobiegła do drzwi. Na podwórku stoi osiodłany Wicher, dosiądzie go i ucieknie do Andrzeja Drozda! On ją przygarnie, nie opuści i otoczy opieką.

Nim wszakże zdążyła dotknąć klamki, Beniamin Priborsky znalazł się przy niej i odciągnął od drzwi.

— Ani kroku, tu zostaniesz! — powiedział, wyszedł

z izby, zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je na klucz.

Opuszczał wychowanicę z ciężkim sercem. Przez osiemnaście lat nie miał z nią tyle strapiień, co dzisiaj przez jeden dzień. Zawsze był dla niej wyrozumiały, nigdy nie pokarał jej choćby ostrzejszym słowem. A dziś musiał grubiańsko odepchnąć ją od drzwi i zamknąć. Zawsze robił wszystko po jej woli, zaś dzisiaj nie był w stanie spełnić jedyne go życzenia.

W zamku panował już ruch.

Do gotowalni zbiegły się służebne. Załamując ręce i lamentując odnosiły ciężko pokaleczone towarzyszki do czeladni, układały jej na posłaniach i truchlały, że czachticka pani przyłapie je na tym.

Beniamin Priborsky wyszedł na dziedziniec.

Roilo się tam od poddanych, zaś przed zamkiem stały już zastępy czachticzian. Starzy chłopci z szacunkiem pozdrawiali Priborskiego, lecz patrzyli na niego koso. Nic dziwnego! Przed laty pospołu harowali na pańskim, jeszcze pamiętają, jak wił się na deresz, kiedy hajduk wrzepiał mu dwadzieścia pięć kijów. A teraz wysoko nosi głowę. Z poddańcami wdaje się w dyskurs niechętnie i jedynie w nieuniknionym wypadku.

Poddani i czachticzanie przed zamkiem wykrzyknęli, kiedy na podwórku ukazali się cieśla i czeladnik niosąc zbitą z desek trumnę, bielejącą w promieniach słońca. Nie wiedzieli, co wydarzyło się w gotowalni, nie mieli pojęcia, iż leżą tam, przykryte czarnym płaszczem pani, zwłoki nieszczęsnej dziewczyny. Mało oczu nie wypatrzyli; naliczyli aż jednaście dziewcząt, które przeniesiono z zamku do czeladni.

Paweł Lederer wrócił już do zamku i teraz patrząc w zamysleniu na trumnę postanowił wybadać, która nieszczęsniczka będzie w niej spać snem wiecznym. Na razie jednak nie mógł się tym zająć. Wlepił wzrok w zegar słonecz-

ny na narożniku zamku. Wskazywał już południe, lecz dzwony jeszcze się nie rozdzwoniły. Spojrzał na kasztel, czy z komina nie bucha kłęb dymu.

Dzwony ozwały się wreszcie.

Uroczyście i radośnie rozbrzmiały w przedwiosennym powietrzu. Wszystkie głowy obnażyły się, wokół zamku zaległa cisza.

Paweł Lederer czekał w napięciu.

Choć też nabożnie skłonił głowę w modlitwie, wzrok miał skierowany na Draplak i wznoszący się na jego szczycie kasztel.

Dzwony jeszcze nie umilkły, gdy oblicze pojaśniało mu z radości,

Z kasztelu wzbił się ku niebu słup dymu.

W tej właśnie chwili upuścił karczmę niezłe podochocony czeladnik. Mężczyźni, którzy tak szczodrze go ugościli, wyszli za nim na ulicę, aby się przeświadczyć, czy nie zboczy do zamku i nie przekaze polecenia Erzy Kardoszowej. Lecz były to płonne obawy. Czeladnik, wesoło pogwizdując, nie obejrzawszy się nawet ruszył ku Nowemu Miastu.

Tymczasem zamknięta w komnacie gościnnej Erzika siedziała w fotelu pogrążona w apatii.

Życie i pragnienie życia podtrzymywało w niej li tylko postanowienie, iż przy najbliższej sposobności ucieknie do Drozda...

Pocałunek ohydnych ust

— Kara Boża nas dosięgła, kara Boża! — zawołała Anna po długich godzinach oczekiwania na śmierć.

W duszach Ilony, Dory i Elżbiety Batorówny jej okrzyk wzbudził zabobonny strach.

Przygotowywały się już na śmierć i okrzyk ten jakby wydarł się z głębi ich sumień.

Świadomość, iż dosięgła je kara Boża, wstrząsnęła nimi i jeszcze spotęgowała ich mękę.

Wyzute z sił, z wpadniętymi oczami, śmiertelnie blade, morzone głodem i pragnieniem, leżały na kobiercu, zaś żelazna panna uśmiechała się do nich złośliwie z kąta katowni.

— Nie chcę jej widzieć! — zawołała pani.

Służki poruszyły się, aby spełnić jej rozkaz.

Z wysiłkiem dźwignęły się na nogi, dowlokły do żelaznej panny, oparły się o nią i zwały na ziemię,

Żelazna panna upadła z ogłuszającym łoskotem. W jej wnętrzu zazgrzytało, rozbrzęczała się mordercza maszyna, ramiona śmignęły w powietrze, a z piersi wysunęły się noże.

Przebrzmiał odgłos upadku żelaznej panny. A skazane na głodową śmierć niewiasty wrzasnęły, jakby je objęło lodowate ramię kościotrupa.

Katownia pogrążyła się w głębokich, nieprzeniknionych ciemnościach.

Ostatnia pochodnia zgasła.

Straszne jest powolne konanie w gęstej ciemności i grobowej ciszy. Co jakiś czas to ta, to inna z kobiet zaczynała krzyczeć, jakby je dusiła zmora. Mijała godzina za godziną. Nie wiedziały, czy jest dzień, czy noc, jeno czuły coraz większe męki głodu i pragnienia w ciemności odzywały się ich jęki i okrzyki, wsiąkały w kobierce na ścianach i ginęły w nich bez echa. Wyczerpane kobiety leżały i czekały, kiedy wybije ich ostatnia godzina.

Naraz posłyszały w korytarzu głuchy tupot.

Jakby ktoś nadchodził.

Podkscytowane wyteżyły słuch. Znowu rozbłysła

iskierka nadziei. Lecz już nie miały odwagi wierzyć, że to naprawdę przychodzi wybawienie. Drżały z obawy, czy tupot zbliżających się kroków nie jest jeno płodem ich wyobraźni. Dały upust radości dopiero, gdy klucz zazgrzytał w zamku, drzwi otworzyły się i blask migoczącej wesoło pochodni rozjaśnił katownię.

Świadomość, że są ocalone, że z progu śmierci powracają do życia, wlała w nie tyle sił, iż zerwały się z ziemi i z radosnym krzykiem biegły na wypródki do swego wybawcy, aby go dotknąć i przekonać się, że jest istotą z krwi i kości, że nie wyczarowała go ich fantazja.

W drzwiach, uśmiechając się szeroko, stał Ficko...

Jedną rękę miał na temblaku z czarnej chustki, zaś w drugiej trzymał pochodnię.

Oczy i sterzące rude włosy zarzyły mu się płomieniscie.

W owej chwili przepełniało go uczucie bezmiernego szczęścia. Zdawał sobie sprawę, iż wyrwał panią i jej służebne z pazurów niechybnej śmierci. Pojmowały to również przywrócone życiu kobiety, a ich stwardniałe, złe serca tajały z wdzięczności.

Anna, Ilona i Dora tak go obejmowały i całowały, że rozpaczliwie wymachiwał pochodnią w ubawie, aby się nie poparzyły.

Pani w milczeniu obserwowała wybuch wdzięczności swych służebnych, zaś na Ficka patrzyła tak, że serce mu się roztapiało, pierś rozpierało wzruszenie. Zdało mu się, iż spojrzenie pani przeradza go; krzywe gnaty prostują się, krótsza noga się wydłuża, garb znika z pleców, a karłowata postać wyrasta w śmigłą, kształtną i męzną.

Takim wzrokiem nigdy jeszcze pani na niego nie patrzyła. Z oczu jej promieniała bezdenne wdzięczność.

Lecz nagle wzdrygnął się. Ręka zaboląła go nieznośnie. Zatoczył się i zaciskając zęby oparł się o futrynę.

Przemagając słabość i ból rzekł ze skruchą:

— Proszę o przebaczenie, miłościwa pani, iż niezdolny jestem rzucić się na kolana i tak błagać o odpuszczenie, że przegrał potyczkę ze zbójnikami i żem wcześniej nie przybył wyzwolić was z tego więzienia. Jestem ranny i wyczerpany do cna.

Jak Ficko znalazł się w podziemiach? Odpoczął leżąc cały dzieli w gajówce i wzmocnił się na tyle, że wstał z posłania, zszedł po zboczu i siadłszy na przydrożnym kamieniu czekał na jakiś przejeżdżający wóz. Miał szczęście. Po chwili nadjechał furman, który wracał z Nowego Miasta, i zgodził się zabrać go razem z kapitanem do Czachtic. Pobiegł do chaty gajowego po kapitana, wsadził go oraz Ficka na wóz i niebawem gnali do Czachtic.

Dojechali do miasta już o zmierzchu. Całe Czachtice były na nogach, ludzie w podnieceniu krążyli po ulicach, Ficko od jakiegoś zabłąkanego tu hajduka dowiedział się o przyczynie tego poruszenia. Kiedy posłyszał, że pani przepadła, i to w podziemiach, w pierwszej chwili przejął go zabobonny strach, zaraz jednak rozkazał furmanowi podciąć konie.

Postanowił odnaleźć panią jak najrychlej.

Również wokół zamku i na podwórku było pełno ludzi.

Ficko rozegrał ich wściekłym krzykiem, po czym wszedł do swojej izdebki, zdjął ze ściany klucze i już po chwili włókł się do piwnicy.

W drodze do katowni kilkakrotnie opadała go taka słabość, że musiał opierać się o zimny mur i zbierać siły. I podczas gdy na górze rozpędzeni gapie znowu się zbiegali i wyczekiwali na powrót Ficka, odległość między nim a katownią z wolna, lecz nieustannie zmniejszała się.

Wdzięczność Anny, Ilony i Dory nie była dla Ficka wystarczającą nagrodą. Na nich niewiele mu zależało. Myślał przede wszystkim o ocaleniu pani. Niepoślednią pobudką

jego poczynań było wyrachowanie. Kalkulował sobie, że uśmierzy tym jej gniew, ujdzie kary za poniesioną porażkę i naprawi niepocholebne mniemanie, jakiego z pewnością o nim nabrała po jego ostatnich niepowodzeniach. Wszelako nie tylko wyrachowanie nim powodowało, lecz także jakiś przemożny nakaz posłuszeństwa, w którym wychowywano go w zamku od najwcześniejszych lat. Musi panią ocalić, choćby miał przypłacić to życiem!

— Nie usprawiedliwiał się, Ficko ozwała się Elżbieta Batorówna ze wzruszeniem. Miałam cię ukarać, albowiem nie posiadałam się z gniewu, że już nawet na tobie i twojej zmyślności i sile nie mogę polegać, skoro zbójnicy w krótkim czasie dwa razy cię przechytrzyli. Ale wszystko naprawiłeś. Zamknięte tutaj, już pożegnałyśmy się z życiem, znikąd nie oczekiwałyśmy pomocy. Tyś nas ocalił, kiedy jedną nogą byłyśmy już na tamym świecie.

Ficko słuchał słów pani jak czarownicy muzyki. Takiego uznania nikt mu dotychczas nie wyraził. Elżbieta Batorówna miała dlań jeno lakoniczne zdania i rozkazy, które trzeba było błyskawicznie wykonać. A okraszała je prześmiechami i wzgardą.

Aż mu się w głowie zakręciło ze szczęścia, gdy pani dołą:

— Dziękuję ci, Ficko, a wdzięczność swoją okażę ci natychmiast!

Z napięciem zastanawiał się w jaki sposób zamierza to uczynić, skoro nie ma tutaj żadnych skarbów ani pieniędzy, z jeszcze większym wszakże napięciem zastanawiała się nad tym staruchy, z których wdzięczność i upojenie już wyparowały. Już się w nich budziła gniewna zazdrość. Gryzło je, że Ficko tak się wzniósł w oczach pani. Kiedy wyobraziły sobie, jak teraz będzie spozierał na nie z wysoka i jak zaćmi je przed panią, krew w nich zawrzała.

Pani wyciągnęła ku niemu swą białą rękę.

— Podejdz, Ficko, pozwalam ci ucałować mą rękę!

Stare służebneomal nie krzyknęły ze zdumienia.

Nigdy jeszcze nie wyróżniła w ten sposób nikogo ze służby. Jej śnieżnobiałej dłoni nie dotknęły dotychczas wargi żadnego ze sług ni poddanych,

Przed Fickiem świat się zakotłosał, gdy spojrzal na wyciągniętą ku sobie białą rękę. Zbliżał się do pani jak oamiony z wahaniem, nie mogąc uwierzyć, aby dumna i pełna pychy Elżbieta Batorówna pozwoliła ucałować swą rękę właśnie jemu, przez wszystkich wyśmiewanemu i znienawidzonemu słudze. Zakiełkowało w nim podejrzenie, czy aby nie igra z nim tylko, czy słowa wdzięczności nie były jeno komedią i czy ręka, która tu przed nim bieleje, nie wzniesie się do uderzenia, gdy będzie chciał jej dotknąć

Ale wnet okazało się, że podejrzenie to było bezzasadne.

Ficko ujął rękę pani ostrożnie, jakby ujmował rozpalone żelazo, i dotknął jej wargami. A biała ręka nie uderzyła go ani nie wyszarpnęła się ze wstrętem, przeciwnie — spoczęła w jego nieforemnej dłoni jak bezwładny łup. Ficko całował ją znowu i znowu. A potem, kiedy wysliznęła się z jego dłoni i stał oszołomiony, dotknęła jego sterczących, szczeciniastych rudych włosów i pogłaskała je.

Oblało go takie gorąco, iż miał wrażenie, że cały płonie.

Tysiące przepelniających go myśli i uczuć szukało ujścia, lecz był tak poruszony, że nie mógł wyrzec ani słowa. Chciał powiedzieć, iż dotychczas niczyja ręka nie wysunęła się ku niemu do pocałunku, zaś każda, po którą sam sięgał, cofała się z odrazą. Chciał powiedzieć, że dotychczas nikt nie pogłaskał go po głowie. Nawet matka, albowiem nie wie, kto dał mu żywot. I chciał się przyznać, że zamierzał zdradzić swoją panią. Zamyślał wykopać uciulany skarb i uciec, nie służyć czachtickiej pani. Chciał prosić, aby mu odpuściła popełnioną w duchu zdradę, i ślubować, iż będzie jej najwierniejszym sługą, gotowym w każdej chwili poło-

żyć za nią życie.

Lecz daremnie szukał słów.

Splaszczona pierś wzdymała mu się ze wzruszenia, serce trzepotało, jakby chciało ulecieć, gardło zaciskało. Gdyby był sam, rzuciłby się na kobierzec i rozplakał jak dziecko. Ale, że otaczały go niewiasty, przemógł wzruszenie, zaciął zęby i zacisnął pięści.

Miotany burzą uczuć stał przed czachticką panią nieruchomo jak posąg. Lecz z małych oczek, zawsze ziejących jeno złością, płynęły strumieniem łzy.

— Dziękuję, miłościwa pani! — mamrotał.

Chwilę później korytarzami wiodącymi z katowni włókł się znużony orszak. Elżbieta Batorówna, Ficko i służebne szli noga za nogą, opierając się o mur. Najbardziej rześka była Dora, która całkiem już otrząsnęła się z odrętwienia, w jakie wprawił ją strach, przed śmiercią. Kroczyła na czele pochodu. Kiedy dobrnęli do beczek z winem, natoczyła wina do dzbana, poczęstowała panią, towarzyszki i Ficką, a w końcu sama pokrzepiła się kilkoma solidnymi męskimi łykami.

Wino wszystkich orzeźwiło niczym napój czarodziejski.

Gdy wychodzili z piwnicy, pod działaniem wina zdołali ukryć ślady zmęczenia i przeżytych mąk.

Była już noc.

Na podwórku, skąpo oświetlonym jedynie poblaskiem z okien zamku, tłoczyli się gapie. Utkwili zawiedziony wzrok w wychodzącym z piwnicy orszaku. Nie na to czekali, nie tego pragnęli...

Czachticką panią, Ficka i staruchy rozsierdził widok tłumu.

— Ha, czekaliście tu niecierpliwie na wieść o mojej śmierci, podła hołoto?! — rozkrzyczała się Elżbieta Batorówna. — Wprzód cały Czachtice zdechną, nim doczekają się mojej śmierci!

A gdy tłum nie ruszał się, jeno w milczeniu patrzył na nią, złapała jeden z drągów opartych o mur koło wejścia do piwnicy i rozwścieczona rzuciła się między ludzi. Staruchy i Ficko poszli za jej przykładem, łoil drągami pierzchających na oślep czachticzan. Po chwili dziedziniec był pusty, brama zamknięta.

Elżbiety Batorówny nic już więcej nie obchodziło, udała się wprost do sypialni. Tam również kazała przynieść sobie posiłek.

— a wy — poleciła Fickowi, Dorze, Ilonie i Annie — czekajcie na wezwanie. Poczyńcie przygotowania do drogi, abym jak najrychlej mogła wybrać się do Preszpor-ka. Jeszcze dzisiaj chcę się z wami naradzić, co czynić podczas mojej nieobecności!

Schwytani

Gdy gajowy z Magdusią oraz Barbara, która miała ich śledzić, zniknęli bez śladu, rozzłoszczona Erza Kardoszowa pośpieszyła z powrotem do Hruszovego. Ale nie tylko po to, by zalać gniew gorzałką.

Chodziła od domu do domu, zatrzymywała każdego, kogo spotkała, i pytała ze łzami w oczach:

— Dobrzy ludzie, nieszczęsna ze mnie niewiasta, z mężem i dwiema córkami wybrałam się w świat za chlebem. W lesie rozbiegliśmy się pierzchając przed zbójnikami i pogubiliśmy się. Nie widzieliście mojego męża i córek?

Na jej pytanie każdy kręcił przecząco głową.

Obszedłszy całe Hruszove wstąpiła do karczmy, golnęła sobie, rzekła karczmarzowi, aby hajduków, gdy przyjadą wozem, posłał do Lubini, i ruszyła w dalszą drogę.

Szła do Lubini.

Była pewna, że w Hruszovym uciekinierów nie znajdzie. Gdyby się tam ukryli, hruszowianie, którym przedstawiała się, jako nieszczęsna istota, wskazałoby ich. Może poszli do Starej Tury? Tamtejsi poddańcy często chodzili do roboty do Czachtic, a grafka trzyma w Starej Turze sześciu hajduków. Wprawdzie czterech z nich wezwano do Czachtic w związku z obławą na zbójników, ale dwaj tam zostali. Jeżeli ktoś im szepnie, że we wsi skrywa się zbiegły gajowy oraz poddana czachtickiej pani i jakaś obca, podejrzana dziewczyna, ujmą ich natychmiast. Wątpliwe, by udali się do Wadowie albo do Wiśniewa. Tam byłoby zbyt blisko czachtickiej pani. Mogli uciec jedynie do Bzinców albo do Lubini. Erza zdecydowała się pójść najprzód do Lubini. Jeżeli i tam ich nie wywęszy, dość będzie miała czasu, by zajrzeć do Bzinców.

Do Lubini doszła spocona, tak ją rozpałała gorzałka hruszowskiego karczmarza.

— Dobrzy ludzie, nieszczęsna ze mnie niewiasta... — i tutaj zatrzymywała ludzi tymi słowami, po czym ze smutną twarzą recytowała wymyśloną w Hruszovym bajeczkę. Lecz tutaj ludzie na jej pytanie nie kręcili przecząco głową.

— Nieszczęsna istota — rzekł pierwszy z napotkanych, starszy mężczyzna — masz szczęście w nieszczęściu! Mąż twój i córki są w Lubini. Widziałem, jak prosząc o przytulisko weszli do pasterni, i zapewne użyczono im go, nie widziałem bowiem, aby stamtąd wychodzili.

Jeszcze kilka osób potwierdziło, że uciekinierzy są w lubińskiej pasterni.

Zadowolona rozsiadła się w kącie karczmy i popijała sobie, a gdy zapadł wieczór, jęła nastawiać uszu, czy po ulicy nie turkocze lekki wóz czachtickich hajduków.

Wreszcie hajducy przyjechali.

— Idźcie prosto do rychtarza — powiedziała im — i kaźcie mu wezwać troje uciekinierów, którzy ukrywają

się w pasterni.

Hajducy poszli do rychtarza, a Erza do pasterni, obawiała się bowiem, że uciekinierzy mogliby coś zwietrzyć i drapnąć.

Po chwili w pasterni zjawił się pacholek rychtarza.

— Rychtarz przykazuje — oznajmił zdziwionemu pasterzowi abyście natychmiast przyszedli razem z tym człkiem i niewiastami, coście ich przyjęli na nocleg.

— Czego pan rychtarz chce ode mnie? — spytał zalekziony pasterz.

— Nie wiem — odparł pacholek.

Czyżby dopuścił się przestępstwa przyjmując pod dach biednych wędrowców? Pasterza ogarnęło złe przeczucie.

Lecz rozkaz jest rozkazem, rychtarz pierwszym, zaś pasterz najpośledniejszym człkiem we wsi.

Pasterz otworzył drzwi komory. Gajowy z Magdusią i Barbarą, którzy słyszeli rozmowę z posłańcem rychtarza, wyszli zaniepokojeni. Czuli, że zainteresowanie rychtarza nie wróży im nic dobrego.

Jakim wszakże sposobem Barbara znalazła się w kompanii z gajowym i Magdusią? W lesie zgodnie z pouczeniami Erzy śledziła gajowego i jego córkę. Kiedy odważyła się podejść bliżej, ku swemu ogromnemu zdumieniu w gajowym, którego uboga niewiasta tak się bała, poznała ojca Pawła. Jana Lederera. Wnet też wdała się w rozmowę, a dowiedziawszy się, kim jest Erza, bez wahania przyłączyła się do starego Lederera i Magdusi. Wprawdzie nie musi przed nikim uciekać tak jak oni, lecz uspokajała ją świadomość, iż będzie z ojcem Pawła. Pójdzie z nim, gdziekolwiek by szedł. Syn kiedyś ma pewno ojca odszuka, a wraz z nim znajdzie ją. Ukłuło ją w sercu, gdy starzec na wzmiankę o synu spochmurniał. Broniła go żarliwie przed ojcowskim potępieniem.

— Nie, nie, Paweł nie może być zdrajcą! — powtarzała z uporem.

Lecz kiedy Magdusia, ośmielona jej przykładem, również wzięła go w obronę, demon zazdrości podszeptał Barbarze bezsensowne podejrzenie. Łacno mogłaby je rozproszyc kilkoma pytaniami, ale nie miała odwagi ich zadać. Czy to nie Magdusia jest przyczyną zatwardziałości Pawła?

I od tej chwili tak nienawidziła Magdusi Kalinianki, iż z największym trudem zdołała utaić tę nienawiść.

Jan Lederer posepnie kroczył wraz z Magdusią i Barbarą za pacholkiem i pasterzem. Nurtowała go obawa, która się potwierdziła, gdy otworła się przed nimi brama obejścia rychtarza.

Za bramą ujrzeli czachtickich hajduków, do których z ukrycia podbiegła Erza.

— Hajducy, spełnijcie rozkaz czachtickiej pani! — krzyknęła. — Zwiążcie uciekinierów! A wy, panie rychtarzu, żebyście wiedzieli: w waszej wsi znalazła schronienie trójka złodziei. Ten stary to gajowy Jan Lederer. Z oblicza wygląda na uczciwego człeka, lecz w jego sercu gnieździ się jeno fałsz i kłamstwo. Miał strzec majątku pani, której służył, on zaś rozkradał go. Kiedy się to wydało, uciekł, a wraz z nim poddana Magdusia Kalinianka i jej przyjaciółka, ta tutaj, nie pomnę, jak się zowie. Będąc na służbie w zamku czachtickim też miała długie i przylepne ręce, toteż wołała uciec, aby po nich nie dostać.

— Nigdy nie byłam niczyją służką! — zawołała Barbara dotknięta w swej dumie. — Jestem Barbara Repaszówna, wdowa po majstrze Szubie z Nowego Miasta. Nie dopuściłam się niczego, co by zasługiwało na karę, przeto nikt nie ma prawa mnie tknąć.

— Hi, hi, hi — zachichotała Erza — język dobrze jej wystrzygli, jeno zapomnieli rozumem obdarzyć. Ładna mi córka nowomiejskiego majstra i wdowa po majstrze, która

jak żebraczka idzie wyprosić kawałek chleba i nocleg do pasterni! A wy — wskazała na Jana Lederera i Magdusię — może powiecie, że jesteście księciem i księżniczką, którzy podróżują przebrani za włóczęgów, hi, hi, hi!

Hajducy związali ich i jęli ciągnąć do wozu. Daremnie się opierali. Hajducy tym zacieklej szarpali ich i popychali.

Erza umyślnie zastawiła tę pułapkę na podwórku władzy gminnej, gdyż obawiała się, aby lubinianie nie wyswobodzili jeńców. Przed obejściem rycharza zbiegło się już pół wsi, a oburzone mamrotanie odradzało, że ludzie nie wierzą oskarżeniom Erzy. Ba, jeden z wieśniaków nawet zawołał, iż zna Barbarę Repaszównę Erza uznała za wskazane zniknąć co rychlej, toteż poleciła hajdukowi wsiadać na wóz i wpakowała się między nich.

Powozący hajduk zaciął konie i wóz, przed którym tłum uskakiwał z drogi, pędem wyjechał z Lubini.

Podczas kiedy w tyle wozu Jan Lederer, Magdusia i Barbara truchleli przed czekającym ich losem, rozradowana Erza omal nie wyskoczyła ze skóry.

— Cymbały — powtarzała w kółko hajdukowi waląc ich w plecy — powinniście jać się innego rzemiosła, dać spokój hajdukowaniu. Co z tego macie? Hi, hi, hi! Wyście złapali tego starucha i te ladacznice, wy ich wieziecie, a komu za to zapłacą? Mnie, mnie, i to szczerze!...

Narada

Gdy Elżbieta Batorówna wszedłszy do sypialni spojrzała przelotnie w zwierciadło, przeraziła się swego wyglądu.

Wydarzenia ostatnich dni i okropne godziny udręki i strachu, przeżyte w podziemiach, wyryły swe ślady. Twarz miała popielatą, pod wpadniętymi oczami sine kręgi, spoj-

rzenie zgaszone.

Nie zdążyła jednak przyjrzeć się sobie dokładniej, głód zagnał ją do półmisków z jadłem.

Anna, Dora, Ilona i Ficko jeszcze nie najedli się do syta, gdy wezwała ich do siebie do sypialni, co było niemałym wyróżnieniem. A kiedy z wielkodusznym gestem pozwoliła im usiąść, omal się nie roztopili z przejęcia, iż spotkał ich taki zaszczyt.

— Sługi moje najwierniejsze — zaczęła uroczyście — zwołałam was, aby się z wami naradzić i postanowić, jak się bronić przed czachticką hałastrą, która z dnia na dzień staje się zuchwalsza. Nic sobie nie robią z zamku, najchętniej by go podpalili, zrównali z ziemią, abyśmy i my, jego mieszkańcy, obrócili się w popiół w jego gruzach. Chcę również rozważyć z wami sposoby walki ze zbójnikami, których czelność przekracza już wszelkie granice. Spójrzmy prawdzie w oczy: w ostatnim czasie niejednokrotnie dowiedli, iż nie można ich lekceważyć. Są bardziej niebezpieczni niż całe Czachtice razem wzięte.

Raptem umilkła, zaciskając zęby, a po chwili wrzasnęła:

— Majorowa!

Zabolała ją rana, którą zadał jej zbójnik Wawrzek. Kłucie, które czuła już w podziemiach, przechodziło w coraz gwałtowniejszy ból. Na jej krzyk wsunęła do sypialni czubek nosa Katarzyna Benecka, która czuwała w sąsiedniej izbie czekając na rozkazy. Duchem pobiegła po Majorową i przywiodła do pani.

— Oszustko! — zakrzyczała grafka jak zawsze, kiedy jej leki nie sprawiły cudu. — Zapewniałaś, że rana nie będzie mi już dolegać. A tymczasem boli, okropnie boli.

— Miłościwa pani — broniła się pokornie Majorowa — nic nie jest wieczne, także działanie mego leku.

Ból ustał, ledwo Majorowa powtórnie nasmarowała i obwiązała ranę Pani oddaliła ją, uspokojona,

— Sługi wierne — podjęła — moja rana jest naocznym dowodem, jak daleko to zaszło! Podły złoczyńca ośmielił się wypalić piętno na nodze Elżbiety Batorówny! A jutro być może poważy się zacisnąć łapy na jej szyi i szyjach od-danych sług.

— Na mojej już zacisnął! — wyrwało się Fickowi, którego na wspomnienie palców Andrzeja Drozda żółć zalała, tak, że ośmielił się wpaść pani w słowo.

Grafka roześmiała się:

— Widzi mi się, Ficko, iż zbójnicy tak się w tobie roz-miłowali, że dają ci pierwszeństwo przede mną. Mam wra-żenie, iż ciebie chętniej by wysłali na tamten świat niż mnie!

— Trochę na to poczekają — rozsierdził się Ficko. — Ja już nie wpadnę im w łapy!

— Ja również bym sobie tego życzyła — rzekła grafka już poważnie — i nie radzę ci raz jeszcze dać się zbójni-kom potraktować jak niemowlę, albowiem ośmieszając sie-bie ośmieszasz i mnie. To samo dotyczy was — zwróciła się do Dory, Ilony i Anny. Możecie zginać w boju z tą nie-nawidzącą nas gawiedzią, biada wam wszakże, jeśli ponie-siecie porażkę.

Nie potrzebowała im tego mówić. Ficko na skutek do-znanych ostatnio niepowodzeń utracił sławę niepokonane-go, a ściągnął na siebie taką lawinę kpin, że połowa by wy-starczyła, aby każda kropla krwi burzyła się w nim i wołała o pomstę.

Elżbieta Batorówna ze swymi najwierniejszymi sługami jęła teraz rozważać położenie, w którym się znalazła, i oma-wiać plany na najbliższą przyszłość. Uskuteczni wreszcie to, co już dawno zamyślała: porachuje się z wrogami, ocali urodę i świeżość swego ciała, zatrzyma nieubłagany bieg lat!

Jakby złe duchy wystąpiły z piekła i wtargnęły do sy-

pialni czachtickiej pani, pięcioro ludzi świadomie i podświadomie, niczym za podszeptem szatana, zachęcało się nawzajem do złoczynstw.

— Jutro udam się do Preszporka — mówiła pani — i zażadam posłuchania u palatyna Jerzego Thurzo. Powiadomię go, jakie rebelianckie nastroje tu panują, i ściągnę czachticzanom na kark wojsko, które będą musieli żywić. Powściągnę im cugli i tak poskromię, że przyjdą prosić, abym ich uwolniła od tych nienasyconych stołowników! A gdy będę mieć na podorędziu wojsko, któż odważy się wtrącać do moich spraw?

— Zbójnikom też powściągniemy cugli! — zawołał Ficko zaciskając pięść. — Ze strachu poukrywają się jak myszy po swoich norach. Lecz my ich stamtąd wykurzimy, a grabarz zakopie ich w takich norach, z których nie ma powrotu!

— Dla zbójników żadnej litości! — wybuchnęła pani. — Czy ty, Ficko, czy hajducy, czy też żołnierze, którzy przybędą, z miejsca strzelajcie do każdego spotkanego zbójnika, jak również do ich sprzymierzeńców lub w inny sposób próbujcie ich zgładzić, bez pardonu!

Po chwili milczenia ciągnęła z jeszcze większym wzburzeniem:

— Jeno zbójnika Wawrzka nie zabijajcie! Jego chcę dostać w swe ręce żywego, aby mu odpłacić za tę ranę i pohańbienie. Tymi samymi kleszczami, którymi mnie zranił wypalę mu na ciele tysiąc znaków hańby!

— Ja zajmę się pastorem! — zgłosiła swą gotowość Dora.

— Wybornie — wyraziła zgodę pani. — a jak zamierzasz go załatwić?

Dora chytrze zamrugnęła oczami i odparła ciszej, jednak na tyle głośno, że posłyszała to i Katarzyna, nasłuchująca za drzwiami:

— Załatwię go tak, że wierni parafianie już teraz mogą składać się na trumnę!

A widząc na wszystkich twarzach zaciekawienie, syknęła z nienawiścią:

— Otruję go!

Nikt nie odwodził jej od tego, przeciwnie, utwierdzali ją w tym zamiarze.

— Jeśli spełnisz swoją obietnicę do mego powrotu rzekła pani — możesz spodziewać się hojnej nagrody.

— Ja do tego czasu wypenetruję — ślubował Ficko — kto uwolnił Jana Kalinę, kto ocalił Mariszę Szutowską, kto zamknął w podziemiach miłościwą panią i kto przestrzelił mi rękę. Prosiłbym jeno, abym sam mógł się porachować z tym strzelcem!

— Dobrze, Ficko. Powiedz, co z nim uczynisz.

— Oderżnę mu obie ręce obcinając po kawałku!

— Ja znajdę i przyprowadzę Mariszę Szutowską — oświadczyła Ilona.

— a ja Magdusię Kaliniankę! — dodała Anna.

— Ją prawdopodobnie już mamy — rzucił Ficko. — Jeśli Erza Kardoszowa nie jest w ciemną bitą, przyprowadzi ją do zamku jeszcze dzisiejszej nocy.

I Ficko opowiedział, co się zdarzyło w gajówce.

— Jeśli Erza Kardoszowa ich przyprowadzi — ozwała się pani — Magdusię Kaliniankę zamknijcie w lochu i trzymajcie tam do mego powrotu o chlebie i wodzie. Staremu Ledererowi wybaczam i pozwalam mu objąć na powrót miejsce gajowego.

Ficko spojrzął na panią zawiedziony, lecz uspokoił się gdy dodała:

— Okazuję mu taką wyrozumiałość jeno gwoli synowi, który oddał nam już niepoślednie usługi, a ufam, że jeszcze odda. Wszelako zasługi syna nie mogą zmyć całkowicie

winy ojca. Niech chociaż częściowo odpokutuje za to, że przyjął pod swój dach uciekinierkę, opiekował się nią i obraził mojego sługę. Niech hajduk wymierzy mu dwadzieścia pięć kijów.

— Miłościwa pani! — zawołał Ficko z płonącymi oczyma. — Proszę o zezwolenie, abym ja ukarał gajowego!

— Stanie się po twojej woli! — przystała grafka.

„Wytnę temu staruchowi tyle kijów, iż żaden cud go nie wskrzesi” — szykował się w duchu Ficko i postanowił nakłonić panią, by mu zezwoliła również na przeprowadzenie innych mściwych zamysłów.

— Miłościwa pani, uważam za swoją powinność — ciągnął uroczyście — oznajmić wam, iż pod dachem zamku przebywa zdrajca.

Elżbieta Batorówna zerwała się z fotela;

— Kto?

— Kapitan pandurów!

Jakby w sypialnię grom uderzył. Kobiety patrzyły na Ficka oszołomione, pani zaś ofuknęła go z rozdrażnieniem:

— Bacz na język, Ficko! Rzuciłeś bardzo ciężkie oskarżenie. Na czym je opierasz?

— Jak dotąd jeno drobnostkami ujawnił — mówił Ficko ostrożnie — co się w nim kryje. W gajówce, kiedy gajowy i dziewczyna rzucili się na mnie, widziałem, że rad poskoczyłby im z pomocą, gdyby miał dość siły.

— Nie klucz Ficko! — Grafka traciła już cierpliwość. — Rzeknij krótko i jasno: dlaczego uważasz go za zdolnego do zdrady?

— Okrutnie się rozmyślał w Magdusi Kaliniance! — wycharczał i zazgrzytał zębami. Nie był w stanie dłużej maskować tajonego gniewu, złości i pragnienia pomsty. — Rozmyślał się w siostrze zbójnika i przeświadczony jestem, że ta miłość go zaślepi, zaniedba swoje obowiązki, co więcej, obawiam się, iż zbójnicy znajdą w nim tajnego

opiekuna i sprzymierzeńca.

— Twoje słowa, Ficko — rzekła pani w zamyśleniu — są dla mnie ciosem. Jestem w najwyższej mierze oburzona i rozgoryczona. Obawy, iż kapitan może dopuścić się zdrady są uzasadnione. To straszne, że nie mogę już polegać nawet na dowódcy pandurów!

— Miłościwa pani — judził Ficko — radziłbym mieć się przed nim na baczności. Co wszakże pomoże czujność? Czyż podstępny skrytobójca nie jest niebezpieczniejszy niż jawny wróg?

— Dawaj baczenie na każdy jego krok, Ficko. A przy najślabszej oznace, że krzyżuje moje zamierzenia i napędza wodę na młyn naszych wrogów, unieszkodliw go natychmiast.

— Jakże mogę unieszkodliwić kapitana pandurów?

Ficko niecierpliwie czekał na odpowiedź.

— Masz dość rozumu, nie trzeba ci radzić, jak pozbyć się wroga, aby nikt na to nie wpadł i aby nikt nie mógł pociągnąć cię za to do odpowiedzialności.

Oblicze Ficka rozjaśniło się.

Zarechotał w duchu. Nic prostszego, pod jakimkolwiek pretekstem zaprowadzi kapitana do podziemi i będzie wobec niego nadzwyczaj uprzejmy. Tak uprzejmy, że w wąskim korytarzu przepuści go do przodu... I kapitan, cha, cha, cha stanie się przysmakiem dla szczurów...

W sypialni grafki szykowano się do tak bezwzględnej walki i snuto tak okrutne plany zgładzenia przeciwników, że pocziwa Katarzyna Benecka, która podsłuchiwała pod drzwiami, bliska była omdlenia i raz po raz żegnała się krzyżem świętym.

Elżbieta Batorówna na zakończenie narady wydała swoim wiernym sługom ostatni rozkaz:

— Nie wiem, jak długo zabawię w Preszporku. Zadbaj-

cie przeto, aby zamek do mego powrotu lśnił czystością. Zróbcie wielkie porządki, wezwijcie rzemieślników, wypucujcie wszystko wewnątrz i na zewnątrz — a co najważniejsze, postarajcie się, abym miała dość służek. Zlećcie to w moim imieniu Sabowej, Kardoszowej, Barnowej Horvathowej, Vaszszowej, Salajowej, Sidowej, Keczejowej, Barszowej, Sellejowej, Kochynowej i wszystkim pozostałym, które już mają praktykę w werbowaniu dziewcząt. Za każdą dziewczynę dostaną dodatkową zapłatę.

Słuchali uważnie i przyrzekli spełnić wszystkie jej rozkazy.

— Będzie potrzeba wiele, wiek dziewcząt! — powiedziała Elżbieta Batorówna wpatrując się w niedosiężną dal.

— Miłościwa pani — ozwała się Ilona — przyprowadzimy tyle dziewcząt, ile jeno zdołamy. Mamy już doświadczenie i sposoby werbowania do służby nawet najoporniejszych, jednakże czeka nas ciężkie, wielce ciężkie zadanie, albowiem nie tylko w najbliższej lecz i w dalszej okolicy już nas znają i dziewczęta uciekają przed nami. Obawiam się przeto, że choćbyśmy się najusilniej starały, mało dziewcząt da się wziąć na lep. Jeśli miłościwa pani po powrocie z Preszporka chce mieć zastęp służebnych, ośmielam się doradzić, aby najmowanie dziewcząt do służby zlecić człowiekowi, którego wygląd budzi zaufanie i któremu niechybnie lepiej by się powiodło niż nam wszystkim z Fickiem na dodatek.

— Kogo masz na myśli? — spytała grafka.

— Kasztelana Mikołaja Loszonskiego!

— Masz słuszność. — rzekła grafka po chwili zastanowienia. — I tak jest bezużyteczny. Mam go żywić jeno za to, że ustawicznie siedzi w swoich księgach i po całych dniach i nocach wpatruje się w niebo? Z samego rana poślij do kasztelu hajduka, aby kasztelan stawił się u mnie jeszcze przed moim odjazdem!

Zamknięte drzwi

Kiedy grafka została sama, ułożyła się wygodnie na posłaniu.

Powinna odczuwać zadowolenie, albowiem mogła być pewna, że uda jej się pozbyć wszystkich wrogów. Będzie miała pod ręką wojsko. Gdy przyjdzie jej ochota, może kazać wywieszać i wystrzelać pół Czachtic. Jej wierni słudzy będą czuwać bez wytchnienia, wysledzą, gdyby gdzieś się przeciw niej coś knuło, zwietrzą każde niebezpieczeństwo i gwałtem, siłą albo podstępem usuną je. Ona zaś bez przeszkód będzie mogła poświęcić się sobie, pielęgnowaniu swej urody.

Lecz chociaż mogła się już upajać pewnym zwycięstwem, leżała na posłaniu rozdrażniona, miotana niepoko-
jom i jakimś lękiem.

Bezmierna słabość przenikała całe jej ciało, gnębiło ją uczucie opuszczenia i samotności. Wlepiła wzrok w fioletowy baldachim, jakby spodziewała się ujrzeć na nim coś niezwykłego. Znowu zawładnęła nią gorąca i bolesna tęsknota za kimś, kto by wypełnił jej nieznośnie pusty żywot i zamknął w okowach mocarnych ramion jej ciało i duszę. Tęsknota za kimś, kto miłowałby ją miłością spopielającą ciało i duszę.

Z marzeń wyrwało ją pukanie do drzwi.

Pukała Katarzyna Benecka — bojaźliwie oznajmiła, iż przybył pan Beniamin Priborsky z Wierzbowa i pyta, czy miłościwa pani zechce łaskawie udzielić mu posłuchania.

— Czy i Erzika jest tutaj? — ożywiła się Elżbieta Batorówna. Erzika rozpraszała chmury przygnębienia spowijające jej duszę. A kiedy dowiedziała się, że Erzika jest w pobliżu, zdało się jej, że srebrne lampy migoczą weselej, roz-taczają przenikliwszą woń i że jej żywot właściwie nie jest

taki pusty.

— Tak, miłościwa pani, jest — potwierdził Beniamin Priborsky, który stał przy drzwiach w postawie wyrażającej najwyższy szacunek.

Wobec czachtickiej pani zawsze zachowywał się uniżenie jak w czasach, kiedy jeszcze był jej poddańcem.

Podawała mu rękę. Nieśmiało dotknął jej wargami.

— No więc, Beniaminie spytała, gdy przeszła z nim do sali przyjęć — co cię do mnie sprowadza?

Po długim wstępie, w którym rozwodził się, jak zawsze dbał o Erżikę, klucząc, dukając i dobierając słowa powiadomił grafkę o miłości swej wychowawicy do zbójnika i o nocnej wyprawie oraz powtórzył to, co doniósł mu hajduk.

Słuchała w milczeniu i z twarzą bez wyrazu. Truchlejąc czekał, kiedy wybuchnie, zasypie go gradem wymówek. Nie posiadał się z zadziwienia, iż nie rzekła ani jednego słowa wyrzutu, najślabszym gestem nie zdradziła, co myśli o nocnej przygodzie córki, jeno chłodno zapytała o nazwisko hajduka, który był świadkiem, jak Erżika, aby uratować życie Andrzejowi Drozdowi, przestrelili Fickowi ramię.

Potem zawołała służebne i poleciła im przyprowadzić tego hajduka.

— Nędzniku — rzekła lodowatym głosem, gdy stanął przed nią z trzęsącymi się kolanami — twoje oczy widziały, czego nie powinny były widzieć, a twój język wyjawiał za pieniądze rzeczy, o których powinieneś być milczeć.

Hajduk, którego wyciągnięto z pościeli, zbladł i z przerażeniem spoglądał na grafkę i Beniamina Priborskiego.

— Abyś nie zapomniał — mówiła dalej czachticka pani, że o tym, coś widział, nie śmiesz nikomu pisać ani słowa, dostaniesz dwadzieścia pięć kijów. Jeśli wszakże dowiem się, że nawet po tym upomnieniu nie trzymałeś języka za zębami, dostaniesz dziesięć razy tyle i od razu możesz za-

mawiać trumnę.

Po czym przez: otwarte okno przyglądała się, jak go przywiązują do deresza i przy i świetle latarni wymierzają dwadzieścia pięć kijów. Kiedy hajduk zwlókł się z deresza, kazała wezwać Ficka. Leżał już, przewracając się niespokojnie na posłaniu, podniecony myślami o bliskiej walce i rozpalony mściwymi planami. Kiedy powiadomiono go, iż ma się udać do Elżbiety Batorówny, narzucił na siebie przyodziewek i już chwilę później stał pokornie w sali przyjęć, gotów spełnić każdy rozkaz pani.

— Ficko — rzekła pani głosem, którego surowość zdumiała go — jedna z tajemnic, które chcesz wykryć, została już rozwikłana!

Priborsky siedział w fotelu jak na szpilkach.

Bardzo się bał, że Ficko straszliwie się zemści na Erzice, jeśli się dowie o jej czynie. Ucieszył się, kiedy grafka ukarała hajduka i pod groźbą śmierci przykazała mu milczeć, było to bowiem zaręką, że przed Fickiem już się nie wygada.

A teraz Elżbieta Batorówna sama wzywa Ficka i zamierza wszystko mu wyjawić!

— Co byś za to dał, Ficko — spytała pani — gdybyś się za chwilę dowiedział, komu zawdzięczasz, że masz bezwładną rękę i musisz ją nosić na temblaku?

— Jedną ze swoich rąk, miłościwa pani. Pozwoliłbym ją sobie odrąbać temu, kto by mi to wyjawiał!

— Cha, cha, cha! Zaśmiała się. Byłaby to zbyt mała zapłata za tak wielką tajemnicę! Wszelako ja nie żądam od ciebie nijakiej zapłaty! Wyjawię ci ją za darmo.

Uśmiechała się igrając namiętnościami Ficka, podczas gdy Benjamin Priborsky patrząc na niego drętwiał ze strachu o wychowanicę.

Ficko aż się trząsał, czekając na imię napastnika jak

zglodniały drapieżnik na łup!

— Kto to był? — wydarł mu się krzyk.

— Nie tak gwałtownie, Ficko — upomniała go pani ze śmiechem — bo jeszcze się rozmyślę i nic ci nie wyjawię. Powiedz no, zemściłbyś się przykładowie na tym kimś?

Nie wyrzekł ani słowa, lecz zgrzytnięcie zębami, niezrozumiałe przekleństwo, jakie wycharczał i cały jego wygląd były wyraźną odpowiedzią.

Priborsky bliski był omdlenia. Z nieopisaną zgrozą spoglądał na panią i jej służkę. Ficko nie potrzebuje się mścić, nieszczęsna Erzika umrze na sam widok tego opętanego przez diabła potwora! Chwilami zdejmowała go pokusa, aby wymknąć się do izby gościnnej, zabrać Erzikę, zaciąć konie i wywieźć ją jak najspieszniej.

Lecz siedział w fotelu jak przykuty, niezdolny do uczynienia ruchu.

— A więc posłuchaj, Ficko — ozwała się grafka po celowo przedłużonej pauzie. — Osoba, która przestrzeliła ci ramię, znajduje się obecnie pod tym dachem, o kilka kroków od ciebie...

Ficko krwiożerczo rozejrzał się po komnacie, a w końcu utkwiał wzrok w Beniaminie Priborskim.

Jął skradać się do niego jak wilk.

Na jakieś trzy kroki przed nim stanął i ryknął:

— Tyś to uczynił?

Beniamin Priborsky siedział jak skamieniały. Nawet język mu skołowaciał: nie był w stanie wyrzec ani słowa Ficko bez wątpienia miałby z nim łatwą sprawę.

— Nie, Ficko, nie on — powstrzymała go pani. — Ta osoba przebywa w izbie gościnnej!

I patrząc na Ficka wzrokiem, który miał go osadzić jak silna ręka rozhukanego konia, rzekła:

— Nie on to uczynił, lecz jego córka!...

Ficko ruszył do drzwi.

Pomścić się, pomścić, i to bezzwłocznie!

Zapomniał, że Erzika Priborska jest ulubienicą grafiki. Myślał jeno o pomście za ranę i porażkę.

Beniamin Priborsky odzyskał przytomność umysłu. Przemógł grozę i strach i zerwał się z fotela. Świadomość, że ta bestia chce wyrzucić zemstę na Erzice, i obawa o jej żywot przywróciły mu siły i odwagę.

Przyskoczył do drzwi,

— Ani kroku dalej! — zawołał.

— Ustąp z drogi! — syknął Ficko.

On wszakże stał przy drzwiach murem, a Ficko zbliżał się do niego wymachując wściekle pięścią.

— Stój, Ficko! — zakrzyknęła pani — Dokąd idziesz?

— Wziąć odwet! — odparł nie obejrzawszy się nawet.

— Tą oto ręką — i potrząsnął nią w powietrzu — zadławię ja jak szczenię!

Zerwała się z fotela i pobiegła do Ficka.

— Stój! — wrzasnęła. — Nie wolno ci się pomścić!

— Musze, się pomścić! — zacharczał Ficko i skoczył na Priborskiego,

Lecz Elżbieta Batorówna, z twarzą zmienioną nie do poznania, rzuciła się między nich i grzmotnęła Ficka pięścią w głowę, aż się zatoczył, a na dokładkę tak gwałtownie uderzyła go w zranioną rękę, że krzyknął z bólu.

W jednej chwili oprzytomniał, jakby go oblano lodowatą wodą. Czuł już tylko ból i strach, jaka też kara spotka go za to, że tak panią rozsierdził.

— Chcesz wypowiedzieć mi posłuszeństwo? — Płonęła gniewem. — Chcesz, abym natychmiast kazała cię ukarać, jako podłego buntownika?

Ficko już uświadamiał sobie, jakiego przestępstwa się dopuścił nie opanowawszy się na rozkaz pani i próbując przeciwstawić się jej woli. Lecz nie było to jedyne jego

przestępstwo.

— A na jaką karę byś zasługiwał za to, że chciałeś skrzywdzić moją ulubienicę, Erzikę Priborską? Zapamiętaj sobie, iż biada temu, kto ją choćby tknie, gdyby nawet nie jeno ramię mu okaleczyła, ale obie ręce i nogi odcięła!

Ficko zginał się pokornie i błagalnie mamrotał:

— Proszę o przebaczenie, miłościwa pani, żem się uniósł gniewem.

— Ufając, że się poprawisz przebaczam ci, Ficko rzekła pani już łagodniej. I przeproś pana Beniamina Priborskiego, że nie zachowałeś się wobec niego z szacunkiem należnym szlachcicowi.

Ficko posłuchał.

— Sama ci powiedziałam, kto cię zranił, abyś nie dochodził tego daremnie i abyś wiedział, że czeka cię śmierć, jeśli tkniesz Erzikę Poborską!

Ficko wyszedł jak zmyty. W czaszce i w ręku ciągle jeszcze czuł ból. Pani uderzyła go tą samą ręką, którą tam w podziemiach pozwoliła mu całować...

Huczało mu w głowie, a gdy szedł przez ciemny i pusty podwórzec do swojej komórki, zgrzytał zębami: „Biada ci, Erziko Priborska! Teraz nie tknę cię nawet małym palcem, kiedyś wszakże wyplujesz zęby, i to tak, że nawet Pan Bóg się nie dowie!...”

A w jego podłej duszy już się rodził plan, jak się tajnie pomścić, aby nie padł nań ani cień podejrzenia...

Po jego wyjściu grafka przystąpiła do Beniamina Priborskiego, położyła mu rękę na ramieniu i rzekła:

— Mężny z ciebie człek, Beniaminie! Nie zląkłeś się Ficka. Przeświadczyłeś mnie, że miłujesz Erzikę, że nie jesteś tchórzem i że w obronie bezbronnego dziewczęcia gotów jesteś położyć żywot jak prawdziwy szlachcic. Lecz zakończmy naszą rozmowę, albowiem pragnę jak najrychlej ujrzeć Erzikę. Nie czynię cię odpowiedzialnym za to,

iż córka moja rozmiłowała się w zbójniku, wiem bowiem, że ty nie ponosisz za to winy. Niezbadane są drogi przeznaczenia, które splata żywoty ludzkie. Dziękuję ci, że dotychczas opiekowałeś się Erżiką z ojcowską czułością. Aż do śmierci możesz być pewny mojej przychylności. Teraz wszakże sama zajmę się Erżiką, muszę ją bowiem wyleczyć z tej bezsensownej miłości, zresztą w istocie pora już, abym znalazła dla niej odpowiedniego narzeczonego...

Wzruszyły go te słowa, lecz serce ścisnęło mu się z bólu, że musi rozstać się z Erżiką na zawsze. Nękały go też obawy, jakie plany wobec niej ma czachticka pani i czy istotnie zdoła uchronić ją przed zemstą Ficka?

Wszakże po krótkim zastanowieniu pozbył się wszelkich obaw. Któż lepiej zadba o przyszłość Erżiki jak matka? Ta świadomość uspokajała go. I postanowił natychmiast wrócić do Wierzbowa. Bał się pożegnania z Erżiką. Bał się jej wyrzutów, a najbardziej tego, że rozpląkałby się. Oznajmił swój zamiar grafce i poprosił, aby mu pozwoliła zaprzęgać.

— Ależ tak, Beniaminie, wracaj spokojnie do Wierzbowa. Zapewniam cię, że o Erżice jeszcze posłyszysz, a blask jej sławy padnie i na ciebie. Znajdę jej męża opływającego w bogactwa i zaszczyty.

Pożegnał się z grafką, a chwilę później z dziedzińca dało się słyszeć jak budzi ze snu pacholka i każe zaprzęgać. Elżbieta Batorówna z sercem przepelnionym tkliwością udała się do komnat gościnnych i stanęła przed drzwiami Erżiki. Erżiki.

Zapukała cicho i szepnęła:

— Erżiko!...

Odpowiedziała jej martwa cisza. Erżika wtuliła głowę w poduszkę, aby zdusić płacz. Za nic na świecie by nie otworzyła. W jej sercu wzbierała nieopisana odraza. Na podwórcu zaturkotał powóz odjeżdżającego Beniamina Priorskiego.

„Odjeżdża — ale beze mnie!" — uświadomiła sobie z nowym przypływem bólu, jakby Wierzbowski powóz przetoczył się po jej sercu.

Elżbieta Batorówna chwilę jeszcze nasłuchiwała przy drzwiach, po czym pomału, zawiedziona wróciła do sypialni.

Była przeświadczona, że Erżika śpi twardo, przemogła więc gorące pragnienie ujrzenia jej i odłożyła spotkanie na rano.

Postanowiła ani słowem nie wspomnieć o jej miłości do Andrzeja Drozda i o nocnej wyprawie.

Niczego nie będzie jej zakazywać, otoczy ją czułością. Zabierze Ją do Preszporcka, aby w blasku rozrywek i balów zapomniała o Droździe, aby w jej sercu inny zajął jego miejsce.

Gdy kroki Elżbiety Batorówny na korytarzu ucichły, Erżika szybko się ubrała, otworzyła okno i wyskoczyła na dziedziniec. Byle stąd uciec jak najprędzej! Świat jest wielki, znajdzie jednak Andrzeja Drozda.

Z bijącym sercem skradał się do bramy. Ogarnęła ją rozpacz. Potężna, okuta żelazem brama była zamknięta, mrówka by się nie prześliznęła.

Rozejrzała się bezradnie. Mur jest wysoki, nie zdoła się nań wdrapać, a drabiny nigdzie nie ma. Musi wrócić. Ale jutro znajdzie jakąś sposobność i ucieknie żeby nie wiem co!

Ciemna postać pod drzewem

Kapitan pandurów, kiedy go przywieziono do zamku kazał się zanieść do swojej izby, albowiem rana tak go rozbo-

łała, że nie mógł utrzymać się na nogach. Ledwo ułożyli go na pościeli, polecił jednemu z hajduków:

— Przyrowadź do mnie zamecznika!

Chwilę później zamecznik wszedł do jego izby.

— Tyś jest Paweł Lederer, syn Jana Lederera? — zapytał go. — Ty pomogłeś ująć Jana Kalinę?

— Tak — odparł Paweł zaskoczony, iż kapitan zna imię jego ojca. Kapitan chwilę przyglądał mu się badawczo, po czym rzekł:

— Spotkałem twego ojca!

Paweł zarzucił go pytaniami. Jak, kiedy, gdzie? Całym sercem pragnął jak najrychlej go ujrzeć i kłał przeszkody, co stale uniemożliwiają mu wrócić do Nowego Miasta, dośiąść konia, którego zostawił u oberżystki, i pokłusować do rodziców.

— Nie ma znaczenia — mówił kapitan poważnym głosem — w jakich okolicznościach twego ojca spotkałem. Mam ci jeno przekazać jego słowa.

— Jak to? — zapytał zdziwiony. — Ojciec wie, że wróciłem?

— Tak, wie. Wie także, jak wróciłeś i jakim sposobem dostałeś się na służbę do zamku.

Dreńząca obawa ścisnęła mu serce. Jeśli ojciec wie, w jaki sposób dostał się na służbę, od kogo się dowiedział? A czy wie, że w istocie nie jest zdrajcą, że wołałby umrzeć, niż dopuścić się zdrady?

— Co mi przekazuje?

— Przeklina cię, ponoć już nie jesteś jego synem.

Zdruzgotany osunął się na ławę.

Ojciec przeklina go i wyrzeka się!

— Nie trap się tym — ozwał się kapitan. — Będziesz miał sposobność przymusić starca, by odwołał kłatwę, przytulił cię do swej ojcowskiej piersi i udzielił ci błogosła-

wieństwa, cha, cha, cha?

— Przymusić? — wyjąkał.

— Tak jest, przymusić, albowiem może już dzisiejszej nocy przywiodą go do czachtickiego zamku jako złoczyńcę, a ty, kamracie, będziesz mógł go przeświadczyć, że zdradzenie przyjaciela nie jest grzechem i że żadne pieniądze, nawet zdobyte w ten sposób, nie są brudne, grunt że brzęczą w kieszeni.

Śmiech kapitana rozdzierał mu serce. Jakie zamysły ma ten człowiek, dlaczego kluczy? Czy i on uważa go za zdrajcę, szczerze myśli to, co mówi? I czy może mu wierzyć? Nie, jego czerwony mundur błyszczy ostrzegawczo!

— Dlaczego przywiodą go tutaj? — Paweł Lederer z wolna otrząsał się z oszołomienia. Postanowił wycisnąć z kapitana wszystko, co wie, lecz tak, by samemu nie zdradzić się ni jednym słówkiem.

— Albowiem podniósł buntowniczą rękę na twego serdecznego kamrata Ficka — odrzekł kapitan. — Biedak, żal mi go — nie chciałbym być w jego skórce.

Zamecznik pomału dowiedział się wszystkiego — nie mógł jeno rozgryźć tajnych zamysłów kapitana. Widział, że kapitan nie jest skąpy w słowa, a tego, co wie, nie trzeba wyciągać zeń kleszczami. Wyczuł, że pogardza Fickiem i nienawidzi go. Dlaczego wszakże i w nim chce skrzesać nienawiść, a przy tym obraża go każdym słowem? Chce wypróbować jego solidność i wierność dla czachtickiej pani? O nie, on nie da się podejść!

— Waszmość kapitanie — rzekł w końcu obojętnym głosem nie pojmuje, dlaczego uznaliście za nieodzowne opowiedzieć mi, co się zdarzyło w gajówce, i dlaczego wyjaśniliście mi, że ta baba tropi mego ojca, aby podstępem pojąć go i dostawić na zamek.

Kapitan spoglądał nań z ledwo ukrywanym zawodem.

— Żal mi ojca ciągnął Paweł, że uniósł się, gniewem

i że dopuścił się przewiny. Na nieszczęście, mogę go jeno pożałować. Gdybym nie był sługą czachtickiej pani, jako żywo nie zwlekając uwolniłbym go z rąk hajduków.

— Ani wtenczas byś go nie uwolnił wbił mu szpilkę kapitan — widzi mi się bowiem, iż za darmo kroku nie uczynisz. A któż by ci zapłacił za bohaterstwo? Zresztą słowa kapitana najeżone były żądłami, po co miałbyś ratować ojca, skoro cię przeklął i wyrzekł się ciebie?

— I to napawa mnie żalem, waszmość kapitanie — odrzekł Paweł Lederer chłodno — że ojciec ma inne zapatrywania niż ja. Dla mnie to nie dyshonor przyczynić się do ujęcia zbójnika, człowieka, który pogwałcił prawo, gdyby nawet był mi czymś więcej jak kilkudniowym przyjacielem. Zaś oddanie złoczyńcy w ręce sprawiedliwości określiam innym słowem aniżeli ojciec. W moich oczach nie jest to zdradą, lecz czynem chwalebnym!

Kapitan milczał, jeno wbił w Pawła Lederem badawcze spojrzenie. Patrzył, jakby usiłował przejrzeć go na wskroś, i przeniknąć wzrokiem przywdzianą maskę.

— Młodzieńcze — ozwał się wreszcie zmienionym, tchnącym szczerością głosem. — Nie wiem, czy się maskujesz, i daremnie bym to zgłębiał. Powiedz mi wszakże: czy los ojca zaiste jest ci obojętny i dopuścisz, aby go przywleczono przemocą na zamek? I będziesz z założonymi rękami się przypatrywać, jak wymierzają mu karę?

Teraz z kolei Paweł Lederer badał oblicze kapitana, czy jego szczerość, która tak chwyciła go za serce, nie jest udana i czy właśnie w tej chwili nie powinien najbardziej mieć się na baczności.

— Żądacie ode mnie szczerości, waszmość kapitanie — odparł po chwili — przeto będę szczery. Od razu postanowiłem uwolnić ojca z rąk hajduków, choćbym w jego mniemaniu był największym złoczyńcą, nie jeno zdrajcą.

Kapitan uściśnął zamecznikowi rękę:

— Stateczny z ciebie człowiek, nie zawiodłem się na tobie. Uwolnij ojca, ja ci w tym dopomogę. Wszelako prosiłbym cię o coś.

— Uczynię, co będzie w mojej mocy, waszmość kapitanie!

— Z twoim ojcem jest dziewczyna, którą czeka los gorszy jeszcze niżli jego. Uratuj również tę dziewczynę!

— Uratuję!

— Nawet, gdy wyjawię ci, kim ona jest?

— Uratuję ją, kimkolwiek jest.

— Dowiedz się przeto: to siostra zbójnika, którego zdradziłeś. Magdusia Kalinianka!

— Magdusia Kalinianka! — wyrwał mu się okrzyk zdumienia i radości, jakby natrafił na zakopany skarb.

Gdybyż mógł teraz stanąć przed Janem Kaliną i oznajmić mu, że Magdusia żyje, a on ją uratuje!

Kapitan, któremu nie uszło, jaką radością zajaśniały mu oczy, gdy posłyszał imię Magdusi, poczuł ukłucie w sercu. To zazdrość go dźgnęła.

— Znasz ją? — spytał poruszony.

— Nie znam, nigdy wżyciu jej nie widziałem, lecz uratuję z największą radością.

— Dobrze — uspokoił się kapitan. — Jeśli tej szczwanej babie polowanie się uda, przywiezie twego ojca wieczorem.

Po czym przedstawił ułożony przez siebie plan odbicia starca i dziewczyny:

— Dam ci pięciu pandurów, na których możesz całkowicie polegać i którzy będą milczeć jak grób. Z dwoma zasadzisz się na drodze z Hruszovego i Lubili, zaś pozostałych trzech rozstawisz przy innych drogach na wypadek, gdyby chytra Erza Kardoszowa powiozła swoją zdobycz którądyś indziej.

Paweł Lederer nie posiadał się ze szczęścia. Ujrzy ojca i uratuje także Magdusię. Rzecz jasna zatroszczy się o nich, zaprowadzi w bezpieczne miejsce i zabezpieczy im byt.

— Z tej skrzyni — kapitan wskazał kąt izby — wydobądź mój mundur. Gdy zmrok zapadnie, jeden z pandurów weźmie go ze sobą, a ty wdziejesz go za Czachticami, gdzie przyprowadzi ci również konia. Nie chcę, aby padł na ciebie choćby cień podejrzenia, żeś porwał się na hajduków i sługi czachtickiej pani. Ja już sobie poradzę, jeśli grafka obarczy mnie odpowiedzialnością za wyczyn pandurów. Ukaże kilku od oka i rzecz pójdzie w niepamięć. Gdybym ciebie w to wmieszał, straciłbyś nie tylko miejsce, ale być może i żywot.

W Pawle budził się szacunek dla kapitana, widział bowiem, że ma do czynienia z człowiekiem dzielnym i dobrego serca.

— Nie masz za co dziękować — bronił się kapitan przed wyrazami wdzięczności. — Przeciwnie: to ja będę ci wielce zobligowany za przekazanie Magdusi Kaliniance kilku słów. Powiedz jej, iż z największą radością sam bym ją uwolnił, gdybym nie był ranny, że jednak nie mogę sam tego dokonać, w moim zastępstwie ty to czynisz. Gdyby zaś pytała dlaczego, rzeknij: albowiem ją miłuję i nie przestanę nad nią czuwać!...

Gdy poczęło się zmierzchać, pięciu pandurów kolejno wyjechało z zamku, jeden z nich wiodąc zapasowego konia. Chwilę po nich wyniknął się zamecznik. Zgodnie z umową dwaj pandurzy czekali na niego z koniem na skraju lasu przy drodze do Hruszovego. Tam Paweł Lederer przebrał się w mundur kapitana.

— Patrzajcie no — śmiali się z uznaniem pandurzy — jak mu ten mundur pasuje!

Minęło kilka godzin, nim wreszcie w nocnej ciszy posłyszeli daleki turkot wozu. Zeskoczyli z koni, poprowadzili je

między drzewa i skryci za nimi czekali, aż wóz nadjedzie, niepewni, czy będzie to rzeczywiście wóz z hajdukami.

Pawła Lederera trapiła ponadto obawa, czy ci pandurzy, którzy w pojedynkę pilnują innych dróg, poradzą sobie z dwoma hajdukami i tą babą z piekła rodem.

Lecz niebawem odetchnął z ulgą.

Jego bystre oczy wypatrzyły, że na przodzie wozu siedzą dwaj hajducy, a między nimi niewiasta.

Tak jak było umówione, dwaj pandurzy wyskoczyli z ukrycia i gromko zakrzyknęli:

— Stać!

Hajducy i Erza w pierwszej chwili myśleli, że to zbójnicy zastąpili im drogę, i zmartwieli ze strachu. Rozpoznawszy wszakże w świetle pandurów, odzyskali rezon i ucieszyli się.

— Myśmy hajducy czachtickiej pani! — zawołał jeden z nich.

Paweł Lederer z ukrycia za drzewem baczył na każdy ruch hajduków i Erzy, gotów skoczyć na pomoc, gdyby było trzeba. Jego oczy spoczęły najprzód na ojcu i serce wezbrało mu czułością. Potem z zadziwieniem spostrzegł, że są z nim dwie dziewczyny. Jedna z nich to zapewne Magdusia. Kim wszakże jest ta druga? Lecz nie było czasu na rozwiązywanie zagadek.

— Nie jesteście hajdukami czachtickiej pani! — wykrzyknął zmienionym głosem. — Kupczycie niewiastami! Wieziecie dziewczęta do Nowych Zamków, aby sprzedać je Turkom, a ich ojca chcecie po drodze zamordować. Pandurzy, dajcie nauczkę tym podstępnyim złodziejom kalającym uczciwy hajducki ubiór!

Pandurzy nie zwlekając rzucili się na hajduków, którym nawet nie powstało w głowie bronić się. Nie zwykli myśleć i działać samodzielnie, zawsze ktoś musiał pobudzić ich do czynu rażnym rozkazem, Erza jednak pojęła w lot, że bę-

dzie źle, jeśli pandurzy ich pokonają. Nie mogą wdawać się z nimi w debaty, przekonywać, iż naprawdę są sługami czachtickiej pani. Wystarczy, by pandurzy spytali starego gajowego i dziewcząt, kim są i dokąd jada, a dowiedzą się, że wiozą ich przemocą Bóg wie gdzie, co niechybnie utwierdziłoby pandurów w podejrzeniu. Toteż wyrwała hajdukowi bat z ręki i wściekle zacięła konie. Była przeświadczona, że uda im się umknąć, ponieważ: pandurzy nie mieli koni. Ledwo wszakże machnęła batem, już jeden z pandurów trzymał konie za wędzidła a drugi rozprawił się z Erzą. Tak ją grzmotnął pięścią w głowę, że zwała się z wozu jak worek. I rozwrzeszczała się przeraźliwie, gdyż przy upadku skrzyła sobie nogę.

Hajdacy siedzieli na koźle jak skamieniali. Ciemna postać pod drzewem napawała ich strachem. Ani myśleli się bronić. Przecie nie będą wdawać się w bójkę z pandurami. Po cóż mieliby wystawiać na szwank skórę?

— Pandurzy — zawołał Paweł Lederer — przywiążcie tę babę i hajduków do drzew!

Pandurzy uwolnili z pęt gajowego i dziewczęta, po czym poprowadzili niestawiających oporu hajduków pod drzewa. Lederer wyszedł z ukrycia i przykazał:

— Jeno porządnie ich przywiążcie, szczególnie tę babę z piekła, rodem. Ja odwiozę tych nieszczęśników. Jak będziecie gotowi, siadajcie na koń, weźcie także mojego i jedźcie za nami w stronę Starej Tury.

Po czym wsiadł na wóz, zawrócił go i smagnał konie. Gdy patrzył na ojca, serce mu krwawiło. Jakże się postarzał od czasu, kiedy go widział po raz ostatni, jakże zbieleły mu włosy! Co za cios spadł na niego, że przeniósł się w obce strony i został gajowym czachtickiej pani? I dlaczego sam bez matki? Czyżby spoczywała już w grobie? I skąd się tu wzięła Barbara?

Smagał raz po raz konie. Nie obejrzałby się za żadne

skarby świata, chociaż gorąco pragnął patrzeć na dawno niewidzianą dobrotliwą twarz ojca, korciło go, by spojrzeć na Barbarę, której bliskość burzyła w nim krew, i ciekaw był niezmiernie, jak wygląda siostra Jana Kaliny. Lecz walczył z tym pragnieniem. Jednakże pierwotne postanowienie, iż nie zdradzi się, kim jest, uległo zachwianiu. Bolała go, że ojciec przeklął go uważając za zdrajcę. Durna nie pozwoliła mu przekonywać o swej uczciwości. Teraz wszakże upór i duma słabły, ustępowały przed szczerą miłością.

Zatrzymał raptem wóz, zeskoczył i stojąc tak, że z wozu nie było widać jego twarzy, rzekł zmienionym głosem:

— Janie Lederer, weź lejce i jedź, dokąd chcesz. Barbarę odstaw do matki, zaś ty z Magdusią schrońcie snę w bezpieczne miejsce. Aby się wam żyło bez codziennych trosk, weź ten mieszek, jest w nim dwieście złotych,

Gajowemu i dziewczętom, gdy słuchali słów swego wybawcy, zdało się, że stoi przed nimi rycerz z bojki. Zdarzają się jeszcze na świecie cuda. Gdzie i kiedy słyszał ten głos? To samo pytanie zadawała sobie Barbara, Lecz o Pawle nawet nie pomyśleli. Przecie jest to kapitan pandurów i darowuje królewską sumę.

Rozległ się tętent koni. Chwilę później pandurzy zbliżyli się do wozu.

— Nim się z wami rozstanę — ciągnął Paweł Lederer — muszę ci oznajmić, Magdusiu, że ciebie nie ja uwolnię, lecz kapitan pandurów Imrich Kenderessy.

I powtórzył jej słowa zakochanego kapitana.

Czekała ich wszakże jeszcze jedna niespodzianka:

— Lecz was dwoje ja uwolnię!

Obnażył głowę i odwrócił się do nich. Oblało go światło księżycy.

— Paweł! — wykrzyknęli równocześnie ojciec i Barbara.

Z głosu ojca wyczuł, że daremnie go się wypierał, choćby bowiem istotnie był zdrajcą, nie jest zdolny wyrzucie go z serca.

Magdusię Kaliniankę osobliwe wyznanie miłości kapitana ogromnie zaskoczyło i wyprawilo w pomieszanie. Nawet nie przeczuwała — tam w gajówce — co dzieje się w sercu kapitana. Teraz przywołała jego obraz. Potężna wysoka postać, rumiane obliczę, zawadiacko skędzierzawione jasne włosy i oczy uśmiechające się nieśmiało, jakby nie były to oczy kapitana pandurów, lecz miłego chłopca. I teraz dopiero uprzytomniła sobie, że już tam w gajówce jego zachowanie zdradzało, iż sprzyja jej i gajowemu. Jak wszakże jest możliwe, aby on, dowódca pandurów i szlachcic, zapłonął miłością do zbiegłej poddanki, siostry zbójnika? Szukała słów, które wyraziłyby jej wdzięczność za to, że pomógł ją uwolnić. Gdy w końcu je znalazła, a Barbara ocknęła się z osłupienia, było już za późno.

Paweł Lederer nie chciał, aby pandurzy byli świadkami wzruszających scen, wskoczył przeto na konia i dał rozkaz do powrotu.

— Ale żebyście nie zatrzymali sobie wozu — przypomniał jeden z pandurów. — Byłaby to kradzież. Jak już nie będzie wam potrzebny, zostawcie go gdziekolwiek na drodze. Prędzej czy później wróci do właściciela.

Paweł Lederer na czele pandurów galopował z powrotem do Czachtic. Dziko bódł konia ostrogami. Pandurzy dziwowali się, dlaczego tak pędzi, skoro uciekinierzy, którzy istotnie powinni lecieć jak na skrzydłach, sterczą jeszcze w miejscu i wybałuszają za nimi oczy.

— Panie kapitanie — zawołał jeden z pandurów, gdy byli już niedaleko Czachtic — nie zapominajcie, że pora już zrzucić kapitańską skórę!

Zatrzymał konia, zeskoczył z siodła i wetknął uzdę pandurowi do ręki:

— Dziękuję wam za pomoc. Spełniliście dobry uczynek, musicie wszakże milczeć, gdyż źle by wam za niego odpłacono. A nie zapomnijcie otworzyć furtki wiodącej z ogrodu na dziedziniec zamkowy, abym mógł niepostrzeżenie wrócić.

Pandurzy odjechali, zaś Paweł ruszył po swoje odzienie, aby się przebrać. W pobliżu miejsca, gdzie je ukrył, stanął nagle jak wryty Zza drzewa na skraju lasu wyskoczyła ciemna postać.

— Ha, waszmość kapitanie, mam dzisiaj do was szczęście! — ozwała się ciemna postać ze śmiechem, a Paweł Lederer, który poznał ten głos, nie zdążył nawet wyrazić swojej radości z niespodziewanego spotkania, albowiem już leżał na ziemi jak długi.

— Nie miałeś sposobności — rzekł napastnik — posmakować mojej pięści ubiegłej nocy, posmakuj jej przeto teraz!

Paweł leżał dłuższą chwilę na ziemi, albowiem cios był tak silny, że go zaćmiło. Kiedy ocknął się z oszołomienia, roześmiał się serdecznie.

— Janie! — zawołał. — Wstydz się, iż przy spotkaniu rozbijasz przyjaciołom głowy, miast radośnie ich witać!

Jan Kalina, obejmował druha, jakby chciał się dotykami przeświadczyć, że to naprawdę on jest pod tym mundurem.

— Jeśli tak dalej pójdzie — śmiał się Paweł — będę musiał poszukać innych przyjaciół. Wrogowie na rękach mnie noszą, napychają mi kieszenie złotem, a przyjaciele — coś straszego! To Andrzej Drozd zwali mnie z nóg, to znów Wawrzek grzmotnie, na dokładkę i ty tłuczysz. Jeśli nie poniechacie tych praktyk, uczynicie ze mnie kalekę!

— Sam jesteś sobie winien. Nie wałęsaj się po nocy, kiedy poczciwi ludzie śpią, a skoro musisz to robić, bądź wybredniejszy w doborze stroju, odziewaj się jak przyzwoity człek, a nie jak pandur!

— Odwołasz swoje słowa, albowiem ten czerwony mundur należy do przyzwoitego człowieka.

— Pandur nie może być przyzwoitym człowiekiem!

— A co powiesz na to, że siostra twoja uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa jeno dzięki kapitanowi?

— Słyszałeś coś o Magdusi? — przerwał mu Jan Kalina i podniecony chwycił go za ramiona.

— Słyszałem — uśmiechnął się Paweł. Przyjaciel płonął niecierpliwością:

— Mówże! Jest żywa, zdrowa, wolna?

— Tak, Janie, jest żywa, zdrowa, wolna i jeśli mnie wzrok nie myli, tak urodziwa, że nie znajdzie równej sobie!

— Widziałeś ją?

— Nie minęło jeszcze pół godziny. Stałem koło niej tak blisko jak teraz koło ciebie!

Serce Jana Kaliny przepeliło bezmierne szczęście, gdy przyjaciel opowiadał o spotkaniu z jego siostrą i o wydarzeniach, które je poprzedziły. Odetchnął z ulgą. Magdusia nie stała się ofiarą złoczyńców, jest zdrowa, bezpieczna, a wóz czachtickiej pani zawiezie ją w takie miejsce, gdzie będzie mogła żyć bez trosk i bez strachu.

— Widzi mi się — rzekł — że mamy niesłychane szczęście. Ja w ostatniej chwili uratowałem się przed niechybną śmiercią, uratowała się również moja matka, narzeczona, garstka naszych chłopców pokonała kilkakroć silniejszego wroga, a i na przyszłość mamy jak najlepsze widoki.

— Kto wie, co nam przyniesie przyszłość. Elżbieta Batorówna rankiem wyrusza do Preszporka, aby oskarżyć czachticzan przed palatynem i dla ukorzenia ich sprować do wojsku.

— A ja wyjawię ci, Pawle, że nie tylko ona jedzie do palatyna, nasz poseł uda się tam również!

— Słaba to nadzieja! Myślisz, że palatyn uwierzy sło-

wom zbójnika? Nic nie wskóra, choćby był złotousty!

— Nasz poseł nie jest zbójnikiem, lecz szlachcicem, zasłużonym w bojach z turecką nawałą. Walczył u boku grafa Jerzego Thurzo i łączy ich przyjaźń. Naszym posłem jest Mikołaj Loszonsky. Szkoda jeno, iż jest obecnie bardzo słaby, potrzebuje kilku dni, aby zebrać siły na męczącą drogę do Preszporka.

Wyprawa, kasztelana do Preszporka była wynikiem długiej rozmowy, która odbyła się w wieży czachtickiego kasztelu, gdy Jan Ponicens przywiódł z lochu Jana Kalinę. Kasztelan ze łzami w oczach obejmował go i przepraszał, że go uwięził, że w owej chwili głos serca nie zdołał w nim zagłuszyć nakazu powinności. Teraz wszakże był już zdecydowany: pójdzie do czachtickiej pani i podziękuje za godność kasztelana. Nie odwodzili go od tego, byli bowiem przeświadczeni, że jeno wówczas zdoła przysłużyć się dobrej sprawie, gdy nie będzie kasztelanem. Z takim zapalem przedstawiali swoje racje, że całkiem go pozyskali dla walki z Elżbietą Batorówną. On sam postanowił pojechać do platyna i poprosić go, aby się w to wdał, napomniał grafkę i chronił przed nią słabych i bezbronych.

— Nie pokładam zbyt wielkich nadziei w poselstwie kasztelana — mówił Jan Kalina. — Jestem wszakże przeświadczony, że będzie z korzyścią dla sprawy, jeśli palatyn dowie się o wszystkim od człowieka, któremu ufa. Nie wątpię, iż w następstwie tego każe mieć czachticką panią na oku, a kiedyś i jego cierpliwość się wyczerpie i zdecyduje się położyć kres jej okrucieństwow.

— Kruk krukowi oka nie wykołę - rzekł z powątpiewaniem Paweł Lederer. - Wszyscy panowie ciągną za jeden sznur.

— Palatyn powszechnie jest uważany za człowieka sprawiedliwego - bronił swoich nadziei Jan Kalina.

— Pańska sprawiedliwość! — Paweł Lederer wzgardliwie machnął ręką. — Elżbieta Batorówna może wymordo-

wać nawet pół Czachtic, nie wierzę, aby znalazł się na świecie pan, który by jej za to skreślił kark!

— Pora już jednak, Pawle, rozstać się, nie jestem bowiem sam. Przy drodze, ukryta za drzewem, czeka moja narzeczona, Marisza Szutowska.

Przyjaciele odszukali dziewczynę, która drżała ze strachu czy Jana Kaliny znów nie spotkało jakieś nieszczęście.

Paweł doradził druhowi, aby udał się z narzeczoną do Starej Tury, tam wywiedziały się, w jakim kierunku pojechał wóz ze starcem i dwiema kobietami, poczym najął furmana i dogonił ich. Jan Kalina też zamyślał tak uczynić. Pragnął zobaczyć siostrę, znaleźć dla niej schronienie i ukryć tam również narzeczoną.

Przyjaciele serdecznie uścisnęli sobie ręce.

— Trzymajcie jeno na wodzy serca — upomniał Paweł Jana i jego narzeczoną - aby wam nie zmiękły na widok przywiązanych do drzew hajduków i tej staruchy, gdy na tkniecie się na nich.

— Nie obawiaj się — uśmiechnął się Jan Kalina serce mi nie drgnie, choćby nawet wilki ich rozszarpały Aha Pawle, jeśli będziesz mógł, przekaz kapitanowi Imrichowi Kenderessyemu moje słowa: za ocalenie Magdusi, z jakichkolwiek pobudek to uczynił, w przyszłości, gdy spotkamy się w boju — a spotkamy się niechybnie raz daruję mu żywot!

10. Do Preszporka

Nieposłuszny kasztelan

— Odchodzę stąd pocieszony, przyjacielu — rzeki Jan Ponicensus żegnając się z kasztelanem. — Ciężkie brzemie spadło mi z serca.

Leżący na pościeli Mikołaj Loszonsky, otoczony wałem ksiąg, machnął cierpko ręką:

— Nie raduj się przedwcześnie. Stary jestem, w moim osłabłym ciele dusza już tylko układa się do drzemki. Kto wie, czy śmierć nie dosięgnie mnie wcześniej, niżli dotrę do palatyna.

— Da Bóg, że tak się nie stanie!

Mikołaj Loszonsky nie uważał się już za kasztelana czachtickiego kasztelu, dumnie wznoszącego się nad Wiśniewem, o pół godziny drogi od Czachtic. Postanowił, że jak tylko nabierze nieco sił, uda się do grafki i poprosi, aby ze względu na podeszły wiek przepuściła go ze służby.

Lecz znalazł się u grafki wcześniej, niż przypuszczał. Jeszcze się nie rozwidniło, gdy z pólśnu wyrwało go rozgłośne stukanie do drzwi. To była Dora, która przyszła z wezwaniem od pani.

— Wstawajcie, waszmość kasztelanie! — zakrzyczała. — Macie bezzwłocznie iść do pani, jedzie bowiem do Preszporka i jeszcze przed odjazdem chce z wami pomó-

wić.

Wstał i otworzył Dorze.

— Jakżeś się, na Boga, dostała do kasztelu?

Zamachała olbrzymim kluczem:

— Wiedziałam, że jeszcze śpicie tak twardo, że można by was razem z kasztelem przenieść na koniec świata, wzięłam przeto klucz z zamkowej odźwierni. Szczęście, że brama nie była od wewnątrz podparta albo zabarykadowana Mogłabym łomotać do wieczora.

— W istocie masz szczęście, gdybym bowiem nawet po słyszał, że się dobijasz, nie wiem, czy starczyłoby mi sił, by pójść ci otworzyć. Toteż wracaj do pani i powiedz, aby mi wybaczyła, lecz słabość nie pozwala mi pośpieszyć do niej.

— Na dole czeka wóz, waszmość kasztelanie. Tak tobie pomyślałam, że droga do zamku bardzo by was wyczerpała.

Po chwili wahania zdecydował się:

— Dobrze, Doro, jedziemy!

Ubrał się. Włożył paradny strój. Nie zapomniał o pasie z pistoletem i szablą. Lecz już tych kilka ruchów go wyczerpało. Gdy brał łaskę, aby mieć się na czym opierać, zachwiało się.

Dorę widok kasztelana, wystrojonego jak na paradę wojskową, pobudzał początkowo do śmiechu, lecz z całej jego postaci biło takie dostojeństwo, że bez cienia szyderstwa zaofiarowała się:

— Powinniście szczerzyć siły, waszmość kasztelanie. Ja mam ich dosyć, z ochotą zaniosę was na wóz.

I wyciągnęła ku niemu swe krzepkie ręce, chcąc go podnieść jak małego chłopca. A zrobiła to z jakąś czułością, bowiem kasztelan był jedynym człowiekiem, którego służba czachtickiej pani darzyła szczerym szacunkiem. Nigdy nikogo nie skrzywdził. Wszyscy poważali go nie tylko z

powodu siwych włosów, lecz także z racji, że zajmował się gwiazdarstwem. Jako człowiek wyznający się w gwiazdnych tajemnicach niebios, budził ogromny respekt.

Gotowość Dory rozdrażniła go:

— Przyznaję, że jesteś mocniejsza ode mnie, lecz niewiasta nie będzie nieść nawet mego trupa!

Powolnym, niepewnym krokiem, odpoczywając co chwila, oparły o ścianę, doszedł o własnych siłach aż do wozu. Tak go to jednak wyczerpało, że Dora, nie zważając na sprzeciw, wniosła go jak piórko i usadowiła na wozie.

Kasztelan był rad, iż mimo słabości zdecydował się stanąć przód obliczem czachtickiej pani. Jest to dobra sposobność, aby nie zwlekając podziękować za kasztelaństwo i poprosić o zwolnienie.

Kiedy chwiejnie wkroczył do sali przyjęć i usiadł w fotelu, Elżbieta Batorówna jeszcze harcowała gdzieś na Wicherze. Lecz już po chwili na podwórku rozległ się stukot kopyt.

Cały zamek był na nogach. Czyniono ostatnie przygotowania do podróży.

Grafka, której Dora oznajmiła, że kasztelan już czeka, weszła do sali z zaróżowionym obliczem, Ranna przejażdżka, ekscytacja podróżą, zapal bojowy i niezłomna wiara w pewne zwycięstwo — wszystko to podziałało na nią odświeżająco. Przywitała kasztelana nadzwyczaj serdecznie, To go ośmieliło:

— Zestarzałem się, miłościwa pani, jedną nogą stoję już w grobie. Proszę o uwolnienie ze służby

Prośba kasztelana zaskoczyła ją.

— Jak to? Chcecie mnie opuścić, mości kasztelanie, i to właśnie teraz, kiedy wszystko sprzysięgło się przeciw mnie i kiedy najbardziej potrzebuję ludzi godnych zaufania?

— Właśnie: dlatego jestem już zbyt cenny. Moje miejsce winien zająć człowiek młodszy, który nie tylko będzie pia-

stował godności kasztelana, lecz również wypełniał związane z tym powinności.

Po chwili zastanowienia odparła:

— Nie mogę was przymusić, abyście pozostali w moich służbach, i nie mogę nie przychylić się do waszej prośby. Jako dotąd nie było między nami najdrobniejszego nawet sporu, tak i rozstaniemy się w zgodzie i przyjaźni. Dziękuję wam za dotychczasową służbę.

I z zagadkowym uśmiechem podała mu rękę. Zamiótł czapką w dwornym ukłonie jak w czasach, kiedy był jeszcze młodym gibkim rycerzem, i ucałował jej dłoń.

— Na pożegnanie mam do was prośbę. Byłabym wielce zobligowana, gdybyście zechcieli wyświadczyć mi drobną przysługę.

Uczynię wszystko, co jest w mojej mocy!

— Wyjeżdżam do Preszporka i zapewne zabawię tani dłużej. Dla swojej obrony przed rebeliantami i zbrojnikami oraz dla obrony prawa i ładu sprowadzę wojsko. Mój cichy zamek zaroi się ludźmi, toteż muszę zwiększyć ilość służby. Chcę być otoczona przyzwoitymi, uczciwymi służebnymi, toteż wam pragnęłabym powierzyć ich wybór i najem.

Krew w nim zawrzała, lecz starał się pomiarkować:

— Nie mogę się podjąć takiego zadania!

— Dlaczego? — twarz jej zachmurzyła się złowrogo.

— Szlachcicem jestem! — odparł dumnie. Byłby to dla mnie dyshonor najmować służbę dla innych.

— I jedynie dlatego odmawiacie mi tej przysługi?

— Nie — odrzekł, z trudem powściągając gniew nie jest to jedyny powód, lecz wystarczający!

— Powiedzcie wprost, co macie na myśli!

— W całym dorzeczu Wagu nie ma dziewczyny, która by dobrowolnie poszła na służbę do czachtickiego zamku!
— odparł wymijająco, lecz i tych słów było dosyć, by wy-

zwolić jej hamowany gniew.

— Dlaczego? — krzyknęła.

— Nie wiem! — odpowiedział kasztelan. — Nie moja jest rzeczą dochodzić tego.

Skoczyła, jakby chciała rzucić się na starca.

— A przecie dochodziliście! — krzyczała. — Znosiłam cierpliwie, że miał spełniać swoje obowiązki, gapicie się w gwiazdy! Oto wasza podzięka! Odmawiacie mi takiej błahostki i choć nie mówicie tego wprost, przyznajecie się, iż spoglądaliście nie tylko w gwiazdy i że mniemacie o mnie to samo, co ta czachticka hałastrą z owym przeklętym klechą na czele. Precz mi z oczu!

Grad wyrzutów i obelżywych słów spadł na białą głowę starca, który daremnie usiłował dojść do słowa,

— Ficko! — wrzasnęła pani, którą widok kasztelana rozjuszał coraz bardziej.

Ficko wpadł do sali przyjęć, jakby wyskoczył spod ziemi.

— Wyrzuć tego człowieka!

Ficko spojrzał na starca stropiony. Kasztelana zawsze poważał i poza panią był to chyba jedyny człowiek, którego szczerze szanował. I to już od dzieciństwa. Kasztelan wielkocrotnie obronił go przed gromadą rozbuchanych dzieciaków, które dręczyły go przejawiając w ten sposób wrodzony wstręt do kaleki, wyrzutka natury. Ileż to razy ujął go — wystawionego na wzgardę i prześmiechy — ze współczuciem za rękę, rozpędziwszy i zawstydzony urwisów, i prowadził do kasztelu, a po drodze tak pięknie z nim mówił jak nikt inny.

Na widok siwej głowy i dostojnej postaci kasztelana ożyły w nim dawne wspomnienia, lecz roziskrzony złością wzrok pani rozpraszał je, wykluczał jakiegokolwiek względy, pchał do czynu. Już nic dla niego nie istniało, widział przed sobą jeno ofiarę, na którą ma się rzucić.

— Szlachcicem jestem, miłościwa pani — rzekł kasztelan prostując się dumnie — i nie pozwolę obrażać swego stanu. Odwołajcie rozkaz wydany słudze. Szlachcica jeno szlachcic śmie tknąć!

Sala przyjęć rozbrzmiała śmiechem.

— Co mi tam wasze szlachectwo! Ficko, pokaż mu najkrótszą drogę z zamku!

Ficko sprężył się do skoku.

Nawet zranionej reki nie będzie szczędzić. Choćby miała odpaść mi z bólu, spełni rozkaz pani ku jej całkowitemu zadowoleniu. Wyrzuci kasztelana z takim impetem, że nigdy już się nie podniesie.

Lecz kasztelan, jakby odmłodził i wrócił do sił, prawicą wyszarpnął zza pasa pistolet, lewą ręką wyciągnął z pochwy szablę i machnąwszy nią zakrzyknął jak niegdyś w bitewnym zgielku:

— Pójdź, Ficko, jeśli ci żywot niemiły! Naszpikuję cię ołowiem, zasiekę jak parszywego psa!

Pani oniemiała ze zdumienia, a Ficko skamieniał. Spoglądał w twarz podwójnej śmierci. Zaś Mikołaj Loszonsky wycofywał się pod osłoną pistoletu i szabli.

— Nie trzeba mnie z czachtickiego zamku wyrzucać — powiedział w drzwiach. — Sam stąd wychodzę z największą radością. Nie poczytuję sobie za zaszczyt przebywania w jego murach!

Na podwórca i na ulicy otoczyli go ludzie, on zaś kroczył w milczeniu, z pistoletem w jednej i obnażoną szablą w drugiej ręce.

Siły wszakże rozgorzałe pod wpływem wzburzenia uchodziły zeń z każdym krokiem. Pistolet zatknął za pas, a szablą już się jeno podpierał,

Zmierzał na plebanę, lecz nawet tych stu kroków by nie przeszedł, gdyby Jan Ponicens nie wybiegł mu naprzeciw.

A w zamku Ficko bluzgał bezbożnymi klątwami.

— Chwile kasztelana są policzone! — krzyczał. — Miłościwa pani, przysięgam, iż pošlę go do piekła!

Wiedział, że jedynie w ten sposób zdoła nieco uśmierzyć rozsierdzoną panią, przyszło mu też do głowy, iż oto ma najlepszą sposobność do zemsty na kapitanie. Toteż opowiedział, jak rano znaleziono dwóch hajduków i Erzę, którzy wieźli pojmaną Magdusię Kaliniankę, przywiązanych do drzewa przez pandurów.

— A dlaczego pandurzy napadają na moich ludzi — zapłonęła gniewem grafka.

— Nie wiem — uśmiechnął się chytrze Ficko — lecz nietrudno to odgadnąć. Kapitan rozmiłował się w Magdusi, więc posłał swoich trzech najwierniejszych pandurów, aby ją uwolnili!

— Niechaj kapitan tu przyjdzie!

Kapitan wkroczył z uśmiechem, aczkolwiek przeczuwał, iż spadną nań gromy. Gdy spojrział na chmurną twarz grafki i uśmiechającego się obłudnie Ficka, wiedział od razu, co się święci.

— Cóż się to dzieje, mości kapitanie? — obruszyła się grafka — Wasi pandurzy napadają na moich hajduków!

Ficko wykrzywił się tryumfująco. Kapitan podszedł aż do grafki. Słuchał w milczeniu, a uśmiech nie zniknął mu z oblicza, co grafkę przyprawiało o coraz większą wściekłość.

— Zapomnieliście o swoim rodzie i o godności swego stanu, mości kapitanie, darząc miłością poddanek. A uwalniając ją dopuściliście się czynu karygodnego.

Kapitan nadal milczał, a grafka straciła panowanie nad sobą.

— Wniosem skargę do waszych przełożonych i postaram się, aby kara was nie minęła. Nim to wszakże nastąpi, sama was ukarze.

I uderzyła go dwukrotnie w twarz, z prawa i z lewa.

Na policzkach czerwieniały mu ślady palców. Krew w nim wrzała, lecz nie przestał się uśmiechać:

— Spoliczkowanie przez was, miłościwa pani, poczytuję sobie za zaszczyt, albowiem dotyk waszej ręki może jeno zaszczycić każdego mężczyznę, w którym nie wymarły rycerskie uczucia. Jeśli uznacie mnie za winnego, sam oskarżę się przed swoimi zwierzchnikami, póki zaś nie wydadzą wyroku, wszystką swoją broń i odznaki kapitańskiej godności złożę u waszych stóp.

Rycerskość kapitana miała zadziwiający efekt. Twarz grafki jęła się rozjaśnić, natomiast Ficko jął się wiercić niespokojnie.

— Wpierw jednak proszę, abyście mnie wysłuchali.

— Słucham.

— Miłościwa pani, waszą niechęć do mnie mógł wzbudzić jedynie Ficko, nękaną ślepą zazdrością. Przejrzałem go na wskroś, aż do dna jego płytkiej duszy, i wiem, co wymyślił, aby mi zaszkodzić w waszych oczach. Obwinił mnie, że rozgorzałem miłością do waszej poddanki i dzisiejszej nocy uwolniłem ją z pomocą pandurów.

Ficko czuł się jak mysz, z którą igra swawolny kot.

— W istocie — ciągnął kapitan — to Ficko rozmiłował się w Magdusi Kaliniance, która prawdziwie miała szczęście, że udało jej się uciec, albowiem nie dostałaby się w wasze sprawiedliwe ręce, lecz we władzę Ficka dyszącego żądzą zemsty za odtrącone zaloty!

— Kapitan łże! — wrzasnął Ficko.

— Sumituję się, jeśli moi pandurzy istotnie mieli jakiś udział w tej sprawie. Jestem przeświadczony, iż uczynili to jeno przez pomyłkę, odszukam wszakże winnych i ukarzę ich jak najsurowiej. Wasz sługa, miłościwa pani, obraził mnie w waszej obecności, raczcie przeto pozwolić, abym

bezwzględnie zyskał zadośćuczynienie, tutaj, przed waszym obliczem.

— Kapitan łże, łże! — krzyczał Ficko.

— Wybaczcie, miłościwa pani, że zajmuję wam czas swymi osobistymi sprawami mówił dalej kapitan — lecz pragnę, by nie padł na mnie nawet cień podejrzenia. Osądźcie sami: jestem żonaty, mam w Preszowie lubą żonę i czworo ukochanych dzieci. Byłem najszcześniejszym człowiekiem, póki żołnierska powinność nie oderwała mnie od domowego ogniska. Jedynym moim pragnieniem jest powrócić do rodziny. Czyż mógłbym sprzeniewierzyć się żonie i dzieciom i splamić swój honor i nazwisko z poddanką?

— Łże, łże! — wrzeszczał Ficko.

Kapitan czuł, że jest panem sytuacji. Odwrócił się od grafki, której przychylności odzyskał, i spojrzał na Ficka lodowato.

— Ficko, twoją powinnością jest milczeć kiedy mówi szlachcic, i trzymać język za zębami, choćby nawet łgał!

I przyskoczywszy do niego wznosił szpicrutę.

— Nauczę cię moresu, abyś wiedział, jak masz się zachować wobec szlachcica!

Szpicruta zaświstała. Ficko podskakiwał jak szalony, twarz pokryły mu ciemne pręgi. Krew w nim kipiała, mało nie pękł ze złości, lecz nie odważył się bronić. Pani się śmiała.

W końcu Ficko, zbity jak pies, ratując skórę rzucił się do drzwi. Oblicze mu płonęło, z bólu i upokorzenia zgrzytał zębami.

Imrich Kenderessy podszedł do grafki:

— Proszę o wybaczenie, miłościwa pani, że nie zdołał nad sobą zapanować, wszelako obraza doznana od Ficka, a zwłaszcza jego nikczemne zabiegi, aby pozbawić mnie waszej przychylności, którą cenię sobie nade wszystko, od-

jęły mi rozwagę.

— Podobacie mi się, waszmość kapitanie — uśmiechnęła się.

Ucałował jej rękę i skłonił się dwornie.

— Odzyskaliście moją przychylność!

Wtem z korytarza dobiegł przeraźliwy krzyk. Grafka zbladła, zaś kapitan bezwiednie zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu.

—Erzika jest w niebezpieczeństwie! — zawołała grafka. I wraz z kapitanem rzuciła się do drzwi.

Zniweczone nadzieje

Erzika Priborska przez całą noc nie zmrużyła oka. Godzinę po godzinie odmierzało trąbienie ponocnego, którego śpiew nigdy jeszcze nie brzmiał w jej uszach tak lamentliwie i smutno. Sen zmorzył ją dopiero, gdy do izby zajrzał świt. Wtedy — już zdecydowana, że rano ucieknie — trochę się uspokoiła. Opuści zamek, ale i w Wierzbowie już się nie pokaże. Była zagniewana na Beniamina Priborskiego. Jedyne na wspomnienie Marii Priborskiej i Michała opanowała ją tęsknota. Czyżby miała nigdy więcej ich nie ujrzeć?

Słońce wykonało zaledwie drobną cześć swojej dziennej pracy, kiedy otworzyła okno. Z rozkoszą wdychała świeże ranne powietrze i rozglądała się po dziedzińcu.

Był pusty, jeno od czasu do czasu pojawiał się na nim jakiś hajduk albo poddany. Ci nie ośmielały się jej zatrzymać. Lecz nagle podwórzec zapełnił się służbą. A i przez bramę zaglądało sporo ciekawskich. Teraz nie może uciec. Z zamku wyszedł kasztelan Mikołaj Loszonsky, wyprostowany dumnie, a ludzie wybałuszali nań oczy. Potem ujrzała kapi-

tana pandurów. Zmierzał do sali przyjęć. Tlum nie rozchodził się. Tam niechybnie dzieje się coś osobliwego. Erzice znów błysnęła nadzieja. Wszyscy tak są zaaferowani, że może wcale jej nie zauważą.

Po krótkim wahaniu wymknęła się na korytarz.

Ledwo wszakże zrobiła kilka kroków, stanęła wylękioną.

Z sali przyjęć posłyszała krzyki i tupot nóg, jakby toczyła się tam jakaś zaciekła walka. Akurat kiedy dodała sobie odwagi i znów zrobiła parę kroków, z sali wypadł Ficko. Włosy miał rozczochrane, a twarz poznaczoną krwawymi pręgami.

Gnał na oślep, prosto na nią. Lecz spostrzegł ją dopiero wówczas, gdy omal jej nie potrącił. Stał jak wryty i wytrzeszczył zamglone wściekłością oczy. Zgrzytnął zębami. Zdało się jej, że urasta do nadludzkich wymiarów.

A on już przeżył się do skoku. Rozgorzała żądza zemsty była silniejsza od zakazu pani.

Erzika patrzyła na niego jak skamieniała, lecz raptem przemknęło jej przez głowę podejrzenie, czy nie dowiedział się, że to ona przestreliliła mu rękę.

— Na pomoc! — krzyknęła rozpaczliwie.

Ficko już odbił się od ziemi.

Erzika odskoczyła. A że Ficko w locie wyszarpnął z temblaka zranioną rękę, obie jego ręce trafiły w próżnię, tak same jak i nogi. Runął na ziemię, aż po korytarzu poszedł łoskot. Erzika rzuciła się do ucieczki. Ficko zaklął, zerwał się z podłogi i pognął za nią.

W tej samej chwili z sali przyjęć wybiegł kapitan, Erzika wpadła na niego całym impetem. Zatoczył się, lecz nie upadł, a nawet zdołał pochwycić ją w ramiona.

Tuż za kapitanem na korytarzu pojawili się Elżbieta Batorówna. Ficko zoczywszy ją stanął, jakby wyrósł przed nim nieprzebyty mur. Na pobladłym nagle obliczu odzwier-

ciedłał się już tylko śmiertelny strach, trząsał się jak osika. Grafce wystarczyło jedno spojrzenie na drżącą w objęciach kapitana Erżikę i na stojącego przed nią zdjętego przerażeniem Ficka, by odgadła, co się tu zdarzyło.

— Ficko! — Głos załamywał jej się z szalonego gniewu — Igrasz swoim żywotem! Złamałeś mój zakaz!

Erżika wyrwała się kapitanowi i chciała uciekać, lecz przykuł ją do miejsca przerażający widok. Elżbieta Batorówna szpicrutą kapitana zajadłe smagała Ficka. Klęczał nie ośmielając się nawet osłonić rękami, zaś szpicruta ze świstem cięła go po całym ciele. Twarz miał już zalaną krwią. Gdyby mógł, zapadłby się pod ziemię.

Gdy się zadyszała, odrzuciła szpicrutę i zwróciła się do kapitana:

— Mości kapitanie, wygnajcie tego krnąbrnego sługę na podwórzec, każcie położyć go na dereszcu i wymierzyć mu sto kijów!

Kapitan kopnął Ficka:

— Ruszaj!

Elżbieta Batorówna podeszła do Erżiki, która po tym wszystkim wybuchnęła spazmatycznym płaczem, i objęła ją.

Chodź, Erżiko, i uspokój się. Nic ci się nie stało i nie staniu. Biada temu, kto by się poważył cię skrzywdzić!

Tymczasem Ficko ze spuszczoną głową włókł się przed kapitanem przez dziedziniec.

Służba zbiegła się ze wszystkich zakamarków zamku, wokół czerwieniwały mundury pandurów i hajduków.

Gdy Ficko położył się na dereszcu, jak by kładł głowę pod topór, zebrani gapie, którym ze zdumienia odjęło mowę, wytrzeszczyli oczy. Czy to możliwe?

Kapitan skinął na hajduków:

— Przywiązać!

Hajdukom serca podskoczyły z uciechy. Dożyli tego, że i Ficko popróbuje, jak się leży na dereszu. Przywiązali go tak mocno, jak nigdy nikogo, chociaż groźnie wyszczerzał na nich zęby.

— Sto kijów! — wydał kapitan rozkaz.

Na dziedzińcu zaszumiało.

Sto kijów!

To przechodziło wszelkie oczekiwania. Przy dereszu stali czterej hajdacy. Każdy miał wymierzyć Fickowi dwadzieścia, pięć uderzeń. Pierwszy już bił. Z całej siły. Świst kijów i głuchoe odgłosy razów były dla poddanych i hajduków najpiękniejszą muzyką, jaką kiedykolwiek słyszeli.

Tymczasem grafka wprowadziła Erżikę do sali przyjęć. Tuliła ją do siebie. Erżikę palił dotyk jej ramion, kilkakrotnie usiłowała się wyrwać. Lecz za każdym razem grafka przytulała ją jeszcze silniej i goręcej.

— Uspokój się, Erziko! — powtarzała tkliwie.

Jednakże Erżika nie mogła się uspokoić. Matka głaskała ją po włosach i policzkach, przemawiała do niej z czułością, lecz była bezradna, nie wiedziała, co uczynić, by w oczach Erżiki znowu zabłyśły iskierki śmiechu.

Za jedyną przyczynę jej wzburzenia i płaczu uważała Ficka, toteż zalała ją nowa fala gniewu na niego.

Na podwórku już czwarty hajduk łoił Ficka. Leżał na dereszu jak kawał drewna, najsłabszym ruchem nie reagując na uderzenia. Hajduk w mig był gotów i jął odwiązywać Ficka.

— Jeszcze sto kijów! — krzyknęła grafka z okna.

Ficko już chwilami tracił przytomność. Kiedy padł rozkaz, aby wymierzyć mu jeszcze sto kijów, hajdacy i gapie otaczający dereszu zdrętwieli, widząc jego wykrzywione potwornie oblicze, Ale nie żalowali go.

Jedynie Erżika zlitowała się nad nim.

— To by go uśmierciło! Nie chcę, by ktokolwiek umarł

przeze mnie — powiedziała cała we łzach.

— Dosyć! — zawołała pani.

Ficko zwałił się z deresza jak kłoda.

Przybiegła Dora z konwią i oblała go wodą. Ocknął się z zamroczenia, zajęczał, usiadł i przekrwionymi oczyma powiódł po dziedzińcu.

Każdego, o kogo zawadził wzrokiem, przejmował mróz. Dziedziniec w jednej chwili opustoszał. Ficko wyteżył siły, usiłował się podnieść. Bezskutecznie.

— Pomogę ci — rzekła Dora, która rada była, gdy miała sposobność pochłubić się swoją siłą.

Ficko nie sprzeciwiał się. Dora jedną ręką chwyciła go za kołnierz i trzymając jak najdalej od siebie, aby się nie zamoczył, niosła do jego komórki.

Erzika uspokajała się z wolna. Zastanawiała się usilnie, jak uciec z zamku. Matka stała przed nią milcząca i smutna.

— Powiedz, co cię gnębi, co cię trapi? — spytała miękko i objęła ją.

Erzika próbowała wysunąć się z jej ramion.

— Dlaczego odsuwasz się ode mnie i bronisz się przed moimi pocałunkami? Dlaczego ani razu jeszcze nie powiedziałeś do mnie: mamó?

Erzika milczała. Po chwili, widząc że Elżbieta Batorówna wciąż czeka na odpowiedź, rzekła błagalnie:

— Proszę, nie przymuszajcie mnie, bym okazywała swoje uczucia. Pozwólcie mi wyjechać!

Elżbietę Batorównę jakby oblano lodowatą wodą. W sercu, jeszcze przed sekundą przepelnionym po brzegi macierzyńską miłością, budził się gniew. Urażona duma podsyciła go.

— Dlaczego nie otworzysz serca przed matką? I dokąd chcesz jechać? — zapytała sucho.

— Proszę, puśćcie mnie! Elżbieta Batorówna wybuchnę-

ła gorzkim śmiechem:

— Mam cię puścić do tego przekłętego zbójnika Andrzeja Drozda, abys zawisła kiedyś u jego boku na szubienicy?

Erzika rozgorzała. Śmiech i szydercze słowa matki wyzwoliły w niej opór i chociaż rozum nakazywał jej milczeć, już nie była w stanie się pohamować.

— Tak! — zawołała. — Chcę pojechać do Andrzeja Drozda, albowiem nie mam na świecie nikogo, kto szczerze pragnąłby mojego szczęścia. Chcę pójść za głosem swego serca!

— Zostaniesz tutaj! — huknęła na nią matka. — Pojedziesz ze mną do Preszporka. Jesteś niedoświadczona, nie znasz życia, ja zadbam o twoje szczęście!

— I zapewnicie mi je — rzekła ostro Erzika — w postaci jakiegoś zgrzybiałego wielmoży, który jedną nogą stoi już w grobie i marzy, aby wróciła mu młodość. Młoda żona nie przywróci mu młodości, przeciwnie, w krótkim czasie odziedziczy po nim krociowy majątek... Nie, ja nie pragnę takiego bogactwa!

— Milcz! Powiedziałam, że pojedziesz ze mną do Preszporka. Rozkazuję ci to prawem matki!

— Prawem matki? Nie uznaję was za matkę, tak samo jak wyście nie uznali mnie za córkę. I teraz czynicie to jeno w czterech ścianach tej komnaty!

Elżbieta Batorówna zerwała się z fotela.

Stała przed córką z rozplómiennym obliczem. Zrobiła ruch, jakby chciała rzucić się na nią, lecz coś ją powstrzymywało. Więc tylko stała milcząca i groźna. W Erzice wszakże jej złowroga postawa nie wzbudziła strachu, podsycała natomiast bunt i odwagę.

— No, rzućcie się na mnie — rozłożyła ramiona — i własnoręcznie ukarście za nieposłuszeństwo, jak to czynicie ze swoimi służebnymi...

Oszłomiła ją świadomość, iż Erzika odkryła tajemnicę, którą tak pieczołowicie przed nią ukrywała.

— Jestem w waszej mocy. Nie będę się bronić, niechaj nocą wspólnie z uśmierconą szwaczką pochowają po kryjomu i mnie!

Elżbieta Batorówna wykazała zadziwiające opanowanie, jakby nie słysząc słów Erziki, rzekła chłodno:

— Pytam cię po raz ostatni. Czy podporządkujesz się mojej woli i będziesz mi posłuszna, zważywszy, że pragnę jeno twego dobra?

— Nie!

— Przeto wbrew twojej woli muszę cię bronić przed zgubą! Zabiorę cię do Preszporcka przemocą!

— Nie zabierzecie! — krzyknęła Erzika, dopadła okna przesadziwszy je, co siłą w nogach pobiegła przez dziedzińiec do bramy.

Matka przyskoczyła do okna. Akurat z czeladni wychodziła Dora,

— Dora, goń ją! — zawołała pani.

Dora tylko się rozejrzała, kogo ma gonić, i już chyżo jak wiatr pędziła za Erziką. Ledwo wybiegła z bramy, znalazła się w jej żelaznym uścisku. Szamotała się, kopała i drapała, lecz Dora nie zwracała na to uwagi, uspokajała ją z uśmiechem:

— No, no, nie szarp się, bo będę musiała cię poskromić, co nierada bym uczyniła przez wzgląd na to, żeś takie chuchro.

Za chwilę przywiodła Erzikę do grafki, dumna, iż tak szybko wykonała rozkaz.

Erzika stała przed matką z zaciśniętymi ustami. Tylko jej oczy mówiły. Gorejące wyrzutem oczy, spojrzenie których wbijało się w serce matki niby nóż.

— Dora, zanieś ją do sypialni i zamknij! — poleciła su-

cho.

Drzwi zamknęły się za Erzika. Rozejrzała się po tonącej w półmroku sypialni, przesiąkniętej oparami wonności z lamp, jak po krypcie, w której żywcem ją pogrzebano.

Siadła na wysokiej poduszce i patrzyła przed siebie z twarzą skupioną, jakby spoglądała w tajemniczą, nieodgadnioną przyszłość. Zaś jej krnąbrny duch gorączkowo szukał wyjścia z tej sytuacji.

Stopniowo godziła się z wyjazdem do Preszporcka, albowiem utwierdziła się w przekonaniu, że stamtąd łatwiej jej będzie uciec niż z Czachtic. Chociaż będą jej pilnować, to przecież Priborskich do niej dopuszczają. Michał zanieśe Andrzejowi Drozdowi w góry jej posłanie, że tęskni za nim i przyzywa go na pomoc.

Nadzieja, że przybędzie, rozgrzewała jej udręczone serce.

— Zamknęłam ją! — oznajmiła Dora czachtickiej pani.

— Dobrze. Płacze?

— Nie, siedzi cicho jak trusia.

— Możesz odejść!

Gdy została sama, padła na fotel i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

Zgasła ostatnia iskierka

Erzika była zamknięta niemal do wieczora. Tylko w południe służebna przez ostrożnie uchylone drzwi podała jej obiad. Nawet go nie tknęła.

Nad wieczorem drzwi otworzyła sama matka.

— Erziko, zbieraj się, wyjeżdżamy. Przenocujemy w moim kasztelu w Pieszczanach, a wczesnym rankiem ru-

szymy w dalszą drogę. Nie radzę ci próbować ucieczki. Nie powiodłaby ci się, a jeno dostarczyłabyś służbie wdzięcznego tematu plotek.

Bez słowa szła za matką.

Na podwórku już zebrał się tłum służby i poddanych, jak zawsze, gdy pani udawała się w drogę.

Przy bramie czekało pięciu konnych hajduków wyprzedzających lśniący kocz pani, przed którym niecierpliwie grzebała kopytami czwórka koni, za koczem zaś stało szeregiem pięć wozów załadowanych sepetami z odzieżą i darami dla paladyna Jerzego Thurzo i preszporskich przyjaciół i krewnych. Na końcu, za taborem wozów, znowu pięciu konnych hajduków. Hajducy i furmani uzbrojeni byli po zęby, albowiem towarzyszyli pani nie tylko w tym celu, aby dodać blasku jej orszakowi, lecz przede wszystkim po to, aby miał jej kto bronić przed napaścią grasujących samopas Turków albo zbójników.

Obok każdego furmana siedział na koźle hajduk. Na pierwszym wozie za koczem usadowiła się wystrojona Dora, którą pani w ostatniej chwili postanowiła zabrać ze sobą. Chciała, aby służebne czuły nad sobą jej twardą rękę i aby odeszła je chętnie drapnąć po drodze.

Czachticka pani, wiodąc Erżikę za drżącą rękę, majestatycznym krokiem podeszła do koczka. Stały tam Ilona, Anna, Katarzyna, kilka starszych i dwie młode służebne.

— Odjeżdżam — zwróciła się do nich — przeświadczona, iż mogę na was polegać i że po powrocie zastanę wszystko w największym porządku. Że spełnicie wszystkie moje polecenia i obietnice, któreście mi złożyły.

— Służebne ugiwały się w ukłonach, życzyły jej przyjemnej każdy i szczęśliwego powrotu.

Także kapitan Kenderessy przyszedł się pożegnać.

— Gdyby powinność nie przykuwała mnie do Czachtic — uśmiechał się całym obliczem — z największą radością

towarzyszyłbym wam jako wasz stangret...

Uśmiechnęła się do niego i podała mu rękę. Świadkiem tej sceny był również Ficko, który zwał się z posłania do okna, aby widzieć odjazd pani. Ujrawszy kapitana całującego dłoń grafki, w napadzie furii chwycił wielki nóż i cisnął nim o ławę, jakby mierzył w czyjeś serce.

— I ja rada miałabym was w pobliżu odparła. — Skoro wszakże nie jest to możliwe, dam wam inną sposobność do wyświadczenia mi przysługi. Powierzam waszej opiece mojego miłego Wichra.

Weszła do powozu, wskazała obok siebie miejsce Erzice i skinęła na dwie dziewczyny służebne, aby siadły naprzeciw. Miały spełniać drobne posługi podczas jazdy.

Czachticzenie wylegli na ulicę i w milczeniu odprowadzali wzrokiem orszak. Grafka nie spoglądała ni w prawo, ni w lewo. Upajała się wyobrażeniem, iż niebawem powróci wiodąc za sobą wojsko.

Drogi ubywało. Milczała matka, milczała i córka. Między ich myślami i uczuciami rozwierała się bezdenne przepaść, której nie dało się zasypać słowami.

W pobliżu Pieszczan Elżbieta Batorówna w małym zwierciadle, które trzymała przed nią służebna, przyjrzała się badawczo swojej twarzy, uśmiechnęła się do odbicia i jęła poprawiać uczesanie.

Wtem na gościńcu rozległy się jakieś okrzyki, pomieszany wrzask hajduków i furmanów, i kocz nagle stanął z takim szarpnięciem, że grafka i Erzika omal nie padły służebnym na kolana.

Grafka wychyliła się z kocza, by stwierdzić, co się stało, to samo uczyniła Erzika. Grafka z prawej strony widziała jeno gęsty las, lecz Erzika, siedząca po lewej stronie, zobaczyła coś więcej. Serce zabiło jej z szalonej radości, oczy zajaśniały i wykrzyknęła oszołomiona:

— Andrzej Drozd!

Na ten okrzyk grafka zwróciła oczy w lewo i choć w pierwszej chwili ujrzała tylko potężny tułów zasłaniający wszelki widok, wychyliła się gwałtownie, przyciskając córkę do ścianki kocza.

Zbladła.

Obok kocza w istocie stał Andrzej Drozd, którego najchętniej by widziała na dnie piekieł. Hajducy również spoglądali na niego jak na zjawę. Służebne natomiast rozgorzałym i wzrokiem mierzyły jego postać. Pragnęły, aby rozniósł w puch wszystkie wozy razem z, czachticką panią, hajdukami i Dorą, i zabrał je ze sobą w góry, skąd mogłyby wrócić do swoich domów, do rodziców i miłych, nieprzezwajających nawet, do jakiej służby trafiły.

Erzika wyskoczyła z kocza. Andrzej Drozd drgnął ze zdumienia. Fala gorącej krwi napłynęła mu do serca. W tej chwili zapomniał o wszystkim. O wozach, krzyczących kobietach, nawet o hajdukach. Widział tylko to drobne stworzenie, którego w żaden sposób nie mógł wygnać z myśli. Przeogromna tęsknota uniosła mu ramiona, a Erzika wpadła w jego objęcia jak motyl lecący do światła.

Zdało się jej, że umrze z szalonej radości i szczęścia.

Jakże nieoczekiwanie urzeczywistnia się i spełnia jej najgorętsze marzenie. Objęła go kurczowo, jakby już nigdy nie miała się od niego oderwać, i całowała coraz gwałtowniej i spieszniej. Andrzej Drozd był teraz jeno zbójnikiem korzystającym z rozkoszy i radości żywota. Obejmował i całował miłą jak gdyby jednym haustem chciał wysączyć całą słodycz i błogość miłości, nie wiedział bowiem, czy za chwilę nie będzie musiał uciekać i wśród nagich skał szukać schronienia, aby ocalić żywot.

— Zabierz mnie ze sobą, Andrzej! — zawołała Erzika szczęśliwa, iż może opuścić matkę i cały ten przepych i bogactwo, którym ona chce ją otoczyć.

Świadkowie tej sceny spoglądali na parę zakochanych z

wyraźnym rozczuleniem. Nawet serce Dory zmiękło. Nie mogli oderwać oczu od potężnej postaci Andrzeja Drozda. Był to pierwszy mężczyzna, na którego nie odważyłaby się porwać. A za jedyny jego pocałunek oddałaby wszystko, nawet swoją panią by zdradziła.

W Elżbiecie Batorównie wszakże widok zakochanych obudził jeno nieprzytomną złość. Najchętniej zdrapałaby paznokciami ten uśmiech szczęścia z szerokiego oblicza Drozda.

Wyskoczyła z kocza.

Ledwo Andrzej Drozd ją ujrzał, zmarszczył się, obejmujące Erzikę ramiona opadły, a oczy zapłonęły gniewem i nienawiścią.

Erzika miała uczucie, jakby z najpiękniejszej bajki przeniesiono ją nagle w okrutną rzeczywistość. Gdy spostrzegła grafikę, oczy zaiskrzyły się jej nienawiścią.

Przytuliła się do znieruchomiałego Andrzeja Drozda i zawołała do matki

— Możecie jechać dalej, ale już beze mnie!

— Zobaczmy! — wykrzyknęła, podbiegła do Erziki, chwyciła ją wpół, uniosła w górę i posadziła w koczu.

Andrzej Drozd przyglądał się temu w milczeniu i bez ruchu. Dora zawierciła się na koźle, a hajducy sięgnęli po broń, aby być w pogotowiu, gdy padnie rozkaz podjęcia walki.

Elżbieta Batorówna spojrzała na zbójnika tryumfująco i z wyższością, lecz raptem przeniknął ją strach. Od surowej, nieruchomej, jakby żelaznej postaci biła taka moc i miazdząca odwaga, że przypomniała sobie dowody jego niebywałej siły. Kiedy niespodzianie uniosł rękę, wzdrygnęła się.

Andrzej Drozd uśmiechnął się cierpko, pojął bowiem, jak sobie wytłumaczyła ten gest. On wszakże uniosł rękę jedynie po to, aby ruchem podkreślić słowa:

— Możecie jechać dalej!...

Twardo, metalicznym głosem powtórzył słowa Erziki, która siedziała w koczach jak na szpilkach. Grafka patrzyła na zbójnika w osłupieniu. Wnet jednak uświadomiła sobie, jaki profit może wyciągnąć z tego niepojętego kaprysu. Z rycerskim gestem puszcza ją w dalszą drogę, nawet jej nie tknął, nie obchodzi ją jej klejnoty i pieniądze. Nie usiłowała rozwiązywać tej zagadki, przemogła nawet pokusę wydania hajdukowi rozkazu, aby rzucili się na niego. Nie ujdzie jej, niechaj sobie jeszcze parę dni pozbójnikuje, potem i tak położy głowę, żołnierze bowiem nie znają żartów. A kto wie, czy w pobliżu nie ma jego druhów i czy na jego gwizd nie wyroją się z lasu niczym horda diabłów.

Poleciała hajdukowi na czele orszaku:

— Jedziemy!

Pięciu hajduków ruszyło z miejsca, furmani krzyknęli „wio”, rozległy się trzaśnięcia z bata.

Lecz powóz pani nie ruszył, a i hajducy zatrzymali się ponownie, w chwili bowiem, gdy grafka chciała wsiąść, Erzika wyskoczyła przez otwarte drzwiczki i podbiegła do Drozda:

— Idę z tobą! — Objęła go.

Potężnymi dłońmi oderwał ją od siebie i rzekł z posępną twarzą:

— Nie! Moja kompania nie jest dla was odpowiednia, szlachetnie urodzona panno! Wracajcie do swej protektorki, którą jeno dlatego puszczam bez szwanku, że jedzie z wami! Tym sposobem wyrównuję nasze rachunki, odpłacam wam za przysługę, którą aczkolwiek nieproszona, oddaliście mi pod kasztelem. Żegnajcie, jasna panienko!

Z jego oczu Erzika wyczytała już jeno chłód i obcość. Lecz i ją ogarnęło inne uczucie, silniejsze i bardziej nieodparte od poprzedniego: jego zachowanie znieważało ją, krew się w niej burzyła. Na oczach wszystkich zaofiarowa-

ła mu się, a on bezlitośnie ją odrzucił. Jej jedynym pragnieniem było pozostać z nim, u jego boku kroczyć przez życie, choćby nawet do zguby, a on ją szorstko odtrącił.

— Nasze rachunki nie są jeszcze wyrównane! — wykrzyknęła, zaś w sercu odzywał się już tylko głos urażonej dumy domagający się zadośćuczynienia — Teraz ja jestem twoją dłużniczką, zbójniku! I zaraz spłacę ci swój dług!

Poczuł na sobie jej palący wzrok a wnet potem jej dłoń na lewym policzku. Gdy drobna Erzika podskoczyła by dotrzeć do twarzy olbrzymiego Andrzeja Drozda, i kiedy błyskawicznie pacnęła go w szerokie oblicze mimo całej powagi sytuacji był to widok tak komiczny, że Dora wybuchnęła śmiechem, a wraz z nią cały orszak grafki.

Andrzej Drozd splonął rumieńcem i zacisnął pięści.

Elżbieta Batorówna w obawie, że rzuci się na Erzike, co prędzej chwyciła ją wpół i usadowiła w koczku. Lecz Andrzej Drozd stał jak posąg, stał nawet wtedy, gdy i pani już wsiadła.

Smagał wzrokiem po orszaku i śmiech zamarł wszystkim w gardle. Nie tknął wszakże nikogo ani nie przywołał druhów gwizdnięciem. Obrócił się raptownie i po chwili zniknął w gęstym lesie.

Orszak ruszył.

Erzika siedziała jakby w zamroczeniu, nie czuła nawet głaskania matki. Wstrząsała nią nienawiść. Jak mogła zapłonąć miłością do zbójnika i pokładać w nim nadzieję?

Wybuchnęła płaczem.

— Nie płacz, Erziko, ten zbójnik niewart jest jednej twojej łzy — pocieszała ją matka.

— Nie stoję o niego, płacząc nad sobą, zem była taka nierozumna i miłością zaślepią.

— Chwała Bogu, otwarły ci się oczy!

Lecz z tych otwartych oczu łzy lały się niepowstrzymanym strumieniem. W sercu jej ziała straszliwa pustka. Bił

od niej tak bezdenny smutek, że siedzące naprzeciw służebne nie mogły powstrzymać łez. Ocierały je ukradkiem rękami fartuchów.

Matka głaskała córkę po włosach i całowała jej rozpalone czoło.

— Nie chcesz jechać do Preszporka? Jeśli nie, nie będę cię przymuszać, pošlę hajduka do Wierzbowa, aby Beniamin Priborsky przyjechał po ciebie.

— Nie, nie chcę tu zostać, za nic!

Elżbieta Batorówna już nie upierała się przy podróży Erżiki do Preszporka, była bowiem przeświadczona, że miłość do zbójnika nie zmartwychwstanie w jej dumnym sercu, jednakże cieszyła się, że przeniesie ją w inny świat, gdzie będzie miała sposobność się oszlifować. O Andrzeju Drozdzie myślała nawet z niejaką wdzięcznością. Wszak to on sprawił, że Erżika tuli się teraz do niej tak ufnie. A gdyby nie było świadków, może nawet szepnęłaby z dziecięcym oddaniem, mamó, mamó...

— Nienawidzę go, nienawidzę! — zawołała Erżika zalewając się łzami.

— To i dobrze, Erżiko. Znajdę ci narzeczonego, któremu Andrzej Drozd nie jest godzien rzemyka u obuwia rozwiązać.

— Pójdę za męża! Jak najrychlej!

— Stanie się podług twojej woli! A jeśli chcesz, poprowadzą cię do ołtarza przy dźwięku dzwonów akurat w chwili, gdy Andrzejowi Drozdowi sygnaturka będzie towarzyszyć w ostatniej drodze...

— Gdy ja będę brała ślub, mojego miłego kat będzie zaślubiał z szubienicą!... — śmiała się przez łzy.

Był to wszakże śmiech tak osobliwy i rozdzierający, że wzruszył młode służebne, które głęboko przeżywamy doznane przez nią rozczarowanie. Grafka wygnała je do Dory.

Chmury nad Czachticami

Nad wieczorem niebo zaciągnęło się chmurami.

Chmury złowrogich przeczuć zasnuły również dusze ludzkie. Jakby tego dnia wesołość i śmiech na zawsze wywędrowały z Czachtic. Wszyscy wierzyli, że pani uda się wyjednać w Preszporoku sprowadzenie wojska, a wtenczas biada Czachticom!

Mikołaj Loszonsky przez cały dzień nie chciał nikogo widzieć. Jan Ponicensus daremnie usiłował nawiązać z nim rozmowę, aby rozproszyć czarne obawy. Nie chciał też się położyć.

— Nie pora teraz na polegwanie! — rzekł przyjacielowi, kiedy ten nalegał, aby odpoczął. Dał się jeno usadowić w miękkim fotelu, lecz despekt doznany od grafki tak go palił, że chwilami zapominał o swej słabości i reumatyzmie i sprężystym krokiem przemierzał izbę.

Wieczorem, gdy Jan Ponicensus poniechał już prób wciągnięcia kasztelana do rozmowy, ten przywołał go i oświadczył:

— Przyjacielu, czuję, iż stałem się dzisiaj innym człowiekiem. Kiedy dzisiejszego ranka oderwano mnie od moich ksiąg i gwiazdziarskich instrumentów i nikczemna zniewaga spadła na moją siwą głowę, przebudził się we mnie dawny żołnierz. I oto teraz stoi przed tobą żołnierz gotów do walki.

Jan Ponicensus patrzył nań z podziwem.

Moje ciało jest mdłe, lecz tkwi w nim waleczny duch, który dotychczas nie uląkł się żadnego wroga i w każdym boju zwyciężał!

Pastor jeszcze szerzej otworzył oczy, kiedy kasztelan wtajemniczył go w swój plan:

— Nie będę odpoczywać pod twoim gościnnym dachem, lecz w Pieszczanach, taplając się w onym cudownym bło-

cie, o którym słyszałem zadziwiające rzeczy. Do tej pory ani mi przez myśl nie przeszło odmładzać w nim zestarzałe członki, albowiem sprzeciwianie się naturze i naruszanie jej odwiecznych praw zawsze uważałem za grzech. Teraz wszakże, gdy sposobie, się do walki, gotów jestem uciec się do wszystkiego, co daje choćby najslabszą nadzieję na pomniejszenie brzemienia starości.

Jan Ponicensus sam nie wiedział, co sądzić o gorących źródłach pieszczańskich. Chociaż publicznie nie zabierał głosu w tej materii, skłaniał się do mniemania ludu, który uważał je za dzieło diabelskie. Bo czyż to nie diabelska sprawka, że wokół źródeł unoszą się jakieś tajemnicze opary, a Wag w ich pobliżu nawet w najsrozsze zimy nie zamarza? Jakby się tam otwierała czeluść piekła, które jeziorną wodą zwabiało chorych, udręczonych reumatyzmem nieszczęśników, aby za pozorną ulgę w cierpieniach zyskiwać ich dusze.

Przyjeżdża tam mnóstwo ludzi nawet z dalekich krajów. Niektórzy kryjomo, jakby wstydzieli się, iż w tajemniczych źródłach szukają pomocy. Przed jedenastu laty w roku 1599, świat się zadziwił, ilu chorych tam się leczyło. Turcy, którzy wtedy wtargnęli do Pieszczań, w łaźniach na lewym brzegu Wagu wymordowali trzydziestu chorych, zaś drugie tyle wzięli w jasyr.

— Kiedy zamierzasz wyruszyć do Pieszczań? — zapytał pastor.

— Jutro rano. Niestety, w siodle długo bym się nie utrzymał, przeto poproszę cię o twój powozik. Ufam, iż z Pieszczań wrócę już konno.

Ledwo Jan Ponicensus siadł w sąsiedniej izbie za stołem, posłyszał z kuchni dźwięczący zniecierpliwieniem głos żony:

— Dałam wam kromkę chleba, czego jeszcze chcecie?

— Chcę mówić z wielebnym pastorem!

— Nie ma go w domu!

— To zaczekam na niego, jeśli dozwolicie.

Pastorowa chciała wyrzucić natrętnego żebraka, lecz w tej właśnie chwili Jan Ponicensus wszedł do kuchni. Ujrzał zgarbionego, wspartego o kule żebraka z głową zwisającą, na piersi, jakby miał przetrącony kark.

— Czego chcecie? — spytał pastor surowo.

Żebrak nie unosząc głowy pozdrowił go z respektem, po czym cisnął kule w kąt, wyprostował się i zerwał kapelusz, który zasłaniał mu oblicze.

— Jan! — zawołał pastor i podbiegł do swego tak nagle odmienionego gościa, by przycisnąć go do piersi.

— Widzę — uśmiechał się Jan Kalina — że gdy chcę, nie poznają mnie nawet najlepsi przyjaciele. Byłem także w zamku. Oto denar, który dostałem od Pawła Lederera. Ma dobre serce i szczodłą rękę. Jenemu oczom brak bystrości, z czego właściwie winienem się cieszyć, mógłbym bowiem znaleźć się w opałach. Nie wiem, czy zdołałby ukryć zdumienie, gdyby mnie poznał,

— I czemu tak lekkomyślnie wystawiasz się na niebezpieczeństwo? — uczynił mu wymówkę zatroskany pastor. — Dopiera co uniknąłeś śmierci, a już znowu grasz żywotem!

— Wielebny ojczy, jestem tak szczęśliwy, iż nie zdzierżyłem, aby się komuś nie zwierzyć! O moich druhach ani widu, ani słyhu przyszedłem przeto do was.

Opowiedział, jak spotkał się ze swoją oplakaną już siostrą, która teraz znajduje się u ciotki w Starej Turze wraz z jego narzeczoną, jeszcze jedną dziewczyną, nieco postrzeloną Barbarą Repaszówną, i starym ojcem Pawła Lederera. Uznał, że na pewien czas będzie to najlepsza kryjówka. Potem odszuka druhów, zabierze matkę i znajdzie gdzieś dla swych bliskich nowy, bezpieczny dom.

— Dobrze, synu — wyraził aprobatę pastor. — Ale z

czego będą żyć?

Kalina roześmiał się:

— Jak kto ma zbójnika w rodzinie, nie umrze z głodu!

Janowi Ponicensowi nie było do śmiechu, albowiem obecność Kaliny przypomniała mu jego osobliwe położenie: on, duchowny, jest sprzymierzeńcem zbójnika. Stał się nim mimowolnie. Sumienie ma czyste. Wszelako nie może siał zgorzenia, ludzie zaś gotowi pomyśleć, że jest w zmo-wie ze zbójnikiem. Rzekł więc z powagą:

— Synu, wiem iż twoja radość i chęć podzielenia się nią nie jest jedyną przyczyną twoich odwiedzin. Nie zwlekaj więc z tym, co cię przywiodło. Tu w Czachticach jesteś niby w gnieździe os, ani się spodziewasz, jak cię dosięgnie śmiercionośne żądło i dla mnie, i dla naszej sprawy byłoby niedobrze, gdyby zdybano nas razem.

— Tak jest, wielebny ojcze. Przyszedłem również po to, by dowiedzieć się, kiedy kasztelan uda się do Preszporka. Chciałbym niepostrzeżenie mu towarzyszyć, aby przepatry-wacze Elżbiety Batorówny nie uczynili mu krzywdy.

— Masz słusność, synu. Teraz szczególnie potrzebuje twojej pomocy!

Oczy Kaliny zajaśniały z radości, kiedy pastor opowiedział, jak mężnie poczynał sobie Mikołaj Loszonsky rano w zamku i jak nie do poznania się zmienił.

— Żywot bym za niego położył! — zawołał z uniesie-niem.

Pastorowa, która z wielkim zajęciem przysłuchiwała się rozmowie, naraz wykrzyknęła cicho i przyłożyła palec do ust.

— Ktoś kreci się pod oknami kuchni! — szepnęła wy-straszona.

Jan Kalina nacisnął na głowę kapelusz, podniósł odrzu-cione kule, wsadził je pod pachy, zgarbił się i znowu prze-

mienił się w żebraka.

W oknie pojawiła się uśmiechnięta filuternie twarz, której tylko pastorowa się złąkla, jako że jej nie znała. Pastor i zbójnik roześmieli się, po czym pastor pośpieszył do drzwi, otworzył je i serdecznie przywitał Pawła Lederera. Człowieka, którym jeszcze przed wschodem słońca gardził jako zdrajcą.

Paweł Lederer wbiegł do kuchni rozpromieniony. Przez cały dzień miał ochotę skakać z radości, że ojciec się uratował. W duchu już sobie wyobrażał nową chatę, jaką zbuduje, zaś rozważania, gdzie ją postawić, czy na stoku malowniczego wzgórza, czy na równinie otwartej na oścież jak szczerze serce, pobudzały fantazję. Byłby najszcześliwszym człowiekiem na świecie, gdyby i matka żyła. Coś mu jednak szeptalo, że już nie ma jej na tym padole. To zatruwało mu radość, to i wspomnienie Barbary. Wyganiał ją z serca i z myśli, lecz wracała uparcie...

— Zrzuć no tę żebracza skórę! — zawołał do Jana Kaliny. — Toć taka rogata, nieżebracza dusza spod niej wygląda, aż w oczy kole. Przyjacielu, miałeś szczęście, że jeno te staruchy cię widziały na zamkowym podwórku. Ficko poznałby cię od pierwszego rzutu oka, tak samo jak ja.

— Poznałeś mnie?

— Wnet! Nie umiesz chodzić o kulach, przyjacielu. Szedłeś na własnych nogach, a kule ciągnąłeś za sobą.

— A niechże cię. Ale powiedz, Pawle, co nowego w zamku?

— To ja winienem najprzód spytać, co nowego tu na plebani, albowiem po to mnie tu przysłano. Ilona i Anna, z którymi wszedłem w wielką komitywę, aby zawsze wszystko w czas wiedzieć, same przysłały mnie tutaj i pewno nie mogą doczekać się mego powrotu. Bo to ja wszystko ukartowałem. Rzekłem im: „Dobrze byłoby poniuchać, czy pastor nie warzy jakiej kaszy”, One na to: „A więc idź, ciebie

jeszcze nie znają, przymów się o jakąś robotę i dobrze się tam rozejrzyj. Nas psami by poszczuli!"

— Jako żywo! — wyrwało się pastorowej.

— Dałem się przeto namówić i przyszedłem na przespiegi. Najprzód wszakże uważam za swoją powinność, wielebny ojcze, przestrzec was przed ludźmi z zamku. Dora, kiedy jeszcze nie wiedziała, że pojedzie z grafką do Preszporcka, przysłała do mnie cichaczem do kuźni i klepnęła mnie w ramię, aż się ugiąłem, jeszcze teraz czuję jej twardą dłoń: „Przypadłeś mi do gustu, zameczniku — rzekła. — Jeśli wszakże chcesz, abym w razie potrzeby ci pomogła, pomóż i ty mnie!" „A co chcecie ode mnie?" — spytałem. „Miej oko na pastora i wybadaj jego parobków, czy byliby skłonni za zapłatę wyświadczyć pani drobną usługę. Jaką, tego nie mogą ci jeszcze wyjawić! Jeno zrób, o co się proszę!" Później o to samo pytały mnie Anna i Ilona. Zda się, że te baby coś knują.

Pastorowa załamała ręce i jęła lamentować.

Paweł Lederer opowiedział, jaki nastrój panuje teraz w zamku. Służba i poddani odetchnęli, wszędzie słychać śmiech i żarty. Tylko Ficko leży samotny w swojej komórcie. Nikt nie ma do niego dostępu poza Majorową z Myjavy, która warzy mu lecznicze zioła, smaruje go maściami i mamrocze nad nim magiczne zaklęcia. Od rana, kiedy to położyli go na deresz, nie pokazał się na oczy, nikt nie widział jego wykrzywionej złośliwie gęby i nie słyszał jego rechotu. Majorowa stanowi dlań najodpowiedniejszą kompanię. Też chodzi zasepienia. Już teraz, lęka się, co grafka z nią uczyni po powrocie z Preszporcka. Zapewniała ją, że tamtejszy cudowny medyk wyleczy ranę tak, iż nawet plamka nie pozostanie, chociaż wie, że nie ma na świecie doktora, który wyleczyłby bez śladu taką ranę...

Na dworze już się ściemniało, chmury gęstniały i os czasu do czasu grzmiało.

— Najweselsze wszakże są staruchy — kończył relację Paweł Lederer. — Prześcigają się między sobą, ile która najmniej dziewcząt do służby i najwięcej zarobi...

Jan Ponicens przypomniął gościom, iż pora już odejść. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

— Wielebny ojciec — rzekł na pożegnanie Jan Kalina — przez cały dzień nie zdybałem żadnego szlachcica, hajduka ani pandura, który by jechał na koniu, przeto jestem zmuszony obciążyć sobą grzbiet własnego wierzchowca.

Umówili się, że pastor pośle konno pachółka za Wiśniewa, gdzie Kalina, przebrany za żebraka, będzie na niego czekał. Pachółek pojedzie niby to z listem.

— Ale nie należy go wtajemniczać w całą sprawę — ostrzegł Paweł Lederer. — Niechaj myśli, że istotnie wiezie list, który ma przekazać innemu posłańcowi czekającemu na niego, powiedzmy przy Wałkowej Górze. A ty, Janie, po prostu obrabujesz go z konia!

Wszyscy roześmieli się. Jan Kalina znowu ujął kule i wsadził na głowę kapelusz.

— W tej postaci będę was odwiedzał, wielebny ojciec, i jako nędzarz prosił o nocleg — rzekł. — a z tobą, Pawle, to będę się spotykać.

— A czy wiesz, gdzie stukać Andrzeja Drozda i pozostałych druhów? — zapytał Paweł Lederer z przebiegłym uśmiechem.

— Ciekaw jestem, czy ktokolwiek to wie poza samymi zbójnikami!

— Jest ktoś taki! Erza Kardoszowa! Tropiąc mojego ojca i twoją siostrę niechcący wyniuchała, gdzie podzieli się zbójnicy. Po powrocie do zamku oświadczyła, że zbójnicy nie oddalili się zbyt daleko od Skalnego Wierchu, gdzie zostawili Ficka i kapitana, nie poszli w stronę Nowego Miasta, lecz skręcili w lewo. I pewnie tak uczynili, albowiem ludzie rano koło Hrachowiszcza znaleźli dwa wozy,

które w nocy zrabowali. Wozy były puste, bez łupów, jeno brakowało jednego konia, z tego wszystkiego na zamku wnoszą, że zbójnicy zaszyli się w swej kryjówce na Wielkim Łysalu. Mają tam ponoć jaskinię, którą odkrył Andrzej Drozd. Hajducy już dawniej jej szukali, lecz daremnie. Poza zbójnikami nikt na świecie nie zdołałby jej znaleźć. W zamku jeno nad tym łamią sobie głowy, dlaczego zabrali również konia. Kapitan Imrich Kenderessy jutro skoro świt ma się wyprawić na Wielki Łysal z dwudziestoma pandurami, Biada zbójnikom, jeśli ich znajdą. Pandurzy mają rozkaz ubić na miejscu każdego z wyjątkiem Wawrzka.

— Darmo ostrzą sobie zęby! — rzekł Kalina.

Opuścił plebanie wlokąc się o kulach, zaś Paweł Lederer wymknął się wnet po nim. Pastor zapieczętował złożoną kartkę czystego papieru i udał się do izby czeladnej, gdzie polecił pachołkowi zawieźć list pod Wałkową Górę za Wiśniewem. Już tani na niego czekają.

— a weź — powiedział mu — tego konia, którego niedawno zostawił ten obcy. Nogi mu zdrewnieją od ciągłego stania w stajni!

Pachołek wyruszył nie zwlekając, zaś pastor uśmiechnął się gorzko.

Czego to żywot człowieka nie nauczy! Zawsze był uczciwy, szczery, otwarty, a teraz ucieka się do niskiego kręactwa wobec własnego pachołka...

11. Starcie rywali

W odurzającym blasku złota

Ficko niewiarygodnie szybko powracał do zdrowia. Majorowa pokazała, co umie. Już na drugi dzień nie czuł bólu w ciele. Wszelako nie opuszczał izby, bał się bowiem, że czyhającym oczom jego krok zda się niezbyt pewny, zaś oblicze zbyt blade, i ludzie szydrczo będą szeptać pomiędzy sobą; „Na psa urok, ale mu zadek spuchł!” To przydawało się każdemu, kto zafasował na dereszku choćby dwadzieścia pięć kijów. A on zafasował pięciokroć tyle.

Wieczorem, gdy na podwórku nie było już żywego ducha, wymknął się z łopata w ręce z izby do ogrodu.

Przy świetle księżycy jął kopać pod starą lipą i niebawem wrócił do izby z żelazną szkatułką pod pachą. Delikatnie postawił ją na ławie, zamknął drzwi i zasłonił okno kubrakiem. Z rozjaśnionym obliczem otworzył szkatułkę. Mdłym, lecz odurzającym blaskiem zalśniły w niej złote monety.

Same dukaty!

Ani jednego denara, moneta w monetę same dukaty!

Zanurzył w szkatulce rękę i z nieopisaną rozkoszą gmerał w stosie pieniędzy. Potem czerpał je garścią i liczył. Z uśmiechniętą twarzą ustawiał je w wieżyczki, Pięćdziesiąt dukatów — jedna wieżyczka. Ustawiał te złote wie-

życzki coraz szybciej, jakby w gorączce. Gdy opróżnił szkatułkę, w zachwyceniu jął błędzić wzrokiem po ławie i podłodze gdzie gęsto sterczały i lśniły stosiki monet.

Zapalił jeszcze jedną świecę, i jeszcze jedną. Niechaj złoto błyszczy, niechaj migoce oślepiająco!

Cichutko siadł na skraju posłania, jakby się obawiał, że przy gwałtowniejszym ruchu jarzące wieżyczki runą niby zamki z marzeń sennych. Policzył je. Dziewięćdziesiąt razy po pięćdziesiąt dukatów!

Aż mu się w głowie zakręciło na widok takiej masy złota. Brała go chęć krzyczeć z radości, zwołać tu cały świat, niechby zajrzał do jego brudnej klitki i zobaczył, jakie bogactwo zgromadził, i to jeno własnym przemyślem i rozumem.

Długo napawał wzrok migotliwym wynikiem swych kilkuletnich starań. W wyobraźni przemieniał go w domy, konie, krowy, owce i ogarniała go błogość, gdy widział swoje złote zamienione w stada koni i krów, i w wiele, wiele domów i w nieprzeliczony kierdel owiec. Znowu zdjęła go pokusa by zabrać szkatułkę, czmychnąć w świat i zacząć żyć innym życiem.

Jeszcze jedna taka szkatułka i żegnajcie, Czachtice! Tym postanowieniem odegnał pokusę, a w dodatku zaświtała mu nowa nadzieja. Wprawdzie Magdusia Kalinianka teraz nim wzgardziła, co wszakże uczyni wkrótce, koło Nowego Roku, gdy będzie miał taką górę złota? Pokaże je i powie: „Widzisz, jeśli zostaniesz moją żoną, jedna z tych szkatulek będzie twoja!”

W tej chwili był przeświadczony, iż padnie mu w ramiona i pójdzie z nim choćby na kraj świata. Wnet jednak przypomniał mu się kapitan Imrich Kenderessy. Zazgrzytał zębami i zadał sobie pytanie, czy uśmiech kapitana albo jakiegoś innego galanta nie działałby więcej niżli jego szkatuły złota? Biada jej, jeśli tak się stanie! Do owej decydują-

cej chwili może spać spokojnie, będzie nad nią czuwać, przebaczy jej wszystkie dotychczasowe zniewagi. A Elżbieta Batorówna? Jeśli będzie trzeba, sto razy ją przechytzy, sto razy uratuje Magdusię.

Ficko włożył złoto na powrót do szkatułki, wziął latarnię i zniósł swój skarb do bezpieczniejszej kryjówki, do piwnic.

Zakopał go pod olbrzymią beczką na wino, stanowiącą wejście do tajnego korytarza. Kryjówka w ogrodzie przyprowadzała go o koszmarne sny. Budził się w nocy i biegł do ogrodu sprawdzić, czy ktoś nie wykopuje jego skarbu.

Samowtór w podziemiach

Wczesnym rankiem następnego dnia Ficko opuścił swoją izdebkę i znowu po całym zamku niósł się jego wrzask i rechot. Poczynał sobie, jakby nic się nie stało, gonił hajduków i poddanych, wydawał rozkazy i sypał groźbami.

Na podwórku niespodzianie spotkał się z kapitanem Kenderessym. Gdy go zoczył, ogarnęła go taka pasja, iż z największym trudem powstrzymał się, aby się na niego nie rzucić.

Kapitan uśmiechnął się szyderczo:

— No jak, Ficko, już się wylizał?

Kipiał wściekłością i żądzą zemsty, lecz przywołał na twarz uśmiech. Czuł, iż kapitan traktuje go z wysoka, jakby był jeno zabawką w jego rękach.

— Chwalić Boga! — zarechotał. — I zasłużyłem sobie na tę nauczkę. Dobrze mi tak. Powinienem był wiedzieć, waszmość kapitanie, że z wami nie należy zadzierać.

Kapitan roześmiał się:

— Wreszcie nabrałeś rozumu, jak mi się widzi. A lepiej

późno niżli wcale.

— Na dowód, że puściłem w niepamięć to zdarzenie — rzekł Ficko — zaofiarowałbym wam swoją przyjaźń, gdybyście nie przewyższali mnie tak stanem i godnością.

— Nie stałbym o nią, nawet gdybyś ty przewyższał mnie stanem i godnością.

Jawna wzgarda kapitana rozpałała w Ficku krew, nie dał wszakże poznać tego po sobie, miał już bowiem uknuty plan i nie chciał narazić go na szwank nieostrożnością

— Waszmość kapitanie, rad jestem, żeś was spotkał, pani bowiem zleciła mi wykonać swój rozkaz natychmiast, jak tylko wydobrzeję.

Kapitan słuchał z zaciekawieniem.

— Mam was obznajmić z niektórymi tajemnicami pani — mówił jak spiskowiec, szeptem, chociaż w pobliżu nie było żywej duszy.

— Z tajemnicami grafki Elżbiety Batorówny? — zdumiał się kapitan.

— Jeno z niektórymi, waszmość kapitanie, albowiem wszystkich nie powierzy byle komu — odparł Ficko dumnie. — Ja znam wszystkie jej tajemnice!

Kapitan nie posiadał się z ciekawości, jednakże odmówił:

— Jeśli grafka chce obznajmić mnie ze swymi tajemnicami, niechaj sama to uczyni!

— Muszę pilnować swojej skóry, i to lepiej niż dotychczas — roześmiał się Ficko. — Wierzajcie mi, waszmość kapitanie, że wolałbym nie powtarzać waszych słów i nie chciałbym wtenczas być na waszym miejscu.

— A więc pilnuj swojej skóry i powtórz moje słowa — odburknął kapitan i obrócił się na pięcie.

— I po cóż te fochy! — Ficko był przeświadczony, iż dopnie swego, jeśli nie teraz, to później. — Nie żądacie

chyba, aby czachticka pani sama was oprowadzała po podziemnych korytarzach i pomieszczeniach?

— Masz mnie obznajmić z tajemnicami podziemi?
— spytał kapitan już z wahaniem.

— Jeno to i nic innego — odrzekł krótko, a oczy mu się rozjarzyły. Widział, że kapitan połyka haczyk.

Kapitana nieraz już nękała ciekawość. Słyszał od pandurów niewiarygodne opowieści o podziemnych korytarzach, drażniące jego fantazję. I nieraz już szukał sposobności, by dostać się przynajmniej do piwnicy, która ponoć sama w sobie jest czymś wielce osobliwym dzięki swej rozległości i olbrzymim artystycznie rzeźbionym beczkom, jakie rzadko się widuje.

— A kiedy chcesz zaprowadzić mnie do podziemi?

— Jeśli rozkażecie, natychmiast!

— Dobrze, możemy iść.

— To zaczekajcie chwilę, waszmość kapitanie, przyniosę klucze i głównię!

Pobiegł kłusem. Mało nie skakał z radości, że kapitan tak łącno dał się wziąć na lep. Biada ci, kapitanie, biada! Jeno wejdz do podziemi, a już nie ujrysz świata bożego! To bowiem zamyślał Ficko. Uśmiercić kapitana. Im prędzej, tym lepiej. Gdy wracał z kluczami i głównią, powiódł wzrokiem po dziedzińcu i po oknach, czy ktoś nie będzie świadkiem, jak wejdzie z kapitanem do piwnicy. Nikogo nie spostrzegł.

Ciekawość kapitana rosła. Łamał sobie głowę, co w tym tkwi, że Elżbieta Batorówna chce odsłonić przed nim swoje tajemnice. Gdy się tak zastanawiał, posłyszał raptem dochodzący jakby spod ziemi taki był stłumiony:

— Pilnujcie się, waszmość kapitanie!

Ficko był już niedaleko. Kapitan, poruszony tajemniczym ostrzeżeniem, obejrzał się nieznacznie. Zobaczył drzwi mieszkania zamecznika.

— Nie zdradźcie się, że mnie słyszycie — posłyszał znowu i uczył, że przez dziurkę od klucza wpatrują się weń czyjeś oczy. Ostrzegawczy głos dochodził z tej wysokości. — Nie chodźcie do podziemi, a jeśli, to idźcie zawsze za Fickiem, albowiem...

Głos zamilkł. Ficko, którego ten człowiek bez wątpienia widział, był już o kilka kroków od kapitana. Kto czuwa nad nim i ostrzega przed nieznanym niebezpieczeństwem?

Czyżby Paweł Lederer?

Kapitan stał dręczony niepokojem i niepewnością.

W jednej chwili rozważył wszystko. Teraz nie wierzył, iż Ficko chce zaprowadzić go do podziemi na polecenie grafki. Wyrzucał sobie łatwowierność. Na ośleп wpadłby w pułapkę.

— Możemy iść. Jestem gotów! — wyrwał go z rozważań głos Ficka.

Kapitan badawczym spojrzeniem ogarnął jego twarz, jakby chciał z niej wyczytać odpowiedź na mnóstwo pytań. Jednakże na twarzy tej malowała się całkowita obojętność. Jedyne w oczach iskrzyło coś, co skłoniło kapitana do uchwycenia za rękojeść szabli jak w chwili niebezpieczeństwa. Było to spojrzenie krwiożerczego zwierza czyhającego na sposobną chwilę, by rzucić się na ofiarę

— A więc chodźmy — zawołał kapitan i ruszył pewnym krokiem.

Brała go pokusa oświadczyć bez ogródek, iż nie pójdzie z nim. Czuł jednak, że gdyby tak uczynił, tylko by mu użył chwilowego tryumfu i sam niczego by nie osiągnął. Wiedział, że Ficko coś knuje. Nie odstąpi od swoich zamysłów, co najwyżej odłoży ich skutecznienie. Niechaj więc będzie, co ma być i niechaj Ficko raz jeszcze się przeświadczy, że nie powinien z nim zadzierać.

Ficko stał już na schodach z zapaloną głownią.

— Biada ci — wykrzyknął kapitan — jeśli nie spełniasz rozkazu grafki, lecz knujesz jakieś łotrostwo.

I wyciągnął szablę, która błysnęła złowieszczo.

Fickowi wydało się, że kapitan go przejrzał i dlatego mu grozi.

— Łotrostwo? — zaśmiał się. — Raczej ja mógłbym obawiać się iść z wami, waszmość kapitanie. Nie mam ani szabli, ani pistoletu, jeno gołe, osłabione ręce. Podejrzewacie mnie o jakieś łotrostwo? Nie jesteście sługą, nie musicie spełnić życzenia pani. Możecie wrócić, a ja jeszcze was usprawiedliwię przed panią. Powiem, że ciężkie, zatechłe powietrze szkodzi waszym płucom i że ze względu na rodzinę, która tęskni za wami, musicie chronić zdrowie!

Szydercze słowa Ficka tak rozsierdziły kapitana, że miał ochotę go kopnąć, aby stoczył się po schodach. Ale prze-mógł się, kurczowo ścisnął rękojeść szabli i krzyknął:

— Nie gadaj tyle, jeno ruszaj!

Ficko szalał z radości. A jednak kapitan idzie z nim! Jakże korciło go, by powiedzieć: „Dwóch nas schodzi na dół, lecz tylko jeden wróci!” Zamiast tego uśmiechnął się złośliwie:

— Ale się wam śpieszy!

I ruszył, a kapitan za nim.

W piwnicy przesyconej ciężkim zapachem wina, w labiryncie beczek Ficko podniósł dzban, natoczył wina i napił się.

— Proszę, waszmość kapitanie — podał mu dzban — pokrzepcie się, macie przed sobą długą drogę.

— Pokrzepię się, ale nie z twojego dzbana!

— A lepiej byście uczynili pijąc z mojego, albowiem za swój dzban ręczę, że nie jest zatruty. Pani znamienicie strzeże swego dobra. Aż do zdarzenia z owym łakomczuchem, którego z piwnicy zawieźli prosto na cmentarz, wielu miało oskomę na jej wyborne stare wina. Nie chcecie pić

z mojego dzbanu? Brzydziecie się? Mogę was zapewnić, że z mojego dzbanu piła już dostojniejsza osoba od was, mości kapitanie, bo sama Elżbieta Batorówna, gdy ją wyrwał ze szponów śmierci.

— Milcz, jeśli ci żywot miły! — krzyknął kapitan.

Wziął jeden z dzbanów, obejrzał, czy ma czyste dno, natoczył doń wina, wypłukał starannie i dopiero potem się napił.

— Wielce jesteście ostrożni, waszmość kapitanie, ale ja bym wam wybrał lepsze wino!

Po czym ruszyli w długą wędrówkę po mnóstwie korytarzy i pomieszczeń. Ficko bez wytchnienia opowiadał, wyjaśniał i okraszał swoje opowieści straszliwymi historiami, które ponoć zdarzyły się w tym lub owym miejscu. Kapitan ani się spostrzegł, jak na skutek ciągłego zbaczania to w lewo, to w prawo, stracił orientację.

Był zdany na łaskę Ficka. Bez niego nie wy dostałby się z tego labiryntu.

Nagle stanęli przed jakimiś drzwiami.

— A teraz, waszmość kapitanie, pokażę wam jedną z największych osobliwości Elżbiety Batorówny. Tutaj mam wam oznajmić, czego od was oczekuje.

Otworzył drzwi i wszedł.

Kapitan ostrożnie wkroczył za nim, lecz już na progu stanął jak wryty.

Ujrzał przed sobą nagą niewiastę. W pierwszej chwili nic nie pojmował. Dopiero gdy Ficko uniósł pochodnię i lepiej oświetlił nagą postać, po czym obszedł ją i spoza jej pleców dotknął błyszczącego naszyjnika, domyślił się wszystkiego. Kiedy noże wysunęły się z otwartej piersi, odskoczył jak oparzony. Zdało mu się, że noże wydłużają się coraz bardziej i zaraz go przebiją.

— Żelazna panna! — wykrzyknął ze zgrozą.

A Ficko pokładał się ze śmiechu. Przerazenie kapitana sprawiało mu nieopisaną uciechę. Tylko dlatego przypro-
wadził go tutaj, aby nasycić oczy jego strachem, poigrać z
nim jak kot z myszą, a potem ucapić i już nie puścić.

— Odgadliście, waszmość kapitanie, to żelazna panna.
Rozkoszna ślicznotka! Tak ogniście obejmuje, iż żadna jej
nie dorówna!

Podszedł do kapitana:

— i żebyście wiedzieli, kiedyś weźmie w objęcia Mag-
dusię!

— Nigdy! — zawołał kapitan. — Ocalę ją!

— Nikt nie zdoła jej ocalić. Jenó ona sama może się ura-
tować. Jeśli pójdzie za mnie!

— Podlec! — krzyknął kapitan.

— Podlec, powiadacie!... — zasyczał Ficko z nietajoną
nienawiścią. — Podłością z mojej strony jest rozmiłować
się w dziewczynie, na którą ma chrapkę wygalonowany fir-
cyk. Podłością jest, że nie dam bezkarnie deptać po sobie
i po swoim sercu, że krwawo się pomszczę za zniewagę!
Podłością jest, że oddycham i chodzę po tym świecie! Ale
kapitanowi wszystko przystoi, nawet łgarstwo! Wiem ją
dobrze, waszmość kapitanie, że nie jesteście żonaty, nie
macie dzieci, a jeśli, to jakichś bastardów, do których się
nie przyznajecie. Odkryłbym wasze łgarstwo przed grafiką
i dowiódłbym go, gdyby zaszła potrzeba. Ale już nie zaj-
dzie, wygalonowany fircyku!

— Milcz, bo raz jeszcze nauczę cię moresu! — huknął
kapitan.

— He, he,, he! Tu niechaj milczy szlachcic, kiedy mówi
Ficko!

Kapitana poniosło. Wyciągnął szablę.

— Ani słowa więcej, bo cię zarąbię!

Ficko nie zląkł się.

— Schowaj szablę, nadęty pandurze! Wsuń ją do po-

chwy albo wbij w moją pierś. Jeno że później i sam się nią przebijesz, albowiem beze mnie nie wydostaniesz się stąd!

Kapitan uświadomił sobie, że jest całkowicie zdany na łaskę i niełaskę Ficka. Bez niego nie wymota się z płątani-ny korytarzy. Choćby nawet natrafił na jakieś wyjście, nie dałby sobie rady z przemyślnymi zamkami. Ficko z jawną rozkoszą sycił oczy jego alternacją, lecz zarazem czynił sobie wyrzuty, że zbyt się pośpieszył, zdradził swoje zamysły i obudził czujność kapitana. Postanowił przeto stłumić nienawiść i zagrać nową komedię. Pomyślał sobie: kiedy ptaszka łapali, pięknie mu śpiewali, i rzeki pokornym i skruszonym głosem:

— Przebaczcie, waszmość kapitanie, dałem się ponieść zazdrości! Nie miejcie mi tego za złe. Jesteśmy nierównymi rywalami. Nie wątpię, że to wy zwyciężycie. Nie dziwcie się przeto, że nieunikniona porażka przywiodła mnie do takiego wybuchu. Żałuję tego i zapewniam was, że więcej się to nie powtórzy.

— Dosyć, chodźmy! — rzekł kapitan chłodno. Czuł fałsz w słowach Ficka.

Ficko poprowadził Imricha Kenderessyego do krwawej łazienki. Ukradkiem z niewysłowioną uciechą obserwował, jak mieni się na twarzy pod wpływem zdumienia, zgrozy i przerażających obrazów podsuwanych przez, wyobraźnię.

— To by już było wszystko — rzekł Ficko, kiedy znów się zatrzymali. — Pozostaje mi jeszcze przekazać wam życzenie pani.

— Nie jestem go ciekaw, możemy iść!

— Pojmuję waszą niechęć, waszmość kapitanie, moja wszakże powinnością jest spełnić rozkaz. I chociaż wiem, iż są to próżne słowa, albowiem nie będziecie zdolni tak się poniżyć, oznajmiam, co mi pani poleciła: że pragnie wam powierzyć najem służebnych. Mają być młode i urodziwe, a im więcej ich najmiecie, tym lepiej.

Imrich Kenderessy zacisnął pięści, co Fickowi, który nagrał się z niego, sprawiło ogromną radość.

— Pani rzekła — ciągnął — „z kapitana taki gładyś, że dziewczęta zlecają się za nim jak muchy do miodu”, he, he, he! Rozumie się, nie żąda tego za darmo: za każdą dziewczynę, którą najmiecie do służby u niej, a właściwie, możemy to sobie rzec otwarcie, do służby u tej ślicznotki z żelaza, wypłaci wam dwadzieścia złotych!

— Ani słowa więcej, Ficko! Wracajmy na górę!

— Jak wola. Idźcie przodem, waszmość kapitanie!

— Nie, pójdę za tobą!...

Kto nie ujrzy świata bożego?

Ficka zaskoczyła stanowczość, z jaką kapitan odmówił pójścia przodem. Czy wobec tego uda mu się strącić go w przepaść, skąd nikt jeszcze nie wrócił? Kapitan pamiętał o ostrzeżeniu nieznanego dobrodzieja, toteż baczył na każdy ruch Ficka.

Korytarz, którym szli, raptem począł się zwięzać.

Ficko przystanął i rzekł chytrze:

— Za chwilę korytarz tak się zwięzi i obniży, że człek waszej postury, mości kapitanie, musi iść bokiem, i silnie pochylony. Jeśli pójdę z pochodnią przed wami, nic nie będziecie widzieć, a grunt tu jest nierówny i usiany sterczącymi kamieniami. Nic chcę, abyście rozbili sobie nos albo złamali czy skręcili nogę i żebym was potem musiał taszczyć na swoim nieszczęsnym garbie. Raczcie pójść przodem.

Kapitanowi wywody Ficka przemawiały do przekonania, lecz nie zapomniał ostrzeżenia.

— Nie, Ficko! Tak już przywykłem do widoku twego

garbu, że gwoli temu, aby mieć go stale przed oczami, chętnie rozbije sobie nos albo złamię nogę.

Ficko mało nie pękł ze złości.

Jego plan otwarcia w wąskim korytarzu zapadni, tak by kapitan wpadł w bezdenną czeluść, został zniweczony. Bez słowa ruszył dalej, lecz zastanawiał się gorączkowo. Choćby miał życie postawić na kartę, kapitan nie może wrócić na górę. Musi pomścić się za zniewagę, musi pozbyć się rywala w miłości i niebezpiecznego współzawodnika do łask pani.

Mijali najstraszliwsze lochy, w których panuje wieczna ciemność, siedlisko żarłocznych szczurów. Wtrącony tam człowiek zostaje pogrzebany za życia,

Ficko przystanął przy żelaznej kracie jednego z lochów i obejrzał się na kapitana.

— Wybaczcie, waszmość kapitanie — ozwał się rozedrganym głosem — oto loch, w którym przebywała Magdusia Kalinianka. Tam w kącie widzę jej różową chustkę. Wezmę ją sobie, wiem bowiem, że innym sposobem nie uda mi się uzyskać od niej żadnej pamiątki.

Uchylił ciężkich drzwi, aby wejść do środka.

Chustka Magdusi!

Kapitanowi zdało się, że już słyszy szelest materiału w owłosionych łapach Ficka, i oblał go war, jakby ten podlec dotknął samej dziewczyny. Nie, różowa chustka nie może znaleźć się w jego rękach. Przyskoczył doń, odepchnął go gwałtownie i wbiegł do lochu. Błyskawicznym spojrzeniem omiótł wszystkie kąty. Nigdzie nic nie leżało. Kiedy się odwrócił, żelazne drzwi z łoskotem zaniknęły mu się przed samym nosem.

A rechot Ficka ściał mu krew w żyłach. Ficko z radości puścił się w przysiudy, miotał się jak w jakimś dzikim pogańskim tańcu, wymachiwał długimi ramionami, i migocąca pochodnia kreśliła w powietrzu ogniste smugi jak spada-

jąca gwiazda.

Kapitan uświadomił sobie, że Ficko chytrze zwabił go w pułapkę. Widział beznadziejność swego położenia, Ach, gdzie miał rozum, że dał się wziąć na taki fortel!

— He, he, he! — zaśmiał się Ficko. — Ryby chwyta się na wędkę, a zakochanych na różową chustkę! Złapałem cię na chustkę, której w ogóle nie ma! Sam widzisz, że nic się tam nie czerwieni. Jeno ty się czerwienisz ze sromoty i złości! Magdusia wcale nie była tu uwięziona. Nie będziesz miał nawet tej pociechy, iż znajdujesz się tam, gdzie ona przebywała. Zdjęty rozpaczą i szaleństwem nie będziesz mógł całować miejsc, których ono dotykała. Tej rozkoszy użyczę jeno jej, jeżeli znowu wzgardzi moją miłością,

Imrich Kenderessy dobył szabli i przez kratę drzwi zamachnął się na Ficka, ten jednak, chociaż upojony zwycięstwem, w porę uskoczył.

— Skieruj ją przeciwko sobie! Raczej sam pozbaw się żywota, niżlibyś miał cierpieć męki głodowej śmierci i odczuwać, jak szczyry w gryzają się w twoje bezwładne ciało.

Kapitan pojął, że nie ma dla niego ratunku,

— Precz mi z oczu! — wychrypiął.

— Tyś nie mógł się napatrzeć na mój garb, a ja nie mogę sit; napatrzeć na ciebie, wymuskany kapitanu! Usłuchaj mojej rady, przebij się, przynajmniej oszczędzisz mi fatygi. Jeśli tego nie uczynisz, będę musiał tu przychodzić jutro i pojutrze, sprawdzać, czy już skonał albo osłabł na tyle, bym mógł cię zaciągnąć do czeluści pod tym wąskim korytarzem, która milczy pewniej niżli groby.

Widok Ficka napawał kapitana takim wstrętem, że bliski był szaleństwa. Wtem błysnęła mu zbawcza myśl. Szabla zawiodła; ale ma jeszcze pistolet. Zastrzeli Ficka stojącego przed drzwiami. Jeśli nie dosięgnie go ręką, przyciągnie szablą, zabierze klucz, otworzy drzwi i może uda mu się jakoś wydostać na świat boży.

Błyskawicznie wycelował i wypalił.

Zagrzmiał ogłuszająco wystrzał. Z labiryntu korytarzy zahuczało echo i rechotliwy śmiech Ficka.

I tym razem odskoczył w porę.

— Moje uznanie, kapitanu. Dobrą masz pukawkę, lecz mnie się kule nie mają. No dosyć, juzem ci chyba wszystko powiedział. Jakby mi się jeszcze coś przypomniało, przyjdę ci rzec. I przyniosę ci swój dzban. A nie obawiaj się — mówił odchodząc — że zasmucę Elżbietę Batorównę wieścią o twojej śmierci. Nie. Nawet tego jej nie wyjawię, żeś ją okłamał mówiąc, że masz żonę i czworo dzieci, aby nie wspominała cię jako łgarza. Przeciwnie, rzeknę jej, iż serce tak ci się rwało do rodzinki, żeś zostawił wszystko i drapnął do domu. Jako żywo nie wpadnie jej na myśl, że powędrowałeś nie do wymyślonej rodziny, lecz do innej, liczniejszej, do piekła, gdzie kiedyś się spotkamy!

Ruszył z powrotem w wybornym humorze.

W piwnicy pokrzepił się solidnie. Przepijał sam do siebie i życzył sobie spełnienia dalszych planów. Z kapitanem udało mu się. Wszystko musi się udać!

Przy wyjściu nasłuchiwał chwilę, czy nikt się nie kręci przed drzwiami. Nie przypuszczał wprawdzie, aby ktoś ośmielił się oskarżyć go przed Elżbietą Batorówną o zgładzenie kapitana. Mimo to postanowił poczynać sobie jak najostrożniej.

Naostrzony nóż

Nie słysząc żadnych kroków ani szmeru, śmiało wyszedł na podwórzec. I ku największemu swemu zdumieniu zde-rzył się z Ledererem.

— Czego tu szukasz? — zachnął się.

— Jeno nie tak ostro, Ficko! — osadził go Paweł.
— Toć jesteśmy kamratami, nie musisz nic przede mną taić ani się mnie bać.

Ficko spojrział nań przez zmrużone powieki. Chciał wyczytać mu z twarzy najskrytsze myśli.

— No jak, Ficko, załatwiłeś go?

— Kogo? O kim mówisz?

— O człowieku, z którym poszedłeś do podziemi!

Ficko całkiem stracił kontenans. Nie wiedział, co o tym myśleć i jak się zachować.

— Jeśli nie uważasz mnie za kamrata, nie mów ani słowa. Ja czuję się twoim przyjacielem, dlatego ciekaw. Mniemam, że przyjaciele nie powinni mieć przed sobą tajemnic.

— Szpiegowałeś mnie, gdy szedłem z kapitanem do podziemi? — spytał Ficko i sam się zdziwił, jaką to osobliwą skłonność czuje do Pawła Lederera, że ma ochotę opowiedzieć mu swoje przygody w podziemiach.

— Tak jest, szpiegowałem! Wszelako nie ciebie, lecz kapitana. Ten człowiek od pierwszej chwili był mi obmierzły, a po tym, jak cię wychłostał, zniechędziłem go śmiertelnie.

— Z mojej przyczyny go zniechędziłeś? — Ficko poczuł niezwykle przyjemne ciepło wokół serca.

— Juści, że tak. — Paweł Lederer obserwował, jakie wrażenie wywierają jego słowa. — I jeśli ty się z nim nie porachowałeś, ja to uczynię, aby cię pomścić!

Ficko z rozczulenia zmiękł jak wosk. Żyjąc w wiecznej samotności i wzdargie, w najśmielszych marzeniach nie roił sobie, iż kiedyś znajdzie się człowiek, który zdjęty współczuciem zdobyłby się na to, aby pomścić wyrządzoną mu zniewagę czy krzywdę.

— Spójrz! — Paweł Lederer wyciągnął zza cholewy nóż. Wczoraj ostrzyłem ten nóż całą godzinę, aby miał

sztých jak igła, a klingę jak brzytwa. Zaś ostrząc go, rozmyślałem, przy jakiej sposobności wbić go w czyjeś podłe serce.

Ficko jak urzeczony wpatrywał się w błyszczący nóż.

— Chcesz czynem dowieść, iż naprawdę jesteś mi przyjacielem? — zapytał i ze wzruszeniem uściśnął mu rękę.

— Chcę!

— Dowiedz się przeto — z napięciem obserwował wyraz jego twarzy — że kapitan jeszcze żyje, lecz czeka go śmierć głodowa.

Paweł Lederer ledwo zdołał powściągnąć wybuch radości i ulgi.

— Żyje, powiadasz! Ale długo żyć nie będzie! — zawołał i machnął nożem.

Ficko nie posiadał się ze szczęścia, że znalazł takiego wybornego kamrata. Miał wielką ochotę natychmiast poprowadzić go do podziemi, aby dowiódł swojej przyjaźni. Nie uległ wszakże porywowi uczuć. Doznane ostatnio niepowodzenia nauczyły go ostrożności.

— Nie śpieszmy się zbytnio — rzekł ku wielkiej uldze Lederera. — Strach przed śmiercią udziesięciokrotnia siły człowieka. Nie przeceniam swoich mięśni, kto wie czy nie zgniótłby nas na miazgę. A jeśli nawet nie, mógłby nas poturbować, a teraz nie mamy czasu na lizanie się z ran. Nie ucieknie nam. Niechaj spokojnie, osłabnie, zaczekamy!

— A pewien jesteś — przerwał mu Lederer z udaną obawą — że nam nie ucieknie?

— Nawet wąż nie wysliznąłby się z tej dziury!

— Zapominasz, Ficko, że Jan Kalina nie jest wężem. A jednak wydostał się stamtąd,

Ficko chwycił się za głowę.

— w istocie, całkiem bym zapomniał, że coś tu jest nie w porządku i trzeba mieć się na baczności. Postawię straż

u wejścia do piwnicy!

— Postaw straż przy wszystkich trzech wejściach.

— Znamienicie, przy wszystkich! — Ficko w uniesieniu poklepał go po grzbiecie. — Chwacki z ciebie chłopak, Pawle!...

Zaś Paweł uśmiechał się chytrze...

Chwilę później Ficko przed trzema wejściami do podziemi ustawił hajduków.

— Pilnujcie wejść jak oka w głowie! — wrzeszczał. — Nikt nie śmie wstąpić do podziemi. Gdyby ktoś chciał się tam wedrzeć, natychmiast macie mnie o tym powiadomić. A gdyby ktoś wyszedł z podziemi, chwycicie go, zwiążcie, choćby to był sam Pan Bóg. Zaś swoich kamratów, którzy was zluzują na noc, uprzedźcie, że będę ich dozorować i biada temu, którego przyłapię śpiącego!

Kiedy uzbrojeni hajducy obsadzili wejścia do podziemi, Ficko skinął na Pawła Lederera i poprowadził go do stajni, w której przebywał ulubiony koń grafki.

Spojrzał na Wichra z nienawiścią:

Teraz ja będę cię doglądał — syknął i to tak troskliwie, że niebawem wyciągniesz kopyta.

I kopnął go z całej siły.

Popłoch w jaskini

Zbójnicy po zwycięstwie nad pandurami i hajdukami wycofali się do swojej kryjówki na Wielkim Łysalu.

Andrzej Drozd przewidywał, że czachticka pani, Ficko i kapitan pandurów będą szaleć z wściekłości, a gdy tylko opamiętają się po tej sromotnej porażce, urządzi na zbójników obławę, jakiej świat nie widział, postanowił przeto ukryć się ze swymi druhami w jaskini po południowej stro-

nie Łysala.

Odkrył ją minionego lata, kiedy uchodził przed następującymi mu na pięty hajdukami. U podnóża góry wpadł mu w oczy olbrzymi, wiekowy spróchniały dąb. Aby rozszerzyć hajduków nagłym zniknięciem, wdrapał się na rozłożyste, huczące pustką drzewo i spuścił się do jego wnętrza. Okropnie się przestraszył, gdy nie poczuł gruntu pod nogami. Ponieważ skacząc nie uchwycił się skraju dziupli, stoczył się w dół jak w przepaść. Gdy się pozbierał, skrzesał ognia i szeroko otworzył oczy z zadziwienia. Stwierdził, że znajduje się w jaskini, długiej i przestronnej. Widząc okopcone ściany, stare, na wpół przeżarte rdzą łopaty i motyki, porozrzucone gliniane naczynia, osądził, iż jaskinia nie była dziełem przyrody, lecz rąk ludzkich. To niechybnie czastkowiczanie posłyszawszy, iż Tatarzy najechali Węgry, wykopali sobie w ziemi kryjówkę, aby ocalić przynajmniej życie przed tą barbarzyńską pustoszącą wszystko plagą. Andrzej Drozd z wdzięcznością wspominał dawnych czastkowiczów i Tatarów, albowiem natychmiast uświadomił sobie, że jaskinia jemu i jego druhom nieraz ocali skórę i stanie się bezpiecznym schronieniem przed prześladowcami. Wdzięczny był również przyrodzie, że nie zasypała całkowicie wejścia, i dębowi, że wyrósł akurat na skraju otworu i nie zdołał pokonać niszczycielskich sił, które wyżarły mu wnętrzności.

Ledwo zbójnicy zaopatrzeni w zapasy jadła znaleźli się w swojej jaskini, wyczerpani stoczonym bojem ułożyli się na stertach liści i zasnęli, jakby to były najmiększe posłania.

Tylko Andrzej Drozd nie położył się. Dosiadł konia wyprzęgniętego ze zrabowanego wozu, który porzucili w lesie, i wrócił do Czachtic. Niepokoił się, co się stało z Janem Kaliną, dręczyła go także obawa o Wawrzka, czy nie ucapiłi go w zamku, tej wilczej norze. Nie musiał zakradać się

do Czachtic, aby się dowiedzieć nowin z zamku. Niespodzianie posłyszał gwizd i rozradowany Wawrzek stanął przed nim we własnej osobie. Uśmieali się z nocnych wydarzeń. Kiedy wszakże pomyśleli o najbliższych dniach, odeszła im chęć do śmiechu.

— Będzie nam gorąco! — zaklął Wawrzek. — Pandurów i hajduków jest jak psów, a to jeszcze nie wszystko, mają przyjść żołnierze!

Andrzej Drozd skwitował to milczeniem.

— Poczekamy na Jana Kalinę — rzekł. — a potem zobaczymy, co się da uczynić.

Pod Łysalem ukryli konie w zaroślach i pieszo ruszyli do jaskini. Zniknęli w dziupli i chwilę później legli wśród druhów, aby odpocząć przed nowymi bojami.

Zbójników ogarnęło przygnębienie, Wawrzek, który był na przespiegach, przyniósł wieść o wyjeździe Elżbiety Batorówny do Preszporka. Andrzej Drozd nie rzekł im o tym ni słowa. Nie przyznał się, że podczas swej bezcelowej wędrówki spotkał jej orszak. Ilekroć wspomniał to spotkanie, zaciskał pięści. Nie chciał o tym ani mówić, ani myśleć.

Nastrój przygnębienia zelżał nieco, gdy przyszedł Jan Kalina, wesoly i beztroski. Uratowanie się siostry i narzeczonej wywarło nań czarodziejski wpływ. Pozbył się zmyry, która go dusiła. Sypał żartami i śmiał się bez ustanku. Ale gdy odszedł z powrotem do Czachtic, zbójnicy, zdjęci obawą o niego, znowu posmutnieli.

Andrzej Drozd był coraz pochmurniejszy, a przyszłość widział w tak czarnych barwach, że nie był w stanie pocieszyć kamratów i dodać im otuchy. Najchętniej zaprowadziłby ich w inne góry i w inną okolicę, póki ta zbliżająca się zawierucha nie przewali się. Lecz do tak tchórzliwej rejterady nie był zdolny.

Zbójnicy daremnie czekali na oblawę. Wawrzek daremnie wypatrywał z drzewa, czy gdzieś nie pojawią się czer-

wone mundury hajduków i pandurów. Ani widu, ani sły-
chu. Nie umieli sobie wytłumaczyć, dlaczego tak długo zo-
stawiają ich w spokoju. Już im obmierzło bezczynne i nud-
ne siedzenie w podziemnej dziurze.

— Cierpliwości, chłopcy! — powściągnął ich Drozd.

Wawrzek, który co noc chodził na zwiady, przyniósł
rozwiązanie zagadki. Akurat tego dnia, kiedy pandurzy
i hajdacy mieli wyruszyć na Wielki Łysal, zniknął kapitan
Kenderessy. W Czachticach panuje popłoch. Nikt nie ma
pojęcia, gdzie mógł się podziać. Pandurzy są bezradni. Bez
kapitana nie pójda na zbójników, chociaż Ficko sierdzi się
i narzuca im się na dowódcę. Zbójnicy nie mają się czego
obawiać Wyprawa pociągnie za Wag, będą szukać zbójni-
ków na Inovcu, Jakubowej, Sohorze, na Oстрыm albo Pta-
sim Wzgórz. Jakiś żebrak rozgłosił po Czachticach, że
zbójnicy są za Wagiem. W mieście uwierzono w to. Ficko
posłał hajduków, aby przywiedli żebraka do zamku, lecz
już odszedł z Czachtic. Jednakże i w zamku dano wiarę, że
zbójnicy są za Wagiem.

— A wiecie, kim był ten stary żebrak? — Wawrzek za-
chichotał. — Jan Kalina wpadł na taki znamienity koncept
i wprowadził go w czyn!

Gdy Jan Kalina późnym wieczorem wrócił do jaskini,
kamraci mało go nie zjedli z radości. Ściskali go za ręce,
poklepywali po grzbiecie.

— Jeno mnie nie uduście, chłopcy — śmiał się Kalina
— bo pozbawicie się mnóstwa zaskakujących nowin!

— Przynosisz wieść o przybyciu wojska? — spochmur-
niał Andrzej Drozd.

— Chyba, nie zleknieisz się tego wojska? — rzekł ze
śmiechem Jan,

— Nie. Niechaj przyjdzie, co ma przyjść, gdyż obmierz-
ło nam do cna to wyczekiwanie i gnicie w podziemnej
dziurze, skąd jeno w nocy ośmielamy się wytknąć nos!

— Powiedz raczej niechaj przyjdzie, kto ma przyjść! Albo nie, ja to powiem, i zagwiżdżę, aby już przyszedł, Będzie to taka niespodzianka — dodał — iż lepiej wesprzyjcie się o ściany, abyście nie przewrócili się z wrażenia, a noże rzućcie w ką, bo może się zdarzyć, że niebaczenie zadźgacie kogoś, potem zaś będziecie tego żałować.

Jan Kalina zagwiżdżał.

Zaciekawieni zbójnicy posłyszeli szelest, jakby ktoś zsunął się do jaskini. A w następnej chwili wydali okrzyk przerażenia i chwycili za pistolety.

Przed nimi stał kapitan pandurów Imrich Kenderessy.

Przestraszył się i kapitan, nie spodziewał się bowiem, iż znajdzie się wśród tylu zbójników, których wygląd nie wróżył nic dobrego.

Andrzej Drozd przyskoczył do kapitana i chwycił go za kark:

— Co to ma znaczyć?

— Puść go — ozwał się Jan Kalina — może bowiem nabrać złego mniemania o twojej gościnności. Kapitan jest naszym gościem!

— No, miałeś kogo przyprowadzić w gościnę! — mruknął Andrzej Drozd, lecz puścił kapitana.

— Jest to mój przyszły szwagier, Andrzeju — uśmiechnął się Jan Kalina — a jako takiego możesz chyba uznać go za gościa?

— Biada zbójnikowi, który szwagrzy się z pandurem! — rzekł Andrzej Drozd, lecz oblicze już mu się rozpogodziło, uświadomił sobie bowiem, że ostrożny Jan Kalina nie mógł wdać się w jakieś nierozumne przedsięwzięcie.

— No, pociesz się, że jeszcze się nie szwagrze, albowiem nie zależy to jeno ode mnie. Na razie jeno mnie prosił o rękę siostry. Nie wiem, co ona na to powie. Ale jako żywo, gdybym ze świecą szukał, nie znalazłbym dla Magdusi milszego narzeczonego!

Narada bojowa

Zbójnicy wytrzeszczali oczy nic nie pojmując.

Czerwony szamerowany mundur kapitana drażnił ich, burzył w nich krew. Z największym trudem przemogli chęć rzucenia się na niego.

— Nie stójcie jak kloce — zgromił ich Jan Kalina — powitajcie swego nowego druha. To już nie jest kapitan pandurów, lecz zbójnik Imrich Kenderessy. Oto moja pierwsza niespodzianka.

Andrzej Drozd podszedł do kapitana:

— Nie wiem, co cię do nas przywiodło, lecz słowo mego przyjaciela Kaliny wystarczy, abym ci ufał.

I serdecznie uściśnął mu dłoń

Imrich Kenderessy szedł od zbójnika do zbójnika. Przyjmowali jego rękę wstydliwie i z jakąś odrazą, której nie byli w stanie przemóc. W żaden sposób nie mogli pojąć, jak z wroga, z którym pod kasztelek bili się na śmierć i życie, mógł raptem stać się przyjacielem, jak pandur mógł przestoczyć się w zbójnika.

— Dotychczas byłem przeświadczony — wymamrotał Wawrzek, gdy kapitan podał mu rękę, że wilk nie może rzucić wilczej skóry.

— Chłopcy — zawołał Jan Kalina — wyciągnijcie no szynkę i wino, albowiem nasz nowy kamrat od dwóch dni nic nie miał w ustach! Siądź sobie tutaj, przyjacielu — wskazał na stos choiny — wypocznij po przecierpianych mękach.

Imrich Kenderessy usiadł i nie zwlekając zabrał się do szynki, którą zbójnicy mu podali, i wina,

— A teraz posłuchajcie, jak kapitan pandurów stał się zbójnikiem! — I Jan Kalina barwnie opisał wyprawę kapitana z Fickiem do podziemi oraz jej następstwa.

Kapitan uwięziony w podziemnym lochu, gdzie panowały nieprzeniknione ciemności i przeświadczony, iż nie ma dlań ratunku, przeżywał straszliwe męki. Lecz jeszcze straszliwsze męki cierpiał Paweł Lederer, który drżał o jego życie i o powodzenie swego planu. Zagrał bowiem okrutną komedię, chcąc zapewnić sobie zaufanie Ficka. Aby widział, jaki jest przezorny, doradził mu postawienie straży przy wejściach do podziemi. Tym samym wykluczył jedną z możliwości i ocalenia kapitana. Postanowił powierzyć to zadanie Janowi Kalinie. Opowie mu, gdzie kapitan jest uwięziony, da mu wytrych dopasowany do zamka lochu i opíše, jak przerobił zwodzone drzwi, które otwierały się jedynie od wewnątrz. Przerobił je w tym czasie, gdy Ficko leżał w swojej norze, zajęty jeno sobą. Kalina przebrany za żebraka będzie mógł niepostrzeżenie dotrzeć do drzwi, wśliznąć się do podziemi i uwolnić kapitana. Jego plan był łatwy do urzeczywistnienia, tylko że mijała godzina za godziną, a Kalina nie przychodził. Gdy nie pojawił się do wieczora, Paweł Lederer wpadł w rozpacz. Z zamku nie mógł się oddalić na dłużej, gdyż ściągnąłby na siebie podejrzenie, zaś wszystkie zamkowe wejścia właśnie za jego radą były pilnie strzeżone! Kalina przyszedł na plebanię dopiero następnego dnia po południu.

— Paweł Lederer rzekł mi — opowiadał Kalina — co się wydarzyło, ja zaś najzwyczajnym krokiem, na jaki może sobie pozwolić stary żebrak nie budząc w ludziach podejrzliwości, pokuśtykałem do zwodzonych drzwi. Nie szukałem długo żerdzi, za pomocą której się otwierały, lochu też nie. A znalazłbym go jeszcze prędzej, gdyby kapitan dał chociaż najślaby znak życia. Ale on stał w kącie, wsparty o ścianę, w grobowym milczeniu.

— Kiedy postyszałem kroki — przerwał mu Imrich Kenderessy — byłem przeświadczony, że to Ficko idzie spełnić swoje groźby. Pierwszego dnia miałem jeszcze słabą wiarę w ocalenie. Myślałem o człowieku, który mnie

ostrzegł. Dodawałem sobie otuchy nieśmiałą nadzieją, że mnie uwolni. Drugiego dnia wyzbyłem się wszelkiej nadziei i pogodziłem z myślą, że nie wydam się z tych przeklętych podziemi, kiedy posłyszałem złowieszczy tupot kroków na korytarzu, krew zakipiała w osłabłym ciele, kurczowo zacisnąłem dłoń na rękojeści szabli, zdecydowany bronić się do ostatniego tchu. Udawałem całkowicie wyczerpanego, na wpół przytomnego. Chciałem zmylić Ficka, aby zbliżył się do mnie bez obawy. Zazgrzytał klucz, a ja ukradkiem spojrzałem na wchodzącego — i zdębiałem. W drzwiach stał nie Ficko, lecz zbójnik Jan Kalina. Drzwi były otwarte, a Jan Kalina przyglądał mi się bez słowa.

„Po co przyszedłeś, zbójniku?” — zapytałem, gdy on ciągle się nie odzywał.

„Po ciebie, kapitanie pandurów!”

„Co zamierzasz ze mną uczynić?”

„Uwolnić cię z lochu i ocalić przed niechybną śmiercią.”

Zaćmiło mi się przed oczami. Krew szybciej jęła krążyć w żyłach. Myśl o wolności upajała bardziej niż najmocniejsze wino. Lecz gorączkę podniecenia wnet ochłodziło uczucie wstydu

„Jesteś zbójnikiem, ja zaś kapitanem pandurów! Śmierć z twoich rąk mogę przyjąć, lecz wolności nie, albowiem za ten dar byłbym ci wiecznie zobowiązany, a także mógłbym ci się wywdzięczyć, skoro jestem pandurem, ty zaś zbójnikiem.”

„Nie chcę od ciebie wdzięczności, kapitanie. Uwolnię cię gdyż obecnie jedynym moim celem jest być obrońcą tych, których czachticka pani i jej zauszniczy chcą zgubić. Nie jesteś teraz dla mnie szlachcicem ani kapitanem pandurów, lecz nieszczęśnikiem potrzebującym pomocy i obrony.”

Duma burzyła się we mnie — milczałem wszakże zacisnąwszy zęby, albowiem w istocie byłem nieszczęśnikiem.

„Nadto — ciągnął Jan Kalina — spłacam swój dług: tyś uwolnił moją siostrę, ja uwolnię ciebie! Chodź, nie mamy chwili do stracenia!”

Miotany najprzeróżniejszymi uczuciami nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Jan Kalina spojrzał na mnie surowo:

„Ostatni raz cię wzywam: chodź! Jeżeli pandurska buta nie zezwala ci przyjąć wolności z rąk: zbójnika lub też burzy się w tobie szlachecka duma, wiedz, że i w żyłach zbójnika krew może zawrzeć! Decyduj się: albo przyjmiesz zaoferowaną wolność, albo śmierć. Lecz nie z rąk Ficka, aby podłość ludzka i zło nie święciły bluźnierczo tryumfu, jeno z rąk przeciwnika w honorowej walce. Chodź — albo doładź szabli i broń się!”

„Dziękuję ci, mój wybawco!” — były to jedyne słowa, jakie zdołałem wypowiedzieć.

A potem w milczeniu szliśmy korytarzami. Podziwiałem, jak się wyznaje w tym tajemniczym i zagmatwanym podziemnym świecie, z jaką pewnością wiedzie mnie z korytarza do korytarza. I z każdym krokiem coraz wyraźniej odczuwałem, iż staję się wolnym człowiekiem. Sporo czasu upłynęło, nim doszliśmy do zwodzonych drzwi. Padałem z nóg. Gdy wspinaliśmy się po stromych schodach na górę, gdzie niebo już wieczniało i rozbłyskiwało gwiazdami, mój wybawca musiał mnie podierać.

Stałem bez słowa, a on rzekł z naciskiem: „idź, dokąd chcesz!”

— No — przerwał mu z kolei Jan Kalina — już dość! Nie musisz opowiadać, jak rzuciłeś mi się na szyję i zawołałeś: „Nie pójdę nigdzie indziej, jeno z tobą!”

Taki oto koniec miał zaciekle bój w duszy Imricha Kenderessyego. W podziemnych korytarzach rozjaśniło mu się w głowie. Uświadomił sobie, iż nie był obrońcą i służebnikiem prawa i sprawiedliwości. Wszak czachticka pani i jej

zwyrodniała służba gwałciła je na każdym kroku. Ich postęпки napawały go zgrozą, a przecież czynił to samo co owe ohydne staruchy i Ficko. Tyle że oni świadomie służyli jej zbrodniczym celom i przyjmowali za to zapłatę, podczas gdy on wraz z zastępem pandurów w przekonaniu, iż broni prawa i sprawiedliwości, nieświadomie pomagał je deptać i prześladował ludzi, którzy o nie walczą.

To wszystko przemknęło mu przez głowę.

Zastanowił się też nad Janem Kaliną i zdumiał się, jak mógł być tak zaślepiiony, by choć przez chwilę go nienawidzić. Z wdzięcznością w sercu wspomniął jego ucieczkę przed egzekucją, kiedy grafka skazała go na wyrwanie trzech palców i powieszenie. Dziękował teraz losowi, że nie stał się jednym z jego katów.

Postać Jana Kaliny piękniała w jego wyobrażeniu. Po skończeniu studiów w Wittenberdze czekała go wspianiała przyszłość — lecz on wrócił do domu, gdyż niepokoił się o los matki i siostry. Siostra się uratowała, matka przebywa w bezpiecznym miejscu, on wszakże nie myśli o ułożeniu sobie życia, nie pada w objęcia stęsknionej narzeczonej, nie zabiega o sukcesy osobiste, bogactwo i szczęście, lecz nadal walczy przeciw czachtickiej pani, zdecydowany zwyciężyć lub umrzeć.

Gdy o tym myślał, czerwony pandurski mundur palił go, jakby stał w hańbiącej szacie pod pręgierzem, tak silne było poczucie niższości moralnej wobec człowieka, którego nazywają zbójnikiem.

Chociaż Jan Kalina domyślał się, jaka walka toczy się w duszy kapitana, to przecież zaskoczył go niemy wybuch uczuć, gdy kapitan rzucił mu się na szyję. Serdecznie uściśnął mu rękę:

— Już wtedy gdy ocaliłeś moją siostrę, wiedziałem, że jesteś uczciwym człowiekiem, a teraz utwierdziłem się w tym przekonaniu. Widziałem na własne oczy, że nie je-

steś tchórzem, i to w sytuacji, kiedy w szachu był twój los. Człowiek tak mężny nie może być nieuczciwy.

Zmieszany, przerwał Kalinie te pochwały i zapytał:

— Powiedz, przyjmiesz mnie za swojego przyjaciela. Przyjmiesz do drużyny Andrzeja Drozda?

— Przyjmę!

— Dziękuję ci z całego serca! Czuję, że zacznę wieść nowe, prawdziwe życie!

— Uświadamiasz sobie następstwa swego kroku.

— Uświadamiam sobie, jestem gotów na wszystko!

Jan Kalina podał mu rękę,

— Więc chodź, zaprowadzę cię do moich kamratów, do kryjówki, której tylekroć daremnie szukałeś z pandurami.

— Nie, raczej zaczekam na ciebie gdzie indziej. Były to nazbyt wielki dowód zaufania, a dla zbójników nazbyt wielkie zaskoczenie. Przedstaw sobie jeno, w jakie osłupienie byś ich wprowadził wprowadzając mnie, odzianego w mundur kapitana, do ich najtajniejszej kryjówki!

— Jesteś już jednym z nas, ufam ci.

Kapitan ze wzruszeniem uścisnął jego rękę.

— Teraz zapewne ty wpadniesz w osłupienie, ośmielał się bowiem prosić o rękę twej siostry Magdaleny!

Nieoczekiwane oświadczenia istotnie uprawiły go w osłupienie, lecz odparł bez wahania:

— Gdyby to jeno ode mnie zależało, rad bym widział Magdusię u twojego boku. A ona wie już o twoich zamiarach?

— Nie, jakże mogłaby wiedzieć? Proszę cię jednak, nie mów jej ani słowa. Posłyszysz jeszcze o mnie i przeświadczy się o mojej miłości.

Zbójnicy, choć kapitan przypadł im do serca, spoglądali nań z nieufnością aż do chwili, gdy ściągnął z siebie pandurski mundur i zarzucił na ramiona gunię, jaką oni nosili.

Wtenczas serdecznie przyjęli go do swego grona..

— Przyjaciele — ozwał się Jan Kalina, gdy dzban, który wędrował od ust do ust, znalazł się pusty w kącie to była pierwsza niespodzianka. Teraz nastąpi dalsza, jeszcze większa, nawet nasz nowy druh się zadziwi.

Zbójnicy słuchali ze wzmożoną uwagą

— Otóż wiedzcie! Czekają nas ciężkie dni. Okoliczności wymagają, abyśmy byli jak najbliżej Czachtic. Nigdy jeszcze ni byliśmy im tak potrzebni jak teraz. Wojsko przyjdzie, nie wątpię o tym.

— A co ten twój kasztelan? — zapytał Andrzej Drozd.
— Kiedy wybierze się do Preszporcka?

— Nie wiem. Chce leczyć się w Pieszczanach i nabrać sił. Nie da sobie tego wyperswadować. Powiada, że jak powróci do zdrowia i sił, podejmie walkę nawet sam, choćby przeciw całemu światu. Nie wiem, czy cudowne pieszczkańskie bagno go uleczy, pewne wszakże jest, że nim dotrze do palatyna, wojsko zwali nam się na kark. Ale do rzeczy: otóż musimy być jak najbliżej Czachtic, aby wszystko widzieć, o wszystkim wiedzieć i w razie potrzeby wystąpić. Nie możemy kryć się jak krety!

— To rychło nas wybiją co do nogi! — ozwał się jeden ze zbójników.

— Wybiliby, gdybyśmy byli prostaczkami, co nie umieją ruszyć głową. Nigdy nie przyszło wam na myśl, że wysoko nad ziemią o wiele lepiej możemy się ukryć niż pod ziemią?

— W obłokach! — zawołał ów powątpiewacz. — Owszem, gdyby wyrosły nam skrzydła.

— Nie swarzcie się — zaśmiał się Andrzej Drozd.
— Przeniesiemy się do zamku i po krzyku!

— Zgadłeś, Andrzej — roześmiał się także Kalina.
— Niemal zgadłeś. Przeniesiemy się do gniazda Elżbiety

Batorówny, jeno że nie do zamku, a w bezpieczniejsze miejsce. Do kasztelu!

— Do kasztelu? — nawet kapitan był zaskoczony.

— Tak, do kasztelu — odparł Jan Kalina. — Jak wiecie, gościłem tam niedawno. Dobrze się po nim rozejrzałem i już wtenczas nawiedziła mnie myśl, że kiedyś może stać się dla nas najbezpieczniejszą kryjówką. Pandurzy, hajducy, żołnierze będą nas szukać po wszystkich lasach, górach i dolinach, ale nie wpadną na koncept, aby zajrzeć do kasztelu, który teraz, po odejściu kasztelana Mikołaja Loszonskiego, stoi pustką. Są tam jeno dwaj hajducy, łącznie damy im radę.

— Jeno czy nie zakwaterują tam wojska lub choćby jego części? — wyraził obawę Andrzej Drozd.

— Nie. Niestety Czachtic w tym wypadku będzie naszym szczęściem, Żołnierzy dadzą na kwatery do czachticzian, przecie po to głównie zostają sprowadzeni: aby do cna objedli ich i zamęcili im spokój.

— A kiedy się przeniesiemy? — pytali zbójnicy.

— Nie zwlekając — odrzekł Kalina — Nie wiadomo, kiedy przybędzie wojsko i kiedy zacznie się obława na nas. Im rychlej będziemy w kasztelu, tym lepiej.

Zbójnicy wnet zaczęli przygotowania do przenosin. Aż im się jarzyły oczy, tak przypadły im do gustu te przenosiny. Jeszcze żaden zbójnik nie miał takiej kryjówki!

Jan Kalina z zadowoleniem ścisnął w rękę olbrzymi klucz od bramy kasztelu, zrobiony przez Pawła Lederera. Imrich Kenderessy pakował do tobołka swój mundur.

— Może mi się jeszcze przyda — rzekł z przebiegłym uśmiechem.

Zbójnicy już wychodzili z jaskini, już stali wokół drzewa maskującego wejście do niej.

— A teraz — zabrzmiała komenda — do kasztelu, jeno nie całą gromadą, pojedynczo albo po dwóch.

12. Zaręczyny wbrew woli

W Preszporku

Po spotkaniu w pobliżu Baszovic z Andrzejem Drozdem orszak Elżbiety Batorówny posuwał się w milczeniu.

Wszyscy czuli, że tam na gościńcu, obramowanym gęstym lasem, odegrała się jakaś tragedia młodych serc. Jednakże nie współczucie dla młodzieńca i dziewczyny odebrało im mowę, lecz zagadka, która ten dramat osnuwała. Co może mieć wspólnego herszt zbójników ze szlachecką córką?

Milczenie panowało również w koczach Elżbiety Batorówny, która tuliła do siebie Erzikę, głaskała ją tkliwie, lecz nie odzywała się ni słowem.

Była szczęśliwa. Nigdy jeszcze córka nie była jej tak bliska jak teraz. Zawiedziona i opuszczona, z oddaniem tuliła się do matki. Zapomniała o wszystkim, co między nimi było. W swoim cierpieniu w niej widziała jedyną oporę. A przejęta niechęcią do całego świata, zrodzoną z nagłej nienawiści do Andrzeja Drozda, usprawiedliwiała matkę i żałowała swego zachowania wobec niej.

— Mamusiu — szepnęła ze łzami w oczach — jestem taka nieszczęśliwa, że chciałabym umrzeć!...

— Głuptasku mój mały — przyciągnęła ją do siebie

matka. Ona także nie mogła powstrzymać łez.

Te łzy sprawiły, iż stała się Erżice jeszcze bliższa.

— Mamusiu, powiedz, że mnie kochasz! — przycisnęła do niej rozpaloną głowę.

— Kocham, Erżiko, jak nikogo na świecie!...

Bezmierna miłość macierzyńska wywoływała w niej pragnienie poświęceń, wyrzeczeń, dokonywania cudów.

— Powiedz, Erżiko, co mam uczynić, abyś była szczęśliwa. Nie ma takiej rzeczy, której bym ci odmówiła.

— Nic, mamusiu, nic, jeno odjedźmy stąd jak najrychlej. Już nie chcę wrócić ani do Wierzbowa, ani do Czachtic. Chcę żyć w obcym miejscu, wśród nieznanym ludzi.

— Pośpieszaj! — zawołała grafka do stangreta.

Jej rozkaz hajducy i stangreci przyjęli z zadowoleniem, albowiem z obawą spozierali na zasnute chmurami niebo, przecinane zygzakami błyskawic.

W pieszchańskim kasztelu panowała gorączkowa krzątania. Brama otwarta na oścież. Hajducy stali przy niej już. Od południa, aby całe Pieszczany wiedziały, że grafka przyjeżdża.

Ledwo orszak wjechał na dziedziniec, rozpętała się burza i lunął rzęsisty deszcz.

W sali jadalnej matka i córka siedziały samotnie. Erżika prawie nie tknęła potraw. Nie odzywała się, jeno matka mówiła bez ustanku, aby ją rozerwać. Wszystko daremnie. W sercu Erżiki tlił się już tylko cichy gniew, ostrze nienawiści stępało. Tym dotkliwszy był ból doznanego zawodu.

Posłano jej w sypialni grafki. Matka ułożyła ją w białej posnęli jak małe dziecko, ucałowała i nakryła. Erżika znalazła ulgę w cichym płaczu. Przez zamknięte okiennice grzmoty dochodziły jak z niezmiernej dali. Erżika bezwiednie zastanawiała się, gdzie teraz, kiedy szaleją żywioły, przebywa Andrzej Drozd. W jaskini czy też pod gołym niebem, smagany przez wichry i deszcz?

Wyczerpana ostatnimi wydarzeniami usnęła.

Przebudziły ją matczyne pocałunki.

Przez otwarte okno zaglądały do sypialni swawolne promienie słońca. Niebo po gwałtownej burzy zbłękitniało radośnie. Erzika wstała jak odrodzona, świeża, z wypoczętą zaróżowioną buzią. Biegała po dziedzińcu, zabierała służebnym z rąk kobiałki z jęczmieniem i pełnymi garściami rzucała żółciutkie ziarno chmarze kur i kogutów. I śmiała się, gdy do ziarna zleciały się wróble, a zazdrosne kury dziobami przepędzały je od swojej uczyty.

Nie była to już pochmurna, tajonym smutkiem i namiętnościami miotana dziewczyna. Zwyciężyła w niej beztroška i młodość i domagała się swego prawa do radowania się życiem.

Podczas dalszej podróży nie panował już taki przygnębiający nastrój jak w drodze do Pieszczan. Erzika nie siedziała, w koczku jak posąg, lecz z zaciekawieniem rozglądała się po nieznanej sobie okolicy. Wszystko ją interesowało. Chciała znać nazwę każdej wsi, przez którą przejeżdżali, wypytywała, kto mieszka w mijanych kasztelach, a niekiedy wysiadała z koczka i spędziwszy hajduka z konia, wyprzedzała orszak o spory szmat drogi, jakby nie mogła doczekać się przybycia do Preszporka. W takich chwilach korciło ją, by zboczyć z gościńca i pognać przed siebie przeskakując strużki i potoki, jak najdalej od orszaku. W góry i lasy, gdzie mogłaby spotkać Andrzeja Drozda. Lecz ilekroć przyłapała się na takiej pokusie, przejmował ją wstyd. Natychmiast odżywała nienawiść do Andrzeja Drozda i bodła konia ostrogami, aby w szalonym cwale zapomnieć o wszystkim.

Orszak po popasie w Trnawie nad wieczorem minął Modrą i zbliżył się do Preszporka.

Kiedy już całkiem wyraźnie widać było dumnie wznoszący się zamek, jeden z hajduków jadących na czele orsza-

ku zawrócił konia do kocza grafki i ozwał się unizienie:

— Ośmielam się przypomnieć, że miłościwa pani nie raczyła jeszcze wydać nam rozkazu, przez którą bramę wjechać do miasta i gdzie zboczyć, przed który budynek.

— Ile lat służysz u mnie?

— Dziesięć, miłościwa pani,

— To winienesz sam wszystko wiedzieć!

— Wiem, miłościwa pani, jeno myślałem, że tym razem może...

— Żadne może, i wynoś się! — ofuknęła hajduka.

Elżbieta Batorówna nawet wówczas, gdy przybywała do Preszporka z Czachtic, a nie z Wiednia, wjeżdżała do miasta przez Bramę Wydrycką. Większość wielmożów, pragnąc, aby wjazd odbył się z pompą, wybierała tę bramę.

Brama Wydrycka była bramą królewską: przez nią tryumfalnie wjeżdżali do Preszporka wszyscy panujący, gdy z jakiejś okazji przybywali z Wiednia.

Orszak objeżdżał zamknięte w kręgu czterech bram i baszt wewnętrzne miasto. Ciągnął ulicami zamieskanymi przeważnie przez winogrodników. Wszędzie panowała wesołość. Winogrodnicy z rodzinami i swoimi robotnikami siedzieli na podwórkach i przedprożach, jedli i pili, ale zoczywszy lub posłyszawszy, że przed parterowymi domkami przeciąga wielkopański orszak, wylegli tłumnie na ulicę.

Lecz winogrodnicy, butni i dumni preszporscy obywatele, oraz goście „wiecharzy”, którzy akurat mieli prawo szynkowania wina, na znak czego przed domem wisiała wiecha, stali z podniesionymi głowami przyglądając się jeno niecodziennemu widowisku, nie tak jak mieszkańcy getta. Brodaci, pejsaci, długowłosi Żydzi w wyświechtanych chałatach w dowód szacunku cisnęli się do ścian swoich domostw, aby zachować jak największą odległość od orszaku węgierskiej magnatki. Ale mimo to spotkało ich poniżenie, na które nie mogli poskarżyć się u zwierzchno-

ści. Nie tylko bowiem wielmoża, ale i pierwszy lepszy mieszczanin mógł Żydów bezkarnie krzywdzić. Byli ostatnimi w mieście, odizolowanymi od reszty mieszkańców, jakby byli parszywi. W biały dzień, jeśli w związku z uprawianym handlem odważyli się zapuścić w chrześcijańskie dzielnice, przemykali się ulicami jak ludzie o nieczystym sumieniu, przejęci strachem, czy kto nie wyładuje na nich nienawiści i wzgardy. A wieczorem, ledwie zaczynało się ściemniać, strażnik miejski zamykał kraty, które odcinały getto od miasta. I biada Żydowi, którego by w nocy przyłapano w mieście.

Do pięciu hajduków na czele orszaku przyłączyła się piątka z końca i wściekle smagając batogami po tłumie Żydów, gnali ulicą jak czerwona zawierucha.

W Elżbiecie Batorównie, która od wyjazdu z Czachtic ze względu na córkę bardzo się miarkowała i była niezwykle łagodna nawet dla służebnych, widok Żydów wzburzył krew.

Mieszkańcy getta z wraskiem, na złamanie karku uciekali do bram i zamykali je za sobą. Kiedy już na ulicy nie było żywego ducha, hajducy smagali po oknach, z których gapili się ciekawscy.

Orszak już dawno zniknął, gdy Żydzi ostrożnie przekradli się do synagogi i tam lamentując i gwałtownie gestykułując poskarżyli się rabinowi, jaka krzywda znowu ich spotkała.

Rabin ze wzrokiem proroczo utkwionym w dal pocieszał współwyznawców nadzieją na piękniejszy i lepszy żywot.

— Powiadam wam — mówił trzęsącym się głosem — iż kiedyś padną kraty, które hańbiąco oddzielają nas od miasta, i jeśli nie my, to potomkowie nasi wejdą tam i otrzymają zadośćuczynienie za nasze krzywdy i poniżenia!

Orszak majestatycznie ciągnął ulicą Długą, która w istocie była długa, gdyż łączyła Bramę Wydrycką z Lauryńską.

O kilka kroków od Bramy Lauryńskiej, w której wieży była izba tortur, gilzie badano złoczyńców, znajdował się obszerny zajazd „Pod Dzikim Mężem”.

Zatrzymywali się tam cudzoziemscy dyplomaci, gdy przybywali do Preszporka z jakąś misją, a także magnaci, którzy nie mieli nad Dunajem własnego pałacu.

Elżbieta Batorówna wynajęła całe piętro. Hajdacy, Dora i służebne ulokowali się w oficynie przy stajniach, przeznaczonej dla służby. Zaledwie hajdacy pozdejmowali z wozów i pownosili sepety z odzieżą, klejnotami i podarkami, zjawili się posłańcy różnych wysoko postawionych osobistości, które w skreślonych pośpiesznie listach oznajmiały Elżbiecie Batorównie, iż oddają jej do dyspozycji swoje pałace wraz ze służbą i że będą się czuły zaszczycone i wyróżnione, jeśli zechce zamieszkać pod ich dachem. Lecz ona wyszukanyymi słowami podzięki odrzucała te zaproszenia.

Zapadał już zmrok, kiedy przyszedł oberżysta, aby w pokojach dostojnego gościa osobiście zapalić smukłe świece w masywnych wysokich lichtarzach.

Elżbieta Batorówna uniosła głowę znad stołu, na którym obok ogromnego kałamarza widniała podstawka z tuzinem zastruganych gęsich piór, naczynie z miałkim piaskiem do osuszania inkaustu i wosk na pieczęcie. Oberżysta stanął w pełnej szacunku odległości i bez słowa czekał na rozkazy.

— Którzy panowie przebywają obecnie w Preszporku?
— zapytała.

Oberżysta mógł na to udzielić natychmiastowej odpowiedzi, albowiem najał pewnego zgałganionego wiecznego studenta, włóczącego się po karczmach, aby miał oko na ruch w mieście i codziennie mu donosił, kto zawitał do Preszporka, a kto wyjechał.

— A palatyn? — spytała grafka, gdy oberżysta wysypał

wszystkie swoje wiadomości.

— Jaśnie oświecony palatyn dziś rano wyjechał.

Niemile ją to zaskoczyło.

— Dokąd? I kiedy wróci?

— Do Wiednia, do króla. Wróci najwcześniej za dwa tygodnie.

— A graf Stefan Nyáry?*

Kiedy oberżysta odrzekł, że jest w Preszporku, odprawiła go i powiedziała z uśmiechem:

— A więc twój przyszły, Erziko, jest tutaj!

Erzikę ubodły te słowa.

Jej postanowienie wyjścia za męż, powzięte pod wpływem zawiedzionej miłości i przekory, znacznie osłabło. Nowe, obce otoczenie i obawa przed przyszłością zniweczyły jej beztroskę i chęć radowania się chwilą obecną, którym uległa w drodze z Pieszczan. Nic nie odrzekła, usiłowała tylko wyobrazić sobie człowieka, któremu zgodnie z wolą matki ma oddać rękę i serce.

Elżbieta Batorówna w pierwszej chwili zastanawiała się, czy nie ruszyć za palatynem do Wiednia. Lecz gdy pomyślała o ranie, która znowu zaczynała ją piec, i spojrzała na córkę, która powinna zapomnieć, rozweselić się, zdecydowała się pozostać w Preszporku i czekać na powrót palatyna. W końcu nawet ucieszyła się z tej zwłoki w spotkaniu z nim. Przez ten czas sprowadzi owego słynnego doktora, aby jej wyleczył zranioną nogę, i zadba o przyszłość Erziki. Całe dwa tygodnie będzie chodzić z wizytami i na bale, znowu wszystkich olśni jak niegdyś. Odnowi zerwane przyjaźnie z najpierwszymi rodami, niechaj wszyscy widzą, że nie jest już zbolalą wdową, lecz spragnioną życia kobietą.

A w zamku roz tętni się nowy żywot!

* Stefan Nyáry (zm. 1643) — baron, doradca królewski.

Będzie zapraszać najznakomitsze osobistości, urządzać bale i ucztę, o których głośno będzie w całych Węgrzech. A dostojni goście nawet się nie domyśla, co mówi lud, co się dzieje w podziemiach w nocy, kiedy oni po zabawie spokojnie odpoczywają pod jej dachem. I nie będą mogli się nadziwić, jak z dnia na dzień pięknieje, nie będą mogli znaleźć słów dla wyrażenia zachwyty nad jej urodą.

Erzika długo leżała z otwartymi oczami, a kiedy wieczorne dzwony rozdzwoniły się smutno, serce ścisnęło jej się z bólu i poczucia samotności. Gdyby w owej chwili podeszła do matki, przy świetle kaganka ujrzałaby na jej twarzy błogi uśmiech.

Elżbieta Batorówna ułożyła się do snu tak spokojna i zadowolona, jak już dawno jej się nie zdarzyło. Była niezłomnie przekonana, że wszystko jej się powiedzie.

Śniło jej się, że w Preszporku spotkała swego wytęsknionego nieznajomego. I we śnie czuła na twarzy jego palącej oddech i namiętne pocałunki.

Motyl w świetle

— Słuchaj no, Dora — rzekła Elżbieta Batorówna po tygodniowym pobycie w Preszporku — ktoś musi skoczyć do Czachtic, dowiedzieć się, co tam nowego, czy przybywa służebnic i czy moi wrogowie nie wysuwają rogów, abym wiedziała, komu ich przytrzeć po powrocie.

— Sama wybiorę się do Czachtic, miłościwa pani — odparła Dora ochoczo. — Na hajdukach nie można polegać. Każdy z nich jeno to miałby na widoku, aby jak najrychlej wrócić do Preszporka. Mają tu złoty żywot, nie mogą się go nachwalić.

— Dobrze, jedź sama. Więc powiadasz, że hajducy są

zadowoleni?

— Jeszcze jak! Wysiadują jeno w karczmach, ulizani, spaniali, śpią pieniędzmi, a gdziekolwiek się zjawią, zwracają się na nich zawistne oczy. A oni hymnami pochwalnymi na cześć swojej pani jeszcze podsycają tę zawiść. Pół Preszporoka najęłoby się do służby u miłościwej pani!

— To mi się podoba, Dora. Masz tu pieniądze, rozdaj je hajdukom. Niechaj mnie wychwalają. A te dwie służebne, które przyjechały z nami zabierz z powrotem do Czachtic.

I mrugnęła znacząco do Dory, która domyśliła się, że służebne dlatego trzeba zabrać, aby przy jakiejś sposobności nie otworzyły oczu dziesięciu dziewczynom najętym w Preszporoku. Grafka nie odważyła się wypowiedzieć tej obawy, Erzika bowiem stała obok,

Dora ruszyła w drogę nie zwlekając.

Jakże Erzika jej zazdrościła! Ona też najchętniej by wyjechała, choć nie wiedziała ani dlaczego, ani dokąd, gdyż bała się szukać odpowiedzi na te pytania.

— Dlaczego tak się chmurzysz? — spytała Elżbieta Batorówna. — Czego ci brakuje, czego byś sobie życzyła?

— Nie wiem, mamusiu. Jestem okropnie nieszczęśliwa. Tak mi się tutaj cni, że aż serce ściska.

Matka przyglądała się jej badawczo:

— Wcale mi nie dziwno, Erziko. Wiedziesz tu inny żywot jak w Wierzbowie. Kiedy do niego przywykniesz, zasmakujesz w nim i uprzytomnisz sobie, że właściwie dopiero teraz zaczęłaś żyć. Pojmiesz, iż żywot w tej zabitej deskami wsi, wśród odrapanych nędznych chałup i obdartych, utyłanych w błocie wieśniaków w ogóle nie był żywotem. Tam dni upływały ci jednostajnie, wokół siebie widziałaś zawsze te same prostackie oblicza, tam nie miałaś żadnych wrażeń. Było to tępe wegetowanie, na jakie i ja skazałam się w czachtickim zamku — aż do tej chwili.

Erzika milczała. Na nic by się zdało mówić, jak gardzi tym preszporskim pańskim światem, jak tęskni za żywotem, który ponoć nie dostarcza żadnych wrażeń. Po stokroć by wołała oglądać wokół siebie te „prostackie” oblicza obdartych i utyłanych w błocie ludzi! Na nic by się zdało mówić, jak nienawidzi tych woniejących pachnidłami, wystrojonych pajaców, którzy gną się przed nią w śmiesznych ukłonach i szepczą słowa, których nie rozumie, lecz wyczuwa, iż przesiąknięte są jadem fałszu.

— Jesteś jak motyl — powiedziała matka po chwili zamyslenia — który z ciemności wleciał nagle w światło. Oślepiło cię, w głowie ci się trochę kręci i niepewnie się poruszasz. Lecz to oszołomienie minie, a potem będziesz oszołomiona już tylko swoją urodą, która rozkwitnie dopiero tutaj, gdzie spotkasz ludzi zdolnych ją ocenić i podziwiać.

Przyszła gromada szwaczek.

W izbach zajazdu „Pod Dzikim Mężem” rozszeleściły się leciutkie jedwabie, ciężkie brokaty i aksamity, zabielały koronki, rozspiewały się nożyce, rozmigotały igły w zręcznych rękach, które szyły z drogocennych materii wspaniale suknie. Grafia doglądała każdego cięcia i ściegu. Co chwila przywoływała Erzikę, chciała bowiem, by suknie były uszyte podług jej gustu.

— Musisz być piękna, Erziko, tak piękna, aby nie można było oderwać od ciebie oczu!

Wieczorem dziesięć służebnych krzątało się wokół nich.

— Wybierz sobie, Erziko! — powiedziała matka, kiedy były już ubrane. Postawiła przed nią szkatułę z klejnotami. Erzika na widok drogocенności piętrzących się w szkatule aż pisnęła i klasnęła w ręce:

— Mogę sobie wybrać klejnot, który mi się spodoba?
— zapytała z niedowierzaniem.

— Nie jeden, wybierz sobie, ile chcesz, i nie musisz

zwracać, ułożysz je we własnym skarbczyku.

— Ależ ja nie mam skarbczyka! Nawet mi się nie śniło, że mogłabym mieć klejnoty!

— Poskocz do swojej izby. Nie miałaś, ale masz!

Pobiegła do swojej izby. Matka posłyszała jej radosny okrzyk. Erzika ujrzała na skrzyni artystycznie rzeźbioną szkatułkę. Na wieku i ściankach lśniły różnobarwne drogie kamienie.

W uniesieniu chwyciła szkatułkę, z błogim uśmiechem przycisnęła ją do piersi, pobiegła do matki i zasypała ją podziękowaniami.

— Daj spokój podziękowaniom — powściągała ją grafka szczęśliwa jej szczęściem. — Lepiej wybierz sobie klejnoty, bez nich bowiem twój skarbczyk byłby jak studnia bez wody, jak kwiat bez woni.

Erzika popatrzyła na stos klejnotów. Przebierała w nich bojaźliwie, jakby parzyły, wyjmowała ze szkatuły naszyjniki, bransolety, pierścienie, szpilki i agrafy i rozkładała je na stole.

— Nie wiem co wybrać. — spoglądała na szkatułkę w oszołomieniu.

— Ja ci wybiorę!

I Elżbieta Batorówna już zawieszała jej naszyjnik, przypinała brosze, wkładała bransolety i pierścienie.

Rozradowana Erzika ujrzała w zwierciadle siebie z najśmielszych swoich marzeń. Matka przypatrywała się jej z lubością.

— Piękna jesteś, Erziko — stwierdziła uszczęśliwiona — niewypowiedzianie piękna. Twój przyszły narzeczony od pierwszego wejrzenia rozgorzeje miłością!

— Dziś go poznam? — zadrzała.

— Tak, dzisiaj. Na balu u Eszterházych, dokąd zaraz jemy!

Przeniknęło ją złe przeczucie i strach przed wybranym przez matkę narzeczonym. Już nie cieszyła się ze swej urody. Spochmurniała i zdało się jej, że blask zdobiących ją klejnotów przygasa. W tej chwili zapragnęła zeszeptnieć tak, aby narzeczony uciekł przed nią.

Matkę zaskoczyła i rozdrażniła raptowna zmiana w nastroju Erżiki.

— Co się z tobą dzieje, Erziko? Czyżbyś nie cieszyła się ze wspaniałego życia, jakie cię czeka, z narzeczonego z wysokiego rodu, z okazałości i rozgłosu, jakie będą ci towarzyszyć na każdym kroku? Czyżbyś znowu myślała o tym zbójniku?

Erzika oblała się rumieńcem.

Myślami w istocie była przy Andrzeju Droździe, lecz myśli te miały przymusić jej dumne serce do nienawidzenia go. Jednakże nienawiści było coraz mniej, natomiast goryczy i smutku przybywało.

Im dłużej przemyśliwała nad tą sprawą występek Andrzeja Drozda ulegał pomniejszeniu, w końcu zaś zaczęła w nim widzieć czyn rycerski. Utwierdzała się w przekonaniu, że odrzucenie jej miłości w istocie nie było odrzuceniem, lecz wyrzeczeniem. Nie chciał zabrać jej ze sobą gdyż miłość między nim, zbójnikiem, i nią, szlachecką córką ulubienicą Elżbiety Batorówny, uważał za coś niedorzecznego.

A uprzytomnił to sobie, kiedy ujrzał ją z Elżbietą Batorówną. Początkowo zachowywał się jak stęskniony kochanek, ledwo jednak zoczył grafkę. Zesztywniał, powiał od niego chłód. I tylko gwoli niej nie obrabował Elżbiety Batorówny, tylko gwoli niej nie rozbił na miazgę powozu i nie rozgromił orszaku! Erzika uderzyła go, lecz nie pomścił się za obrazę. Nawet nie mrugnął, jeno obrócił się i odszedł bez słowa. Z jakiegokolwiek strony to rozważała, widziała jego postępowanie w coraz piękniejszych barwach i budziły się w niej wyrzuty sumienia, że tak szkaradnie się

zachowała. I nie mogła sobie darować, że w złości, wiedzona urażoną, dumą, pragnęła jego śmierci.

— Dlaczego milczysz? — Oczy Elżbiety Batorówny zapłonęły gniewem — Czyżby istotnie ten zbójnik jeszcze tkwił w twoim sercu?

— Nie mów o tym, mamusiu — rzekła Erzika prosząco — nie przypominaj mi Andrzeja Drozda,

— Dlaczego mam go nie przypominać? — nacierała z rozdrażnieniem. — Nie wyrzuciłaś go jeszcze z serca i nie chcesz iść za mąż? Rozmyślałaś się?

— Nie, nie rozmyślałam się. Pójdę za mąż! I chciałabym brać ślub w Czachticach przy biciu wszystkich dzwonów.

Powiedziała to bezbarwnie, jak skazaniec wypowiadający ostatnie życzenie. Jedynie dlatego chciała wziąć ślub w Czachticach, aby mieć pewność, iż Andrzej Drozd dowie się o tym. Niechaj i on cierpi tak jak ona. A w duszy zabyła nieśmiała nadzieja, że jeśli ją miłuje, w decydującej chwili zjawi się, nie dozwoli, aby ktoś inny związał ją z sobą przysięgą wierności na całe życie...

— Dobrze — zapewniła ją matka — stanie się podług twojej woli. Ślub odbędzie się w Czachticach i tak, jak sobie życzysz, rozdzwonią się wszystkie dzwony. Także dzwon za umarłych!...

— Nie! — zawołała Erzika. — Nic chcę, aby dzwon za umarłych bił w dzień mego ślubu!

— Coś mi się widzi, że nie chcesz, aby towarzyszył zbójnikowi w drodze do piekła? — ofuknęła ją matka.

— Nie chcę! Nie chcę, aby umarł w dzień mego ślubu i na twój rozkaz, mamusiu! Proszę cię, jeśli naprawdę mnie kochasz, obiecaj mi, że w żadnym przypadku nie będziesz pragnęła jego śmierci, a jeśli twoi ludzie go schwytają, dajesz mu żywot!

Płonęła gniewem, lecz opanowała się, albowiem Erzika,

tuląca się do niej z oddaniem, była ucieleśnioną prośbą. Czowała, że gdyby ukazała jej swą prawdziwą twarz i rzekła to, co myśli, znów stałaby się dla niej obca

— Dobrze — obiecała — daruję mu żywot.

I pogładziła córkę po rozpalonej buzi. Jej ręka była lodowato zimna, Erzika spojrzała na nią badawczo.

Czowała, że obietnica matki nie jest szczerą...

Na balu u Eszterházyc

Sprzed zajazdu „Pod Dzikim Mężem” z dostojnym turkotem ruszył paradny powóz. Nie jechał daleko. Pałac Eszterházyc znajdował się mniej więcej w połowie ulicy Długiej.

W powozie siedziała czachticka pani, a obok niej Erzika. Serce biło jej gwałtownie. Chociaż wychowała się w szlacheckim dworze i wpojono w nią szlachecką dumę, jej pragnienia niczym się nie różniły od pragnień nisko urodzonych towarzyszek zabaw. Nigdy nie śniło jej się, że wspólnie ubrana i obwieszona drogimi klejnotami pojedzie kiedyś na bal węgierskich wielmożów do pałacu grafa Eszterházyc.

Z przestraczem wyobraziła sobie rojący się od gości pałac. Jak da sobie radę w tym wytwornym świecie? Czy nie przyniesie matce wstydu? Jak wypadnie spotkanie z narzeczonym, grafem Stefanem Nyárym? Dlaczego matka wybrała jej na męża tego właśnie człowieka? Dlaczego jest tak niezłomnie przeświadczona, że ją poślubi?

— Erziko — ozwała się Elżbieta Batorówna, gdy zbliżały się do pałacu Eszterházyc, jakby czytała w myślach córki — jeno nie strać kontenansu, znalazłszy się po raz pierwszy w życiu w tak wielkiej i wykwintnej społeczności. Zachowuj się tak, jak ci instynkt i takt podyktuje

— zresztą nieustannie będę w pobliżu ciebie.

Słowa te dodały jej trochę otuchy — lecz obawa i zmieszanie powróciły, gdy u boku matki szła przez oświetlony pochodniami dziedziniec pałacu.

Pojawienie się Elżbiety Batorówny wywołało sensację. Uważano ją powszechnie za samotnicę, która niemal cały rok spędza w Czachticach pogrążona we wspomnieniach o zmarłym małżonku.

Eszterhazyowie serdecznie ją powitali. Erzika podczas łacińskiej oracji powitalnej grafa stała jak na szpilkach, rozumiała bowiem tylko niektóre słowa. Gospodarz ucałował Elżbiecie Batorównie rękę, gospodyni objęła ją i jako dawne przyjaciółki pocałowały się.

Potem oczy gospodarzy spoczęły na Erzice.

Oblała się rumieńcem.

— To jest moja najmilsza młoda przyjaciółka, Erzika Priborska, córka dobrego szlachcica z Wierzbowa! — zaprezentowała ją grafka i jakby chcąc okazać, jak bardzo jest jej miła, objęła ją i przytuliła.

Dostojna społeczność wiedziała, iż Elżbieta Batorówna zawitała do Preszporka z córką prostego szlachcica, którą traktuje jak równą sobie, lecz nie spodziewano się, że przybędzie z nią na bal do Eszterhazy. Wywołała tym ogólne zgorszenie. Stropiony gospodarz zastanawiał się, jak ma się zachować wobec tej dziewczyny. Wiedział, że Elżbieta Batorówna jest kobietą porywczą, obawiał się przeto, że gdyby w jakiś sposób ujawnił, iż uważa taką przyjaźń za niegodną jej stanu, a wprowadzanie takiej osoby do najwyższej społeczności za nietakt, obrażona mogłaby wybuchnąć.

Nie zastanawiał się długo. Zwrócił się do Erziki i powiedział po słowacku kilka słów na powitanie. Erzice drżała ręka, gdy mu ją podawała. Jeszcze bardziej się zapłoniła, kiedy graf ucałował jej rękę.

— Witaj, drogie dziecko! — powiedziała życzliwie graf-

ka Eszterházy, która w lot pojęła intencje męża i poszła za jego przykładem. Objęła i pocałowała Erzikę.

Było to znakiem dla wszystkich, że należy tolerować wybryk czachtickiej pani oraz „intruzkę”. Z początku wielmoże z trudem zdobywali się na zbliżenie do osoby niższego stanu, lecz niebawem zwłaszcza młodszy panowie jęli zabiegać o jej towarzystwo. Co raz to inny unosił ją w tańcu przy dźwiękach wiedeńskiej kapeli. Podbiła ich urodą i powabem świeżej młodości. Już była uroczą młodą damą, o łaski której trzeba walczyć. Matka z ukontentowaniem i dumą obserwowowała, jak znamienicie przystosowała się do nowego otoczenia i jak rośnie tłum jej wielbicieli. Ona także była otoczona. Starzy i młodzi szukali jej towarzystwa, prawili komplementy, dworne słówka, wyrażali zachwyt. Olśniła ich swą dojrzałą urodą i dowcipem.

A zarazem strzelała okiem na wszystkie strony, czy nie dojrzy gdzie wreszcie grafa Stefana Nyáryego. Przecież gwoli niemu wybrała się z Erziką na ten bal. W końcu spytała panią domu, czy przypadkiem coś mu się nie przytrafiło.

— O, skoro obiecał, przybędzie z pewnością — zapewniała ją grafka Eszterházy — choćby był na drugim krańcu świata. Pojechał w pilnej sprawie do Wiednia, lecz obiecał, że cokolwiek by się stało, dzisiaj wróci, a nadto przywiedzie znamienitych gości.

I rzeczywiście, niebawem w drzwiach pojawił się około pięćdziesięcioletni mężczyzna wątej postaci, o kobiecych ruchach — graf Stefan Nyáry. Pomarszczona twarz o cienkim nosie była słodko uśmiechnięta.

— Mało duszy nie wytrząsałem — wsunął długie cienkie palce w przerzedzoną rudą czuprynę i przeczesał ją jak grzebieniem — tak mi było śpieszno do waszej przezacnej społeczności. Przegoniłem na swoim bułanku powóz wiedeńskich gości, który dojedzie tu nie wcześniej jak za pół godziny.

Sprężystym krokiem krążył wśród dam niby uosobienie czci, wzrokiem stratega natychmiast wyławiał te, które najprzód należy powitać. Lecz nawet te, które zostały na ostatku, nie czuły się urażone, gdyż wysławiając ich urodę stopniował swój zachwyty i dawkę poezji. Zebranych mężczyzn pozdrowił gremialnie, najprzyjaźniejszym głosem, chociaż wiedział, że nim gardzą. Nienawidzili go za bezceremonialny sposób bycia, za wyszukany styl, przesłodzone, nieustannie wygłaszane hymny pochwalne na cześć dam, za dwuznaczności, w których zawsze kryła się jakaś aluzja. Był pochlebny, wyrachowany, wybijał się nad innych wykształceniem i znajomością języków. Te właściwości sprawiały, iż dla palatyna i cesarskiego dworu w Wiedniu był niezastąpiony w służbie dyplomatycznej.

Był również dyplomatą w dziedzinie kobiecych serc. Zdobył każde, które chciał. Z zadziwiającą wytrzymałością ze stu wiodących do niego dróg szukał tej jednej, właściwej. I umiał milczeć jak grób, nikt nigdy nie słyszał, aby przechwalał się swoimi przygodami miłosnymi. Dyskrecja była jedną z najlepszych rękoi jego sukcesów i przyczyną zazdrości starych i młodych mężów. Nikt nie znał jego kochanek, toteż w serca mężów, gdy umizgał się do ich połowic, w gryzała się zazdrość.

Gdy się zjawił, czachticka pani nie chcąc, aby ją od razu spostrzegł, skryła się z córką za kolumną.

— Oto on, Erziko! — ścisnęła jej rękę. — Twój narzeczony.

Zbladła. Jej narzeczony! A więc ten cherlawy, podstarzały, rudowłosy galant z twarzą białą jak kreda, który kręci się wokół dam jak fryga i zachwala kobietą urodę niby kramarz na targu swój nędzny towar, ten człowiek promieniający pochlebnością i fałszem — to jej przyszły małżonek!

Wolałaby poślubić Wierzbowskiego garncarza, który ma

już siwe włosy i słyńie z tego, że nigdy się nie myje, chyba że deszcz przyłapie go na polu i Pan Bóg opłucze go niebiańską wodą. Graf Nyáry — jakby ujrzała przed sobą Ficka, jeno że w innej postaci. Doznaje tych samych uczuć co na widok Ficka taki sam mróz ją przejmuje i pragnienie ucieczki.

— Trzymaj się, Erziko, nie zrób mi wstydu! — ozwała się Elżbieta Batorówna, kiedy tłum otaczający grafa Nyáryego rozproszył się. Wystąpiła z Erzika zza kolumny.

Myszkuje oczy Stefana Nyáryego wnet ją spostrzegły. Pośpieszył do niej z najradośniejszym obliczem, a z ust sypały mu się najśodsze słowa o miłej niespodziance. Nazwał ją czachtickim słońcem, które w Preszporku świeci zaledwie raz na dziesięć lat.

— Dość, dość, drogi przyjacielu — powstrzymała z uśmiechem potok komplementów — zachowajcie zapas pięknych słów i pochlebstw dla swojej narzeczonej.

W sali zaszumiało. Dla jakiej narzeczonej? Najbardziej zatwardziały stary kawaler, który niewieście jarzmo chwali jeno wówczas, gdy uciska cudze karki, zamierza się ożenić?

Stefan Nyáry wytrzeszczył na nią oczy. Na chwilę odjęło mu mowę. Błada twarz zbladła jeszcze bardziej. Poczul, że wali się nań jakieś nieszczęście. Od Elżbiety Batorówny musi przyjąć wszystko, spełnić każde jej żądanie. Biadaniu, jeśli ją rozgniewa i popchnie do zemsty. Ona jest jedyna istotą na świecie, której się boi, jedynie ona może ośmieszyć go i zniszczyć. Przesunął wzrokiem po Erzice Priborskiej i trochę oprzytomniał, gdyż błysnęła mu myśl, że prawdopodobnie jest to owa dziewczyna, z którą czachticka pani postanowiła go ożenić.

Piękna jest, piękna jak... Już szukał porównania, oswajał się z sytuacją.

— Drogi przyjaciel Nyáry — oznajmiła wszem wobec

Elżbieta Batorówna z uśmiechem — pragnął sprawie dzisiaj niespodziankę wszystkim znajomym ogłoszeniem swoich zaręczyn. Aby zaś niespodzianka była jeszcze większa i aby sprawić ją także grafowi Nyáryemu, bez uprzedzenia przyprowadziłam jego narzeczoną. Czyż jej nie widzisz, drogi przyjacielu?

Erżice zakręciło się w głowie, zaćmiło przed oczyma. Lecz wspomniawszy przestrogę matki zebrała wszystkie siły, pokonała słabość i nawet udało jej się przywołać uśmiech na twarz.

Graf Stefan Nyáry już znowu był w swojej skórze.

— O, nieszczęsne moje oczy! — zadeklamował. — Jedno słońce tak je oślepiło, że nie dojrzały drugiego, które jest jeszcze jaśniejsze i milsze, albowiem będzie opromieniać mój żywot!

I przystąpił do Erżiki. Podąła mu rękę jak we śnie. Złożył na niej pocałunek, dwornym gestem podał jej ramię i poprowadził do sali balowej.

Para narzeczonych wbrew woli

Zebrani z wolna otrząsali się ze zdumienia. Niektóre ze starszych dam spoglądały za osobliwą parą blednąc z nienawiści. Graf Nyáry był ich kochankiem i każdej jednak oślubował wieczną miłość i wierność...

— Kapela, grać! — zawołał Nyáry i już wirował z przymusową narzeczoną.

Z pewną siebie miną rozglądał się po sali, z uśmiechem szczęśliwego narzeczonego znosił zionące nienawiścią spojrzenia oszukanych kochanek. Już się opancerzył i gotów był podjąć walkę z przytykami kaśliwych języków. Narzeczoną, której wdzięki ocenił od pierwszego rzutu oka, po-

dobala mu się coraz bardziej. Żałował, że ściśle przepisy tańca i obyczajność nie pozwalają mu przygarnąć jej do siebie i poczuć drżenia młodziutkiego, oszołamiającym czarem tchnącego ciała.

Łamał sobie głowę, kim ona właściwie jest. Dokonał w pamięci przeglądu najznacześniejszych szlacheckich rodów, czy nie widział gdzie kiedy tego rozkosznego stworzenia, lecz daremnie. Nie mógł odgadnąć jej nazwiska, a tym samym wielkości wiana ani zasięgu wpływów i władzy nowych krewnych.

— Jak się zowiesz, droga moja? — spytał w końcu słodkim głosem, a dla obserwatorów z uśmiechem, który pozwalała się domyślać, iż szepcze najczulsze słowa.

— Erżika Priborska — odparła nieśmiało.

Zdętwiał, z twarzy zniknął mu błogi uśmiech.

To nazwisko zdradza, że jego narzeczona jest córką jakiegoś drobnego szlachetki. Dlatego wszyscy byli tak zdumieni! Wyobraził sobie, jakie następstwa mógłby mieć dla niego ten mariaż. Krew w nim zawrzała, zapłonął gniewem na Elżbietę Batorównę, że wciągnęła go w taką pułapkę i wystawiła na szwank jego pozycję i karierę.

— Dlaczego chcesz mnie poślubić? — zapytał chłodno, ale z takim wyrazem twarzy, jakby wyznawał miłość.

— Nic chcę was poślubić! — sprawiło jej ulgę, że mogła ujawnić swoją niechęć.

— Ciesz się mnie to! — odrzekł i upomniał ją: — Ale uśmiechaj się jak przystało na szczęśliwą narzeczoną,

— A wy chcecie się ze mną ożenić? — odważyła się spytać z cichą nadzieją w duszy,

— Nie! — burknął. Erżice serce podskoczyło z radości, twarz rozpromieniła się szczerym uśmiechem.

— Wszelako — ciągnął — nie wolno nam się z tym zdradzić, przez pewien czas musi to być naszą wspólną tajemnicą.

— Obiecuję wam, że dotrzymam tajemnicy!

Rzadko kiedy obiecywała coś z takim przekonaniem. Uczyni wszystko, aby nie zostać żoną tego niesympatycznego człowieka.

Graf ucieszył się, gdy do następnego tańca porwał mu narzeczoną pewien młodzieniec, powołując się na uzyskaną wcześniej zgodę. Już miał kilka planów, jak wybrnąć z kłopotliwego położenia, choćby za cenę czci i reputacji narzucanej sobie narzeczonej.

Z dumą pomyślał, że dotychczas nikt nigdy go nie przechytrzył i że ratował się już z gorszych opresji.

Chciał iść prosto do Elżbiety Batorówny i zażądać, aby mu wyjaśniła całą sprawę, lecz otoczyli go panowie, którzy w duchu radowali się, że znienawidzony galant zgubi się tym nierozważnym, nierównym małżeństwem, i panie, które gorzały ciekawością, jaka to romantyczna historia kryje się za niedobranym związkiem światowca z zaściankową pięknoscią. Lecz graf Stefan Nyáry, jak zawsze w takich wypadkach, milczał niby grób.

Wreszcie nasunęła mu się sposobność do upragnionego sam na sam z Elżbietą Batorówną. W tańcu niepostrzeżenie wprowadził ją do ciemnego wykusza.

— Czcigodna przyjaciółko — ujawnił swoje oburzenie — pozwólcie zadać sobie pytanie, co znaczy ta komedia, którą z waszej woli muszę grać?

— Wy zaś pozwólcie, drogi przyjacielu, że sprostuję wasze słowa. To nie jest żadna komedia. Poślubicie narzeczoną, którą wam wybrałam, i basta.

— Nie możecie żądać ode mnie, abym się zniszczył. Dla człowieka mojego stanu i powołania...

— Dość! — przerwała mu. — Chcecie mi wmawiać, że ciągle misje dyplomatyczne nie zezwalają wam na założenie ogniska domowego? Babiarcz z was, ot co! Gonienie za spółniczkami jest waszym powołaniem, drogi przyjacielu,

i na tym trudno położyć wam krzyżyk.

Babiarz! To słowo weгнаło mu krew do twarzy, pozbawiło go pewności siebie i zbiło z tropu.

Nikt nie wiedział o jego awanturkach miłosnych, Raz tylko zdarzyło mu się nieszczęście, że go wysłedzono i przydybano na umizgach — właśnie w czachtickim zamku... A strach, że czachticka pani mogłaby ujawnić tę przygodę sprzed pięciu lat, oddał go w jej ręce.

— No, no — rozkoszowała się jego zakłopotaniem nie zwieszajcie głowy jakbyście szli na szafot. Nie mam wobec was złych intencji, przeciwnie, pragnę tylko waszego dobra. Właściwie powinniście mi podziękować, przecie to z mojej strony wyróżnienie, że wybrałam wam za żonę swoją przyjaciółkę, którą tak kocham, jakby była moją najmilszą córką.

— Za wyróżnienie jestem wam wdzięczny — uśmiechnął się cierpko. — Wszakże radować się z niego nie mogę, albowiem spełnić wasze żądanie znaczyłoby to samo, co popełnić samobójstwo!

— Jakie samobójstwo? — zaśmiała się uszczypliwie, — Dla starzejącego się uwodziciela, którego uroki i możliwości lada dzień przeminą, związanie ze sobą rozkosznej dziewczyny i stanie się jedynym jej panem i władcą jest równoznaczne z samobójstwem?

Ze znużeniem machnął ręką.

— Nie ma róży bez, kolców! — uśmiechnęła się ironicznie Elżbieta Batorówna. — Ale rozważmy po kolei okoliczności, które napawają was takim lękiem. Że wasza przyszła małżonka jest prostą szlachcianką? To nie ma znaczenia. Jeśli jesteście dobrym dyplomatą bez trudu uzyskacie nadanie jej tytułu. Zresztą to wcale niepotrzebne, wszak przez małżeństwo z wami i tak zdobywa tytuł hrabiowski. A jakie znaczenie mają obawy, że wasza dotychczasowa społeczność odsunie się od was — wobec radosnego faktu,

iż będziecie szczęśliwym małżonkiem? Dam wam dobrą radę: aby się nie trapić, że nasza społeczność stroni od was, pokażcie jej plecy i gruchajcie ze swoją prześliczną młodą żoną!

Bawiła się nim z prawdziwą rozkoszą:

— Muszę nadto wspomnieć o czymś, za co nawet najzgorzalszy nieprzyjaciel was nie potępi. Nie tylko nie potępi, ale westchnie z podziwem, że prawdziwi rycerze dotychczas nie wymarli, Otóż wasza narzeczona, drogi przyjacielu, nie mi wiana...

— Jeszcze i to! — zazgrzytał zębami graf Nyáry. — Ale skończmy ten jałowy dyskurs, ja się nie ożenię!

— A ja powiadam, że się ożenicie!

— Nie ożenię się, to moje ostatnie słowo!

— Ożenicie się, oto moje ostatnie słowo! Pamiętajcie, że zaiste ostatnie!

— Rzekliśmy sobie wszystko, jak mniemam. Chodźmy! — chłodno podał jej ramię.

— Jeszcze nie — sprzeciwiła się. — Jeszcze chcę was spytać, co byście rzekli, gdybym kazała wezwać Ficka z zajazdu „Pod Dzikim Mężem”?

Odgadł, do czego zmierza, lecz udawał, że nic nie pojmuje.

— Po co?

— Aby dla rozweselenia dostojnej społeczności opowiedział niewybrednymi słowy, co widział w Czachticach pewnej letniej nocy!

— Aby opowiedział, jak na rozkaz swej pani — przerwał jej z rozdrażnieniem graf Nyáry — wyszedł gościa u jednej z jej służebnych — która mimochodem mówiąc, była rozkoszna — a potem sprowadził swoją panią, ta zaś, nie dbając o przystojność, zaskoczyła gościa przy tej intymnej zabawie i śmiała się do rozpuku z zakłopotania

przylapanych.

— Ficko ma dobrą pamięć — straszyla go Elżbieta Batorówna, nie postrzegłszy ostrza ukrytego w rozdrażnionych słowach. — Wiernie by odtworzył wasze miłosne westchnienia i przemowy, ukazując waszym wysoko urodzonym kochankom, jak giętki i sposobny jest wasz język, który z równą łatwością do dam, jak i ordynaryjnych bab umie się dostosować.

Tego graf Nyáry bał się najbardziej. Elżbieta Batorówna mogła wystawić go na pośmiewisko. Z przerażeniem wyobraził sobie, jak śmiano by się z admiratora powabów służebnej czachtickiej pani. A gdy pomyślał, jak będą nim gardzić: jego dostojne kochanki, ciarki przebiegły mu po grzbiecie. Ale co znaczy to wszystko w porównaniu z ożenkiem ze szlachcianką bez wiana?

— Proszę bardzo! — rzekł z determinacją. — Zabawcie społeczność wedle swej woli i gustu!

Elżbieta Batorówna roześmiała się:

— Ożenek z piękną dziewczyną napawa was takim panicznym lękiem, że aż wprawia mnie to w osłupienie! Wolicie szyderstwo i wzgardę całej społeczności?

— Tak — burknął.

— Tedy wyjawię wam, że mego sługi wcale nie ma w Preszporku i że wcale nie zamierzałam rozgłaszać waszej czachtickiej przygody.

Patrzył na nią nic nie pojmując.

— Wszelako — ciągnęła już kategorycznym głosem i znów ujęła mówić mu „ty” — ożenisz się z Erzika Priborską, bo jeśli nie, ku zdumieniu gości powiodą cię stąd prosto do więzienia!

Graph Nyáry obejrzał się spłoszony, czy nie słyszeli tej pogróżki kochankowie tulący się w mroku wykusza bądź jakiś szpieg z powołania.

— Ciszej, ciszej! — upomniał ze wyburzeniem Elżbietę

Batorównę. — Co was upoważnia do grożenia mi więzieniem?

— Mnie nic, drogi przyjacielu, jeno sędziego! Są bowiem rozmaite, w mniemaniu niektórych ludzi całkiem niewinne handle i handelki, lecz prawo surowo je karze. O, wy perło dyplomacji, wstyďte się! Jak mogliście być tak nieprzezorni, że sami sporządziliście dowód przeciw sobie?

Zdradziecki pergamin

Graf Stefan Nyáry patrzył na nią w osłupieniu.

W żaden sposób nie mógł się domyślić, do czego czach-ticka pani zmierza. Niepewność tak go dręczyła, iż ze wzburzenia przestępował z nogi na nogę, a ręce mu się trzęsły. Najchętniej zacisnąłby je na szyi kobiety, która tak okrutnie z nim igrała.

— Powiedzcie wreszcie, co macie na myśli! — wybuchnął.

— Ciszej, drogi przyjacielu! Znowu zapominacie o przezorności, która nigdy nie zawadzi. Wnet wyjawię, o co idzie. Nie wiecie trafunkiem, gdzie i w jakiej formie kwitnie w naszych czasach handel kobietami i dziewczętami?

Zbladł.

— I ile płaci — ciągnęła ostro, wpiernając w niego wzrok — ile płaci turecki pasza w Nowych Zamkach, który nienawidzi giaurów, lecz ubóstwia giaurki, za chrześcijańską kobietę lub dziewczynę, i ile by zapłacił, gdyby ktoś zaferował mu naraz tuzin chrześcijanek?

Widok przypartej do muru ofiary pobudzał Elżbietę Batorówną do śmiechu.

— Cóż to, odjęło wam mowę, przyjacielu?

— Zda mi się, iż jesteście znamienicie obznajmieni z

tym handlem i nie musicie uciekać się do moich skromnych wiadomości — graf Nyáry kipiał złością. Nie wiedział, co wywęszyła odnośnie do jego interesów, dawał więc bacznie, by nie zdradzić się przed nią z czymś, o czym jeszcze nie wie.

— Zaiste, przyjacielu — uśmiechnęła się szyderczo — wiem ja to i owo o kupczeniu kobietami. A to stąd, że mam pewne pismo, którego autorem wy jesteście, wy, dyplomata...

Rozwinęła wąski rulonik pergaminu i podsunęła mu przed oczy tak, aby z okna padało nań blade światło.

Gdy ujrzał ten karteluszek i przebiegł go błyskawicznie oczyma, przyskoczył do niej i chwycił za rękę, chcąc wydrzeć pergamin. Lecz ona wolną ręką z taką siłą uderzyła go w pierś, że się zatoczył.

— Bestia! — wychrypiał łapiąc się za głowę, bo aż świat przed nim zawirował.

— Mogliście sobie tego oszczędzić, drogi przyjacielu — rzekła z uśmiechem, teraz już wymuszonym, albowiem rozdrażnił ją ten atak. — Macie szczęście, iż stało się to bez świadków, inaczej byłabym zmuszona publicznie zgromić was za natarczywość. A nie wiem, czy ktokolwiek przyklasnąłby temu, iż jako narzeczony uroczej dziewczyny zuchwale zalecacie się do wdowy.

Bezsilnie patrzył, jak spokojnie zwija pergamin i wsuwa go za gors.

Jest całkowicie zdany na jej łaskę, ten dokument w jej rękach to nieustannie wisząca nad nim groźba niebezpieczeństwa.

— Cóż tedy, grafie Nyáry, ożenicie się?

Stała przed nim wyzywająco.

— Ożenię się! — zgrzytnął zębami.

— Wobec tego wszystko w porządku. I pora już wrócić do sali. Jesteście dziwnie roztargnieni, drogi przyjacielu.

Stoicie jak słup soli, zapatrzeni przed siebie, i zapominacie, że należy podać mi ramię. Chodźmy, chodźmy, drogi przyjacielu.

Chwilę później graf do tego samego wykusza wprowadził Erżikę.

— Chcę bez przeszkód pomówić z tobą, jak wywinąć się od tego małżeństwa.

— Przecież to proste, nie poślubicie mnie i basta!

— Nie mogę cię nie poślubić. Sprawy przyjęły taki obrót, iż muszę się z tobą ożenić.

— Dlaczego? — przeraziła się Erżika,

— Nie mogę podać ci przyczyn, zresztą nie są ważne. Los nas obojga spoczywa w twoich rękach, a uratować nas może jedynie twoja ucieczka! Tak. musisz uciec. Nie ma innego sposobu.

— Dokąd? — Ogarniał ją lęk, czuła bowiem, iż graf byłby zdolny do wszystkiego, gdyby się sprzeciwiła.

— Dokąd jeno chcesz. Najważniejsze, aby miejsca twojego pobytu nie znała ani czachticka pani, ani nikt taki, kto mógłby jej o tym donieść.

— Ale ja nie wiem, gdzie mogłabym uciec.

Podszedł do niej zupełnie blisko i popatrzył w oczy badawczo, jakby chciał wyczytać jej myśli,

— Powiedz, masz miłego i dlatego nie chcesz mnie poślubić?

— Tak, dlatego — odparła. Oblała ją fala gorąca, twarz zapłonęła rumieńcem.

— A nie mógłby cię twój miły porwać? Gdyby było trzeba, pomógłbym mu w tym.

— Nie, on nie zechce mnie porwać.

— Jeśli cię miłuje, porwie cię z pewnością. Postaram się, aby się dowiedział, że wbrew twojej woli chcą cię wydać za mąż i że jedynie on może cię uchronić przed tym

małżeństwem, i jedynie w ten sposób, że cię porwie.

— Nie wiem, czy i on innie miłuje.

— Przekonamy się!

— Nie chcę, aby go namawiano do porwania mnie. Zakazuję wam!

— Tedy chcesz mnie poślubić?

— Nie, nie!

— Wobec tego musisz zgodzić się na wszystkie moje poczynania, bo jeśli nie, będę musiał cię poślubić choćby wbrew woli. Zdałbym się raczej na twój ojca, nie zaś męża...

Zamiast „ojca” chciał powiedzieć „kochanka”, lecz w porę się pohamował.

Wrócili między gości. Graf Nyáry trochę uspokojony nadzieją, że uda mu się skłonić ukochanego Erziki do działania Erzika natomiast zaniepokojona i pełna obaw.

— Uśmiechaj się, uśmiechaj! — szeptał do niej i sam dawał przykład, jak wprowadzić w błąd obecnych.

Elżbieta Batorówna też promieniała uśmiechem.

— Nasz przyjaciel Nyáry ma niebywale szczęście rzuciła na tyle głośno, że i on to posłyszał, gdy mijał w tańcu ją i trzech towarzyszących jej panów. — Pasowałby raczej na ojca mojej drogiej przyjaciółki, a będzie jej mężem!

— Jakie wiano dostanie, jeśli wolno wiedzieć? — zapytał jeden z ciekawych panów.

— Żadnego!

Spółeczność czachtickiej pani wybuchnęła tak gromkim śmiechem, że ściągnęli na siebie uwagę całej sali.

Graf Nyáry wyczuł złośliwą radość w tym śmiechu, który przekraczał granice przyzwoitości. Chociaż w twarzy nie drgnął mu ani jeden muskuł, zaciął zęby i bezwiednie tak ścisnął rękę Erziki, że spojrzała nań z bojaźliwym wyrzutem.

Dlaczego Elżbieta Batorówna przymusza go do tego ożenku? To pytanie uparcie świdrowało mu w mózgu. Lecz odpowiedzi nie znalazł.

Z ulicy dobiegł stukot kopyt i turkot powozów.

Wśród zebranych zapanowało poruszenie. Przybyli goście z Wiednia. Damy cieszyły się, gdyż nowymi gośćmi byli sami mężczyźni, a więc przybywało im rycerzy, panowie zaś byli radzi, że dowiedzą się najświeższych plotek z cesarskiego dworu oraz nowinek z Wiednia i ze świata.

Gdy goście wchodzili do sali, Elżbieta Batorówna stała obojętnie na uboczu. Większość przybyłych znała jedynie z nazwiska — dla niej pomnożenie społeczności i ożywienia zabawy nie miało znaczenia. Nie przyszła tu się bawić. I cel swój już osiągnęła. Nudziła się wśród dawnych przyjaciół i znajomych, przez długi okres niewidzenia stali się jej zupełnie obcy. Nastrój wesołej zabawy jedynie dlatego jej dogadzał, że ułatwiał odnowę starych przyjaźni i nawiązywaniu nowych.

W drzwiach pojawił się ostatni gość.

Ostatni gość

Gdy Elżbieta Batorówna zoczyła wchodzącego, oczy jej się rozszerzyły, do twarzy uderzyła krew i naraz krzyknęła przeraźliwie, jakby ujrzała marę.

Wszyscy spojrzeli na nią z, najwyższym zdumieniem.

Zachwiała się na nogach. Zarumieniona twarz nagle zbladła, oczy zamknęły się i padła jak podcięta. Jej towarzysz pochwycił ją w ostatniej chwili, podbiegła przestraszona gospodyni.

W drzwiach, zakłopotany i pobladły, stał sekretarz pałatyna Thurzo, Jerzy Zavodsky, mężczyzna potężnej postaci.

W okrągłej, pełnej twarzy płonęły czarne, przepastne oczy, a nad nimi bieląło wysokie czoło, które zaczątki łysiny czyniły jeszcze wyższym.

Oczy gości, jakby dociekając związku między przybyciem sekretarza i omdleniem czachtickiej pani, wpatrywały się to w Jerzego Zawodskiego, to w Elżbietę Batorównę, którą kilku panów wynosiło z sali.

— Do izby gościnnej prowadziła ich gospodyni — albo nie, lepiej do naszej sypialni. Tam jest najciszej, tam nie dobiega muzyka ani gwar.

— Chodź! — zwrócił się graf Nyáry do Erziki. — Twoje miejsce jest teraz u boku przyjaciółki.

Erzika, przełęczniona omdleniem matki, była mu wdzięczna, że przeciął jej niezdecydowanie, jemu zaś dogadzało, że może udać się z nią. Koniecznie chciał być w pobliżu Elżbiety Batorówny, obawiał się bowiem, że zdradziecki pergamin wypadnie jej zza gorsu albo dostanie się w niepowołane ręce, gdy będą ją cucić. Nadto miał nadzieję, że a nuż uda mu się odebrać dokument, który mógłby go zniszczyć. Zbyteczna obawa, daremna nadzieja. Pergamin nie wypadł, a stanika nie było trzeba rozpinąć, wróciła bowiem do przytomności, ledwo posadzono ją w fotelu i podsunęto pod nos silne pachnidło.

Goście byli zwarzeni niemiłym incydentem, lecz hrabina Eszterházy wróciwszy, uspokoiła ich:

— Bogu dzięki, nic się nie stało. Elżbieta, biedactwo, niedomaga trochę na serce. Niestety, nasz miły gość nie dotrzyma nam już towarzystwa, chociaż czuje się dobrze. Prosi o wybaczenie, że opuszcza nas przedwcześnie, obawia się jednak, że atak mógłby się powtórzyć.

Sekretarz palatyna oblicze miał chmurne i każdy, kto z nim zamienił kilka słów, odnosił wrażenie, że coś go trapi. Nie umiał udawać, nie był zdolny maskować złego humoru. Wiedziano o tym, a przygnębienie przypisywano kłopotom

urzędowym.

Elżbieta Batorówna siedziała w fotelu i uśmiechała się.

Rozpierała ją taka radość, że z największym wysiłkiem stłumiła wybuch wyzwalającego śmiechu.

Nie na darmo tęskniła i czekała długie lata, jej marzenia spełniły się. Ledwo opanowała pokusę, by zerwać się i pobiec do sali balowej, do swojego wytęsknionego nieznajomego. Ale nie może spotkać się z nim przy świadkach, gdyż nie zdołałaby zachować się obojętnie i nie zdradzili swojej miłości. Czowała, że witając się z nim nie byłaby w stanie oponować i zataić swoich uczuć. Dlatego oznajmiła hrabinie Eszterházy, iż odjeżdża.

— Już nic mi nie jest, naprawdę nic — uśmiechała się do otaczających ją osób i drżącymi z tajonego wzruszenia rękami przygarnęła do siebie Erżikę.

Wtem spostrzegła Nyáryego. Sięgnęła za gors, a namacawszy pergamin, uśmiechnęła się do grafa. Wyczytał z jej ironicznego uśmiechu, iż odgadła, dlaczego jest przy niej i na co czyha.

Spostrzegła też swojego towarzysza, który ją pochwycił, gdy omdlała.

— Drogi przyjacielu, wybaczenie, że przyczyniłam wam kłopotu. Jenó mi jeszcze na pożegnanie powiedzcie, kim był ów ostatni gość, którego ja, pustelnica czachticka, ujrzałam pierwszy raz w życiu, a przepełniona wdzięcznością zwolniłam was z tej rycerskiej służby.

— To Jerzy Zavodsky, sekretarz palatyna.

— A, z nazwiska znam go już dawno. Niestety, nie miałam przyjemności poznać go osobiście. Proszę, rzeknijcie mu, że to nie jego przybycie było przyczyną mojego omdlenia, aby nie obwiniał się bezpodstawnie. Toć nic jest szkaradą, której widok mógłby przyprawić o omdlenie, przeciwnie, jest przystojny i ujmującej powierzchowności. Przeświadczona jestem, że gdyby był zjawił się wczę-

śniej, a nie z takim opóźnieniem, moje fanaberyjne serce nie przyczyniłoby mi strapień.

Gdy grafka Eszterházy, uspokoiwszy gości, wróciła do sypialni, Elżbieta Batorówna wstała i pożegnali się.

Wsparta o Erżikę szła śpiesznie, jakby uciekała z płonącego domu, i nie obejrzawszy się nawet za siebie wsiadła do czekając ego już powozu. W powozie milczały obie. Erżika dlatego, że obawiała się zdradzić ze swoim strachem przed przyszłością i odrazą do małżeństwa. Matka zaś zagrożona była we własnych myślach i planach. Radość z wyjątkowego spotkania mieszała się w jej sercu z lekiem, czy dawny kochanek nie zapomniał już o niej, a jeśli tak się stało, czy zdoła wskrzesić w nim umarłe uczucie. To ogarniało ją zwątpienie, to znów pewność, że uda jej się odzyskać jego miłość.

Gdy wyobraziła sobie czekający ją opromieniony miłością żywot, zdrzżała z niewysłowionej rozkoszy, a świat wokół niej przesłoniła różowa mgła.

Jeszcze nie żyła. teraz dopiero zaczniesz żyć!

Powóz zatrzymał się przed zajazdem „Pod Dzikim Mężem” i po chwili zniknął w ciemnej sklepionej bramie. Elżbieta Batorówna odprowadziła Erżikę do izby, pomogła jej przy rozbieraniu, położyła do łóżka, nakryła i ucałowała.

Erżika posłyszwała w sąsiedniej izbie szelest sukni, gdy matka się rozbierała, skrzywienie podłogi, gdy niespokojne chodziła tam i na powrót, a w końcu trzeszczenie łóżka, gdy się kładła

Nie mogła pojąć, dlaczego nie jest teraz w stanie myśleć o sobie i swojej przyszłości, a tylko o matce, która zdała się jej przedziwnie zagadkowa i niezrozumiała. Bolała nad tym. Wgłębiała się w swoje uczucia. Czy istotnie kochają? Na to pytanie szukała odpowiedzi. Wspomniała straszne wydarzenia w zamku, nieszczęśliwe szwaczki, widziała przed sobą matkę opętaną niepojętą złością i pełną okru-

cieństwa, ale i pełną miłości macierzyńskiej, gotową do największych poświęceń, i widziała ją bezwzględną, depcząca jej serce zmuszająca do poślubienia niekochanego i niemiłego człowieka, Nie wiedziała, co o niej myśleć, za co ją chwalić i podziwiać, a za co ganić i potępiać. Nie wiedziała, czyją kocha, lecz coraz silniej czuła, że budzi się w niej litość. Jakaś bolesna męcząca litość.

Raptem siadła w łozu z różowym baldachimem i nasłuchiwała w napięciu.

Postyszała płacz.

Uświadomiła sobie, że to matka płacze w sąsiedniej izbie. Pobieгла co tchu, siadła na krawędzi łozka, objęła ją i poczęła całować.

— Co ci jest, mamusiu?

A gardło jej się ścisnęło, ślina w ustach gorzkniała, do oczu napływały łzy.

— Och, Erziko, jestem szczęśliwa i nieszczęśliwa zarazem!

Objęła córkę, przytuliła ją do piersi i zasypała pocałunkami.

— Erziko, dzisiaj odnalazłam twojego ojca!

— Mojego ojca! — i ona też się rozplakała.

Matka i córka płakały trzymając się w objęciach, a ciche promienie roześmianego księżyca zakradały się pod baldachim łozka i osnuwały szlochające niewiasty miękkim światłem.

13. Skradzione klejnoty

Zwada między sługami

- W zamku wszystko w porządku?
— Wszystko w porządku, jeno kapitan pandurów zniknął.
— Ile dziewcząt najęto do służby?
— Jeszcze nie wiadomo. Werbowniczki jeszcze nie wróciły.
— A zbójnicy?
— Ślad po nich zaginął.
— Ani jednego nie złapano albo nie zabito?
— Ani jednego.
— Obławy jeszcze nie zrobiono?
— Nie. Pandurzy bez kapitana są bezradni.

Dora Senteszowa, wpadłszy do zamku niespodziewanie niczym jastrzęb, zasypała służbę pytaniami. Dawała do poznania, że los ich wszystkich zależy teraz od niej. Biada temu, kogo by oskarżyła przed panią.

Zepchnęła w cień Ilonę Jó i Annę Darabulową, które pęły ze złości, że tak się panoszy. Tylko Ficko uśmiechał się kpiąco i nie kwapił z odpowiedziami. Dopiero potem, gdy już o wszystko wypytała i z ważną miną obeszła zamek, sprawdzając, jak postępuje bielienie, malowanie i generalne

sprzątanie, Ficko rozpuścił język. A Tlonie i Annie serca aż skakały z uciechy.

— Ech, Dora, żal mi cię — wykrzywił się szyderczo. Odstawiasz tu wielką panią, ale wierz mi, nie chciałbym być w twojej skórze.

— O mnie się nie trap, dam sobie radę!

— Nie wiem, nie wiem! Chociaż jesteś taka rosła i silna, dusza ucieknie ci w pięty, kiedy pani zacznie krzyczeć na ciebie. Zaiste, nie zaniesiesz jej najprzyjemniejszych wieści, to i odpokutujesz, he, he, he! Zniknięcie kapitana...

— A czy to ja mam go na sumieniu?

— Kto wie, czy nie chowasz go pod spódnicą...

Dora obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

— Nie złość mnie, Ficko, bo weźmie mnie chęćka, aby go odszukać, a wtedy miałbyś się z pyszna! Naprawdę nie wiesz gdzie się podział?

— Ech, dajmy spokój kapitanowi — machnął ręką Ficko — Prawdopodobnie jeno drapnął do rodziniki do Preszowic, he, he, he, i równie niespodziewanie wróci. Mamy wszakże inne strapienia. Kiedy wracasz do Preszporka?

— Jutro rano.

— Tedy będziesz już mogła pani donieść — o ile nie uciekniesz raczej gdzie pieprz rośnie — że umarł, cichutko skonał bez jakiegokolwiek pomocy, opuszczony przez cały świat...

— Kto? — przeraziła się Dora.

— Wicher! — odparł z tłumionym chichotem. Dora zbladła:

— Na Boga! a co mu się stało? i nie ma żadnego ratunku?

— Diabli wiedzą. Rzuca się jak szalony, chrapy ma pokryte pianą, nie żre, nawet najlepszego owsa nie tknie i chudnie z dnia na dzień. A czy nie ma dlań ratunku? Bogu

dzięki, teraz już jest! Ty go uratujesz, he, he, he!

— Nie żartuj, Ficko! — krzyknęła Dora, całkiem już spotulniała. — Trzeba wezwać zamawiacza, może kto rzucił na niego uroki. Mniemam, że Majorova by pomogła...

Ficko wybuchnął śmiechem.

— Myślisz, że znajdzie się człowiek, który odważyłby się leczyć Wichra? Każdy by się bał, że jeśli nieszczęsny koń wyciągnie kopyta, pani jego obarczy winą. Ale nie chce być złym prorokiem, może Wicher tak zaraz, nie skończy, może wytrzyma do powrotu pani.

— Lepiej nie! — przelęknęła się Ilona

— Nastałby prawdziwie sądny dzień — zdrętwiała Anna
— Gdyby wicher zdechł dopiero po powrocie pani, biada nam wszystkim.

— Zdechł wyszczerzył zęby Ficko. — Mówisz jak o zwierzęciu. Zapominasz, że Wicher więcej znaczy niż ty i my wszyscy razem...

— Zdechnie czy umrze, mnie tam wszystko jedno — rzekła kłótliwie Dora. — Pewne jest wszakże, że jeśli Wicher nie skapieje przed powrotem pani, lepiej by nam było wziąć nogi za pas i nigdy więcej nie pokazać się w czachtickim zamku.

— Nie strachajcie się — rzekł Ficko — przeświadczony jestem, że Wicher nie doczeka powrotu pani, możemy przeto mieć nadzieje, że jej gniew wyburzy się w Preszporku, a dla nas zostaną jeno chmurki i grzmociki, których jesteśmy zwyczajni.

— A wszystko skrupi się na mnie! — przeraziła się Dora.

— To i cóż — wykrzywił się Ficko — jesteś taka silna, że nawet prawdziwe gromy mogłyby w ciebie walić.

Anna i Ilona zapomniały od razu, że ich skóra także jest w niebezpieczeństwie. Nie posiadały się z radości, że Dora odpokutuje za śmierć Wichra. Pomarszczone twarze rozja-

śniły ukradkowe uśmiechy, w których kryło się chwilowe przymierze przeciw trzeciej rywalce.

— Ficko — uderzyła w prośby Dora — doradź, co mam zrobić. Ty zawsze potrafisz coś wykoncypować i zawsze trafiasz w sedno.

— Widzisz, Dora, to już jest inna piosenka, tak trzeba było śpiewać od początku i nie dać się. Ale niech tam, wybaczam ci tę chełpliwość. Tedy słuchaj! Jak pani się rozsierzdi, musisz na kogoś zwalić, że otruł Wichra.

— Ale na kogo?

— Na kogo ci się zamarzy. Jeślibyś chciała wyprawić na tamten świat Ilonę, możesz rzec, że Ilona to uczyniła, a jeśli Annę, po wiesz, że Anna go otruła.

Ilona i Anna zerwały się jak oparzone.

— No, no, coście tak skoczyły, toć jeno żartuję temperował je Ficko, a Dora znowu patrzyła na nie z góry.

— Wiesz co, Dora dała upust złości Anna — równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że trucicielem był Ficko, i kto wie, czy nie byłabyś najbliższa prawdy!

W Ficka jakby grom strzelił. Poderwał się.

— Masz za to! — wrzasnął i zamachnąwszy się z całej siły, uderzył ją pięścią w twarz. — Na drugi raz dawaj bacznie na język, jeśli nie chcesz, bym ci rozwalił gębę!

Anna zatoczyła się i rozciągnęła jak długa na podłodze. Zaraz wszakże podniosła się, wbiła w Ficka płonące nienawiścią oczy i pogroziła mu zaciśniętymi kulkami:

— Czekaj, Ficko, nie zapomnę ci tego!

— Nie odgrażaj się, bo pięścią zalepię ci usta! — warknął.

— Nie swarzcie się! — ofuknęła ich Dora. — Ficko, rzeknij wreszcie, na kogo zwalić winę?

— Na kapitana pandurów!

— Jeno czy pani uwierzy? — powątpiewała.

— To już twoja rzecz. Powiedz, że tak się jej odwdzięczył za zaufanie, jakim go darzyła. Jemu oddała Wichra pod opiekę i oto jak się nim zaopiekował. Dlatego zniknął. Jeśli ci nie uwierzy, możesz jej powiedzieć, że ja na własne oczy widziałem, jak dawał Wichrowi truciznę. Rzuciłem się na niego, lecz było już za późno. Koń połknął truciznę. Zresztą gdybym nawet przeszkodził temu, konia nie dało się już uratować, albowiem nie była to pierwsza dawka. Oblicze Dory rozjaśniło się.

— A w ogóle osmaruj kapitana, ile wlezie — podjudzał ją Ficko. — Ale bądź ostrożna, bo to szczwany lis. Widziałas, że przez niego pani skazała mnie na deresz. I tobie mogłoby się co przytrafić. Toteż od razu powołaj się na mnie, a byłoby dobrze, gdyby Ilona i Anna poświadczyły twoje słowa.

— Ja nie będę świadczyć! — wykrzyknęła Anna Darabulowa. — Nie będę gasić ognia, który mnie nie parzy.

Ilona już zmieniła nastawienie, uznała, że korzystniej będzie trzymać z Dorą i Fickiem niż z Anną.

— Ja zaświadczę, że razem z Fickiem widziałam, jak kapitan dawał Wichrowi truciznę!

— A ja — zawołała Anna — zaświadczę, że łżecie i przysięgam, że wyniucham, kto ma Wichra na sumieniu. I powiem to pani.

— Niczego nie wyniuchasz! — zacisnął pięści Ficko — Jono spróbuj, a rozwalę ci tę twoją niuchę.

Anna roześmiała się złośliwie:

— Zdradasz się, Ficko, jak jaki gołowąs. Widzę, iż dobrze znasz owego truciciela...

Ficko się zatchnął, uświadomił sobie swoją nieostrożność.

— Nic nie zdradzam — silił się na opanowanie. — Radzę ci, Anna: trzymaj język za zębami, bo jak nie, i ja się rozgadam, a ty nie dożyjesz ranka.

— Wiem, skreśliłbyś mi kark, gdybym sobie dała — odwarknęła.

— Ostatni raz ci mówię: nabierz rozsądku! — napomniał ją Ficko. — Nie będę kalać sobie rąk taką staruchą, skoro wiem, że jeśli zechcę, jeszcze tej nocy czachticzenie obedną cię ze skóry, połamią ci gnaty i zادةpczą jak żmiję!

Ilona i Dora spoglądały na Ficka ze zgrozą. Co ma w zanadru?

Mówił głosem łagodnym, tającym niepohamowaną złość. Nawet się uśmiechał rzucając te pogrożki, lecz kobiety czuły, że rozpiera go żądza zemsty i że niewiele trzeba, aby słowa zamieniły się w czyn.

Anną również owładnęło przerażenie, ale trzymała się:

— Gadasz, aby gadać! Chciałabym wiedzieć, jak byś tego dokazał, aby poszczuć na mnie całe Czachtice!

— Nie czynię z tego sekretu — wykrzywił się Ficko. — Powiedz, piekłaś rano rogaliki z orzechami?

— Piekłam.

— No widzisz! Wystarczy, aby czachticzenie dowiedzieli się, że dziś rano piekłaś rogaliki z orzechami...

Anna zbladła.

— Ty diable! — krzyknęła.

— Co tu mają do rzeczy rogaliki z orzechami? — spytała Dora.

— No proszę — zaśmiał się Ficko — my się tu swarzymy, handryczymy, a jeszcześmy ci nie rzekli, że zanieziesz pani wieść, która nadzwyczaj ją ucieszy.

— Mów, mów! — nie posiadała się z ciekawości Dora.

— Będiesz mogła oznajmić pani, że pastora Jana Ponienusa nie ma już wśród żywych. No, teraz chyba jeszcze jest, nie wiem na pewno, lecz do rana, a jeśli nie do rana, to do jutra wieczór wymrze cała plebania, albowiem prędzej czy później złakomią się na rogaliki z orzechami, jakie je-

dynie Anna umie upiec.

Dora pojęła w lot.

— A nie podejrzewają na plebanii, że rogaliki są zatrute? i czy ta trucizna jest skuteczna?

— Za to dam głowę — zarechotał Ficko. — Majorowa wyznaje się w swoim rzemiośle i zawsze odgaduje, jaki medykament, jest nam potrzebny. Z proszku, który od niej dostałem, usypałem trochę i jeno dałem kotu powąchać, a od razu zesztyniał.

— A powiedz, Ficko, jak to zrobiliście?

— Całkiem po prostu. Anna zamiesiła ciasto, nasiekała orzechów i dosypała cudownego proszku. Nie obawiaj się. Dosypała na pewno, byłem przy tym. Rogaliki po wyjęciu z pieca były rumiane, pulchne, pachnące, aż ślinka ciekła na ich widok. Anna posłużyła się pewną poddaną: „Masz, zanieś to wielebnemu proboszczowi, niech posmakuje. Napiekłam tyle, że nie wiem, co z nimi robić. Jeno nie mów, że to z zamku, aby nie pomyślał, że chcemy mu się przypochlebić. Rzeknij, że to podarunek od ciebie”. Kobieta rogaliki zaniosiła, a jak ją znam, nawet zbyteczne było jej przykazywać, aby rzekła, iż to dar od niej.

Wszyscy się roześmiali, tylko Anna z posępną miną patrzyła przed siebie.

— Spójrzcie na Annę — Ficko wskazał na nią palcem zda mi się, iż żałuje pastora!

— Nie pastora odcięła mu się — ale tego, żem nie odłożyła kilku rogalików dla ciebie. Przekonałam się bowiem, że zasłużyłeś na nie!

Atak na zamek

Kłótnia wybuchła na nowo, lecz gdy do izby czeladnej

wszedł Paweł Lederer, ucichła natychmiast. Zasepiony, bez słowa siadł na ławie i ozwał się dopiero wtenczas, gdy ciekawość omal nie rozniosła niewiast i Ficka i gdy jęli nań ostro nacierać pytaniami, co się siało na plebanii.

Posłali bowiem na plebani, aby się wywiedział, jaki skutek odniosły orzechowe rogaliki. Lecz, że zdołał w porę ostrzec pastora, na rogaliki nikt się nie zlakomił.

— Nic, nic się nie stało, niestety — rzekł, po mistrzowsku udając żal i gniew z powodu zniweczenia tak dobrze obmyślonego planu. — Na plebanii są niebywale ostrożni. Ten dar wydał im się podejrzany, rogalików nawet nie tknęli. Akurat gdym przyszedł na plebanie, parobek proboszcza przyprowadził pastucha gminnego i jego Burka, na którego aż litość brała patrzeć, tak był wyniszczony parchem.

„Słyszałem — rzekł pastor do pastucha — że nie wiesz, co począc z Burkiem, a żal ci go zabić. Pomogę, ci przeto. Dostanie taki lek, że przestanie grzechotać kośćmi i już nie będziesz mieć z nim kłopotów.”

I rzucił psu jeden rogalik, Burek porwał go łapczywie Pastuchowi w pierwszej chwili aż zabłyśły oczy z radości, że jego nieszczęsne psisko dostało taki przysmak, potem wszakże przyskoczył do Burka i jął go odpędzać.

„Pójdziesz.' Ja też chcę popróbować!”

„Daj mu spokój — powstrzymał go pastor. — Nie zazdrość Burkowi, nie masz mu czego zazdrościć.”

Pies nie zeżarł nawet całego rogalika, gdy nagle padł na ziemię i rzucał się, jakby mu wilki wygryzały wnętrzności. Po chwili było po nim. Pastuch jął płakać i lamentować, jak też Burkowi mógł zaszkodzić taki frykas.

— a teraz — opowiadał Paweł Lederer — już się po Czachticach rozniosło, że na zamku chcieli pastora otruć. Niesłychanie to wszystkich wzburzyła. Jeszcze jak byłem na plebanii, zaczęli się tam zbiegać ludzie, oglądali Burka

i niedojedzone kawałki rogalika, wymyślali i klęli. Nagle ktoś wskazał mnie palcem i zawołał: "Ten także jest z zamku!" Wtenczas uznałem za stosowne wziąć nogi za pas, gdyż ozwał się złowieszczy pomruk i jęły się podnosić pięści. Kilku chłopców puściło się za mną, ale pastor ich zatrzymał. Tej nocy nie wolno nam zmrużyć oka. Rozsierdzeni ludzie niechybnie napadną na zamek.

— Zaraz zrobię porządek! — ożywił się Ficko. — Rozkażę zamknąć bramy, a pandurom i hajdukom rzeknę, by mieli się na baczności. Nic nie może się nam stać. A powiedz no, Pawle, kogo podejrzewają o zamiar otrucia pastora?

— Elżbietę Batorównę i ciebie, Ficko.

Anna wybuchnęła śmiechem.

— No widzisz, Ficko, nie mnie obędą ze skóry, nie mnie połamią gnaty!

Ficko jeno obrzucił ją ponurym spojrzeniem i pobiegł wydać rozporządzenia hajdukom i pandurom.

Ledwie zatrasnęli bramę, nadciągnął wzburzony tłum. Podniosły się zaciśnięte pięści, ozwały się okrzyki:

— Truciciele, mordercy!

— Podpalić zamek i wyprawić tych łotrów dopiekła!

Wzburzenie wzmagало się jak ogień na wietrze, co odważniejsi już napierali na bramę, chcąc ją wyważyć. Kiedy przed bramą zaczerwieniały mundury pandurów i hajduków mających bronić zamku i jego mieszkańców, tłum jeszcze bardziej się rozeźlił. Wrzawa stała się ogłuszająca, gdy pod bramę przykuśtykał Ficko. Targnięcie się na życie pastora tak rozjątrzyło czachticzan, że zjawienie się Ficka nie wywarło zwykłego skutku.

— Otwórzcie! Otwórzcie! — wołał tłum.

— Wydajcie nam tego kulawego diabła!

I na Ficka posypał się grad kamieni. On jednak stał, jakby był nietykalny.

— Rzucajcie, rzucajcie, przynajmniej będziemy mieli czym się bawić. To będzie zabawa, he, he, he. Każdy kamień — rozbita głowa!

Wnet też podniósł jeden i cisnął w chłopą, który przed chwilą wołał, aby wydali kulawego diabła. Chłop trafiony w głowę jęknął z bólu i złości. A Ficko z szatańskim rechem podnosił i ciskał kamienie — i za każdym razem trafiał.

— Już się wam znudziło? — wrzeszczał. — Rzucajcie, rzucajcie, abym miał czym rozwalać wam łby.

Tłum zamarł. W oczach zabobonnych ludzi Ficko znowu nie był człowiekiem, znowu widzieli w nim monstrum obdarzone nadprzyrodzoną mocą. Ficko czuł, iż stał się panem sytuacji, toteż coraz zuchwalej sobie poczynał.

— Możecie odejść, nie jesteście mi potrzebni! — zawołał do pandurów i hajduków. — Albo nie, zostańcie, ale jeno po to, aby zobaczyć, jak sam załatwię się ze wszystkimi!

Przyskoczył do bramy, rozwarł ją na oścież i wrzasnął:

— Kto chce, niechaj zmierzy się ze mną, a dam mu takiego łupnia, iż własną matka go nie pozna. Wystąpcie, bohaterowie! Zabrakło wam odwagi? No to pokażę wam, z kim macie do czynienia! Wspomagaj mnie, diable, mój patronie!

Strach zabobonny ogarnął nawet rozumniejszych. Toć Ficko publicznie przyznaje, iż zaprzedał się diabłu.

Ficko widział, jakie wrażenie wywarły jego słowa, widział, iż zapał bojowy całkiem wygasł. Nie zwlekając rzucił się na najbliższego chłopą. Jego ręce i nogi oplotły ciało napadniętego niby cztery żmije, powalił go na ziemię i natychmiast rzucił się na drugiego.

Wkrótce przed otwartą bramą, zamkowa pozostał jedynie Ficko wstrząsany szalonym śmiechem, który płynął za uciekającymi jak mętna, brudna woda.

— Powiedz, Ficko — zagadnął go Paweł Lederer — możesz ty istotnie zaprzedać się diabłu, skoro masz taką diabelską siłę i szczęście?

— Widzi mi się, iż diabeł mnie nie chce. Nieraz go wzywałem, lecz nigdy się nie pojawił. A zapisałbym mu duszę, jako żywo! Powiedz mu to, jeśli go kiedy spotkasz, he, he, he!

"Jedno z nas musi zemrzeć!"

Gdy w zamku wszystko ucichło, Ficko z latarnią w ręce kierował się do stajni. Rozejrzał się, czy go kto nie szpieguje, po czym cicho otworzył wrota.

W stajni, która czystością i wygodą przewyższała domostwa poddanych, na złocistej słomie leżał bezwładnie Wicher. Ficko podszedł do niego ze złośliwym grymasem i kopnął z całej siły.

— Nuże, masz kopniaka, którego najchętniej dałbym twojej pani za to, że kazała mnie wychłostać.

Wicher się szarpnął, lecz nie był w stanie zerwać się i uskoczyć przed gradem kopniaków albo się bronić. Rzucał się tylko na słomie resztkami sił i wytrzeszczał na Ficka nieruchome, jakby szklane oczy.

— No, dosyć, już mnie noga boli. Chciałbym mieć tyle złotych, ile kopniaków ci wrzepiłem. Ale, biedaku, nie patrz tak smutno, posepnie. Przecie te kopniaki to również lek dla ciebie. Lek przeciwko życiu, he, he, he!

Potem uniósł mu łeb i wsypał do pyska czarnego proszku. Wicher przełknął i łeb mu zwiśł. Ficko usiadł na skraju żłobu:

— Abyś wiedział, dostałeś najskuteczniejsze lekarstwo. Na pewno ci pomoże! To już ostatnia, najobfitsza dawka!

Wicher leżał bez ruchu, potem chwyciły go drgawki, wił się, tłukł o ziemię kopytami, charczał, wytrzeszczał oczy, na chrapy wystąpiła mu piana. A Ficko przyglądał się rozpaczliwym zmaganiom Wichra ze śmiercią rozjarzonymi oczyma, z wyrazem nieludzkiej uciechy. Walka konia, ofiary jego zemsty, nie trwała długo.

— Na, masz na pożegnanie! — kopnął go Ficko w skroń z taką siłą, że łeb aż podskoczył i uderzył o kant żłobu. Raz jeszcze przyjrzał mu się bacznie, aby się przeświadczyć, czy istotnie jest martwy, po czym zdjął ze ściany latarnię i zbierał się do odejścia.

Ale gdy się odwrócił, stanął jak wryty. Od wrót rozległ się ostry, skrzekliwy chichot.

Stała w nich Anna Darabulowa niczym ucieleśnienie pomsty i nienawiści. Zanosiła się chichotem, kontenta, że udało się jej przydybać Ficka. Ten wszakże wnet oprzytomniał i sprężył się do skoku. Ale Anna miała się na baczności i zawczasu go osadziła:

— Nie ruszaj się. Ficko, bo za chwilę zbiegnie się tu cały zamek i wszyscy będą świadkami, że przyłapałam cię na gorącym uczynku. Jeśli się poruszysz, zatrasnę wrota.

Ficko zazgrzytał zębami. Zdał sobie sprawę, że w tej chwili Anna jest górą.

— Nie zgrzytaj zębami, Ficko, albowiem doprowadza mnie to do pasji. Powiedz lepiej, czy naprawdę nie chcesz pokumać się ze mną.

— Niechaj szatan się z tobą kuma!

— a z tobą całe piekło! — syknęła Anna. — Jeno że to i tak ci nie pomoże!

— Pomoże czy nie pomoże, zniknij mi z oczu!

— Wiem, że tego byś chciał, garbaty karle!

— Czarownica! — ryknął Ficko.

— Ostatnie słowo, Ficko — krzyknęła Anna z płonąca

twarzą. — Skoro nie chcesz żyć ze mną w zgodzie, nic innego nie pozostaje: jedno z nas musi zemrzeć!

— Ty zembrzesz! — wrzasnął Ficko i błyskawicznie zatoczył młynka latarnią, mierząc w jej głowę. Jednocześnie rzucił się na Annę.

Anna wszakże w porę uskoczyła za wrota, zatrzasnęła je gwałtownie i zarygłowała,

— Już jesteś trupem, Ficko, koniec z tobą! — syknęła zza wrót.

Ficko pojął, że jest zgubiony. Owładnęła nim rozpacz, wstrząsnął się, gdy posłyszał, że Anna uciekając woła skrzekliwie:

— Na pomoc, na pomoc, przyłapałam truciciela!

Skoczył, naparł na wrota, aby je wyłamać. Aż cały się spocił z wysiłku, lecz wrota ani drgnęły. Naraz spostrzegł z przerażeniem, że słoma zajęła się od kaganka, który wypadł z latarni. Wybałuszone oczy Wichra błyskały w świetle płomieni jak ślepa krwiożerczego potwora, który za chwilę go zadławi.

Rozpacz Ficka wzmagała się.

Ogniste języki pełzną po słomie coraz dalej. Jeśli nie ugasi ognia, cała stajnia stanie w płomieniach, a on udusi się tu i upiecze na węgiel.

Rozwagał, czy nie lepiej będzie przyglądać się beczynie, jak ogień ogarnia stajnię, a wraz z nią i jego. Cóż bowiem go czeka? Do nieustającego wrzasku Anny dołączył się już krzyk hajduków, pandurów i służby. Kiedy otworzą stajnię i znajdą go przy otrutym Wichrze, koniec z nim. Jeśli nie od razu, to za kilka dni, po powrocie czachtickiej pani.

Gdy jednak płomienie zaczęły lizać mu ciżmy i nogawice i osmałyły zwieszane bezradnie kosmate ręce, instykt samozachowawczy pobudził go do działania.

Rzucił się na płomienie, deptał po nich, jakby miażdżył

łby stugłowego smoka, zerwał ze ściany czaprak Wichra i z tą bronią ruszył do walki z niszczącym żywiołem.

Jedno niebezpieczeństwo pokonał, teraz rozważał gorączkowo, jak uniknąć drugiego, jeszcze straszliwszego.

Cały zamek był już na nogach. Gniew pędził wszystkich na dziedziniec. Jeśli nie wykryją sprawcy, pani może wszystkich obarczyć winą za otrucie Wichra i wszyscy mogą odpokutować za śmierć jej najmilszego rumaka. Muszą schwytać truciciela!

Zdyszana Anna skrzekliwym, schrypniętym głosem opowiadała, jak skonał Wicher, jak przyłapała truciciela i zamknęła go w stajni, lecz przemilczała jego imię, aby nie odstraszyć i rozsierdzonych ludzi.

Żadny zemsty tłum dotarł do stajni.

— Otoczcie wrota — krzyknęła Anna — aby truciciel nie wymknął się, choćby nawet w węża się przemienił!

Tłum stanął przed wrotami stajni zwartym półkolem.

Anna, popędzana dodającymi jej odwagi okrzykami, podeszła do wrót i otworzyła je.

Z ziejącego ciemnością wnętrza na zalany światłem księżycyca podwórzec wywaliła się gęsta chmura dymu. Anna stanęła jak wryta, nie umiała bowiem wyjaśnić sobie jego przyczyny. Kurczowo ścisnęła w rękach motykę, zamierzyła się nią jak na wykurzanego z nory susła i zawołała:

— Wyjdź, Ficko!

A więc Ficko jest trucicielem! Tłum aż wykrzyknął.

Lecz w otwartych wrotach stajni kłębiły się tylko ciemności i dym, nie słyszeli najsłabszego nawet szelestu.

— Wyjdź, Ficko! — powtórzyła Anna chrypliwie. Do uczucia wściekłości i pragnienia zemsty przymierzał się potworny strach. Wydało się jej, iż w dymie buchającym ze stajni czuje odór siarki. Błysnęło jej podejrzenie, czy Ficka

nie ocalił diabeł. Nie, musi tam być!

Wbiegła do stajni jak szalona i po omacku dźgała wokół siebie motyką. Potknęła się o znieruchomiałego Wichra, lecz podniosła się błyskawicznie i oczyma, oswojonymi już z ciemnością, rozglądała się po wszystkich kątach. Wyraźnie rozpoznawała przedmioty. Żłób, kantar zawieszony na ścianie razem z siodłem i workiem na obrok, kosz na sieczkę w rogu i miarę na owies, i Wichra, którego sierść w zagląających do stajni promieniach księżycy lśniła matowo. Gdzie wszakże podział się Ficko?

Wypadła ze stajni, jakby uciekała z piekła, trzęsąc się i z rozpaczony rwąc sobie przeredzone włosy z głowy.

— Nie ma go tam! — krzyczała zdjeta zgrozą, która udzieliła się również tłumowi. Strach zaczął przemagać rozjątrzenie.

Wtem za plecami zastępu mieszkańców zamku ozwał się przenikliwy okrzyk;

— Co się tu dzieje?

A okrzykowi towarzyszył wybuch złośliwego, nieludzkiego rechotu.

Stojący ciasnym półkolem ludzie obejrzeni się i ciarki ich przebiegły. Anna zbladła i nogi się pod nią ugięły. Jak Ficko wy dostał się z zamkniętej stajni? Skąd przychodzi?

— Osły! — wrzeszczał Ficko. — Daliście się wziąć na lep głupiej strzydze, która sama otruła Wichra, a winę chciała zwalić na mnie, bo zapalała do mnie złością i postanowiła mnie zgładzić. Odstąpcie!

Zwarty krąg otaczający wrota stajni rozsunał się. Ludzie z lękiem uskakiwali Fickowi z drogi. Miał na sobie tylko spodnie, jakby w pośpiechu nie zdążył odziać się dokładnie. Górna część ciała była naga, a jej widok zarówno w mężczyznach, jak i kobietach budził przerażenie i wstręt. Pierś miał tak zapadniętą, że dynię można by wetknąć, a sterczący garb obrośnięty był tak długimi włosami, że da-

łyby się spleść w warkocze.

Pomału szedł ku Annie, która stała jak obrócona w kamień. Oprzytomniała dopiero wtenczas, gdy znalazł się blisko niej.

Pojęła, że wybiła jej ostatnia godzina. Tak, jedno z nich musi zmrzeć. Niechaj więc zmrze Ficko!

Zebrawszy wszystkie siły, ścisnęła stylisko motyki i rzucała mierząc w głowę Ficka.

Motyka świsnęła w powietrzu, a tłum wykrzyknął.

Ficko chwycił motykę nad swoją głową i wymachując nią gnał ku Annie,

— Nim rozwalę ci łeb tą motyką, przyznaj się, kto otruł Wichra?

— Ty, ty! — wrzasnęła i rozejrzała się rozpaczliwie, gdzie by uciec. Do stajni! Tylko tam! Przyczai się przy samym wejściu, a kiedy on po omacku będzie jej szukał, wyśliżnie się i zamknie wrota. A Ficko znowu znajdzie się w potrzasku!

Ledwo wsunęła się do stajni, motyka wbiła się w wierzeje akurat na wysokości jej głowy i w grobowej ciszy zadźwięczała przenikliwie.

Ficko, jakby odgadł jej zamiary, stanął w progu i zawołał do najbliższego hajduka:

— Zamknij za mną wrota!

Dopiero potem wszedł i wyciągnawszy ręce jął macać w ciemności. Anna wstrzymując oddech przycisnęła się do ściany. Posłyszała rozszalałe bicie swego serca.

Z napięciem nasłuchiwała szurania kroków Ficka, a gdy czuła, że się do niej zbliża, usuwała się dalej bezgłośnie jak łasica.

Ludzie na dworze nastawiali uszu. Z początku nic nie słyszeli, jak gdyby w stajni nie było żywego ducha. Po chwili zabrzmiał tryumfalny okrzyk Ficka:

— Mam cię, bestio!

Potem posłyszeli odgłosy szamotaniny, upadku dwu ciał, niezrozumiały dwugłosy wrzask, którym Ficko dawał upust złości. Anna zaś śmiertelnemu przerażeniu.

Chwilę później znowu zapadła cisza. Wtedy już Ficko jedną ręką silnie zwierzał nogi Anny, a drugą szyję. Była całkowicie w jego mocy. Wiedziała, że teraz jedynie próśby mogą ją uratować.

— Ulituj się, Ficko — błagała zamierającym głosem — już zawsze uczynię wszystko, co zechcesz, ślepo usłucham każdego twojego rozkazu.

— Nie wierzę ci, podstępna czarownico! — syknął Ficko. Nawet najbystrzejszy słuch nie uchwyciłby ich rozmowy.

— W imię Boga cię proszę, ulituj się!

— Nie wierzę ci — cedził Ficko przez szczerbate, czarne zęby. — Wszelako poddam cię jeszcze jednej próbie. Jeśli publicznie przyznasz się, iż chciałaś otruć pastora i otruliś Wichra, daruję ci żywot.

Wrota otworzyły się, zaś ciekawscy z pośpiechem odstąpili do tyłu, aby znaleźć się jak najdalej od Ficka.

A teraz posłyszcie, ludzie, kto jest trucicielem! — zawołał Ficko rozgłośnie, znowu ścisnął Annę za gardło i syknął: — No mów!

— Przyznaję się, iż chciałam otruć pastora i otruliłam Wichra. Winę chciałam zwalić na Ficka...

Anna Darabulowa wyrzaskiwała to na cały głos. Zaraz jednak uświadomiła sobie skutki tego publicznego przyznania, które ocalało ją jedynie przed natychmiastową śmiercią z rąk Ficka, i wybuchnęła rozpaczliwym skrzekiem, póki Ficko znowu nie ścisnął jej za gardło.

— Słyszeliście? — krzyknął.

— Słyszeliśmy! — zahuczała odpowiedź.

— Tedy zdechnij czarownico, nim wszystkich nas wy-

trujesz — zawołał Ficko głosem ochrypłym z podniecenia.

Uchwycił Annę za szyję, także drugą ręką i ścisnął jej gardło jak kleszczami.

W śmiertelnej grozie chciała krzyknąć, lecz Ficko już ją dusił.

Zaciąwszy zęby ścisnął ją za gardło coraz mocniej, ze złośliwym grymasem patrzył, jak twarz, jej sinieje, małe oczki wychodzą z orbit, jak z bezzębnych ust o pomarszczonych, nabiegających krwią wargach wysuwa się język.

— Tak więc jedno z nas umiera, ty czarownico! — wycharczał jej pożegnanie na tamten świat.

Stojący wokół ludzie w milczeniu i bez ruchu przyglądali się, jak na ich oczach człowiek morduje człowieka. W nim nie było ani szczypty współczucia. Tylko dzieci się rozszlochały. Może podświadomie wyczuły, iż w tej oto chwili w zamku dokonuje się zbrodnia.

Na uboczu stał Paweł Lederer nie mogąc się zdecydować, jak postąpić. Powstrzymać Ficka przed popełnieniem morderstwa, czy też przyglądać się bezczynnie, jak ginie jeden ze złych duchów czachtickiego zamku? w końcu machnął ręką. Niechaj zginie! Dziś ona, jutro reszta wraz z grafką!

— Martwa na amen! — zawołał Ficko i uniósł Annę na wyciągniętej w górę ręce niczym szmatę. A wam wszystkim radzę trzymać język za zębami. Nie rozpowiadajcie, co się tu wydarzyło. Bądźcie mi wdzięczni, że was uwolnił od obłąkanej staruchy, która mogłaby nas wszystkich wyprowadzić na tamten świat. A teraz fora stąd, albowiem zbliża się północ, godzina duchów, i nieboszczka Anna mogłaby przyjść was straszyć, he, he, he!

Przed stajnią w jednej chwili zrobiło się pusto, tylko Paweł Lederer stał w zamyśleniu, oparty o ścianę.

Ficko zaniósł Annę niby kawał drewna do stajni, rzucił na Wichra i zarechotał na pożegnanie. — Spoczywajcie

w pokoju!

Potem otarł ręce, jakby chciał zetrzeć z nich brud.

Kiedy wyszedł ze stajni, spostrzegł Pawła Lederera. Podbiegł do niego.

— Dziękuję ci, kamracie! — zawołał z uniesieniem. — Dzisiaj dowiodłeś, że jesteś mi naprawdę przyjacielem. Ocaliłeś mnie przed niechybną śmiercią!

— Nie ma o czym mówić.

— Powiedz wszakże, jak to się stało, że w ostatniej chwili przybyłeś mi na ratunek?

— Wiesz, nie mogłem usnąć — zmuszał się Paweł do serdecznego tonu, chociaż wstręt go przenikał, gdy Ficko w przyływie wdzięczności ścisnął mu ręce — przeto postanowiłem się przejść. Widziałem cię, jak ostrożnie prze-
mykasz się do stajni. Wiedziałem, że idziesz do Wichra, dokończyć swego dzieła. Wtem ujrzałem, że z czeladni wysunęła się ciemna postać i ledwo wszedłeś do stajni, zakradła się tam za tobą. Tedy i ja się tam podsunąłem i stanąłem na czatach. Kiedy Anna wybiegła i podniosła larum, wypuściłem cię, a wrota ponownie zaryglowałem. Jak widać, w samą porę.

— Zaiste w porę, he, he, he!

I podskoczywszy, objął Pawła i przytulił do swej kosmatej, zapadniętej piersi, a Pawłowi aż krew zastygła z odrazy.

Poszli za róg stajni, tam Ficko wciągnął na siebie koszulę i kubrak, które przedtem zrzucił. Wciąż rozpyływał się z wdzięczności:

— Kamracie, aby ci się wywdzięczyc, oddam ci pieniądze, którymi się ze mną podzieliłeś, a w przyszłości każdą nagrodę zostawię ci całą. A obiecuję ci, iż tych nagród będzie niemało, albowiem zawsze będę napędzać wodę na twój młyn.

Paweł Lederer nie posiadał się ze zdumienia.

— Ponadto — ciągnął Ficko — widzę, że i gniew na twego ojca jakby mi przeszedł.

— O czym ty mówisz? — przerwał mu Paweł udając zaskoczenie. — Znasz mojego ojca, miałeś z nim jakąś zwa-
dę?

Ficko opowiedział o całym wydarzeniu i zakończył:

— Gwoli tobie wybaczam mu. Nigdy nie poznałem, co to ojciec, lecz zda mi się, że gdybym nienawidził twojego ojca i knuł zemstę, moja przyjaźń nie byłaby szczerą. A żebyś wiedział, pierwszy raz w życiu komuś wybaczam.

— A gdzie jest mój ojciec?

— Nie wiem. Doprawdy nie wiem, gdzie jest. Ale się dowiem. Nie o niego mi idzie, lecz o dziewczynę, którą ma pod swoją opieką. Co to za dziewczyna? Ano, wielmożna panienka Magdusia Kalinianka, którą tak miłuję, jak jej brata nienawidzę.

— A jakie masz wobec niej zamiary?

— Chcę ją poślubić — oblicze Ficka spochmurniało. A śmiech uwiązał mu w gardle — albo...

Paweł Lederer ledwo zdołał utaić przerażenie, gdy ręce Ficka chwyciły powietrze, a palce zagięły się, jakby dusiły kogoś niewidzialnego... Czuł niewymowny wstręt i do niego, i do siebie, że zabiega o przyjaźń tego złoczyńcy. Zdało mu się, iż bruka się tą przyjaźnią, chociaż jest tylko pozorna i ma posłużyć szlachetnemu celowi.

Wytropiony

Paweł Lederer w przygnębieniu wracał do swojej izdebki.

Zdjął go strach przed przyszłością. Jak długo uda mu się przesłaniać przyjaźnią Ficka fakt, iż jest współnikiem zbój-

ników, którym donosi o wszystkim, co się w zamku dzieje i szykuje? i co go czeka, jeśli jego rola wyjdzie na jaw? i jaką zemstę zgotowały mu Ficko za to, że go zdradzał, podczas gdy on uważał go za przyjaciela?

Ficko zastał w izbie czeladnej Dorę, Ilonę i kilka służebnych. Roztrząsały ostatnie wydarzenie. Wszystkie były przeświadczone, że Wichra otrul Ficko, lecz nie wspomniały o tym ni słowem, los Anny był dobitnym ostrzeżeniem.

Gdy wszedł Ficko, zamilkły, jakby odjęto im mowę.

— Dora, czy wiesz, co masz oznajmić pani?

— Oznajmię, co tylko zechcesz.

— Powiesz jej, że Wichra otruto i że ja, oburzony tą niesłychaną zbrodnią, udusiłem trucicielkę na miejscu.

— A o kapitanie?

— Jeno to, że uniknął, i powiedz, iż jego zniknięcie jest zupełną zagadką, albowiem nikt nie zna ani nawet nie domyśla się przyczyny.

— A gdyby zapytała, co się o tym mówi?

— To powiesz, że nic się nie mówi Aha, Dora, nie zapomnij wstąpić w Pieszczanach do oberżysty spod „Trzech Zielonych Lip”. Niech daje baczenie na starego kasztelana i niech jak najrychlej doniesie, co robi, co zamierza, dlaczego zażywa cudownych kąpiel, na co mu zdrowie, młodość i siły.

Następnie Ficko udał się do zamecznika i zastukał w jego okno:

— Pawle, śpisz?

— Nie.

— Potrzebuję twojej pomocy. Umiesz pisać?

— Umiem.

— Masz pod ręką papier, inkaust i pióra?

Paweł Lederer postawił na stole kałamarz, rozwinął rulon papieru i zastrugał gęsie pióro.

— Chcesz pisać list? — zdumiał się. — Do kogo?

— Nie do lubej, he, he, he. Nie miałem jeszcze lubej, która umiałaby czytać. O nic nie pytaj, i tak się dowiesz, a przynajmniej będziesz miał niespodziankę. Poza mną ty jeden na całym świecie będziesz o tym wiedzieć. Pisz tedy: "Liczne przypadki życia mojego i długie trzeźwe rozważania przywiodły mnie do konkluzji, iż korzystniejszym zajęciem jest kraść, niż być strażnikiem cudzego mienia i łapaczem złodziei. Przeto znajdziecie w tym miejscu jeno co pismo dające wyraz moim doświadczeniom życiowym, które zrekompensowałem sobie zawartością tej oto gustownej szkatuły". Tak, to wystarczy. A teraz jeszcze podpis.

Paweł Lederer opanowywał się z całej siły, aby przy pisaniu nie trzęsa mu się ręka.

Nie wiedział, do jakiej szkatuły zostanie włożony ów list, ale przeczuwał, że staje się narzędziem jakiegoś łotrostwa. Co czynić? Podrzeć to, co napisał, i odmówić współudziału w tajemniczym, niechybnie zbrodniczym planie Ficka? Jeśli wszakże to zrobi, utraci zaufanie Ficka, zaś jako człek uczciwy, który chce mieć czyste ręce, zyska jego wzgardę i nienawiść. Wtenczas nie miałby już czego szukać w zamku. Zrodziła się w nim obawa, czy Ficko, gdyby kiedyś zechciał chytrze się go pozbyć, po prostu nie zwali tego złoczynstwa na niego. Przecie własny rękopis świadczyłby przeciw niemu.

— A kogo podpisać? — ozwał się udając zupełną obojętność.

— Siebie z pewnością nie — zaśmiał się Ficko. — Toć już chyba odgadłeś, kogo. A jeśli nie, poprobuuj!

— Kapitana pandurów Imricha Kenderessyego — odparł po chwili zastanowienia, aczkolwiek wnet się domyślił, komu Ficko chce przyszyć swoje zło czynstwo.

— Masz otwartą głowę, kamracie, he, he, he, no więc go podpisz. Tak, gotowe. A żebyś nie myślał, że jestem nie-

wdzięcznikiem, odpłacę ci się za fatygę. Zostaw na noc drzwi otwarte, abym ni musiał cię budzić. Rano znajdziesz zapłatę na stole. I to taką jakiej nie dostał żaden pisarz ani nawet żaden notariusz na świecie za naskrobanie kilku linijek.

Paweł ani się obejrzał, jak Ficka już nie było. Usprawiedliwiał się przed sobą, że inaczej nie mógł postąpić, lecz sumienia nie zdołał uspokoić. Raptem twarz mu się rozjaśniła. Postanowił wytropić, co Ficko uknuł. W sprzyjającej chwili będzie mógł udaremnić jego złoczynstwo.

Zdmuchnął świece i stanął przy oknie, skąd miał widok na podwórzec, na skrzydło zamkowe zajmowane przez Elżbietę Batorównę oraz na czeladnie i wejście do piwnicy. Widział, jak Ficko zniknął w swojej norze i zaraz zgasił kaganek. Był jednak przeświadczony, że nie położył się, że i jego oczy omiatają wszystkie kąty podwórca, wszystkie okna, czy w którymś nie migoce światło, zdradzające, że ktoś jeszcze czuwa. Po pewnym czasie Paweł ujrzał, że Ficko wymknął się z izby czeladnej i pod samą ścianą przekrada się w stronę, zamku. U wejścia przyłgnął do kolumny i chwilę tam stał, po czym jednym susem dopadł drzwi i wszedł do środka. Uplłynęło z pół godziny, a może i cała, zanim pojawił się z powrotem. Ostrożnie, bezustannie się rozglądając, przebiegł do piwnicy. Jeszcze raz przesunął oczyma po zamku, podwórku oraz czeladni i zniknął za drzwiami.

Paweł Lederer nie miał wątpliwości, że Ficko coś zrabował w zamku i teraz niesie łup do kryjówki. Jemu zaś przypadło trudne zadanie wysledzić, gdzie schowa owoc swojego złoczynstwa.

Bezgłośnie przebiegł przez dziedziniec i u wejścia do piwnicy wyteżył słuch. Ficko miotał się jeszcze przy drzwiach, a dochodzące stamtąd odgłosy świadczyły, że krzesze ogień. Paweł zdrętwiał na myśl, co będzie, jeśli Fickowi nie uda się skrzesać ognia albo też okaże się, że

w kaganku, zawsze wiszącym przy wejściu, zabrakło oleju, i nie pozostanie mu nic innego, jak wrócić. Rzucił okiem na rząd rosnących w pobliżu drzew, za którymi w razie potrzeby mógłby się schować.

Ale gdy zajrzał przez dziurkę od klucza, przestał się obawiać nagłego powrotu Ficka.

Zobaczył, iż Fickowi udało się skrzesać ogień, i zaśmiał się widząc, jak z czarnego sukiennego worka wyciągnął wygasłą latarnię. Miał więc pecha. Złodziejska latarnia, okutana grubym sukniem, zgasła mu po drodze.

Za chwilę posłyszał, że Ficko schodzi po schodach, a przez dziurkę od klucza ujrzał go idącego w mdłym kręgu światła między rzędami beczek, aż wreszcie zniknął w ich lesie. Bez wahania nacisnął delikatnie klamkę i wsunął się do środka cicho jak cień. Ficko zginął mu już z oczu, jedynie jasna plama światła, rozmazująca się w ciemności i lepiąca się do beczek, wskazywała kierunek, w jakim się posuwa.

Paweł wstrzymując dech zszedł w dół po kilku schodach i wyjrzał zza węgła obwieszzonego dzbanami. Z prawa i z lewa zobaczył rzędy różnej wielkości beczek, tworzących jakby korytarz, a między nimi Ficka, który zbliżał się własne do olbrzymiej beki na końcu tego korytarza

Tani postawił latarnię, sięgnął za jedną z pobliskich beczek i wyciągnął łopatę. Potem zdjął z karku pękaty worek, który zwisał mu na pierś wypełniając jej wgłębienie, Pogłaskał go tkliwie i ostrożnie złożył na ziemi.

Zaczął kopać pod wielką beczką. Z wykopanego dołu wyjął skrzynkę, otworzył i potrząsnął nią w powietrzu. Rozdzwięczało się złoto.

Postawił skrzynkę, rozwiązał worek i zanurzył w nim rękę. Zanurzył po raz drugi, trzeci i czwarty, za każdym razem wyciągając garść klejnotów. Były to drogocenne pamiątki rodzinne dwóch rodów, Batorych i Nádsadych. Do-

stojne damy obu rodów zdobyły się w te klejnoty już przed kilkoma wiekami, a Elżbieta Batorówna przy uroczystych okazjach pokazywała je gościom ze zbożnym szacunkiem. Każda z tych rodzinnych relikwii miała swoją historię i przedstawiała sobą cały majątek. Ficko przegarniał je z rozkoszą, zaś Paweł Lederer zastanawiał się, co bardziej się jarzy: drogie kamienie czy oczy Ficka.

Ficko długo upajał się swoim drogocennym łupem, po czym ułożył klejnoty w skrzynce i znowu chwycił za łopatę. Paweł wymiarkował, iż chce zakopać swój skarb jeszcze głębiej. Nie czekał, aż skończy. Odszedł znowu jak duch, ledwie ważąc się oddychać.

Przeświadczywszy się, że wokół niema nikogo, kto mógłby go widzieć, wsunął się do swojej izdebki, rzucił się na posłanie i czekał na obiecane odwiedziny Ficka.

Wino rozwiązuje Fickowi język

Czas mijał, a Paweł nie mógł pojąć, dlaczego Ficko nie wraca. Czyżby niespodzianie postanowił zakopać skarb w innym miejscu?

Tak upłynęła godzina.

Wreszcie posłyszał szurające kroki Ficka. Zamknął oczy jął chrapać. Ficko wszedł do izby. Paweł spojrzał ukradkiem przez uchylone powieki. Zobaczył, jak Ficko stawia na stole dzban wina i dwie szklanice, poczym odmotął sukno z latarni i też umieścił ją na stole.

— Obudź się, kamracie. Ficko podszedł i zatarmosił go za ramię. — Chrapiesz, że aż zamek drży w posadach. Nie pij, lepiej chodź sobie golnąć. Wypijmy za naszą przyjaźń!

Paweł wzdrygnął się, jakby wyrwany z najgłębszego snu, przetarł sobie oczy.

— Ach, to ty, Ficko? — zdumiał się.

— Tak, ja, nie rób tedy miny, jakbyś ujrzał ducha Anny Darabulowej albo inne jakieś straszidło. Wprawdzie i ja jestem straszidło, he, he, he, ale tobie nie uczynię krzywdy.

Wiedział już, dlaczego Ficko tak długo tkwił w piwnicy. Zaglądał tam do dzbana, i to zdrowo. Zataczał się od posłania do stołu, a kiedy siadał na ławie, pacnął na nią jak worek.

— Pij, kamracie — zachęcał Pawła, napelniwszy niepewną ręką szklanicę. — Po pańsku sobie wypijemy, ze szklanic, a nic prosto z dzbana. Takiego jeszcze nie piłeś, jako żywo! Ma najmniej tyle lat co my dwaj razem do kupy, pachnie, aż kręci w nosie, i spójrz, jest złociste i klarowne jak oliwa. Tak, stukniemy się na wierną przyjaźń!

Paweł Lederer uniósł szklanicę i wychylił ją do dna.

— Znamienite! — pochwalił szczerze.

— Pewnie, że znamienite! — rozpalili się Ficko. To najlepsze wino pani, które chowa dla najdostojniejszych gości. A jak ich nie ma, chociaż ja sobie użyję!

— A jeśli pani się dowie, że podkradasz jej najlepsze wino?

— He, he, he, ty jesteś chodząca troskliwość, Paweł. Gdybym miał ojca albo matkę, chyba nie drzeliby tak o mnie. Ale, ale, bo się zagadamy i zapomnę!

Wyciągnął z zanadru woreczek z pieniędzmi. Z hałasem położył go na stole i wysypał brzęczącą zawartość.

— Dotrzymuję słowa, kamracie. Zwracam ci twoją część nagród. Przelicz sobie! Tak ci się wywdzięczam za przyjaźń i pomoc. Ty pierwszy wpadłeś na to, że przyjaźń ze mną opłaca się. Na mnie się nie zawiedziesz. Ale biada ci, gdybym ja się na tobie zawiódł!

Oblicze Ficka wykrzywił tak potworny grymas, że Pawła mróz przeszedł. Aby pokryć zmieszanie, wychylił szkla-

nicę.

Nie posiadał się ze zdumienia, że Ficko zapalał do niego jakąś osobliwą miłością i przywiązaniem. Im więcej pił, tym bardziej je ujawniał.

— Wiesz ty co, kamracie? — wtajemniczał go w swoje plany. — Pomóż mi odnaleźć Magdusię Kaliniankę, tę diabelską dziewczynę, o której myślę we dnie i w nocy, i oszaleję, jeśli nie będzie moja. Pomóż mi ją odnaleźć, bo żebyś wiedział, ja tu już nie zostanę długo, odejdę do obcych krajów i będę panem. Porosłem tu w piórka, a porosnę jeszcze obficie!

Wino rozwiązało Fickowi język. Przyznał się nawet do tego, iż złupił skarbczyk grafki.

— A gdzie ukryłeś ten skarb? — zapytał Paweł Lederer chcąc go wypróbować.

— O to nie pytaj! — zachnął się. — Kryjówki nikomu nie wyjawię. A ten, kto się o niej dowie, pożegna się z żywotem!

Im mniej wina było w dzbanie, tym więcej Paweł dowiadywał się o planach Ficka, a więc Ficko zamierza zgarnąć jak najwięcej pieniędzy dla siebie i dla niego, aby i on, jako jego przyjaciel, porósł w złote piórka, zamierza pomścić się na wszystkich, od których doznał upokorzeń, a potem uciec z Magdusią Kalinianką. Przymusi ją, by z nim poszła.

— Paweł, Paweł — bełkotał spity Ficko — wiernie służyłem pani, miłowałem ja i ubóstwiałem. Szczodrze wynagradzała mnie za moją służbę, to prawda, płaciła mi za to, żem nadstawiał karku i kat z każdym dniem miał do mnie większe prawo, ale gardziła mną i gardzi, kazała mnie wychłostać. Wychłostać! Ej, odpokutuje za to! Z Wichra jest już padlina, skarbczyk złupiony, a co nie koniec! Pokażę, co potrafię, tej wierzbowskiej ślicznotce także, a i Kalinie, Drozdowi. Kenderessyemu i każdemu, kto ma u mnie zakarbowane. Niechaj drżą przed moją pomstą!

Paweł z przerażeniem słuchał tych wybuchów gniewu i mściwości. Nic mógł znieść bliskości tego człowieka, rozgorzałego nienawiścią i żądzą krwi ludzi, którzy w jego mniemaniu wyrządzili mu krzywdę. Aby pozbyć się go co rychlej, ustawicznie napełniał mu szklanice, a Ficko lał w siebie wino z głośnym gulgotem. Paweł był przeświadczony, iż za chwilę zwali się z ławy i spity na umór zaśnie pod stołem.

Lecz nie doczekał się tego. Ficko opróżniwszy dzban wstał i pożegnał się. Pokuśtykał równo, nie zataczając się.

Patrzył za nim ze zdumieniem. Wypił tyle, że trzech silnych chłopów by zmogło. Przysiągłby, że Ficko był pijany. Toć język mu się plątał i mówił bez związku, wszelako gdy odchodził, był trzeźwy. Za to również głowę by dał. Jak to jest możliwe? Czy tylko udawał zamroczenie, czy też tak umie się owładać i siłą ducha rozkazywać ciału?

Położył się zżerany niepokojem i wyrzutami sumienia. Uświadomił sobie, że przyjaźń Ficka, tak jak każda przyjaźń, rości sobie swoiste prawa. Przecież już dzisiaj, aby ją utwierdzić, nie przeczuwając następstw, dopomógł Fickowi w rozprawie z Anną. Darabulową. Czy w jakiejś mierze nie ma na sumieniu jej śmierci? Nad tym nie ma co delibrować, uspokajał siebie: gdyby nie zginęła ona, zginąłby Ficko. W tym wypadku istotnie jedno z nich musiało umrzeć, a na kogo trafiło, zasadniczo nie ma znaczenia. Jeśli miał w tym jakiś udział, to rzecz można, że tylko przyspieszył coś, co było nieuniknione i czemu zapobiec nie był w stanie. Wszelako jest jeszcze kradzież popełniona przez Ficka, a przy jego pomocy zwalona na kapitana Imricha Kendersyego. Ma na sumieniu, że uczciwego człowieka obwołają złodziejem. Czy uda mu się oczyścić imię, które dopomógł splamić?

I znowu ogarnęła go pokusa, by nie igrać z ogniem i uciec z zamku. Lecz ponownie uświadomił sobie, że musi

doprowadzić do końca tę grę, choćby miał przyplacić to życiem.

Albowiem ucieczka byłaby tchórzostwem, a on nie chce być tchórzem!

14. Rozpoznany nieznajomy

Z uchem przy dziurce od klucza

Graf Stefan Nyáry opuścił pałac przy ulicy Długiej chwilę po odjeździe czachtickiej pani i swojej narzeczonej. Chciał uniknąć gradu pytań ciekawskich i wyrzutów obrażonych kochanek.

Preszporskie ulice pogrążone jeszcze były w nocnych ciemnościach. Nie poszedł jednak do domu ani do którejś z kochanek. Gnany niepokojem błądził po ulicach.

Kiedy mijał zajazd "Pod Dzikim Mężem" żałował, że nie jest już, wyrostkiem, z rozkoszą bowiem powybijałby Elżbiecie Batorównie szyby.

Daremnie usiłował rozwikłać zagadkę, dlaczego tak bezwzględnie zmusza, go do poślubienia Erziki Priborskiej, i to wzmagало jego nienawiść. Gdyby wiedział, jakie zamysły kryje za tym mariażem, wywinałby się z zastawionych sideł.

Gdy wrócił do swojego pałacu koło Bramy Michalskiej, już się rozwidniało.

Położył się roztrzęsiony, w żaden sposób nie mógł się uspokoić. Czas płynął, zegar na wieży Michalskiej wybił dziesiątą, ale sen nie przychodził. Zerwał się z posłania i szybko się ubrał.

— Zaprzągać! — krzyknął do sług czekających na jego przebudzenie i rozkazy.

Znużony uporczywym szukaniem odpowiedzi na dręczące pytania postanowił odświeżyć się przejażdżką brzegiem Dunaju, zebrać myśli, po czym odwiedzić czachticką panią i narzuconą sobie narzeczoną. Nie wątpił, że za pomocą sprytnych pytań — nawet jeśli nie dostanie odpowiedzi albo też będą one wymijające — uda mu się wykryć pobudki postępowania Elżbiety Batorówny.

Właściciel zajazdu „Pod Dzikim Mężem” i głębokim ukłonem zapytał, do kogo raczył przybyć.

— Czachticka pani w domu? — obrzucił go ponurym spojrzeniem.

— W domu, miłościwy panie, akurat zaniesiono jej śniadanie do jadalni. Jeśli miłościwy pan pozwoli, sam miłościwego pana zaprowadzę.

Stanowczym gestem odrzucił usługę oberżysty. Kiedy bowiem posłyszał, że grafka udała się na śniadanie, zaświatał mu pewien pomysł.

Znalazłszy się w izbie obok jadalni przykazał stłumionym głosem służebnej, która go wpuściła:

— I miej na względzie, aby pani się nic dowiedziała, że jestem tutaj. Nie życzę sobie, aby zakłócano jej spokój przy śniadaniu. Ja też tego nie uczynię. Cierpliwie poczekam. Wynoś się!

Gdy został w izbie sam, radość rozpromieniła mu oblicze. To mu się udało! Podśłucha rozmowę Elżbiety Batorówny z przyjaciółką. "O czym mogą mówić niewiasty po nocy spędzonej na balu? — pomyślał sobie — Oczywiście, będą się dzielić wrażeniami!"

Aż drżał z podniecenia, miał bowiem niezłomną nadzieję, że tutaj znajdzie odpowiedź na pytania, które nie dały mu spać.

Schylił się do dziurki od klucza.

Przy niewielkim okrągłym stoliku siedziała Elżbieta Batorówna.

Dlaczego sama?

Nie, już nie jest sama, już wchodzi Erzika. Mówią sobie dzień dobry, twarz grafki rozjaśnia się, wstaje, obejmuje Erzikę, opowiadają sobie jakieś głupstwa, jak spały i rym podobne banialuki. Siadają. Co to? Wargi Elżbiety Batorówny poruszają się, lecz on nie słyszy ani słowa. Szepcze, czy też słuch raptem mu stępsiał? Jedzą. Widać po nich jakieś zakłopotanie. Jak gdyby wynurzyło się między nimi coś nieprzyjemnego, czego nie chcą dotknąć.

— Co ci się śniło, Erziko? Chyba nie twój narzeczony?
— znowu posłyszał graf Nyáry.

— Nie. Bogu dzięki nie. Wybacz, wymknęło mi się. Ale niech tam, muszę ci się przyznać, że chociaż spełnię twoje życzenie, nie jestem w stanie zapłonąć miłością do niego.

— Nie czujesz do niego ani odrobiny sympatii?

— Nie, wręcz przeciwnie. Powiem ci szczerze, iż czuję do niego odrazę i boję się go. Jest szpetny, stary, ręce ma jak lód, wargi cienkie jak ostrze noża, twarz białą jak ściana. To człek podstępny i fałszywy!

— Masz słuszność. Erziko. To wstrętny stary lis i jako żywo nie byłby ciebie godzien, gdyby wnosił do małżeństwa tylko swoje rzekome, nie wiedzieć czemu wysławiane umiejętności dyplomatyczne i męskie wdzięki, które dostrzegają jedynie jego sfiksowane kochanki. Że też znajdują się kobiety gustujące w takiej kreaturze, co ma czelność uważać się za mężczyznę!

Erzika wytrzeszczała na matkę oczy. Graf Nyáry, dotknięty do żywego, zacisnął pięści.

— Zdumiewa mnie to, co słyszę — ozwała się Erzika.
— Skoro tak, to czemu wybrałaś mi go za męża?

— Kiedyś to zrozumiesz! Czyń jeno, co ci każe. Przysię-

gam, iż będziesz szczęśliwa. Na twoim szczęściu tak mi zależy, że abyś je osiągnęła, nie przebieram i nie będę przebierać w środkach.

— Wiem z całą pewnością, że z grafem Nyárym nigdy nie będę szczęśliwa!

— Jeśli z nim nie, to bez niego, cha, cha, cha!

Jej śmiech był lak złowrogi i ostry, przepelniony taką wzdrgadą, szyderstwem i uszczypliwością, że Erzika zadrżała, i podsłuchujący wzdrygnął się.

Omal ze skóry ni wyskoczył.

Tkwiał z uchem przy dziurce od klucza, spodziewając się znaleźć rozwiązanie nagromadzonych zagadek. A tymczasem zagadek jeszcze przybywa, w dodatku musi wysłuchiwać niebywałych obieg.

— Nie rozumiem.

— To tajemnica. Będiesz jego żoną, a jednak nie będziesz!

Te słowa wprawiły w osłupienie również grafa Nyáryego.

— Zapewniam cię — ciągnęła z zagadkowym uśmiechem — iż to straszycło nigdy nie weźmie cię w ramiona, a jego wysuszone wargi nigdy nie dotkną twoich świeżych ust. Ja sama bym omdlała, gdyby ten odrażający pokurcz zachował się, kiedy wobec ciebie jak mąż.

W podsłuchującym wrzała krew i z ledwością się opanował, by nie nacisnąć klamki i nie wtargnąć do jadalni.

Raptem odskoczył od drzwi, gdyż grafka wstała. Zdało się mu, że zmierza tutaj. Ale drzwi się nie otwierały. Odechnął z ulgą. Siedział w fotelu i usiłował przybrać spokojny i obojętny wyraz twarzy. Posłyszał, że pani wzywa służebne.

Dziurka od klucza znowu przyciągnęła go jak magnes.

Elżbieta Batorówna stała przy samych drzwiach, zwrócona do nich plecami. Zaś między nią a stołem, przy któ-

rzym siedziała Erzika, ustawiały się rzędem dziewczęta. Wiadać było, że Erzika jest zdziwiona, dlaczego zwołała wszystkie służebne. I graf Nyáry dziwił się temu albowiem z poprzedniej rozmowy nie wynikało, dlaczego grafka wezwała służbę w trakcie śniadania.

— Jesteście wszystkie? Jedna, dwie, piec, dziesięc, tak, dwanaście. Służycie u mnie dopiero od kilku dni i jeszcze nie zdążyłam was pouczyć, jak macie się sprawować, i czego najbardziej się wystrzegać.

Graf Nyáry był zawiedziony. Osobliwe to zaiste obyczaj, wstać od śniadania i pouczać służbę!

Ta lekcja wcale go nie interesowała.

Jednakże tkwił nadal przy dziurce od klucza. Oczarował go widok Erziki. To byłaby rozkoszna kochanka?

— Wezwałam was — mówiła grafka do służebnych surowo — aby was przestrzec przed wstrętnym zwyczajem, do jakiego zdolni są jedynie ludzie niscy i podli, Nie życzę sobie, abyście pod moim dachem hołdowały temu zwyczajowi. Rozumiecie?

— Nie rozumiemy! — odparła najśmielsza.

— Tak myślałam — roześmiała się grafka. — Wyjaśnię wam to. Uważajcie!

Odwróciła się raptem i błyskawicznie otworzyła drzwi. Służebne wybałuszyły oczy. Również na twarzy Erziki odbiło się zdumienie. Graf Nyáry stał zgięty przy drzwiach jak rażony gromem i chwilę trwało, nim ochłonał na tyle, że się wyprostował i uprzytomnił sobie, co się właściwie siało. Gdyby mógł, zapadłby się pod ziemię.

Przysłapany na haniebnym podsłuchiwanu miał tak komiczną minę, że wywołał burzliwy śmiech.

— A więc, dziewczęta Elżbieta Batorówna dusiła się ze śmiechu — to jest ów brzydki nałóg, któremu nie będę po-błażać. A teraz idźcie do swoich zajęć!

Graf Nyáry stał w drzwiach jadalni, jakby oniemiał i skamieniał. Jak żyje nie był w takiej paskudnej sytuacji. Chyba tylko wtedy w Czachticach, kiedy przyłapano go na amorach. A co najstraszniejsze, śmiała się także Erzika. Proszę, już nie budzi w niej strachu, śmieszy ją niby jakiś pajac.

W sąsiednich izbach wciąż jeszcze rozbrzmiewał chichot służebnych. To było dla niego najbardziej upokarzające. Służba śmieje się zeń jak z błazna, a on musi to ścierpieć!

Przestępował z nogi na nogę w progu jadalni, nie wiedział, co zrobić z rękoma. W końcu wszedł do jadalni, opadł na fotel i zdał się na łaskę losu.

— Co wam podszepnęło, czcigodna przyjaciółko — ozwał się, chcąc znaleźć rozwiązanie przynajmniej jednej zagadki — że jestem w sąsiedniej izbie?

— Mówiąc ściślej, ze tam podsłuchujecie? — Obrzuciła go wzgardliwym spojrzeniem. — Zawdzięczam to jedynie temu, iż ubóstwiałam ranne powietrze. W Czachticach nie ma prawie dnia, bym nie wyskoczyła na miłym moim Wicherze nawdychać się go do syta. Tutaj nie mogę robić przejażdżek, więc chociaż napawam się nim z okna. I dzisiaj otworzyłam okno, i byłam mile zdziwiona, kiedy na ulicy ujrzałam powóz z waszym herbem, a spod bramy usłyszałam waszą rozmowę z oberżystą. Nie muszę podkreślać, iż stało się to mimo woli. Wnet potem przeświadczyłam się, że postanowiliście zaczekać w sąsiedniej izbie, aż skończę śniadanie. Oznajmiłam to waszej drogiej narzeczonej, gdy tylko weszła do jadalni. Wspólnymi siłami przypuściłyśmy atak na waszą męską dumę... Tu zaiste godne podziwu, że słysząc te obelgi nie wyłamałyście drzwi, jak uczyniłby każdy przeciętny mężczyzna, cha, cha, cha. Ale to ładnie z waszej strony, że ledwie wasze zmęczone tańcem nogi zdołały trochę odpocząć, pospieszyliście do mnie, by omówić szczegóły swojego bliskiego małżeństwa.

Graf Nyáry z wolna wracał do siebie. Usiłował przybrać

minę, jakby nic nie zaszło.

— Tak jest, czcigodna przyjaciółko — rzekł zwykłym, słodziutkim tonem. — To właśnie jest celem moich odwiedzin.

— Pragniecie ożenić się jak najrychlej?

— Jak najrychlej — odrzekł obrzucając narzeczoną rozkochanym spojrzeniem, co grafkę rozdrażniło, a w Erzice wzbudziło lęk przed tym dwulicowym człowiekiem, który wobec matki ma jedną twarz, przymilną, a wobec niej drugą, odstręczającą. Zdecydowanie wołała tę drugą.

— Szczerze mnie to cieszy, drogi przyjacielu!

— Nim wszakże ustalimy sprawy związane ze ślubem, pragnąłbym pomówić z wami w cztery oczy.

— Takiej małej prośbie doprawdy nie mogę nie uczynić zadość — odparła i mrugnęła do Erziki.

Dwoje o czterech obliczach

— a więc co macie na sercu, drogi przyjacielu? — spytała życzliwie Elżbieta Batorówna, gdy Erzika wyszła.

— Drobnostkę, czcigodna przyjaciółko. Zdecydowany jestem spełnić waszą wolę, prosiłbym jeno o wyjaśnienie, dlaczego chcecie wydać za mnie swoją najmilszą przyjaciółkę, skoro macie o mnie tak złe mniemanie?

— Jesteście w błędzie, przyjacielu! Mam o was znacznie lepsze mniemanie niż o wielu innych panach, którzy mogliby wchodzić w rachubę jako małżonkowie Erziki. Oto wyjaśnianie, dlaczego uważam was za odpowiedniego męża dla niej. A nadto macie zaletę, którą cenię sobie najbarziej. Jesteście jednym z najbogatszych ludzi w kraju.

Graf zaprotestował gwałtownym gestem.

— Nie bądźcie taki skromny, wiem, co mówię. Najbar-

dziej godne pochwały jest wszakże to, iż odziedziczony i zdobyty przez siebie majątek umiecie nie tylko utrzymać, ale i pomnażać.

— Śmiem spytać — przerwał jej — kiedy raczyście zwrócić mi ten dokument?

— A, macie na myśli pokwitowanie, jakie z niepojętym brakiem przezorności daliście paszy z Nowych Zamków?

— Nie dałem dobrowolnie — zastrzegł się przed podejrzeniem, iż mógłby być tak dalece nieprzezorny. Pasza podle je na mnie wymusił. Gdy moi zaufani ludzie przywieźli mu dwanaście dziewcząt, nie wypłacił im zwykłej sumy, jeno kazał mnie powiadomić, abym sam przybył jak najrychlej po pieniądze. A kiedy się zjawiłem, przedłożył mi pokwitowanie grożąc, że jeśli go nie podpiszę, doniesie palatynowi o moich frymarkach. Nie pozostawało mi nic innego, jak podpisać. Wszelako nie koniec na tym. Sumy, na którą pokwitowanie opiewało, nie tylko mi nie wypłacił, lecz zażądał, abym przysłał mu jeszcze dwanaście dziewcząt w podzięce za to, że zachowa mój cenny podpis wśród swoich najmilszych pamiątek.

— Chytrze was pasza podszedł — śmiała się Elżbieta Batorówna. — Macie wszakże szczęście. Pokwitowanie dostało się w moje, tedy dobre ręce. Jak wam je zwrócę, będziecie mogli je zniszczyć.

Graf Nyáry wyraźnie się ucieszył.

— Wasza radość jest nieco przedwczesna — ostudziła go. — Pokwitowanie zwrócę wam dopiero po ślubie. Dośtaniecie je w podarunku ślubnym. A cenny to będzie podarunek. Aczkolwiek nie uchodzi wyjawiać ceny darów, ja to uczynię, abyście wiedzieli, ile mnie kosztowało ocalenie waszego honoru. Kosztowało mnie czterdzieści tysięcy złotych. Co prawda nie w gotowiźnie. Pasza zamiast pieniędzy za dziewczęta dał mojemu słudze Fickowi wasze pokwitowanie, mówiąc, abym je sobie u was zwaloryzowała. Co

właśnie czynię.

Śmiała się, a graf Nyáry także przymuszał się do śmiechu:

— Czyli że kupczyliśmy tym samym towarem i pasza jednakowo wystrychnął nas na dudka.

— O nie. Wystrychnął jeno was, albowiem wy mi zapłacicie, i to swoją wolnością.

— Nie uczynię złego interesu, zważywszy, że za swoją wolność zdobędę waszą rozkoszną przyjaciółkę — przywoływał na twarz uśmiech, chociaż najchętniej utopiłby ją w łyżce wody.

— Dajmy pokój czczej paplaninie — rzekła poważnie i władczo — Pomówmy o sprawach istotnych. Chcę, by ślub odbył się w maju. To najpiękniejszy miesiąc.

— Ja wołałbym na jesieni — usiłował zyskać jak najwięcej czasu.

— Aby wasza wolność umierała wraz z urokami jesieni? Nie, przyjacielu. Ożenicie się w maju. Zgadzacie się?

— Zgadzam się.

— I o nic więcej już nie musicie się kłopotać, jeno się stawcie w Czachticach, gdy przybędzie po was mój poseł.

— Zaiste jesteście wielce łaskawa, wprost nie wiem, jak się mam za taką niezasłużoną uczynność wywdziąć.

Usiłował udawać wzruszenie i wdzięczność, lecz kipiąca w nim złość przebiła tę maskę i na twarzy miast wdzięczności odzwierciedliła się groźba.

— Nie wysilajcie się, przyjacielu odrzekła chłodno. — Nigdy nie czekam na zapłatę, zawsze sama ją egzekwuję tan, gdzie mi się należy. Tak samo i teraz.

Widział, że z tej kobiety nie wyciągnie nic, co rzuciłoby choć odrobinę światła w mroki zagadek.

— Pozwólcie mi, czcigodna przyjaciółko — ponownie zaświtała mu nadzieja — porozmawiać z narzeczoną.

— O jak najchętniej — uśmiechnęła się.

— Ale w cztery oczy...

— Jak sobie życzycie. Ja wiem, zakochani nieradzi gruchają przy świadkach.

Graf Nyáry znalazł Erzikę w jej izbie. Stała przy oknie. W zamyśleniu spoglądała na ulicę, a gdy się ozwał, drgnęła jakby wejrzał w jej myśli.

— Erziko, przyszedłem, by ci oznajmić...

Erzika, która od chwili sromotnej sceny w obecności służebnych przestała się go lękać, spojrzała surowo:

— Panie, nasza krótka znajomość nie uprawnia was do tak poufałego tonu. Zapewne macie zwyczaj zwracać się na „ty” do poznanych zaledwie poprzedniego wieczoru dam. Proszę wszakże, abyście dla mnie uczynili wyjątek.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

Jego doświadczone oko natychmiast odkryło, że nie stoi już przed nim zaleknione dziewczątko z wczorajszego balu, lecz osóbką pewną siebie, nieodczuwająca strachu, a tylko odrazę. Rozdrażniło go to, podjudziło do tego, aby z nią pograć, skruszyć jej dumę i znowu ujrzeć przestrasz na jej twarzy.

— Wybaczcie, szlachetnie urodzona panno — uśmiechnął się przewrotnie — żem przynajmniej słowami pokusił się wyczarować bliskość, jaka winna być między narzeczonymi, którzy za parę tygodni zostaną sobie poślubieni.

— Już za parę tygodni? — zapytała z udaną obojętnością.

— Tak, w maju. Jeno dzień nie jest jeszcze ustalony.

Graf Nyáry wciągnął ramiona, jakby chciał ja objąć, i efekt wypowiedzianych słów i tego gestu zadowolił go najzupełniej. Wylęknione spojrzenie wielkich oczu dziewczyny zdradzało, iż daremnie się opiera, nie ma dość sił na to, by nie stać się jego zabawką.

— No, no, nie bój się, Erziko — ozwał się znowu poufa-

łym tonem, pewny, iż teraz go nie zbeszta. — To, co postanowione, wcale nie musi dojść do skutku, zwłaszcza że, jak usłyszałem przez drzwi, nie masz o mnie najpochlebniejszego mniemania. Przeto z naszych zaślubin nic nie będzie. Powiedz mi tylko, kto jest twoim miłym!

Wyższość, którą dawał jej odczuć każdym słowem, burzyła w niej krew. Zapragnęła ogłuszyć go nazwiskiem, którego wczoraj nie chciała wyjawić.

— No wiec, kto jest twoim miłym?

— Zbójnik Andrzej Drozd!

Na chwilę uśmiech zniknął mu z oblicza, spojrzął badawczo, czy nie stroi sobie z niego żartów.

Roześmiała się. Czują, że zyskała przewagę.

— Już wiecie, kto jest moim miłym. Przeświadczona jestem, iż aby sprawić mi radość oraz dla własnego dobra postaracie się wydostać z tej kabały. Nie chciałabym być w waszej skórze, gdyby Andrzej Drozd dowiedział się, że zamierzacie mnie poślubić.

Jej śmiech smagał go jak biczem, ale wnet uwiązał jej w gardle. Graf Nyáry bowiem obrzucił ją miażdżącym spojrzeniem:

— Aby skończyć z tą komedią, szlachetnie urodzona panno, muszę wam rzec, iż już wczoraj powziąłem niezłomne postanowienie pojąć was za żonę. I nie odstraszyś mnie od tego nawet swoim kochankiem zbójnikiem, droga moja narzeczono!

Chociaż uśmiechał się miłośnie i słodko, przejął ją strach, jakby naraz znalazła się w szczerym polu pod burzowym niebem. Strach zamienił się w przerażenie, gdy zbliżył się do niej i wyciągnął ramiona:

— Mam nadzieję, iż teraz nie odmówisz mi pocałunku, do którego jako narzeczony mam prawo. Jeśli mi go nie dasz, sam wezmę, co mi się należy.

— Nie dam ani go sobie nie weźmiecie! — zawołała splotniona. — Nigdy was nie pokocham!

— Zobaczymy!

Usiłował chwycić ją w ramiona, lecz wymknęła mu się, objął jedynie powietrze. Rozsierdzony niepowodzeniem, rzucił się w pogoń za nią. Uciekała klucząc między stołem i zydłami, co raz to wyciągał ręce, lecz daremnie.

Elżbieta Batorówna posłyszała rumor w izbie Erżiki. Pojawiała się raptem w otwartych bezgłośnie drzwiach. Wystarczyło jedno spojrzenie, by pojęła, co się dzieje.

Grafowi udało się chwycić Erżikę za rękę. Choć broniła się ze wszystkich sił, przyciągnął ją do siebie. Pergaminowymi wargami dotknął jej czoła i już miał złożyć pocałunek na jej ustach, ale mu to udaremniła. Zamachnęła się wolną ręką i wymierzyła mu policzek. Rozległo się tak głośne plaśnięcie, a graf miał tak zdumioną minę, że gniew Elżbiety w jednej chwili wyparował i roześmiała się ubawiona.

— Jak widzę — rzekł ze złością graf Nyáry — miłościwa pani sama hołduje nałogowi, który wykorzenia ze swoich służebnych!

— Za te słowa, panie, zasługiwalibyście, abym poszła za przykładem Erżiki i choćby gwoli symetrii naznaczyła wam drugi policzek. Toć chyba już widzicie, że nie podsłuchuję, stoję w otwartych drzwiach. Bo przed chwilą w tym zaciętrzewieniu oślepliście i ogłuchliście na wszystko, nic przeto dziwnego, iż nie uprzytomniliście sobie, że jestem świadkiem waszego grubiańskiego zachowania.

Erżika milczała z rozpaloną twarzą i ulegle czekała, co uczyni matka. Graf Nyáry, skonfundowany straszliwie, najchętniej natychmiast by się wyniósł.

— Coraz bardziej mnie zadziwiacie, przyjacielu — ciągnęła czachticka pani, z tajoną rozkoszą napawając się jego zmieszaniem. — i zda mi się, że będę musiała zmienić do-

bre mniemanie o waszych dwornych i wyszukanych manierach, z których słyniecie. Dziś w ciągu jednej zaledwie godziny tylekroć pogwałciliście dobre obyczaje i zaprezentowaliście się w tak karygodnych sytuacjach, że brak mi stów potępienia.

Wytrzeszczył oczy, gdy odstąpiła od drzwi i jednoznacznym gestem wskazała mu drogę:

— Wasze dzisiejsze postępowanie nie daje mi żadnej poręki, że w przyszłości zachowacie się pod moim dachem tak, jak przystoi na człowieka ogładzonego, dlatego natychmiast opuście te progi i nie pokazujcie mi się na oczy, póki was nie wezwę. Żegnam!

Kiedy drzwi się zamknęły, Erzika wybuchnęła płaczem.

— Nie płacz — uspokajała ją matka ten człowiek nigdy cię nie pocałuje, nie będzie miał po temu sposobności.

Nie mogła jej uciszyć. Erzika ujrzała dzisiaj tyle twarzy grafa Nyáryego, że nie wyznawała się już, która z nich jest prawdziwa. Nie pojmowała również maiki. Gardzi grafem, ośmiesza go i pokazuje mu drzwi, a jednak przymuszają do wyjścia za niego za mał.

— Kochanie moje, to co mówiłam w jadalni, kiedy szepsem zwróciłam ci uwagę, abyś nie nazywała mnie matką, gdyż za drzwiami podsłuchuje człowiek, który nie jest godzin znać naszą tajemnicę, mówiłam szczerze. I raz jeszcze powtarzam: przysięgam ci, że chcę tylko twojego szczęścia. Będiesz żoną tego obleśnika, a jednak me będziesz nią. Nie pytaj, jak to możliwe. Tej tajemnicy me mogłabym ci wyjawić...

Ojciec Erziki Priborskiej

Ledwo odszedł graf Nyáry, zjawił się u Elżbiety Bato-

równy ów medyk, którego Majorowa wysławiała jako cudotwórcę. Już czwarty raz przychodził opatrzyć jej ranę. Przy pierwszej bytności zapewnił gratkę, że gojącą się znamieniem ranę wyleczy tak, iż nawet ślad nie pozostanie. Przy drugiej ogarnęły go wątpliwości. Przy trzeciej jeszcze większe. A teraz rzekł jej bez ogródek, iż nie ma na świecie lekarza, który by wyleczył bez śladu taką ranę — wszak ciało było nie tylko poparzone, ale i powyszarpowane. Elżbieta Batorówna uśmiechnęła się:

— Słyszałam o was, że jesteście uczonym medykiem i cudotwórcą, a tymczasem widzę, iż swoją wiedzą i umiejętnościami nie przewyższacie nawet myjawskiej znachorki. No nic, na zapłatę zasłużyliście sobie, oto ona... I wiedźcie, że to co nie powiodło się wam, powiedzie się mnie. Znajdę lek, który usunie ślad po ranie.

Po odejściu obrażonego medyka Elżbieta Batorówna siedła przy stole i napisała list. Wezwała hajduka:

— Zanieś ten list bezzwłocznie i oddaj do własnych rąk sekretarzowi palatyna, wielmożnemu panu Jerzemu Zawodskiemu.

Potem udała się do Erziki i oznajmiła jej:

— Dzisiaj pa południu odwiedzi mnie twój ojciec.

— Czy mogę go zobaczyć, spotkać się z nim? — spytała z bijącym sercem.

— Nie, jeszcze nie. Po południu pojedziesz do pana Megyeryego, opiekuna i preceptora mojego najmłodszego syna. Nie chcę, byście się spotkali, albowiem na razie nie zamierzam wyjawiać, że przed osiemnastu laty urodziła mu się córka... Pozostawię to na sposobniejszą chwilę.

Była posłuszna. Wnet po obiedzie wsiadła do powozu i opuściła zajazd „Pod Dzikim Mężem”.

Tuż za bramą dogonił ją hajduk grafa Nyáryego. Wręczył jej list. Czego chce od niej ten straszny człowiek? List parzył ją w rękę i zdało się jej, że jest ciężki jak z żelaza.

— Jedź nad Dunaj! — poleciła stangretowi. Tam będzie mogła niepostrzeżenie przeczytać list od narzeczonego.

Na ulicach było mało ludzi, z rzadka mijał ją jakiś powóz. Niekiedy z powozu uśmiechała się czyjaś uprzejma twarz, a ona ze zmieszaniem odpowiadała na pełne szacunku ukłony. Byli to panowie, z którymi wczoraj tańczyła na balu u Eszterházycy. Widziała, że radzi by się zatrzymali i zamienili z nią kilka słów, lecz spoglądała tak chłodno i obojętnie, że nie mieli śmiałości.

Nad biegiem Dunaju było pusto. Gdzieniegdzie tylko siedział na ławce lub przechadzał się jakiś starzec, wygrzewając się w wiosennym słońcu i z zadumą spoglądając w fale rzeki jakby myślał o swoim odpływającym życiu.

Erzika z rozpaloną twarzą otworzyła list.

"Jedyna moja!" — czytała ze wzburzeniem. — „Ponieważ niefortunny przypadek dzisiejszego ranka nie dozwolił mi wyjawić Wam mych uczuć ustnie, czynię to na piśmie. Miłuję Was droga moja, i nie posiadamy się z żalu, iż choćby przez chwilę byłem zdolny wzbudzić w Was mniemanie, że nie chcę zostać Waszym małżonkiem. Pragnę poślubić Was jak najrychlej i im prędzej Wasza czcigodna przyjaciółka ustali dzień naszych zaślubin, tym większa będzie moja radość. Niechaj dni nasze rychło płyną! Każdy mijający dzień przybliży mnie do spełnienia moich najpiękniejszych snów. Całuję Wasze piękne czoło, Wasze różane lica, Wasze wargi, obejmuję Wasze rozkoszne ciało chociaż w marzeniach i jestem szczęśliwy, tak bezgranicznie szczęśliwy, jak bezgranicznie Was miłuję! Oddany i ubóstwiający Was Stefan."

Pałając oburzeniem podarła list na drobne kawałeczki tak gwałtownie i z taką złością, aż się stangret obejrzał. Takie to zuchwalstwo, jaka podłość! a na domiar nie napisał tego obrzydliwego listu własnoręcznie. Foremne, starannie zaokrąglone litery i równe jak pod linijkę rządki za-

haczały, że wyszły spod pióra człowieka, który para się pisaniem no co dzień. A więc podyktował go pisarkowi, jak wszystkie swoje miłosne epistoły, aby porzuconym i spragnionym pomsty kochankom nie dać możliwości skompromitowania go.

Wiatr porwał strzępy listu i rozrzucił po brzegu. Nie zdolni jednak rozwiać wątpliwości obaw Erziki. Co graf właściwie zmyśla? Czy istotnie chce ją poślubić? Co w jego liście jest prawdą?

Zapatrzyła się w obłoki płynące nad Preszporkiem.

Chyba tylko obłokom może się poskarżyć.

Nie ma nikogo, komu mogłaby zawierzyć i do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc.

A obłoki płyną akurat w stronę Wierzbowa i Czachtic. Czy Priborsey myślą o niej czasem, czy Andrzej Drozd ją wspomina? i czy ktokolwiek z nich pomoże jej, gdy będzie potrzebować pomocy?...

Tymczasem Elżbieta Batorówna przygotowywała się do powitania wytęsknionego nieznajomego.

Dwanaście służebnych biegało z izby do izby, spełniając coraz to nowe polecenia. Wszystko lśniło czystością i tchnęło ładem, kwiaty w wazonach napępiały izby zajazdu wonią przytulnego domostwa. Służebne ubrały panią w różowe jedwabie. Całkowicie gotowa krążyła niespokojnie po izbach nasłuchując, czy przed zajazdem nie zatrzymuje się tak niecierpliwie oczekiwany powóz.

Wymarzona chwila wreszcie nadeszła.

Z powozu z herbem palatyna Jerzego Thurzo wysiadł z poważnym obliczem Jerzy Zavodsky, a chwilę później stanął przed czachticką panią. Spoglądała nań z płonąca twarzą i z trudem powstrzymywała się, by nie obsypać go pocałunkami.

Oblicze Jerzego Zavodskiego było chłodne, chwilami tylko rozgrzewał je wyraz powinnej gościowi uprzejmości.

— Wezwaliście mnie, dostojna pani — skłonił się.
— Poczytywałem sobie za powinność stawić się na wasze wezwanie.

— A więc przybyliście jeno z obowiązku? — uśmiechnęła się z delikatnym wyrzutem.

— Z miłego obowiązku — sprostował z uśmiechem — aczkolwiek nie znam celu swojej wizyty.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

— O celu waszej wizyty napomknęłam w liście niezbyt jasno, miałam wszakże nadzieję, że zrozumiecie...

— Nie zrozumiałem, dostojna pani — spojrzał na nią z zakłopotaniem.

— Doprawdy nie? — głos zadrżał jej z lęku, iż wzrok i uczucie omyliły ją i że Jerzy Zavodsky nie ma nic wspólnego z jej tajemniczym nieznajomym, a tylko jest doń podobny.

— Napisaliście, dostojna pani — mówił łagodnym głosem zdradzającym lekkie zdziwienie — iż cieszyście się z upragnionego spotkania z człowiekiem, który przed laty wszedł w wasze życie, potem zaś zniknął, szukaliście go daremnie, aż wreszcie przypadek przywiódł go do was. I wyraziliście życzenie, abym was odwiedził i pomógł ożywić wspomnienia tego, co się zdarzyło, a co jak mniemam, już jeno w waszej pamięci jest tak świeże, jak gdyby zdarzyło się ledwie wczoraj...

— Tak, właśnie tak napisałam — rzekła wpijając oczy w Jerzego Zavodskiego, jakby pragnęła przeniknąć jego najtajniejsze myśli i uczucia.

— Wielce byłem zdziwiony — odparował spojrzenie czachtickiej pani — że mnie człowieka, którego wczoraj ujrzeliście pierwszy raz w życiu, darzycie takim zaufaniem, iż chcecie mnie wtajemniczyć w swoje sekretne przeżycia i wspomnienia,

— Nie mylicie się, panie? — przyskoczyła do niego, chwyciła go za ramiona, przysunęła twarz do jego twarzy i zatopiła wzrok w jego oczach. — Czy wczoraj nie spotkałiśmy się po raz trzeci w życiu?

Jerzy Zavodsky patrzył w te oczy, które paliły jak ogniem. Nie był zdolny myśleć, rozważyć, co rzec i jak postąpić.

— To ty, mój dawny. wytęskniony kochanek! — zawołała z uniesieniem, objęła go i obsypała pocałunkami.

Wybuch jej miłości oszołomił go.

— Powiedz, że ty jesteś tym rycerzem, co pewnego majowego dnia przed laty schwycił w ramiona rusałkę na brzegu Wagu! — mówiła z zapłonioną, niemal dziewczęcą twarzą.

— Jestem tym, co schwycił rusałkę w ramiona, lecz rycerzem nie byłem — odparł z gorzkim uśmiechem, gdy się wreszcie opamiętał. — Postąpiłem nie tylko nie po rycersku, ale wprost sromotnie. Uszedłem wprawdzie kary, wszelako wyrzuty sumienia dręczą mnie do dzisiaj. Cały czas drżałem przed chwilą, gdy was spotkam, dostojna pani. Ta chwila nadeszła, kiedym się najmniej tego spodziewał. Przybywszy tutaj, nie z tchórzostwa udawałem, że widzę was pierwszy raz w życiu. Nie chciałem grubiańsko przypominać zdarzenia, za które już dawno pokajałem się w swoim sumieniu, a nadto miałem słabą nadzieję, że nie poznacie we mnie — tak naznaczonym zębem czasu — owego podstępного napastnika, co powodowany samolubną żądzą wtargnął w wasze dziewczęce sny. Oto stoją przed wami, nie taję, czego się dopuściłem, niechaj dosięgnie mnie kara z waszej ręki!

— Ukarzę cię swoją miłością? — i znowu go objęła.

Nie posiadał się ze zdumienia.

Czy to możliwe, że dumna czachticka pani tak bez ogródek ofiarowuje swoją miłość właśnie jemu?

— Wiedz — rzekła, jakby czytała w jego myślach — że tobie zawdzięczam najpiękniejsze chwile swojego życia. Pokochałam cię od pierwszej chwili, gdy ujrzałam cię na brzegu Wagu, i nigdy nie przestałam tęsknić za tobą. Bez ciebie mój żywot był pusty. Straszliwie pusty. Powiedz, czemu rozpałałeś miłość we mnie, a potem zniknąłeś?

— Dostojna pani...

— Nie, nie, mów do mnie tak jak wtedy, nazywaj mnie swoją rusałką, szepcz mi gorące słowa miłości! i całuj mnie, aby zabrakło mi tchu, serce przestało bić, abym zapomniała o całym świecie i zamierała z miłości, której przez cały żywot nie zaznałam. Abym zamierała tak jak wtenczas, gdy wynurzyłeś się z leśnego cienia i wtargnąłeś w moje życie niby rycerz z bajki! Zwróć mi wszystko, wynagrodź mi wszystko, co zabrały mi lata rozłąki z tobą!

Słuchał z bezgranicznym zmieszaniem.

Rozwierała się przed nim największa tajemnica jego życia.

— Zda mi się, że nie jestem przy pełni zmysłów, lecz w niewoli snu — rzekł, gdy Elżbieta Batorówna usadowiła go obok siebie na kanapie. — Przeszłość powraca, ożywają wygasłe uczucia. Przyszedłem do was, dostojna pani, gotów ponieść karę za to, że oślepił mnie i ogłuszył zew wzburzonej przez was krwi. A tu nie kara mnie oczekiwała, lecz największe zaskoczenie, jakiego kiedykolwiek w życiu doznałem. Jakże przedziwne są igraszki losu! Podczas gdy ja zabijałem w sobie miłość i szukałem zapomnienia, tyś mnie kochała! Umieraliśmy z miłości do siebie, a przecie drogi naszego żywota się rozeszły. Teraz, patrzę na ciebie jak w gorączce — jak na omamne przywidzenie. Widzę cię przed sobą drżącą z miłości, rozplomienioną, pełną oddania. Jesteś właśnie taka, jaką pragnąłem widzieć przed osiemnastu laty. Czyż można uwierzyć, iż ta miłość do dzisiaj w tobie nie wygasła?

— Kocham cię do szaleństwa. Moja miłość wzmagała się z roku na rok, albowiem byłeś nieosiągalny. Każdego, kto ubiegał się o moje względy, zaćmiewał mój rycerz z bajki. A jeśli nawet, złąkniona szczęścia i miłości, rzucałam się w czyjeś objęcia, była to moja zemsta na tobie, moim nieznanym kochanku. Lecz w istocie mściłam się jedynie na sobie samej, albowiem nieprzeparty wstręt mroził moje rozpalone świętokradczą miłością ciało i odkopywałam twoich rywali jak szmaty.

Oszołomiony słuchał jej wyznań. Przeszłość ożywała, budziły się pogrzebane na dnie serca pragnienia i uczucia.

— Opowiadaj, mój rycerzu. Pragnę słyszeć twój głos, którego echo od owego spotkania nad Wagiem ciągle brzmi w mojej duszy — objęła go i patrzyła mu w oczy, jakby chciała w nich utonąć na zawsze.

— Najdroższa moja — i on otoczył ją ramionami — tak kiedyś pragnąłem się do ciebie zwracać, dać wyraz swej namiętnej miłości. Ja, który podczas każdego niemal balu w czachtickim zamku krążyłem w pobliżu ciebie, lecz ty nawet nie zawadziłaś o mnie spojrzeniem. Po całych nocach błądziłem pod twoimi oknami jak złodziej. Wpatrywałem się w nie rozgorączkowanym wzrokiem, usiłując odgadnąć, za którym z nich śniesz swoje dziewczęce sny. Mogłem się upajać jedynie wyobrażeniem, jakie to byłoby cudowne, gdybym śmiał wejść do twojej białej izby, klęknąć u twoich nóg. wyznać swą miłości ujrzeć na twojej ślicznej buzi choćby tylko przelotny błysk dający mi nadzieję.

— Dlaczego nie ujawniłeś swoich uczuć? Dlaczego nie wtargnąłeś do mojej izby niczym zrządzenie losu?

— Dzielili nas nieprzebyta przepaść. Jakże potomek zbiedniałej szlachty, zatrudniony jako pisarz u grafa Jerzego Thurzo, mógł zbliżyć się do córki wielmoży? Nie tchórzostwo, lecz duma odwodziła mnie od tego. Bałem się poprosić cię o taniec, gdyż sama myśl, że w odpowiedzi mógłby mi się dostać wzgardliwy odmowny gest przypra-

wiała mnie o szaleństwo. W tych męczarniach nieszczęśliwej miłości znalazłem w końcu sposób, abyś mnie nie odtrąciła. Długo obmyślałem, jak cię zaskoczę, pokonam twój opór siłą i upoję się zrabowanymi pocałunkami na całe życie. Sprzyjało mi szczęście. Długo czatowałem na sposobność, lecz dopadłem cię wreszcie. Byłem wtenczas szalony, zupełnie szalony! Wspomnienie tego miłosnego szaleństwa legło na mojej przeszłości duszącą zmorą. Uważałem się za człowieka nieuczciwego, niegodnego sukcesów życiowych, za oszusta, który przyjmuje zaszczyty i honory należne ludziom prawym. A najbardziej drżałem przed spotkaniem z tubą. Nie przeżyłbym wyrzutu i polepienia w twoich oczach. Teraz spada ze mnie to brzemie, znika cień z mego żywota. Lecz nie czuję ulgi, albowiem w zamian przenika mnie żal bezmierny, że szczęście było tak blisko, a ja przed nim uciekłem.

— Uciekłeś, lecz znowu się spotkaliśmy!

— Spotkaliśmy się... I zda mi się, jakbym dopiero wczoraj zostawił cię tam na brzegu Wagu. Jesteś taka sama jak wtenczas, jak gdyby osiemnaście lat było dniem tylko: twoja świeża twarz jaśnieje przede mną jak wtenczas, kibić; jest równie smukła, a twoje ręce w tej szarówce bieleją tak samo zwodniczo. A mnie jak gdyby opanowywało dawne szaleństwo...

Tylko raz jeszcze się spotkać!

Na wspomnieniach i pocałunkach mijały godziny.

Nad Preszporkiem zapadał już zmrok i wkradał się do izb zajazdu. Stangret, który za radą przewidującego oberżysty wjechał na podwórze, aby nie wzbudzać na ulicy uwagi i nie dawać powodu do plotek, był już zmęczony długim

siedzeniem na kozle i niecierpliwie spozierał, czy pan nie wraca.

W izbie przesyconej wonią kwiatów i pachnideł Elżbieta Batorówna zapaliła świece — i w tej samej chwili prysnął czar niewołący Jerzego Zavodskiego.

Ujrzał siebie w zwierciadle. Znużone oczy, pobladłe oblicze i zatokę łysiny, podgalająca tak bujną niegdyś czuprynę. A gdy spojrzął na Elżbietę Batorównę, przejęła go zgroza.

To nie jest dziewczyna, którą trzymał w ramionach na brzegu Wagu. To nie jest rusałka, o której marzył. Lata pozostawiły ślady na jej twarzy i postaci. W czarne jak noc włosy wplotły srebrzyste nitki, a różowe lica pobruździły zmarszczkami. Gdzież jest ta smukła kibić, delikatna jak szypułka róży, gdzież ta wiotka postać? Stoi przed nim ktoś zupełnie obcy, obca kobieta. Wstał.

— Nie odchodź! — zawołała, jakby wyczuła jego rozczarowanie. — Już nie śmiesz ode mnie odejść! a jeśli odejdiesz, niechaj będą to jeno ulotne dni, po których spotkanie będzie tym słodsze. Pragnę twojej miłości, pragnę cię miłować!

Zmarszczył czoło, bił od niego chłód:

— Muszę odejść. Na zawsze.

Przyskoczyła doń, otoczyła ramionami.

— Nie możesz odejść!

Usiłował wyzwolić się z jej objęć:

— Serce mi krwawi, a duszę przepelnia żal bezmierny. Ten sam co wtedy za pierwszym razem, gdy cię opuściłem. Nasze drogi rozeszły się wtenczas i nigdy już się nie zejdą.

Ręce opadły jej bezwładnie, a gdy zwiodła oczy na Jerzego Zavodskiego, aż ja zmroziło.

To nie był już ów mężczyzna, który przed chwila zatra-

cał się w wytworzonym przez nią nastroju. Czuła, iż jej miłość już nie wywołuje w nim najsłabszego nawet odzewu.

— Dostojna pani — jego głos brzmiał straszliwie obco i zimno — zapomnijcie, jak i ja postaram się zapomnieć, i pozwólcie mi na pożegnanie ucałować swą rękę. — w prośbie o przebaczenie i na znak najszczerzej czci.

Zaskoczony był efektem swoich słów. Jej czarne oczy poczerniały jeszcze bardziej, blada twarz spąsowiała, zwieszone ramiona zadrgały, po czym rozbrzmiał jej śmiech, przepelniony goryczą odtraconej kochanki, wzgarda, bojawością i wyzwaniem do walki,

— Zbyt późno się spotkaliśmy — usiłował tłumaczyć, lecz przerwała mu. Uszczypliwe słowa smagały jak biczem.

— Zapewne chcesz powiedzieć, iż w domu czeka cię stęskniona żona i stadko potomstwa, oraz że honor nie pozwala ci być wiarołomnym mężem, w objęciach obcej kobiety zapominać o matce swych dzieci?

— Tak, to właśnie chciałem rzec — odparł zmieszany, ze zdumieniem konstatając, że Elżbieta Batorówna zmienia się z sekundy na sekundę.

— I jeno patrzeć, jak przybrawszy pozę surowego moralisty zaczniesz mnie karcić, że cię uwodzę. Wielce się odmieniłeś, mój miły!

W jej głosie i śmiechu tyle było pańskości i wzgardy, że krew w nim zawrzała. Opanował się wszakże.

Raptem przestała się śmiać i wpiła w niego oczy, w których kryła się niezbadana moc. Promieniowała z nich tak obezwładniająca siła, iż zdało mu się, że traci własną wolę i lada chwila zacznie ślepo jej słuchać. Te oczy drażyły go i jakby wsysały w siebie wszystkie jego myśli, uczucia,

całą jego istotę.

Twarz grafki znowu się zmieniła. Lodowaty chłód stopniał w uśmiechu, a pańskość i wzgardę zastąpiła życzliwość.

— Oto moja ręka, waszmość panie... Żegnaj się z wami bez gniewu, chociaż doznałam zawodu i chociaż rozstajemy się bez nadziei na rychłe spotkanie. Pragnę zrozumieć wasze uczucia i respektować waszą małżeńską i ojcowską powinność, aczkolwiek do takiej samej powinności, jeno jeszcze starszej daty, moglibyście się poczuwać wobec mnie Czy wprowadziłoby was w zadziwienie, gdybyście się dowiedzieli, iż jestem matką waszego syna albo córki? Ale idźcie swoją drogą przyobiecajcie mi jeno, że jeśli kiedyś przyśle do was posła z wezwaniem, abyście mnie odwiedzili w mojej czachtickiej samotni, nie odprawicie go. Przybędziecie, prawda?

— Przybędę — obiecał głosem stanowczym i przekonującym. Nie mógł odmówić prośbie wyrażonej w takich okolicznościach i w takiej formie.

— Jednakże, waszmość panie — rzekła, gdy całował ją rękę — nie możecie jeszcze odejść. Pożegnałam się z wami jako z drogim przyjacielem, teraz zatrzymam was jeszcze chwilę jako osobę urzędową. Mam do was prośbę. Potrzebuję pomocy!

— Dostojna pani, zawsze otrzymacie naszą pomoc!

— w Czachticach kilku burzycieli zatruwa umysły ludu, rozsiewa myśli o buncie. Nie czuję się bezpieczna. Całkiem niedawno miałam dowód, że czachticcy mieszczanie sprzyjają zbójnikom, którzy coraz bardziej panoszą się w moich włościach. Od ryhtarza i proboszcza poczynając, wszyscy są jawnymi lub tajnymi poplecznikami zbójników, którzy są tym niebezpieczniejsi, że ich hersztem został wychowa-

nek akademii w Wittenberdze, Jan Kalina, zbójnictwem odpłacając mi za to, że mój nieboszczyk mąż i ja, nie bacząc na koszty, daliśmy mu wykształcenie.

— Jakiej pomocy żądacie, dostojna pani?

— Przysłania wojska! Aby było komu bronić zagrożonego prawa i bezpieczeństwa moich włości, poskromić burzycieli i odebrać im ochotę do kumania się ze zbójnikami! Jeno dlatego wybrałam się do Preszporka, by wnieść skargę i ubiegać się u palatyna o pomoc. Niestety, przybyłam w nieodpowiedniej chwili, akurat gdy sprawy krajowe odwołały palatyna do Wiednia. Zamierzałam czekać na jego powrót, lecz czas mi się tu dłuży, a służba w domu pozostała bez dozoru.

— Ilu żołnierzy byście potrzebowali?

— Dwustu albo trzystu, raczej trzystu! Na sumpt miasta i jego mieszkańców!

— Jutro rano wracam do Wiednia. Przedłożę palatynowi waszą prośbę bezzwłocznie i z najserdeczniejszą rekomendacją.

— Kiedy możecie spełnić moją prośbę?

— Rychlej, niż przypuszczacie, dostojna pani. Najpóźniej za tydzień wojsko będzie w Czachticach.

— Dzięki!

Elżbieta Batorówna odprowadziła gościa aż do drzwi wiodących na podwórze. Tam przystała i spoglądała za odchodzącym

Przed bramę zajechał powóz. Wsiadła zeń młoda dziewczyna.

To Erzika Priborska wracała z odwiedzin u Megyeryego. Zaskoczona spojrzała na mężczyznę stojącego przy powozie, z nogą na stopniu. Wpatrywał się w nią ze zdumie-

niem. Serce zabiło jej gwałtownie. A więc to jest jej ojciec?

Przyśpieszyła kroku i roztrzęsiona wpadła w matczyne objęcia.

— To jest twój ojciec, Erziko! — szepnęła jej matka.
— Twój ojciec...

Jerzy Zavodsky wszedł do powozu osłupiały ze zdumienia. Zdało mu się, iż ujrzał Elżbietę Batorównę sprzed osiemnastu lat. Przypomniawszy sobie jej wzmiankę o córce lub synu, której przed chwilą nie przypisywał głębszego znaczenia.

Oblicze miał spokojne, lecz w jego duszy szalała burza. Byłaby to jego córka?...

15. Z kroniki czachtickiego probostwa

Powrót Elżbiety Batorówny

Znowu wyjmuję z tajnej przegródki kronikę czachtickiego probostwa, w której ja, Jan Ponicensus, podług swej najlepszej świadomości i sumienia spisuję kryjomo w wieczornej albo nocnej porze wydarzenia kościoła i miasta dotyczące, aby pamięć o nich dla przyszłych czasów zachowana została.

Dnia 30 kwietnia Roku Pańskiego 1610 pod wieczór Elżbieta Batorówna niespodzianie powróciła do Czachtic, po jej powrocie zaś lotem błyskawicy rozeszła się wieść, iż lata dzień w ślad za nią przybędą żołnierze, niechaj miłosierny Bóg ulituje się nad moimi wiernymi.

Grafka powróciła z Preszporka z dwunastoma służebnymi, z pustymi wozami, albowiem mnóstwo wszelakich darów zostawiła w Preszporku dla jego wysokości palatyna oraz innych wysoko postawionych osobistości, aby zjednać sobie ich życzliwość, a także bez Erżiki Priborskiej, którą powierzyła opiece surowej i wykształconej matrony, aby ją mowy łacińskiej i madziarskiej przyuczała.

Mój drogi miody przyjaciel Paweł Lederer, cześć mu i chwała za jego nieustrasżoność w boju przeciw krzywdom i złoczyńcom, takie oto wieści dziś wieczór mi przyniósł:

Pierwszym pytaniem, jakie Elżbieta Batorówna po wystąpieniu z kocza zadała, było:

— Gdzie jest Wicher?

— W ogrodzie. Na miękkiej, wonnej trawie go złożyliśmy i białą płachtą przykryliśmy — rzekł Ficko ponoć wzruszony aż do łez — aby miłościwa pani raz jeszcze mogła go zobaczyć i pożegnać się z nim.

— Dobrze — odparła z aprobatą. — a co uczyniliście z Anną Darabulową?

— Leży w stajni, tam gdzie otruli Wichra. Jutro rano zostanie pochowana.

— Nie, jeno Wicher zostanie pochowany! — zawołała. — Tę starą weźcie natychmiast i zakopcie ją tak jak jest, bez płachty i trumny, jak ostatniego parszywego psa, w rowie na skraju ogrodu. A cieśla ze swoimi czeladnikami przez noc trumnę dla Wichra ma wyszykować.

I od razu poszła do ogrodu.

Ze smutną twarzą odkryła konia, padła na niego, jakby tam, z przeproszeniem, leżał jej zmarły małżonek albo ukochany, jęła płakać i lamentować. Ficko stał obok niej i dłonią ocierał łzy z oczu, chociaż jak później wyznał Ledere-rowi, dusił się ze śmiechu i z największym jeno trudem się opanowywał, by nie wybuchnąć głośnym rechotem.

— Miłościwa pani — ozwał się, gdy grafka wyplakawszy się, zbierała się do odejścia — jak już Dora wam doniosła, dopuściłem się ciężkiej zbrodni: Annę do nieprzytomności wzburzony jej ohydny czynem — własnymi rękami pozbawiłem żywota. Nie czuję ani krzty żalu, jeśli wszakże uznacie, że winienem ponieść karę, postawcie mnie przed trybunałem.

— Nie na karę, lecz na nagrodę sobie zasłużyłeś — rzuciła mu wdzięczne spojrzenie. — Uczyniłeś jeno to, co i ja bym uczyniła.

Po czym zwróciła się do Ilony:

— A ty mi powiedz — zapytała tą bezbożną niewiastę — ile dziewcząt najęły werbowniczki?

— Dotychczas jeno dwanaście, miłościwa pani. Ale nie wszystkie jeszcze wróciły z werbunku.

— Gdzie są te dziewczyny?

— Jak miłościwa pani rozkazała, w bezpiecznym miejscu, w lochach.

— Przywiedź je co prędzej, chcę je obejrzeć!

— Jeszcze nie jest całkiem ciemno, miłościwa pani — odradzała Ilona. — Gapie zaglądają z ulicy, rozniosłyby się plotki.

— Niechaj sobie gadają, co chcą! — rozsierdziła się pani — Jeśli wszakże chcesz, dla zmylenia gapiów możesz krzyżeć na dziewczęta, aby na kolanach dziękowały, że już im przebaczyłam i nie trzymam dłużej w lochu na popełnione kradzieże.

Potem kazała wyładować z wozów, strzeżonych przez hajduków, skrzynie z odzieżą, a Dorze Senteszowej podała szkatułkę z klejnotami:

— Chodź, zanieśes to do skarbczyka.

Chwilę później rozległ się przeraźliwy krzyk. Elżbieta Batorówna wybiegła na podwórzec odchodząc niemal od zmysłów, za nią zaś Dora, biała jak kreda.

— Ficko, gdzie jesteś? Ficko! Ograbili mnie, ograbili!

Ficko zjawił się natychmiast, jakby czekał na wezwanie.

— Kapitan pandurów złupił mój skarbczyk — krzyczała grafka — i jest tak zuchwały, iż nawet tego nie tai, w pozostawionym w szkatule liście bezwstydnie przyznaje się do tego.

— Miłościwa pani, ostrzegałem przed nim — Ficko twardo patrzył jej w oczy wy zaś, aby mu się przypodobać, kazaliście rozciągnąć mnie na deresz.

— Szukaj go, Ficko, znajdź go, szczerze cię wynagro-

dzę!

Nie spostrzegła, iż oczy jego zapłonęły nienawiścią.

— Jest tu oszukaniec i złodziej, jakiego świat nie widział — w Ficku aż zółć się wzburzyła — wszelako ja go odnajdę! Jakże mnie jednak wynagrodzicie, miłościwa pani?

— Co? Ośmielasz się pertraktować ze mną?

— Proszę o wybaczenie, miłościwa pani — wykrzywił się Ficko — lecz obawiam się, że kiedy rzucę wam do nóg tego szczywanego lisa, gotów was przeświadczyć, iż to nie on, jeno ja jestem rabusiem, i miał nagrody zafasuję karę.

— Ile chcesz? — spytała lodowato.

Milczał patrząc na nią wyzywająco.

— Dam ci dwieście złotych!

Zaśmiał się jeno.

— Łotrze! — krzyknęła rozsierdzona.

Zamachnęła się pięścią, lecz jedno spojrzenie na Ficka poskromiło jej gniew.

Teraz dopiero uprzytomniła sobie potworną szpetotę tego karła. W całej jego postaci, przymrużonych, kłujących oczach, posępnym obliczu i zaciśniętych pięściach czaiła się groźba. Ciarki przebiegły jej po plecach.

— Wstrzymajcie rękę, miłościwa pani — rzekł Ficko, a Dorę ofuknął: — a ty wynoś się, albowiem mam przekazać miłościwej pani ważną wiadomość, która obejdzie się bez świadków.

Dora odeszła kipiąc z gniewu. Przystanąła opodal, czekając końca rozmowy.

— Miarkujcie swój gniew, miłościwa pani, i głos — wykrzywił się Ficko — bo i ja również gromko rzeknę to, co mam wam rzec, i nie będzie wam miło!

— Odpokutujesz to, zuchwalcze! — krzyknęła.

— O nie, miłościwa pani! — zawołał Ficko — Dość mam już tego pokutowania i poniżania, z tym już skończ-

cie, albowiem zapędzicie mnie do obozu swoich wrogów!

— I ja mam tego dość, wściekły psie! — wrzasnęła pani.
— Dora, wezwij hajduków, niechaj spętają, i wtrąca do lochu tego łotra!

Ficko zarechotał rozgłośnie:

— Mógłbym uciec, miłościwa pani, zanim wasi leniwi i tchórzliwi hajducy przyczłapią tutaj!

Gniew, strach i zdumienie odebrały jej mowę. Wyczula, iż Ficko jest wrogiem.

— Mógłbym uciec, lecz nie ucieknę — ciągnął Ficko.
— Oto stoję tutaj, każcie wtrącić mnie do lochu, nawet zabić mnie możecie, miłościwa pani, wszelako przypieczętu-jecie wtenczas swój los! Wolność swą i żywot zabezpieczy-łem kosztem waszej wolności i żywota!

Nie pojmowała, jak Ficko mógł uzależnić jej żywot od swojego, lecz przejęta strachem uwierzyła mu.

Krzyknęła do prowadzonych przez Dorę hajduków:

— Nie jesteście mi potrzebni, wracajcie!

Potem zaś, przemagając się spytała łagodnie:

— Jakiej nagrody żądasz?

— Widzę miłościwa pani, że jednak może panować między nami zgoda, zadowolę się przeto tysiączkiem.

— Niechaj będzie!

— Nie wiem wszakże, czy dostanę go żywego.

— Dla mnie to bez znaczenia, żywego czy umarłego!

Wtem z piwnicy wybiegła z przeraźliwym krzykiem Ilona:

— Nie znalazłam w lochu ni żywego ducha, chociaż zamknęłam kraty na wszystkie spusty!

Pani i Ficko zdumieli się jeszcze bardziej, gdy Ilona, jęła lamentować:

— Kiedy zaś wracałam, z ciemnego korytarza wypadła na mnie jakaś wysoka postać, od stóp do głów w czerni, z

zamaskowanym obliczem. Po głosie rozpoznałam, że to mężczyzna. Powalił mnie na ziemię, bił i kopał, i zagroził: „Biada ci, jeśli raz jeszcze cię tu zdybie!”

Elżbieta Batorówna osłupiała. A Ficko z napięciem patrzył przed siebie, jakby chciał przeniknąć wzrokiem do podziemi i zerwać zasłonę nowej zagadki.

Zbliża się północ, godzina duchów. Rozesłane łóżko czeka już na mnie, a ja złożę w białej pościeli swoje znużone ciało, dręczony wyrzutami sumienia.

Późnym wieczorem pachołek mi doniósł, iż w zamku płacz i lament rozbrzmiewa. Bóg wie, co się tam dzieje akurat w chwili, gdy ja notuję dla potomności zaszłe wydarzenia, miast wstać i pójść, i choćby ofiarą własnego żywota udaremnić naruszanie i deptanie boskich i ludzkich praw, dokonywanie o pomstę do nieba wołających złoczyństw.

Cierpię tak, jak cierpiał mój poprzednik Andrzej Berthoni, cześć jego pamięci. Moje cierpienie wszakże nie jest takie beznadziejne, jak było jego, gdy bowiem ja zapadam w starczą drzemkę, zbójnicy trwają na straży, czuwa Jan Kalina i Andrzej Drozd, a także Paweł Lederer. Oni są młodzi i więcej mają odwagi i siły.

Niechaj ich wspomaga dobrotliwy Pan Bóg, którego nieustannie będę prosił, aby nie opuszczał zbójników, obrońców prawdy i mścicieli krzywd. U sprawiedliwej zwierzchności zasłużą sobie nie na karę, lecz na uznanie.

Pogrzeb konia i panna młoda w błocie

Notuję 1 maja Roku Pańskiego 1610.

W zamku była to straszna noc.

Paweł Lederer doniósł mi o tym. Oczy miał wpadnięte,

całą noc bowiem czuwał, zdjęty bezsilną rozpaczą. Aż do jego izdebki dobiegały krzyki nieszczęsnych dziewcząt przywiezionych z Preszporka. Zostało ich już tylko dziewięć. Lecz nie wolno im się pokazać na dworze, albowiem są całe w ranach. Trzy ich towarzyszkę Ilona z Katarzyną zakopały w rowie na skraju ogrodu, obok Anny. Zakatowano je na śmierć ubiegłej nocy...

Dzięki ci, Janie Kalina, że w ostatniej chwili przed powrotem grafki wywiodłeś dziewczęta z lochu.

Dzisiejszej nocy bezbożne staruchy znowu przyprowadziły dziesięć dziewcząt. O, jakże się raduję, iż najbliższej nocy zostaną ocalone!

Ze wzburzenia ręka mi się trzęsie i serce mi wali.

O, jakież to bluźnierstwo, jakaż obraza!

W południe do superintendenta Eliasza Lániego do Wielkiej Bytczy posła wyprawilem z listem, w którym poskarżyłem się, jakie straszne rzeczy dzieją się w Czachticach i jak sromotnie wiarę naszą zhańbiono, a jej obrzędy na pośmiewisko wystawiono. Wszelako list mój nie do Wielkiej Bytczy, lecz do zamku się dostał, albowiem Ficko na posła się zaczął, na śmierć go zatłukł i pismo moje zdobył. Grafka ponoć ze śmiechem je przeczytała, potem zaś rzekła:

— Powiedzcie temu starymu czarnoksiężnikowi, że nie tylko Anna umiała piec orzechowe specjały, posmakuje on jeszcze innych kołaczy.

I dorzuciła taką oto groźbę:

— Jeśli będzie przeciw mnie tak judził, zadam ja mu bobu! Pięciu żołnierzy przydzielę mu na kwatere, zaś na ślub Erziki, który ostatniego dnia maja się odbędzie, skądinąd księdza sprowadzę!

Cóż się zatem stało?

Rano w ogrodzie uroczysty pogrzeb się odbył. Wichra

włożono do ogromnej trumny, a wszystka służba oraz poddani na rozkaz grafki śpiewali nad wykopanym dołem nabożne pieśni. Ficko odprawiał modły jako ksiądz. Cały zastęp chłopów spuścił do dołu olbrzymią trumnę. Elżbieta Batorówna rozszlochała się, a gdy dół zasypano i wszyscy się rozeszli, długo tam jeszcze stała w żałobnych szatach, płacząc.

O, cóż za zwyrodniałstwo, jakaż hańba!

Po tym wydarzeniu wnet nastąpiło inne.

Ledwo grafka wróciła z ogrodu do zamku, kazała wyprowadzić wszystkie konie i zrobiła ich przegląd. Na konia, który najbardziej przypadł jej do gustu, wskoczyła tak jak był, bez siodła, i pomknęła jak wiatr. Do kościoła zmierzał akurat orszak ślubny.

— Smok jedzie, smok! — zawołał jeden z weselników, który pierwszy ją spostrzegł. Orszak rozpierchnął się pod ściany domów niczym spłoszone stado.

Elżbieta Batorówna miała wolną drogę, lecz ujrzawszy smukłą pannę młodą, białą jak lilia, ponoć aż zzieleniała z zawiści, podjechała do niej i zwała w bajoro przy drodze, co zostało po nocnym deszczu.

Oblubieniec krzyknął nieludzkim głosem i rzucił się ku niej z zaciśniętymi pięściami, lecz ona śmiejąc się szatańsko, pogalopowała dalej.

Boże, odpuść mi! Zdjął mnie grzeszny żal, iż nieszczęsny oblubieniec nie zdołał się pomścić, tak aby już nie mogła dopuścić się żadnej wszeteczności!

Wierni moi płoną gniewem.

I wszyscy truchleją, co jeszcze nas czeka.

Jana Kalinę, który odwiedził mnie dzisiaj i użalał się, iż zbójnikom kasztel nie przypadł do gustu, gdyż czują się tam jak w więzieniu i oni im się za górami, dolinami, potokami i leśnymi kryjówkami, poprosiłem, aby nie zwlekając udał się do kasztelana Mikołaja Loszonskiego. Najwyższy

już czas, by pojechał do palatyna, otworzył mu oczy i do działania nakłonił.

Kalina smuci się, że jego towarzyszym nie podoba się w kasztelu. Ja wszakże rad będę, gdy opuszczą tę dumną kryjówkę, albowiem jaskinię w górach uważam za bezpieczniejszą. W tym nie przyznaję mu racji. Ficko ma tysiąc oczu, wyśledzi ich. Dzisiaj nie uszło mej uwadze, jak powiódł wzrokiem za Kaliną przebranym za żebraka. Coś mi szepcze, że już go poznał i wywęszył także nową kryjówkę zbójników. Boją się, iż wie już, kto teraz zamieszkuje w kasztelu, i czeka jeno na wojsko. Nie chce się zbyt ponaglić. Uderzy na zbójników dopiero po przybyciu wojska, kiedy będzie miał pewność, że zwycięży.

Panie Boże, co będzie z nami, co będzie z Czachticami, z zagrożonymi i prześladowanymi, gdy padnie ostatnia ich osłona? Czy możemy pokładać jakąkolwiek nadzieję w wyprawie Mikołaja Loszonskiego? Czy nikczemni przeciwnicy nie zgładzą go, nim jeszcze dojedzie do Preszporka? a jeśli dojedzie, czy palatyn da się przekonać?

Tysięczne obawy i wątpliwości męczą moja duszę, a ja modlić się jeno mogę za wszystkich, którzy chronią dobro przed złem i cierpią.

Oślaniaj, Boże, zbójników, oślaniaj Mikołaja Loszonskiego! Wyciągnij twoje opiekuńcze ramiona nad nieszczęsnymi dziewczętami w zamku i nie dopuść, Boże, nie dopuść, by grzech zwyciężył, zaś niewinność i cnota byty deptane...

Ficko na zwiadach

Pisane 4 maja Roku Pańskiego 1610.

Moje obawy ziściły się. Ficko rozpoznał Jana Kalinę.

Gdy przed trzema dniami wieczorem opuścił mnie, nie przeczuwając, iż może ściągnąć niebezpieczeństwo na siebie i swoich druhów, poszedł prosto do kasztelu. Nie spostrzegł, że w oddaleniu skrada się za nim Ilona, nasłana przez Ficka.

Jak mi doniósł Paweł Lederer, Ficko jeszcze tej samej nocy wybrał się do kasztelu na zwiady.

Z rozpromienionym obliczem przechwalił się przed Pawłem Ledererem, jak podziemnym korytarzem dostał się do kasztelu. Zaczaił się za zwodzonymi drzwiami wiodącymi z podziemi. Posłyszał rozmowę Jana Kaliny z Andrzejem Drozdem.

— A wiesz, o czym mówili?

Paweł Lederer, jak mi się zwierzył, zbłądł zdjęty obawą, czy nie mówili o nim.

— Skądże mógłbym wiedzieć? — odparł dręczony niepewnością, czy Ficko nie dowiedział się, jaką rolę spełnia w zamku.

— O swoim, strachu mówili, he, he, he — zaśmiał się Ficko. — Boją się, kamracie! Czują trupi odór, jakby już własną padlinę obwąchiwali. Truchleją, co będzie, gdy nadejdzie wojsko.

— A jesteś pewien, że wszyscy zbójnicy są w kasztelu? Innych też widziałeś? — Paweł chciał obudzić w Ficku wątpliwości, a zarazem dowiedzieć się, co tam wywęszył. — Może jeno Drozd i Kalina zaszli tam na zwiady, tak samo jak ty?

— Skądże! Wszyscy tam są i trzęsą portkami — rechotał Ficko. — a wiesz, co odkryłem?

Paweł Lederer znowu zdrętwiał. Ulżyło mu, kiedy Ficko wyjawiał, że wśród zbójników jest także Imrich Kenderessy.

— Nie wiem — zazgrzytał zębami — który z nas miał szczęście, że go nie ujrzał. Gdybym go jeno posłyszał, rzuciłbym się na niego i jeden z nas tam na dziedzińcu

kasztelu wypułyby zęby.

— Co się odwlecze, to nie uciecze — pocieszył go Lederer. — Spodziewam się, że jeszcze dzisiaj ich zaskoczymy!

— Nie — zaprzeczył Ficko. — "Nie będziemy działać pochopnie. Musimy być ostrożni. Zaczekamy na żołnierzy! Wtenczas obstawimy strażą, wszystkie wyjścia z podziemia, ci nikczemnicy bowiem znają tam już wszystkie zakamarki jak własną kieszeń — przynajmniej Kalina i Drozd przechwalali się tym — i uderzymy na kasztel niespodzianie, w nocy. Nie ujdą. Poddadzą się przeważającej sile albo wybiorą walkę, lecz będzie to krótka walka. Mają jeszcze trzecią możliwość: ukryć się w podziemiach. To najbardziej by mi odpowiadało. Już by nie ujrzeli światła dziennego!

Paweł Lederer namawiał Ficka, by uderzyć na kasztel jak najrychlej, bo kto wie, czy zbójnicy nie drapną przed przybyciem wojska. Chciał bowiem wy badać, jaki sposób obrony czy ucieczki byłby dla zbójników najdogodniejszy.

— Póki nie przyjdzie wojsko — trwał przy swoim Ficko — nie jest wskazane się ruszać. Potem wybijemy ich do nogi!

A więc przyjaciołom grozi wielkie niebezpieczeństwo.

Po południu nie zaznałem spokoju. Ciągłe wyglądałem Jana Kaliny, aby go ostrzec. Lecz nie przyszedł. Zapewne poskoczył do Pieszczan, prosić kasztelana, aby wybrał się wreszcie do Preszporka. Paweł Lederer również był przeświadczony, że przyjdzie, przeto i on nie powiadomił jeszcze zbójników, co się szykuje, gdy ściągnie wojsko. Byłoby najlepiej, gdyby co rychlej wynieśli się w góry, albowiem nie zdołają pokonać wojska.

Panie Boże!

Kiedy piszę te słowa, na ulicy rozlega się łomot mnóstwa kopyt, jakby grzmiało i ziemia się trzęsła.

A więc wojsko już przybyło.

Otwarłem okno i ze zgrozą patrzyłem, jak nieprzejrzane szeregi żołnierzy znikają w bramie zamku.

Zguba Czachtic i zbójników już nadciągnęła.

Zmiłuj się nad nami, Boże!

Czachtice śpią spokojnie pod gwiazdzistym płaszczem nocy. Jest to, jak miemam, ich ostatnia spokojna noc. A zbójnicy nie przeczuwają, jakie niebezpieczeństwo im grozi. Zmagam się z pragnieniem, by zamknąć kronikę w tajnym schowku i pobiec do kasztelu, ostrzec zbójników niechaj uciekają natychmiast, tej jeszcze nocy. Iść czy nie iść?

Znowu ciąży nade mną klątwa mojego niezdecydowania!

Ledwie wojsko wwało się do zamku, ciągnie z powrotem. Na jego czele w świetle księżycy zoczyłem Ficka.

Idą na kasztel. Nieszczęśni moi przyjaciele są zgubieni! a ja będę to miał na sumieniu. Winienem był pobiec do kasztelu natychmiast, gdy spostrzegłem przybycie wojska. Wtenczas nie było jeszcze za późno.

Co czynić. Panie Boże, co czynić?

Już wiem. Ocalę zbójników!

Stało się!

Przypomniałem sobie, co kiedyś Kalina rzekł Ledererowi: „Jeśli będzie nam zagrażać jakieś niebezpieczeństwo, podpal stóg słomy albo siana, będzie to dla nas najlepszym ostrzeżeniem!” Uczyniłem to. Podpaliłem własny stóg słomy. Podkradłem się doń niczym podpalacz, a gdy zapłonął, uciekłem niczym złoczyńca. Jeszcze teraz trzęsie mi się ręka, a serce bije gwałtownie.

Na ulicy podnosi się wrzawa.

Ludzie zbiegają się przed plebanią.

Otwarłem okno. Chyba pół miasta stłoczyło się na ulicy. I widzę, że nie tylko mój stóg płonie, ale także stóg czachtickiej pani za zamkiem. Tedy i Paweł Lederer przypomniał

sobie słowa Kaliny.

Dwa olbrzymie płomieniste języki buchają w górę, dwa płomieniste ostrzeżenia rozjaśniają niebo. Zbójnicy niechybnie je spostrzegą i zdołają się uratować. Na wieży dzwonią na larum. Z ulicy dobiegają krzyki i hałas.

Nieszczęsne Czachtice

Dziesiątego maja Roku Pańskiego 1610 grubo po północy stawiam przed sobą kałamarz i biorę w rękę gęsie pióro, by odnotować w kronice wydarzenia ostatnich dni.

Piszę, jakbym dopuszczał się złoczynstwa, zdjęty strachem, czy przez szparę okiennicy lub przez dziurkę od klucza nie wpatrują się we mnie szpiegowskie oczy. Zda mi się, że śledzą każdy mój ruch, słyszą oddech i każde westchnienie. W zamku dowiadują się o każdym moim słowie, nawet o tym, co mówię jeno w przytomności żony i najzauważniejszych sług.

Przeto truchleję, kiedy dosięgnie mnie pomsta.

Z obawą podnoszę do ust pokarm, nękany podejrzeniem, że może jest zatruty, a idąc do kościoła lub ze słowami pociechy do wiernego na łożu śmierci, rozglądam się lękliwie, czy nie skrada się za mną skrytobójczy morderca.

Strach przejmuje mnie i teraz, chociaż jestem sam, okiennice są zamknięte, a wszystkie szpary w nich pieczołowicie zatkałe. Elżbieta Batorówna spełniła swoją groźbę. Narzuciła mi pięciu niemieckich żołdaków, którzy wtarabaniili się do sąsiedniej izby z szyderczą uwagą, iż będą mnie strzec jak oka w głowie. Akurat chrapią na wyprzódki, a tak rozgłośnie, aż mnie kłuje w uszach. Wolę wszakże słuchać ich chrapania, jak ich bezbożnej gadaniny i klątw. Szczęśliwi ci, co nie znają niemieckiej mowy. Lecz żołnie-

rze dokładają starań, aby ujawnić, co się w nich kryje. Trzystu ich zakwaterowali w domach, po jednym, po dwóch, po trzech, jeno mnie i rychtarzowi przydzielili po pięciu. Grafka trzyma w zamku dwudziestu, lecz my musimy ich żywić. Hajducy chodzą od domu do domu i ściągają strawne na nich — w pieniądzach, drobiu albo owocach. Biada temu, kto się czymś nie przyczyni.

Tam, gdzie się to diabelskie plemię zagnieździło, nie może być mowy o spokojnym żywocie.

Składam dziękczynienia Bogu, iż nie pobłogosławił mnie córka, i modłę się za wiernych, albowiem niewinność ich córek jest w najwyższej mierze zagrożona.

Dzisiaj. W biały dzień, za stodołami pięciu żołnierzy zastąpiło drogę dziewczynie wracającej z pola, plugawymi słowami namawiali ją do grzechu, a gdy rzuciła się do ucieczki, pobiegli za nią i powalili na słomę... Jeno odwaga uzbrojonych w kosy młodzieńców ocaliła ją przed pohańbieniem. Za to zamknięto ich na pięć dni w baszcie ku ogólnej przestrodze, iż woli kołnierzy nie można się sprzeciwić. W takich czasach żyjemy, iż dziewczęta w nocy zamykają się na wszystkie spusty, barykadują drzwi.

Nikt nie jest pewny ani żywota, ani mienia, niemieccy żołdacy zdolni są dopuścić się każdej wszeteczności, każdego złoczynstwa. Ograbili już kilku mieszczan ze wszystkich oszczędności. W obawie o własny żywot i kościelną szkatułę i ja sypiam z nabitym pistoletem pod poduszką oraz wyostrzonym nożem na zydlu przy pośłaniu.

Nieszczęsne Czachtice!

Czerni się przed nami przyszłość, czarniejsza niż mój atrament, czarniejsza niż noc, która spowiła ziemię.

Grozi nam nie tylko zguba moralna, lecz i materialna.

Z dnia na dzień maleją stada kur i gęsi, ubywa owiec i wieprzków, a także innej żywnicy, zaś w piwnicach beczek wina. Żołnierze są wymagający, jadło, które im nie

smakuje, wylewają świniom, obfite obiady i wieczerze jeno winem zapijają.

Ta plaga w krótkim czasie obje nas doszczętnie, wszystkich przywiedzie do nędzy.

Jedyną moją radością jest, iż zbójnicy się uratowali! Spostrzegli ostrzegawcze płomienie i w porę drapnęli. Kiedy Ficko z Pawłem u boku wpadł na czele wojska do kasztelu, nie zastał tam żywego ducha, jeno dogasające ognisko na dziedzińcu, opróżniona beczka i ogryzione kości zdradzały, iż dopiero co zbójnicy tam ucztowali.

Jeszcze tej nocy, po powrocie z wypadu na kasztel, odwiedził mnie Paweł Lederer.

Był blady, a głos mu drżał.

— Wszystko świadczy — rzekł — iż Ficko podejrzewa, że jestem zdrajcą!

Gdy bowiem Ficko przekonał się, że zbójnicy naprawdę uciekli z kasztelu, wpadł we wściełość.

— W zamku jest zamaskowany zdrajca! — ryknął.

Przyskoczył do Lederera i złapał go ta ramię, ściskając jak żelaznymi kleszczami.

— Spójrz, oto najnowsze dzieło zdrajcy! — wskazał płonące stogi, które oświetlały niebo i część miasta. — To nie jest przypadek ani wyczyn mściwego podpalacza, lecz umówiony znak, zdrajca ostrzegł w ten sposób zbójników przed grożącym niebezpieczeństwem.

— Czyżbyś mnie uważał za zdrajcę, że tak diabelnie ściszasz mi rękę? — Paweł Lederer za tymi słowami i za wymuszonym uśmiechem skrywał strach przed podejrzeniami Ficka.

Były to nader niefortunne słowa. Ficko w owej chwili skłonny był podejrzewać każdego. Paweł mimowolnie ściągnął na siebie jego uwagę.

— Ciebie? — wybałuszył oczy i jeszcze silniej ścisnął

jego rękę. Paweł czuł, że Ficko teraz doprawdy widzi w nim zdrajcę — Ciebie też mógłbym podejrzewać — ciągnął już z wahaniem — gdybym nie uważał cię za swojego najlepszego przyjaciela...

— Może jednak nie przybyliśmy za późno. — Paweł Lederer odetchnął z ulgą, a żeby uśmierzyć gniew Ficka mówił coś, w co sam nie wierzył — Może zbójnicy jeszcze gdzieś są, w wieży albo w podziemiach. Jeśli nawet nie mylisz się, że płonące stogi były ostrzeżeniem, to przecież lecieliśmy tu jak wiatr, nie zdążyli chyba uciec!

— Ten, komu zagraża zguba, leci szybciej od wiatru — machnął Ficko ręką.

Po powrocie z kasztelu, zegnał na dziedziniec hajduków i całą służbę oprócz dziewcząt, pilnie strzeżonych już nie w lochach, ale w zamku, i rozwrzeszczał się:

— Kto podpalił stóg?

W grobowej ciszy, która zapadła, Pawłowi serce waliło ze strachu, czy ktoś go nie widział.

Podpalił stóg, jak tylko wojsko weszło do Czachtic, albowiem był przeświadczony, że Ficko natychmiast ruszy na kasztel.

— Jeśli do jutra wieczór nie ujawnicie podpalacza, wszyscy legniecie na deresz! — wrzeszczał Ficko. Elżbieta Batorówna z zadowoleniem przypatrywała się, jak sobie poczyną. Choć bowiem nie pozbyła się strachu, który po raz pierwszy ogarnął ją w dniu powrotu, oraz podejrzenia, że ma w nim zagorzałego, płonącego nienawiścią wroga, widziała, że Ficko jest niezastąpiony, trzeba tylko dawać na niego baczenie, wielkie baczenie!

— Ficko — rzekł Lederer, gdy zapadł zmierzch — ty szukasz zdrajcy w zamku, a ja go poszukam na plebanii!

— Znamienicie! — Ficko z uznaniem uściśnął mu rękę. — Może istotnie zdrajca nie znajduje się w zamku, lecz na plebanii.

A kiedy Paweł odchodził, dogonił go:

— Nie gniewaj się, kamracie, wiem, że wyczuliście moje podejrzenie. Zwątpiłbym nawet w rodzonego ojca, gdybym go miał. Lecz już niebawem będziecie mieli sposobność zadokumentować swoją przyjaźń. Za Imricha Kenderessyego, żywego czy umarłego, dostanę tysiączek. Domyślasz się zapewne, iż zależy mi na tym, aby w ręce czachtickiej pani nie dostał się żywy. A umrze z twojej ręki. Za ten dowód twojej przyjaźni podzielę się z tobą nagrodą po połowie. Ficko urnie być wdzięczny, he, he, he!

Tak oto Paweł Lederer zjawił się u mnie w nocy jako szpieg. Niestety, jego częste odwiedziny teraz ustaną, albowiem musi mieć się na baczności, Ani Jan Kalina nie będzie mógł mnie odwiedzać. Dziś koło południa przyszedł na plebanie żebrak za jałmużną. Ledwo przestąpił bramę, wpadli hajducy i powlekli go do zamku. Chociaż serce przepelnia mi gorycz, śmiech mnie bierze, kiedy sobie pomyślę, jak Ficko się rozsierdził. Mniemał, że dostał w swoje szpony Jana Kalinę, a tymczasem był to prawdziwy żebrak. Tak biedaka stłukł, że wyrzucili go na ulicę półżywego. Leży u mnie w stajni. Dopiero pod wieczór przyszedł trochę do siebie, nieszczęśnik.

Wyteżam mózg, szukam wyjścia, pomocy w tym strasznym położeniu. Napiszę list do superintendenta Eliasza Laniego i przez tajnego posła wyprawię do Wielkiej Bytczy. Poskarżę się, w jakiej grozie żyjemy, i poproszę go, aby wstawił się za nami u palatyna. A jutro sam wybiorę się do Pieszczan, aby pomówić z kasztelanem Mikołajem Loszonskim. W jego widzeniu się z palatynem pokładam największą nadzieję. Jeśli nic innego, przynajmniej odwołanie wojska wyprosi, usunięcie plagi, która najbardziej nas gnębi.

Panie Boże, w jakich to czasach żyjemy. Ja, starzec, siwowłosa Słowa Bożego głosiciel, wybieram się w podróż uzbrojony jak na wojnę, gotów mordować w samoobronie.

A pachołek mój siekierę będzie miał na podorędziu i nóż za cholewą buta...

Dwóch zaginionych

Pisane 5 czerwca 1610.

Dzień za dniem sływa do morza wieczności, tydzień za tygodniem mija, jeno nasze cierpienia nie mijają. Jak długo to jeszcze potrwa, jak długo wydzierzymy?

Za pięć dni miesiąc będzie, jak z nadzieją w sercu wybrałem się do Pieszczan. Nie uszło mojej uwagi, że w dali za moim koczem jedzie jakiś wóz. Pachołek bystrym okiem rozpoznał, iż jest to wóz z zamku, a siedzi w nim Dora i dwóch hajduków. Byłem przeświadczony, że przemogę niezdecydowanie kasztelana i że nie zwlekając wyprawi się do Preszporka, aby zmiękczyć serce palatyna i wyzwolić nas od wojska. Odszukałem dom, w którym się zatrzymał. Stara kobiecina, właścicielka owego domu, powitała mnie życzliwie.

— Szukacie tego waszmościa — plasnęła w ręce — co u mnie mieszkał i w gorącym bagnie się kąpał, aby młodość i siły mu wróciły?

— Tak jest, tego, kasztelana Mikołaja Loszonskiego — odrzekłem tknięty złymi przecuciem, twarz kobieciny bowiem nagle posmutniała.

— Przybyliście za późno wielebny ojczy — rzekła głuchym głosem, lecz była skąpa w słowa, obszerniejszych wyjaśnień nie udzieliła.

— Dokąd się udał? Wyjechał? Czy coś mu się przytrafiło? — przypuściłem atak.

Moje pytania wielce ją skonfundowały. Niespokojnie mięła rożek fartucha, a w jej oczach odzwierciedlał się

strach.

— Opuśćcie, wielebny ojcze, lecz muszę milczeć.

— Jakże to, chcesz milczeć, kiedy na cały świat powinnaś krzyżeć, że w domu twoim popełniono złoczynstwo?

— wybuchnęłam.

— Muszę milczeć! — załamała z rozpaczą ręce.

— Milcz tedy, póki zwierzchność nie rozwiąże ci języka. Ciebie pociągnę do odpowiedzialności za zniknięcie człowieka, który mieszkał pod twoim dachem!

Przejęty niewysłowionym gniewem zwróciłem się do wyjścia, lecz kobieta wybiegła za mną:

— Wszystko wam powiem, wielebny ojcze, jeno mnie nie zdradźcie!

Tak oto dowiedziałem się, co spotkało mego przyjaciela. Odwiedził go Jan Kalina i nakłonił do wyjazdu do Presz-porka. Kasztelan tym łacniej dał się nakłonić, że gorące bagno pieszczkańskie zadziwiająco podziałało na jego zesztwyńnię od reumatyzmu członki. Nogi i ręce stały się lekkie, krok sprężysty, zbrudzone wiekiem i cierpieniami oblicze wygładziło się, a policzki stały się tak rumiane i świeże, iż zadawały kłam śnieżnobiałym włosom. Lecz rozmowę z Kaliną podsłuchał sługa, którego kasztelan najął, gdy przybył na leczenie. Wnet po odejściu Kaliny sługa zniknął.

— Owego wieczoru — opowiadała niewiasta — kasztelan poczynił wszystkie przygotowania do wyjazdu. Miał wyruszyć następnego dnia rano. Ale nad ranem zjawił się sługa z Fickiem i Dorą.

„Milcz, babo” — wrzasnął na mnie Ficko — jeśli ci żywot miły!”

I ja milczałam, albowiem ze strachu nie byłam zdolna poruszyć językiem, weszli do izby. Zrzucili na śpiącego kasztelana płachtę i omotali go liną. Biedak daremnie rzu-

cał się i krzyczał. Spętali go niemiłosiernie, zatkali mu usta i zanieśli na wóz.

„A ty, babo” — wrócił się jeszcze Ficko — „żebyś ani słówka nikomu nie pisnęła, co widziałaś, bo rozwalę ci gębę!”

— Biedaczysko — wybuchnęła niewiasta płaczem — był to taki dobry, miły człek. Bóg wie, co się z nim stało!

Wtem, całkiem niespodzianie, wpadła do izby Dora. Rzuciła się na kobietę jak furia i jęła szarpać ją za włosy.

— Nauczę cię trzymać język za zębami!

Skoczyłem nieszczęsnej kobiecie na pomoc. Odciągnąłem od niej rozjuszoną Dorę.

— Sama się zdradziłaś, że maczałaś palec w zniknięciu kasztelana! — zakrzyknąłem. — Teraz wiem, kogo należy pociągnąć do odpowiedzialności!

— Nie mnie — odparła kpiąco — ja za nic nie odpowiadam. Niech jeno ktoś poważy się świadczyć przeciw mnie! — obrzuciła wylęknioną niewiastę wściekłym spojrzeniem. — a choćby i świadczył przeciw mnie, czy mogę nie spełnić rozkazu pani?

Dora zabrała się, a ja również. Gdy opuściłem dom, nie było po niej śladu.

— Dokąd jedziemy, wielebny ojczy? — spytał pacholek, kiedy głęboko zamyślony siedziałem już dłuższą chwilę w koczku.

— Do Preszporka! — zdecydowałem się raptem.

Gnało mnie nieprzeparcie do Preszporka — wyjednam sobie posłuchanie u palatyna i wyjawię złoczynstwa Elżbiety Batorówny.

Gdybym mógł, leciałbym na skrzydłach, przeświadczony, że przyniosę zbawienie Czachticom. Gdy skręcaliśmy za róg, ujrzałem Dorę. Uśmiechała się szyderczo. Zdjęła mnie obawa, czy i nadal nie będzie mnie szpiegować.

Moje wzburzenie opadło dopiero, gdy wyjechaliśmy z Pieszczan. Jąłem rozważać na chłodno, szukać najwłaściwszego sposobu, jak dostać się przed oblicze palatyna i przedłożyć mu skargę cierpiącego miasta. Pomyślałem także o pogoni. Lecz daremnie się rozglądałem, daremnie pachołek wyteżał swój bystry wzrok. Nikogo nie zoczyliśmy.

Zapadał zmierzch, w ciemność gęstniała. Buczany dawno minęliśmy, a pachołek oznajmił mi, iż widzi już wieże trnawskich kościołów.

Wtem posłyszeliśmy rozgłośny tętent. Serce zamarło mu z lęku, zaś pachołek wykrzyknął przerażony:

— To pogoń!

Tętent kopyt rozbrzmiewał coraz bardziej złowieszczo, a pachołek wściekle zacinał konie. Byliśmy już niedaleko trnawskich rogatek, jeszcze chwila, a nikt nie ośmielił się nas napaść, gdyby zaś się ośmielił, przyjdą nam z pomocą.

Wszelako prześladowcy pędzili za nami jak szatany.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Chociaż byliśmy przygotowani do obrony, Ficko rzucił się na pachołka z takim impetem, że zwałił go z kozła i stoczył się z nim do rowu. Na mnie napadł hajduk, za nim drugi i trzeci. Skrępowali mnie i pachołka powrozami, a kiedy wołaliśmy o pomoc, zakneblowali nam usta. Nasze krzyki pozostały bez odzewu. W rogatekach spali twardo.

— Wsadźcie ich do koczka — polecił Ficko hajdukowi — Wprawdzie proboszcza najlepiej by było ubić na miejscu, lecz nie zasmucimy czachticzan, nie chcemy, aby owieczki płakały po swoim pasterzu!

Ten diabeł rzekomo nie chce zasmucić moich wiernych. Tchórz! Jego tchórzostwo i strach przed gniewem wiernych ocaliły mnie. Od tej chwili byłem przeświadczony, że w zamku nie dozwolą mi długo żyć. Nie chcieli mordować mnie na gościńcu, albowiem daremnie zwałaliby winę na

zbójników albo jakiegoś niewinnego człeka. Świat domyśliłby się, komu zależało na zgładzeniu mnie.

Gdy mineliśmy Pieszczany, Ficko, jadący z dwoma hajdukami na przedzie, hajdukowi, który zastąpił na koźle mego pacholka, kazał stanąć i rozwiązać nas.

— To ci jeno powiadam, proboszczu — wrzasnął na mnie — abyś za to, że oszczędzam ci tak sromotnego powrotu do domu, nie odwdzięczył mi się napaścią albo próbowaniem uciezki. Wtenczas zaiste rozważyłbym, czy nie byłoby najlepiej posłać cię na tamten świat, a pacholki wraz z tobą.

Krew we mnie wrzała, lecz milczałem.

— A na przyszłość zakonotuj sobie — ciągnął Ficko — że czachticka pani nie ścierpi, abyś urządził przejażdżki i opuszczał swoje niewierne owieczki. Damy baczenie, abyś był sumiennym pasterzem powierzonych sobie owieczek, abyś nie brykał samopas po świecie!

I rozkazał pacholkowi jechać co koń wyskoczy. Nie zdołałem powstrzymać uśmiechu. Wyczułem, że boi się zbójników.

Do Czachtic przybyliśmy po północy, miasto dawno już spało.

— Dobranoc, księżu proboszczu — rzekł szyderczo Ficko, aby zaś usprawiedliwić swoją obecność przed zdumionymi domownikami, którzy już bali się o mnie, dodał: — i nawet nie musicie mi dziękować za to, że w drodze przyłączyłem się do was, abyście w razie czego mieli pomoc przeciw zbójnickiej hałastrze!

Reszta nocy przeszła mi na piekielnych mękach. Byłem śmiertelnie zdruzony, w duszy mej szalała burza. Co się stało z Mikołajem Loszonskim, co się dzieje w zamku, jaki los czeka nieszczęsne Czachtice, jaki los czeka mnie? Zdjęty rozpaczą krążyłem z kąta w kąt, aż żołnierze w sąsiedniej izbie się przebudzili. W owej chwili znalazłem praw-

dziwie desperackie wyjście — bunt. Gdybym wtenczas wstąpił na kazalnicę, płomiennymi słowy zasiewałbym w duszach wiernych iskry buntu.

— Ludzie, pomóżmy sobie sami, skoro nawet Pan Bóg nam nie pomaga!

Przebacz mi, Boże, moją słabość. Boję się, iż nie oprę się pokusie, iż pewnego dnia nie zapanuję nad językiem i miast miłości, pokory i posłuszeństwa zacznę głosić nienawiść i pomstę!

Chociaż mam swobodę ruchów, jestem największym niewolnikiem. Każdy mój krok śledzą, każdy mój list zostaje przechwycony, podsłuchują moje rozmowy.

Z ostatnich wydarzeń odnotowuję dwie wizyty na plebanii. Przedwczoraj odwiedził mnie graf Nyáry, który w maju miał poślubić córkę Beniamina Priborskiego. Ślub odłożono na wrzesień. Graf wyjednał sobie tę zwłokę, ponoć aby mógł uporządkować swoje sprawy majątkowe.

Przyszedł z wielkim rumorem i zda mi się, iż bardzo dobrze wyznaje się w naszych stosunkach, ledwo bowiem wkroczył do izby zajmowanej przez żołnierzy, u których siedział również hajduk, jak zawsze, aby miał kto podsłuchiwać moje rozmowy, rozkrzyczał się:

— Precz mi z drogi, darmożjady i nie pokazujcie się tu, póki będę pod dachem tego domu!

Na dokładkę zaklął po niemiecku, a kiedy wszedł do mojej izby, jał się usprawiedliwiać:

— Nie miejcie mi za złe, księżu proboszczu, że tak bezlitośnie przegnałem waszych gości.,.

— O, gdybyście przegnali ich na zawsze! — przerwałem jego usprawiedliwienia.

— Pragnąłbym uwolnić was od nich, księżu proboszczu, oswobodzić Czachtice od nikczemnego złoczyńcy. Wygnałem żołnierzy i hajduka, gdyż chcę bez przeszkód pomówić

z wami w tej materii.

Spojrzałem im grafa Nyáryego z najwyższym zdumieniem i z przestraszaniem.

Nie mieściło mi się w głowie, iż taki wielmoża, słynny dyplomata, narzeczony protegowanej Elżbiety Batorówny, tak otwarcie mówi i przejawia wrogość wobec czachtickiej pani. Nie wiedziałem, co rzec, albowiem ostatnie dni nauczyły mnie mieć się przed każdym na baczności. A nadto widziałem po jego bladej, okraszanej chytrym uśmiechem twarzy, że w zanadru ma jeszcze coś. Ogarnęło mnie podejrzenie, czy to nie grafka go posłała, aby zajął mi w karty.

Tedy przezornie milczałem, jeno niemym gestem wskazałem mu zydeł.

— Będę szczerzy, księżę proboszczu, i powiem wam wszystko bez owijania w bawełnę. Przyszedłem do was, aby powierzyć wam zebranie wszystkich dokumentów potrzebnych do zawarcia małżeństwa. Ślub odbędzie się we wrześniu, dwudziestego piątego...

— Jak mi wiadomo, na życzenie Elżbiety Batorówny ślubu udzieli kto inny, nie ja zwróciłem mu uwagę.

— Widzę, księżę proboszczu, iż macie dobre informacje z zaniku uśmiechnął się do mnie. — Wszelako sytuacja się zmieniła. Będę obstawał przy tym, abyście wy celebrowali obrzęd ślubny.

Oblicze opromieniał mu najlaskawszy uśmiech, który mnie dał się fałszywy i skłaniał do tym większej ostrożności.

— Ha — ciągnął — powiem wam szczerze, iż jest to jeno ozór, dla wprowadzenia w błąd czachtickiej pani. O te dokumenty wcale nie musicie zabiegać, z powodzeniem możecie nich zapomnieć.

— To ślub ani we wrześniu się nie odbędzie? — spytałem zdumiony.

— Nie w tym rzecz — machnął ręką — odbędzie się czy nie, to nie ma znaczenia. Najważniejsze, księżu proboszczu, byście nie zapominali o innych swoich powinnościach.

Powiedział to karcącym tonem, jakby mi wyrzucał nie-dbalstwo w pełnieniu mego powołania.

— Nie zapominajcie — spojrzał na mnie surowo — iż waszą powinnością jest czuwać nad duchowym i cielesnym dobrem wiernych, powierzonych waszej pieczy. Z równym zapałem winniście zwalczać niebezpieczeństwo zagrażające ich duszom, jak i to, które zagraża ich życiu i mieniu.

— Jestem poświadczony — budził się we mnie gniew — iż pchnę swoją powinność zgodnie ze swymi umiejętnościami i sumieniem.

— O tym nie wątpię — graf Nyáry złagodził surowy wyraz oblicza — jeno muszę uczynić wam wymówkę, iż nie bronicie swoich wiernych jeszcze lepiej, energiczniej, z odwagą i ofiarnością, jakiej obecne ekstraordynaryjne okoliczności wymagają. Przyznajcie, iż mimo najlepszej swojej woli nic dla nich dotychczas, a w każdym razie nic istotnego nie uczyniliście. Powiedzcie, jakie niebezpieczeństwo dotąd odwróciliście od Czachtic?

To bezpośrednie pytanie nadzwyczaj mnie skonfundowało. Sam je sobie już zadawałem, i to coraz częściej, odpowiedź na nie była zawsze jednakowa. Nic, nic... podejmowałem rozliczne próby, snułem rozliczne plany, lecz wszystko zostało udaremnione, a na Czachtice spada klęska za klęska.

— Co uprawnia was do tego pytania, dostojny panie? — spytałem nader zdziwiony, że graf tak się troszczy o Czachtice i waży moje czyny.

— Nic — odparł — jeno serce, które współczuje cierpiącym i prześladowanym.

— Skoro tak — odważyłem się rzec to, co myślałem mniemam, że jeśli szczerze chcecie pomóc cierpiącym

i prześladowanym, moglibyście uczynić więcej niżli ja. Ja mogę jeno wywalczyć naprawę od dołu, pomału i z wielkimi trudnościami, podczas gdy wy, dzięki swoim rzadkim umiejętnościom i wpływowym koneksjom, moglibyście osiągnąć ją z góry, niezwłocznie!

— Pochlebia mi wasza ufność, księże proboszczu, lecz niestety, wszystkie moje umiejętności i koneksje są niewystarczające, by osiągnąć tę naprawę niezwłocznie. Gdybym na łeb na szyję gnał do celu, mógłbym skrócić kark, a Elżbieta Batorówna nadal dopuszczałaby się nieprawości! Zapewniam was, że gdybym był w mocy sam ją unieszkodliwić, nie szukałbym sprzymierzeńców ani nie odwiedziłbym was.

— Istotnie chcecie walczyć z Elżbietą Batorówna i spodziewacie się znaleźć we mnie sprzymierzeńca?

— Tak, i to sprzymierzeńca nader pożądanego, równie jak Mikołaj Loszonsky, który nadzwyczaj mi zaimponował swoją odwagą i przemyślnością, iż podejmując walkę postanowił najprzód skrzepić osłabione reumatyzmem i podeśłym wiekiem ciało.

— Skąd wiecie o nim i o jego zamierzeniach?

— Wiem więcej, niż przypuszczacie, księże proboszczu, a mam możność dowiedzieć się i tego, czego wy nigdy byście się nie dowiedzieli. Zapewniam was, że już niebawem posłyszycie o swoim przyjacielu, kasztelanie Mikołaju Loszonskim.

— Żyje? — uradowałem się.

— Tak, żyje.

— A gdzie go więżą?

— Nie wiem, lecz spodziewani się, iż dziś jeszcze będę wiedział.

Prosiłem Boga, aby mnie oświecił, natchnął, czy mam zaufać grafowi Nyáryemu. Ważyłem każde jego słowo, każdy gest, lecz nie wybadałem, czy mówi szczerze, czy

też jest naganiaczem Elżbiety Batorówny i podjął się wpuścić mnie w pułapkę.

— Księżę proboszczu, pojmuję waszą nieufność, przeto nie mam jej za złe. Możemy walczyć o wspólny cel tak, iż nawet nie będziemy wiedzieć o sobie. Byłoby wszakże lepiej, gdyby nasze przedsięwzięcia uzupełniały się nawzajem. Powiem wam w kilku słowach, czego od was jako od swojego sprzymierzeńca oczekuję. Nie uczcie swych wiernych cierpieć, uczcie ich buntu. Niechaj czachticzanie nie kłonią głów z pokorą i oddaniem przed okrutnym losem, lecz niechaj zaciskają pięści i niechaj będą gotowi pomóc sobie sami, o własnych siłach, jeśli nikt inny nie przyjdzie im z pomocą

— Jak to sobie wyobrażacie, dostojny panie?

— Tak, że przy każdej sposobności będziecie ich naprowadzać na myśl o buncie. A takich sposobności będziecie mieli co niemiara. Jesteście znamienitym kaznodzieją. Wlewajcie swoimi kazaniami ducha w czachticzan, aby nie popadali w desperację, chodzili z podniesionymi głowami i szykowali powrozy.

— Na co powrozy? — nie pojmowałem, na co miały się zdać moje podżegając? do buntu kazania, na co ten bunt i jak czachticzanie sami mogliby sobie pomóc.

— Powrozy — mówił graf Nyáry z uśmiechem — którymi kiedyś, gdy przebierze się miara ich cierpień, w nocy zwiążą żołnierzy i uzbrojeni w ich bron wtargną do zamku, by wziąć odwet!

W głowie mi się zakręciło. Że też w swoich rozważaniach nie wpadłem na takie wyjście! Ulżyło mi na sercu, spadło zeń ciężkie brzemie.

— Mniemam, iż powiedziałem dość. — Graf Nyáry wstał. — Teraz oczekuję od was, księżę proboszczu, iż będziecie przygotowywać w Czachticach bunt. Ja też uczynię swoje.

Uściskał mi rękę i skierował się do wyjścia. W drzwiach jeszcze się zatrzymał:

— Mamy także innych sprzymierzeńców, z którymi rad bym wszedł w styczność, księżu proboszczu. Nie wiecie, gdzie mógłbym znaleźć Jana Kalinę i Andrzeja Drozda?

Zbladłem. Wylazło szydło z worka. To było celem odwiedzin grafa Nyáryego. W zamku są w desperacji, iż me mogą wytropić obecnej kryjówki zbójników. Drżą ze strachu, skąd i kiedy zaskoczą ich niespodzianym atakiem.

— Wahacie się, księżu proboszczu? — przeszywał mnie wzrokiem.

— Dostojny panie, mógłbym wam wyjawić jeno to, co wiem — zdobyłem się z trudem na odpowiedź.

— Tedy nawet wy nie wiecie, gdzie zbójnicy się ukrywają? Ha, trudno. Znajdę ich, albowiem i oni mają ważną misję do spełnienia

Odszedł, a ja zostałem sam w pomieszaniu i rozpaczliwej niepewności, co myśleć o tym człowieku i jak się wobec niego zachowywać. Niebawem wszakże uspokoiłem się. Kart przed nim nie odkryłem i w przyszłości też nie muszę tego czynić. Na koniec byłem grafowi wdzięczny, albowiem czułem w sobie przyływ nowych sił i odwagi oraz ujrzałem najlepsze wyjście. On mu je wskazał. Jeśli nam nie pomogą, będziemy gotowi do tego, by pomóc sobie sami. Będę szerzyć między ludźmi myśl o buncie, iskrę po iskrze będę rozpalać w udręczonych duszach, aby kiedyś, gdy przyjdzie czas, na dany znak, z iskieł rozgorzał pożar!...

Ledwo odszedł graf Nyáry, odwiedził mnie Benjamin Priborsky, strapiony wielce. Nie z przyczyny córki Erziki, lecz z przyczyny syna Michała. Zamażpójściem Erziki był uszczęśliwiony. Nie musi dawać córce wiana, zaś jego nazwisko stanie się znane w całej krainie, wzrośnie jego znaczenie. Teraz wszakże nie cieszyło go to wszystko.

— Syn mi zaginał! — uzalili się. — Przepadł bez śladu. Serce krwawi mi z bólu, zaś matka słabuje, niknie w oczach, aż mam o nią poważne obawy.

— Uciekł?

— Wszystko na to wskazuje — odparł. — Zostawił list pożegnalny. Że idzie szukać szczęścia, abyśmy nie wspominali go źle i nie trapili się o niego.

— a nie wiecie, dlaczego obrzydł mu żywot w domu?

— Jeno snujemy domysły i przypuszczenia. Wielce się zmienił od chwili, gdy Erzika opuściła dom. Stał się jeszcze bardziej skłonny do zadumy, szukał samotności i odwiedzał rozmaite stowarzyszenia religijne. To zatruło mu duszę. Ciągłe jeno by dysputował o najrozmaitszych wyznaniach, rozważał, która wiara jest prawdziwa, a gdy go raz ofuknąłem, by zajął się czym innym, jeśli nie chce zostać księdzem, odrzekł z goryczą:

„Tak mniemam, iż jeno na księdza bym się nadawał.”

„A czym byś chciał być?” — spytałem go.

„Żołnierzem” — rzekł — „Ale nie mam ani jednej właściwości niezbędnej żołnierzowi. Najchętniej poszedłbym na wojnę i zginał bohaterską śmiercią!”

— Zniknął całkiem niespodzianie. Tydzień temu raniem zastaliśmy jego posłanie puste.

Wzruszył mnie ojcowski ból. Przyobiecałem mu ogłosić w kościele, że jeśli ktoś posłyszy o zaginionym młodzieńcu, by oznajmił to w Wierzbowie.

Jest już późna noc.

Odkładam pióro. Senność mnie morzy i ogarnia pragnienie odpoczynku.

16. Do zaślubin wszystko gotowe

Ostatnie dni wolności

Erzice Priborskiej w Preszporku dni szybko mijały. Matka powierzyła ją pieczy owdowiałej grafki, swojej dawnej przyjaciółki, a najęci preceptorzy uczyli ją języków, wytwornych manier, wszystkiego, co dama z wyższej społeczności winna ovladać, by olśnić każdego sposobem bycia i urodą. By uciec przed samą sobą, uczyła się pilnie. W Preszporku czuła się więźniem. Tęskniła za Wierzbowem, za polami, górami i lasami, i drżała przed spotkaniem z grafem Nyárym, który zasypywał ją listami utrzymanymi w coraz bardziej intymnym tonie, odwiedzał ją, z podziwem obserwował jej postępy w opanowaniu języków i zawsze się rozrzewniał. Zapewniał Erzikę oraz grafkę, która podczas tych odwiedzin nie odstępowała ich ani na chwile, jak się cieszy, że zbliża się dzień ślubu, najszczęśliwszy dzień jego żywota.

Jakże radośnie zabiło serce Erziki, gdy minął maj, a o zaślubinach nie było ani słyhu, i kiedy graf z zasmuconą twarzą oznajmił, że ze względu na zaistniałe przeszkody muszą je odłożyć! Minął czerwiec, a nawet sierpień. Lecz sierpień był już miesiącem udreki, albowiem z listu matki dowiedziała się — a graf Nyáry to potwierdził — iż ślub wyznaczono na dwudziestego piątego września.

Im bardziej zbliżał się dzień zaślubin, tym Erzika była smutniejsza. Grafka z niepokojem przypatrywała się swojej podopiecznej, która przywodziła na myśl więdnącą różę. Smutek na trwałe zagościł w jej oczach, twarz nie rozjaśniała się uśmiechem. Często zastawała ją, jak siedząc na balkonie wpatrywała się w płynące po niebie obłoki, a oczy napełniały jej się łzami

Na początku września przyjechała matka.

Nakupiła mnóstwo rozmaitych materii, a dziesięć szwaczek bez chwili wytchnienia szyło wyprawę dla Erziki. Zabiegała o rzadkie korzenie i owoce na ucztę weselną, jakby nie widząc, że córka z dnia na dzień jest smutniejsza. Erzika miała uczucie, że dożywa swoich dni.

I coraz częściej wspominała Andrzeja Drozda. We śnie widywała jego potężną postać, dobroduszne oblicze i silne ręce, jak ją wydzierają z objęć grafa Nyáryego. Nieraz, przebudziwszy się z takiego snu, chciała uciekać do niego, Lecz serce zwierzał ból. Kto wie, czyby ją przyjął, czy ją miłuje?

— Erziko — upominała ją niekiedy matka, gdy mimo zaaferowania spostrzegła jej przygnębienie — głowa do góry, zaufaj mi! Zobaczysz, uczynię cię szczęśliwą.

— Najszczęśliwsza byłabym bez grafa Nyáryego. Nienawidzę go i z dnia na dzień jest mi wstrętniejszy — nie kryła swych uczuć.

— Możesz go nienawidzić jeszcze bardziej i może być ci jeszcze wstrętniejszy — matka pogładziła ją po twarzy.

— Nie pójdę za niego! — zawołała Erzika. Ale nie był to okrzyk buntu, jeno błagalna prośba.

— Pójdiesz. Erziko, musisz!

Rozpląkała się tak, że matka nie mogła jej uciszyć.

Wieczorem przed odjazdem do Czachtic, spojrzawszy na cierpiącą córkę, uległa przemaganej kilkakrotnie pokusie wta-

jemniczenia jej w swój plan. Pragnęła wyczarować uśmiech na jej twarzy.

— Czyż nie mówiłam ci Erziko, abys się nie trapiła, nie oddawała smutkowi, przeciwnie, winnaś się radować, albowiem po ślubie w życiu twoim nastanie wielka nadzwyczaj korzystna zmiana?

— Nie życzę sobie tej zmiany!

— Będą ci zazdrościć, iż jesteś żoną osławionego zalotnika. Będziesz nosić słynie nazwisko, które zapewni ci powszechny szacunek i podziw, i będziesz tak bogata, że zaćmisz nawet mnie. W całej krainie nikt nie ma tyle złota, klejnotów i drogich kamieni, co twój przyszły małżonek.

— Nie pragnę ani sławy, ani bogactwa, mamusiu rzekła ze łzami w oczach. — Nie pragnęłabym ich nawet wtedy, gdybym nie musiała płacić za nie swoim szczęściem.

— Nie znasz, jeszcze życia ani świata, Erziko. Bądź mi wdzięczna, iż uczynię cię sławną i bogatą.

— Oraz żoną grafa Nyáryego! — wybuchnęła nieszczęsna dziewczyna.

— Tak, oraz żoną grafa Nyáryego. Zostaniesz nią, lecz on nie będzie twoim mężem! Nie pojmujesz tego? Posłuchaj tedy, otworzę ci oczy, uspokoję twoje dręczone zbytęcznym strachem serce.

Ten wstęp jeszcze bardziej Erzikę zaniepokoił. Rozbudził dawne podejrzenie, które tłumiała w sobie.

— Wierz mi, Erziko, straciłabyś w moich oczach, gdybyś zapłonęła do tego babiarza szczerą miłością. Ja także nim gardzę i nienawidzę go. Właśnie dlatego wybrałam ci go na męża, aby dał ci wszystko, co uważam za potrzebne dla ciebie. Wybrałam jego, albowiem jego najłatwiej mi będzie usunąć, gdy spełni moje oczekiwania.

Erzika z przerażeniem wytrzeszczyła na matkę oczy.

— W jaki sposób chcesz go usunąć?

— Gdy odprowadzi cię od ołtarza, przed Bogiem i świa-

tem staniesz się jego żoną. A w moich rękach będzie już wtenczas testament, którego nigdy i w sądnych okolicznościach nie da się unieważnić, czyniący cię dziedziczką całego ruchomego i nieruchomego majątku. Od ołtarza przywiedzie cię do domu, do mojego zamku, pośród gości weselnych z całej krainy, do obficie zastawianego stołu.

Słuchała z zapartym tchem.

— A od stołu już nie wstanie.

— Chcesz go otruć? — Erzika zbladła.

Wybuchnęła suchym śmiechem, który budził w Erzice grozę.

— Otruć, zamordować? — odparła ze śmiechem. — o nie, Erziko. Człowieka, który ma tyłu przyjaciół i znajomych, na którego życiu zależy palatynowi i królowi — tak niezastąpiony jest twój przyszły małżonek — nie można bezkarnie zgładzić jak pierwszego lepszego śmiertelnika.

— Co tedy, co się z nim stanie? — spytała Erzika nic już nie pojmując.

— Graf Nyáry otruje się sam podczas uczty weselnej... Możesz być tego pewna. W dniu swego ślubu nie dożyje wieczora!

— Jakże można wiedzieć dzisiaj, co uczyni graf Nyáry dwudziestego piątego września? — zapytała, a gdy spojrzała na matkę serce jej napełniło się strachem.

Z błyszczących oczu jakby trysnął zielonkawy płomień. Czoło się zmarszczyło, jak gdyby wyrzekła wyrok śmierci, a wąskie wargi jeszcze bardziej się zacisnęły we wzgardliwym uśmiechu.

— O więcej nie pytaj, Erziko. — odparła z chmurną miną. — Niech ci wystarczy moje zapewnienie, że już w noc poślubną będziesz wdową tak jak ja, jeno że bogatszą niż ja.

Opuściła córkę zmieszana. Strach widniejący w jej

oczach oraz wyraźny wyrzut i potępienie, jakie wyczytała w jej wylekłej twarzy, wprawiły ją w zakłopotanie.

Wkrótce po tej rozmowie przyszedł graf Nyáry, rozpromieniony, roześmiany, i wręczył Elżbiecie Batorównie i Erzice kwiaty. Zachowywał się jak szczęśliwy narzeczonny. Elżbieta Batorówna rozpływała się w uprzejmościach. Najślabszym gestem nie okazała mu wzgardy, ni jednym uszczypliwym słówkiem.

— Jakże mi żal, że już wyjeżdżacie, dostojna pani!
— powiedział zasmuconym głosem.

— Nie wy, drogi przyjacielu, lecz my mamy powód do żalu. Będzie nam brakować waszej miłej społeczności i wyznam szczerze, iż ja chyba z jeszcze większym upragnieniem niż wasza zakochana narzeczona będę oczekiwać waszego przybycia do Czachtic.

— Nie dam na siebie długo czekać, dostojna pani. Jeśli jeno dozwolą mi moje sprawy, które stopniowo załatwiam, przybędę już dwudziestego września, albowiem zarówno w Preszporku, jak i w Wiedniu mój żywot bez narzeczonej i bez was jest pusty, nudny i nie do zniesienia.

Takim oto tonem dźwięczała ich rozmowa, a Erzika nie posiadała się ze zdumienia, jak umieją udawać, okazują sobie największą przychylność i przyjaźń, podczas gdy serca ich goreją nieubłaganą wrogością zdolna nawet do popełnienia zbrodni.

— Proszę was, panie — ozwała się Erzika, gdy Elżbieta Batorówna pozostawiła ich samych — nie grajcie komedii, przynajmniej ze mną. Wiem, iż nie miłujecie mnie, tak samo jak ja was.

— Ja was miłuję — odrzekł z uśmiechem, który uważał za uwodzicielski, lecz Erzika widziała w nim fałsz i szyderstwo — i zapewniam was, że miłość moja nie jest przelotnym uczuciem, a płomieniem, co rozgorzał w mym sercu na całe życie. Smutek mój zaś, iż nie udało mi się wzbudzić

w was, droga narzeczono, tych samych uczuć, koi jedynie słodka nadzieja, że głos mego serca spotka się kiedyś z odzewem.

Erzika uśmiechnęła się cierpko:

— Mojego smutku, iż nie mogę z wami tak szczerze mówić jak na balu u Eszterházyc, nic nie koi. A jedynie szczerść mogłaby pomoc wam i mnie.

Spojrzał na nią pytająco.

— Wam bardziej niż mnie — dodała.

— Mniemam — odrzekł z wahaniem i z chmurnym obliczem, jakby wypadł ze swojej roli — iż szczerść najczęściej mogłaby mi zaszkodzić. Ale dlaczego wy nie mielibyście być wobec mnie szczerzy? Zniosę nawet najokrutniejszą prawdę i wezmę z was przykład w szczerści.

Obejrzała się czy drzwi są zamknięte, po czym podeszła całkiem blisko do niego. Twarz płonąła jej wzburzeniem, oczy błyszcząły.

— Panie — rzekła szeptem — poczytuję sobie za powinność przestrzec was. Ratujcie się! Ucieknijcie przed ślubem! Zapewniam was, iż nie pragnę zostać ani waszą żoną, ani wdową po was, dziedziczką waszych majątności.

— Co to ma znaczyć? — przeraził się.

— Powiem wam wszystko bez ogródek. Jeśli pojmiecie mnie za żonę, w dniu naszego ślubu nie dożyjecie wieczora! Przestrzegam was albowiem chcę zapobiec zbrodni.

Graf Nyáry zbladł:

— Skąd grozi mi niebezpieczeństwo, przed którym mnie przestrzegacie?

— Powiedziałam dosyć, abyście wiedzieli, co począć. Mam nadzieję, że starczy wam to, abyście bez wahania zerwali zaręczyny.

Patrzył na nią jak na cudowne zjawisko.

Wyraz przerażenia w jego obliczu zastąpiły podziw i za-

chwył. Widziała, iż znowu ma przed sobą komedianta, niepoprawnego udawacza.

— Zerwać zaręczyny? Nie! Właśnie teraz miałbym się was wyrzec, droga moja, kiedy wyjawiliście, iż w sercu waszym tli się iskierka skłonności do mnie?

— Nic nie wyjawiałam! — zaprotestowała.

— Okazaliście, iż lękacie się o mój żywot!

— Lękam się tak samo o innych, jak i o siebie.

Graf Nyáry roześmiał się, lecz potem zmusił się do poważnego tonu:

— Nie mogę się nadziwić, jak zmieniliście się od czasu, gdy widzieliśmy się ostatnio. Wtedy nie byliście jeszcze zdolni do takiego kłamstwa.

— Nie pojmuję, o jakim kłamstwie mówicie.

— O kłamstwie, małym kłamstewku, którym chcecie ślepo zakochanego odstraszyć od małżeństwa.

— Zapewniam was — obraziła się Erzika — iż nigdy bym się nie poważyła współzawodniczyć z wami w kłamstwach. Ostrzeżenie moje ma podstawy.

Przybrał poważną minę.

— Moją powinnością jest wierzyć waszym słowom, droga narzeczono, i ja im wierzę.

Uradowała się, iż graf Nyáry pożegna się z nią teraz na zawsze.

Dlatego podała mu rękę z niezwykłą serdecznością:

— Ufam, iż po tym ostrzeżeniu postąpić tak, jak doradzą wam rozum i przezorność.

Ucałował jej dłoń z pełnym atencji ukłonem:

— Zasłużyłbym sobie jeno na waszą wzgardę, gdybym usłuchał głosu rozumu. Żegnam się z wami, droga narzeczono, lecz nie na zawsze, jak się spodziewaliście. Dwudziestego września przyjadę na pewno. Prawdziwa miłość nie ulęknie się przeszkód ani niebezpieczeństwa. Niechaj

spełni się moje najgorętsze pragnienie, choćbym nawet miał przyplącić to życiem!

Odszedł dumnie wyprostowany, jakby chciał zachować pozę, którą przybrał przy swoim bohaterskim wystąpieniu. A Erzika opadła na fotel zdruzgotana.

Nic nie pomoże, nic absolutnie, zostanie jego żoną i wdową.

Tymczasem Elżbieta Batorówna przy drzwiach zamkniętych wiodła rozmowę z Dorą i pewną starszą kobietą, której obfita tusza i ubiór zdradzały kucharkę.

— Jak się zowiesz? — spytała grafka.

— Anna Raczkowa — odparła kucharka.

— Jak dawno służysz u swoich państwa?

— Będzie z piętnaście lat.

— Jak żyją twoi państwo?

— W największej zgodzie i miłości. Takiej miłości nie widziałam jeszcze nigdzie, gdzie służyłam.

Kucharka nie spostrzegła, iż twarz grafki spochmurniała nagle. Lecz nie uszło to uwagi Dory.

— Nigdy nie dochodzi do nieporozumień między nimi?

— Nie. Chociaż tak — poprawiła się szybko kucharka — w ostatnim czasie tak. Pan często bywa milczący, zasepiony. Kiedyś, z miesiąc temu, długo o czymś rozprawiali i od tego dnia pani często płacze. Nie przy panu, jeno kiedy jest sama. Coś musiało między nimi zajść.

— Dobrze, możesz odejść! — rzekła pani, a Dora widziała, iż twarz jej znowu się rozjaśniła.

— Doro — ozwała się, gdy za kucharką zamknęły się drzwi — zatroszcz się o to, aby kucharka dawała baczenie, co dzieje się w domu sekretarza palatyna i aby o wszystkim ci donosiła. Masz tu pieniądze na ten cel, nie żałuj ich. Bardzo mi zależy na wiadomościach o Jerzym Zavodskim jego żonie. A tu masz list do pana sekretarza. Jest teraz w Wied-

niu, ale zanieś list do jego domu i porozmawiaj sobie z jego żoną. Zdradź, się, że list jest ode mnie, i oddaj jej z wahaniami, aby wręczyła go mężowi, gdy wróci.

Chmury nad narzeczoną

Erzika po powrocie do Czachtic straciła nadzieję na ratunek. Straciła także wiarę w miłość Andrzeja Drozda oraz w możliwość, iż zjawi się niespodzianie i wyswobodzi ją.

O ucieczce nie było co myśleć. Okna miały mocne kraty, a ilekroć wyszła parę kroków poza zamek, widziała za sobą czyjeś szpiegujące oblicze. Domyśliła się, że matka przykazała służebnym, aby śledziły każdy jej krok.

W czachtickim zamku czuła się jak w więzieniu.

Zmieniło się zachowanie mieszkańców zamku wobec niej. Nie wdawali się z nią w rozmowy, jak dawniej, jak gdyby mieli to surowo zakazane. Otaczały ją milczące twarze, pośród których jedynie oblicze Ficka przemawiało wyraźnie. Ilekroć się spotkali, biła zeń nienawiść, a Erzice zdało się, że zgrzyta zębami. Zmieniła się również matka. W jej słowach i postępowaniu nie było dawnej tkliwości. Gdy rozmawiały, jakby nie była przy niej, lecz gdzieś daleko. I czuła, że matka jej unika, a spotyka się z nią tylko, gdy musi.

Z tej przygniatającej atmosfery wyzwoliła się jedynie na dwa dni. Po wielkich prośbach matka puściła ją do Wierzbowa. Lecz nie samą. Pod opieką Dory. Ale i w Wierzbowie nie było przyjemniej. Od chwili, gdy opuściła dwór Wierzbowski, stał się jej zupełnie obcy. Mimo to panujący tam smutek przytłoczył i jej duszę. Mimowolnie budziły się w niej wyrzuty, że Michał przez nią uciekł z domu. Czyżby wiedział, że nie jest jego siostrą, i rzeczywiście zakochał się w niej, jak jej się czasem zdało?

— Cokolwiek stało się z Michałem — pocieszał się Pri-borsky — ty przynajmniej będziesz szczęśliwa, Erziko.

— Szczęśliwa... — wyszeptwała.

Widziała, iż nawet tutaj nie może się wyżalić, gdyż jeszcze bardziej zasmuciłaby strapiionych. Zresztą na nic by się to zdało. Tylko by wychwalali jej narzeczonego, zaślepieni jego tytułami i bogactwem.

Gdy ona przebywała w Wierzbowie, Ficko knuł plany zemsty.

„Nie pójdziesz ty za mąż, nie pójdziesz!” — odgrażał się wieczorami, gdy w swojej izdebce oglądał na ramieniu ślad rany zadanej przez Erzikę.

Na wspomnienie doznanej porażki i hańby oblicze wykrzywił mu grymas wściekłości, a jego rozdrażniony mózg gorączkowo szukał sposobu udaremnienia małżeństwa Erziki.

Spotkawszy Pawła Lederera rzekł rozradowany:

— Ej, to idą dla nas czasy, Pawle! — i klepnął go po ramieniu.

— Co się dzieje?

— Jeszcze nic, ale będzie się dziać! — zacierał ręce Ficko. — Już diabli mnie brali. Tygodnie i miesiące przeszły w całkowitej niemal bezczynności. I wykonywałem wszystko jeno jako sługa, a nie jako pan samego siebie, Ale mój czas nadchodzi, zbliża się dzień pomsty, Wyniuchałem kryjówkę Magdusi Kalinianki, jej matki i twojego ojca. Nawet ten wstrętny Cerber jest z nimi, a także Marisza Szutowaska. Właściwie to Ilona wyniuchała, muszę oddać jej sprawiedliwość. Jeno my dwoje wiemy, gdzie się ukrywają.

— Gdzie, gdzie? — spytał Lederer drętwiejąc.

Ficko zarechotał:

— Tego ci nie wyjawię, kamracie, albowiem obawiam

się, że chciałbyś ocalić swego ojca i wszystko byś mi ze-psuł. O ojca się nie bój. Jego skórę już wykupiłeś, nic mu sic nie stanie.

— Dlaczego nie działasz od razu?

— Co nagle, to po diable — wykrzywił się Ficko zarozumiale. — Nie chcę się zbyt pośpieszyć, dlatego i pani nic nie rzekłem. Boję się, że zmusiłaby mnie do przedwczesnego działania.

— Siostra i matka Jana Kaliny — drażnił Paweł Ficka — zwęszą niebezpieczeństwa i umkną, ani się spodziewasz.

— He, he, he, nie umkną! Dniem i nocą pilnuje ich pewna kobieta, przebiegłjsza od lisa.

Paweł Lederer chciał dowiedzieć się jak najwięcej, przecie wszystkim, dlaczego Ficko odkłada schwytywanie uciekierów.

Ficko wyjawiał swoje plany z zapalem, zachwycony sam sobą, jak wybornie wszystko obmyślił.

— Nie zdobyłbym się na to, aby odkładać schwytywanie Magdusi, gdybym nie przyśpieszał w ten sposób urzeczywistnienia swoich planów. Jeśli jej, starej Kalinowej, twojemu ojcu i Mariszy Szutowskiej użyję jeszcze nieco swobody, skrócę żywot wrogów, z którymi musze się porachować. Wcześniej nie mogę uciec z Magdusią.

— Nie pojmuję, Ficko!

— Nie pojmujesz, he, he, he! a to takie proste Te kobiety są najlepszą przynętą na zbójników, którzy bodaj ich diabli, zniknęli, jakby ich ziemia pochłoneła. Gdyby nie one, kto wie, kiedy byśmy wpadli na ich trop.

Rozumiał, co Ficko ma na myśli, lecz przybrał minę głupca, co do trzech nie umie zliczyć.

— Jeszcze nie jest to dla ciebie jasne? Gdzie twoja bystrość? Tedy powiem ci to zrozumiałej. Wiesz, że Marisza jest narzeczoną Kaliny, a w Magdusi rozmiłował się kapitan pandurów. Potrafisz sobie wyobrazić, jak długo wy-

dzierżą zakochani z dala od swych bogdanek?

— Tego zaiste nie potrafię sobie wyobrazić.

— Ani ja, kamracie, dlatego cierpliwie czekam, aż przyjdą do nich w odwiedziny. I mam ich w garści! Przysięgam, iż ani jeden nie ujdzie! a wtenczas będziesz mógł przypieczętować naszą przyjaźń. Kapitana Kenderessyego oddam tobie.

— To już zaczynam ostrzyć nóż — zmuszał się Paweł Lederer do śmiechu.

— Jeno wyostrz go dobrze, he, he, he! Ale już wcześniej dam ci sposobność dowieść swej przyjaźni!

— Jaką? — zląkł się, lecz nie okazał tego.

— Mówiłem ci, że chcę się porachować z Erzika Priborską. Jeśli nie odplacę jej za ten wystrzał na zboczu teraz, to gdy zostanie żoną grafa Nyáryego, nigdy już nie będę miał sposobności. Chcę udaremnić jej małżeństwo, ale to nie wystarczy. Tym nie ukarałbym jej zbyt, albowiem widzi mi się, iż pani bardziej życzy sobie tego małżeństwa niż ona.

— Jakże zatem się porachujesz i czego oczekujesz ode mnie?

— W wieczór przed ślubem — wyjaśniał Ficko — kiedy w zamku wszyscy już będą spać, zakradnę się do jej izby, zatkam jej usta, zwiążę, omotam w płachtę i wyniosę z zamku. Ty będziesz czatować przed zamkiem. Rzucisz się na mnie. Zwałę się na ziemię jak martwy. Wtenczas ją rozwiążesz, jeno zestawisz knebel w ustach. Pokażesz na mnie, że jestem trup, i powiesz, aby ci zaufała, że zaprowadzisz ją w bezpieczne miejsce. Potem możesz już wyjąć jej knebel, nie będzie krzyczeć, pójdzie z tobą. W Wiśniewie będzie na was czekać przygotowany wóz. Pojedziecie prosto do Nowych Zamków.

— Dlaczego do Nowych Zamków?

— Ej, strasznie jesteś nierozgarnięty, przyjacielu. Pojedziecie do Nowych Zamków do tureckiego paszy, któremu sprzedasz dziewczynę, niby że to pani cię posłała! Uraduje się z tej wierzbowskiej ślicznotki, staremu Turczynowi podobają się takie.

— Wybornie to wykoncypowałeś, Ficko! — zachwycał się Paweł Lederer, i to szczerze, albowiem ów plan dawał mnóstwo możliwości ocalenia dziewczyny. — Pomścisz się i jeszcze ci za to zapłacą!

— Tobie też, Pawle! — zarechotał ukontentowały Ficko. — Połowa pieniędzy od paszy będzie twoja.

— Ile zażądać?

— Nic nie żądaj On już wie, ile ci dać. Dostaniesz za nią pewnie tyle co za dziesięć koni, albowiem co takich dziewczyn pasza ma słabość. Zobaczysz, jak mu ślina pocieknie, gdy ujrzy Erżikę Priborską!

Testament grafa Nyáryego

Graf Nyáry dotrzymał słowa.

Dwudziestego września pod wieczór zjechał do czachtickiego zamku z licznym orszakiem. Twarz promieniała mu radością nieustępującą radości malującej się na twarzy Elżbiety Batorówny, której z największą atencją ucałował dłoń i prawil wyszukane komplementy. Erżice drżała ręka, gdy witała go ze stosownym w takiej chwili uśmiechem, przesłaniającym miotającą ją uczucia.

— Jednak przyjechaliście — szepnęła z wyrzutem.

— Przyjechałem zgodnie z obietnicą — uśmiechał się szczęśliwy narzeczonny — i wiercie, droga moja, iż najchętniej przyśpieszyłbym bieg czasu, aby mijał rychlej. A pozostałe do naszych zaślubin dni choćby nawet w lata

się przemieniły, bez wahania odpisałbym od swego życia.

— Mieście się na bacności, aby te dni nie były waszymi ostatnimi dniami — ostrzegła go ponownie.

— Nawet wtenczas bym nie żałował. Dwudziesty piąty wrzeźnia będzie dla mnie najszczęśliwszym dniem. Choćbym miał przypłacić go życiem.

Ktoś, kto tylko ich obserwował, lecz nie słyszał tej rozmowy, mógł mniemać, że szczęśliwi narzeczeni szepczą sobie czule słówka.

Wkrótce po przyjeździe między grafem Nyárym i Elżbietą Batorówną powstała drobna różnica zdań.

— Pójdźcie, przyjacielu — wezwała go, gdy się odświeżył krótkim odpoczynkiem po długiej drodze — pokażę wam kaplicę, gdzie pożegnacie się ze swoją kawalerską wolnością, by dobrowolnie nałożyć okowy najśłodszej niewoli.

Kaplicę niedawno odnowiono, lśniła czystością. Chwalił listowne odnowienie kaplicy, jednakże oświadczył stanowczo:

— Wybaczcie, czcigodna przyjaciółko, lecz obstaję przy zaślubinach w kościele!

— Dlaczego? — spytała zdziwiona.

— Gdyby mój pierwotny wstręt do małżeństwa nie przemienił się w szczerą skłonność i miłość do Erziki, życzyłbym sobie brać ślub w takim właśnie miłym, cichym kąciuku, gdzie oczy ciekawskiego świata nie dojrzą smutnej twarzy oblubieńca. Lecz moja twarz będzie promieniała radością i szczęściem, które chcę ukazać całemu światu!

Nie posiadała się ze zdumienia. Badawczo wpatrywała się weń, czy może mu wierzyć.

— Nie mogę wam odmówić — rzekła z uśmiechem. — Wszelako i w kościele ślubu udzieli proboszcz zelenicki Fabricius, którego łączyła przyjaźń z moim nieboszczy-

kiem mężem.

— Nie zależy mi na tym — odparł — czyje ręce zwiążą mnie na cały żywot.

Lecz niebawem okazało się, że mu na tym zależy. Odwiedziwszy czachtickiego proboszcza skłonił go, aby bronił swoich praw i nie dopuścił, by w jego parafii inny głosiciel Słowa Bożego udzielał ślubu. Jan Ponicensus poszedł za jego radą i grafka musiała pogodzić się z niemiłym faktem, że zaproszony pastor Fabricius będzie tylko gościem.

W następnych dniach między grafem Nyárym i Elżbietą Batorówną panowała niezmacona zgoda.

Chodzili wspólnie na przechadzki, odwiedzali okolicznych ziemian i zapraszali ich na ślub. Czachticka pani tak wszędzie wychwalała grafa Nyáryego, że gospodarze uśmiechała się skrycie. Kiełkowało w nich podejrzenie, że ona i on... Woleliby przybyć na jej ślub.

Graf Nyáry we wszystkim starał się jej dogodzić. Najbardziej trapił się z powodu zbójników.

— Moje szczęście wtenczas dopiero będzie zupełne — rzekł już następnego dnia po przyjeździe — gdy uwolnię was, czcigodna przyjaciółko, od wszystkich wrogów.

Zwołał służbę, naradzał się z Fickiem i hajdukami, lecz zwymyślał ich i sklął dowiedziawszy się, że nie mają pojęcia gdzie zbójnicy się ukrywają.

— Pokażę wam, jak należy ich wysledzić i wyłapać — i jał wychwalać jednego ze swoich hajduków. Człowiek

ów potrafi znaleźć igłę w stogu siana, tedy odszukać w górach zbójników to dla niego fraszka, choćby przemienili się w mrówki.

I obdarzony cudownymi właściwościami hajduk, przebrany za czeladnika piekarskiego, wnet ruszył na poszukiwania.

— Nie waż się wracać, póki nie znajdziesz kryjówki zbójników! — krzyczał za nim graf Nyáry.

Dzień przed zaślubinami zaczęli się zjeżdżać pierwsi goście. Elżbieta Batorówna nie użyczyła sobie chwili wytchnienia. Poganiała służbę, doglądała wszystkiego i wszystkich, z wyjątkiem szwaczek. Nimi zajmowała się Erzika. Nie z obawy, że coś popsują. Było jej obojętne, co wyjdzie spod ich rąk. Chroniła się wśród nich przed grafem Nyárym, którego nieustanne dusery i zalecanki doprowadzały ją do rozpacz.

Wieczorem, gdy graf Nyáry przechodził przez dziedzińiec rojący się od służby, rozbrzmiewający radosnymi okrzykami żołnierzy i hajduków skupionych wokół kotłów z jadłem, podbiegła do niego Dora z wezwaniem od grafki.

— Muszę z wami jeszcze pomówić, przyjacielu oznajmiła mu z powagą Elżbieta Batorówna — o ważnej sprawie.

— O czym tu jeszcze mówić? — uśmiechał się graf Stefan Nyáry. Zresztą będziemy mieli na to dość czasu po ślubie.

— Raz-dwa się z tym uporamy, jeśli wyrazicie zgodę.

— Dziś wieczór niczego nie jestem w stanie wam odmówić, czcigodna przyjaciółko — uśmiech nie zniknął mu z oblicza. — Z góry oświadczam, iż spełnię każde wasze życzenie, jakiegokolwiek by było.

— Moje życzenie — już i ona się uśmiechała — dotyczy nie mnie, lecz waszej narzeczonej. Pragnę, aby wasza przyszła małżonka była zabezpieczona przed pokusami, które mogłyby was, czcigodny przyjacielu, odciągnąć od niej, związać z inną kobietą i pozbawić ją męża. Pragnę, abyście wyrwali przy niej aż po grób, choć byście nawet kiedyś przestali ją miłować...

— Wątpię, by moje uczucia kiedyś się zmieniły. Jeśli wszakże mniemacie, że mógłbym swej żonie dać jakieś poczucie pewności, uczynię wszystko, co uważacie za konieczne.

Wiedli tę rozmowę w bibliotece, ulubionej komnacie zmarłego grafa Nádsadyego. Przez pietyzm dla niego od jego śmierci nic tu nie ruszano, jedynie podczas wielkich porządków ścierano grube warstwy kurzu.

— Cieszy mnie wasza dobra wola, drogi przyjacielu — rzekła Elżbieta Batorówna ceremonialnie. — Siądźcie tedy przy stole i napiszcie testament. Podyktuję wam.

— Testament? — zbladł, a uśmiech zniknął mu z oblicza.

— Chyba nie przestraszyliście się. przyjacielu? — roześmiała się czachticka pani.

— Nie — już znowu wykrzywił wargi w uśmiechu. — Ale testament przywodzi na myśl śmierć, toteż poczułem się nieswojo, zwłaszcza teraz, gdy zaczynam poznawać wartość żywota i gotuję się posmakować go jak należy.

— Nie uważajcie testamentu za przygotowanie na śmierć. Jest to jeno drobna formalność dla mojego spokoju, że w przyszłości nie będę musiała obawiać się o Erżikę, Siądźcie tedy przy stole i piszcie!

— Napiszę i podpiszę choćby wyrok śmierci na siebie — rzekł graf Nyáry na oko obojętnie, a Elżbieta Batorówna nie posiadała się ze zdumienia, jak miłość może zaślepić takiego szczwanego lisa. Osądziła, iż graf na stare lata postradał rozum.

Siadł przy stole, umoczył w kałamarzu gęsie pióro i czekał, co mu podyktuje.

Pisał testament, nigdy i w żadnych okolicznościach nie dający się unieważnić. Wszystkie swoje ruchomości i nieruchomości przekazywał w nim swojej żonie, urodzonej Erżice Priborskiej, bez względu na to, jaki będzie jego stosunek do niej w chwili śmierci.

Skończył pisać, podpisał. Elżbieta Batorówna wezwała Beniamina Priborskiego, który przed chwilą przyjechał, dała mu testament do przeczytania, podpisał go jako pierw-

szy świadek, ona jako drugi.

Zaraz potem Priborsky odszedł, a grafka oświadczyła z wyraźnym zadowoleniem:

— No, załatwiliśmy wszystko, przyjacielu. Życzę wam dobrego odpoczynku i przyjemnych snów!

I ze zwiniętym testamentem w ręce skierowała się do drzwi.

— Jeszcze nie wszystko załatwiliśmy — zatrzymał ją graf

Nyáry z zażenowaną miną. — Za moją ustępliwość i dobrą wolę należy mi się chociaż mała nagroda.

— Czegóż sobie życzycie? — spytała zdziwiona.

— Rozproszcie chmurkę, która zaciemnia moje szczęście.

— Powiedźcie bez ogródek, o co wam idzie.

— Zwróćcie mi skrypt, wydany paszy.

— Dostaniecie go, ale dopiero jutro, po ślubie, jako tajny podarek ślubny — rzekła z uśmiechem, lecz i stanowczością, jakiej się nie spodziewał. — Tak ustaliliśmy.

— No cóż, niechaj będzie tak, jak ustaliliśmy, aczkolwiek od naszego spotkania u Eszterházych zaszły wielkie zmiany. Wtenczas skrypt był bronią, w waszych rekach. A dzisiaj nie musicie już przymuszać mnie do małżeństwa, czcigodna przyjaciółko, albowiem Erzikę tak miłuję, że poślubiłbym ją nawet wbrew waszej woli. I do śmierci będę wam wdzięczny za to, że wybraliście mi tę cudowną istotę i uczyniliście mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!

Elżbieta Batorówna po chwili wahania podeszła do masywnej skrzyni z rozlicznymi dokumentami, uniosła ciężkie wieko, rozgarnęła plik pożółkłych papierów i wyjęła spośród nich zwitek pergaminu.

— Zwracam wam ów rewers — rzekła zbliżając się do

niego, lecz raptem przystanąła. Najwidoczniej rozmyśliła się. Graf tak zachłannie wyciągnął rękę po pergamin, że ogarnęło ją podejrzenie, czy nie gra z nią komedii, byle tylko zdobyć kompromitujący dokument.

Zawróciła do skrzyni:

— Jutro go dostaniecie, jednak jutro!

Zniszczony dokument

Wtem graf Nyáry przyskoczył do niej bezgłośnie i wyszarpnął jej pergamin z ręki.

Twarz grafa miała zupełnie taki sam wyraz jak przed kilkoma miesiącami u Eszterházych, gdy po raz pierwszy usiłował odzyskać rewers. Tylko że była z niej jeszcze większa nienawiść i rozpaczliwa determinacja. Nim się opamiętała, przytknął pergamin do płomienia świecy na stole. Gdy płomień wgryzł się w dokument skoczyła i nie zważając, że się poparzy, usiłowała wyrwać mu drogocenny skrypt. Lecz on wolną ręką chwycił ją za ramię i syknął:

— Jeszcze jeden ruch, a tym oto nożem...

Na stole lśni nóż do strugania piór gęsich, długi, spiczasty i ostry jak brzytwa. Nie wątpiła, że jeśli się poruszy, graf spełni swą groźbę, więc patrzyła bezsilnie, jak nieubłagany płomień niszczy jej najmocniejszą broń.

Kompromitujący dokument opadał na stół czarnymi zwęglonymi zwiłkami. Graf Nyáry obierał je i rozcierał w dłoni na popiół. Twarz mu przy tym z każdą chwilą łagodniała, a gdy zdmuchnął popiół z dłoni, uśmiechał się jak przedtem, znowu był uosobieniem szacunku i rewerencji.

— Pozwólcie mi, czcigodna przyjaciółko — ozwał się ze skrucą — ucałować rękę, którą ścisnąłem tak boleśnie, i przebaczcie mi, że tak was przestraszyłem groźbą, której

nigdy nie byłbym zdolny wykonać. Ale tylko tak mogłem zniszczyć ów dokument, wam już niepotrzebny, albowiem spełnił już swój cel, mnie zaś myśl o nim zaprawiała goryczą chwile największego szczęścia.

Czachticka pani zapędzona była w kozi róg.

Kipiała z gniewu, najchętniej rzuciłaby się na niego i wydrapała mu oczy, które uśmiechały się wyzywająco w przybranej w maskę szacunku twarzy. Ostrożność wszakże nakazywała nie drażnić go, przemogła więc gniew i starała się zabarwić głos jak największą życzliwością.

— Istotnie przestraszyłam się, przyjacielu — rzekła speszona. — Jesteście znamienitym aktorem.

— O, posiadam jeszcze wiele właściwości, o które, czciogodna przyjaciółko, zgoła byście mnie nie podejrzewali. Mam nadzieję, iż będziecie mieli sposobność je poznać.

Patrzył na nią z uśmiechem, lecz jego małe oczki miotały złowrogie błyski.

Lęk ją przejął. Od chwili zniszczenia fatalnego dokumentu czuła się wobec niego bezsilna. Uświadomiła sobie, że role się zmieniły. Teraz ona jest zabawką w jego rękach.

— Na pożegnanie, droga przyjaciółko, ośmielę się wystąpić z małą prośbą — rzekł pokornie.

— Chętnie ją spełnię, jeśli tylko będzie to w mojej mocy — odparła również z udaną, ochotą i życzliwością.

— Jestem wzruszony waszą łaskawością, wszelako nie nadużyję jej. Idzie bowiem o drobnostkę. Zasłużyłem sobie na wasz gniew, a także na karę. Obawiam się przeto, byście za mój zuchwały postępek nie pomścili się w sposób, który zraniłby mnie do głębi. Nie chcę, by rankiem w dniu ślubu obudziła mnie wieść, że do zaślubin wszystko gotowe, jeno oblubienicy brak...

— Całkiem zbytecznie się niepokoiacie, przyjacielu...

— Miłość nie zaślepiła mnie doszczętnie. Świadom je-

stem smutnej prawdy, że Erzika nie kocha mnie, jej miłość będę musiał dopiero zdobywać. Nie chcę więc wystawić się na niebezpieczeństwo, że działając pod waszym wpływem lub też z własnej woli postanowi salwować się przed małeństwem ucieczką.

— Jakże chcielibyście się przed tym zabezpieczyć?

— W prosty sposób. Za waszym zezwoleniem postawiłbym przed drzwiami Erziki straż. Pięciu zaufanych hajduków.

— Dam ich wam do dyspozycji.

— Dziękuję, droga przyjaciółko, polegam raczej na swoich hajdukach.

Zgodziła się. Pożegnali się przyjaźnie, lecz oboje czuli, że nic ma już słów ani masek, spoza których nie wysunę aby różków wzajemna nienawiść.

I przewidywali, iż przyjdzie chwila decydującego starcia i ostatecznego porachunku.

Dora najwidoczniej czyhała na odejście grafa, ledwo bowiem opuścił bibliotekę, wsunęła się do środka.

— Masz? — spytała pani, która już czekała na nią i jej wieczorną relację.

— Mam, miłościwa pani. Majorowa powiedziała mi, że test to najsilniejsza trucizna, jaką zna. Rozpuszczona wpływa natychmiast. Człowiek, który to wypije, padnie jak rażony apopleksją.

— Zadowolona jestem z ciebie i z Majorowej. Lecz całkiem zadowolona będę dopiero jutro, gdy się nam wszystko powie.

W tej chwili przeszło ją podejrzenie, czy graf Nyáry nie zamierza uczynić tego, o co posądzał Erzikę.

— Dora — posiedziała ze wzburzeniem — przez całą noc nie wolno ci zmrużyć oka, nawet na chwilę się zdrzemnąć. Weź dziesięciu hajduków. Pięciu postaw na korytarzu przed izbą grafa Nyáryego, a z pozostałymi pięcio-

ma czuwaj pod jego oknami.

— Czyżby zamyślał drapnąć?

— Nie wiem. Ale musimy być w gotowości.

Tak też się stało.

Pilnowano i narzeczonej, i narzeczonego.

Kiedy w zamku wszystko ucichło i światła w oknach pogasły, Ficko wymknął się ze swojej izdebki i ruszył chyłkiem przez podwórzec do pomieszczenia zamecznika, podniecony i upojony myślą o zemście na Erzice Priborskiej. Oczyma wyobraźni widział już, jak wyrrywają ze snu, zatyka jej usta, omotuje płachtą i ekspediuje do tureckiego pa-szy. Oślepl na wszystko.

Nie spostrzegł hajduków i Dory zaczajonych pod oknami grafa Nyáryego. Wzdrygnął się, gdy Dora wybuchnęła śmiechem.

— A odkąd jesteś lunatykiem, Ficko? — pokładała się ze śmiechu.

— A odkąd ty sypiasz z hajdukami na dworze? — fuknął na nią.

— Odtąd, jak trzeba strzec snu narzeczonego, aby nie otrzeźwiał z miłości i nie wziął nóg za pas.

Ficko śmiał się, póki się nie dowiedział, że również Erzika jest strzeżona, i to przez hajduków grafa Nyáryego. Wtenczas zazgrzytał zębami, odszedł bez słowa i zapukał w ciemne okno Pawła Lederera.

— Możesz iść spać. Pawle rzekł przyjacielowi, gotowemu do drogi — mój plan spalił na panewce. Pilnują panny młodej. Ale co się nie udało dzisiaj, uda się jutro. Moja zemsta o dzień się odwlecze...

Smutna między wesółymi

Nazajutrz, ledwo zaczęło się rozwidniać w zamku czachtickim zapanował ruch.

Zewsząd dobiegały okrzyki i tupot nóg. Żołnierze ze zgiełkiem gromadzili się na podwórku. Dym wzbijał się z kominów i kłębił pod ustawionymi na trójnogach kotłami, w których gotował się gulasz, dla żołnierzy. Pani postanowiła wynagrodzić ich za wierną służbę. Niechaj się opijają i najedzą do pęknięcia. Pijatyka już się zaczęła. Hajducy wytaczali z piwnicy beczki, wino lało się do szklanic, weselość się wzmagala.

Przybywali goście. Okoliczni panowie nie chcieli przepuścić sposobności obejrzenia tak niezwykłego ślubu — magnata z drobną szlachcianką, której mógłby być raczej ojcem niż mężem. Czachticka pani najuprzejmiej witała gości. Co chwila pojawiał się przy niej graf Nyáry. Wyelegantowany świeży, jakby przez noc odmłodził o wiele lat. Dla każdego miał miłe słowo, każdą damę darzył wyszukany komplementem. Promieniał szczęściem.

— Zobaczę, przyjacielu, jak mi się odwdzięczycie za to, że uczyniłam was tak szczęśliwym — żartowała czachticka pani.

— Nigdy nie pozostawałem dłużny za wyświadczony mi dobro. I wam się odwdzięczę, rychlej, niż przypuszczacie!

To zapewnienie brzmiało jak groźbą taki sam ton zadźwięczał w jej odpowiedzi:

— Jenó się pośpieszcie, abyście zdążyli!

A gdy popatrzył na nią badawczo, nie zdzierzyła i powiedziała ze śmiechem:

— Nie zapominajcie, że sporządziliście testament. Śmierć ze szczególnym upodobaniem nawiedza ludzi, którzy już uporządkowali swoje ziemskie sprawy i zwrócili

wzrok ku sprawom tamtego świata.

— Mam nadzieję, że dla mnie śmierć uczyni wyjątek. Ale gdyby nawet nie uczyniła, zdążę jeszcze odplacić wam za waszą macierzyńską dbałość, o mnie. Czuję się, jakbym był waszym synem, a serce przepelnia mi synowska wdzięczność.

Z ledwością powstrzymała się, by nie zdzielić go po twarzy. Zuchwalec przybiera synowską pozę, aby podkreślić jej lata.

Stwierdził z ukontentowaniem, iż cios został dobrze wymierzony,

— Przede wszystkim skończę ze zbrojnikami — rzekł. — Mój hajduk jeszcze nie powrócił, lecz nie wątpię, że wysłodzi ich kryjówkę. Pragnę gorąco spotkać się z nimi, zwłaszcza z Andrzejem Drozdem!

Erzika zbladła i wpiła w grafa badawczy wzrok, jakby chciała wyczytać z jego szyderczej twarzy, co knuje przeciw Andrzejowi Drozdowi.

— Ach, droga narzeczono! — zawołał, jakby dopiero teraz ją spostrzegł. — Słabo ci? Jesteś taka blada!

Nie odpowiedziała.

Podszedł tak blisko, że muskał ją oddechem, i rzekł cicho, z uśmiechniętym obliczem, jakby szeptał tkliwe słowa:

— Przyznajcie się, że wciąż jeszcze go kochacie!

— Za kilka godzin zostanę waszą żoną — odparła wymijająco — i wiem, co jestem wam powinna.

— Na bezpośrednie pytanie — chwycił ją za drżące ręce — oczekuję bezpośredniej odpowiedzi: kochacie go?

Spojrzała na niego spłoszona, znękana.

— Kocham! — odrzekła tak głośno, że nawet stojąca opodal Elżbieta Batorówna posłyszała.

— Okrutnie są zakochani! Ciągłe wyznają sobie miłość!

— bąknęła skonsternowana, gdyż nie pojmowała Erziki.

— Jeśli go kochacie, dlaczego nie usłuchaliście głosu serca i nie uciekliście choćby w ostatniej chwili, tej nocy?

— wypytywał graf Nyáry.

— Sami najlepiej wiecie, że nie mogłam tego uczynić. Do wczoraj pilnowali mnie hajducy Elżbiety, a tej nocy wasi.

— Och, przebaczcie, droga moja, robię wam wymówki, a właściwie sam jestem wszystkiemu winien.

— Uniemożliwiając mi ucieczkę uniemożliwiliście, panie, uratowanie sobie życia.

— Wiem — rzekł ze wzruszeniem, trudno dociec, czy szczerem — i dziękuję wam za to. Ufam, że jeszcze nim wasza przyjaciółka mnie otruje, zdołam się wam odplącić.

— U was odplata oznacza pomstę!

— Nie zawsze — uśmiechnął się graf Nyáry wróciwszy już do zwykłej pozy.

— Ostatni raz ostrzegam was, panie, Nie traćcie czasu, ani na pomstę, ani na odplata. Zaślubiny to wasza śmierć.

— Tedy zamiast mnie ostrzegać, powinniście przyspieszyć zaślubiny, by jak najrychlej zyskać wolność.

— Milsza mi niewola od wolności okupionej śmiercią człowieka!

— Doprawdy macie o mnie, droga narzeczono, tak niepochlebne mniemanie? Przypuszczacie, że dam się otruć, skoro wiem o tych zakusach ?

— Jeśli nawet uda się wam udaremnić jedną próbę, nie udaremnicie drugiej. Jeśli nawet sto sposobów skrytego zadania śmierci zawiedzie, nie zawiedzie sto pierwszy!

— Chwała Bogu, że nie jestem tchórzem. Straszycie mnie bardzo przekonująco. Ale nie ucieknę! i ciebie, Erziko, proszę, abyś tego nie uczyniła, choćbyś nawet, w to nie wierzę, miała sposobność. Kocham cię i obiecuje, że będziesz szczęśliwa!

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

Cóż to za osobliwy człowiek!

Grozi mu pewna śmierć, o czym wie niechybnie, a mimo to chce ją poślubić i uśmiecha się jak najszcześliwszy z ludzi.

Elżbiecie Batorównie ta rozmowa wydała się podejrzana, toteż podeszła do nich z kilkoma gośćmi.

Narzeczoney śmiał się swawolnie, oblubienica była namurzona i smutna.

— Trochę się posprzeczailiśmy — wyjaśniał graf Nyáry — Nieco przedwcześnie, prawda, ale czyż nie jest tu zapowiedzią udanego małżeństwa?

Goście roześmiali się, a Elżbieta Batorówna, wtórując im, zapytała:

— A o co się posprzeczałicie?

— O głupstwo. O dzieci.

Erzika wytrzeszczyła na niego oczy.

— O jakie dzieci? — zniecierpliwiła się grafka.

— Nasze! — roześmiał się graf Nyáry. — Erzika chce mieć dziewczynkę, ja zaś chłopca.

Erzika oblała się rumieńcem. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, aby nie widzieć rozweselonych oczu, z rozkoszą napawających się jej zawstydeniem.

— Pogodzimy się! — zawołał graf Nyáry, jakby doznał objawienia. — Niechaj będą bliźnięta, chłopiec i dziewczynka!

Goście wybuchnęli gromkim śmiechem. Erzika zakryła dłońmi rozpaloną twarz i wybiegła z komnaty. Czuła się obluzgana i splamiona tym rubasznym śmiechem.

Zamknęła się w swojej izbie, rzuciła się na posłanie płakała, jakby chciała wypłakać cały swój ból i żal.

Godziny mijały. W kościele już odbywało się nabożeństwo poprzedzające ślub.

W zamku panował gorączkowy ruch.

Zastęp szwaczek ubierał pannę młodą, stała jak bez ducha, jakby gotowała się nie do ślubu, a do pogrzebu. Graf Nyáry natomiast był w wysmienitym humorze, przyjacielsko wklepywał po ramionach swoich hajduków, a nawet zażartował z Ficka:

— Ficko, gdyby Pan Bóg stworzył cię w takim nastroju, w jakim ja dzisiaj jestem, byłbyś trochę gładszy! — zawołała, a cały podwórzec gruchnął śmiechem.

Ficko spojrział na grafa spode łba i zniknął w sieni zamku. Na podwórzec zajechał paradny powóz czachtickiej pani. Żołnierze powitali go entuzjastycznym wrzaskiem.

Początkowo orszak ślubny miał iść do kościoła pieszo, ale Erzika za nic w świecie nie chciała na to przystać. Przerząła ją widok drogi z zamku do kościoła, choć była nie dłuższa jak na trzysta kroków; tłumy czachticzan, ciekawych orszaku ślubnego, tworzyły szpaler. Doznała zawrotu głowy, gdy wyobraziła sobie te setki wścibskich oczu wpijających się w nią, żadnych przeniknięcia jej najtajniejszych myśli i uczuć. Za nic w świecie nie wyda się na łup tym oczom, skrycie się w kącie powozu.

Służebne wysypywały drogę z zamku do kościoła kwiatami. Była ich taka masa, jakby ogołocono wszystkie ogrody i naznaczone bliskością jesieni lasy, łąki i pola. Na dziedzińcu gorliwe ręce wieńczyły powóz, a graf Nyáry sam wplótł w szprychy kół świeżą, choinę.

— Skocz no do proboszcza — polecił hajdukowi — Dlaczego jeszcze nie każe dzwonić? Niechaj rozdźwięczały się wszystkie dzwony i oznajmią światu, że graf Nyáry się żeni!

Chwilę później nad Czachticami poniosło się bicie dzwonów, potęgując odświętny nastrój.

Żołnierze na podwórcu cofnęli się pod ściany, a powóz otoczyli goście weselni. Odziany paradnie hajduk z umajo-

nym biczem, wyglądającym jak rozkwitła gałąź, zasiadł na koźle.

Na dziedzińcu rozległ się szmer podziwu.

Pojawiła się Elżbieta Batorówna prowadząca za rękę Erzikę Priborską. Wszystkie oczy przyłgnęły do nich w zachwyceniu — były tak piękne, że z trudem dałoby się rozstrzygnąć, której przyznać pierwszeństwo. Grafka świadoma wrażenia, jakie wywołała swą dojrzałą urodą, podkreślona odpowiednio dobraną suknią, zwycięsko spoglądała wokół. Panna młoda, zapłoniona ze wzruszenia przypominała rozkwitającą różę, nieświadomą swego czaru. Jej biała, smukła młodość wyraźnie kontrastowała z dojrzałością towarzyszki.

Wszystkie oblicza rozjaśniły się na widok panny młodej, jedynie oblicze stojącego w głębi Ficka spochmurniało.

— Taką powinien ją widzieć turecki pasza — szturchnął stojącego obok Pawła Lederera. — Zapłaciłby każdą sumę! Porwiemy ją z tą ślubną szatą, tak ubraną pokażesz ją pa-szy!

Graf Nyáry wpadł w uniesienie.

Pochłaniał oczami uroczą postać narzeczonej, z poetyckim natchnieniem wyrażał swój podziw i z nabożeństwem całował jej rękę. Elżbiety Batorówny jakby w ogóle nie spostrzegł. Panna młoda słuchała w milczeniu potopu zachwy-tów narzeczonego, niekiedy tylko przez jej twarz przemy-kał wymuszony uśmiech.

Różnica między nimi każdego biła w oczy.

Naręczony promieniał szczęściem, tryskał wesołością, a oblubienica była smutna, bardzo smutna...

Oblawa na zbójników i zagadkowy pocałunek

Akurat, gdy graf Nyáry zasiadł w powozie obok narzeczonej, do bramy, ledwie trzymając się na koniu, wpadł hajduk wysłany z nadaniem wyśledzenia zbójników. Żołnierze i goście weselni w popłochu uskakiwali mu z drogi, Podjechał do samego powozu i tam zwałił się z konia na ziemię.

Graf Nyáry natychmiast wyskoczył z powozu, kazał przynieść wody, poczym uśmiechając się do Elżbiety Batorówny, rzekł z przekonaniem:

— Głowę dam, że mój hajduk wypenetrował kryjówkę zbójników!

Na hajduka chlusnęli wiadro wody. Zerwał się, powiódł wzrokiem po wpatrzonych weń z napięciem obliczach i zawołał radośnie:

— Wyśledziłem zbójników, jaśnie oświecony panie!

— Gdzie są, gdzie? — przyskoczył do niego Ficko. Aż dygotał z podniecenia. I dlatego zapewne nie spostrzegł, że hajduk stoczył się z konia podejrzanie szczęśliwie, a oblany wodą tak szybko wrócił do życia i przytomności, jakby ten zabieg wcale nie był potrzebny.

— Gdzie są w tej chwili, nie wiem — mówił hajduk zdyszany głosem — bom natychmiast pośpieszył do Czachtic, aby zameldować, że ich wyśledziłem. Byli w lasku między Nowym Miastem i Wagiem. Teraz już ich tam nie ma, albowiem gdy ja pędziłem co koń wyskoczy do Czachtic, oni zaczęli się przeprawiać przez Wag.

— Trzeba ci było jechać za nimi! Za Wagiem przepadną! — wybuchnął Ficko.

— Nie przepadną zaprzeczył hajduk zadba o to pandur, z którym ich szukałem.

— Dobrze uczyniłeś, żeś natychmiast wrócił z tą wieści — rzekł graf Nyáry. — Ilu zbójników widzieliście w owym

lasku?

— Jeno jednego, takiego niskiego, pokrzywionego...

— Wawrzka! — wykrzyknęła Elżbieta Batorówna z nienawiścią i bezwiednie dotknęła uda, jakby otworzyła się zablizniona rana.

— Tak jest, jaśnie oświecona pani, Wawrzka. Natknęliśmy się na niego w Nowym Mieście, a kiedy opuścił miasto z ciężkim worem na plecach, ruszyliśmy za nim. W lasku zniknął w jakiejś jaskini. Zaczailiśmy się z pandurem u jej wejścia. I posłyszeliśmy głos Wawrzka: „No, jestem już chłopcy, gotujcie się do drogi! Podjemy sobie i hajda za Wag!” Nie czekałem dłużej. Przykazałem pandurowi, by dawał baczenie na zbójników, a sam pogałem tutaj.

— Znamienicie! — rozpromieniła się grafka. Wezwał dowódcę żołnierzy: — Ruszajcie natychmiast na zbójników!

Trębacz zatrąbił, żołnierze jęli się zbiegać, przygotowywać konie i broń. Ficko ściągał hajduków, lecz pani go powstrzymała:

— Ty przyłącz się do wyprawy, ale hajduków zostaw. Zamek nie może zostać bez straży i ochrony.

— Raczej niechaj ich weźmie — ozwał się graf Nyáry — Mam tu dwudziestu hajduków. Do ochrony zamku wystarczy dziesięciu. Reszta również może się przyłączyć do obławy. Im więcej ich będzie, tym lepiej. Nową kryjówkę zbójników trzeba dokładnie otoczyć, aby ni jednemu nie udało się umknąć. Jeśli bodaj jeden zostanie na wolności będzie nasieniem, z którego wyrośnie nowa banda.

Elżbieta Batorówna wyraziła swą zgodę.

Chwilę później zbrojny poczet dosiadł koni, czekali już tylko na komendę, by wyruszyć. Orszak ślubny, stłoczony wokół powozu, w którym siedziała śmiertelnie blada Erzika, czekał na odjazd obławy.

Wreszcie z ogromnym zgiełkiem wypadli z podwórca. Graf Nyáry znowu zajął miejsce obok Erziki.

— Niepomierne mi przykro, droga moja, lecz wnet po obrzędzie ślubnym zasmucę was swoim odjazdem.

Nie zdołała utaić radości.

— Widzą — uśmiechnął się obłudnie — iż nie będziecie mnie zatrzymywać. Odwdzięczę się wam za to rychłym powrotem, już wieczorem znowu będę przy was.

Jakby nagły poryw wichru uniósł jej radość.

— Boli mnie — uśmiechnął się cierpko — że mój odjazd was cieszy. A jeszcze bardziej boli mnie świadomość, iż prosilibyście, abym został, gdybyście wiedzieli, dokąd i po co się udam.

— Rozniecacie moją ciekawość, panie!

— Zaspokoję ją, nie zwlekając. Uważam za swoją powinność wziąć udział w wyprawie na zbójników przede wszystkim dlatego, by się pozbyć swego najgroźniejszego rywala.

— Macie na myśli Andrzeja Drozda?

— Zgadliście. Cóż to? Zbiera się wam na płacz, droga moja? No, wypłaczcie się, opłaczcie swojego miłego jeszcze przed ślubem!

Nie było potrzeby namawiać jej do płaczu. Nie zdołała by się już opanować nawet bez tej groźby dotyczącej Andrzeja Drozda. Toć chwile jej wolności są policzone. Jeszcze godzina, pół godziny, a zostanie żoną człowieka, którego nie kocha.

Raczej umrzeć!

Łzy płynęły jej strumieniem po bladej twarzy, nawet wtenczas, gdy wysiadła z powozu i wchodziła do kościoła.

Ludzi, którzy widzieli ją taką zapłakaną, ogarniała litość, choć jeszcze przed chwilą uważali, że wydając się za wielmożę wygrywa wielki los. Narzeczony za to był niewiarygodnie wesoły, jakby chciał zrekompensować brak radości

u oblubienicy.

Orszak ślubny wkroczył za narzeczonymi do kościoła a wrota kościelne zamknęły się z łoskotem. Erzika, która już siedziała w kolatorskiej ławce Nádsadych po lewej stronie ołtarza, wzdygnęła się.

Zdało się jej, że to zatrzaśnięto za nią drzwi krypty...

Wierni zaintonowali radosny pean, który w jej udęczonej sercu rozbrzmiał jak tren żałobny.

Koniec, koniec, wszystkiemu... Gdy przebrzmi śpiew, ksiądz zwiąże ją na zawsze z człowiekiem, którego nie kocha i nigdy nie zdoła pokochać...

Rozpląkała się. Elżbieta Batorówna obróciła się do niej z miną złowrogą

— Erziko — ścisnęła ją z rozdrażnieniem za rękę — opamiętaj się, opanuj! Polegaj na mojej obietnicy. Zostaniesz wdową wcześniej, niż przypuszczasz!

Z drugiej strony nachylił się ku niej graf Nyáry z niezwykle poważnym obliczem.

— Ja tylko udawałem, Erziko — szeptał głosem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała, tchnącym czułością i szczerością. — Pomściłem się na tobie za to, że w Preszporku tak niemiłosiernie urażałaś moją dumę, wziąłem odwet. Odpłaciłem ci za zniewagi. Ale odpłacę i za twoją szlachetność. Bo choć nienawidziłaś mnie, ostrzegłaś, co mi grozi. Nie zostaniesz moją żoną.

W miarę jak mówił, Erzika najwyraźniej ożywała. Elżbieta Batorówna wyteęzała słuch, aby pochwycić słowa, które osuszały łzy w oczach córki i rozjaśniały jej twarz, lecz daremnie. Słyszała jedynie nader podejrzany szept.

— Nie poślubicie mnie? — wzruszona chwyciła go - za ramię i w nawale radości ścisnęła gwałtownie.

— Nie. Wydam cię za twojego miłego.

Erzika czuła, że może mu wierzyć, i niespodzianie ujęła

go oburącz za głowę, przyciągnęła ku sobie i na oczach całego kościoła ucałowała.

Elżbieta Batorówna poczerwieniała z gniewu i gwałtownym szarpnięciem przyciągnęła ją do siebie. A kiedy obrzuciła grafa nienawistnym spojrzeniem, zdumiała się: stary galant oblał się rumieńcem niczym młodzik.

Erzika z podniesioną głową wpatrywała się przed siebie. Serce jej waliło, przepełnione szczęściem. I śpiewała radosny pean dźwięcznym głosem, który wplatał się w płynący z głębi dusz śpiew, pogodny teraz jak promienie słońca wpadające przez okna i rozjaśniające półmrok kościoła.

— Zaufaj mi. Erziko — szepnął graf Nyáry po chwili, nie zważając na gniewne spojrzenia Elżbiety Batorówny, skonsternowanej dziwnym zachowaniem oblubieńców. — Moje rachuby zawiodłyby jedynie w wypadku, gdyby Andrzej Drozd się spóźnił. Ale na pewno przybędzie w czas. Gdyby wszakże się opóźnił, zemdlej. Na mój znak padnij na posadzkę jak bez życia. Nie żałuj ślubnej szaty!

17. Same niespodzianki

Właściwy oblubieniec

Paweł Lederer nie przyłączył się do orszaku ślubnego. Ukrył się za drzwiami swej izdebki, aby mu nie kazano wziąć udziału w obławie na zbójników albo nie przydzielono jakiegoś zadania w orszaku weselnym. Miotają nim wątpliwości, jak powinien postąpić. Sumienie nakazywało mu działać w kilku sprawach, co wszakże jest pilniejsze? Pierwsza sprawa — Nyáryego. Wie, że mają go otruć. Chciał go przestrzec, lecz daremnie wypatrywał sposobności. Czy ma zostać i za wszelką cenę zwrócić mu uwagę na grożące niebezpieczeństwo? Drżał także o zbójników. Czy nie powinien wyprawić się do nich natychmiast i powiadomić, że prześladowcy są na ich tropie? Jeśli zbójników schwytają, co czeka Magdusię, jej matkę i Mariszę? Barbarze nic nie grozi. Znudziło się jej ukrywanie, tym bardziej, że nie miała powodu się ukrywać, i wróciła do Nowego Miasta, do matki. Z goryczą w sercu pomyślał, że niechybnie już oprzytomniała z miłosnego omamienia. O ojca także się nie obawiał, wierzył, że Ficko istotnie mu daruje. Drżał natomiast o matkę przyjaciela i obie dziewczyny. Ficko jedynie dlatego dotychczas je oszczędzał, że potrzebne mu były jako przynęta, na którą mógłby złowić zbójników. Kiedy będzie miał ich w garści, nie oprze się już żą-

dzy, jaką pała do Magdusi Kalinianki, i nie poskromi żądz zemsty: stara Kalinowa i dziewczęta wpadną w jego łapy.

Gdy orszak ślubny wypłynął z podwórca, Paweł opuścił swoją kryjówkę, wyprowadził ze stajni konia i zawołał do służebnych oraz hajduków:

— Gdyby mnie szukali, powiedzcie, zem się przyłączył do wyprawy na zbójników!

I pomknął jak strzała pod Ostre Wzgórze. Uciekinierzy mieszkali na zboczu wzgórza w domku otoczonym drzewami niczym strażą, kupionym za pieniądze, które Paweł dał ojcu. Pędził co koń wyskoczy, aby jak najprędzej przeprowadzić zagrożonych w inne miejsce.

Tymczasem w kościele dobrzmiała pieśń i nadeszła straszna dla Erziki chwila.

Elżbieta Batorówna wystąpiła z ławki, a za nią Erzika z grafem Nyárym i Beniamin Priborsky z żoną. Stanęli pod pozostała po katolikach wieczną lampką, o którą ewangelicy dbali pieczołowicie, by nie zgasła panował bowiem przesąd, że jeśli się to stanie, kościół się zawali. Wierzył w to również graf Franciszek Nádsady, który zabrał kościół katolikom, toteż corocznie przydzielał pastelowi beczkę oliwy, przypominając z naciskiem, aby strzegł wiecznego światła jak oka w głowie.

Jan Ponicens dostojnym krokiem zbliżył się do obluźbieńców.

Erzika zbladła.

Przeszyło ją straszne podejrzenie. Jakże mogła uwierzyć słowom grafa Nyáryego? Jakże Andrzej Drozd mógłby się tutaj zjawić, skoro jest już gdzieś za Wagiem i depcze mu po piętach ponad trzystu prześladowców? a gdyby nawet się zjawił, nie jest możliwy taki cud, aby zajął miejsce grafa Nyáryego i wyprowadził ją z kościoła jako swoją żonę. Przecie jej nie kocha! a choćby ją kochał — czy by ją posłubił?

Pastor zaczął celebrować obrzęd. Wtem stało się coś niewiarygodnego. Wieczna lampka zaskwierczała raptem i zgasła.

Ludzie zamarli z przerażenia pewni, że kościół zaraz się zawali. Nic się jednak nie stało. Wierni odetchnęli z ulgą — zgaśnięcie wiecznej lampki uznali za zły omen dla przyszłego stadła.

Jan Ponicensus również był poruszony tym wydarzeniem. Na cały kościół zawołał do zakrystiana:

— Co stoisz, zapal lampkę!

Po chwili w lampce zamigotał czerwony płomycek.

Tylko na pannie młodej zgaśnięcie wiecznego światła nie wywarło żadnego wrażenia, w ogóle tego nie zauważyła. Tchnący powagą głos pastora przyprawił ją o drżenie. A więc jednak graf Nyáry igrał sobie z jej udręczonym sercem!

Nogi się pod nią ugięły.

Nie na znak grafa Nyáryego, który jakby tylko ciałem przebywał tu, w kościele, a duchem błądził gdzieś daleko. Mimo to spostrzegł, że śmiertelnie błada Erzika osuwa się na ziemię. Pochwycił ją, lecz Elżbieta Batorówna wydarła mu narzeczoną z ramion i przyłożyła jej do twarzy nasyconą silnym pachnidłem chusteczkę.

Erzika ocknęła się z omdlenia w matczynych objęciach. Graf Nyáry rozglądał się niespokojnie po kościele, jakby na coś czekał. Coraz częściej zwracał wzrok na drzwi. A że weselnicy baczyli na wszystko, co się dzieje wokół proboszcza, nie uszło ich uwagi podejrzané zachowanie narzeczonego.

Naraz wszyscy odwrócili się ku drzwiom. Dobiegał spoza nich odgłos licznych kroków i gwar. Graf Nyáry, odetchnąwszy z wyraźną ulgą, już znowu beztrąsko się uśmiechał. Błada twarz Erziki, która gwałtownie wyrwała się z objęć matki, oblała się rumieńcem.

Drzwi świątyni otwały się na oścież.

Na twarzach gości weselnych, którzy pierwsi ujrzeli wchodzących, odmalowało się osłupienie. Grom z jasnego nieba nie wywołałby takiego wrażenia jak pojawienie się zbójników, w pościg, za którymi ledwie przed godziną wyruszyło ponad trzystu ludzi. Szli roześmiani, wystrojeni odświętnie. Osłupienie ustąpiło radości Czachticzenie — gdyby nie znajdowali się w kościele i gdyby nie obawiali się zemsty grafki — tańczyliby z uciechy, wiwatowali i pochwycili zbójników w ramiona.

Tylko w przednich ławkach, gdy tłum się rozstał dając drogę przybyłym, nie przejawiano radości. Tam siedzieli szlachetnie urodzeni goście Elżbiety Batorówny, których gdy ochłonęli ze zdumienia, ogarnął lęk. Obmacywali kieszenie i klejnoty, przeświadczeni, iż za chwilę będą musieli się z nimi pożegnać.

Jan Ponicensus stał znieruchomiły, nic nie pojmując. Lecz pomału zaczęło mu świtać w głowie. Uśmiechnięty, zachowujący spokój i zimną krew narzeczony bez słów wyjaśniał wszystko. Elżbieto Batorówna zamarała i wpatrywała się w zbójników wytrzeszczonymi oczami. Na ich czele kroczył Andrzej Drozd, barczysty olbrzym, o dwie albo i trzy głowy wyższy od swoich druhów. A obok niego — na Boga czy to możliwe? Kapitan pandurów Imrich Kenderessy w paradnym mundurze, czerwonym jak jego ogorzale uśmiechnięte oblicze. Iluż ich tu jest? Jeden, dwóch, pięciu dziesięciu, dwudziestu! Dwudziestu zbójników! Gdzie i kiedy drużyna Drozda tak się rozrosła? a to jeszcze nie wszyscy. Niejedne oczy daremnie szukały Jana Kaliny, co prosto ze szkół poszedł w góry, jakby od małego uczył się na zbójnika.

Erzika wpatrywała się w Drozda rozjarzonymi oczyma z bijącym sercem. Zdało się jej, że zaraz umrze. Och, czy wzrok jej nie mami? Z jakimż oddaniem przyłgnęły do niej oczy Andrzeja. Pałają, czuje ich dotyk na całym ciele. Nie

zdołała się opanować. Pobiegła mu naprzeciw. Zawisła mu na szyi. Zamknął ją w ramionach, obsypał pocałunkami, a potem, rozpierany szczęściem, uniósł w górę jak piórko i szepnął rozedrganym głosem:

— Erziko, już za chwilę stuła zwiąże nasze ręce na zawsze.

— Na zawsze... — odszepnęła jak echo i rozplakała się tak serdecznie, że czachticzanom łzy cisnęły się do oczu. Lecz były to łzy radości i szczęścia...

Burza w kościele

Czachticka pani rozważała gorączkowo, jak wybrnąć z tej opresji, złapać zbójników w potrzask i uchronić córkę przed haniebnym związkiem. Jedyłą nadzieję pokładać w grafie Nyárym, ale gdy spostrzegła na jego obojętnej twarzy ironiczny uśmiech, pojęła, że to właśnie on wszystko uknuł. Dlatego grał z nią komedię, to wyjaśnia również jego tajemnicze szepty z Erziką.

— Łotrze! — wrzasnęła, lecz puścił obrazę mimo uszu, uśmiechnąwszy się zwycięsko do pary młodych.

Grafka rzuciła się między nich jak jastrząb i chwyciła Erzikę za ramię.

— Rozkazuję ci, Erziko, odstęp od tego człowieka! — Wybuch gniewu i nienawiści tak wykrzywił jej twarz, że Erzikę mróz przeszedł. Czuła, jak paznokcie matki wbijają się w skórę jej ramienia. Jednakże oświadczyła stanowczo:

— Nie, nigdy go nie odstąpię!

Matczyne paznokcie wbiły się w jej ramię niczym szpony drapieżnego zwierza, aż jęknęła z bólu, a śnieżnobiały rękaw sukni zabarwił się krwią.

— Ladacznico! — syknęła grafka, puściła jej ramię

i uniosła rękę, chcąc ją uderzyć.

Wtem jak błyskawica przyskoczył Wawrzek, chwycił ją za ramiona, uniosł w górę jak worek, kiedy zarzuca się go na plecy, i cisnął do pustej kolatorskiej ławki. Bliska była szaleństwa, ale na widok potężnych, zaciśniętych pięści Wawrzka, gotowych młócić jak cepy, zdjął ją strach. Zdało się jej, że jego wyszczerzone zęby wgrzyzą się w nią zaraz niczym wilcze kły.

— Siedź cicho jak trusia, jeśli ci żywot miły! — pogroził jej Wawrzek. Nie miała wątpliwości, że jeżeli nie posucha, marny będzie jej los.

Czachticzenie wpatrywali się w Wawrzka z podziwem. Oto ten człowiek upokorzył magnatkę, przed którą wszyscy drżeli, upokorzył tak, że nie ośmiela się głośniej odetchnąć! Jakaż to radość widzieć ją taką poskromioną, bezsilną!

Andrzej Drozd i Erzika Priborska stanęli przed proboszczem. Jan Ponicensus zwrócił na nich oczy z ogromną, czułością, błogosławiąc spojrzeniem.

— Zaślubcie nas, księżu proboszczu! — poprosił Andrzej Drozd.

Elżbieta Batorówna z napięciem śledziła każdy ruch pastora. Był ostatnią jej nadzieją. Już tylko on może uratować sytuację. Nikt nie może go zmusić do udzielenia Erzice ślubu ze zbójnikiem. Lecz widząc jego łagodne, promieniejące zadowoleniem oblicze straciła i tę ostatnią nadzieję.

Jan Ponicensus zaczął celebrować obrzęd ślubny ze wzruszeniem i niezwykłym dostojeństwem. Nikt nie miał wątpliwości, iż czyni to z głębi serca.

— Jeszcze ja mam tu coś do powiedzenia! — zawołał Benjamin Priborsky, wreszcie zdobywając się na czyn. — Nie dozwolę, aby moja córka poślubiła zbójnika!

Z pięciu zbójników podsunęło się doń z groźną miną. Wtem wzrok jego padł na grafa. Wzburzyła go uśmiechnięta twarz, niedoszłego zięcia.

— Nie macie krwi w żyłach, panie? — zgromił go, czerwieniąc. — Jesteście babą, tchórzem, skoro powalacie odebrać sobie narzeczoną!

Graf Nyáry widział, że Beniamin Priborsky nie domyślił się, dzięki komu sprawy tak się potoczyły. Tak go to ubawiło, że aż się roześmiał.

— Nie jestem babą ani tchórzem odparł — lecz członkiem rozsądnym. Nie wdaje się w beznadziejną walkę!

— A jeśli i ty nie nabierzesz rozumu — zagroził Priborskiemu Wawrzek — wbijemy ci go do głowy pięściami!

Tymczasem Elżbieta Batorówna szukając rozpaczliwie wyjścia wpadła na zbawczą myśl. Przybrała majestatyczną pozę i zawołała:

— Czachticzenie!

Wawrzek obrzucił ją wściekłym spojrzeniem, lecz ciekawość przemogła gniew. Niechaj powie, co chce powiedzieć.

— Czachticzenie! — powtórzyła grafka — Każdego, kto ma powinność odrabiać u mnie pańszczyznę, na trzy lata z niej zwolnię, kto płaci daninę, przez trzy lata nie będzie musiał dać mi ani denara. Pozwolę wam sprzedawać we wszystkich moich wsiach wino z przyszłorocznych zbiorów, a wojsko dziś jeszcze odejdzie z Czachtic, jeśli mi pomożecie. Otoczcie kościół i schwytajcie zbójników!

Teraz już Wawrzek wystąpił.

— Możesz obiecywać czachticzanom złote góry — krzyknął. — Ja zaś obiecuję ci tylko jedno: jeżeli ktoś złapie się na lep twoich obietnic, którymi tak szczerze szafujesz będąc w potrzebie, ale wnet o nich zapomnisz, gdy znajdziesz się na wozie — przysięgam, iż tak cię wygrzmocę, że do śmierci popamiętasz!

W kościele nikt nawet nie drgnął. Elżbieta Batorówna ze zgrozą uświadomiła sobie, że nic już nie pomoże, i przera-

żona spojrzała na potężną pięść Wawrzka: sterczała już przed jej nosem.

Wszystko stracone!

Zemdlona osunęła się na ławkę. Podbiegły służebne, aby ją ocucić, lecz Wawrzek przegnał je groźnym spojrzeniem.

Obrzęd ślubny miał się ku końcowi,

Andrzej i Erzika zostali złączeni małżeńskim węzłem.

Zwarty mur zbójników poruszył się. Jeżeli dawać znaki ludziom, aby zrobili przejście.

Andrzej Drozd ujął Erzikę pod ramię, podszedł wraz z nią do grafa Nyáryego i podał mu rękę.

Ludzie nie wierzyli własnym oczom.

Wielmoża serdecznie ucisnął rękę zbójnika.

— Dziękuję wam, panie, dziękuję z całego serca — rzekł Drozd, a Erzika przyłączyła się do podziękowań męża.

Teraz wszystko stało się jasne.

A więc graf Nyáry aż do samego ślubu grał komedię, tak samo jak i panna młoda, wyraźnie uszczęśliwiona zamianą narzeczonych. Takich zaślubin świat jeszcze nie widział. Na myśl o żołnierzach i hajdukach, którzy z Fickiem ścigają zbójników gdzieś za Wagiem, podczas gdy ci panoszą się w Czachticach, nawet wielu panów nie mogło powstrzymać uśmiechu.

Graf Nyáry szepnął do Drozda:

— Pośpieszcie się, chłopcy, bo diabeł nie śpi, waszym prześladowcom mogą otworzyć się oczy i wrócą wcześniej, niż się spodziewamy. Rozgośćcie się w przygotowanej kryjówce. Przybędę do was!

Promieniejąca szczęściem młodą parę odprowadzało mnóstwo życzliwych oczu. Elżbiecie Batorównie oszczędzony został ten widok, albowiem nie ocknęła się jeszcze z omdlenia. Przed kościołem zbójnicy wskoczyli na konie. Andrzej Drozd uniósł Erzikę jak piórko i posadziwszy

przed sobą w siodle ruszył z kopyta, a zbójnicy za nim,

Z kościoła wyroił się tłum czachticzan i gości weselnych. Na dziedzińcu zaszumiało jak w ulu.

Goście weselni uważali, że najrozumniej będzie wynieść się natychmiast. Żegnali się jedynie z grafem Nyárym, z którego daremnie usiłowali wyciągnąć, dlaczego wszedł w komitywę ze zbójnikami. Na pytania odpowiadał tajemniczym uśmiechem.

— Dziwicie się mojemu postępowaniu. Zapewniam was, że wkrótce jeszcze bardziej będziecie się dziwić.

Po długich zabiegach służebne wreszcie ocuciły Elżbietę Batorównę.

Rozejrzała się po kościele. Pojęła, że jest już po wszystkim. Zbójnicy zniknęli, a jej córka stała się żoną zbójnika. Oczy czachtickiej pani spotkały się z oczami grafa Nyáryego.

Ten, kto pochwycił ich spojrzenia, nie miał wątpliwości, że oto stoją przed sobą nieubłagani wrogowie.

Wyszła z kościoła. Kroczyła dostojnie, nie zwracając uwagi na nikogo, z utkwionym przed siebie nieruchomym i nieprzytomnym wzrokiem. Nie śmie opuścić Czachtic żywy!

Kiedy graf Nyáry wrócił do zamku, aby się spakować i wykonać, co sobie zamierzył, zebrał na podwórku swoich hajduków:

— Miejcie broń w pogotowiu, a oczy i uszy otwarte! Grozi mi niebezpieczeństwo. Gdy posłyszycie mój gwizd albo okrzyk, wedrzyjcie się do zamku choćby po trupach!

Wszedł do zamku. Na korytarzu zatrzymał służebną:

— Gdzie jest twoja pani?

— W sypialni, położyła się — odparła zalekniona. Gdy dziewczyna oddaliła się na tyle, że nie mogła go widzieć bezszelestnie podkraść się do drzwi sypialni czachtickiej

pani i schylił się ku dziurce od klucza.

Elżbieta Batorówna leżała w łożu, a Majorowa nacierała jej skronie jakąś maścią. Przy łożu stały Dora, Ilona i jeszcze kilka kobiet.

— Słuchacie uważnie, co powiem. — rzekła posepnie — Graf Nyáry nie śmie opuścić zamku. Gdyby się to stało ukarzę wszystkie surowo, a jedna z was umrze śmiercią, jaką miał umrzeć graf Nyáry.

Służebne zaczęły lamentować, że w zamku nie ma prawie ni jednego mężczyzny, wszyscy przyłączyli się do wyprawy na zbójników. Jak bez nich dadzą sobie radę?

— To wasza sprawa. Rozkazuję wam przyprowadzić tu grafa żywego lub umarłego!

Podszuchującemu to wystarczyło. Wyprostował się, zaciął zęby i pewnym krokiem ruszył do swojej izby.

Najniebezpieczniejszy wróg

Paweł Lederer nie oszczędzał konia. Gdy wreszcie dojrzał Ostre Wzgórze, koń był zgoniony, spływał pianą. Zwolnił trochę i rozejrzał się, czy ktoś go nie obserwuje. Ale wokół nie było żywego ducha, tylko przed nim szła młoda kobieta, odziana po miejsku. Nie była więc służebną ani poddanką Elżbiety Batorówny, której mogłaby wypłacić, że spotkała w pobliżu Wierzbowic czachtickiego zamcznika.

Już chciał ją minąć, kiedy wszakże zawadził o nią spojrzeniem, ściągnął gwałtownie konia.

Była to Barbara Repaszówna. Ją także zaskoczyło to nieoczekiwane spotkanie po długich miesiącach niewidzenia.

Paweł często o niej myślał, a w miarę upływu czasu słabło rozgoryczenie jej zdradą. Ciągłe wspominał swój po-

wrót z obcych krajów, z jaką skrucą i miłością go powitała. Przy tym wspomnieniu tajało mu serce, krew żywiej poruszała krążyć i wyrzucał sobie, że tak bezlitośnie ją odtrącił. Marzył o spotkaniu, coś go jednak powstrzymywało przed uczynieniem kroku do zgody i chociaż wiedział, że wróciła już do Nowego Miasta, nie pojechał do niej.

— Barbara! — zawołał rozradowany, zeskoczył z konia i podbiegł do niej.

Ale na jej twarzy nie dojrzał radości. Ręka, którą mu podała, zimna była jak lód.

— Nie cieszysz się, żeśmy się spotkali? — spytał z wymówką i aż go zakłuło w sercu, gdy wpatrywał się w jej pobladłą twarz i smutne oczy.

— Cieszyłabym się, gdybyśmy spotkali się nie przypadkiem i gdybym w ogóle potrafiła się jeszcze cieszyć.

— Być może nie przypadek, lecz przeznaczenie sprawiło, że się spotykamy, bym mógł ci powiedzieć, że już się na ciebie wcale nie gniewam.

— Że już się nie gniewasz! — uśmiechnęła się gorzko. — Gniewałeś się na mnie za moją miłość, za moją udrękę, za to, że nie mogłam żyć bez ciebie. Ale to już należy do przeszłości. Nasze drogi na zawsze się rozeszły, tak jak chciałeś.

Paweł Lederer patrzył na nią jak urzeczony, wchłaniał w siebie jej widok. Nigdy jeszcze nie zdała mu się tak piękną jak teraz i nigdy jeszcze tak gorąco nie pragnął wziąć ją w ramiona i uczynić szczęśliwą. Lecz znowu zmroziło go podejrzenie, że ona już go nie kocha. Odwrócił się i podszedł do konia.

— Dokąd jedziesz. Pawle? — zapytała nagle podejrzliwym tonem.

Zaskoczony był jej pytaniem i głosem.

— Wiem, dokąd jedziesz — wybuchnęła nie doczekaw-

szy się odpowiedzi. — Do chaty pod Oстрыm Wzgórzem. Tam ciągnie cię serce.

— Tak — odparł — tam przebywa mój ojciec.

— I Magdusia, nie?

Zdumiały go te pytania. Wyczuł w nich niezmierną gorycz, której przyczyny nie umiał odgadnąć.

— Tedy jedź do swoich najmilszych, których i ja zamierałam odwiedzić. Przekaż im pozdrowienia ode mnie i wiadomość, że uczynię to, do czego tak jednomyślnie mnie namawiali. Powiedz im, że mój ślub odbędzie się wkrótce.

— Wydajesz się za mąż? — spytał osłupiały.

— Tak!

Obrócił się na pięcie, wskoczył na konia i ruszył z kopyta.

Barbara idzie za mąż, i znowu za innego!

Płonął gniewem, nie zastanawiając się nawet, czy ten gniew jest uzasadniony. Przysięgał sobie, że więcej na nią nie spojrzy, a gdyby mieli się spotkać, ominie ją na milę.

Barbara patrzyła za nim, póki nie zniknął wśród drzew. Oczy zalały się jej łzami. Wolnym krokiem zawróciła do Nowego Miasta, oglądając się co chwila, czy drogą nie jedzie jaki wóz, chciała bowiem poprosić furmana, aby podwiózł ją chociaż kawałek.

Paweł Lederer odetchnął z ulgą, gdy z chaty pod Oстрыm Wzgórzem, czekając radośnie: wybiegł mu na spotkanie Cerber, a wnet za nim ukazał się ojciec. Padli sobie w objęcia. Ojciec, który dawno już cofnął swoje przekleństwo, na widok syna jakby odmłodził.

— A gdzie jest reszta? — zapytał Paweł,

— Z samego rana pojechali na wesele.

Paweł wytrzeszczył oczy:

— Na jakie wesele?

— To ty nie wiesz? — roześmiał się ojciec jak z udanego żartu. Po chwili śmiał się i syn, dowiedziawszy się, jakie widowisko stracił w Czachticach. Wyobrażał sobie wściekłość Elżbiety Batorówny i jak Ficko będzie kłaść, kiedy się dowie, że graf Nyáry wodził ich za nos.

— A gdzie się odbędzie wesele? — wypytywał, gdyż postanowił sprawić niespodziankę młodej parze nieoczekiwanymi odwiedzinami.

— W zameczku myśliwskim grafa Nyáryego. Zbójnicy tak mu ufają, jakby był jednym z nich!

— Ostrożność by nie zawadziła — rzekł Paweł Lederer. — Usłużność i miłość grafa Nyáryego są nader podejrzone, kto wie, co kryje w zanadrzu.

Gdy opowiedział ojcu o spotkaniu z Barbara, stary Lederer zatroskał się:

— Miej się przed nią na baczności, Pawle. Wiem, co było między wami, zwierzyła mi się ze wszystkiego. Miłowała cię do szaleństwa. Ale kiedy ją odtrąciłeś i zacząłeś jej unikać, rozgorzała nienawiścią. Nieraz zdejmował nas strach, że pójdzie do zamku i wyda cię. Okrutnie jest zazdrosna o Magdusię. Toteż ucieszyliśmy się, gdy usłuchała matki i wróciła do domu. Wydaje się, za mąż? Namawialiśmy ją do tego. To najlepsze rozwiązanie.

Nie pragnął takiego rozwiązania, lecz ojcu tego nie powiedział, chociaż podzielał jego zdanie, że odtrącona kochanka staje się najniebezpieczniejszym wrogiem.

Chwilę później kłusował do myśliwskiego zameczku grafa Nyáryego.

Przywitano go tam entuzjastycznym wrzaskiem. Czuł się jak w bajce. W urządzonych z przepychem komnatach rozpierali się zbójnicy, a lokaje obsługiwali ich jak panów, Graf Nyáry jeszcze nie przybył. Nie było też Mariszy Szutowskiej ani siostry i matki Jana Kaliny. Pawła to zaniepokoiło, ale milczał. Nie chciał mącić ogólnej radości.

Wkrótce zaczął się żegnać. Daremnie go zatrzymywali, Andrzej Drozd, będący dziś w siódmym niebie, objął go serdecznie.

— A dawaj baczenie na żonę — żartobliwie upomniał go Paweł — bo ci ją porwiemy z Fickiem i sprzedamy Turkom.

Erzika zbladła, kiedy się dowiedziała, jakie niebezpieczeństwo jej groziło.

Paweł zapytał jeszcze o Jana Kalinę. Okazało się, że Kalina pojechał do Mikołaja Loszonskiego, ale lada chwila powinien się zjawić.

— Kasztelan żyje? — ucieszył się Lederer.

— Żyje! — odparł Wawrzek. — I dziś jeszcze ma się z nami weselić.

Pragnienie Barbary spełniło się — niebawem posłyszał za sobą turkot wozu. Gdy wszakże na wozie ujrzała kobietę, z którą raz już miała do czynienia, w pierwszym odruchu chciała uciec, lecz nie mogła. Kobieta — a była to Erza Kardoszowa — sama jej zaproponowała, aby się przysiadła. Że niby szkoda zdzierać takie śliczne nóżki chodzeniem. Erza była pijana i Barbara miała wrażenie, że jej nie poznała. Nie wdając się w debaty zacięła konie i w ogóle nie zwracała na nią uwagi. Siedziała odwrócona plecami, raz po raz pociągała z butelki i mruzczała nieprzystojne piosenki. Zaniepokoiło ją jednak, że Erza zamiast jechać prosto, ciągle zbacza.

Kiedy wreszcie wóz wytoczył się z gęstego lasu, zdumiona Barbara ujrzała przed sobą czachticki kasztel. W tej samej chwili Erza odwróciła się błyskawicznie, zarzuciła na nią płachtę, skrępowwała ją, zatkała jej usta, ułożyła na dnie wozu i przykryła wiązką słomy.

Paweł Lederer, który akurat przycwałował pod kasztel zdrętwiały obserwował tę scenę. Zaciskał pięści, by nie

rzucić się na staruchę, która rechotała tryumfująco i z ukontentowaniem zacierała ręce. Ale tym by się zdradził i musiałby uciec z uwolnioną Barbarą a jemu nie wolno się zdradzić. Nie spełnił jeszcze swego zadania.

Erza zaś perorowała nad związaną i przyrzuconą słomą ofiarą:

— Raz mi uciekłaś, ale teraz nie uda ci się! Wszelako nie obawiaj się, tam gdzie cię zawiozę, nie będzie ci smutno. Znajdziesz tam swoje przyjaciółki, Magdusię i Mariszę, i starą Kalinową na dodatek! Albo też one cię znajdą, bo jeżeli jeszcze ich tam nie ma, tylko patrzeć, jak je przywloką.

Niezdecydowanie patrzył za odjeżdżającym wozem. Co zrobić? w końcu po krótkim namyśle pognął na przelaj do tajnego wejścia za kasztelem. W pobliżu wejścia zeskoczył z konia, uwiązał go do drzewa, a sam bezgłośnie, skulony zakradł się do kępy zarośli nad wejściem. Stamtąd mógł obserwować wszystko dokoła.

Niebawem na drodze ukazał się wóz. Zatrzymał się opodal tajnego wejścia, a Erza rozejrzała się na wszystkie strony. Paweł był kontent z siebie. Dobrze przewidział, że Erza odda swoją ofiarę nienasyconym lochom przez to właśnie wejście.

Erza przeświadczywszy się, że wokół nie ma żywego ducha, staszcyła Barbarę z wozu i powlokła ją do tajnego wejścia. Tam trzykrotnie klasnęła w dłonie. Zwodzone drzwi otwarły się natychmiast i wychynęła z nich uśmiechnięta złośliwie twarz Ilony.

— Jesteśmy! — zawołała Erza zwycięsko.

— To znaczy kto?

— Ja i pieczony gołąbek, co mi wpadł do wozu. Przechwalała się, jakie miała szczęście. Nie udało jej się zwerbować do służby ani jednej dziewczyny i oto kiedy wracała z niczym, cierpnąc ze strachu, jak pani ją zwymyśla i ukarze, nawinęła jej się Barbara.

— Dawaj ją tu, szybko — ponagliła Ilona miotana zawiścią, że Erzy się poszczęściło — bo jeszcze nas kto zobaczy!

— Dam ci ją, dam. Jeno zaświadczyć przed panią, że dostarczyłam ci jedną dziewczynę. Wtem spostrzegła przy wejściu hajduka.

— I ty zaświadczyć, jeśli będzie trzeba!

Hajduk pomógł Ilonie wciągnąć Barbarę do środka.

— A tamte już są? — spytała Erza.

— Są, chwała Bogu odparła Ilona. — Ilem się na nie naczeła, przemarzłam do szpiku kości.

— A hajduk cię nie rozgrzał? — zaśmiała się Erza.

Chwilę później Erza już znowu siedziała na kozle. Wóz zaturkotał. Paweł Lederer zaś przekradł się z powrotem do pozostawionego konia i pognał do Czachtic. Wniwecz obróciła się jego nadzieja, że uwolni Barbarę natychmiast. Zapomniał, że przy wszystkich wejściach do podziemi dniem i nocą stoi straż.

Popędzał konia i łamał sobie głowę, jak uwolnić Barbarę, Mariszę, Magdusię i starą Kalinową.

Musi je uwolnić, musi! Tylko jak?

Strzał w samo serce

Graf Nyáry wróciwszy z kościoła spakował się i przygotował do drogi, po czym udał się prosto do komnaty, w której Elżbieta Batorówna przechowywała jego testament. Drzwi komnaty stały otworem, lecz skrzynia była zamknięta. Znalazł jednak klucz na stole, otworzył skrzynię i wyjął testament — z grymasem pogardy przeczytał go jeszcze raz, zapalił świecę i przytknął do niej dokument.

Popiół z testamentu opadł akurat na stół, gdy drzwi

otwarły się gwałtownie i do komnaty wbiegła Elżbieta Batorówna.

— Rabuś! — krzyknęła. — Włamaliście się do skrzyni z dokumentami rodzinnymi Nádsadych i Batorych!

— Nie może być mowy o żadnym włamaniu! — graf Nyáry uśmiechnął się wyniośle. — Wasza służebna oświadczyła mi, że po wydarzeniach dzisiejszego dnia — które właściwie ugodziły mnie, a nie was, albowiem to mnie zbójnik odebrał przeuroczą żonę — zaniemogliście i położyliście się do łóżka. Nie chcąc zakłócać wam odpoczynku po tak emocjonujących przeżyciach, czcigodna przyjaciółko, postanowiłem, że sam wezmę ten dokument, który w obecnej sytuacji stracił rację bytu!

— Zrzuciliście maskę, nikczemniku, kamracie zbójników! Bo chyba nie zaprzeczycie, że pokumaliście się ze zbójnikami!

— Nie — zaśmiał się — nie zaprzeczę. Byłbym głupcem gdybym nie wszedł w komitywę ze zbójnikami. Sami się przekonaliście, że dało to dobre efekty. A w przyszłości da jeszcze lepsze. O tym również się przekonacie.

Przyskoczyła i chwyciła go za ramię. Oczy płonęły jej złowrogo.

— Co zamyślacie?

— Powiedzieliście, że zrzuciłem maskę. W istocie. Nie widzę potrzeby ukrywania swoich uczuć ani toczenia z wami skrytej walki. Chcę, abyście wiedzieli, komu zawdzięczacie ciągle porażki, i że właśnie ja doprowadzę was tam, gdzie winniście się znaleźć!

— To znaczy gdzie? — krzyknęła.

— Przed sąd! — rzekł podniesionym głosem.

— A więc wy chcecie postawić mnie przed świeckim sądem! — wyszczała. — Ale ja was ubiegnę. Postawią was przed sądem bożym, i to bezzwłocznie.

Nim się spodział, chwyciła ze stołu nabity pistolet i wymierzyła w niego.

Graf Nyáry chciał rzucić się na nią i wytrącić jej pistolet z ręki.

Ledwo wszakże się poruszył, komnatą wstrząsnął wystrzał.

Gęsty dym przesłonił wszystko, a Elżbieta Batorówna posłyszała głuchy łomot.

To graf Nyáry runął na ziemię.

Na korytarzu rozległ się tupot licznych nóg.

Zbiegała się służba, przestraszona wystrzałem.

Kiedy dym opadł, czachticka pani ujrzała bladą twarz grafa. Oczy miał zamknięte, a bekieszę na piersi poszarpaną, jakby rwały ją kły krwiożerczej bestii.

Roześmiała się zjadliwie:

— w samo serce cię trafiłam, drogi przyjacielu, w to podłe i zdradzieckie serce! życzę ci przyjemnej drogi do piekła.

Drzwi otwały się na oścież i do komnaty wpadła służba z Dorą na czele.

Z przerażeniem wybałuszyli oczy na grafa, leżącego na podłodze.

— Nie żyje? — ośmieliła się zapytać Dora.

— Tak sędzę — odparła pani sucho. — a jeśli żyje, daj mu popróbować napoju, który miał wypić na weselu. Mam nadzieję, że sama go nie wypijaś.

— Co to, to nie! — zarechotała Dora. — Jakoś nie brał mnie apetyt.

— Zabierz go stąd — poleciła pani — i zanieś do czeładni. Za życia rad się włóczył po takich nędznych norach za babami, to i po śmierci będzie się tam dobrze czuł.

Dora dźwignęła grafa i zarzuciła go sobie na plecy.

— A jak się ściemni — przykazywała pani — zakop go

w ogrodzie albo zanieś do lochów i wrzuć do przepaści. Raczej to drugie, bo biedny Wicher w grobie by się przewracał mając takiego plugawego sąsiada.

Dora wyszła w asyście milczącej służby. Graf bezwładnie kołysał się jej na plecach.

Elżbiecie Batorównie jego śmierć dała poczucie zadośćuczynienia za hańbę i upokorzenie, jakie jej zgotował. Spadł z niej miążdzący ciężar. Grafa Nyáryego zawsze urażała z najpodstępniejszego i najobludniejszego z ludzi. Dziś przeświadczyła się nadto, że był jej najgroźniejszym wrogiem.

Ale już nie żyje, a ona może swobodnie odetchnąć.

Otworzyła okno, aby wywiać swąd prochu. Dora akurat wyszła ze swoim brzemieniem na podwórzec.

Raptem podniósł się tam ogłuszający harmider. Elżbieta Batorówna wychyliła się z okna, aby zobaczyć, co się stało.

Dziesięciu wiernych hajduków długo i daremnie czekało na gwizd albo okrzyk swego pana. Właśnie się naradzali, czy który nie powinien skoczyć do zamku i spenetrować, co się tam dzieje, kiedy ujrzeli Dorę. Niosła ich pana, jak się niesie trupa.

W pierwszej chwili nie chcieli wierzyć własnym oczom, lecz otrząsnąwszy się z osłupienia, z wrzaskiem rzucili się ku Dorze. Zbladła zdjeta strachem, tak samo jak reszta służby.

— Zabiliście naszego pana! — krzyknął któryś przeraźliwie. Kilku hajduków dobyło szabel, jakby chcieli Dore rozsiekać.

Elżbieta Batorówna rozjątrzona wybiegła z komnaty.

— Brać ich wszystkich! — zawołał najbardziej krewki z hajduków wskazując gromadkę służby — Musimy wykryć wśród nich mordercę pana, aby nie uszedł zasłużonej kary!

Dora z przestrawu puściła grafa na ziemie. Nie wiedzia-

ła co robić. Rzec prawdę, że grafa Nyáryego zastrzeliła pani czy milczeć? Ale czy nie przyplaci głowa, jeśli będzie milczeć? a nuż pani skorzysta ze sposobności i — zamiast ją uwolnić — zwali na nią to zabójstwo? Jeśli jednak nie będzie milczała, to czy pani nie ukarze jej srogo?

W tej chwili, akurat gdy hajducy dopadli służby, Elżbieta Batorówna pojawiła się na dziedzińcu.

— Precz stąd! — krzyknęła na hajduków.

— Jaśnie oświecona pani, nam nie macie prawa rozkazywać — burknął najbardziej wojowniczy z hajduków. Naszym panem był graf Nyáry, a skoro nie zdołaliśmy uchronić jego życia, musimy przynajmniej oddać w ręce sprawiedliwości jego morderców!

— Hołoto zuchwała! — wrzasnęła Elżbieta Batorówna.

— Ośmielacie się sprzeciwiać mnie, pani na Czachticach?

I rzuciwszy się na krnąbrnego hajduka jęła okładać go pięściami, a w końcu wydarła mu z ręki szablę i cięła nią z takim impetem, że odskoczył przerażony.

— Każę was powiesić, jeśli natychmiast nie zejdziecie mi z oczu! — krzyczała trzęsąc się z wściekłości.

Hajducy pierzchali przed nią w popłochu.

Wymachiwała szablą, aż błyski szły, a hajducy, przez całe życie nawykli tylko słuchać i bronić panów, nawet nie pomyśleli o stawieniu oporu. Dora natychmiast odzyskała rezon. Widok miotających się po dziedzińcu hajduków pobudził ją do rozgłośnego rechotu.

Pani nie było do śmiechu. Wrzała gniewem.

— Chcecie postawić winowajcę przed sądem, chłystki? — krzyczała. — Nuże, postawcie! Wiedziecie, że to ja zabiłam grafa Nyáryego! No, którego bierze chęćka rzucić na mnie oskarżenie?

Hajducy zbledli.

— Który jeszcze się poważy wspomnieć o sądzie?

Żaden nie miał ochoty wykazywać się odwagą.

— Słyszeliście. Ja zabiłam grafa Nyáryego! Który z was nie chce na zawsze o tym zapomnieć?

Po tym złowrogim pytaniu na podwórku zapadła martwa cisza. Tym przeraźliwiej zabrzmiał w tej ciszy krzyk Dory Senteszowej. Wrzasnęła, jakby się przed nią piekło otworzyło.

Stalowa koszula

Zaraz jednak wszystkim zjeżyły się włosy.

Graf Nyáry poruszył się, otworzył oczy i wybuchnął śmiechem na widok zmartwiałych z przerażenia postaci.

Twarz Elżbiety Batorówny, aż purpurowa z gniewu, zbladła, jakby wytoczono z niej całą krew.

Graf Nyáry najprzód usiadł, potem zwrócił na czachticką panią szyderczy wzrok i zerwał się na równe nogi.

— Powal go, Dora! — krzyknęła Elżbieta Batorówna. Obawa przed zemstą grafa za ten wystrzał natychmiast przywróciła jej przytomność umysłu.

Służbę, która jeszcze przed chwilą była przeświadczona, że graf Nyáry nie żyje, na widok jego poszarpanej bekieszy przejął zabobonny strach.

— Powal go! — powtórzyła grafka. Dora bowiem stała jak wrośnięta w ziemię, z wytrzeszczonymi oczyma.

Ale nawet ponowny rozkaz nie wyrwał jej z osłupienia.

Elżbieta Batorówna podbiegła do uśmiechającego się szyderczo grafa. Z całej siły zamachnęła się pięścią.

Lecz cios padł w próżnię, a ona straciła równowagę i padła na ziemię jak długa. Graf Nyáry bowiem uchylił się zwinnie i uskoczył sprężysto jak młodzieniec. Stojąc na

rozpłaszczoną na ziemi czachticką panią wybuchnął gromkim śmiechem, aż rozlegało się po całym podwórzu. Hajducy śmiali się na wyprzódki z nim. Jeszcze przed chwilą truchleli ze strachu, a oto czachticki smok leży tu upokorzony, w pyłe podwórca.

Elżbieta Batorówna wstawała pomału, jakby nierada rozstawała się z ziemią. Wolałaby się pod nią zapaść, niż przeżyć to, co ją czeka. Nigdy nie bała się nikogo tak jak grafa Nyáryego. Godziła na jego życie, chciała go zamordować. W jaki sposób zemści się na niej?

— Hajducy, a i wy wszyscy — ozwał się graf Nyáry z poważnym obliczem — słyszeliście, że czachticka pani chciała mnie zabić? i nie tylko chciała, pokusiła się o to, a jej kula trafiła.

Wskazał swoją bekieszę, w której tuż nad sercem czerniała dziura.

— Słuchaj dobrze, miłościwa pani — mówił dalej lodowatym głosem. — Jest tu cały zastęp świadków, którzy w razie potrzeby mogą poświadczyć, że usiłowałaś mnie zamordować. Mogą również poświadczyć, iż tego, że żyje nie zawdzięczam twojej niecelnie mierzącej ręce, lecz jedynie własnej przeczności.

I zdjął bekieszę.

— Stalowa koszula! — rozległ się na podwórku okrzyk.

— Tak, jedynie stalowa koszula ocaliła mi żywot. Mam ją na sobie od chwili, gdy wstąpiłem w te progi. Poszedłem w niej nawet do ołtarza, wiedziałem bowiem, że w murach czachtickiego zamku człowiek musi być przygotowany na wszystko.

Stalowa koszula zalsniła w promieniach słońca.

— Hajducy! — zawołał graf Nyáry. — Zamknijcie służbę, w czeladni. Gdyby ktoś stawiał opór, nie szcędźcie go!

Elżbieta Batorówna czuła się bezwolną zabawką w jego rękach.

— Wy zaś — przywołał dwóch rośliwych hajduków — zaprowadźcie te dwie kobiety do zamku.

W grafce żółć się wzburzyła, że traktuje ją na równi z Dorą, lecz strach silniejszy był od urażonej dumy.

— Co zamyślacie? — zdobyła się zaledwie na pytanie.

— Zalecać się do was, dostojna pani — przybrał pozę rycerskiego kawalera. — Zalecać się bez przeszkód w którejś z przytulnych komnat waszego zamku.

Hajducy poprowadzili grafkę i Dorę do zamku.

— Do sypialni! — rozkazał im na korytarzu, a przed drzwiami sypialni rzekł: — Pójdziecie z Dorą do podziemi i uwolnicie wszystkich więźniów, jacy przebywają w lochach. Wyprowadźcie ich na podwórzec i tam czekajcie dalszych rozkazów.

— Jakim prawem mieszacie się do moich spraw? — odważyła się zaprotestować czachticka pani. Zadrżała na myśl, że oczami swoich hajduków — świadków — wejrzy w jej najtajniejsze sekrety.

— Takim samym prawem, jakim wy chcieliście pozbawić mnie życia, a niewinnych ludzi żywcem pogrzebaliście w lochach swojego zamku.

Hajducy szturchnęli Dorę, na ich wezwanie bowiem nie ruszyła się z miejsca. Z napięciem wpatrywała się w panią w nadziei, że chociaż oczami jej powie, jak ma postąpić. Pochwyciła jej dojrzenie. Wyczytała zeń, że ma wtrącić hajduków do czeluści, co i tak by uczyniła. Nikogo nie uwolnią, za to sami zgniją w podziemiach. Ale graf Nyáry jakby dostrzegł tajne porozumienie między panią i służebną, rzekł do Dory:

— Jeśli wrócisz z podziemi sama albo choćby tylko z jednym z moich hajduków, i ty, i twoja pani zginiecie w czeluści!

Że nie jest to gołosłowna groźba, nie wątpiła ani grafka,

ani jej służebna.

— A w katowni — przykazywał graf Nyáry hajdukom — rozwalcie żelazną pannę, ale doszczętnie, na kawałki!

Hajdacy z Dorą odeszli.

Graf Nyáry spoglądał za nimi i obliczał w duchu, ile dziewcząt może być w podziemiach i ile też mógłby za nie dostać od tureckiego paszy.

Zamknął drzwi i znalazł się sam na sam z czachticką panią. Stał przed nią milcząc, z twarzą bez wyrazu.

— Czego ode mnie chcecie? — spytała zdjęta grozą. Milczał. To milczenie było straszniejsze, niż gdyby obrzucił ją stekiem obelg i gróźb.

Na zawsze należymy do siebie

W myśliwskim zameczku grafa Nyáryego panował prawdziwie weselny nastrój. Dźwięczały kielichy, wino lało się z dzbanów, nad półmiskami pełnymi jadła unosiła się wonna para, a komnaty rozbrzmiewały radosnym śpiewem. W wykuszu ozdobionym egzotycznymi krzewami Andrzej Drozd objął żonę:

— Erziko, nareszcie jesteśmy sami.

— a ja nareszcie się dowiem — uśmiechnęła się Erzika — jak właściwie do tego doszło, że zostałam twoją żoną.

— Ty nie wiesz?

— Nie. Wiem jedynie, że wszystko zawdzięczamy grafowi Nyáryemu.

— Nie tylko jemu, ale i tobie. Posłuchaj tedy. Wysłannicy grafa Nyáryego, uciekając się do najchytrzejszych sztuczek, wywęszyli nasze kryjówki. I tak w maju dowiedziałem się, że masz poślubić grafa Nyáryego. Zacisnąłem pięści, zaciałem zęby i krążyłem po górach jak błędny.

— A nie wpadłeś na koncept, żeby mnie porwać?

— Nie, nawet we śnie. Gdybym nawet wierzył, że mnie miłujesz, jakże mógłbym się poważyc wyrwać cię z wygod, przepychu i bogactwa? Więc jeno cierpiałem, a kiedy posłowie grafa przynosili mi wieści, że nie jesteś szczęśliwa, trapiłem się w dwójnasób. Jedyną moją pociechą były twoje listy.

— Jakie listy? — zdumiała się.

— Te! — rozpromieniony wyjął z kieszeni nad sercem plik listów. Erzika przejrzała je.

— Zdziwisz się, Andrzej! Nie napisałam ani jednego z tych listów,

— Któż więc je pisał?

— Graf Nyáry albo jego pisarz Raczej pisarz. Ja też dostawałam od grafa listy pisane tą ręką. Tylko, że czytałam w nich o jego miłości i tęsknocie.

Początkowo czytał mu te listy Jan Kalina, albowiem sztuka czytania i pisania była dostępna jedynie panom. A nawet wielu panów nie posiadało tej sztuki. Najmowali sobie do tego pisarzy i wędrownych studentów. Andrzej Drozd, aby móc czytać listy Erziki bez świadków, stał się gorliwym uczniem Jana Kaliny. Nauczył się czytać i pisać.

— Graf dziwnie się z nami zabawił! — westchnął i chciał podrzeć listy.

— Nie niszcz ich, Andrzej — Erzika chwyciła go za rękę. — Gdybym odważyła się pisać do ciebie, napisałabym to samo, co do słowa. Zdziwiająco odgadł moje uczucia.

— Moje też — uśmiechnął się Andrzej. — Nigdy bym się nie ośmielił zbliżyć do ciebie, a co dopiero poślubić cię i porwać. Po pewnym czasie, gdy byłem już rozkochany do szaleństwa i przestałem słuchać głosu rozumu, poseł grafa Nyáryego przyniósł ostatnią wieść: „Mój pan kazał cię po-

wiadomić, że jutro poprowadzi Erzikę Priborską do ołtarza. Wszystko będzie przygotowane tak, abyś ty ją poślubił zamiast niego". Był to dla mnie straszny dzień i jeszcze straszniejsza noc. Przeżywałem piekielne męki dręczony wątpliwościami, kiedy wszakże posłyszeliśmy w pobliskiej kryjówce, że rozdzwoniły się czachtickie dzwony, nie zdzierżyłem. Wystroiliśmy się i oto na zawsze należymy do siebie. Erziko...

— Na zawsze... — przytuliła się do męża.

— Ale nie powinienem był tego uczynić — zachmurzył się. — Nie pasujemy do siebie. Ty jesteś delikatna i wątpa jak kwiat, a ja nieokrzesany chłop. Jesteś szlachcianką, a ja dawnym poddanym, teraz zaś zbójnikiem, któremu winna śnić się szubienica, a nie szczęście i piękny żywot. Ja zamiast poduszki miewam pod głową kamień, a przykrywam się niebem. Nie możesz zostać ze mną, ten surowy żywot by cię zniszczył.

— Spójrz na mnie, Andrzeju! — roześmiała się Erzika pokazując swój drogocenny naszyjnik, złote bransolety wysadzane kamieniami, pierścienie, nausznicę, szpilki i brosze. Klejnoty załśniły na niej oślepiająco jak odpryski słońca. Lecz to błyszczące bogactwo nie przyciągnęło jego uwagi, upajał się jej urodą. Zdawała mu się coraz piękniejsza.

— Spójrz na te drogocenne klejnoty! Jesteś zbójnikiem, więc ograb mnie. A nigdy już nie będziesz musiał zbójnikować! Spieniężymy je i będziemy mogli żyć bez trosk. A przecież mamy jeszcze ręce zdolne do pracy. Osiedlimy się w jakimś pobliskim mieście i zaczniemy wieść nowy żywot.

Andrzej Drozd zapatrzył się na posepne góry, przeniknięte smutkiem nadchodzącej jesieni. Na myśl o tym nowym żywocie zakręciło mu się w głowie.

— Nie! — zawołał naraz tak gwałtownie, że Erzika spojrziała przestraszona. — Nie mam prawa do takiego

szczęścia nie będę go mieć dopóty, dopóki przysięga wiąże mnie z druhami, dopóki nie pokonamy Elżbiety Batorówny. Zdradą byłoby opuścić druhów, gdy bój jeszcze się toczy.

Lecz Erżiki nie zraził jego sprzeciw.

— Niechaj i tak będzie, Andrzej — uśmiechnęła się chociaż z przymusem — póki nie spełnisz swej powinności, będę czekać tam, gdzie mnie wyślesz. Wierzę, iż moje marzenie o nowym żywocie się ziści!

— Musi się ziścić, i to niebawem! — rozognił się Andrzej Drozd. Wszystko jest całkiem proste, skoro Erżika wykazuje zrozumienie. Walka, którą podjęliśmy rychło dobiegnie końca, choćbym własnymi rękami miał zburzyć czachticki zamek i kasztel.

— Andrzej — wzniosła ku niemu błagalne spojrzenie — obiecaj mi, że cokolwiek by się stało, ty nie tkniesz czachtickiej pani, ty nie pozbawisz jej żywota!

— Dlaczego prosisz mnie o to? Tak bardzo ją kochasz, chociaż dybie na moją głowę, a ciebie chciała przykuć do człowieka, którego nie miłujesz? Powiedz, co was wiąże? Dlaczego mogła robić z tobą, co chciała, dlaczego aby uczynić zadość jej woli, gotowa byłaś pójść za grafa?

Skonsternowały ją te pytania, lecz skryła zakłopotanie. Przytuliła się do męża i objęła go:

— O nic nie pytaj, o nic! Jeno mi powiedz, czy mnie miłujesz, czy bardzo mnie miłujesz.

— Bardzo! — objął ją silnymi ramionami.

— i miłowałbyś mnie, choćbyś się o mnie dowiedział najstraszliwszej rzeczy?

— Nic nie może zniszczyć mojej miłości!

— Nie przestałbyś mnie miłować nawet wtenczas, gdybym była nie przyjaciółką, protegowaną Elżbiety Batorówny, lecz jej córką?

— Nawet wtenczas! Nigdy!

Ofiara, jakiej deresz jeszcze nie miał

Graf Nyáry przechadzał się po sypialni przesyconej upajającą wonią i pogrążonej w tajemniczym półmroku. Na Elżbietę Batorównę w ogóle nie zwracał uwagi. Poczucie bezsily doprowadzało ją do szaleństwa. Ale nie straciła jeszcze nadziei na wygraną.

Nyáry raptem przystanął i znowu zwrócił na nią lodowaty wzrok, lecz już nie napędził jej tym strachu, a przynajmniej nie dała tego po sobie poznać. Uśmiechała się, oczy błyszczwały jej zwycięsko.

— Drogi przyjacielu — podeszła doń z wyciągniętymi rękami pogrzebmy wreszcie tę wrogość, którą jeno zatrzymamy sobie żywot.

Twarz grafa złagodniała i zabarwił ją rumieniec, gdy Elżbieta Batorówna chwyciła go za ręce. Dłonie miała gorące, a oddech, który go owionął, palił.

— Chodź! — mówiła zduszonym głosem nabrzmiałym żądzą. — Pokonałeś moją urażoną dumę, mój bunt, w odruchu którego przysięgłam sobie zniszczyć cię za to, że podczas odwiedzin w czachtickim zamku nie mnie uszczęśliwiłeś swoją miłością, lecz moją służebną.

Pociągnęła go na łożo, zapadła się w puchową pościel i przygarnęła go do siebie. Patrzył na nią w milczeniu, rozgorzałymi oczyma, i nie opierał się.

— Dniami i nocami przemyślałam, jak się na tobie pomścić za tę zniewagę. I pomściłam się. Sam wiesz, co przeciw tobie przedsiębrałam. Nie wiesz wszakże, że serce me przy tym krwawiło. Gorzałam miłością i nienawiścią. Ale zabijałam w sobie miłość. Teraz chcę na zawsze zabić swoją nienawiść i miłować cię.

Obejmowała go i całowała, aż zapierało mu dech.

Raptem wyrwał się z jej ramion, obrzucił badawczym spojrzeniem ją, łożę i szafkę przy łożu. Oblicze mu sposepniało, nacisnął mocno pięści.

— Teraz mi dowiedz swojej miłości! — zawołał, chwycił z szafki lśniący sztylet i cisnął go w kąt. Wbił się w podłogę i zadzwieczał. Ostrze miał z damasceńskiej stali, a rękojeść wykładaną kością słoniowa. Sztylet ów wraz z pistoletem graf Nádsady podarował niegdyś żonie, aby miała się czym bronić, gdyby ją napadnięto we śnie.

Elżbieta Batorówna spojrzawszy na wbity w podłogę sztylet, rozedrgany jak napięta struna, nagle rzuciła się na grafa z długimi palcami oplotła jego gardło.

— Zdechnij w ten sposób, skoro nie chciałeś zginąć szlachetniejszą śmiercią! — wychrypiała.

Była przeświadczona, że jest silniejsza od niego, i nie wątpiła, że za chwile jego blada twarz zsinieje.

Zaledwie jednak zwarła dłonie na szyi grafa, jego ręce ścisnęły się na białych ramionach, a wypielegnowane paznokcie wbiły się w miękką skórę niczym groty. Przenika ją ostry ból i z przerażeniem spostrzegła, że po ramionach, jak czerwone perły, toczą się krople krwi. Ręce słabły jej coraz bardziej, aż w końcu bezwładnie zsunęły się z szyi grafa Nyáryego.

— Bestia! — syknął, odepchnął ją gwałtownie i zeskoczył z łoża.

Wyszarpnął z podłogi sztylet, sterczący niczym groźny wykrzyknik, przyskoczył do niej i przytknął ostrze do obnażonej piersi.

— Nie waż się ruszyć, bo zginiesz tak, jak mnie chciałaś pozbawić życia wśród obłudnych uścisków i pocałunków. Jenó, że ciebie śmierć nie dosięgłaby podstępnie, ciosem w plecy...

Widok jego lodowatego oblicza przyprawił ją o utratę tchu. Nienawiść, wściekłość i potworny strach zniekształciły jej twarz. Zdjęła ją pokusa unieść się, aby sztylet sam zanurzył się w ciele, albo też wbić go sobie w pierś z całej siły. Natychmiast jednak przeraziła się owej myśli, równie jak tego, że graf nie wypuści jej teraz żywej.

— Zasługiwałąbyś na śmierć — jak w pomroce posłyszala jego głos — i to z mojej ręki, albowiem chciałaś mnie skompromitować, zniszczyć, a na koniec zgładzić. I ponieśesz śmierć z mojej ręki, jeno że za pośrednictwem kata, który na tę okazję da sobie uszyć nową szkarłatną opończe, jak świat światem bowiem nie miał tak dostojnej ofiary. Ale będzie miał, ślubuję ci to!

Odszedł od łoża, na którym Elżbieta Batorówna leżała porażona nową klęską, przerażeniem, jakim napawały ją groźby grafa Nyáryego, i obawą przed tym, co jeszcze z nią uczyni.

— Choćbym miał dziesięć żywotów — mówił głosem zionącym nienawiścią — i choćbym dopiero u schyłku dziesiątego zawiódł cię na szafot, nie usłyszysz już ode mnie ani słowa, albowiem nie zasługujesz na to, bym wdawał się z tobą w dyskursy. Spodziewaj się ode mnie jeno czynów. Jedno tylko chcę ci jeszcze powiedzieć, a tyczy się to owego zdarzenia w twoim zamku, o którym dawno już bym zapomniał, gdyby tobie nie wryło się tak niezatarcie w pamięć. Twoją służebną, wielmożna pani, odwiedziłem nie dlatego, że płonąc miłością do ciebie szukałem ukojenia w innych objęciach, lecz dlatego że jej kobiecość wyżej ceniłem od twojej!

Te obelgi smagały ją do żywego, lecz mogła tylko zaciśnąć zęby i kurczowo wpijać palce w pościel, jakby to była szyja najzaciętszego wroga.

Graf Nyáry istotnie zamilkł.

Chociaż wrzała w nim krew, bez słowa chodził po komnacie. Odgłos jego kroków rozsadzał jej pulsujące skronie

niczym walenie młota.

Po chwili do sypialni wszedł hajduk.

— Rozkaz spełniony, jasnie wielmożny panie, uwolniliśmy więźniów.

— Ilu ich jest?

— Dwudziestu jeden, jasnie wielmożny panie. Osiemnaście kobiet i trzech mężczyzn.

— Dobrze. Wyprowadź, te kobietę na podwórcę.

Na podwórku i przed zamkiem roiło się od ludzi.

Czachticzanie wiedzieli, że w zamku prawie nikogo nie ma, nie będzie więc komu ich rozpedzić, toteż nie oparli się ciekawości. Z wytrzeszczonymi oczyma tłoczyli się przy bramie.

Hajduk prowadził czachticką panią. Szła przy nim blada, spłoszona, zalękniona.

Graf Nyáry rozejrzał się po tłumie gapiów. Czuł, że wszystkie oczy wpatrują się weń z bezgranicznym podziwem jak w męznego rycerza smokobójcę. Czachtickiego smoka nikt jeszcze nie zdołał poskromić, dopiero on. W rogu podwórca stali uwolnieni więźniowie. Trzech młodzieńców, siedemnaście dziewcząt i staruszka. Dziewczęta były w wieku od piętnastu do dwudziestu lat, ale zmarniałe, o wymizerowanych, bladych licach i zapadniętych oczach. Niektóre miały podarte, splamione zaschłą krwią suknie. Graf podszedł do nich obliczając w duchu, ile mógłby za nie dostać od paszy.

— Ktoś ty? — zwrócił się do staruszki.

— Kalinowa — odparła. Nie wiedziała, że stoi przed grafem, o którym słyszała tyle dobrego od zbójników. To przecież on wyprawił Drodzowi wesele, na które wybrała się z Magdusią i Mariszą, lecz w drodze je złapano. Kiedy ujrzał panią upokorzoną, prowadzoną przez hajduka, serce zabiło jej radośnie. Wyczuła, że dzieje się tu sprawiedli-

wość.

— Znam cię ze słyszenia — wpatrywał się w jej dobroliwą twarz ze szczerym uśmiechem, jaki rzadko gościł na jego obliczu. — Twój syn jest moim przyjacielem. Jesteś wolna. Każę cię odwieźć tam, gdzie na ciebie czekają i gdzie już dawno powinnaś być.

Staruszką padła na kolana:

— Proszę o wolność nie dla siebie, jaśnie wielmożny panie, ale dla swojej córki i jej przyjaciółki, Mariszy Szutowskiej.

— Im również zwracam wolność — odrzekł graf i przystąpiwszy do więźniów zawołał: — Wszyscy jesteście wolni, lecz jeszcze chwilę was tu zatrzymam. Niechaj każda z dziewcząt opowie, jak się tutaj dostała i co przeżyła.

Czachticzenie jęli się przepychać bliżej, aby nie uronić ani słowa. W tej chwili z piwnicy wybiegł hajduk.

— Trochę zmitrężyłem z wykonaniem rozkazu, miłośnicy panie meldował grafowi — ale zniszczenie tego diabelskiego przyrządu przysporzyło mi wiele pracy. Oto dowody, że go rozbił na drobne kawałki.

I zamachał głową żelaznej panny spłoszoną i pozgniataną od uderzeń żelaznego łomu, którym się posługiwał. W drugiej ręce uniósł wiązki różnej długości noży, na których czerniała zaschnięta krew. Polem rzucił głowę i noże na ziemię, a z kieszeni jął wysypywać lśniące trybiki.

Już samo wyobrażenie żelaznej panny przejęło ludzi grozą. Kilka dziewcząt omdlało.

Elżbieta Batorówna stała nieruchomo jak posąg. Przebiły ją groty nienawistnych spojrzeń. O, gdyby mogła obrócić się w kamień!

A uwolnione dziewczęta opowiadały o swoim losie. W kilku zdaniach, które były najcięższym oskarżeniem. Zwabiono je do zamku nęcącymi obietnicami albo zawleczono siłą. A zamiast na dobrą służbę, dostały się do lochu.

Tam, o głodzie i pragnieniu, czekały struchlałe, kiedy je poprowadzą do katowni. Te bowiem, które zabrano do katowni, już stamtąd nie wróciły.

— A wy — zwrócił się graf Nyáry do młodzieńców — co winiliście!

— Nasze narzeczone zniknęły w tajemniczy sposób — odparł jeden z nich za wszystkich — Wybraliśmy się przeto do zamku, ale do pani nas nie dopuścili, od razu nas spętali i wtrącili do lochu.

— Czy wasze narzeczone są pośród tych dziewcząt? — zapytał graf.

Trzy pary płonących oczu znowu przesunęły się po szeregu dziewcząt. Zmącił je jednaki ból i jednaka żądza zemsty.

— Nie ma ich tutaj! — zawołał jeden z młodzieńców i nagle przyskoczył do czachtickiej pani. Zabiłaś moją ukochaną! Żywot za żywot!

I wzniosł zaciśniętą, pięść. Podbiegli też jego towarzysze gotowi zatłuc grafkę gołymi pięściami,

— Stójcie, chłopcy! — powstrzymał ich graf Nyáry — Róbcie jeno to, co wam polecę!

Młodzieńcy usłuchali, widać jednak było, że są zawiedzeni.

Wtenczas graf Nyáry podszedł do nich i rzekł;

— Nie pozwoliłem wam samowolnie podnieść ręki na czachticką panią, albowiem nie uszlubiście kary. Wszelako dam wam możliwość choć po części odpłacić jej za śmierć waszych ukochanych.

Elżbieta Batorówna wydała okrzyk przerażenia. Wiedziała, co ją czeka.

— Na mój rozkaz i na moją odpowiedzialność — obrzucił grafkę lodowatym spojrzeniem — przywiążcie ją do desza i wymierzcie jej po dwadzieścia pięć kijów. A gdyby

was jeszcze ręce swędziały, możecie coś niecoś dołożyć.

Wśród czachticzan rozległ się radosny gwar.

Tylko służebne zamarły z przerażenia, wiedziały bowiem, że pani na nich w pierwszym rzędzie zemści się za to publiczne pohańbienie.

Młodzieńcy przyskoczyli do Elżbiety Batorówny z dziką zajadłością, jakby chcieli ją rozszarpać. Rzuciła się rozpaczliwie i kopała, ale kiedy położyli ją na dereszach i przywiązali przestała stawiać opór, zemdląca.

Ludzie przyglądali się tej scenie z zapartym tchem. Wszystkie oczy wpatrzone były w deresza, gdyż to co się na nim działo, zakrawało na cud.

Wtem do grafa przystąpił pacholek Jana Ponicensa. Przybiegł do zamku w pośpiechu, ale ujrawszy czachticką panią na dereszach, stanął jak wryty i dopiero po chwili przypomniał sobie, co go tu sprowadziło.

— Jaśnie wielmożny panie, mam wam oznajmić, iż wielbny ojciec prosi, abyście raczyli zaszczycić go swoimi odwiedzinami.

— A co się stało?

— Przybyli goście. Kasztelan i Jan Kalina

— Dobrze, powiedz, że za chwilę przyjdę.

Pacholek ruszył z powrotem, ale ciekawość przemogła. Przy bramie stanął i gapił się na deresz z otwartymi ustami.

— Oblejcie ją wodą! — polecił graf Nyáry.

Przybiegł hajduk z wiadrem wody. Jeden z młodzieńców wyrwał mu je z ręki i chlusnął wodą na nieprzytomną panią.

Ocknęła się i wyteżywszy siły jąła się szarpać i miotać, jakby chciała zerwać powrozy, którymi była przywiązana do deresza.

Najbardziej krewki z młodzieńców smagnał w powietrzu leszczynowym prętem, aż zaświstało,

Czekał już tylko na rozkaz, by zacząć.

Krag widzów zacieśniał się. Każdy chciał słyszeć nawet najcichszy jęk pani. Nikt jej nie żałował.

Młodzieniec zamachnął się z całej siły., Pełną napięcia ciszę przerwało kilka rozemocjonowanych okrzyków i przeraźliwy wrzask Elżbiety Batorówny.

Oczy widzów płonęły jak w gorączce.

Oblicze grafa Nyáryego było jak z kamienia.

— Dość! — zawołał do młodzieńca. — Odwiążcie ją od deresza.

Młodzieńcy niechętnie wprawdzie, lecz posłuchali. Elżbieta Batorówna zwlokła się z deresza. Stała z oczyma wbitymi w ziemię, na uginających się nogach.

— Dostojna pani — graf Nyáry podszedł do niej z fałszywym uśmiechem skruchy — odpuście mi, żem się zadowolili jednym uderzeniem, zmiarkowałem jednak, że nie przeżylibyście razów nawet pierwszego z bijących. A dla mnie wasz żywot jest cenny, pragnę bowiem, abyście skończyli okazalszą śmiercią.

Padła na ziemię jak podcięta. Dora, zezując bojaźliwie na grafa Nyáryego, podbiegła do niej, wzięła na ręce i poniosła do zamku.

Graf Nyáry zwrócił wzrok na uwolnione dziewczęta. W jego duszy ludzkie współczucie toczyło walkę z chciwością. Ulec pokusie i sprzedać te zmaltretowane, drżące istoty tureckiemu paszy, czy też puścić je wolno, niech sobie idą, gdzie zechcą, niechaj będą szczęśliwe i cieszą się życiem? Dziewczęta klękały przed nim, ze łzami w oczach dziękowały za ocalenie i całowały mu ręce jak dobrotliwemu ojcu.

Poczuł przyjemne ciepło wokół serca. Uświadomił sobie, że ogarnia go niezwykle roztkliwienie, że zawładnęło nim coś silniejszego niż rozum, nakazujący ciągnąć korzyści z każdej sytuacji.

— Wstańcie — ozwał się głosem, w którym dźwięczała niezwykajna mu dobroć — i póki czas idźcie do domu, nim wróci wojsko i łapacze czachtickiej pani rozbiegną się za wami. Czachticzenie z pewnością was nakarmią i zaopatrzą we wszystko, co trzeba na drogę.

Barbara bezustannie szukała w tłumie postaci Pawła Lederera. Kiedy zaś spojrzała na Magdusię, krew napłynęła jej do twarzy, przeniknął ją żal, że i ona się uratowała.

Czachticzenie ochoczo prowadzili dziewczęta do swoich domostw.

— Wami — powiedział graf Nyáry do Kalinowej, Magdusi i Mariszy — ja się zajmę! Mój hajduk odwiezie was tam, gdzie już dawno powinniście być i gdzie zapewne już się o was trapią.

Chciało im się krzyczeć z radości.

Przed chwilą stały na progu śmierci, a teraz — jadą na wesele...

Podwórzec szybko pustoszał. Hajducy znowu zganiłi służbę Elżbiety Batorówny. Ale teraz była już mniej liczna. Kilka służebnych i szwaczek uprosiło grafa, aby pozwolił im uciec. Uczynił to z największą radością. Gdy na podwórcu nie było już nikogo, graf Nyáry zebrał hajduków i zadysponował:

— Dwóch zostanie tutaj i będzie pilnować, aby nikt nie opuścił zamku. Reszta pojedzie ze mną. Staniecie na straży przed plebanią. Przyprowdzić mojego konia!

W asyście hajduków udał się na plebanię. Przed zamkiem wciąż jeszcze pełno było czachticzan. Zdejmowali czapki i chylili głowy w ukłonie.

Żaden z nich jeszcze nigdy nie obnażył i nie skłonił głowy przed panem z tak szczerem szacunkiem.

18. Połączonymi siłami

Narada na plebanii

Jan Ponicensus wielce się zdziwił, kiedy nieoczekiwanie zjawili się u niego Jan Kalina i Mikołaj Loszonsky.

Obejmował ich, jakby wstali z grobu.

— Ze też mieliście odwagę przyjść do jaskini smoka!

— Teraz, pod nieobecność wojska i hajduków, nawet tchórz by się odważył zaśmiać się Kalina. Ścigają zbójników, którzy tymczasem beztróska uczują na weselu. Wróćcą nie wcześniej jak za dwa, trzy dni, kiedy się zmiarkują, że wywiedziono ich w pole.

Toteż goście rozsiedli się bez obawy. Na stole pojawiły się kielichy i dzban wina. Po wielu strapieniach każdy z nich przeżywał chwilę szczęścia i nadziei na zwycięstwo.

Nie zdążyli nawet opowiedzieć swoich perypetii, kiedy Jan Ponicensus, spojrzawszy w okno, oznajmił:

— Graf Nyáry jedzie!

Zepsuło im to nieco nastrój.

— To, co uczynił, godne jest podziwu — oświadczył Mikołaj Loszonsky — ale nie podoba mi się ten człowiek. Kryje coś w zanadrzu! Nie dlatego sprzymierzył się z nami, że zdjęła go litość nad nieszczęsnymi dziewczętami i czachticznymi. Musimy mieć się przed nim na baczności.

Te same obawy nękały Jana Ponicensusa i Kalinę.

Graf Nyáry uścisnął im dłonie jak najlepszym przyjaciółom.

— Mikołaju, najprzód ty opowiedz — klepnął kasztelana poufale w plecy, gdy zasiedli przy stole i wychylili kielichy — co zdziałałeś w Wielkiej Bytczy.

— Nie — odparł kasztelan. — Podczas gdy Jan Kalina czekał na mnie za miastem, udałem się do palatyna. W zamku rozgardiasz, robią przygotowania do wesela. Córka palatyna idzie za mąż. Palatyn przyjął mnie z radością, kiedy wszakże chciałem wystąpić z prośbą, zbył mnie krótko: „Wstrzymaj się, przyjacielu. Pomówimy o tym po weselu, na którym będziesz mile widzianym gościem!” Na dziedzińcu już zaprzęgano do jego powozu. Znam upór palatyna, toteż odszedłem.

— To niedobrze — zamyślił się graf Nyáry — ale istotnie nic innego nie dało się uczynić. Tak, ja również znam upór palatyna.

— U licha, Mikołaju wybuchnął pastor — nie wystawiaj dłużej na próbę mojej Ciekawości. Wyjaw wreszcie, jak to się stało, że w Pieszczanach zginąłeś, później zaś wstałeś z martwych!

— Nader niechlubnie — roześmiał się kasztelan. — Nie zostałem męczennikiem dzięki Fickowi. W zamku wranowskim, dokąd mnie zawieźli, miałem swobodę poruszania się, jeno nie śmiałem go opuścić. Żyłem tam po królewsku. Na polecenie Ficka odnoszono się do mnie z najgłębszym respektem i spełniano wszystkie moje życzenia. No, a pewnego dnia przybył Jan Kalina jako poseł Elżbiety Batorówny w jej imieniu zażądał wydania mnie, albowiem ma rozkaz odwieźć mnie z powrotem do Czachtic.

— To był fortel grafa Nyáryego — wtrącił Jan Kalina, nie chcąc zbierać niezasłużonych pochwał.

— Podziwiam bystrość waszego umysłu, panie — rzekł

Ponicens ceremonialnie. — Przyjmijcie wyrazy wdzięczności za wszystko, coście uczynili dla dobra cierpiących i prześladowanych.

— Nie ma o czym mówić — machnął ręką graf Nyáry. — Rad jestem, żeśmy się tu spotkali. Dotychczas prowadziliśmy walkę samopas, każdy na swój sposób. Tak nigdy nie osiągniemy celu. Wy, księżę proboszczu, dotychczas jeno cierpieliście, dręczeni obawą, że czachticka pani zamyśla nowe zbrodnie, drżeliście o życie przyjaciół, a kiedy zdecydowaliście się na czyn, przegraliście sromotnie.

Pastor z poczuciem winy spuścił głowę.

— A co ty, przyjacielu, zdołałeś? — zwrócił się graf do kasztelana ze słowami niemiłosiernej krytyki. — Kiedy podkurowałeś się w Pieszczanach i przyszedłeś do sił, stara baba i karzeł we śnie omotali cię płachtą jak niemowlę i Bóg wie, dokąd tkwiłbyś we Wranowie wiodąc tam królewski żywot, gdybym nie wyprawił po ciebie Jana Kaliny.

Kasztelanomal nie zgorzał ze wstydu.

— A co zdołali zbójnicy? — graf Nyáry przeszył ostrym wzrokiem Jana Kalinę.

— Wiele — odparł z pewnością siebie — to, co mogli działać ludzie, którzy nieustannie muszą się pilnować, aby nie wpaść w szpony haniebnej śmierci.

— I dlatego przede wszystkim strzeżliście własnej skóry — uśmiechnął się szydlerzo graf — od czasu do czasu wyrwaliście kilka dziewcząt z łap sługusów Elżbiety Batorówny, i to wszystko. Przyczyniacie jej tym jedyne go kłopotu — musi zwiększyć ilość starych służebnych i wysokość wypłacanych im sum, aby na miejsce dziesięciu dziewcząt, które uwolnicie, przyprowadziły dwadzieścia innych. Co tedy zamyślacie robić w przyszłości?

— To co dotychczas, jeno w szerszym zakresie. Będziemy uwalniać zwabione podstępnie i ściągnięte siłą dziewczęta. Z pewnością mniej ich zginie w czachtickim lochu

dzięki temu, że po lasach i drogach strażują odważni junacy, nieszczędzący swego życia. Lecz nie my rozstrzygniemy bój z czachticką panią. My jedynie będziemy kielznać jej zbrodniczość strachem przed nami i uwalnianiem z jej rąk nieszczęsnych dziewcząt. Bój rozstrzygnie się w samym zamku, śmiercią Elżbiety Batorówny.

— Kto ją uśmierci! — Mikołaj Loszonsky wypowiedział pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

— Ficko!

Pastor, kasztelan i graf wybuchnęli śmiechem, lecz zaraz spoważnieli i z głębokim zainteresowaniem słuchali wyводу Kaliny.

— Ficko pała śmiertelną nienawiścią do Elżbiety Batorówny. W tej nienawiści jest coś wręcz zwierzęcego. Wiem to z wiarygodnego źródła. Od chwili, kiedy kazała go oświadczyć na dereszu, stał się jej najzaciętszym wrogiem. Na razie mści się jeno w ten sposób, że przy każdej sposobności bogaci się jej kosztem. Zrabował jej klejnoty. I wnet potem by drapnął, gdyby udało mu się porwać moja siostrę.

— To jedno mi się podoba w tym nieprzypominającym człowieka stworze: ma gust. Twoja siostra zaiste jest rozkoszną dziewczyną. Urodą dorównuje jej chyba tylko twoja narzeczona, Marisza Szutowska — oświadczył grał Nyáry.

— Skąd je znacie? — spytał zaskoczony Jan Kalina.

— Dopiero co miałem honor zaznajomić się z nimi na dziedzińcu czachtickiego zamku. Wyekspediowałem je do mojego zameczku myśliwskiego na ucztę weselną.

Jan Kaina zbladł dowiedziawszy się, że najdroższe mu istoty znowu były o krok od śmierci. Kiedy graf opowiedział jak uwolnił uwięzione dziewczęta. nieufność Kaliny znikła bez śladu.

— Nienawiść Ficka — rozwijał swój plan — trzeba jeno skierować we właściwym kierunku, podbechtać go i przeświadczyć, iż śmierć pani jest dlań jedynym rozwiązaniem.

— Kto mógłby go do tego nakłonić? — spytał z napięciem graf Nyáry.

— Jedyne dwoje ludzi. Moja siostra i mój przyjaciel Paweł Lederer! Za ich namowa wyprawiliby na tamten świat nie tylko Elżbietę Batorównę, ale i jej pomagierki na dokładkę.

Pastor załamał ręce:

— Chcesz taką czystą i niewinną duszę jak twoja siostra uczynić narzędziem zbrodni?

— Nie, coś takiego nie przyszłoby mi do głowy nawet w koszmarnym śnie. Wspomniałem o tym tylko, jako o jednej z możliwości. Mam na myśli Pawła Lederera, Ficko uważa go za swego najlepszego przyjaciela. Jak sądzicie, co uczyniłby Ficko, gdyby pewnej nocy przyjaciel wpadł do jego izby zdyszany, wyrwał go ze snu i oznajmił: „Ficko, jesteś zgubiony Pani wie, że to ty zrabowałeś jej klejnoty! Biada ci! Podśluchałem sekretną rozmowę. Pani chce wtrącić cię do lochu i wziąć na męki, abyś wyjawiał, gdzie ukryłeś swój łup! Ratuj się póki czas! Zabij ją, nim ona pozbawi cię życia!”

— Wybornie, młody przyjacielu — roześmiał się graf — Wierzę, iż Ficko natychmiast by ją zgładził. Nie, to nie wchodzi w rachubę. Ona nie zasługuje na taką prostą śmierć.

— Nie! — zaprotestowali i pastor, i kasztelan.

— Dlaczego oponujecie — nie mógł pojąć Kalina — skoro jest to jedyny sposób, aby jak najszybciej unieszkodliwić Elżbietę Batorównę?

— Nie wolno zbrodni uniemożliwiać zbrodni! — oświadczył Jan Ponicensus z kaznodziejskim patosem.

— Ścierpicie tedy — zawołał Kalina z rozgoryczeniem — aby przybywało krzywd i tajnych grobów?

— Na razie nic innego nam nie pozostaje — rzekł graf

Nyáry. — Elżbietę Batorównę musimy postawić przed prawomocnym trybunałem. Jedynie wtenczas sprawiedliwości stanie się zadość!

Jan Kalina milczał nasepiony. Pastor i kasztelan poparli grafa.

— Wy zaś, zbójnicy — zwrócił się graf do Kaliny — od dzisiaj starajcie się jedynie o to, aby was było coraz więcej i abyście coraz bardziej rośli w siłę. Zaopatrzę was w broń. A jak uwolnicie jakieś dziewczęta, odstawiajcie je do mojego myśliwskiego zameczku.

— Dlaczego nie puścić ich do domu, do rodziców i ukochanych? — zdziwił się Jan Kalina.

— Chodzi o to, aby w chwili kiedy Elżbieta Batorówna stanie przed sądem, mieć wszystkich świadków pod ręką.

Graph Nyáry co do dziewcząt snuł inne plany, których nie mógł tu ujawnić. Zamierzał sprzedać je tureckiemu paszy w Nowych Zamkach jakoby z polecenia czachtickiej pani i i w ten sposób uzyskać dalsze dowody przeciw niej. Jego posłańcy mieli przynieść własnoręczny rewers paszy, że tego i tego dnia pośrednicy Elżbiety Batorówny dostarczyli mu tyle a tyle dziewcząt.

— Nie traćmy wszakże czasu na omawianie szczegółów — ciągnął — takie drobnostki bez trudu uzgodnimy, gdy przyjdzie pora. A więc ty, Kalina, wiesz już, co czynić. Wy zaś, wielebny ojcze, ze swym przyjacielem kasztelanem będziecie zasiewać tu w Czachticach przy każdej sposobności ziarno buntu, jak wam doradzałem już podczas swoich pierwszych odwiedzin.

— Ta horda żołnierzy, jaką mamy na karku, uniemożliwia wszelki bunt — zaoponował pastor.

— Regimenty też można unieszkodliwić, uciekwszy się do fortelu — rzekł graf Nyáry z uśmiechem wyższości. — Jakiego? Najprostszego. Winnice zapowiadają wielki urodzaj. Beczki napełnią się winem. Wiadomo, iż żołnierze

dbają o swoje gardła bardziej niż o zbawienie duszy. Ktoregoś wieczoru czachticzenie mogą być bardziej szczerzy, nie żalować żołnierzom wina, niechaj żłopia, ile wlezie. Potem nic łatwiejszego, jak związać chrapiących opojów i zabrać im broń, a zbójnicy ze swymi sprzymierzeńcami staną się panami sytuacji.

— Ale jakie następstwa miałyby taki bunt dla Czachtic?
— wyraził obawę pastor.

— Żadnych — odparł graf Nyáry. — Nie byłyby to bowiem bunt przeciw wojsku ani przeciw królowi czy istniejącemu porządkowi, lecz bunt przeciw złoczyńcy, któremu zwierzchność dozwala bezkarnie dopuszczać się zbrodni.

— No a wy, wielmożny panie, w jaki sposób wy chcecie uczestniczyć w naszym wspólnym boju? — spytał Jan Kalina rozdrażniony, że graf samozwańczo bierze sobie przywództwo, wyznacza każdemu powinności, lecz nie ujawnia, co sam zamierza czynić, jakie ryzyko podjąć.

— Będę robił to, na co mi okoliczności zezwolą — odpowiedział z łagodnym uśmiechem. — Ufam, że nie poczytacie mi za brak skromności zapewnienia, iż zdziałam więcej niż wy wszyscy razem. Wiedźcie bowiem, że począwszy od najbliższych dni o wszystkim, co się wydarzy w Czachticach, król Maciej będzie natychmiast powiadamiany — bądź przeze mnie, bądź przez moich sprzymierzeńców na dworze wiedeńskim.

— Dlaczego nie pomówicie z palatynem, który mógłby działać natychmiast? — zapytał Jan Kalina.

— Chcę przywieść do zguby Elżbietę Batorównę, a nie siebie. Gdybym publicznie wystąpił przeciw niej, naraziłbym się jej krewnym, utracił przyjaźń palatyna.

— Z palatynem ja pomówię — ozwał się Mikołaj Loszonsky. — Gdyby nie chciał podjąć zacnych kroków, król mógłby wyrzucić na niego nacisk

— Pomówicie z nim dopiero po weselu, prawda? — Jan Kalina uśmiechnął się. — No to się naczekamy. Dotychczas każde wesele u Thurzów trwało co najmniej rok.

— Przyjaciele, nie mamy czasu na spory — zgromił graf Kalinę. — Wybaczcie, ale muszę już odejść. Zadania rozdzieliliśmy, wiemy, co robić. Przygotujcie bunt jak najrychlej. Jestem przeświadczony, że spojenie żołnierzy winem i rozbrownienie ich, a następnie wzięcie zamku i obezwładnienie służby będzie zupełną igraszką. Potem niechaj Czachtice wyprawią do palatyna poselstwo — na jego czele stanie Mikołaj Loszonsky, który z tego względu nie powinien opuszczać miasta.

— Mój przyjaciel ma tutaj pozostać, wystawiony na pułapki i zemstę? — zląkł się pastor.

— Dziś jeszcze pošlijcie do zamku wiadomość, że kasztelanowi, jako że nie ma gdzie mieszkać, udzieliliście gościny na plebanii i że wszyscy jego przyjaciele, których odwiedził po ucieczce z Wranowa, między innymi także graf Nyáry, będą wiedzieli, gdzie go szukać, gdyby zniknął. Jeszcze się o niego boicie, wielebny ojcze?

— Już nie — odparł pastor z ulgą, lecz zaraz ogarnęły go inne obawy. — a jaki los czeka zbójników?

— O zbójników się nie trapiecie, wielebny ojcze — rzekł twardym głosem, lecz uchwyciwszy badawcze spojrzenie Kaliny, uśmiechnął się natychmiast: — Zbójnicy nie są niemowlętami, które trzeba chronić nawet przed powiewem wiatru. Są, a przynajmniej powinni być, chłopami na schwał. Jak ktoś się decyduje zostać zbójnikiem, nie może mieć łaskotliwego karku, musi zawrzeć przyjaźń z powrozem. Myślę wszakże, iż zbójnicy, którzy nieugięcie wiodą bój o prawdę i sprawiedliwość, mogą liczyć na pewne poślazanie. Zwłaszcza jeśli będzie ich wielu i dobrowolnie poddadzą się zwierchności, oszczędzi im ona hańbiącej śmierci. Oczywiście muszą zwerbować się do wojska. Co najwyżej dwóch, trzech zawiśnie na szubienicy, aby

krnąbrnym poddanym nie przyszła chętka łupić i rabować.

— A wśród tych dwóch, trzech — uśmiechnął się gorzko Kalina — będę ja i Andrzej Drozd!

— Być może! — odparł graf z przebiegłym uśmiechem. — Nie ma walki bez ofiar. Ale, że mi się podobasz, obiecuję ci swoja pomoc, gdyby groził ci stryczek.

— Czy i Drozdowi pomożecie? — spytał Kalina z powątpiewaniem.

— Nie. Dla niego dość już zrobiłem. Uczyniłem go najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Niechaj sam strzeże swojej głowy i szczęścia. Jakżebym mógł zapomnieć, że w boju o serce Erżiki Priborskiej był moim zwycięskim rywalem? — zażartował, lecz cierpki uśmiech zdradzał, iż rzekł to raczej poważnie.

Wnet też zaczął zbierać się do odejścia:

— Zgadzacie się na mój plan?

— Zgadzamy się — odparli pastor i kasztelan. Równie Jan Kalina wyraził swą zgodę, lecz tylko od oka, słowami. Snuł całkiem inne plany.

— Moi wysłannicy nawiążą łączność między nami — rzekł graf na pożegnanie. — Największy ciężar spoczywa na was, wielbny ojcze. Jeśli nie spełnicie swojego zadania, walka nasza będzie beznadziejna! Musicie podburzyć Czachtice!

— Co to? — zawołał nagle pastor. — Czyżby oblawa już wracała?

Wszyscy podbiegli do okna, aby zobaczyć, co to za jeźdźcy.

— To ludzie palatyna — rozpoznał ich graf Nyáry po błękitnych uniformach. — Czego tu wszakże szukają? Hej, chłopcy, tu do mnie!

Jeźdźcy przyklusowali pod okno, a na pytanie grafa odpowiedzieli, że spraszają gości na ślub córki palatyna, do

Czachtic zaś przyjechali, by zaprosić Elżbietę Batorównę.

— To istna hańba — wykrzyknął Kalina z oburzeniem — że po tym wszystkim palatyn jeszcze ją zwie do swego rodzinnego grona, między najszacowniejszą społeczność krainy.

— A niech sobie zwie — rzekł graf Nyáry — nie w tym rzecz. Zbieraj się, przyjacielu, pojedziemy na wesele. Marzę o tym, by po emocjach dzisiejszego dnia rozerwać się nieco.

Chwile później powóz grafa ruszył sprzed plebanii.

Jan Kalina długo spoglądał na zamek, nad którym przepływały sielankowe obłoczki, podczas gdy w jego duszy szalała burza.

Palatyn i jego sekretarz

Palatyn Jerzy Thurzo jechał spiesznie z Wielkiej Bytczy do Preszporka, aby załatwić tam wszystkie najpilniejsze urzędowe sprawy oraz poczynić ostatnie zakupy na wesele córki Judyty, wydającej się za Andrzeja Jakuszicia. Toteż gdy w Nowym Mieście, gdzie stanął na krótki popas, poprosił go o posłuchanie jakiś człowiek, który nie wiedzieć czemu nie chciał wyjawić ani swojego nazwiska, ani nazwiska swego pana, odprawił go z rozdrażnieniem. Ale kiedy człowiek ów wspomniał Czachtice, Elżbietę Batorównę i grafa Nyáryego, palatyn przychylił się do jego prośby.

— A więc grafowi Nyáryemu zbójnik zdmuchnął sprzed nosa oblubienicę? — w niebieskich oczach palatyna, ocienionych gęstymi czarnymi brwiami, zapłonęły iskierki śmiechu, pogłodził sobie brodę, jakby usłyszał znamienity dowcip. — Słyszysz, waszmość sekretarzu?

Jerzy Zavodsky śmiał się również. Nie lubił grafa Nyáryego tak samo jak palatyn i wielu małżonków. Mierziły

ich jego wieczne dyplomatyczne gierki, staranne ukrywanie zamiarów i bezwzględność, z jaką podstępnie zdobywał serca niewiast o nieskalanej reputacji. Niejedno małżeństwo tylko ze względów religijnych czy majątkowych, a także z obawy przed skandalem nie zdecydowało się na rozwód, lecz uczucia wygasły w nim doszczętnie tak, że było jedynie małżeństwem formalnym. Nawet ci mężowie, którzy na ogół skłonni byli wybaczać swoim żonom przewierstwo, nigdy im nie zapomnieli, że uległy zalotom tego fireyka.

— Jak nazywa się ta dziewczyna? — spytał sekretarz, albowiem ani on, ani palatyn nie mogli sobie przypomnieć nazwiska narzeczonej grafa Nyáryego.

— Erzika Priborska — odparł poseł.

— A więc pan twój jest oburzony — rzekł palatyn, — iż zbójnik nie tylko ośmielił się zapłonąć miłością do szlacheckiej córki, lecz w dodatku ją poślubił i żąda, abym nakazał unieważnić to małżeństwo, jako że wywołało wielkie zgorszenie. Gdybym spotkał tę dziewczynę, wyraziłbym jej swoje uznanie. Na jej miejscu też wolałbym zbójnika od takiego panka jak graf Nyáry.

— Kto cię przysłał? — zapytał sekretarz.

— Nie wolno mi tego wyjawić.

— Skoro twój pan zataja swoje nazwisko ozwał się palatyn powiedz mu, że Jerzy Thurzo nie przychylił się do jego żądania.

— Niechybnie był to wysłannik grafa Nyáryego — zakonkludował Jerzy Zavodsky, gdy człowiek ów wyszedł.

— Jestem o tym przeświadczony — roześmiał się palatyn. — Jednakże, przyjacielu, mam chętkę zatrzymać się w Czachticach. Zaskoczyło mnie to. Posłaliśmy trzystu żołnierzy dla poskromienia zbójników i sprzyjających im czachticzów, a tu w czachtickim kościele, jak gdyby nigdy nic odbywa się zbójnicki ślub. Czy to nie jest trochę podej-

rzane?

— Nawet wielce — odparł Zawodsky — lecz nie wolno nam tracić czasu, każda chwila jest droga.

— Masz słuszość, ciekawi mnie to wszakże, no i godzi się, bym odwiedził wreszcie wdowę po swoim najlepszym przyjacielu.

Ze zdumieniem obserwował swego sekretarza, z którym ponadto łączyła go przyjaźń, jak karkołomnie wynajduje najróżniejsze przeszkody uniemożliwiające zatrzymanie się w Czachticach.

— Jerzy, znam cię na wylot — wbił w sekretarza badawczy wzrok — i jest dla mnie jasne, iż z niewiadomych mi powodów nie chcesz się spotkać z Elżbietą Batorówną. Spostrzegłem, że czyniłeś starania, aby ją wykreślić z listy zaproszonych gości, a kiedyś na to nie przystał, wystąpiłeś z niesłychaną wręcz prośbą, bym cię zwolnił na czas wesela albowiem chcesz jechać do Francji. Czyli że przez kilka miesięcy miałbym się obyć bez ciebie, swojej prawej ręki. Powiedz, co przede mną taisz?

Głos palatyna brzmiał władczo jak zawsze, oczy bystro wpatrywały się w sekretarza.

— Nie żądajcie, panie — odparł ów ze zmieszaniem — abym wyjawiał wam jedyną, lecz nader bolesną tajemnicę swego żywota. Boję się, że zmienilibyście swoje pochlebne o mnie mniemanie, uznalibyście mnie za niegodnego swych względów i przyjaźni.

— Dobrze, miły waszmość sekretarzu — uśmiechnął się palatyn — zachowaj sobie swoją tajemnicę. Wszelako zapewniam cię, iż nie istnieje okoliczność, dla której nie miałbym zrozumienia i która mogłaby zmienić moje mniemanie o tobie.

Odpowiedział palatynowi wdzięcznym spojrzeniem:

— Pozwólcie, panie, że zdam wam relację, jak przebiegają przygotowania do wesela.

— Zaczekaj, omówimy to w drodze.

Kiedy wsiedli do powozu, zbliżył się kapitan hajduków i stanąwszy w pełnej szacunku odległości, wyprężony jak struna, zapytał, w jakim kierunku mają jechać.

— Na Czachtice! — zawołał palatyn i figlarnie mrugnął do sekretarza.

Uśmiechnął się widząc, jak Zavodsky się zachnął, i natychmiast zmienił polecenie:

— Nie, nie na Czachtice, na Pieszczany!

Palatyn Thurzo nie miał jeszcze czterdziestu pięciu lat, lecz długa broda i wiecznie zmarszczone czoło sprawiały, że wyglądał na znacznie więcej. Postarzał się przedwcześnie, albowiem od wczesnej młodości żył bardzo burzliwie. Przez całe dwa dziesiątki lat z krótszymi lub dłuższymi przerwami bronił ojczyzny przed zachłannym Turkiem. Młodość zesłała mu na wojaczkę. Płonął pragnieniem zwycięstwa i sławy. Nie przestał walczyć nawet po zawarciu rozejmu z Turkami. Zmieniło się jedynie pole walki. Żądza działania i sukcesów zaprowadziła go na arenę polityczną. Przed rokiem został palatynem. Dzięki swojej prostolinijności, przyzwyczajony patrzeć nieprzyjacielowi prosto w twarz i w razie potrzeby uderzać bez wahania, ominął różnorakie pułapki, jakie zastawiali nań podstępni konkurenci chcąc wysadzić go z siodła. W tym, że utrzymał się na zajmowanej pozycji, niemałą zasługę miał jego sekretarz, który choć sam był człowiekiem szczerym i otwartym, uważał za swoją powinność bacznie obserwować bulgocący diabelski kocioł dyplomacji i polityki, dzięki czemu zawsze w porę ostrzegał swego pana przed skryciami zakładanymi siłami.

Palatyn świadom był tego, co mu zawdzięcza, toteż do sympatii dołączył się respekt.

Jerzy Zavodsky był jedynym człowiekiem, który swoim taktem potrafił miarkować jego charakter, nieznający po-

średniej drogi. Palatyn albo tryskał humorem, albo wpadał w ponury nastrój, a wtedy stawał się popędlivy, twardy i łącno było skłonić go do czynów, których poniewczasie szczerze żałował. Jerzemu Zawodskiemu często udawało się jednym spojrzeniem lub słówkiem zawrócić go z drogi skrajności na drogę rozważgi albo popchnąć w inną skrajność — całkowite pobłażanie, którym zyskiwał sobie popularność i sympatię. W takich chwilach wręcz promieniował łaskawością i dobrocią, co rozbrajało każdego, kto przyszedł z jakimiś podstępnyymi zamysłami. Dlatego palatyn życzył sobie, aby sekretarz zawsze był przy nim. Nie były to puste słowa, że jest jego prawą ręką.

— A wiec słucham, Jerzy — ozwał się palatyn, gdy powóz wjechał w rojne ulice Nowego Miasta.

Zavodsky rozłożył na kolanach zapiski i referował:

— Na kupno klejnotów, tkania, ubiorów i sprzętów wyasygnowano osiem tysięcy złotych. Większość tych rzeczy już została nabyta w Wiedniu. Pozostały jeno drobniejsze przedmioty,

— Nie oszczędzać, Jerzy, nie oszczędzać, pragnę, by Judyta była ze mnie zadowolona i by każdy widział, że Jerzy Thurzo nie ma węża w kieszeni, gdy wyposaża ukochaną córkę.

— Jaśnie wielmożnej pannie Judycie wyliczyłem zaledwie połowę tego, czym w swojej szczodroblowości ją obdarowujecie, a była uszczęśliwiona. Chyba zatańczy z radości, kiedy zobaczy, że dostaje wszystkiego znacznie więcej, niż się spodziewała.

Palatyn z ukontentowaniem gładził brodę i ogarniało go coraz silniejsze pragnienie, by ujrzeć wybuch radości Judyty.

— Na kuchnię, na kupno prowiantu — podjął sekretarz — wyasygnowano pięćset złotych. Suma ta jest przeznaczona na zakup korzeni, ryżu, galki muszkatołowej, cyna-

monu, migdałów, fig, cukru, rodzynek i innych specjałów. Posiadłości na koszty wesela mają wpłacić po tysiąc złotych.

— To za mało przerwał mu palatyn. — Zwiększyć tę kwotę o pięćset złotych.

— Zwiększyć o pięćset złotych — zanotował sobie sekretarz. — Trzy posiadłości, orawska, lietawska i bytczańska, muszą dostarczyć: sześćdziesiąt krów, czterdzieści wołów, sto czterdzieści cielic, trzysta pięćdziesiąt baranów, dwieście wieprzy, tysiąc kur, czterysta gęsi, sześć tysięcy jaj, sześćset przepiórek, czterysta zajęcy, trzysta saren, trzy tysiące pstrągów.

— Dziki da nam Pan Bóg — roześmiał się palatyn — oby tylko był szczodry! a co moi poddańcy?

— Mają powinność wpłacić — mówię o poddanych orawskich, lietawskich i bytczańskich — siedemset pięćdziesiąt złotych, dostarczyć czterdzieści krów, sto siedemnaście cielic, sto pięćdziesiąt sześć baranów, sto szesnaście prosiąt, trzydzieści saren, sto osiemdziesiąt osiem zajęcy, pięćset trzydzieści przepiórek, czterysta pięćdziesiąt kapłonów, siedemset siedemdziesiąt kur, czterysta dwadzieścia gęsi, pięć tysięcy czterysta jaj, sto głowacic, dwa tysiące trzysta pstrągów, dziesięć wozów owsa, trzydzieści sześć wozów siana.

— Niechaj moi zarządcy ogłoszą — rzekł palatyn — że od poddanych żądam podwójnej ilości wszystkiego.

— To niemożliwe, panie — sprzeciwił się sekretarz — Co się tyczy poddanych, już i ta danina jest dla nich nadmiernym obciążeniem.

Przypomniał sobie biedaków, którzy w bytczańskim zamku padali na kolana błagając, aby nie żądano od nich pieniędzy, albowiem od miesięcy nie widzieli na oczy najmniejszej monety, i aby nie zabierano im ostatniej krowy, jedynej żywicielki.

— Nie rozumiesz mnie, przyjacielu! — roześmiał się palatyn — Nałożymy na nich podwójną daninę, potem zaś oznajmimy, że połowę się znosi. Będą mieli uciechę!

Jerzy Zavodsky uśmiechnął się cierpko. Ciągłe miał w pamięci Zawodzie, swoją wieś rodzinną, gdzie jako chłopiec z bliska patrzył na żywot poddanych harujących bez chwili wytchnienia, chodzących w łańchmanach i nigdy nie najedzonych do syta. Współczuł biedzie, albowiem jego rodzice, należący do chudopacholskiej szlachty, też jej posmakowali. Kiedyś jako chłopak bezsilnie zaciskał pięści widząc, jak ogołaca się biedotę ze wszystkiego. A teraz, kiedy sam wydzwignął się wysoko, lecz nie mógł im pomóc tak, jak by pragnął, przejmował go smutek.

— Nie podoba mi się, waszmość sekretarzu — wytknął nu palatyn — że stale okazujesz całkiem niepańskie współczucie dla chłopstwa, które tylko wówczas trwa w posłuszeństwie, kiedy tyra do siódmych potów, przykute do ziemi, i jest całkowicie zawisłe od swego pana.

Jerzy Zavodsky milczał.

— Ale pragnę ukontentować cię, przyjacielu — rzekł palatyn łaskawie — gwoli tobie zwolnię biedaków ze świadczeń pieniężnych na wesele. Skreśl te siedemset pięćdziesiąt złotych. A jak zadbano o naszych czworonożnych gości?

— Siana, słomy i owsa zwieziono już do Bytczy tyle, że świat czegoś takiego nie widział. A wciąż przyjeżdżają dalsze wozy.

— a kuchnia? Nie przyniesie nam wstydu?

— Nie, panie. Najęto już dwudziestu kucharzy i piekarzy, prawdziwych mistrzów w swojej sztuce.

Jerzy Thurzo upajał się wyobrażeniem uroczystości weselnych. Przybędą na nie najznamienitsze osobistości z całej krainy, a także przedstawiciele obcych monarchów i książąt. Również Jerzy Zavodsky myślał o weselu drę-

twiejąc przed spotkaniem z Elżbietą Batorówną.

Nie minęli jeszcze Melczic, gdy dowódca orszaku palatyna spostrzegł, że w stronie Wagu kłębi się tuman kurzu. Rozpoznał w nim hurmę jeźdźców.

Palatyn rozkazał, aby orszak się zatrzymał.

Początkowo sądzili, że jest to banda zbójników albo nie daj Boże Turków - rabusiów, toteż kapitan kazał hajdukom przygotować się do walki. Wnet jednak stwierdzili, że są to żołnierze i hajducy, a więc nie grozi niebezpieczeństwo. Była to oblawa na zbójników. Szare od pyłu konie pokrywała piana.

Palatyn wysiadł z powozu i z zainteresowaniem przyglądał się nadjeżdżającym. Dowódca poznał go, ściągnął gwałtownie konia i skamieniał w postawie pełnej szacunku, rozkazawszy żołnierzom oddać palatynowi honory.

Zagadnięty przez palatyna opowiedział, jak bez chwili wychnienia ścigali zbójników po tamtej stronie Wagu. Gdziekolwiek przybyli i pytali ludzi, czy nie widzieli zbójników, wszędzie ochoczo im mówiono, że owszem, tu i tu. W końcu zajechali aż na Ptasie Wzgórze. Tam też nie zastali zbójników, ale znowu jakiś chłop im doradził, gdzie mają ich szukać. Ponoć na Pańskiej Jaworzynie. Wtenczas Fickowi zaświtało w głowie i rzucił się na chłopca wściekły: „Gadaj prawdę, jeśli ci żywot miły!” Chłop długo się wykręcał, kiedy wszakże Ficko ścisnął go za gardło, puścił farbę. Zbójników nie widział. Hajduk rozwiózł po okolicy gromadę sług grafa Nyáryego. Jemu kazali wałęsać się po Ptasim Wzgórze, a gdyby nadjechali żołnierze, miał im powiedzieć, że widział zbójników na Pańskiej Jaworzynie. Rozwścieczeni żołnierze i hajducy zbili chłopca tak, że chyba wyzionął ducha, i zawrócili do Czachtic.

— A wiecie, jaka niespodzianka czeka was w Czachticach? — zwrócił się sekretarz do kapitana. — Odbyły się tam wprawdzie zaślubiny, lecz nie te, które miały się od-

być, a uczta weselna w ogóle nie doszła do skutku, albowiem Andrzej Drozd uwiózł swoją żonę Erzikę w góry.

Ta wiadomość wszystkich wprawiła w osłupienie, a najbardziej Ficka. Zaklął szpetnie i zazgrzytał zębami.

— Ktoś ty? — zapytał go palatyn, gdyż Ficko przyciągnął jego uwagę tym wybuchem i swoim wyglądem.

Ficko, który nigdy jeszcze nie znajdował się w bliskości tak wielkiego pana, w pierwszej chwili zapomniał języka w gębie. Darmo wyteżał umysł, aby odpowiedzieć składnie i mądrze. W końcu wybąkał:

— Jestem Ficko, wierny sługa czachtickiej pani, Elżbiety Batorówny.

— Że jesteś sługą, w to wierzę — roześmiał się palatyn, gdyż skonfundowany Ficko przedstawiał niesłychanie komiczny widok — ale wierność ci z oczu nie wyziera. Ani rozum. Coś mi się widzi, że żaden z was nie grzeszy rozumem, skoro tak was okpili. Mam nadzieję, że ruszycie wreszcie konceptem i wyłapiecie zbójników. Jedziemy!

I orszak palatyna ruszył w dalszą drogę.

— Waszmość sekretarzu — ozwał się palatyn — powierzam ci zbadanie wydarzeń w Czachticach. Jestem przeświadczony, że opowieść o tych osobliwych zbójnickich zaślubinach setnie ubawi naszych weselnych gości.

Pomścić się, pomścić!

Paweł Lederer z rozpaczą w sercu odszedł od tajnego wejścia. Jak ocalić nieszczęsne istoty?

Błądził po lesie jak lunatyk, aż wreszcie znalazł się na gościńcu do Nowego Miasta

Nie chciał wierzyć własnym oczom, gdy niespodzianie ujrzał przed sobą Barbarę Repaszównę.

— Skąd się tu wzięłaś? — wykrzyknął rozradowany.
— Jakim sposobem się uwolniłaś?

Nieoczekiwane spotkanie ją też ogromnie zaskoczyło, lecz nieśmiała radość, która zapełgała w jej sercu, po tych pytaniach zgasła natychmiast.

— Wiesz tedy, że mnie złapali i uwięzili. A spotykam cię tutaj, daleko od zamku...

— Barbaro! — zawołał zdławionym głosem, lecz ona nie wyczuła drżącego w tym głosie wyrzutu.

— Były tam uwięzione również inne, milsze ci osoby. Jestem przeświadczona, że gdybyś o tym wiedział, nie spotkałabym cię tutaj. Na nic nie zważając wdarłbyś się do lochów. Tak chętnie ratujesz niewiasty...

— To i Magdusia z matką i Mariszą są na wolności?
— wpadł jej w słowo.

— Tak, one też. I Magdusia...

Odczuł taką ulgę, że uszczypliwy ton jej odpowiedzi uświadomił sobie dopiero wtedy, gdy spojrzała nań lodowato i obróciwszy się na pięcie odeszła energicznym krokiem.

Chciało mu się zawołać za nią błagalnie, podbiec, chwycić w objęcia i całować, póki nie roztopi się lodowy pan-cerz, w którym się przed nim zamknęła. Lecz upór prze-mógł pokusę. Obrzucił odchodzącą gniewnym spojrzeniem, odwrócił się i ruszył do Czachtic,

Po drodze dowiedział się, co się wydarzyło w Czachticach.

W zamku panował nastrój jak po jakimś kataklizmie. Służba stała w gromadkach na podwórku, z podnieceniem omawiała to, co zaszło, i z bojaźnią czekała na rozkazy pani. Lecz daremnie. Pani zamknęła się w sypialni z Majorową.

Mijały godziny, a pani się nie pokazywała, jakby posta-

nowiła pogrzebać się za życia.

O zmierzchu, z nosami na kwintę, wrócili obławnicy.

— Mów, Pawle, co się stało? — przybiegł do niego Ficko. — Uwolnili Magdusię? — zatrzęsł się ze zdumienia i wściekłości. Poleciał do czeladni, skopał i zbił Erzę nawet nie słuchając jej zapewnień, że to nie ona przyprowadziła Magdusię na zamek.

Wrócił cały spocony, sapiąc ze zmęczenia.

— Powinieneś odplacić grafowi Nyáryemu za to, że sprzątnął ci Magdusię sprzed nosa — drażnił go Paweł.

Zazgrzytał zębami i omal nie rzucił się na Dorę, gdy zaczęła go wyśmiewać, że jak głupiec dał się wywieść w pole zbójnikom.

— Annie cni się w grobie samej, chcesz dotrzymać jej kompanii? — wrzasnął.

Od razu spotulniała i aby go ugłaskać, powiedziała, że wie, gdzie się odbywa zbójnickie wesele.

— Gdzie? — poderwał się jak oparzony.

— Powiem ci, jeśli mnie zapytasz grzeczniej. Przecie nie jesteśmy wrogami!

Dowiedziawszy się, natychmiast skoczył na konia.

— Pojadę z tobą! — zaofiarował się przestraszony Paweł.

— Pojadę sam! — zbył go Ficko.

Ale Paweł zaraz się uspokoił. Był przeświadczony, że Ficko wobec takiej przewagi nic nie wskóra. Co najwyżej pogapi się na zameczek. Biada mu, jeśli go spostrzegą. Pragnął z całego serca, aby tak się stało.

Elżbieta Batorówna, zdruzgotana doznaną publicznie hańbą, kilka godzin przeleżała jak nieżywa. Majorowa siedziała przy jej łożu cicho jak trusia, ledwo ośmielając się oddychać. Czachticka pani przez cały ten czas nie uczyniła nawet najśłabszego ruchu, ale krew w niej aż kipiała,

a w głowie kłębiły się najokrutniejsze plany zemsty na grafie i tej zbójnickiej hołocie. Pokaże całemu światu, że jej nikt nie jest w stanie rozkazywać i nikt nie zdoła jej zastraszyć.

Przeciwnicy pokonali ją, upokorzyli tak, że najostatniej-szy świniopas śmieje się z niej. Jeśli nie głośno, bo się nie ośmiela, to w kułak.

Ale w Czachticach nikt nic będzie się śmiał, nikt nie po-waży się śmiać!

Pastora wygna z Czachtic, poszczuje zgłodniałymi psami, a na jego miejsce sprowadzi katolickiego księdza. Nie, nie wygna, nie pozwoli, żeby wywinął się takim tanim kosztem. Każe go spalić przed kościołem jako kacerza! Przejdzie na katolicyzm wraz ze swoimi poddanymi, w Czachticach i we wszystkich jej wsiach każdy musi zostać katolikiem, inaczej padnie pastwą jej gniewu i zemsty.

Zbójników powiesi na czachtickim rynku, a będą wisieć trzy dni i trzy noce, aby każdy zapamiętał, jaka kara dosię-gnie tego, kto wystąpi przeciw niej. Matki, żony, siostry i kochanki zbójników trzy dni i trzy noce muszą czuwać pod szubienicą, a jeśli nie zemrą z głodu, pragnienia i bólu, ona sama postara się o to.

Grafa Nyáryego musi dostać w swoje ręce, choćby miało ją to kosztować pół majątku! Po kawałku będzie mu ucinąć ten ostry, jadowity język, wyłupi mu te fałszywe oczy, a za jedno smgnięcie na deresz wymierzy mu tyle, że wyzionie podłego ducha. A potem jeszcze trupowi każe dać sto kijów w pięty, aby każdy wiedział, że nawet śmierć nie jest w stanie uśmierzyć jej gniewu i że pała żądzą zemsty nawet wtenczas, gdy wróg leży na marach.

Nie będzie już posyłać po dziewczęta werbowniczek do odległych miejscowości i drogo za nie płacić. Poddani dosyć córek napłodzili z jej łaski. Rozkaże, aby wszystkie młode dziewczyny stawiły się w zamku. Ma prawo rozpo-

rządzać mmi tak samo jak stadami swoich owiec. Biada, po stokroć biada temu, kto by choć słówkiem ozwał się przeciw niej.

A Erzika! Kochała ją jak nikogo na świecie. A jak ona za tę miłość odpłaciła? Ta zmija ugryzła ją w samo serce. Rzuciła się na szyję zbójnikowi i z wdzięcznością całowała łotra, który zgotował jej taką hańbę!

Ale odpokutuje to, odpokutuje straszliwie!

Znachorka wylękniona skuliła się przy łożu. Obserwowała ukradkiem grafkę, jak twarz jej zniekształca nawała wzburzonych namiętności, jak zaciska pięści, wygraża nimi i zagryza wargi do krwi.

A kiedy zerwała się złoza i jak szalona jęła biegać po komnacie, szarpiąc się za włosy w bezsilnej złości, że nie może zemścić się natychmiast, Majorowa skuliła się jeszcze bardziej.

Przypadkowe spojrzenie w zwierciadło przerwało nic planów zemsty i zwróciło myśli grafki w innym kierunku.

Ze zwierciadła patrzyła na nią obca, zmizerowana twarz o wpadniętych oczach, zbrudzonym czole i poźółklej cerze, otoczona rozczochranymi włosami. Jakby nie wierząc własnym oczom, przysunęła się do zwierciadła, aż dotknęła go nosem i czołem, aż zamgliło się jej oddechem.

Krzyknęła.

Tak, to jej własne oblicze, nie do poznania zmienione i spustoszone przez burze namiętności, a tu — na czole, wokół oczu i ust gęsta sieć zmarszczek.

Zrzuciła z siebie szaty. Stała przed zwierciadłem i oglądała badawczo ramiona, piersi, biodra, uda.

W przypiływie rozpaczy walnęła pięścią w zwierciadło, rozprysło się na drobne odłamki i z brzękiem posypało się z ram.

Rozbija swój obraz, lecz nadal widziała go przed sobą. Nie, to nie może być ona. Jej piersi nie mogą być tak zwiot-

czale, a te ramiona ze zwałami tłuszczu nie mogą być jej ramionami! Czyż to jest jej kibić, niemal już równa i biodrami i prosząca się o gorset? a te rozlewające się, tracące prężność biodra — czy to są jej biodra? i te upiornie białe uda! Na jednym czerni się plama niczym motyl trupia główka.

Znowu uprzytomniła sobie, że nieubłaganie się starzeje.

Pomyślała o Jerzym Zawodskim. Jedynym mężczyźnie, którego naprawdę kochała, za którym tęskniła i dla którego chciała być piękna, aby olśnić go swą urodą i kochać go miłością, co wszystko spala na popiół. Nie, tak nie odzyska miłości utraconego kochanka. Jest jak drzewo, które jesień obdarła z kraszy, jak zwiędnięta łąka, na której smętnie gwizdzący jesienny wiatr i kraczące wrony są jedynymi gośćmi.

Złamana tą straszną prawdą padła na kobierzec rozmigotany odłamkami zwierciadła i wiła się w rozpaczliwym szlochu.

Po co żyć?

Majorową ogarnął śmiertelny lek, dygotała całym ciałem równie konwulsyjnie jak leżąca na kobiercu naga, miotana atakiem płaczu grafka. Była pewna, że gdy pani ją spostrzeże, będzie z nią źle. Na niej wszystko się skrupi...

Wstała bezgłośnie i jak cień sunęła do drzwi. Były jedynym jej ratunkiem.

Biada!

Zapomniała, że pani zamknęła drzwi i wyjęła klucz. Szczeknięcie klamki przywróciło grafce przytomność. Ze rwała się. Na widok znachorki znieruchomiałej przy drzwiach ogarnęła ją furia. Skoczyła do niej, jakby postradała zmysły, i złapała ją za szyję. Oczy jej płonęły, chrypiała:

— To tak, oszustko! Chcesz uciec, ująć zasłużonej kary. Kara cię nie minie, kłamczucho, szarlatanko. Na co się

zdały twoje recepty, maści, odwary i zamawiania, twoje rady, kąpiele z wonnych ziół i krwi dziewczęcej? Nie tylko nie przywróciły mi powabu i urody, ale nawet nie powstrzymały starzenia się! Uduszę cię, łajdaczko!

Znachorka z trudem łapała oddech. Szarpała się wyęzwszy wszystkie siły, usiłując się uwolnić.

— Zlitujcie się, miłościwa pani! — zawołała z rozpaczą — Dam wam radę skuteczniejszą nad inne, której dotychczas nie odważyłam się wysłowić.

— Nowe kłamstwo i nowe szalbierstwo diabeł ci podszeptuje — wysyczała grafka. — Już ci nie wierzę! Zdechnij!

Nowa recepta

Majorowa zegnała się z życiem. Wtem Elżbieta Batorówna, tknięta jakąś myślą, spojrzała na jej oblicze wykrzywione śmiertelnym przerażeniem i niespodzianym wybuchem złości.

Widząc, że chce coś powiedzieć, rozluźniła nieco uścisk.

— Dobrze, zdechnę — wyskrzeczwała znachorka — ale ty pani, wiedz, że nie dożyjesz roku i dnia!

Patrzyła na straszne oblicze przejęta zgrozą. Zaciśnięte palce zsunęły się z cienkiej pomarszczonej szyi, a Majorowa odetchnęła z ulgą. Było to niewiarygodne, ale czuła, że jest uratowana.

— Zawsze zabiegałam jedynie o wasze dobro, miłościwa pani mówiła już potulnie — a wy tak chcecie mi odplacić. Zabijcie mnie, jeśli taka wasza wola, nawet nie będę się bronić. Ale zabijając mnie wydajecie wyrok na siebie. Dziś jeszcze pokryją wasze ciało ohydne krosty, paraliż porazi wam członki i przez rok nie wstaniecie z łoża, póki

śmierć nie wyzwoli was od mąk!

Przez długie lata wierzyła Majorowej, toteż struchlała słysząc jej słowa. Pożałowała, że dała się unieść gniewem wystawiając się na niebezpieczeństwo, iż zamawiaczka obróci swoją tajemną siłę przeciw niej.

— Nie zabiję cię — odparła. — Chcę słyszeć twoją radę. Ale jeśli mnie okłamiesz, zabiję cię, choćbym wnet po tobie miała się przenieść na tamten świat.

— Nigdy was nie okłamałam, miłościwa pani. Jeśli któraś z moich rad okazała się nieskuteczna, nie było to kłamstwo, lecz omyłka. Człowiekiem jestem, istotą omylną. Skoro nie jesteście ze mnie zadowoleni, oddalcie mnie i poszukajcie sobie innej doradczyni!

— Chcę słyszeć twoją radę. Chcę wiedzieć, dlaczego krwawe kąpiele były daremne, dlaczego dziewczęta krew nie przywróciła mi młodości, dlaczego nie powstrzymała starzenia się.

— Boję się odpowiedzieć. Wszelako wiem dlaczego i znam skuteczną receptę.

— Mów!

— Krwawe kąpiele nie pomogły — mówiła stłumionym głosem, niemal szeptem — albowiem nie była to krew godna was, nie mogła przeto na was oddziaływać. Była to zwyczajna krew pozganianych zewsząd dziewcząt najpośledniejszego pochodzenia. Na was, miłościwa pani, mogłaby oddziaływać jedynie błękitna krew!

— Błękitna krew! — wykrzyknęła grafka z osłupieniem.

— Błękitna krew jeno błękitną krwią da się odnowić!

Wtem znachorka spostrzegła na szafce klucz wzięła go śmiało i otworzyła sobie drzwi. Przystąpiła próg. Grafkę, w której znów budziła się nadzieja, pożegnała pewnym siebie spojrzaniem.

— Po jakim czasie błękitna krew zacznie skutkować —

zapytała Elżbieta Batorówna. Już snuła nowe plany.

— Po miesiącu, dwóch odparła Majorowa i zniknęła za drzwiami.

Gdy grafka została sama, nie była już złamaną kobietą, widziała przyszłość przed sobą.

Ubrała się, wyszła z sypialni.

Dora oznajmiła jej bojaźliwie, że już od dawna czekają na przyjęcie dwaj panowie.

— Nie chcę nikogo widzieć! — burknęła Elżbieta Batorówna.

— Panowie przyjechali z Wielkiej Bytczy

— Od palatyna? — zbladła.

— Tak, od palatyna.

Zadrżała.

Czyżby ktoś oczernił ją przed palatynem, ściągnął na nią jego uwagę i gniew?

— Wprowadź ich! — rozkazała.

Nie, nikt palatyna nie podjudził przeciwko niej. Zaszczyca ją zaproszeniem na wesele. Z rozpromienioną twarzą zapewniła posłów, że przybędzie. Zaproponowała im, aby zatrzymali się do rana albo i dłużej, dokąd mogą, i czuli się pod jej dachem jak w domu.

Potem wyszła na podwórzec i zwołała służbę. Zbiegli się truchlejąc. Ale o dziwo, zachowywała się, jakby nic nie zaszło. Tylko nad jej rozkazem każdy łamał sobie głowę. Mają zrobić porządki w kasztelu, tak aby można było tam mieszkać. Odkurzyć komnaty z pyłu dziesiątków lat, uzupełnić umeblowanie nowymi sprzętami i nowymi kobiercami. Trzeba się ponaglać z pracą, aby do końca października wszystko było gotowe.

Naraz spostrzegła trzymających się w tyle hajduków, Bali się podejść bliżej.

— A więc obława już wróciła? — spytała głosem, na dźwięk którego hajducy ożyli, widzieli bowiem, że tym ra-

zem wyjdą z całą skórą. — a gdzie jest Ficko?

— Od tej chwili niechaj nikt nie podejmuje nic na własną rękę — oświadczyła, dowiedziawszy się, że Ficko pojechał na wesele — a jak Ficko wróci, niechaj zaraz stawi się u mnie.

Ficko powrócił dopiero nad ranem. W tak niezwykły sposób i w takim stanie, że cały zamek pękałby ze śmiechu, gdyby nie to, że wszyscy jeszcze spali. Był przywiązany do konia tak przemyślnie, że dyndał mu wzdłuż ogona jak nieforemny worek, twarz miał opuchniętą, przyozdobioną różnej wielkości siniakami mieniającymi się wszystkimi barwami tęczy.

Koń stanął przed izdebką zamecznika.

Paweł Lederer akurat wstał. Chociaż dojrzał nieszczęsnego jeźdźca, nie kwapił się z pomocą. Wybiegł dopiero wtenczas, kiedy koń przysunął się do ściany, a Ficko kopnął w okno.

Pawłowi chciało się śmiać, ale przybrał twarz w powagę i współczucie.

— Do pioruna, ale cię urządzili, łotry! — udawał oburzenie.

Kiedy go odwiązał, Ficko pacnął na ziemię jak ulegalka.

— Prędko, Ficko — podniósł go Paweł — żeby nikt cię nie zobaczył.

Znalazłszy się w izdebce zamecznika, Ficko chwycił ze stołu dzban z wodą i wypił ją duszkiem. Uzałił się:

— Miałem pecha, paskudnego pecha.

Ledwo podjechał do zameczku, zoczyli go hajducy pojмали i zaprowadzili do grafa Nyáryego. On zaś polecił zaprowadzić go do zbójników.

— Z diabelskim rykiem zerwali się od stołu — zazgrzytał zębami Ficko — otoczyli mnie i bawili się ze mną jak kot z myszką. Prześcigali się, który z głośniejszym plaśnie-

ciem wytnie mi policzek. Musiałem nadstawiać twarz, bo rozszarpaliby mnie. Bliski byłem szaleństwa, jako że i kobiety śmiały się do rozpuku. Nawet Magdusia... O, biada wam, nędznicy, nie zostaną wam dłużny!

— Trudno ci będzie porachować się z nimi. Pani oświadczyła, że nikomu nie wolno działać na własną rękę.

— Będę robić, co zechcę, nie dam sobie rozkazywać i wierz mi, najchętniej od razu bym stąd drapnął. Coś mi mówi, że pani źle skończy, a z nią każdy, kto wytrwa przy niej. Ja nie będę czekał. Zgarnę jeszcze kilka tysięcy, porachuje się ze wszystkimi, co mają u mnie kreskę, a potem, potem nikt już nie posłyszyci o mnie ani o Magdusi...

Natychmiast zameldował się u Elżbiety Batorówny. O dziwo, wcale nie wypytywała, jak mu smakowała uczta weselna ze zbójnikami, ani nie roześmiała się na widok jego siniaków.

— Powiedz, Ficko, chcesz mi służyć poczciwie i wier-
nie? — spytała z poważnym obliczem.

— Chcę, miłościwa pani.

— Miałaś kiedy powód uskarżać się, że nie wynagrodzi-
łam cię dostatecznie za twoje służby?

— Nigdy, miłościwa pani.

Przy tym wstępie pycha i satysfakcja rozpierały mu pierś. Dumna pani, co zawsze patrzyła nań jak na psa, który musi słuchać, jeśli nie chce być obity, teraz rozmawia z nim jak z równym sobie.

— Gotuję się do wielkich przedsięwzięć, Ficko, i najbar-
dziej liczę na twoją pomoc. Wierzę, iż zostaniesz mi wier-
ny.

— Na mojej wierności miłościwa pani może polegać
— przybrał bohaterską pozę.

— Zamierzam zlecić ci wiele zadań, ale musisz dokład-
nie je wypełnić. Słuchaj przeto uważnie! I usiądź!

Ficko w tej chwili zapragnął, aby Dora, Ilona i reszta

służby widziała, jak pani w komnacie nieboszczyka męża wskazała mu miejsce przy stole i jak blisko niej siedzi, czuje niemal jej oddech na twarzy.

— Przystaniemy atakować wrogów — wtajemniczyła go w swoje plany — ograniczymy się do obrony. Mamy przed sobą ważniejsze sprawy.

— To się rozzuchwała — zaoponował.

— Nie będą sobie zbyt pozwalać — machnęła wzgardliwie ręką — boją się wojska. Gdyby im rogi wyrosły, możesz ich trochę pogonić. Ale poza tym trzeba zostawić ich w spokoju, niechaj czują się bezpieczni. Wszelako każ mieć ich na oku, abyśmy około Bożego Narodzenia siłą albo podstępem mogli ich pojmać. Ufam ci, wiem, że umiesz milczeć, przeto wyjawię ci, że po Nowym Roku opuszczę Czachtice.

Myślał, że słuch go mami. A więc już i ona czuje, że zbliża się klęska, szykuje się do ucieczki. Czyli że ucieczka jest jedynym ratunkiem. Dojrzywało w nim postanowienie, że zniknie wcześniej niż czachticka pani,

— Tak. Ciebie wezmę z sobą. Wszystko zdaję na ciebie. Przygotujesz wszystko do mojego wyjazdu. Wyłapiesz moich wrogów, chcę bowiem przed wyjazdem porachować się z nimi, i to ostatecznie.

— A co z Erziką Priborską?

— Ją również możesz pojmać! I pomścić się wedle swej woli. Im straszniejsza będzie twoja pomsta, tym większe uznanie zyska w moich oczach. Lecz wydam ci ją na łaskę i niełaskę jedynie pod warunkiem, że dostarczysz mi jej krew!

Wybuch złości tak zniekształcił twarz grafki, że Ficko z przerażeniem wytrzeszczył na nią oczy.

— Po powrocie z Wielkiej Bytczy, gdzie jadę na wesele córki palatyna — ciągnęła opanowując się — przeniosę się do kasztelu. Ciebie zaś ustanawiam kasztelanem.

Ficko omal nie wyskoczył ze skóry. On kasztelanem!

— Kasztelaństwo przynosi wielkie powinności, ale i wielkie uprawnienia. Na wszystkie moje wsie nałożę wysoką daninę na naprawę drogi do kasztelu i samego kasztelu. Ty będziesz ją ściągał. Zapowiada się przebogaty urodzaj winogron, jakiego już od dziesiątków lat niebyło. Zadbasz, aby we wszystkich moich wsiach sprzedawano jedynie wino z moich winnic, póki piwnice się nie opróżnią. Podczas winobrania poddanych w moich posiadłościach trzeba tak zaprząć do roboty, żeby na pracę u siebie została im jeno noc i niedziela i żeby potem byli zmuszeni kupować zboże, brukiew i inne produkty u moich zarządców.

Ficko aż dostał zawrotu głowy, gdy sobie wyobraził, jakim wielkim panem się stanie, jak będą się przed nim trząść wszystkie wsie Elżbiety Batorówny. Ale zarazem uświadomił sobie, jaki oddźwięk to wywoła, i nie taił przed nią swoich obaw.

— Potroimy ilość hajduków — rozwiewała jego obawy. — Dziś jeszcze zacznij wybierać zdatnych młodzieńców. No i mamy tu wojsko. Kto się poważy podnieść przeciw mnie głos? Każdego wicherzyciela niezwłocznie ukarzesz, zresztą choćby nie wiem co zaszło, w kasztelu będziemy bezpieczni! Regimenty nieprzyjacielskich wojsk nie dały mu rady. Nazgarniaj jak najwięcej pieniędzy, Ficko, to jest najważniejsze. Im więcej ich będzie, tym hojniej cię wynagrodzę.

Oto jakie znalazła wyjście z rozpaczliwego położenia, kiedy gniew złość i ślepa żądza zemsty przygasły, a spojrziała w przyszłość z chłodną rozważą. Tak, nie pozostaje nic innego, jak napełnić skarbiec, porachować się z wrogami i wynieść do Siedmiogrodu, gdzie jej brat jest księciem i gdzie ona ma zamek i rozległe włości. Tam ukryje się przed całym światem. Ale nie sama! Z Jerzym Zavodskim. Ma jego obietnicę, iż przybędzie do niej, kiedykolwiek tego zażąda. Wezwie go, a jeśli nie zechce z nią jechać, wywie-

zie go siłą, będzie dożywotnim więźniem jej miłości...

Ficko upajał się perspektywami przyszłości.

Widział, że zbliża się czas, kiedy osiągnie szczyt swoich marzeń.

Będzie potężny i bogaty! Choćby nawet Elżbieta Batorówna miała postradać wszystko do ostatniego denara...

Chwila szaleństwa

W mrocznej komnacie zapadło milczenie. Pani i jej sługa wybiegli myślami w przyszłość mającą spełnić ich marzenia. Milczenie przerwała pani:

— Powiedz, Ficko, co wiesz o moich klejnotach?

To nieoczekiwane pytanie wprawilo go w popłoch.

— Wstydzę się — wyjąkał z bezradną miną, która miała rozproszyć ewentualne podejrzenia. — Od dnia kradzieży nie zaznałem chwili spokoju. Odzyskać klejnoty i oddać je miłościwej pani razem ze złodziejem — to moje najgorętsze pragnienie. Jedyne ze wstydu nie rzekłem o kilku daremnych próbach, jakie podjąłem, a najchętniej zmilczałbym i o ostatniej. Bo na zbójnickie wesele pojechałem tylko z powodu klejnotów. Miałem nadzieję, że uda mi się tam pojmać kapitana Kenderessyego i wydobyć z niego, gdzie ukrył zdobycz. Ale znowu mi się nie powiodło, znowu spotkało mnie pohańbienie.

— Dziękuję ci, Ficko. — Grafka nie wątpiła, iż mówi prawdę. — Dołóż wszelkich starań, aby odzyskać klejnoty najpóźniej do końca roku. Wynagrodzę cię za ten trud czwartą częścią ich wartości.

Wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Naprawdę zamierza tak hojnie go wynagrodzić? Wyczuł, że jest to czcza obietnica, mająca dać mu bodziec.

— Miłościwa pani — udawał wzruszenie byłaby to zbyt wysoka nagroda dla skromnego sługi, który poczytuje sobie za honor służyć wam nawet bez nagrody, a w razie potrzeby umrzeć za was.

Tak znamienicie pozował na oddanego sługę, że zaufanie pani umocniło się.

— Żałuję, Ficko, że tak srogo i niesprawiedliwie cię ukarała, skazując na deresz. Wyrzuć z serca gniew i gorycz wywołane tą krzywdą.

I podała mu rękę. Rozjarzyły mu się oczy. Dumnie wypiął pierś: czuł najwyższe zadośćuczynienie.

Jeśli nawet pani nie jest wobec niego szczerą, wysoko go sobie ceni, to pewne. Skłonił się głęboko, jak to podpatrzył u panów, delikatnie ujął podaną rękę i musnął ją wargami.

Panią niepomierne zdumiało szarmanckie zachowanie się Ficka. A kiedy wyjęła ze skrzyni mieszek z pieniędzmi i jak zawsze rzuciła mu pod nogi, jej zdumienie jeszcze wzrosło. W tym geście była wzgarda, jakby psu rzucała kość. Ficko zawsze chwycił mieszek pożądliwie. I teraz dzika radość rozjarzyła mu oczy, które łakomie przyłgnęły do pękatek kształtów mieszka, odgadując jego zawartość. Sam nie wiedział, co za tajemna siła przemogła w nim zachłanność. Niemal z pogardą odwrócił się od rzuconych na podłogę pieniędzy.

— Weź je sobie, Ficko — zachęcała go pani — to najlepszy lek na twoje rany.

— Miłościwa pani na moje rany dała mi lek — przybrał rycerską pozę — któremu nic na świecie nie dorówna. Jestem szczęśliwy, że mogłem ucałować waszą rękę, miłościwa pani, w zestawieniu z takim zaszczytem złoto traci wszelką cenę.

Pełen podziwu dla samego siebie, że zdobył się na taki gest, i kontent z wrażenia, jakie wywarł na pani, dumnie wypiął pierś, aż zdało się, że urósł.

Zdumienie grafki przerodziło się w podziw.

Ficko wyczuł, że w tej chwili go podziwia. Jego szpetna twarz, którą siniaki zeszpeciły jeszcze bardziej, promieniała zadowoleniem, szczęściem i pewnością siebie.

Pierwszy raz Ficko wydał się Elżbiecie Batorównie zagadką. Pierwszy raz wywarł na niej takie wrażenie, że na chwilę zadumała się nad nim, spróbowała wejrzeć w jego życie i uczucia.

— Ficko, ty się we mnie rozmiłowałeś! — zawołała spoglądając nań ze zgrozą. Tak oto wytłumaczyła sobie jego obecne zachowanie i wiele wydarzeń w przeszłości.

Zbladł.

Nie uświadamiał sobie, jakie wnioski może wysnuć z jego udawania i póź. Niespodziany obrót sprawy tak go zaskoczył, że zaniemówił.

Czy rozmiłował się w swojej pani? Było to najśmielsze pytanie, jakie mógł mu ktoś zadać. Wiedział, że sługa, który poważy się spojrzeć na swoją panią jak mężczyzna na kobietę, popełnia najcięższe przestępstwo. Taki despekt i poniżenie można zmazać jedynie zatłuczeniem sługi kijami. A on ma teraz odpowiedzieć na to pytanie wprost, bez wykrętów.

— No powiedz, Ficko, rozmiłowałeś się we mnie?

— Przebaczcie, miłościwa pani wybełkotał przystępując z nogi na nogę, jakby stał na rozżarzonych węglach. Uprzymnił sobie, że zarówno odpowiedź twierdzącą, jak i przeczącą mogłaby jednakowo poczytać za zuchwalstwo i obrazę.

— Tak, tak! Rozmiłowałem się! — zawołał spostrzegłszy, że nie patrzy już na niego z taką zgrozą.

I padł przed nią na kolana, zdecydowany odegrać tę rolę do końca. A grał ją tak znamienicie, z taką głębią uczucia, że chwilami i jemu się zdało, iż to, co mówi, jest najczystsą prawdą.

— Rozmawiałem się do szaleństwa — stopniował swoje wyznanie miłości.

O dziwo, Elżbieta Batorówna ani się nie roześmiała, ani nie wpadła we wściekłość. Nie czuła się obrażona tym, że sługa ośmielił się jej pożądać. Coś jakby współczucie mignęło w jej twarzy i spojrzeniu, wlepionym badawczo w oblicze Ficka i jego małe oczki napęnlające się łzami.

— Kiedy się we mnie rozmawiałaś?

— Już wtenczas, gdy zacząłem rozeznawać różnice między mężczyzną i niewiastą. Ale dopiero teraz, kiedy zadaliście mi to pytanie, miłościwa pani, pojąłem, dlaczego dniami i nocą myślałem o was, dlaczego starałem się spełnić każdy wasz rozkaz, a nawet niewysłowione życzenie, i dlaczego tak cierpiałem, gdy karaliście mnie swoją niełaską. I dopiero teraz pojmuję, dlaczego zgładziłem Żelaznogłowego Isztoka.

Wzmianka o Żelaznogłowym Isztoku, który przed laty był jej kochankiem, nie sprawiła jej przyjemności. Zawsze z odrazą wspominała tego grubiańskiego olbrzyma, którego nie umiała się pozbyć, a który pewnego dnia zniknął bez śladu.

— Co z nim uczyniłeś? — ciekawość przemogła wszystkie inne uczucia.

— Udusiłem i zakopałem w piwnicy. Teraz dopiero wiem, dlaczego nie mogłem ścierpieć, że tak go faworyzujecie. Zazdrość, piekielna zazdrość pchnęła mnie do zbrodni.

— A więc tyś go zamordował? — wytrzeszczyła oczy z podziwu i zdumienia.

— Tak, i ulżyło mi na duszy, że mogłem wyznać komuś tę zbrodnię, o której nikt nie wie. A wyznałem też inną, jeszcze ohydniejszą, że poważyłem się podnieść oczy na niewiastę, która powabem i urodą przewyższa wszystkie niewiasty świata. Niechaj dosięgnie mnie za to kara!

W tej chwili Ficko spostrzegł lśniący nóż do strugania piór gęsi, leżący na stole. Skoczył, chwycił go i podał czachtickiej pani:

— Miłościwa pani — wołał, jakby postradał zmysły — wbijcie mi ten nóż w pierś. Z ubóstwianych rąk przyjmę śmierć z rozkoszą!

Zetknęły się dwie pary oczu. Ogień szaleństwa buchnął z nich wspólnym płomieniem. Ficko widział, że Elżbieta Batorówna w tej chwili nie jest zdolna ukarać go nawet słowem, że stoi jak omroczona, bezwolna i bezsilna.

A ona widziała przed sobą mężczyznę, który zamordował z zazdrości, zamordował dla niej i gotów jest przyjąć śmierć z jej ręki.

Ficko sprężył się do skoku, a Elżbieta Batorówna, chociaż czuła, że zaraz rzuci się na nią, nie wydała okrzyku grozy, nie zawołała o pomoc. Chwilę później, leżąc na kobiercu w objęciach Ficka, zasypywana pocałunkami, z oczyma zamkniętym jak w omdleniu, otoczyła ramionami jego garbate ciało. A potem, jakby mętne fale namiętności cisnęły ją na skały, leżała niczym połamana.

Ficko stał nad nią ze zwycięskim uśmiechem.

Kiedy wróciła jej jasność myśli, zerwała się przeniknięta wstrętem, jakby na kobiercu kłębił się rój węży. Ujrzała uśmiechającego się Ficka. Nigdy jeszcze nie wydawał jej się odrażający jak teraz. Twarz jej zapłonęła, zadygotała z wściekłości.

Rąbnęła go pięścią w twarz, aż się zatoczył, potem jeszcze raz, a kiedy przypieczętowała te ciosy splunięciem, znowu chwycił nóż, który błysnął równie złowieszczo jak jego oczy.

Spojrzała nań zdjeta zgrozą.

Opamiętał się. Podniósł worek z pieniędzmi

— A to sobie wezmę. Na pamiątkę!... — rozrechotał się

jak pijany.

Ten śmiech słyszała jeszcze wtedy, kiedy drzwi zamknęły się za nim, a na korytarzu umilkł odgłos jego oddalających się kroków.

Stała chwilę jak skamieniała. Potem padła na kobierzec. Uczucie wstrętu i pogardy dla siebie aż ją dusiło.

Wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Stanął jej przed oczami Jerzy Zavodsky...
Jedyna prawdziwa miłość jej życia...

19. Na weselu w Wielkiej Bytczy

Niezwykły gość

Pierwszego listopadowego ranka w Wielkiej Bytczy panował ożywiony ruch.

Tego dnia pan na Vrszatu i Pruskiem, Andrzej Jakuszić, miał poprowadzić do ołtarza córkę palatyna i ślubować jej dozonną wierność.

Tysiące gapiów tłoczyły się na ulicach i wybałuszały oczy na barwne orszaki dostojnych gości, którzy we wspinających zaprzęgach, otoczeni zastępami służby, jechali szpalerem pieszych do zamku.

Palatyn witał gości z niesłychaną pompą.

Do Hlinika co chwila cwałowało szesnastu jeźdźców, a do Predmieru dwudziestu pięciu, aby w imieniu palatyna powitać przybywających już na granicy włości wielkobytczańskich.

W mieście i przed bramami rozstawiono czterystu pieszych.

Palatyn i jego małżonka, Anna Cobor, witali dostojnych gości promieniejąc uśmiechami. Przybyło ich bez liku, jakby w wielkobytczańskim zamku wyznaczili sobie spotkanie magnaci z całej Europy.

Chwilami palatyn w towarzystwie sekretarza opuszczał

społeczność, aby sprawdzić, czy wszystko idzie jak należy.

— Ilu gości przybyło? — spytał kapitana zamkowego, doprawdy bowiem nie mógł spamiętać, ilu już powitał.

— Dotychczas — kapitan rzucił okiem na swoje zapiski — ponad stu. Między innymi osiemdziesiąt jeden dostojnych person z kraju, arcybiskupi kaloczański i ostrzyhomski oraz dziewięć dam.

— Wśród nich Elżbieta Batorówna — palatyn zwrócił się z filuternym uśmiechem do Jerzego Zavodskiego, który umyślnie czy też przypadkiem nie uczestniczył w jej powitaniu.

Sekretarz spojrział na palatyna ze zmieszaniem.

— Następnie sześciu panów morawskich i czeskich — ciągnął kapitan — czterech austriackich, pięciu polskich gości i siedemdziesięciu czterech przedstawicieli żupanii miast, kapituł i gmin. Mieliśmy już honor powitać wysłaników arcyksięcia Maksymiliana i arcyksięcia Ferdynanda. Służba przybyła z panami liczy dwa tysiące sześciuset dwudziestu pięciu ludzi, koni przywieziono cztery tysiące trzysta dwadzieścia cztery. Służbę i konie ulokowaliśmy przeważnie w okolicznych wsiach.

— Ilu z zaproszonych jeszcze brak? — zapytał palatyn.

— Trzydziestu — odparł kapitan. — Ale księżę śląski Jan Chrystian przysłał umyślnego, że już się zbliża ze swoim orszakiem do Wielkiej Bytczy.

Dla palatyna było to radosną niespodzianką. Wiedzano powszechnie, że księżę śląski wie dzie żywot mnicha, stroni od wszelkich uciech tego świata, zakopuje się w księgach i jeno w nauce i sztukach pięknych znajduje zadowolenie. Radosną wieść trzeba natychmiast oznajmić gościom.

Chwilę później wszyscy z podnieceniem oczekiwali słynnego w całej Europie dziwaka, który tak dalece nie dba o sprawy świeckie, że niemal z nikim się nie stykał, wyjąwszy uczonych mnichów i wędrownych poetów.

Toteż jego przybycie na wesele było istną sensacją.

Palatyn, dbały o wszystko, zaszedł również do kuchni. Uwijało się tam dwudziestu słynących ze swej sztuki kucharzy. Chochle omal nie powypadały im z rąk, kiedy w drzwiach stanął sam graf Jerzy Thurzo. W kuchni nagle zapadła głęboka cisza, a kuchmistrz na widok pana poczuł się w siódmym niebie.

— Każę uciąć wam głowy — żartobliwie pogroził kucharzom palatyn — jeśli moi goście nie będą z was kontenci.

Potem zajął z sekretarzem do piwnic, gdzie rzędy beczek wina oraz słynnego żylińskiego piwa gotowe były ugasić pragnienie i ożywić humory. Przydybał tam podczaszych, którzy już teraz się pokrzepiali w obawie, że napełniając kielichy panom nie znajdą na to czasu.

Palatyn roześmiał się na widok ich spłoszonych twarzy trzęsących się rąk, w których trzymali zdradzieckie kubki.

— Jeśli pochłapiecie winem stół albo szaty moich gości — rzekł z uśmiechem — przynajmniej będę wiedział, dlaczego jesteście tacy niezręczni.

Zadowolony był z wyników lustracji. Wrócił do gości i potwierdził radosną wieść, że przybywa książę Jan Chrystian.

Książę zjechał jednak dopiero po południu, po obrzędzie ślubnym, kiedy w ferworze zabawy niemal już o nim zapomnieli. Gdy fanfary na dziedzińcu oznajmiły jego przybycie, we wszystkich salach kurzyło się już z czupryn. Elżbieta Batorówna z coraz większym zniecierpliwieniem spoglądała ku stołowi palatyna, usiłując przyciągnąć wzrok sekretarza. Irytowało ją, że chociaż przyjechała wczesnym rankiem, Jerzy Zawodsky, chyba jedyny z obecnych, nie przyszedł jej powitać. A przecież przybyła tutaj przede wszystkim dla niego. Unikał jej wzroku i widać było, że jest nieswój, nie potrafi oddać się nieskrępowanej wesołości.

Goście wstawali od stołów i podekscytowani przyłączyli się do palatyna, by powitać księcia. Korzystając z zamieszania, podeszła do Zawodskiego. Z nagłą poczuł, że ktoś delikatnie ujął go za ramię.

— Rada jestem, mości panie, że nareszcie mam szczęście zamienić z wami kilka słów...

W jej głosie pobrzmiwały urażona duma i gniew. Oczy Jerzego Zawodskiego spoczęły na niej płochliwie.

Wybawił swojego sekretarza z opresji palatyn. Spozstrzegłszy, że nie ma go przy nim, stanął i obejrzał się. Był zaskoczony widząc go z czachticką panią.

— Raczcie wybaczyć, dostojna pani — powiedział Zawodsky, kiedy także Elżbieta Batorówna spostrzegła badawcze spojrzenie palatyna — powinności mnie wzywają, palatyn nie darowałyby mi, gdyby przy powitaniu tak znamienitego gościa jak księżę śląski nie było mnie u jego boku.

— Wieczorem — szepnęła władczo i z pogroźką — gdy wstanę od stołu, udaj się za mną!

Księżę Jan Chrystian przybył z liczną świtą.

Powóz, z którego wysiadł z uśmiechniętym obliczem, otaczało co najmniej dwustu jeźdźców.

Jego postać zadziwiła weselników.

Wyobrazali go sobie jako odludka, z wyglądu całkiem upodobnionego do mnichów, z którymi trawi dni i noce nad księgami. On zaś nie tylko nie ma brody, ale jest młodym człowiekiem, najwyżej trzydziestoletnim, czoło wcale nie poorane zmarszczkami, lecz gładkie, młodzieńczo bez troskie, a twarz wygolona, wysmagana wiatrem, jakby od rana do wieczora nie schodził z siodła. Nie jest to pustać zasuszanego mola książkowego, lecz światowca w każdym calu.

Oczy dam z upodobaniem przylgnęły do jego smukłej postaci i o zdradzających siłę, jakby z żelaza odlanych

kształtach. Niejedno serce zadrżało z pragnienia, by zyskać względy udzielnego księcia.

Księżę Jan Chrystian odpowiadał na powitania dzwicznym głosem, który jeszcze pogłębił dobre wrażenie.

Elżbieta Batorówna na widok nowego gościa zbladła.

Ogarnęło ją takie wzburzenie, że aż się zachwiała.

Wpatrywała się w księcia jak urzeczona. Gdzieś już widziała tę twarz i postać, słyszała ten głos. Ale gdzie?

Weselnikom Jan Chrystian — całkowite przeciwieństwo ich wyobrażeń — od razu przypadł do serca. Zyskiwał sobie sympatię każdym gestem, każdym spojrzeniem i słowem. Zwłaszcza damy były oczarowane, okazało się bowiem, że co się tyczy dwornych manier, wszyscy panowie mogliby się od niego uczyć. Dla każdej damy miał miłe słowo, odmienny wyszukany komplement, a nie wyświechtane frazesy. I chociaż wbrew zwyczajowi książąt nie milczał wyniośle, ale bezustannie robił jakieś uwagi, wyrażał swoją opinię, wcale to nie czyniło uszczerbku dostojeństwu książęcego stanu, wręcz przeciwnie. Jego sposób bycia, pozbawiony odstręczających przejawów wyniosłości i nadmiernej pewności siebie był urzekający.

Elżbieta Batorówna nie odrywała od niego oczu. Chłoneła każdy jego ruch, każde słowo.

Na twarzy księcia, gdy palatyn przedstawił mu grafkę pojawił się wyraz miłego zaskoczenia.

— Wielka to dla mnie radość, że mogę poznać was obojście piękna pani — wlepił w nią uśmiechnięte, dobrotliwe oczy, tak czyste i jasne, że nie mroczył się w nich najłżejszy cień fałszu czy obłudy.

Pochylił się ku jej białej ręce, ozdobionej drogocennymi bransoletami i pierścieniami, i złożył na niej lekki pocałunek.

Oblała się rumieńcem.

Nie wiedziała, co ją bardziej podekscytowało — wyróżnienie przez księcia, czy zagadka: od kogo o niej słyszał i co?

— Dotychczas znałem was, piękna pani — mówił miękko, jakby pieszczącym głosem — jeno z pieśni wędrownych rybaków i poetów, których rad słucham i goszczę. Wszelako ogarnia mnie pokusa, by ukarać ich swoją nielaską, albowiem przeświadczyłem się, że ich sztuka zdolna jest odzwierciedlić jeno znikomą część widzianego piękna.

Zmieszanie Elżbiety Batorówny nagle znikło, rozplynęło się też uczucie niepewności. Już wie! Przecież ma wrażenie, jakby widziała Jerzego Zavodskiego sprzed wielu lat.

Taki był wtenczas na brzegu Wagu, zupełnie taki sam...

To jego postać, twarz, głos i chód, i jego to oczy pałą ją jak niegdyś. Dlatego spotkanie z księciem tak ją wzburzyło, dlatego miała wrażenie, że widzi go nie pierwszy raz w życiu.

— Na usprawiedliwienie poetów i rybaków — ciągnął książę Jan Chrystian, wypuszczając jej palce z delikatnej niewoli swej dłoni — mógłbym przytoczyć jedynie to, że istnieje na świecie piękno, którego nie zdoła oddać w pełni ani słowo, ani muzyka, ani pędzel.

Rozejrzała się z poczuciem wyższości.

Dusery księcia przyprawiły ją o zawrót głowy. Jej wzrok napotkał Jerzego Zavodskiego. Wydał jej się w tej chwili nic nieznaczący, maleńki i godny politowania. Niegdyś był taki jak książę. A teraz? Starzejący się mężczyzna, któremu łysina nadgryza włosy, lata bruźdzą twarz...

Książę wzbudzał coraz większy podziw. Co chwila mówił innym językiem zależnie od tego, jakiej narodowości był jego rozmówca. Wykazywał zadziwiającą biegłość we wszystkich dziedzinach nauki i sztuki. Każda różnica zdań, każda debata kończyła się całkowitym zwycięstwem jego poglądów, które często były osobliwe, godne oryginała, co

wśród pokrytych pyłem ksiąg i zdziwaczałych mędrców czuje się tak samo swobodnie jak w najprzedniejszej społeczności. A dowiódł również, że umie tego pić! Kielichy opróżniał do dna, jak twierdził — z zasady. A więc i w pićiu był niedościgniony, co palatyn publicznie oświadczył, podając go żartobliwie gościom za wzór.

Czachticka pani pożerała go wzrokiem, lecz tylko Jerzy Zavodsky to zauważył. Odetchnął z ulgą i był za to podziwianemu ogólnie gościowi serdecznie wdzięczny. Oby się w nim rozmiłowała! Chwilami zdało mu się, że jego gorące pragnienie zostanie spełnione.

Panowie są oburzeni

Zapadał wieczór, kiedy palatyn zapytał dostojnego gościa, jakie wrażenie uczyniły na nim Węgry, czego doświadczył podczas podróży doliną Wagu. Książę odpowiedział na pytanie z widoczną radością.

— Dawno już pragnąłem poznać tę krainę. Jenó z tej przyczyny, aby zobaczyć wszystkie jej uroki, nie wybrałem najkrótszej drogi, lecz skierowałem się na Wiedeń, załatwiłem tam naglące sprawy, a potem pojechałem w górę doliny Wagu. Za tę okólną drogę szczerze zostałem wynagrodzony.

Opowiadał żywo, barwnie i tyle zebrał spostrzeżeń, ciekawostek nieznaných nawet tamtejszym krajanom, że słuchano tej opowieści z wielkim zainteresowaniem również w sąsiednich komnatach, gdzie docierały tylko niektóre fragmenty. A gdy opisał uroki doliny Wagu, jał mówić o tamtejszym ludzie, wszyscy otwierali szeroko oczy ze zdumienia.

— Jedyną rzeczą, która wsączyła smutek do mego serca

upojonego pięknem przyrody — mówił z poważnym obliczem — była bieda narodu, którą poznałem rozmawiając z prostymi dziećmi ludu i odwiedzając ich chaty. Wiem, ustawy węgierskie pamiętają powstanie Dózsy i surowymi przepisami trzymają poddańców na wodzy, aby im odeszła chęć buntować się. Wszelako ziemiaństwo i zwierzchność jeszcze obostrzą surowość tych przepisów.

Palatyn poruszył się niespokojnie w fotelu, dostojni panowie i damy wytrzeszczyli oczy na księcia dziwaka.

— Ziemianie — ciągnął książę — zmuszają poddanych do odrabiania znacznie większej pańszczyzny, niż określają ustawy, ściągają wyższą dziesięcinę, nieuczciwi poborcy egzekwują ją nawet po trzy razy w roku, a nieszczęśnicy, którzy nie dostaną rewersu, w obawie przed karą muszą płacić ponownie. Panowie, tu u was niebezpiecznie wrze! Gdybym ja tutaj władał, uczyniłbym lżejszym jarzmo poddaństwa, albowiem jestem przeświadczony, że gdyby się zjawił nowy Dózsa, kraj obróciłby się w ruinę!

Wywołał ogólne przerażenie. Jedyne estyma, jaką sobie przedtem zdobył, powstrzymała bardziej krewkich panów od wybuchu oburzenia. Spostrzegł, jakie wrażenie wywarły jego słowa, lecz jakby nigdy nic mówił dalej:

— Zatrzymałem się w pewnym miasteczku, gdzie powitało mnie takie wrzenie, że nawet przede mną, obcym, nie tajono się z przygotowaniem do buntu. Miasteczko to leży na terenie włości pani, która ponoć nie tylko ponad miarę dopuszcza się krzywd, o których wspomniałem, lecz również depcze boskie i ludzkie prawa chroniące żywot ludzki. Zapewniano mnie, że zamordowała kilkaset dziewcząt, w których krwi się kąpie, aby zachować urodę.

Elżbieta Batorówna zbladła. Czuła, że wpatruje się w nią mnóstwo badawczych oczu.

— I ponoć owa pani — mówił dalej książę — cieszy się szczególnymi względami palatyna Jerzego Thurzo, który posłał do miasteczka trzystu żołnierzy, aby stłumili bunt,

gdyby mieszkańcy rozgoryczeni doznanymi krzywdami i masowym mordowaniem dziewcząt nabrali zbytnej śmiałości.

Wszyscy wiedzieli, o jakim miasteczku i o jakiej pani mowa. Elżbieta Batorówna bliska była omdlenia.

Spółeczność była do głębi oburzona.

Doprawdy, ten tak podziwiany człowiek nie mógł ich bardziej zawieść!

Wypowiada najcięższe obwinienie wobec obecnej tu damy, a palatynowi, którego jest gościem, zarzuca osłanianie masowych mordów.

Wszyscy poczuli ulgę, gdy na obliczu księcia znowu pojawił się uśmiech.

— W owym miasteczku — podjął już z uśmiechniętą twarzą — znalazłem bezsporne wyjaśnienie i uzasadnienie tego, co mnie gnębiło. Nie dzieją się tu krzywdy. Ani prawa nie są tak srogie, jak by sobie ten lud zasłużył. Jest podły, złośliwy, przepełniony nienawiścią do was, do mnie, do wszystkich, co mają władze. Ten lud nie zasługuje na to, by szczędzić!

Teraz wyrażał najgłębsze przekonanie wszystkich oburzonych.

Widzieli, że ten dziwak ma słuszne poglądy.

— Tak — powtórzył z jeszcze większym naciskiem — lud, który zdolny jest obwiniać o tak ohydne złoçzynstwa jedną z najszlachetniejszych i najurodziwszych niewiast tej krainy, nie zasługuje na najmniejsze względy!

I podszedł do Elżbiety Batorówny.

— Piękna pani — zwrócił na nią zachwycony wzrok — najbardziej niemiłym dla mnie doznaniem podczas podróży były wybuchy gniewu i nienawiści do was, jakich byłem świadkiem. Zapewniam was o swoim szacunku i przeświadczeniu, iż wszystko, co mimo woli posłyszałem

od zaślepionych nienawiścią ludzi, jest niecnym kłamstwem.

Skłonił się i z wyrazem najgłębszego szacunku ucałował jej rękę.

W salach rozległy się wiwaty na cześć czachtickiej pani.

Chociaż bowiem wszyscy wiedzieli coś niecoś od swojej służby o tajemnicach czachtickiego zamku, w tej chwili, pod wrażeniem słów księcia, uważali to za kłamstwa i plotki.

Jedynie palatyn w zamyśleniu spoglądał przed siebie. Dręczyły go wątpliwości i tak go zaprzątnęły, że nawet nie zauważył, iż stół opustoszał, wszyscy biesiadnicy bowiem otoczyli księcia i czachticką panią. Został przy nim tylko sekretarz a naprzeciwko siedział jego najzagorzalszy przeciwnik, niezmordowanie ubiegający się o godność palatyna, ulubieniec króla, kardynał Franko Forgach. Jego pociągła twarz była bez wyrazu, a bystre oczy wpijały się w palatyna.

— Drogi przyjacielu — ozwał się kardynał, nieubłagany wróg ewangelików, tylko dlatego odnoszący się do nich łaskawie i po przyjacielsku, że chciał wykryć ich słabe miejsca. — raczcie mi wybaczyć, ale wyznam, że ja nie jestem przeświadczony o niewinności czachtickiej pani.

— A co was upoważnia, by podawać ją w wątpliwość? — spytał palatyn kryjąc własną niepewność.

— Mnie nic, zgola nic — uśmiechał się zagadkowo. — Ja jeno podzielałam mniemanie mego najdosłojniejszego przyjaciela, króla Macieja, który — jak się obawiam i chyba się nie mylę — o pewnych wydarzeniach na Węgrzech lepiej jest poinformowany niżli wy, drogi przyjacielu.

Palatyn z rozdrażnieniem gładził brodę.

Sekretarz zaniepokojony poruszył się w fotelu.

— Najjaśniejszy pan — oświadczył kardynał — raczył zaszczyścić mnie swym zaufaniem i polecił oznajmić wam,

czego od was oczekuje. Macie zbadać, co się dzieje w czachtickim zamku, zdać królowi relację o tych wydarzeniach oraz o swoich poczynaniach, które by zapobiegły dalszym złoczynstwom.

— Możecie zapewnić najjaśniejszego pana — rzekł palatyn chłodno — iż spełnię jego życzenie. Waszmość sekretarzu — zwrócił się do Jerzego Zavodskiego — powierzam ci zbadanie wydarzeń w Czachticach, a was, czcigodny przyjacielu, zapewniam, że śledztwo może się skończyć jedynie oczyszczeniem z zarzutów grafki, niesprawiedliwie obwinionej przed królem.

Sekretarz zbladł, kardynał zaś uśmiechnął się.

Wiwaty gości ucichły. Znowu ogarnęły ich podejrzenia.

Wznieczone słowami księcia przeświadczenie o niewinności Elżbiety Batorówny szybko zgasło.

Wtem rozbrzmiała muzyka i do sali balowej jął płynąć nieprzerwany potok tancerzy,

Książę, osławiony wróg tańca i pustych światowych uciech, skłonił się przed czachticką panią i zawirował z nią w tańcu.

— Omal nie zapomniałem powiadomić was o wydarzeniach w waszych włościach — szepnął w pewnej chwili podczas tańca. Jeno obawiam się, że już o wszystkim wiecie i nie będzie to dla was niespodzianką, piękna pani!

— Nie wiem o niczym.

— Tedy po skończeniu tańca przyślę wam mojego przybocznego, albowiem niesporo mi opowiadać o czynach, które ktoś mógłby poczytać za bohaterstwo, a które dla mnie są bez znaczenia.

— Cóż to było?

— Nic wielkiego. Nie ma o czym mówić. Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł dowieść wam swojej szczerzej życzliwości, piękna wdowo, znaczniejszymi czynami.

Serce jej zabiło, przeniknięte słodkim wzruszeniem. Książę bez ogródek znowu zapewnia ją o swojej życzliwości i przypomina, że jest wdową. Chce roztoczyć nad nią opiekę. W jakiej formie?

Palatyn wodził oczyma po tłumie tańczących. Szukał wśród nich oblicza Elżbiety Batorówny, jak gdyby chciał zeń wyczytać odpowiedź na dręczące go pytania.

— Co myślisz o poleceniu króla? — spytał szeptem Jerzego Zavodskiego. — Wierzysz w to, że grafka morduje dziewczęta i kąpie się w ich krwi?

— Nie wiem — odparł skonfundowany — i prosiłbym panie, abyście zbadanie tej sprawy raczyli powierzyć komu innemu.

— Czemuż to?

Ale sekretarz skwitował milczeniem pytanie rozdrażnionego palatyna.

Elżbieta Batorówna z ogromnym wzruszeniem wysłuchała opowieści przybocznego księcia. Nie mogła się powstrzymać, aby nie powiadomić całej społeczności o jego bohaterskim wyczynie.

Koło Nowego Miasta zastąpili im drogę zbójnicy. Dwudziestu zbójników książę pojmał z pomocą swoich ludzi, wśród nich Jana Kalinę i Andrzeja Drozda. Spętanych oddał pandurom w Nowym Mieście.

Wiwatom nie było końca.

— Nie ma o czym mówić — bronił się książę przed owacjami. — Zbójnicy wykazali większe bohaterstwo, jako że nas było dwudziestu na jednego. Żałuję, że tych nieszczęśników oddał w ręce zwierzchności, miast puścić wolno. Albowiem nie zatrzymali nas z zamiarem obrabowania. Do walki doszło na skutek nieporozumienia. Herszt zbójników — zowie się Jan Kalina, jeśli dobrze pomnę — chciał jeno za moim pośrednictwem posłać wiadomość do Wielkiej Bytczy jak rzekł, jego wysokości palatynowi.

— Już za samą zuchwałość zasługiwałyby na najcięższą karę! — wybuchnął szczęśliwy nowożeniec Andrzej Jakuszcik, który zawsze podziwiał palatyna.

— A co chciał mi rzec? — spytał palatyn bez gniewu, ale zimno.

— Kiedy w mojej obecności zamykano go w lochu, prosił, by wam powiedzieć, że umrze z radością nawet haniebną śmiercią, jeśli ujmiecie się za Czachticami i pomożecie im. Niechybnie to szaleniec, któremu straszliwe opowieści o dostojnej pani, będące czystym wymysłem, odebrały rozum.

Osobliwa rzecz.

Książę Jan Chrystian, admirator czachtickiej pani, jak gdyby starał się o to, aby każdy coraz usilniej myślał o wydarzeniach w Czachticach. I chociaż nieustannie deklarował swoją niezłomną, wręcz ślełą wiarę w jej niewinność, w innych budził i podsyczał wątpliwości. Palatyn siedział z zachmurzonym obliczem. Czuł na sobie szyderczy wzrok kardynała Franka Forgácha.

— Niestety, muszę was zasmucić, miły książę — rzekł palatyn — żałujecie swego postępku poniewczasie. Skoro oddaliście zbójników w ręce sprawiedliwości, nie mogą ujść swego losu.

— Jan Kalina nie jest szaleńcem — zawołała Elżbieta Batorówna głosem zdławionym nienawiścią. — To wi chrzyciel, ostatni łotr!

— Waszmość sekretarzu — ozwał się palatyn — zarządz, aby zbójników bezzwłocznie tu przywieziono i zwołaj sąd.

Odbędzie się proces zbójników!

Oczy gości weselnych zajaśniały radością. To dopiero będzie zabawa. Jedyne Elżbieta Batorówna nie cieszyła się. Wiedziała, że nie powieszają zbójników bez przesłuchania, a tego właśnie się bała. Goście będą ciekawi, co zbój-

nicy zeznają w obliczu niechybnej śmierci. I dowiedzą się wszystkiego...

Dwa spotkania

We wszystkich komnatach znowu zapanował gwar, w sali balowej rozbrzmiała muzyka.

Przy jedzeniu, piciu, śpiewie i tańcu zapomniano o ekscytujących wydarzeniach. Tylko kilka osób nie mogło zapomnieć. Czachticka pani, uchwyciwszy spojrzenie sekretarza, wstała od stołu i skierowała się do drzwi. On również wstał i ruszył za nią. Wyszła na podwórzec. Wiał chłodny wiatr, ale po ciemnych kątach tuliły się zakochane pary.

— Najprzód, drogi przyjacielu, prosiłabym cię o wyświadczenie mi drobnej uprzejmości — ozwała się grafka.

— Posła do Nowego Miasta wypraw nie dziś, lecz dopiero jutro.

— Dlaczego? — zdziwił się.

— Dlatego, że proszę cię o to — objęła go. Uczuła, że drży cała.

— Żałuje bardzo, lecz jestem sekretarzem palatyna, muszę ściśle wypełniać jego rozkazy.

— W tym przypadku uczynisz wyjątek. Posła z poleceniem, aby przywieziono zbójników do Wielkiej Bytczy, wyprawisz dopiero jutro. Dlaczego? Zaraz pojdziesz. Zaczekaj tu!

Odeszła, a po chwili wróciła z hajdukiem.

— Zlecam ci zadanie, o którym nikomu nie śmiesz rzec ani słowa. Jeśli to uczynisz, zginiesz!

Jerzy Zavodsky słuchał z napięciem.

— Wyruszysz bezzwłocznie do Czachtic i przekażesz Fickowi mój rozkaz. Niechaj postara się, aby zbójnicy nie

dotarli tutaj. Niechaj ich otruje albo uwolni, wszystko mi jedno. Byle nie dostawiono ich do Wielkiej Bytczy!

Hajduk odszedł, a Jerzy Zavodsky rzekł z rozdrażnieniem:

— Wysłannik palatyna dotrze do Nowego Miasta rychlej i zapewniam was, iż zgodnie z życzeniem palatyna przywiedzie tutaj zbójników!

— To nawarzysz sobie piwa, mój drogi! Zbójnicy naga-dają takich rzeczy, że gościom włosy staną, dęba, ja zaś w tobie będę szukać opory! Wszak jestem twoją kochanką! Nasz związek, że się tak wyrażę o twojej czy też naszej przygodzie, nie może zostać wiecznie utajony, zwłaszcza, że owocem jego jest córka.

— Moja córka? — przeraził się.

— Twoja córka, której teraz nienawidzę i w duchu już wydałam na nią wyrok śmierci.

Zakreśliło mu się w głowie. Było to dla niego miazdzące odkrycie. Czy istotnie jest ojcem córki, o istnieniu której nie miał pojęcia, a którą matka postanowiła uśmiercić?

— Pod jakim nazwiskiem i gdzie się ukrywa?

— Wyjawię ci to, jestem bowiem przeświadczona, że masz wobec mnie większe powinności niż wobec palatyna. To Erzika Priborska, która zaślubiła zbójnika Andrzeja Drozda!

Ani czachticka pani, ani jej towarzysz nie zauważyli, że opodal, w cieniu drzewa, stoi ciemna postać.

— Więc co, mój miły? Jeszcze trwasz w postanowieniu wyprawienia tego posła? — spytała szyderczo.

— Tak jest — odparł. — Jeno tej jednej nieprawości dopuściłem się w życiu, dostojna pani. Odpokutuję swój czyn! Nikogo nie będę oszukiwać ze strachu przed jego ujawnieniem! Nasze drogi rozchodzą się na zawsze.

Odwrocił się energicznie, lecz oplotła go ramionami.

— Nie, Jerzy, tak nie odejdziesz! Nasze drogi jeszcze się nie rozchodzą. Przyobiecałeś mi, że raz, jeden jedyny raz przybędziesz do mnie, gdy cię wezwę. Tylko jeden jedyny dzień chcę wyrwać z twojego życia dla siebie. Dla ciebie będzie to karą, jeśli nie przybędziesz z pragnieniem w sercu, a dla mnie będzie to zadośćuczynieniem.

— Kiedy, którego dnia mam przybyć? — spytał chłodno, z posepną miną.

— Ostatniego dnia tego roku — odrzekła po krótkim zastanowieniu. Gdyby widział w tej chwili jej twarz, przeraziłby się.

— Przybędę! — powiedział i odszedł.

Spoglądała za nim przygryzając usta, z zaciśniętymi pięściami.

— O, piękna pani! — wyrwał ją nagle z zamyślenia miły głos — Wreszcie was znalazłem, Wychodząc zapomnieliście płaszcza, a ja szczęśliwy jestem, że wpadł mi w ręce tak cenny łup, że mogłem go przynieść i uzbroić was przed wieczornym chłodem.

— To wy, książę? — zapytała skonfundowana. Ale niepokój i obawa, czy nie słyszał jej rozmowy z sekretarzem palatyna, znikły, gdy delikatnie narzucił jej płaszczyz, na ramiona i jakby bezwiednie ją przytulił. War spłynął po jej ciele.

— Tak, ja, piękna pani — szeptał książę Jan Chrystian — u waszego boku jest mi najmilej.

Wieczór był chłodny, niebo usiane gwiazdami, ale jakby przygasłymi, bez blasku.

Objęła go i pocałowała. Rozpalona, rozgorączkowana. Oddał jej pocałunek, lecz ją przejął chłód. Wysunął się z jej objąć.

— Chodźmy — podał jej ramię — wieje ostry, północny wiatr.

W milczeniu wrócili do huczącego wesołością zamku.

Gdy ujrzała w świetle twarz księcia, serce zadrżało jej z niepokoju i obawy. Była to twarz nieruchoma, zimna, jakby wyciosana z marmuru...

Zadumała się, co z tego wyniknie. Strach ją ogarniał, czuła bowiem, że stanie się, jak zechce książę, że nie oprze się jego woli. W tej chwili miała wszakże większy kłopot. Niepostrzeżenie wymknęła się do swojej izby i poleciała służebnej wezwać pięciu hajduków.

— Dobrze wiecie — zmierzyła ich groźnym wzrokiem — jak trzeba wykonywać moje rozkazy i jaka kara spotka tego, który skrewi. Słuchajcie pilnie! Dowiedziecie się, czy poseł palatyna wyruszył już do Nowego Miasta. Jeśli tak, jedźcie za nim co koń wyskoczy. Jeśli nie, wyprzedźcie go i czekajcie nań. Nie śmie dojechać do Nowego Miasta! Ten z was, który go zabije, niechaj się zgłosi po nagrodę!...

Poselstwo Czachtic i czyjeś jeszcze

Późnym wieczorem przybyła jeszcze gromada gości, Wśród nich graf Nyáry. Przybył bez fanfar, ale wnet każdy dostrzegł jego pociągłą twarz, kłujące oczy i nieodłączny ironiczny uśmiezek. Wielu straciło dobry humor, a panie i panowie, rozsnuwający misterną sieć zalecanek, aby uprzyjemnić sobie pobyt w Wielkiej Bytczy posmakowaniem owocu zakazanej miłości, zwijali chorągiewki. Graf Nyáry bowiem umiał w sposobnej chwili wyzyskać każdą tajemnicę, na ślad której natrafił.

Ledwo wmieszał się w tłum weselników, ujrzał mężczyznę prowadzącego do tańca Elżbietę Batorównę. Wybałuszał oczy i stanął jak wryty.

— Kto to jest? — zapytał ze wzburzeniem.

Stracił swoją zimną krew, co mu się nader rzadko przy-

darzało.

— Książę śląski Jan Chrystian — objaśnił go orawski szlachetka nadzorujący roznosicielei wina.

Książę Jan Chrystian zbliżał się ku niemu z Elżbietą Batorówną trzymającą go pod rękę. Graf Nyáry skłonił im się. Książę przystanął zaskoczony, zmarszczył brew, ale wnet się opanował:

— O, jakże się cieszę, drogi grafie Nyáry, że spotykam was tutaj! — Twarz rozjaśnił mu uśmiech radosnego zdziwienia.

— Dla mnie jest to jeszcze większą niespodzianką — rzekł graf Nyáry z najmilszym uśmiechem — albowiem ja nie ominałem ani jednego wesela u Thurzów, podczas gdy wasza książęca mość jest tu po raz pierwszy i zapewne ostatni.

— Tak, pierwszy i ostatni — uśmiechnął się książę i majestatycznie podał mu rękę. — Wraz z przyjacielskim uściskiem dłoni przyjmijcie wyrazy podziwu dla swych niezwykłych zdolności.

— O — rzekł skromnie Nyáry — moje zdolności bledną przy waszych, książę, jak księżyc przy słońcu.

Elżbieta Batorówna omal nie przebodła oczami grafa, który uśmiechał się do niej jak najmilej.

— Szczęśliwy jestem — oświadczył, iż po tak długim czasie znowu was widzę, dostojna pani, i mogę napawać oczy waszą urodą, którą zawsze admirowałem.

Ścisnęła ramię księcia dając mu do zrozumienia, że chce stąd odejść, lecz graf Nyáry skłonił się przed nią i poprosił o taniec.

— Nie mogą oprzeć się pokusie — usprawiedliwił się przed księciem — dozwólcie więc, że pozabawię was na chwilę milej społeczności.

Kiedy książę, pożegnawszy ich ukłonem, odszedł, nie powstrzymałaby wybuchu szalonej złości, gdyby nic słowa

grafa Nyáryego:

— Po tym, co zaszło w Czachticach, a o czym niechybnie wiele osób już się dowiedziało — rzekł stłumiony głosem — bardziej w waszym niżli w moim interesie leży, abyście zachowywali się wobec mnie przyjaźnie. Owych dobrze poinformowanych ogarną wątpliwości co do tego deresza...

Z wypowiedzianych słodziutkim głosem i z uśmiechem słów buchająca nienawiść niemal równa tej, jaka wrzała w Elżbiecie Batorównie. Ledwo zdołała się opanować, aby nie rzucić się na niego i nie wydrapać mu oczu.

Po chwili już wirowali w sali balowej, lecz ich taniec, chociaż słynęli jako znamienici tancerze, był tak wymuszony, że kilka par oczu obserwowało ich ze zdziwieniem.

— Tak, tak, uśmiechaj się, droga przyjaciółko — syknął smagając ją szyderczym wzrokiem. — Nauśmiechaj się do syta, albowiem już niedługo będziesz się śmiać. Spełni się moja groźba. Pętla się zaciska. Odtrąbią ci rychlej, niż się spodziewasz!..

— Tobie również!...

Ale gdy taniec się skończył, rozstali się tak mile, że można ich było wziąć za najlepszych przyjaciół.

Graf Nyáry wdał się potem w rozmowę z kardynałem, co nie uszło uwagi palatyna. Wparł w niego badawcze spojrzenie. W swojej podejrzliwości już i w nim widział przeciwnika, który w zamian za takie czy inne korzyści pomógłby pozbawić go urzędu i osadzić na jego miejscu katolika. Graf Nyáry podchwycił jego spojrzenie i odgadł myśli, lecz nie dbał o to. Niepewny sprzymierzeniec — zakonkludował — zawsze jest bardziej ceniony niż niezłomnie wierny.

Palatyn wyczuł, że coś się wokół niego rozgrywa, że znalazł się w rwącym nurcie różnorodnych wpływów. W jego rozmyślania nieustannie wplątywała się Elżbieta

Batorówna, a ilekroć na nią spojrział, przenikała go szczególna odraza, której nie umiał sobie wyjaśnić.

— Wyprawileś posłańca do Nowego Miasta? — spytał nachylając się do sekretarza.

— Tak, mniej więcej przed godziną — odparł sekretarz i jakby strach odzwierciedlił się w jego szczerych oczach. — Prosiłbym was, panie, o chwilę rozmowy sam na sam. Zrzekam się bowiem urzędu sekretarza. Był dla mnie najwyższym zaszczytem, lecz nie jestem godzien go piastować.

— Dlaczego? — zdumiał się palatyn.

— O tym właśnie chcę z wami pomówić, aby ulżyć swemu sercu i sumieniu.

— Chodźmy — rzekł palatyn i ruszył z sekretarzem do swej pracowni.

Gdy ucichł gwar i dobiegały ich tylko stłumione dźwięki muzyki posłyszeli wzburzone głosy na dziedzińcu:

— Muszę natychmiast, bezzwłocznie mówić z palatynem!

— Palatyn nikogo nie przyjmuje.

— Musi mnie przyjąć, albowiem tyczy się to ważnej sprawy losu mnóstwa ludzi!

— Każę was zamknąć, jeśli nie odjedziecie dobrowolnie! — rozeznali głos bytczańskiego kapitana.

Człowiek, co tak rozpaczliwie usiłował dostać się do palatyna, podszedł do kocz, którym przyjechał, i skinął na kapitana:

— Dobrze, odjadę, skoro nie chcecie dopuścić mnie do palatyna — rzekł rozsierdzony. — Ale zapewniam was, że palatyn nie będzie wam wdzięczny za to, żeście przepędzili jedyne go świadka tego morderstwa!

Księżyc szcudrze oblewał podwórzec bladym światłem, a kapitan z osłupieniem patrzył na kocz. Z okna w milczeniu spoglądali palatyn i sekretarz.

W koczach leżał trup mężczyzny. W świetle latarni, trzymanej przez kapitana, rozpoznali mundur i upiornie bladą twarz.

— To mój hajduk! — zawołał palatyn zaskoczony.

— Ten sam, którego przed godziną wyprawiłem do Nowego Miasta — skonstatował sekretarz.

— A ten, co go przywiózł i chce ze mną mówić, to Mikołaj Loszonsky — rzekł palatyn. — Przyprowadź go natychmiast, ale tak, żeby nikt nie widział, i zadbaj, abyście nie dowiedzieli się o zamordowaniu hajduka.

Po chwili Mikołaj Loszonsky stanął przed palatynem.

Oblicze miał czerwone ze wzburzenia.

— Przybywam do waszej dostojności jako poseł Czachtic, które są na skraju rozpaczki, i ufając jedynie w waszą sprawiedliwość błagają o pomoc i ocalenie.

— Gdzie znalazłeś zwłoki mojego hajduka? — przerwał mu palatyn.

— Przed Wielką Bytczą na gościńcu, akurat gdy dojeżdżałem do miasta, zabiło go pięciu innych hajduków. Uciekli posłyszawszy turkot mojego koczka. Mam stare oczy, ale bystre. Dobrze ich widziałem.

— Czyi to byli hajduki? — zapytał palatyn.

— Elżbiety Batorówny!

— Opowiadaj — rzekł palatyn po chwili zadumy — co dzieje się w Czachticach i co mógłbym dla nich uczynić.

Słuchał z zapartym tchem, korytarze pułapki pod czachtickim zamkiem i kasztelem, katowanie dziewcząt, żelazna panna, kąpiele we krwi, bestialstwo sług, setki trupów — dzisiejszego dnia palatyn w ogóle o tym nie słyszał, a dziś słyszy raz po raz, obecnie od siwowłosego starca, który nigdy nie splamiał swych ust kłamstwem.

— Wszystkie to zbrodnie, o których jeno pokrótce opowiedziałem, dzieją się w podziemiach, gdzie nie przeni-

kają promienie słońca. Istnieją jednak świadkowie, którzy mogą zaświadczyć przed sądem o popełnionych zbrodniach. Postawienie Elżbiety Batorówny i jej współników przed sądem — oto jedno z żądań Czachtic, w imieniu których ma honor pokłonić się waszej dostojności.

— A czego jeszcze żądają Czachtice? — spytał palatyn z nieprzeniknionym obliczem.

— Elżbieta Batorówna przed paroma miesiącami obwiniła czachticzán o sprzyjanie zbrojnikom, o rebelianctwo i Bóg wie co jeszcze. Teraz obżera ich trzystu żołnierzy, którzy są tam jeno po to, aby grafka bez przeszkód mogła dopuszczać się złoczynstw. Czachtice są w nędzy, albowiem utrzymanie żołnierzy pochłonęło wszystkie zasoby, lecz jeszcze bardziej doskwiera im nędza moralna. Żołnierze napastują po nocach dziewczęta oraz małżonki mieszczán, u których stoją kwaterą, i wszelakimi sposobami zmuszają je do powolności.

Palatyn słuchał bez słowa, ze zmarszczonym czołem.

— Na dokładkę od kilku dni — ciągnął Mikołaj Loszonsky drżącym ze wzburzenia głosem — sługi grafki na jej rozkaz tak wyzyskują poddańców, wolnych chłopów i mieszczán, że niebawem każda ręka chwyci bądź kij żebaczy, bądź też broń i poleje się krew! Czachticka pani rozprzedaje swoje zbiory pod przymusem nabywania, za samowolnie wyznaczone ceny. Nie ma prawa, które by chroniło Czachtice, nie ma zwierzchności, która by się ujęła za cierpiącym miastem. Ale to jeszcze nie wszystko. Pod pozorem naprawy kasztelu i wiodącej doń drogi nałożono na mieszkańców niesłychane daniny. Kto nie chce się podporządkować, tego po skatowaniu na deresz pólżywego wrzucają do lochu, dla zastraszenia pozostałych. Najstateczniejsi mieszczanie zostawiają mienie, dom, rodzinę i uciekają w lasy do zbrojników, ogarnięci jeno myślą o pomście. Proszę w imieniu Czachtic o sprawiedliwość, inaczej miasto, które zawsze było wzorem spokoju i ładu, sta-

nie się widownią krwawych wydarzeń.

— Odejdź w pokoju, Mikołaju — rzekł palatyn po chwili milczenia. — Wysłuchałem twego poselstwa i obiecuję, iż po przeprowadzeniu śledztwa w tej sprawie poczynię odpowiednie kroki.

— Musicie poczynić je nie zwlekając — nalegał Mikołaj Loszonsky z twarzą surową i poważną — albowiem gniew i poryw buntu nasila się w Czachticach z minuty na minutę. Proszę o natychmiastowe odwołanie wojska.

— Uważam, iż wojsko w Czachticach jest potrzebne, aczkolwiek nie do tego celu, w jakim je posłaliśmy, to znaczy nie do ochrony grafki — odparł palatyn. — Jest potrzebne do utrzymania ładu, jak bowiem wynika z twoich słów, położenie stało się tam bardzo poważne.

Mikołaj Loszonsky opuścił komnatę palatyna zniechęcony. Wyobraził sobie swój powrót do Czachtic. Przywiezie jedynie obietnicę, że palatyn pomoże. Ale nim obiecana pomoc nadejdzie, dalej będą ogołacać ludzi z resztek mienia.

Po jego wyjściu palatyn nadal siedział w fotelu, zatopiony w myślach. Z zadumy wyrwało go nagłe walnięcie w drzwi.

Sekretarz poskoczył, zdecydowany nauczyć moresu sprawcę łomotu. Szybko otworzył drzwi, lecz na korytarzu nie było żywego ducha. Nie posłyszał nawet odgłosu kroków uciekającego człowieka.

Jego wzrok padł na podłogę. Leżał tam list opatrzony siedmioma czerwonymi pieczęciami.

Podniósł go.

— Jakiś tajemniczy poseł — oznajmił palatynowi — rzucił pod drzwi ten oto adresowany do was list z siedmioma pieczęciami.

— Otwórz go — polecił zdumiony palatyn — i przeczytaj.

Sekretarz odpieczętował list. Czytając zbladł, a na jego twarzy odbiło się wzburzenie.

— Jest to list nieboszczyka proboszcza Andrzeja Bertho-
niego, poprzednika Jana Ponicensa — oznajmił ostrym
głosem. — Mowa w nim o zbrodniach Elżbiety Batorówny.
List znaleziono w krypcie czachtickiego kościoła.

Palatyn żywo sięgnął po list i sam zaczął go czytać.

Jerzy Zavodsky podszedł do okna.

Na podwórku znowu rozlegały się podniesione głosy.

Mikołaj Loszonsky wyszedł z zamku akurat w chwili,
gdy na rozkaz kapitana odnoszono trupa.

— Zacieracie ślady zbrodni — wybuchnął — miast uka-
zać je światu, aby wołały o sprawiedliwość!

Kapitan z trudem nakłonił go, aby wszedł do koczka.

— Jedź, a szybko — ponaglił stangreta — bo inaczej ra-
zem z twoim panem, jeśli nie umilknie, wpakuję cię za
kratki.

Stangret zaciął konie.

— Podziękuj waszmość Elżbiecie Batorównie — wy-
krzyknął Mikołaj Loszonsky — że zabiła waszego hajduka,
ucałuj jej dostojną dłoń i podsuń szyję, aby mogła cię udu-
sić.

Palatyn położył list na stole.

— Co ty na to? — zapytał.

Sekretarz nie odpowiedział, patrzył w zamyśleniu przed
siebie.

— Przyrowadź do mnie Elżbietę Batorównę! — ozwał
się palatyn twardo i majestatycznie, jakby otwierał przewód
sądowy.

Elżbieta Batorówna nie dowiedziała się, co zaszło. Nie miała pojęcia, iż palatyn wie, że jej ludzie zabili jego hajduka.

Jerzy Zavodsky przerwał jej rozmowę z księciem Janem Chrystianem:

— Niepomierne mi przykro, dostojna pani, że muszę was pozbawić tak miłej społeczności. Jego wysokość palatyn pragnie z wami pomówić. Czeka na was w swojej pracowni.

— Cóż to znaczy? Dlaczego palatyn nie pomówi ze mną tutaj? — spytała zaniepokojona.

Podał jej ramię.

Po obliczu księcia, gdy patrzył za odchodzącymi, przemknął uśmiech zadowolenia.

— Bywają sprawy, dostojna pani — odparł sekretarz chłodno — o których można mówić jeno wśród czterech ścian i bez świadków.

Po chwili zniknęła za drzwiami pracowni palatyna. Sekretarz nie wszedł. Gdy spojrzała na mroczną twarz palatyna, serce zaczęło jej walić jak młotem.

— Czego wasza wysokość sobie życzy? — zapytała z wymuszonym uśmiechem.

— Dlaczego kazaliście zamordować mojego hajduka?

Wytrzeszczyła oczy.

— Dlaczego to uczyniliście? — zawołał nie panując już nad gniewem.

Świat zawirował wokół niej.

Strach przytłoczył ją do fotela.

— Dlaczego to uczyniliście? — powtórzył jeszcze groźniej.

— To obwinienie — przemagała odrętwiałość i strach — tak mnie zdumiewa, że nie wiem, co odpowiedzieć. Zapewniam waszą wysokość, że nie mam pojęcia ani o zamordowaniu waszego hajduka, ani o tym, gdzie i w jakich okolicznościach to się stało.

Pięciu waszych hajduków napadło go na gościńcu, a przed chwilą naoczny świadek tego zdarzenia przywiózł jego zwłoki.

— Jeśli to uczynili, działali na własną rękę — udawała ogromny gniew. — Ukarze ich!

— Ja sam zadbam o wymierzenie im kary!

— Podporządkuję się woli waszej wysokości — rzekła stropiona. Wyślę pogoń za nimi, a jak ich złapią, niezwłocznie oddam łotrów w wasze ręce.

— Oszczędziłem wam tego trudu, dostojna pani. Waszych hajduków już zapewne złapano, a jeśli nie, złapią ich lada chwila.

Zmartwiała. Czują, że jest w potrzasku.

Palatyn wskazał poźółkły list:

— Jest to list od dawno zmarłego człowieka. Obwinia was o dziewięć morderstw!

Gdy brała list ze stołu, ręce jej się trzęsły.

Dopiero teraz pojęła, dlaczego zbójnicy wydobyli trumnę z krypty. Szukali świadectwa — i znaleźli. Rządki słów i litery rozmazywały jej się przed oczami.

— Wasza wysokość daje wiarę tym szaleńczym oskarżeniom? — wykrzyknęła zalewając się łzami. — Tym niedorzecznościom, złośliwym kłamstwom, które rozpowszechniają moi wrogowie?

— Co powiecie o tym liście? — zapytał nie zwracając uwagi na łzy.

— Proboszcza Berthoniego prosiłam, aby pochował dziewięć dziewcząt, to prawda. I prawdą jest, że pochował je kryjomo, w nocy. W zamku wybuchła zaraźliwa choro-

ba. Dziewięć jej ofiar kazałam pochować potajemnie, aby na pogrzeb nie przyszły całe Czachtice, jak to jest w zwyczaju. Chciałam zapobiec rozszerzeniu się zarazy.

— Andrzej Berthoni inaczej opisuje to wydarzenie.

— Był to cichy szaleniec, człowiek niepoczytalny.

— Rad uwierzyłbym waszym słowom, dostojna pani. Na dowód tego wyślę do Czachtic hajduka, wezwę tutaj świadków, aby potwierdzili waszą wypowiedź i rozwiali moje wątpliwości.

Spostrzegłszy, jak wzdrygnęła się na te słowa, powiedział uszczypliwie:

— Albo nie, nie wyślę. A nuż wasi hajducy i jego by zabili...

Bystremu oku palatyna nie uszły jej zmieszanie i strach. Wykręty, których się imała, budziły w nim obrzydzenie.

— Żądam, abyście udzielili mi jasnej i jednoznacznej odpowiedzi! — rąbnął wprost, albowiem nie mógł już dłużej znieść tego kluczenia, było to przeciwne jego naturze.

— Czy prawdą jest, że lekce sobie ważąc i boskie, i ludzkie prawa zamordowaliście około stu dziewcząt?

— Nie!

— Żeście je męczyli i kąpali się w ich krwi?

— Nie, nie!

— Że kąpaliście się w dziewiczej krwi, aby zachować urodę i wieczną młodość?

— Nie, nie, nie!

Wybuchnęła spazmatycznym płaczem i skryła głowę w dłoniach. Ale palatyn, który nie odrywał od niej oczu, dostrzegł, że obserwuje zza przyciśniętych do twarzy palców, jakie wrażenie wywarły jej gwałtowne zaprzeczenia i lży.

Wstał, ciężkim krokiem przemierzył komnatę, w końcu

zatrzymał się przed nią:

— Jesteście znamienitą aktorką! Moja nieboszczka pierwsza żona darzyła was przyjaźnią. Jesteście wdową po moim najlepszym przyjacielu Franciszku Nádsadym, który niechybnie obraca się w grobie, że między nami musiało dojść do takiej rozmowy. Tak, jesteście znamienitą aktorką, nie na tyle wszakże, aby udało wam się wprowadzić mnie w błąd i zaciemnić niezbite fakty.

Elżbieta Batorówna wstała nagle. Oczy jej płonęły, łzy obeschły, a rysy twarzy, jeszcze przed chwilą zapłakanej, zaostrzył wyraz zawziętości.

— A co byście uczynili — spojrzała na palatyna wyzywająco — gdybym powiedziała, że morduję dziewczęta i kąpię się w ich krwi?

— Uczyniłbym to samo, co uczynię i tak: ostrzegam was z całą urzędową powagą!

— To nie jest ostrzeżenie, lecz groźba!

— Tak, groźba, mająca przywieść was do opamiętania.

— Nikt nie ma prawa mi grozić, nikt nie ma prawa mnie ograniczać, przed nikim nie jestem odpowiedzialna!

— Jeno przed Bogiem i przed prawem. A czuwać nad przestrzeganiem prawa jest moją najświętszą powinnością! Gdybym w tej chwili nie miał na względzie waszych krewnych, członków zasłużonych rodów, lecz usłuchał głosu sumienia, natychmiast wtrąciłbym was do więzienia i postawił przed sądem. Aby głos sumienia nie zwyciężył, proszę was byście zaraz powrócili do Czachtic!

— Wypędzacie mnie ze swego domu?

— Jeśli uważacie to za wypędzenie, niech i tak będzie!

Oblicze palatyna płonęło gniewem — oczy Elżbiety Batorówny skrzyły się wściekłością:

— Pożałujecie tego, przysięgam, pożałujecie! — wykrzyknęła ochryplym głosem.

Odwróciła się i dumnie wyprostowana ruszyła do wyj-

ścia.

— Wyjadę, jeno się pożegnam z waszymi miłymi gośćmi, którzy i mnie są mili! — powiedziała w drzwiach.

W duszy, zaślepionej wściekłością, zrodziło się szaleńcze postanowienie.

Tak, zaraz wyjedzie... wracała do huczących wesołym rozgwarem komnat z rozjaśnioną twarzą. Ale pierwej niż ona wyjedzie palatyn, a wraz z nim graf Nyáry, jej najniebezpieczniejsi wrogowie... Wyjadą tam, skąd nie ma powrotu...

Wino śmierci

Jerzy Zavodsky w sąsiedniej izbie wysłuchał całej rozmowy. Tak życzył sobie palatyn.

Po wyjściu grafki wszedł do pracowni, gdzie wzburzony palatyn krążył z kąta w kąt.

Kiedy ujrzał sekretarza, zachmurzone czoło trochę mu się rozpogodziło.

— Nim odpowiem na pytanie waszej wysokości — rzeki sekretarz, kiedy palatyn zapytał go, co sądzi a rozmowie z Elżbietą Batorówną — proszę ponownie o złożenie mnie z urzędu.

— Każę cię zamknąć, jeśli będziesz mnie drażnić takimi błazeństwami — ofuknął go palatyn dobrotliwie. Ale wyznaj, co masz na sumieniu.

Jerzy Zavodsky opowiedział o swoim młodzieńczym wybryku, który rzucił cień na cały jego żywot, a teraz, po wielu latach, grozi mu klęską.

— Obrażona, żądna zemsty Elżbieta Batorówna zdolna jest do wszystkiego — kończył swoją spowiedź — toteż muszę być przygotowany również na to, że publicznie mnie

obwini. Może mnie tak napiętnować, że dla waszej wysokości byłoby dyshonorem mieć mnie u swego boku.

— Zostaniesz moim sekretarzem i basta! — rzekł palatyn stanowczo, głosem nie dopuszczającym sprzeciwu. — Był to wybryk ognistej młodości i nikt z czystym sumieniem nie może pozywać do odpowiedzialności za ten czyn człowieka stojącego już na progu starości. Można cię jeno pożałować, żeś zapłonął tak wielkim afektem akurat do nierządniczy. Wszystko zostanie po staremu, Jerzy, i wiedz, że twoja szczerość jeszcze umocniła moją przyjaźń. Jeśli będzie ci kiedy potrzebny obrońca, licz na mnie. I zajmij się swoją córką!

— Jest żoną zbrojnika — przypomniał sekretarz zgnębiony.

— Zbrojnika, którego już mamy w swojej mocy — odparł palatyn. — Powiesimy go bez zwlekania. Erzika opłacz swoje pobłędzenie, a potem zadbamy o jej dalszy los. Małżeństwo unieważnimy. Powiedz superintendentowi Eliaszowi Lániemu, który akurat tu gości, iż życzę sobie, aby przeprowadził to jak najrychlej, Andrzeja Drozda nie powieszają jako jej męża, a więc nie będzie wdową po zbrojniku.

Jerzy Zavodsky ze wzruszeniem podziękował palatynowi.

— Ale powiedzże wreszcie, co powinienem uczynić? — zapytał palatyn.

— Uwięzić Elżbietę Batorównę i postawić ją wraz z jej współnikami przed trybunałem.

— Zaiste, należałoby. Ale czy mogę wtrącić ją do więzienia właśnie teraz, gdy tu na weselu zebrali się przedstawiciele całego kraju i niemal całej Europy? Byłaby to straszliwa kompromitacja dla nas i wszystkich jej wpływowych krewnych.

— A krewni bez wątpienia zwróciliby się przeciwko wa-

szej wysokości — zamyślił się sekretarz.

— Musimy być bardzo ostrożni. Palatyn uzgodnił z sekretarzem, że zwołam krewnych i wezwą ich, aby roztoczyli dozór nad czachticką panią i uniemożliwili jej zbrodnicze wyczyny. Poddanym należy przyznać pewne ulgi, niechaj przestaną sarkać i zapomną o wszystkim, co się stało. Dopóki czachticzanie się nie uspokoją, wojsko tam zostanie, lecz na koszt grafki, ona musi utrzymywać. Trzeba też położyć kres ograbianiu mieszkańców i naruszaniu prawa.

— Dowódca wojska — mówił palatyn — nie będzie podlegać Elżbiecie Batorównie. Musi surowo karać wszelkie wybryki żołnierzy, drażniące czachticzan. Jego najpilniejszym zadaniem będzie rozgromienie zbójników, co przyjdzie mu bez trudu, skoro hersztowie siedzą już za kratkami w Nowym Mieście. Wydadź więc, przyjacielu, stosowne rozporządzenie. Mam nadzieję, że uspokoi to wzburzone umysły. Czas wszakże wrócić do gości, różnie bowiem mogą sobie tłumaczyć moją nieobecność.

We wszystkich salach rozbrzmiewał wesoły gwar. Służba niez mordowanie napełniała kielichy. Wino roziskrzało humory, zbliżało ludzi, kapela grała coraz żywiej, a sala balowa już nie mogła pomieścić wszystkich par, toteż puszczano się w tany i w przyległych komnatach.

— Z wielkim żalem, muszę jednak wyrzec się przyjemności zatańczenia z wami, księżę — usprawiedliwiła się Elżbieta Batorówna, kiedy Jan Chrystian z galanterią poprosił ją o taniec.

— Dlaczego? — spytał zawiedziony.

— Tylko dlatego — odparła z uwodzicielskim uśmiechem — że postanowiłam udać się na spoczynek, albowiem o świcie wracam do Czachtic. Ale muszę jeszcze pożegnać się z kilkoma przyjaciółmi.

— Gdyby wasze oczy zajrzały w głąb mego serca, piękna pani — rzekł księżę — i zobaczyły bezmiar smutku, ja-

kim mnie napełnił wasz niespodziany odjazd, współczucie nie dozwoliłoby wam odjechać.

— A gdybyście wy, miły księżę — uśmiechnęła się najlaskawiej — zajrzeli do mojego serca, wyczytalibyście żeń, że pragnę jak najrychlej powitać was w swojej czachtickiej samotni.

Na twarzy księcia odbił się wyraz uszcześliwienia, lecz nie zdążył podziękować za zaproszenie, gdyż w tej samej chwili podszedł do nich graf Nyáry.

— Czegóż to się dowiadujemy? — rzekł z wyraźnie sztucznym oburzeniem. — Ponoć chcecie nas opuścić, do stojna pani.

Księżę Jan Chrystian spostrzegł, że czachticka pani nerwowo bawi się rubinowym oczkiem masywnego złotego pierścienia. Również graf Nyáry obserwował ukradkiem jakby bezwiedną grę jej palców. A słodkawy uśmiech na jego twarzy ustąpił wyrazowi czujności i tajonego napięcia.

— Tak, drogi przyjacielu, chociaż z ciężkim sercem — odrzekła błędząc dłonią nad tacą w poszukiwaniu swego kielicha, a wreszcie ujęła go ostrożnie — rozstaję się jednak z wami. Spełnijmy jeszcze ostatni kielich na pożegnanie.

Podala kielichy grafowi i księciu.

— Ostatni, na pożegnanie — zwróciła się do grafa Nyáryego i nie spuściła z niego wzroku, póki oczy ich nie spotkały się przy stuknięciu kielichami.

— Do zobaczenia! — szepnęła do księcia, a twarz jej oblała się rumieńcem.

Otoczył ich krąg osób z kielichami w rękach, wśród nich palatyn. Stuknęła się i z palatynem, ale tak niezręcznie, że zawadziła pierścieniem o jego kielich. Kielichy uniosły się do ust.

Wtem graf Nyáry przyskoczył do palatyna i tak gwałtownie chwycił go za rękę, że wino chlusnęło mu na rękaw.

— Co wyczyniacie?

— Wasze wino jest zatrute — rzekł graf Nyáry lodowato i tak głośno, że wszyscy wokół słyszeli wyraźnie. — Jest to wino śmierci, tak samo jak i moje!...

Ostatni taniec

Oczy zmartwiałych gości wpatrywały się w kielichy palatyna i grafa Nyáryego.

Książę Jan Chrystian obserwował Elżbietę Batorównę. Była blada, a ręka tak jej się trzęsła, aż wino wylewało się z kielicha.

— Panie i panowie, nic się nie stało! — przerwał ciszę stłumiony głos palatyna. — Proszę, zmilczcie o tym zdarzeniu.

Goście w przyległych salach tak byli rozbawieni, że nawet nie spostrzegli, iż w pobliżu stołu palatyna na chwilę zapadła grobowa cisza, tym bardziej, że na znak palatyna kapela zagrała fanfarę.

— Kto to uczynił? — spytał szeptem palatyn grafa Nyáryego i przebiega badawczym wzrokiem po ciżbie gości, by w końcu utkwiał go w Elżbiecie Batorównie, która akurat podeszła do księcia.

— Uczyniła to dama — odrzekł graf Nyáry również szeptem — która przy stuknięciu się kielichami wysypała do wina truciznę ze swego wydrążonego pierścienia. Do mojego kielicha wysypała już przedtem i sama mi go podała.

— Jeszcze jeden taniec, książę! — ozwała się Elżbieta Batorówna siłąc się na uśmiech. — Nie darowałbym sobie gdybym nie zatańczyła z wami jeszcze raz.

— Szczęśliwy jestem — powiedział zupełnie obcym chłodnym głosem — że los mi dozwolił poprowadzić was

do ostatniego tańca!

Ostatni taniec! Czyżby umyślnie zaakcentował te dwa słowa? Czyżby miały głębszy sens, niż się zda? Uczuła na sobie spojrzenie palatyna. Wzdrygnęła się.

— Słaniacie się, piękna pani, jak wędnący kwiat — wpatrywał się w jej oczy książe i roztaczacie wokół siebie woń, która upaja, omamia. Woń krwi...

Ostatni taniec...

Zachwiała się jeszcze silniej. Strach i rozpacz były z jej oczu. Były to oczy kobiety nad przepaścią.

Co oznacza wyraźna zmiana w zachowaniu księcia, co oznaczają te dziwne aluzje i to spojrzenie, zimne, wyzywające, pogardliwe i wrogie?

Otoczający palatyna goście zajęli miejsca przy stołach.

Palatyn przywołał jednego z pachółków nalewających wino.

— Zanieś te dwa kielichy kapitanowi, niechaj wypróbuje na zwierzętach działanie wina i natychmiast powiadomi mnie o wyniku. Nie się nie stało, drodzy przyjaciele — zwrócił się do gości, gdy pachółek odszedł — zgoła nic.

Kardynał Franko Forgach uśmiechnął się ironicznie, nachylił się do palatyna i rzekł:

— Jeno to, żeście całkiem zmienili swój osąd o tej dostojnej damie, jeśli się nie mylę.

Palatyn nie odpowiedział. Baczenie obserwował tańczącą z księciem gratkę. Zachowywała się tak dziwnie, że zwróciła na siebie ogólną uwagę. O ile przedtem okazywała księciu najgłębszą sympatię, to teraz, zapominając o dobrych manierach, z przerażeniem wytrzeszczała na niego oczy, jakby postradała zmysły. Ale książe nie wyglądał na skonfundowanego, był tylko zdziwiony jej zachowaniem.

— Zaprosiliście mnie, piękna pani ozwał się — do swojej czachtickiej samotni. Nie zdążyłem wam wówczas odpowiedzieć. Byłbym rad, gdybyście teraz zechcieli wysłu-

chać mojej odpowiedzi.

Coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że ksiązę od samego początku ją zwodził i że teraz zdejmuje maskę, odsłania swoją prawdziwą twarz.

Chłód i groza tchnęły z całej jego postaci. Przejmował ją strach tym większy, im rozpaczliwiej szukała rozwiązania piętrzących się zagadek.

— Piękna pani nie jest ciekawa mojej odpowiedzi?

— Nie — odparła — jestem bowiem pewna, że przybędziecie do Czachtic.

— Nie mylicie się, przybędę do Czachtic — rzekł ksiązę — ale dopiero wówczas, kiedy zapanuje tam prawo i sprawiedliwość.

Stanąła raptem jak rażona gromem, odskoczyła od księcia i krzyknęła przeraźliwie w błysku straszliwego poznania.

Na jej krzyk roztańczone pary znieruchomiały, muzyka zamilkła, a z przyległych komnat zbiegli się biesiadnicy.

Twarcz księcia, przy wzmiance o prawie i sprawiedliwości ściągnięta na moment gniewem, i jego stłumiony głos drżący zdławioną nienawiścią przypomniały Elżbiecie Batorównie człowieka, którego widziała raz na podwórzu swojego zamku. To wtenczas, gdy Jan Kalina wpadł w jej ręce, słyszała ten głos.

To on ukrywa się pod maską księcia!

W chwili, kiedy dokonała tego odkrycia, wyjaśniły jej się wszystkie zagadki, tajemnicze zachowanie księcia i jego aluzje. Ogarnęła ją niepoohamowana wściekłość i żądza zemsty.

— Co wam jest, piękna pani? — spytał ksiązę z niewinną miną.

— Łotrze nikczemny! — wrzasnęła i jak oszalała rzuciła się na księcia z pięściami.

Książę ani drgnął.

Kilku mężczyzn, którym dopisała przytomność umysłu przyskoczyło do Elżbiety Batorówny. Oderwali ją od księcia i chwycili za ręce.

— Puśćcie mnie! — krzyczała. — To oszust, szalbierz. Podle okłamał mnie i was wszystkich! To mój poddaniec Jan Kalina, rebeliant i herszt zbójników!

Goście zmartwieli. Z takim przekonaniem zadała kłam księciu, że w pierwszej chwili niemal każdy uwierzył. Przestraszone damy obmacywały się, czy mają jeszcze swoje klejnoty.

Na twarzy księcia pojawił się wyraz rozbawiania, oczy mu rozbłysły, a w ciszy zadzwonił jego dźwięczny śmiech.

Czachticka pani patrzyła na niego zmieniona nie do poznania, oczy jej ciskały błyskawice.

— Jest to najburzliwsza przygoda mego życia — śmiał się książę Jan Chrystian i sprawiłaby mi niebywałą uciechę, gdyby piękna pani nie odpokutowała jej przykrościami. Nie chciałbym tego, toteż proszę jego wysokość palatyna, aby uwierzył słowem dostojnej pani i wtrącił mnie do lochu. Jestem Jan Kalina, zbójnik, skoro tak twierdzi dostojna pani, która dzisiejszego wieczoru oczarowała mnie, niechaj więc spotka mnie los zbójnika. Jest wszakże możliwe, że sama dostojna pani będzie prosić o uwolnienie mnie i stanie się moją oswobodzicielką. Choćby dlatego, by napawać się tą słodką nadzieją, proszę waszą wysokość o wtrącenie do najgłębszego lochu!

I znowu zadźwięczał jego śmiech. Podziałał jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki.

Cóż to za brednia — książę Jan Chrystian, najdostojniejszy gość, który dwornymi manierami, niepowszednią wiedzą i osobistym urokiem podbił wszystkie serca, ma być zwyczajnym zbójnikiem!

I w sali, jak echo, rozległ się gromki śmiech gości.

Czachticka pani całkiem widocznie straciła kontenans. Powszechny śmiech jak gdyby poskromił jej furję. Już nikt jej nie trzymał a mimo to nadal stała ze wzrokiem utkwionym w księcia i widać było, że sama już wątpi w swoje odkrycie.

— A, przybywacie w samą porę, mości kapitanie — uśmiechnął się książę do bytczańskiego kapitana, który z pośpiechem przedzierał się przez ciżbę. — Spraw mi to prawdziwą przyjemność, jeśli kapitan osobiście spęta mi ręce.

Palatyn odwrócił się tknięty złym przeczuciem. Chyba zaszło coś niezwykłego, skoro kapitan na nic nie zważając przyszedł tutaj.

— Kapitan pandurów z Nowego Miasta prosi o przyjęcie w pilnej sprawie.

— Przyrowadź go!

Kapitan ruszył z powrotem, a weselników znów ogarnęła ekscytacja.

Ta chwila napiętego oczekiwania była palatynowi bardzo na rękę, jeszcze bowiem nie znalazł wyjścia z kłopotliwej sytuacji, jeszcze nie wiedział, jak zrekompensować księciu obrazę.

— Wybaczcie, wasza wysokość — skłonił się kapitan pandurów — że ośmielałem się molestować w tak niestosownej chwili, wszelako...

— Mów, co się stało — przerwał mu palatyn.

— Wieziemy z Nowego Miasta dwudziestu zbójników, baliśmy się bowiem, że ich kamraci, których jest ogromna chmara, z naszego więzienia mogliby ich uwolnić.

— Kto zacz, ci zbójnicy?

— Andrzej Drozd, Jan Kalina i osiemnastu innych.

Cała sala wybuchnęła śmiechem. Nie wyłączając palatyna. Tylko po księciu widać było, że jest niemile zaskoczony.

ny. Elżbieta Batorówna zemdląca. Nie ze strachu, że zbójników poddadzą w Bytczy przesłuchaniu, albowiem po rozmowie z palatynem już jej nie zależało, co powiedzą, ale ze wstydu nad swoją straszliwą pomyłką Musiała się mylić, skoro kapitan pandurów donosi, że Jana Kalinę właśnie tu wiozą.

— Och, mości kapitanie — zwrócił się książę do kapitana z udanym gniewem — tak mi się odwdzięczacie za to że wam złapał całą bandę zbójników? Psujecie mi zabawę! Nie mogliście doczłapać tu chociaż o godzinę później? Wielce rad spróbowałbym więzienia, a wy pozbawiliście mnie tego.

Kapitan patrzył na księcia zbaraniały, a goście i palatyn pokładali się ze śmiechu.

— I lak ci było pilno z tym meldunkiem? — spytał kapitana palatyn.

— Nie, ale chciałem prosić o pomoc. Jest wielce podobne, że zbójnicy, choć rozproszeni po górach, zwiedzieli się o odstawieniu kamratów do Bytczy, zebrali się gdzieś, wyprzedzili nas i będą usiłowali uwolnić więźniów.

— Waszmość kapitanie — rozkazał palatyn swojemu oficerowi — poślij w sukurs pandurom tylu ludzi, ilu uznasz za potrzebne.

Kapitanowie odeszli. Palatyn poszukał wzrokiem Elżbiety Batorówny. Akurat wynoszono zemdloną grafkę pod dozorem jego małżonki.

— Drogi książę — palatyn podszedł do Jana Chrystiana — proszę o wybaczenie, że pod moim dachem doznaliście obrazy. Przeświadczony jestem, że i sama, czachticka pani przeprosi was, jak tylko przyjdzie do siebie. Cieszę się, że nie bierzecie tragicznie tego przykrego zdarzenia, dzięki czemu nie zwarzyło ono humoru moim dostojnym gościom, przeciwnie, jeszcze bardziej ich rozweseliło.

— A najbardziej mnie — uśmiechnął się książę. — Z

uciechą będę wspominać tę przygodę!

Weselnicy cisnęli się do księcia i wiwatowali na jego cześć.

O Elżbiecie Batorównie nikt nawet nie pomyślał, a jeśli to z głębokim politowaniem, sądzili bowiem, iż zapalała takim szalonym afektem do księcia, że aż rozum jej się zamcił. Lecz palatynowi nie schodziła ona z myśli. W drzwiach pojawił się jego kapitan.

— Pozwalam sobie zameldować — wyprężył się — wypróbowaliśmy zawartość kielichów na dwóch psach. Wino było zatrute. Psy po chwili padły.

— Możesz odejść — rzeki palatyn i ze sposepniałą twarzą skierował kroki do komnaty, gdzie odniesiono czachticką panią.

Tymczasem graf Nyáry, rozpromieniony, podszedł do księcia.

— Gratuluję waszej książęcej wysokości,

— To ja gratuluję wam, drogi grafie. Mnie przed chwilą groziło jedynie więzienie, ale wam i palatynowi — śmierć! Mnie przed więzieniem ocalił przypadek, ale was i naszego drogiego przyjaciela palatyna przed niechybną śmiercią ocalił jedynie wasz bystry wzrok.

— O — na obliczu grafa Nyáryego odzwierciedlił się bezgraniczny podziw — bystrość mojego wzroku błędnie przy bystrości umysłu waszej książęcej wysokości.

Ci, którzy słyszeli te wzajemne dusery, nie domyślali się, że mają one głębsze znaczenie, inny, zrozumiały tylko dla rozmówców sens. Lecz już za chwilę wszyscy wiedzieli, co się stało, a to dzięki temu, że graf Nyáry kilku damom — wzięwszy od nich solenną obietnicę, że nikomu nie pisaną ani słowa — opowiedział całe zdarzenie tak, jak mu było wygodnie.

Córki i zięciowie czachtickiej pani z pobladłymi twarza-

mi snuli się po komnatach. Czuli, że wszyscy wokół z jakiegoś powodu licują się nad nimi, z jakiegoś powodu unikają rozmów z nimi, coś przed nimi tają. W duchu zadawali sobie straszne pytanie: byłoby to możliwe?

Palatyn wszedł do komnaty akurat w chwili, gdy Elżbieta Batorówna ocknęła się z omdlenia i na wpół przytomnym wzrokiem powiodła po służebnych i małżonce palatyna, która zajęła się nią nie z przyjaźni, lecz z obowiązku pani domu Ujrzawszy palatyna, znowu zemdląła.

— Chcę zostać z nią sam rzekł palatyn, energicznym gestem dając znak żonie, by wraz ze służebnymi opuściła komnatę.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, powiedział szorstko jak mężczyzna nie zwykł zwracać się do dam:

— Dość tego, bo każę wrzucić was do studni, jeśli nie przestaniecie udawać omdleń!

Śmiertelnie blada otworzyła oczy i usiadła.

— Trucicielka, morderczyni! — krzyknął. — Precz z mojego domu! Jeśli za godzinę nie będziesz poza granicami bytczańskich posiadłości, wtrącę cię do najgłębszego lochu!

Odwrócił się i odszedł.

Kipiał gniewem, a obecność czachtickiej pani tak go drażniła, że gdyby został tam jeszcze chwile, całkiem by zapomniał o godności swego stanu, rzucałby się na nią i udusił jak podstępного mordercę, co targnął się na jego życie.

Elżbieta Batorówna, urażona śmiertelnie, jak furia pobięła do swojej izby.

— Zaprzęgać! — rozkazała hajdukowi i sama pomagała służebnym wrzucać rzeczy do skrzyń.

Wśród gości wnet się rozniosło, że odjeżdża. Powitali ją z ulgą. Oszczędzi im wielu nieprzyjemnych sytuacji. Nie uważali, że jedynie jej wyjazd może być zadośćuczynie-

niem dla księcia.

Córki Elżbiety Batorówny i jej zięciowie nie mogli znaleźć sobie miejsca. Po kolei wymykali się niepostrzeżenie, biegli do matki, zarzucali ją wyrzutami i pytaniami. Ale ona na ich widok wpadała w jeszcze większą wściekłość.

— Precz mi z oczu, nie chcę was widzieć! — wołała z taką pasją, że wychodzili jeszcze bardziej rozgoryczeni i strapieni.

Córki wybuchały płaczem, a zięciowie w bezsilnym gniewie zaciskali pięści. W końcu wszyscy znaleźli się w gabinecie palatyna, gdzie Jerzy Zavodsky zgromadził ich zgodnie z jego poleceniem.

Palatyn aż się pieniał.

— Elżbieta Batorówna dopuszcza się niesłychanych rzeczy, które przestały być tajemnicą. Nawet król już się dowiedział i żąda przeprowadzenia śledztwa i ukarania winnych. Swoje ohydne postęпки ukoronowała dzisiaj usiłowaniem otrucia mnie i grała Nyáryego. Oznajmiam wam to i żądam stanowczo, byście zrobili z nią porządek, bo jeśli nie, będę musiał wdać się w tę sprawę, a wtenczas nie zdolam oszczędzić hańby waszej rodzinie.

Tymczasem czachticka pani opuszczała zamek Thurza, z takim pośpiechem, jakby dach płonął jej nad głową. W korytarzu spostrzegła Jerzego Zavodskiego. Chciał uniknąć spotkania, cofnął się do drzwi najbliższej izby, ale przejrzała jego zamiar. Przystanął.

— Jerzy przeszyła go wzrokiem — oczekuję cię ostatniego dnia roku w czachtickim zamku. Nie zapomnij!

I wyszła na podwórzec, gdzie już stał jej kocz.

Chwilę później jej orszak wyjechał z bramy i pocwałował w ciemną noc...

Księżę-zbójnik

Graf Nyáry czytał na sposobność rozmowy z księciem Janem Chrystianem sam na sam. Przyszło mu to z wielkim trudem. Z okna wykusza ujrzeli znikający właśnie orszak Elżbiety Batorówny.

— Chociaż nie dotrzymujesz naszej umowy — rzekł graf — i na własną rękę podejmujesz karkołomne wyczyny, wprawiłeś mnie w zachwyt, młody przyjacielu! Początkowo nie wiedziałem, jaki jest cel tej przebieranki za księcia, wnet jednak to rozgryzłem.

— Chciałem, aby o wydarzeniach w Czachticach i zbrodniach czachtickiej pani dowiedziano się również na górze, chciałem otworzyć oczy palatynowi.

— Udało ci się to znamienicie, z całego serca ci gratuluję.

— A ja gratuluję i dziękuję wam.

— Ale nie trwómy czasu — rzekł graf Nyáry szeptem, gdyż przy wykuszu pojawiła się para kochanków — Powiedz, jak zamierzasz wywinąć się z opresji? Lada chwila wyjdzie na jaw, że nie wiozą tu żadnych zbójników z Nowego Miasta. Twojego kapitana pandurów pojماją, na mękach wyśpiewa wszystko, i koniec z tobą.

— Nic nie może mi się stać. Kapitan pandurów, jeden z moich najobrotniejszych druhów, który paradował w mundurze Imricha Kenderessyego, ma tyle sprytu, że nie da się pojmać, a gdyby nawet, mnie by nie zbrakło przemyślności, aby go uwolnić.

— Nie wątpię. Powiedz wszakże, co uczyniłeś z księciem?

— Wolałbym nie mówić, panie, chociaż wielkodusznie oddaliście do naszej dyspozycji swój myśliwski zameczek.

— Czy co ma znaczyć, że księżę jest właściwie moim gościem?

— Tak, panie. W waszej siedzibie czeka na mój powrót. Tam go zawiozłem, kiedy zatrzymałem jego orszak. Okropnie się złościł, że przez kilka dni musi przebywać w tym uroczym zameczku. Ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Przebrałem się w jego szaty, wsiadłem do jego powozu, no i jestem tutaj.

— A nie zdradzi się kto z jego orszaku?

— Książę surowo przykazał im milczeć. Wiedział, że gdyby nie trzymali języka za zębami, a ja bym wpadł choćby w najmniejsze tarapaty, nie napawałby więcej oczu pięknem gwiazd, nie słuchałby wierszy wędrownych poetów i nie czerpał mądrości ze starych foliałów.

— a więc zagroziłeś mu śmiercią?

— Tak. I nie tylko w tym wypadku. Również wtedy, gdybym sam się zdradził przez własną niezręczność. Jak postąpiłby palatyn, gdyby wyszło na jaw, kim naprawdę jestem?

— Wtrąciłby cię do więzienia.

— A co by uczynił, gdybym oświadczył, że jeśli nie puści mnie na wolność, książę Jan Christian umrze?

— Natychmiast by cię wypuścił.

— A więc widzicie, panie, że nie mam się czego obawiać. Dlatego postanowiłem oskarżyć publicznie Elżbietę Batorównę i wyjawić, kim jestem.

— Nie czyń tego — odradzał graf — i tak osiągałeś więcej niż mogłeś się spodziewać. Gdybyś się ujawnił, palatyn nigdy by ci nie wybaczył, że tak go wywiodłeś w pole, a księcia zatrzymałeś i uwięziłeś. Gdybyś nawet uszedł stąd z życiem, nie masz pojęcia, jaką obławę na ciebie i twoich druhów zarządziłby palatyn. Wykopaliby was choćby spod ziemi i głowę dam, że nigdy jeszcze nie sądzono zbójników tak okrutnie, jak sądzono by was,

— Macie słuszność, panie — odparł zbójnik — nie

mogę jednak raptem zniknąć. Muszę się ujawnić i wyjaśnić, dlaczego udawałem księcia. Inaczej mogliby mnie uważać za oszusta.

— Nie musisz sam się ujawniać, może to uczynić kto inny.

— Wy byście się tego podjęli?

— Tak.

— Dobrze. Zniknę przeto bez pożegnania.

Tak się też stało.

Weselnicy dopytywali się, gdzie się podział książę, aż wreszcie graf Nyáry oznajmił im, że już przed dwiema gozdzinami wyjechał, wraca na Śląsk.

— Kto wie zresztą — dodał z tajemniczym uśmiechem.

— Może serce ciągnie go gdzie indziej.

Goście roześmiali się i rychło pogodzili z wyjazdem księcia. Humory były wysmienite, dzbany bez dna, muzyka grała.

— Zdumiewa mnie — zagadnął grafa Nyáryego palatyn — że masz, tak dobre informacje o wyjeździe księcia, podczas gdy ja nie wiedziałem o niczym.

— Chociaż książę to dziwak — uśmiechnął się graf Nyáry — nie wyjechałby bez pożegnania z gospodarzem, gdyby nie miał przyczyn po temu. I gdyby książę był księciem...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tylko to, o co gość waszej wysokości mnie prosił: pod postacią księcia krył się nikt inny, jak zbójnik Kalina

— To niemożliwe!

— Skoro są możliwe takie niemożliwości jak to, co dzieje się w Czachticach, zbójnik przebrany za księcia nie jest czymś osobliwym.

Palatyn zalęknionym wzrokiem powiódł po sali.

— Wszelkie obawy waszej wysokości — graf Nyáry do-

myślił się, co trapi palatyna — są nieuzasadnione i zbyteczne. Jan Kalina nie przybył tu, aby ciebie albo twoich gości obrabować z klejnotów, lecz tylko — z wiary...

— Z jakiej wiary?

— Z wiary w Elżbietą Batorównę!

— Jak mi wyjaśnisz to — spytał palatyn z rozdrażnieniem — że tak znamienicie jesteś poinformowany o zamiarach zbójnika?

— Po prostu. Zbójnik zaszczycił mnie zaufaniem.

— Pozwę cię do odpowiedzialności za to, że nie zatrzymałeś go natychmiast, jak tylko się dowiedziałeś, kim jest.

Graf Nyáry uśmiechnął się:

— Skrzywdziłbyś mnie, wasza wysokość, podejrzewając o tchórzostwo albo osłanianie zbójnika. Chciałem go zatrzymać, on zaś był skłonny dać się uwięzić.

— Należało to uczynić!

— Lecz wtenczas twoi goście wpadliby w popłoch i przerażenie, że siedzieli przy jednym stole ze zbójnikiem i wasza wysokość, kiedy go zdemaskowano, jeszcze go przeprosiłeś.

— Mogłeś uwięzić go w najgłębszej tajemnicy! — palatyn rozsierdził się wspomniawszy tę scenę.

— Owszem, mogłem — odparł. Ale właśnie wasza wysokość byłbyś mi za to najmniej wdzięczny. Nie wspomniałem mianowicie, że książe Jan Chrystian jest w rękach zbójników. Gdyby Kalinie tutaj włos spadł z głowy, książe by zginął...

Palatyn ze wzburzeniem gładził brodę:

— Jak z tego wynika, powinienem obsypać cię podziękowaniami za to, że pozwoliłeś zbójnikowi uciec.

I odszedł bez słowa. Graf Nyáry widział, iż na nic się zdała dyplomacja, nastroił palatyna przeciwko sobie. A nie przejął się tym. Już widział siebie w obozie jego przeciwni-

ków.

Chwilę później wiódł przyjazny dyskurs z kardynałem.

Wokół stale panował wyśmienity nastrój. Choć zbliżał się ranek, goście nie rozchodzili się. Wino, śpiew i tańce odpędzały sen, a nadto z ekscytacją czekali na zbójników.

Kiedy palatyn w końcu oznajmił, że mimo wszelkie wysiłki hajduków, których posłał na pomoc pandurom, zbójnikom udało się uwolnić kamratów, pojmać kapitana pandurów i zbiec, bystremu wzrokowi grafa Nyáryego nie uszło, ale wstydził się tego wymuszonego okolicznościami kłamstwa.

„Nie chciałbym być w twojej skórze, Janie Kalina.” — pomyślał i zdziwił się, iż nie tylko nie życzy temu osobliwemu zbójnikowi zemsty palatyna, ale korci go, by uchronić Kalinę przed tą zemstą...

20. *Błękitna krew*

Od wszelkiego złego zachowaj nas, Panie (Z kroniki czach-tickiego probostwa)

Dnia 15 listopada Roku Pańskiego 1610 pisze, te słowa z sercem zgnębionym i żarliwie błagając Wszechmogącego, aby nas chronił w tych ciężkich czasach.

Źle z nami, z dnia na dzień gorzej.

Doskwiera nam nędza, grozi głód, a zachłanność czach-tickiej pani, która nie zważa nawet na rozkazy palatyna, nie zna granic. Palatyn zakazał jej bezprawnego wyzyskiwania poddanych. A ona nadal łupi nie tylko poddańców, ale i wolnych mieszczan pod różnorakimi pretekstami. I biada temu, kto nie uczyni zadość jej żądaniem, kto się sprzeciwi! Ma do czynienia z Fickiem i hajdukami, którzy na jego skrzek przestają być ludźmi.

Utrzymanie żołnierzy przypadło pani. Wszelako biada nam. Lepiej było, gdyśmy mieli ich na karku, albowiem teraz z tytułu strawnego dla nich ściąga dwakroć więcej, niż zjedli w naszych domostwach, i to we wszystkich wsiach należących do jej włości.

Komory mamy puste. Panie Boże, co będzie z nami na Boże Narodzenie, jak przetrwamy do przednówka? Z ogromną trwogą patrzę w przyszłość. Moi parafianie są w takiej nędzy, że nie mam serca domagać się należnego

mi osep*. A kościelne grunty uprawia Elżbieta Batorówna, lecz raczej umrę z głodu, niżbym miał upomnieć się o zagwarantowaną umowę arendę.

Parafianie z miłością dzielą się ze mną wszystkim, co się wszakże stanie, gdy już nie będą mieli czym się podzielić?

Gorąco proszę Boga, aby dał mi siły do dalszego panowania nad sobą bym z kazalnicy, zamiast głosić Słowo Boże, nie nawoływał do przeciwstawiania się krzywdom, pańskiej samowoli oraz zwierzchności, która przymyka oczy na złoczynstwa.

Chyba, sam diabeł podszeptał grafce, aby się przeniosła do kasztelu. Tam się zaszyla, aby nie słyszeć westchnień i klątw wynędzniałego ludu i być bezpieczną, gdy cierpliwość jego dojdzie kresu.

Wszelako biada ci, pani, gdziekolwiek się skryjesz!

Sprawiedliwość musi cię dosięgnąć!

Jest ciemna noc i dopiero co wyszedł stąd Paweł Lederer, który odwiedza mnie ukradkiem jak spiskowiec. Łzy cisną mi się do oczu, gdy pomyślę, jak się ten biedak szarpie i jaką rozpacz nosi w sercu.

— Wielebny ojcze — brzmiały jego pierwsze słowa, kiedy wśliznął się do mojej izby — powiedzcie, czy Bóg mi odpuści, żem skonstruował dla grafki nową żelazną pannę?

Nieborak. Musiał to zrobić, albowiem Ficko zażądał tego. Nie mógł uciec się do żadnego wybiegu, wzbudziły bowiem podejrzenie. Ficko teraz nie ma już zaufania do nikogo, wobec niego też ochłódł.

— Tu oto jest zapłata za skonstruowanie żelaznej panny — położył na stole dwieście złotych. — Pałą mnie te pieniądze. Rozdzielcie je między cierpiących biedę, wielebny ojcze.

W żaden sposób nie mogłem go pocieszyć. Trochę się

*Osep — danina w zbożu.

uspokoił dopiero wtenczas, kiedy bez względu na wszystko postanowił zniszczyć żelazną pannę. Rzekł, iż jeszcze tej nocy wrzuci ją w przepaść, do której niegdyś Ficko chciał wtrącić jego. Zapewne właśnie teraz, wystawiając się na niebezpieczeństwo, że ktoś go spostrzeże, podąża podziemnymi korytarzami, zapewne właśnie w tej chwili żelazna panna z przeraźliwym łoskotem rozbija się o dno podziemnej przepaści.

Wspomagaj, Boże, tego dzielnego młodzieńca i ochrańnij go.

Czujemy, iż dłużej tak nie może trwać, zbliża się wyzwanie, a Elżbieta Batorówna uświadamia sobie, że zawisała nad nią zguba. Chociaż trzyma się to w sekrecie, chodzą słuchy, że pani tej jeszcze zimy zamierza przenieść się do Siedmiogrodu, do swego brata. Ponoć dlatego obiera, kogo może, z ostatniego denara, i dlatego podwyższyła nagrodę, za schwytanie Imricha Kenderessyego, jest bowiem przeswiadczona, że to on ograbił ją z klejnotów. Ficko też gotuje się do ucieczki. Zagarnia pieniądze na prawo i lewo i zakopuje w swojej kryjówce, którą zna jeno Paweł Lederer. Ucieczka Ficka jest już tylko kwestią dni. Gdy uda mu się porwać Magdusię, czmychnie jak szczur z tonącego okrętu.

Z takim upragnieniem oczekiwaliśmy powrotu Mikołaja Loszonskiego i jakże się zawiedliśmy! a najbardziej on sam. Płonie gniewem, że palatyn zwleka, powodowany różlicznymi względami nie interweniuje i nie zapobiega dalszym krzywdom i złoczynstwom. Od swego powrotu nie zaznał spokoju. Chodzi po domach, podburza ludzi do buntu. Jest już późna noc, a on jeszcze nie wrócił. Obca mu jest przezorność, nie wie, co to strach. „Lud sam musi sobie pomóc, skoro nikt nie chce przyjść mu z pomocą!” Ta myśl opanowała go bez reszty. Boję się o niego, ale bardziej jeszcze o Lederera, Kalinę, Drozda oraz ich druhów. My jesteśmy starzy, stoimy nad grobem, lecz oni są młodzi,

w kwiecie lat. Nieustannie modłę się do Boga, aby miał ich w swej opiece, teraz i w przyszłości. Grożą im tysiączne niebezpieczeństwa, a jeśli nawet wyjdą z nich cało, jaki los ich czeka, gdy wpadną w ręce zwierzchności, która rzekomo jest ostoją sprawiedliwości? Przestałem wierzyć w sprawiedliwość tego świata, pozostała mi jeno wiara w sprawiedliwość Najwyższego Sędziego. Wszelako i ona już się chwieje. Boże, Boże, dlaczego nie zsyłasz kary na to siedlisko grzechu, nieprawości i zbrodni!

Błękitna krew!

Chyba szatan podszeptał tej zaprzędanej piekłu kobiecie nową receptę na zachowanie urody i zdobycie wiecznej młodości. Chce obmywać swoje więdnące ciało krwią panieli ze szlacheckich rodów. Ta krew ma być bowiem skuteczniejsza od krwi prostych dziewcząt!

Wracając z wesela w Bytczy, gdzie za przyczyną Jana Kaliny i grafa Nyáryego taki wstyd ją spotkał, wstępowała do dworów chudopacholskich ziemian, zniżając się do nich i deklarowała ochotę wzięcia na wychowanie ich córek — uczyłaby ich dwornych manier i języków, bez żadnej zapłaty. Będzie dla niej wystarczającą zapłatą, gdy wypełni czymś długie nudne zimowe dni. Przywiozła na zamek dwadzieścia pięć ziemiańskich córek. Kto widział te młodziutki, roześmiane, świeże jak poranna zorza, czyste jak lilie istoty serce mu się krajało i zaciskał pięści. Dwie z nich już zniknęły.

Paweł Lederer, który ma oczy i uszy szeroko otwarte, tym razem nie zdołał wypenetrować, gdzie się podziały. Podobno uciekły, gdyż nie przypadło im do gustu surowe wychowanie...

Kończę spisywanie wydarzeń dzisiejszego dnia, albowiem jestem znużony i tak osłabły, że pióro chwieje mi się w dłoni. Minionej nocy straszliwie mnie przygniatało jakieś niewidzialne brzemie.

Zdrzemnąłem się dopiero przed świtem...

Od wszystkiego złego zachowaj nas, Panie...

U progu burzliwych wydarzeń (Z kroniki czachtickiego probostwa)

Piszę te słowa dnia 15 grudnia roztrzęsiony straszliwymi wypadkami. Burzy się we mnie stara krew, chwilami zda mi się, że świadomość bezsilności doprowadzi mnie do szaleństwa. Muszę być beczynnym świadkiem niszczenia młodych żywotów, ohydneho przelewu niewinnej dziewczęcej krwi. Przy zdrowych myślach utrzymuje mnie jeno nadzieja, że nie potrwa to już długo, zaledwie parę dni. Jeśli zwierchność w to nie wkroczy, sami uczynimy porządek.

Oto, co się dzieje w kasztelu:

Z dwudziestu pięciu dziewcząt już ani jedna nie pozostała przy życiu.

Dzisiaj czachticka pani zamordowała ostatnie dwie.

Rano jedną znaleziono w łóżku nieżywą, zaszytowaną. Ci, co widzieli trupa, między innymi Paweł Lederer, nie spostrzegli ani kropli krwi. Chociaż nie wiedzieli, jak zginęła, byli przeświadczeni, że zabiła ją grafka wspólnie z Dorą i Iloną.

Elżbieta Batorówna przybiegła do łoża zmarłej rozjuszona. Udawała zaskoczenie. Jest ostrożna. Zapewne boi się, że mają na nią oko, toteż wszystko czyni w najgłębszej tajemnicy.

— Kto uśmiercił tę dziewczynę? — krzyknęła. Odpowiedziała jej grobowa cisza.

— Biada wam, jeśli najpóźniej do wieczora nie wskażecie mordercy!

Z tą pogroźką odeszła od zwłok i przerażonej służby.

Wieczorem zwołała wszystkich mieszkańców kasztelu

na dziedziniec.

— Po raz ostatni wzywam was do wyjawienia mordercy!
Kto zabił tę dziewczynę?

Z grupy służby wystąpił Ficko. On najlepiej wiedział, dlaczego grafka odgrywa tę komedię. Wiedział, że niebawem zacznie się bać własnego cienia. Zagadkowe zniknięcie żelaznej panny śmiertelnie ją wystraszyło. Czują, że w pobliżu przebywa wróg. Ficko też się go boi. Kto to jest? Jakiś tajemniczy stwór czy człowiek z krwi i kości? Ficko był przeświadczony, iż zniknięcie żelaznej panny jest dziełem człowieka. Ale to nie umniejszyło jego strachu.

— Ja znam mordercę! — zawołał podniesionym głosem, z taką pewnością siebie, iż wielu zachwiało się w przekonaniu, że to niewinne życie pani ma na sumieniu.

— Wskaż mordercę palcem! — poleciła czachticka pani, a zmartwiała z przerażenia służba wlepiła wzrok w rękę Ficka.

Uniósł ją i kosmatym, spłaszczonym palcem wskazał ostatnią z dwudziestu pięciu dziewcząt szlachcianek.

Na dziedzińcu rozległy się okrzyki zdumienia.

A obwiniona dziewczyna, nic nie pojmując, wlepiła wielkie niebieskie oczy w Ficka, który wydawał jej się straszniejszy od wszystkich straszdeł z bajek opowiada-nych przez babkę.

— Ona zabiła swoją towarzyszkę!

Dziewczyna zbladła. Twarz zbieła jej jak śnieg.

— Czemu to uczyniłaś? — rzuciła się ku niej grafka.

— Chciała zdobyć złotą bransoletę tej biedaczki. Ma ją na lewej ręce!

— To kłamstwo, haniebne kłamstwo! — zawołała dziewczyna w śmiertelnym przerażeniu. — Bransoletę dostałam od matki. Tu oto wyryte są moje inicjały, a tu nasz herb!

— Każdy morderca wykręca się, jak może — zarechotał

Ficko, a pani rzuciła się na nieszczęsną, jąła okładać ją pięściami, bluzgała najokropniejszymi przekleństwami.

— Jeszcze będziesz się zapierać — wrzeszczała, a dziewczyna, która początkowo zasłaniała się przed ciosami, stawała się bezwolną igraszką jej wściekłości. Rozszlochała się, w końcu upadła na ziemię poza Fickiem, grafką, Iloną i Dorą nie było wokół człowieka, którego serca nie przepelniałoby współczucie dla dziewczyny, nikt bowiem nie wątpił, iż jest niewinna.

Paweł Lederer stał opodal jak posąg.

A dziewczyna, upokorzona, zbita, obwiniona o morderstwo, miotała się na śniegu jak raniona sarna. Jej czerwone cizemki wyglądały na białym całunie jak wielkie krwawe plamy...

Naraz zerwała się z ziemi. Na jej twarzy pojawił się wyraz desperackiej odwagi,

Spojrzała na bramę i rzuciła się ku niej, rozpaczliwie torując sobie drogę wśród osłupiałej służby. — Łapcie ją! — krzyknęła grafka. — Puście mnie! — dziewczyna wyrywała się z brutalnych rąk staruch. — Puście mnie, mordercy!

O Boże, dlaczego gromy twego gniewu nie zmiotły jeszcze z powierzchni ziemi tego gniazda nieprawości!

Dziewczynę wtrącono do lochu. A zaledwie godzinę później, kiedy jeszcze nie opadła fala wzburzenia, przyszła następna. Rozniosła się wieść, że dziewczyna obwiniona o zamordowanie towarzyszki odebrała sobie życie.

Wbiła sobie w serce długi kuchenny nóż. Ponoć pod wpływem wyrzutów sumienia...

Paweł Lederer podejrzewa, że to grafka pchnęła tę nieszczęsną nożem. Widział ją wchodzącą do lochów. A w kasztelu podsłuchiwał następującą rozmowę Ficka z panią:

— Pozwolę sobie prosić miłościwą panią o obiecaną nagrodę za ujawnienie mordercy.

— Nawypłacałam ci już dość nagród. Ficko. I jakim prawem żądasz nagrody za ujawnienie mordercy, przecież to było twoją powinnością!

— He, he, he! Gdyby to było moją powinnością, niejednego z mieszkańców kasztelu padałbym na szubienicę!

— Siebie też! — zareplikowała.

— Zaiste, siebie też, i z radością zawisłbym na szubienicy w tak dostojnej społeczności.

— Łotrze! — wrzasnęła. — Grozisz mi? Z tobą dam sobie radę!

— Wedle woli, miłościwa pani, każcie wtrącić mnie do lochu albo tu na miejscu zabijcie. Skoro tak się ze mną obchodzicie, wolę zginąć niż oddać wam w ręce kapitana Kenderessyego wraz ze złupionymi klejnotami.

— Ty znasz kryjówkę kapitana? — podbiegła doń. W jednej chwili zapomniała o jego obelżywych aluzjach i zuchwalstwie

— Znam! — odparł z dumą.

— Ficko, jesteś wspaniały, wspaniały!

— Jestem, lecz jeno wówczas, kiedy mnie wynagradzają.

— Przynieś moje klejnoty i przywiedź rabusia, a dostaniesz nagrodę, jakiej nikt jeszcze nie dostał ode mnie! Wiesz co? Nawet dam ci ją z góry!

Po długich targach Ficko wyszedł od pani promieniejąc ze szczęścia, z tysiąckiem poutykanym w zanadrzu i w kieszeniach.

— Tysiąc złotych dostałem! Tysiąc! — bełkotał jak pijany do Pawła Lederera, który napatoczył mu się po drodze. — Przyjacielu, mam już tyle pieniędzy, że gdyby Magdusia mnie zechciała, mógłbym jej kupić wszystko, o czym jeno zamarzy.

Paweł podsłuchał także rozmowę Ilony i Dory, którym Elżbieta Batorówna przykazała sprowadzić niezwłocznie dziewczęta, skąd się da. Byle tylko były ze szlacheckich rodów.

Wyszedłszy od pani, staruchy zaczęły lamentować:

— Dora, to źle się dla nas skończy.

— Oj, źle, ani chybi, szlacheckie córki za skarby świata nie pójdą dobrowolnie. A gwałtem? Mogłybyśmy wypluć

— Gdybyśmy je miały, hi, hi, hi! Żeby tylko zęby! Możemy stracić głowy!

— Wiesz co? Połapiemy proste dziewczuchy, ubierzemy je w suknie po tych pamiątkach i rzekniemy pani, że to szlachcianki.

— Masz słuszność, dziewczyna od dziewczyny niczym się nie różni, Ale dla nas jest to równie niebezpieczne. Boję się. Pani szykuje się do ucieczki do Siedmiogrodu. Jeśli nie zechce wziąć nas z sobą... najlepiej byłoby stąd drapnąć. Coś złego wisi w powietrzu. Pani ze wszystkiego się wymota, a my wypijemy to piwo.

— Ficko też zamierza uciec. Słyszałam, jak mówił o tym z Ledererem.

Ustały, że przyprowadzą jeszcze kilka dziewcząt, aby trochę zarobić, a zaraz po Bożym Narodzeniu wezmą nogi za pas.

Za cztery dni przyjedzie graf Nyáry. Będą tu Loszonsky, Kalina, Kenderessy, Drozd i Lederer. Odbędziemy ostatnią naradę.

I przystąpimy do działania!

Dusze zapalają się płomieniem (Z kroniki czachtickiego probostwa)

Piszę te słowa 20 grudnia. W kasztelu czują przez skórę, że coś się szykuje. Dzisiaj wojsko z zamku przeniosło się do kasztelu. W zamku pozostało ledwie paru hajduków. Wygląda tam jak po splądrowaniu. Zaiste nie mają już czego strzec, chyba tylko wejścia do podziemi.

— Trzeba jeno w Czachticach i okolicznych wsiach uderzyć w dzwony — oświadczył na dzisiejszej naradzie Kalina — a rebelianci zbiorą się pod zanikiem, pociągną na kasztel i rozniosą go, jakby był z kart.

— Siła ich będzie — zapewniał kasztelan. — w samych tylko Czachticach powstanie czterystu chłopca.

— Im więcej, tym lepiej — rzekł z zadowoleniem graf Nyáry.

— Gnębiła mnie myśl — ozwał się Drozd czy ci przełęci żołnierze nie narobią swoimi pukawkami wyrw w naszych szeregach. Ale już nie mam tych obaw. Dzisiaj złapałem pięciu hajduków, a kiedy chciałem solidnie przetrzepać im skórę, uderzyli w prośby, że co niby mają robić? Z tego żyją. I żebym przyjął ich do swojej drużyny. „Tu jest nas dosyć rzekłem im. — w kasztelu przydaliby się nam sprzymierzeńcy.” Umówiłem się z nimi, że zajmą się prochnią. Poleją proch wodą, aby nie wybuchł. Jak żołnierze będą go potrzebować, znajdą kaszę!

— Wierzysz hajdukom? — pokręcił głową kapitan Kenderessy.

— Sumienie ich dręczy, że służyli złoczyńcom. Zdobyli się na odwagę i chcą z tym skończyć. Ufam im.

— Niemniej i ja dam baczenie na ten proch! — postanowił Lederer. — a wy, przyjaciele, strzeżcie dziewcząt, zwłaszcza Magdusi. Ficko za wszelką cenę będzie usiłował ją porwać. Ale i o Erżice nie zapominajcie, albowiem Fic-

kowi nie przeszła złość na nią. Elżbieta Batorówna zaś, która nienawidzi jej chyba jeszcze bardziej niż on, dozwoli, by uczynił z nią, co mu się spodoba. Wy także bądźcie ostrożni, na was też ostrzy sobie zęby, przed ucieczką chce się z wami porachować. Jeno pragnienie zemsty jeszcze go tutaj trzyma, chociaż bowiem jego głód pieniędzy jest nie do zaspokojenia, z grafki nie wydusi już ani grosika.

Zbójnicy zaśmiali się.

— Niechaj ostrzy sobie zęby — rzekł Drozd — wyłamię je, gdyby nawet były z żelaza!

— a dziewczęta — dorzucił Kenderessy — w zamczku myśliwskim są bezpieczne.

Graf Nyáry w zamyśleniu spoglądał przed siebie. Naraz zwrócił się do Lederera:

— Wiesz może, gdzie Ficko ukrył swój skarb?

— Wiem. Ja jedyny. Ficko nic ma o tym pojęcia.

— Opisz to miejsce

Zaczął sporządzać szkic podług wskazówek Pawła, lecz po chwili przestał.

— I bez planu łatwo zapamiętać z jawną uciechą machnął ręką.

— Co zamierzacie, panie? — Błysnęło mi podejrzenie, iż graf chce zdobyć ten skarb.

— Właśnie to, co ksiądz proboszcz ma na myśli — odparł z uśmiechem. — Tak. zdobędziemy ten skarb!

— Ależ byłaby to kradzież! — obruszyłem się.

— Zaiste, kradzież. Użyliście właściwego słowa, księżu proboszczu. Taka sama kradzież jak ta, której Ficko dopuszczał się z rozkazu czachtickiej pani. Powiedzcie wszak, w jakim celu nasz przyjaciel Loszonsky spisywał wszystko, co czachticka pani zagrabiła swoim poddanym? Po co zrobił ten wykaz? Kto zwróci tym biedakom pieniądze, które bezprawnie zabrano? My — z oszczędności Fic-

ka.

Wszystkim przypadł do gustu pomysł grała.

— A co z klejnotami, dostojny panie? — Już jeno i wątpliwość mnie trapiła, albowiem projekt wyrównania szkód biedakom mnie też był miły.

— Nie obawiajcie się, wielobny ojczy — odparł graf jakby ze wzgardą — wiem, co z nimi uczynić. Zapewniam was, że Elżbieta Batorówna już ich nie ujrzy na oczy.

Panie Boże, co graf zamierza uczynić z tym ogromnym bogactwem? Nie mógłbym milczeć, gdyby chciał zagarnąć klejnoty!

Naradzaliśmy się długo.

Północ dawno już minęła, gdyśmy się żegnali.

Chciałem mieć pewność, co graf Nyáry zamierza zrobić z klejnotami.

— Co zrobimy, to zrobimy — zbył mnie z zagadkowym uśmiechem. — Jedno jest pewne, że Ficko niedługo będzie się nimi cieszyć, a Elżbieta Batorówna już nie będzie się upajać ich widokiem.

Ustaliliśmy, iż Loszonsky pojedzie zawiadomić palatyna, że w Czachticach szykuje się bunt i tylko natychmiastowa interwencja może przeszkodzić wybuchowi. Bunt jednak wybuchnie — w sam dzień Bożego Narodzenia. Z kasztelu nikt nie zdoła uciec. We wszystkich okolicznych wsiach mamy sprzymierzeńców. Złoczyńcy nie ujdą sprawiedliwości. Jeśli zwierzchność nie zadba o to, lud sam dokona sądu!

Drżę cały ze wzruszenia. Na język cisną mi się słowa buntu, którymi w dzień Bożego Narodzenia wznienę płomień w duszach.

Słowa, po których rozdzwonią się dzwony, a ciemżony, doprowadzony do nędzy lud poderwie się i ukaze swoją siłę, swoje pragnienie prawdy i sprawiedliwości.

Wspomagaj nas, Boże!...

Śnieg zawiął ślady

Podczas gdy na plebanii radzono, w zameczku myśliwskim w wielkiej sali, gdzie po długich i męczących polowaniach odbywały się huczne uczty, przy kominku, w którym wesoło trzaskały polana, siedziały skulone kobiety, zasłuchane w wycie wiatru.

— Już powinni wrócić — niepokoiła się Erzika. Kukulka wykukała już dwunastą.

— Lada chwila będą, droga jest ciężka — uspokajała ją stara Kalinowa. — Choć mróz trzaskający, spocą się, nim przebrną przez zaspę.

— Żeby tylko nic im się nie stało! — westchnęła Magdusia.

— Nic się nie stanie! Bóg czuwa nad nimi! — dodawała sobie ducha Marisza.

— Ja drzę o nich! — zwierzyła się ze swoich obaw Erzika — Nie z powodu zadymki i zasp, nie boję się też, że na nich napadną. Ale graf Nyáry jest podstępny, nigdy nie wiadomo, co knuje. I dlatego mam złe przeczucia.

— To człek fałszywy, w istocie — powiedział Wawrzek z odrazą — ale nie mamy powodu bać się go. Cokolwiek by knuł, wiem, że darzy nas większą miłością niż Elżbietę Batorównę.

— To prawda! — roześmiał się jeden z dwunastu zbójników siedzących wokół długiego stołu — Jemu tylko zawdzięczamy, że w taką psią pogodę siedzimy sobie w cieple i bezpieczni.

Tymczasem przed zameczkiem w szalejącej zadymce zbierały się ciemne postacie, które na rozkaz, natychmiast zgłoszony przez wycie wichru, rzuciły się ku bramie.

— Otwórzcie! Otwórzcie! — zabrzmiał rozpaczliwy okrzyk. W zameczku zapanowało poruszenie. Zbójnicy

chwyтали broń i pędzili do sieni.

— Kto tam? — spytał Wawrzek gromko.

— My! Wykurzyli nas z krajówki i depcą nam po piętach!

Wawrzek nie zastanawiał się. W tych słowach dźwięczało rozpaczliwe ponaglenie i wydawało mu się, że poznaje głos jednego z druhów, ledwo wszakże otworzył, upadł uderzony kolbą strzelby. Do sieni wtargnęło czterdziesta żołnierzy, a z nim tumany śniegu i przenikliwe zimno. Między zbójnikami i żołnierzami wywiązała się zaciekle walka. Przerażone kobiety zbiły się w gromadkę.

W tym samym czasie Paweł Lederer wracał z plebanii do swojej izdebki. Jego przyjaciele, nie zląkwszy się zadymki, rozradowani gnali do zameczku myśliwskiego saniami pastora. Graf Nyáry, który postanowił zatrzymać się parę dni na plebanii, a potem udać się wprost do Wiednia, aby wymóc natychmiastową interwencję zwierzchności pożegnał się ze zbójnikami nadzwyczaj przyjaźnie.

Zamek czachticki był jak wymarły Hajducy stojący na straży przed brama przytupywali i zabijali ręce, mróz bowiem przejmował do żywego.

— Bałwany z was — dogadał im Paweł. — w taką zadymkę, nawet diabeł nie wytknie nosa na dwór. Zamknijcie bramę i chodźcie do mnie ogrzać się.

Kie zapraszał ich ze współczucia. Chciał się dowiedzieć, co słyhać w kasztelu.

Kiedy w piecu zaczął buzować ogień, hajdukom pojaśniały oczy,

— Jeszcze tylko wino by się przydało rozmarzył się jeden.

— Zaraz będzie i wino — rzekł drugi — Kamraci, co strzegą wejścia do podziemi, zlitują się nad nami, przypominę im zresztą, że jutro oni będą wartować na dworze,

a my w piwnicy. Im tu dobrze! Toć aż tutaj słyhać, jak wrzeszczą.

Rzeczywiście przyniósł wino. Dzban niebawem był pusty, wiec hajduk znów poszedł go napełnić.

W izbie Pawła też zrobiło się wesoło, tylko on miał chmurną minę i siedział jak na szpilkach.

— Więc powiadacie — ozwał się — że Ficko wyprawił się gdzieś z czterdziestoma ludźmi?

— Jako żywo! i aż skakał z radości. Niechybnie szykuje jakiś psi figiel.

Paweł znał cel wyprawy Ficka. Magdusi, Mariszy i Erzi-ce grozi niebezpieczeństwo. Co robić? Czy Kalina, Drozd i Kenderessy nie przybędą do zameczku za późno?

— Ej, jak mi Bóg miły — rozgadał się jeden z hajduków — życzyłbym temu garbatemu diabłu spotkania z Drozdem! Już znowu wyrosły mu rogi.

Jego kamraci też życzyli Fickowi tego z całego serca. Wtem do izby wpadł przerażony hajduk, który już trzeci raz wybrał się po wino.

— Ktoś wali do bramy!

Zerwali się i wybiegli z izby.

— Hultaje! Tak spełniacie swoją powinność? — dochodził zza bramy rozzłoszczony głos.

Były to Dora Senteszowa i Erza Kardoszowa. Para koni, zaprzężonych do sań, kopytami ryła śnieg.

— Zanieście te dziewczyny do czeladni — poleciała roz-wścieczona Dora.

Paweł z głębi podwórca wlepił wzrok w sanie. Niczym sągi drzewa władowano na nie pięć dziewczyn i przykryto płachtami, które oblepiła gruba warstwa śniegu.

Sanie wyglądały jak grób otulony śnieżnym całunem, hajducy brali związane dziewczyny na ręce i odnosili je do czeladni. Dziewczyny szarpały się, wrywały i krzyczały

— Hi, hi, hi — śmiała się Dora — żyją, jak widzę. A już się bałam, że mi w drodze zamarzyły!

— Puście mnie! — krzyknęła ostatnia; udało jej się wymotać z postronków, wyrwała się hajdukowi i popędziła w stronę bramy.

Był to głos Barbary Repaszówny.

— Łapcie ją! — wrzasnęła Dora i pobiegła za uciekającą. Po chwili wlokła ją Z powrotem — Jeno tego brakowało, aby moje jaskółeczki wyfrunęły! — Z wściekłością grzmociła je po plecach.

Paweł już chciał się rzucić na tę staruchę, o męskiej postawie i głosie i wydrzeć Barbarę z jej łap. Ale się opamiętał. Wiedział, że na nic by się to zdało

Dziewczęta zastały złapane w Nowym Mieście, na prządkach. Dora nie zawiozła ich prosto do kasztelu, gdyż najpierw chciała je przeobrazić w szlachcianki, — wykapać i ubrać w suknie pozostałe po panienkach z dworów.

Hajducy tkwili przy bramie klnąc swój los.

— Tak dobrze nam było, a ta piekielnica wywlokła nas z ciepła!

Potok przekleństw leciał z tumanami śniegu ku zasłoniętym oknom czeladni, bojaźliwie mrugającym w rozjuszonych ciemnościach.

— Nie ma co, biedacy z was — mówił Paweł Lederer — i najpośledniejsi słudzy czachtickiej pani. Taka wywłoka jak Dora może wam ciosać kołki na głowie.

— Bodaj ją diabli wzięli! — hajducy znów sypnęli klątwami.

— No — Paweł wyszedł z bramy na ulicę — ja się jakoś pocieszę. Znam ciepłutkie miejsce, gdzie mnie przyjmą z otwartymi ramionami.

— Gdzie jest takie miejsce?

— U kochanki! — odpowiedział wybuchając śmiechem.

Czachtice spały spokojnie.

A z bezdenne go nieba przy wtórze wycia wiatru śnieg sypał się jak pierze.

Lederer szedł targany rozpaczą. Oby nie wrócił za późno, oby jego plan nie zawiódł. Musi uwolnić Barbarę! a jeśli mu się to nie uda, zginie wraz z nią

Akurat gdy Paweł stukał w okiennicę plebanii. Drozd Kalina i Kenderessy dojeżdżali do zameczku.

— Spójrzcie, chłopcy — Jan Kalina wskazał palcem zawiany śniegiem, bielejący w ciemnościach zameczek — wygląda jak zaklęty. Lecz nie księżęta zdejmą zeń zaklęcie, a zbójnicy.

Gdy zatrzymali się przed bramą, wszystkich trzech ogarnęło radosne wzruszenie.

Już za chwilę ich skostniałe ciała rozgrzeją trzy pary oczu, za którymi poszliby na skraj świata.

— Co to? — zawołał Kenderessy ze zdziwieniem. — Brama jest otwarta.

— Przeczuwam coś niedobrego! — Drozd wyskoczył z sań, a przyjaciele za nim.

W drzwiach wielkiej sali stanęli jak wryci. W świetle dogasającego kominka ujrzeli na podłodze gromadę ciał, która nagle zaczęła się poruszać.

— Janku, synu! — zatkała Kalinowa.

— Żołnierze pokonali nas, zwięzali! — zawołał jeden ze zbójników.

— Porwali dziewczęta! — krzyknął drugi.

— Nie rozwiązujcie mnie, przyjaciele! Wawrzek nie wiedział, gdzie podziąć oczy ze wstydu. — Raczej zabijcie mnie na miejscu. Ja jestem wszystkiemu winien! Myślałem, że to nasi chłopcy, i dlatego otworzyłem. A to byli żołnierze. Az nimi Ficko. Walczyliśmy jak wściekli, ale nie daliśmy im rady.

— Przeklęty Ficko! — rozjuszył się Drozd. — Przysię-

gam, że rozszarpie go na strzępy!

Kalina pozapalał świece.

Uwolnił z pęt zrozpaczoną matkę.

— Synu — rozplakała się — gdybyś widział, co wyczy-
niał Ficko, z jaką furią wiązał dziewczęta jak strasznie kłął
i groził. Boże mój, ja tego nie przeżyję, jeśli im się coś sta-
nie.

— Nic się nie stanie, mamó — pocieszał ją syn — uwol-
nimy je.

— Dwóch nam zabili! — zawołał Kenderessy.

Tylko ci dwaj nie byli związani. Życie już z nich uszło.
Obok leżało pięciu rannych żołnierzy. Drozd chwycił jed-
nego z nich za gardło

— Dokąd uwieziono dziewczęta?

Żołnierz z trudem łapał oddech:

— Nie wiem, choćyście mnie zabili, nie wiem.

Chwilę potem Kalina, Drozd i Kenderessy znowu stali
przed zameczkiem.

A teraz dokąd? Na te pytanie nie znaleźli odpowiedzi.
Zadymka zawiąła ślady porywaczy.

— Nie pozostaje nam nic innego — stwierdził Kalina —
jak zrezygnować z pogoni za tymi psami i jechać do Czach-
tic. Jeśli nawet nie tam powieźli swoją zdobycz, prędzej
czy później wrócą na kwaterę, a my będziemy mogli powi-
tać ich jak należy.

Wskoczyli do sań i popędzili z powrotem.

Tymczasem na czachtickiej plebanii panował ruch. Le-
derer zbudził pastora, kasztelana oraz grafa Nyáryego.

Graf Nyáry nie był tym zachwycony.

— Co nam do tych dziewczyn — powiedział z kwaśną
miną. — Pięć więcej czy pięć mniej, to już nie ma znacze-
nia a nawet pożądane jest, żeby Elżbieta Batorówna miała
kogo męczyć i zabijać, inaczej bowiem nie znajdziemy do-

wodów jej złoczyństw.

— Choćby szło tylko o jedną, a nie o pięć — odparował pastor — gdybyśmy nie próbowali jej ocalić, sami dopuścilibyśmy się złoczynstwa.

— Ocalimy je! — zawołał kasztelan i z młodzieńczą werwą zaczął się ubierać.

— Szkoda graf machnął ręką i zawrócił do swojej izby. — Gdy palatyn w końcu przybędzie, powinien w kasztelu co krok potykać się o trupy.

Chwilę później pastor i kasztelan chodzili od domu do domu, a na ulice wysuwały się ciemne postacie. Przemykały się na podwórze plebanii. Tam witał je mężczyzna z twarzą posmarowaną sadzami. Czarny był jak Murzyn. Ludzie daremnie dociekali, kto to jest.

Paweł Lederer, chociaż kasztelan i pastor usiłowali go powstrzymać — gdyby bowiem mimo uczernionej twarzy słudzy albo hajducy go poznali, mógłby stracić życie — ruszył do zamku na czele czterdziestu mężczyzn.

— Synu — rzekł Mikołaj Loszonsky — skoro nie chcesz ustąpić, idę z tobą. Z każdą chwilą nabieram sił i młodzieję. Zobaczysz, jak będę się bić!

Paweł nie myślał o niczym, tylko o Barbarze. Pewnie już ją ubrali w suknię po którejś ze szlachcianek, już ją prowadzą podziemnym korytarzem do kasztelu, w szpony krwiożerczego smoka.

Brama nadal była otwarta. Wprawdzie hajducy, widząc tłum mężczyzn ciągnący od plebanii, zatrzasnęły ją, lecz już nie zdążyli zaryglować. Mocne ramiona rozwarły ją na oścież, a hajducy, pchnięci gwałtownie, padli w śnieg. Mężczyźni z krzykiem rzucili się na nich.

Na dziedzińcu zakotłowało się.

A pięć dziewczyn, już wykąpanych i ubranych, z biciem serca cisnęło się do okna.

Czuły, że to z ich powodu toczy się ta walka i że od jej wyniku zależą ich wolność i życie...

Zastawiona pułapka

— Wzmocnij strażę w zamku! — poleciła grafka Fickowi następnego dnia, gdy Dora przyniosła wieść, że czachticzanie poturbowali hajduków i uwolnili pięć dziewczyn.

Ficko akurat powrócił z nocnej wyprawy i z dumą meldował pani, czego dokonał.

— Złodzieja klejnotów i pozostałych zbójnickich hersztów złapiemy lada dzieli, miłościwa pani.

— W jaki sposób? — grafce zapłonęły oczy.

— Dziewczęta już mam. he, he, he! Ich kochanków też będziemy mieli! Kiedy się dowiedzą, gdzie są ich turkawki, wleżą za nimi nawet do piekła?

— A gdzie one są?

— W podolskim zamku, dobrze strzeżone.

— Nikt cię nie widział, jak stąd wyjeżdżałeś? a dlaczego nie przywiozłeś dziewczyn od razu tutaj?

— Nikt mnie nie widział. Ani przy wyjeździe, ani po drodze. Dla pewności ukryłem się w wozie załadowanym brukwią. Dziewczęta mogę przywieźć, jeno że z jeszcze większą ostrożnością, i w nocy. W pobliżu kasztelu bezustannie czatują zbójnicy oraz ich sprzymierzeńcy.

— Słyszałeś, co się stało wczorajszego wieczoru?

— Słyszałem.

— Nie zda ci się podejrzany ów człowiek z twarzą uczernioną sadzami, który razem z kasztelanem prowadził czachticzan?

— Wielce podejrzany — odparł Ficko — Już kilka razy miały miejsce w zamku zdarzenia, w których maczał palce

podstępny zdrajca, zausznik naszych wrogów.

— Właśnie. Podejrzenie pada na zamecznika!

— Na Pawła Lederera? — Ficko zbladł.

— Tak. Dora utrzymuje, że poznała go mimo sady. A potem dowiedziała się od hajduków, że po jej przybyciu tylko on opuścił zamek, a więc tylko on mógł donieść, że Dora przywiozła dziewczętą. Nadto dowiedziałam się, że moi wrogowie zebrali się wczoraj na plebanii, a wśród nich był i zamecznik. Hajdacy już czekają na niego przy bramie kasztelu. Tobie go powierzam. Weź go na męki i wydobądź zeń wszystkie jego sekrety.

W Ficku krew się burzyła. Jedyne człowiek, któremu ufał i któremu wyjawiał swoje plany, okazał się zdrajcą!

— Miłościwa pani — ozwał się po chwili — proszę, abyście odwołali rozkaz pojmania i uwięzienia Lederera. Jeśli istotnie jest zausznikiem zbójników, może być dla nas użyteczny. Za jego pośrednictwem wtajemniczę zbójników w nasze plany, he, he, he! a wtenczas wyjdzie sztydło z worka, sam dowiedzie, że jest zdrajcą.

— Czyń, jak chcesz!

Naprawdę Ficko zamierzał poddać Pawła jednej jedynej próbie, aby się przekonać, czy w istocie jest zdrajcą, a potem go zgładzić, mógłby bowiem i jego wydać. Wie, że to on zrabował klejnoty, i wie, że chce uciec, jak tylko będzie miał w swoich rękach Magdusię Gnany niepokojem udał się na podwórzec, by też czekać na zdrajcę

Ledwo drzwi się za nim zamknęły, wbiegła do pani Ilo-na.

— Schwytałam owe dziewczyny uwolnione przez czach-ticzian! — zawołała nie posiadając się z uciechy. I dodała z tryumfem, albowiem ostatnio znowu współzawodniczyły z Dorą o łaski pani: — Naprawiłam to, co Dora zbabrała!

— Jakże je schwytałaś? — uradowała się grafka.

— Wywęszyłam, że zostały na plebanii do rana, i dowiedziałam się, że mają je odwieźć wozem pastora do Nowego Miasta. Co prędzej zacząłam się z pięcioma hajdukami pod Skalnym Wierchem. Związać dziewczyny i furmana — to dziecinna igraszka. Są w gajówce, a kiedy się ściemni, przywiozę je wozem pastora do kasztelu.

Paweł Lederer wreszcie wrócił. Ficko przykuśtykał do niego z rozjaśnioną twarzą:

— Nie mogłem się ciębie doczekać, przyjacielu. Chodź, porozmawiamy trochę, póki jeszcze czas.

— Czyżbyś zamierzał już drapnąć?

— Sam nie wiem. Ale mogłoby się zdarzyć, że tobie przyjdzie ochota drapnąć...

— Ani myślę — badawczo wpatrywał się w oblicze Ficka.

— No więc ja mogę czmychnąć, nim się kto spodzieje — zarechotał Ficko i ujął go przyjacielsko pod ramię.
— Chodź, porozmawiamy sobie na pożegnanie.

I powiódł go do wieży, do dawnej izby kasztelana. Siadł na stosie ksiąg w kącie i wyjawiał mu plan, który Paweł i przywódcy zbójników mieli przypłacić życiem.

Po tej rozmowie Paweł Lederer opuścił kasztel pod pretekstem, że ma jakąś robotę w Czachticach, a Ficko oświadczył Elżbiecie Batorównie:

— Będę wdzięczny niebu i piekłu, jeśli zamecznik jest zdrajcą, albowiem pomoże nam schwycić Drozda, Kenderessyego i Kalinę. Jak dobrze pójdzie, jutrzejszej nocy będziemy mieć tę trójkę w swoich rękach.

— A co z moimi klejnotami? — niepokoila się grafka.

— Choćby kapitan Imrich Kenderessy był z kamienia, rozwiążę mu język. Musi wyjawić, gdzie ukrył skradzione klejnoty!

Ale nie zdążył zapoznać grafki ze swoim planem, bo do komnaty wpadła rozpromieniona Dora,

— Miłościwa pani, nie myliłam się! zawołała zdyszana.
— Nie ulega wątpliwości, że to Paweł Lederer przewodził wczoraj czachticzantom! Podśлуchałam rozmowę dziewczyn. Jedna z nich rzekła: "Byłam taka szczęśliwa! To on, Paweł, mnie uwolnił! Uważałam go już za straconego dla siebie, myślałam, że zapłonął miłością do Magdusi Kalinianki. Lecz co nas teraz czeka? Gdyby Paweł wiedział, że jesteście tutaj, znowu by nas uwolnił!"

— Jak się nazywa ta dziewczyna? — spytał Ficko.

— Barbara Repaszówna — odparła Dora.

Zaraz wszakże pożałowała, że opowiedziała tę rozmowę. Najchętniej odgryzłaby sobie język. Pani może się domyślić, iż podawała za szlachcianki córki prostych rzemieślników. Lecz grafka tak była pochłonięta planem Ficka i zde-maskowaniem zdrajcy, że nie powzięła żadnych podejrzeń.

Ale Ficko nie wyjawiał wszystkich swoich planów. Nie chciał, by Paweł poniósł karę za uwolnienie ukochanej — jeśli oczywiście nie ma nic więcej na sumieniu. Postanowił uwolnić Barbarę oraz ocalić Pawła, jeżeli wyjdzie zwycięsko z próby, której go podda. Tak mu nakazywał złodziejski honor.

Tymczasem na plebanii Drozd, Kenderessy i Kalina naradzali się, usiłowali odgadnąć, gdzie wywieziono dziewczęta i czekali na swoich sprzymierzeńców, wysłanych na zwiad do okolicznych wsi. Kilku już wróciło, lecz nie wpadli na żaden ślad. Rozpacz zaczęła ich ogarniać, gdy wtem na plebanii zjawił się Paweł Lederer:

— Przyjaciele, wiem, gdzie są dziewczęta!

— Gdzie, gdzie?

— W piwnicy myjawskiego folwarku!

— To pewna wiadomość? — spytał Andrzej Drozd.

— Najpewniejsza! Ficko mi to wyjawiał. Tej nocy chcą przewieźć do czachtickiego kasztelu.

Aż jęli wiwatować na jego cześć.

Nie przeczuwali, że wiwatują na jego i swoją zgubę...

— Jak. najrychlej zbierzemy ludzi, ilu tylko zdołam — wywodził Kalina — i uderzymy na folwark.

— Podczas gdy wy będziecie uwalniać swoje miłe — uśmiechnął się graf Nyáry do zakochanych — ja z kasztelanem, jeśli zechce przyłączyć się do mnie, udamy się do podziemi zamku.

— Po co? — zdziwił się Mikołaj Loszonsky.

— No, nie tylko na przechadzkę — odparł graf Nyáry z uśmiechem. — Wykopiemy skarb Ficka, albowiem już jutro muszę stąd wyjechać.

— Ładnych czasów dożyliśmy — westchnął Jan Ponice-nus. — Zbójnicy niczym rycerze podejmują wyprawę dla uwolnienia słabych dziewcząt, a graf zamyśla wykopać skarb...

— Aby każdemu zwrócić zagrabione mienie! To również jest rycerskie przedsięwzięcie! Mikołaj Loszonsky z zapalem poparł grafa.

Tak więc zapowiadała się burzliwa noc.

Ficko pod wieczór udał się z pięćdziesięcioma żołnierzami do myjawskiego folwarku, wyprawiło się tam również dwudziestu zbójników z Kaliną, Drozdem i Kenderessym na czele.

Zbójnicy, których po drodze ciągle przybywało, wiedzieli, że na folwarku powita ich Ficko z żołnierzami. Byli przygotowani na zaciętą walkę.

Ficko wszakże nie miał pewności, czy zbójnicy przybędą. Zależało to od tego, czy Lederer jest zdrajcą czy nie. I raptem przyłapał się na tym, że pragnie, by Paweł okazał się wiernym i godnym zaufania przyjacielem. Gdyby to pragnienie się spełniło, rad pogodziłby się nawet z tym, że zbójnicy nie wpadliby w tak przemyślnie zastawioną pułapkę

Na myjawskim folwarku także widział w każdym zdrajcę, toteż ogłosił, że nikomu nie wolno opuścić zabudowań. W oknach stali żołnierze ze strzelbami gotowymi do strzału; nikt nie miał wątpliwości, że gdyby się ośmielił wyjść, zastrzelą go bez pardonu. Reszta żołnierzy wraz z myjawskimi hajdukami czekała na rozkazy w spichlerzach i stajniach. Ficko, podjąwszy te środki ostrożności, zrobił przegląd poddanych. Wybrał trzy dziewczyny i pięciu parobków i zaprowadził ich do piwnicy.

Była długa i szeroka, zapelniona kopcami brukwi, beczkami, skrzyniami, motykami, łopatami oraz wszelkim innym rolniczym sprzętem.

Na końcu piwnicy, naprzeciw masywnych, okutych żelazem drzwi, zółciło się kilka wiązek słomy. Tutaj Ficko przyprowadził trzy dziewczyny oraz pięciu parobków. Zatkaną pochodnię w żelazną obręcz w rogu.

— Widzicie, jak o was dbam — zarechotał. Nawet światło przyniosłem, aby was po ciemku co nie straszło, pomyślałem też o tym, żebyście nie siedzieli na gołej ziemi. Napalić wam, niestety, nie mogę, ale sami się ogrzejcie. Możecie obłapiać się do syta, poza mną nikt tego nie ujrzy, a ja potrafię milczeć jak grób.

Za chwilę przyprowadził pięciu żołnierzy i rozkazał poddanym wdziać ich mundury.

— Żołnierze z was jak malowanie — skakał wokół przebranych w mundury poddanych. — Żebyście jeno zachowywali się również jak żołnierze, kiedy nadciągną zbójnicy i spróbują porwać dziewczęta.

Nad folwarkiem gęstniała już ciemność i gwizdał ostry wiatr, który swawolnie zdmuchiwał śnieg z dachów oraz usypywał zasy na dziedzińcu.

— Jesteśmy gotowi — wymamrotał Ficko zamknąwszy drzwi i przycupnąwszy przy nich. Z zadowoleniem przy-

głądał się wylęknionym dziewczętom, które kulily się z zimna oraz fałszywym żołnierzom, zagadującym je wstydliwie. Naraz jego zadowoloną twarz zniekształcił wybuch złości. Tak wściekle zazgrzytał zębami, że poddańcy zmarli. Przypomniawszy sobie bowiem Pawła Lederera i zaczął rozważać co z nim uczyni, jeśli przybycie zbójników potwierdzi jego zdradę...

W tym samym czasie zbójnicy zbliżali się do Myjavy, na plebanii w Czachticach Loszonsky omawiał z grafem Nyárym wyprawę po skarb Ficka, a w kasztelu Paweł Lederer cierpiał piekielne męki — zgotowała mu je Dora, która wtargnęła do jego izby akurat w chwili, kiedy siedział wpatrzony w ciemniejące niebo myśląc o Barbarze, i ze złośliwą radością oznajmiła:

— Wiesz, że tym dziewczynom mimo wszystko nie udało się umknąć? Nic im nie przyszło z tego, że ów tajemniczy Murzyn je uwolnił. Znowu wpadły w nasze ręce.

Zerwał się jak oparzony.

— Gdzie one są?

— W dobrym miejscu! — zaśmiała się Dora, z jawną rozkoszą przyglądając się zdruzgotanemu tą wieścią Pawłowi.

Opamiętał się dopiero po jej wyjściu. Uświadomił sobie, iż zdradził się jak mu na tych dziewczętach zależy. Zakiełkowało w nim podejrzenie, że wczoraj Dora go poznała. I do strachu o Barbarę przyłączył się strach o siebie.

Czuł, że grozi mu niebezpieczeństwo. Elżbieta Batorówna kazała obwieścić, że nikt nie śmie opuścić kasztelu bez specjalnego zezwolenia. Początkowo ten zakaz nie wzbudził w nim żadnych podejrzeń. Teraz nabrał przeświadczenia, że wydała go ze względu na niego i czeka tylko na powrót Ficka, by ukarać go za zdradę. Jego sytuacja była tym rozpaczliwsza, że nie mógł myśleć o ratowaniu własnej

skóry, póki nie ocali Barbary...

Udało mu się wśliznąć do podziemi. Tylko dzięki temu, że kasztel pogrążony był w nieprzeniknionych ciemnościach, a u wejścia nie stała straż.

Przemierzał podziemne korytarze, zajrzał do katowni. Do lochów, do przepaści pod zapadnią, nie wiedząc, że w tym samym czasie staruchy, pękając ze śmiechu na myśl o mającym się rozegrać widowisku, prowadzą Barbarę przed oblicze grafki...

Skok w przepaść

Elżbieta Batorówna nie mogła się doczekać powrotu Ficka. To on wpadł m pomysł, jak doprowadzić Barbarę do takiego wzburzenia, aby poświadczyła zdradę ukochanego i sama wydała nań wyrok śmierci. W końcu posłała po nią Ilonę i Dorę.

— Znasz Pawła Lederera? — spytała łagodnym głosem, wpatrując się w nią z napięciem.

Barbara zbladła. Ogarnął ją strach o Pawła.

— Nie znam — odrzekła bez namysłu; błysnęło jej podejrzenie, że wczoraj, kiedy je uwalniał, ktoś go rozpoznał.

— Masz szczęście, że go nie znasz — uśmiechnęła się grafka. — Wobec tego nie zasmuci cię wieść, że Paweł Lederer przyplaci życiem porwanie jednej z moich najmilszych służek, Magdusi Kalinianki.

Jak rażona gromem, wytrzeszczyła oczy na grafkę.

— Magdusi Kalinianki? — wykrzyknęła, to imię bowiem przeszło jej serce.

— Magdusi Kalinianki! Tak się w niej rozmiłował, że zaraz po Nowym Roku chce ją poślubić.

Serce Barbary zamierało z bólu. gardło tak miała ści-

śnięte, że prawie się dusiła, do ust napłynęła gorzka ślina, z oczu trysnęły łzy.

— To nieprawda! — zawołała. Zazdrość toczyła w jej sercu rozpaczliwą walkę z wiarą w Pawła.

Od nowa przeżywała wczorajsze radosne spotkanie. Wspominała słowa, którymi w małej izdebce plebanii, będącej świadkiem jej szczęścia, wyczarował przed nią siódme niebo. Na wargach czuła jego pocałunki. „Pobierzemy się, i to wcześniej, niż przepuszczasz!...” powiedział wśród pocałunków i uścisków. I wszystko to byłoby fałszem? Tylko udawał miłość? Zazdrość przypomniła jej czasy, kiedy była przeświadczona, że go straciła przez Magdusię. Zdruzgotana świadomością, że istotnie go straciła, osunęła się bezsilnie na kobierzec.

— A widzisz, widzisz — rzekła grafka z udanym współczuciem — trzeba było szczerze odpowiedzieć na moje pytanie, nie byłabym cię zasmuciła. Dowiodę ci wszakże, iż nie mam kamiennego serca. Skoro tak bardzo miłujesz Pawła Lederera, ulituję się nad nim, daruję mu życie. Niechaj poślubi Magdusię. Kaliniankę!

Barbara nie była już świadoma tego, co czyni i mówi. Jej miłość przerodziła się w zagorzałą nienawiść:

— Nie! Raczej niechaj zginie!

Elżbieta Batorówna wybuchnęła rozgłośnym śmiechem, staruchy jej zawtórowały. Na Barbarę, wijącą się na kobiercu w spazmatycznym płaczu, ten śmiech podział jak strumienie lodowatej wody. Opamiętała się i z osłupieniem patrzyła na grafkę. Dlaczego się śmieje?

— Spełnię woje życzenie — ozwała się wreszcie grafka. — Paweł Lederer zginie! Zginie, chociaż nie Magdusię, lecz ciebie chciał poślubić, i nie ją, lecz ciebie wczoraj porwał!

Barbara skoczyła na równe nogi, jakby podłoga pod nią rozgorzała, i rzuciła się na grafkę. Uświadomiła sobie, jak

podstępnie zagrała na jej uczuciach, doprowadzając ją do zdrady ukochanego. Ale zaśmiewające się służebne chwyciły ją i trzymały tak silnie, że nie mogła się poruszyć.

— Trzeba jej ochłodzić tę gorącą krew — oświadczyła grafka. — Wyprowadźcie ją na dwór!

Dora wywlokła ją na podwórzec. Żołnierze spostrzegłszy, że coś się święci, zbiegli się wokół nich.

Dał mroźny wiatr. Grafka, choć miała na sobie ciepłą szubę, wstrząsnęła się z zimna.

— Rozdziejcie ją do naga i oblewajcie wodą! — zawołała. — a wy — zwróciła się do żołnierzy — przyprowadźcie zamecznika, niechaj i on nasyci wzrok wdziękami ukochanej, nim zamarznie.

Strach przed pohańbieniem i lodowata kąpielą zdwoił siły Barbary. Jęła się szamotać z Dorą i Iloną, wyrwała im się i pomknęła przed siebie. Staruchy niczym furie z wrzaskiem pognały za nią. Umrzeć, raczej umrzeć! Jak szalona pędziła w stronę murów. Żołnierze uskakiwali jej z drogi.

Na murach zatrzymała się raptem. Staruchy już ją doganiały. Rzuciła ostatnie spojrzenie na pogrążony w ciemnościach nocy świat, na bezgwiazdne niebo, na otuloną śniegiem dolinę i skoczyła na oślep, niczym w objęcia ukochanego.

Staruchy i żołnierze w osłupieniu wlepili wzrok w miejsce, gdzie jeszcze przed chwila białała jej postać, która teraz, okaleczona, toczy się w dół po zboczu...

Jedynie na Elżbiecie Batorównie ten rozpaczliwy skok w przepaść śmierci nie uczynił wrażenia. Wybuchnęła suchym, mroźnym śmiechem, który przypominał północny wiatr, zawodzący płaczliwie na wieżach i blankach kasztelelu.

I krzyknęła do znieruchomiałych służebnych, jakby przemienionych w śniegowe bałwany:

— Przyprowadźcie inne dziewczyny!

Tymczasem na plebanii graf Nyáry przebierał się w mundur kapitana pandurów.

Pastor i kasztelan przypatrywali mu się z zaciekawieniem.

— Dlaczego się przebieracie? — zapytał pastor.

— Chcę, aby nasza wyprawa po skarb Ficka przebiegła bezkrwawo.

Wszystko wskazywało, że tak właśnie będzie.

Na dziedzińcu graf Nyáry dosiadł konia i zawołał do piętnastu czachticzán, czekających tam z Mikołajem Loszonskim, zaopatrzonych w łopaty i motyki:

— Zaczekajcie jeszcze chwilę, przyjadę po was!

Strażujący przy bramie hajducy z zaciekawieniem obserwowali jeźdźca cwałującego w stronę zamku.

— Hajducy — zawołał zmienionym głosem jeździec w mundurze kapitana pandurów — na koń, wszyscy co do jednego. Czachticka pani rozkazuje wam natychmiast jechać do Starej Tury, gdzie rozgorzała istna wojna między żołnierzami i zbójnikami.

— A kto będzie strzec zamku? — zapytał jeden z hajduków.

— Ja z kilkoma poddańcami. Ilu hajduków wartuje przy wejściu do podziemi?

— Pięciu.

— Ich też odwołajcie. W Starej Turze potrzebny jest każdy człowiek.

Hajdukom nie przyszło na myśl, że to fortel mający na celu wywabienie ich z zamku. Wskoczyli na konie i jak strzały wypadli z Czachtic, potem wszakże zwolnili i otwarcie się przyznali, że w wir tej walki najchętniej włączyliby się dopiero wtedy, kiedy będzie po wszystkim.

Graf Nyáry wrócił po kasztelana oraz czachticzan i niebawem bez przeszkód weszli do zamku, następnie zaś do podziemi, gdzie Ficko zakopał skarb.

Graf z absolutną pewnością wbił łopatę w ziemię. Kopał, kopał, ale wnet się przeświadczył, iż skarb zniknął...

Czy Ficko zmienił kryjówkę, czy też ktoś ich ubiegł?

— Musimy go znaleźć! — zawołał rozjątrzony widokiem pustej kryjówki. Jeżeli na chybił trafił ryć ziemię pomiędzy beczkami, jak również wszędzie, gdzie choć najmniejszy ślad wskazywał, że ktoś tam kopał.

Tej nocy Jan Ponicens nie był w stanie się położyć, by spokojnym snem odświeżyć ciało i ducha. Nawet modlić się nie mógł z czystym sercem. Nie mógł oderwać myśli od Kalina, Drozda i Kenderessyego. Duchem przebywał to w Myjavię, to w podziemiach zamku, z kasztelanem, grafem i ich towarzyszami. I ze wstydem przyłapywał się na tym, że modli się nie tylko za rycerzy, którzy podjęli trud uwolnienia uwięzionych dziewcząt, lecz i za tych, którzy poszli właściwie kraść...

Krażył niespokojnie po izbach plebanii i z napięciem wsłuchiwał się w odgłosy z zewnątrz — może zbójnicy już wracają z wyprawy, może kasztelan i graf niosą już skarb Ficka...

Jego niepokój wzrastał.

Postyszał hałas na ulicy.

Wbiegł.

Ku plebanii zbliżała się grupa mężczyzn. Nieśli jakąś kobietę nie dającą oznak życia.

— Strażowaliśmy przy tajnym wejściu, jak mieliśmy przykazane, gdy wtem postyszeliśmy okropny krzyk — opowiadał jeden z mężczyzn. — Pobiegliśmy w tym kierunku i znaleźliśmy na zboczu tę niewiastę. Dzięki temu, że śnieg jest sypki, nie połamała sobie ze szczętem

kości. I ma szczęście, żeśmy ją od razu znaleźli. Zamarzła-
by jak nic.

— Żyje? — zapytał pastor ze współczuciem.

— Żyje — odparł czachticzanin — ale dostaje jakichś
dziwnych ataków, majaczy, wykrzykuje coś bez sensu, wy-
rywa nam się... "Chcę umrzeć, umrzeć!" krzyczy, miota się
aż do wyczerpania sił, ale po chwili atak znowu się powta-
rza.

— Panie Boże, toż to Barbara Repaszówna! — zawołał
pastor z przerażeniem, kiedy mężczyźni ułożyli nieszczę-
sną na łóżku i zajęła się nią pastorowa ze służebnymi. Jak-
że się znalazła w kasztelu?

Ledwo położyli ją na łóżku, otworzyła oczy, usiadła,
lecz spodziewany atak nie nastąpił. Ujrzała przed sobą do-
brotliwą zatroskaną, okoloną białymi włosami twarz Jana
Ponicenusa. Złożyła ręce jak do modlitwy i zawołała gło-
sem, który przeszywał serce i wpedzał łzy do oczu:

— Wielebny ojciec, ocalcie Pawła! Ocalcie go! Został
zdradzony! Ja go zdradziłam!...

Wybuchnęła płaczem, głowa opadła jej na poduszki.
Omdlenie zaćmiło jej świadomość, ciało przestało więc się
w spazmatycznym płaczu. Leżała spokojnie, wyprostowa-
na. Jedynie z twarzy wyzierały niewysłowiony smutek
i ból.

Jan Ponicenus nie zdążył zastanowić się nad skutkami
zdrady Barbary. Półprzytomny z przerażenia wpadł na
dziedziniec plebanii jeden z uczestników myjawskiej wy-
prawy:

— Drozda, Kalinę, Kenderessyego i wszystkich pozosta-
łych schwyтали w piwnicy myjawskiego folwarku!

Nim zdyszany zbójnik zdołał opowiedzieć, w jaką pu-
łapkę Ficko ich wciągnął, przybiegł czachticzanin, który
pozostał na straży przy tajnym wejściu w zbocz, kiedy
reszta zanosła na plebanię znaną dziewczynę.

Przyniósł wieść, że właśnie przywleczono do podziemi Drozda, Kalinę. Kenderessyego i całą gromadę zbójników, wszystkich w okowach.

Nie było to wszakże ostatnie wydarzenie, jakie wzburzyło zebranych na plebanii czachticzan a Jana Ponicensa przeraziło śmiertelnie.

Sprzed zamku dobiegła piekielna wrzawa.

To wracali hajdacy, wywabieni przez grafa Nyáryego. Bez wątpienia spotkali się z Fickiem, który natychmiast się domyślił, że ktoś w mundurze kapitana wystrychnął ich na dudków, żeby dostać się do zamku, i posłał hajduków z powrotem dodając mi posiłki.

— Wszyscy są zgubieni! — załamał ręce pastor. — Kalina, Drozd i Kenderessy z najodważniejszymi druhami wtrąceni do lochów. Lederer zdradzony, Loszonsky i Nyáry również są w podziemiach, a odwrót mają zamknięty. O Boże, dlaczego dopuściłeś do zwycięstwa tych łotrów!...

Zebrani na plebanii czachticzenie patrzyli przed siebie w milczeniu, posepnie. Lecz niebawem ich oblicza się rozjaśniły, a w sercach odżyła nadzieja,

— Nie, nie zginą! — Jan Ponicensus wzniosł zaciśnięte pięści i pogroził. — Ocalimy ich!

Nad ranem w Czachticach rozbrzmiały dzwony na trwogę. Po ulicach, na których ciemność już rzedła, biegał rój postaci — z ust do ust, z serca do serca niosło się płomienne wezwanie, aby ruszyć na kasztel, porachować się z czachticką panią i jej sługami.

Przed plebanie ciągnęły gromady mężczyzn uzbrojonych w kosy, czekany, kije. A także w szable i strzelby.

Z rozsianych iskier rozgorzał pożar...

— Przywódca zbójników — oznajmił Ficko Elżbiecie Batorównie, która tej nocy, rozstrojona burzliwymi wydarzeniami, w ogóle nie położyła się spać — zakuci w kajdany są już w lochu razem z gromadą najodważniejszych kamratów, a w ich sąsiedztwie siedzą za kratami Magdusia Kalinianka, Marisza Szutowska i Erzika Priborska.

Ficko z radości omal nie wyskoczył ze skóry. Nie dlatego, że mógł zyskać wdzięczność grafki tą upragnioną wieścią, lecz upajała go świadomość, że wreszcie pomści się na wszystkich, którym poprzysiągł zemstę, i zdobędzie miłość Magdusi, choćby przemocą.

Gdy opowiadał, jak wciągnął w pułapkę hersztów zbójników, z każdego jego ruchu biło samozadowolenie.

— Wpadli do piwnicy jak ćmy do światła, ujrawszy tam trzy dziewczyny strzeżone przez pięciu żołnierzy. A za nimi wtargnęła reszta. Nie mieli pojęcia, że ukrywam się za drzwiami. Opamiętali się dopiero wtenczas, kiedy drzwi się zatrzęsnęły i stwierdzili, że to nie Erzika, Magdusia i Marisza, lecz obce dziewczyny, a żołnierze, na których rzucili się jak szaleni, nie są żołnierzami, lecz poddańcami przebranymi za żołnierzy. Zawrócili do drzwi. Ani nie były zamknięte, ani zatarasowane, lecz przed nimi powitał ich mur moich ludzi. Wywiązała się zażarta walka, a ja jeno dzięki temu nie postradałem w niej życia, że kiedy jeden z żołnierzy z całej siły grzmotnął Drozda w głowę, omdlał i puścił mnie, niemal już uduszonego. Spętaliśmy go tak, że nie zdołałby się uwolnić z więzów, choćby miał dziesięciokrotnie większą siłę. Potem pojaliśmy Kenderessygo i Kalinę. Gdy zbójnicy ujrzeli, że ich wodzowie są obezwładnieni, jęli uciekać, gdzie który mógł. Pośpieszyliśmy ze swoją zdobyczą do Czachtic, przeświadczeni, że zbójnicy zbiorą swoich sprzymierzeńców i spróbują uwolnić jeńców. A dla

pewności kazałem także przewieźć dziewczęta.

— Nie zapominaj, Ficko, o moich klejnotach — ta sprawa interesowała teraz grafkę najbardziej.

— Myślę o nich bezustannie — rzekł szczerze. Ale myślał o nich jako o swojej własności.

— Nasamprzód wydobądź z Imricha Kenderessyego, choćby kleszczami, gdzie je ukrył — poleciła grafka — potem zaś przyprowadź mi wszystkich zbójników i te trzy dziewczyny. Porachujemy się z nimi.

Elżbieta Batorówna udała się do tajnej komnaty, gdzie Ilona i Dora czekały na nią z czterema współtowarzyszkami Barbary Repaszówny. Ficko, niosąc naczynie z rozżarzonym węglem, kleszcze oraz inne narzędzia mąk, zszedł do podziemi.

Jego oblicze, oświetlone żarem węgla, na myśl o bliskiej zemście wykrzywił tak potworny grymas, że każdy, kto go spotkał, wzdrygał się. Co i raz rozdmuchiwał żar w naczyniu, aż mu oczy występowały z orbit. Na przemian odczuwał to wściekłość, to radość. Nadszedł ten upragniony dzień. Ma w swoich rękach Magdusię i wszystkich, którym zaprzysiągł pomstę. Magdusię spróbuje pozyskać. Jeśli mu się to nie uda, umrze w okropnych mękach. Zbójnicy będą świadkami jej śmierci, a potem pójdą za nią...

Nie zapomniał również o Pawle Ledererze. Jego zostawił sobie na koniec. Drzyj, Pawle, porachuję się z tobą straszliwie!

A w nocy wydobędzie swój skarb z kryjówki, zaprzęgnie najlepsze konie do najlepszych sań i czmychnie w takie miejsce, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy go szukać.

Był już w długim korytarzu, po obu stronach którego znajdowały się lochy.

Naczynie z rozżarzonym węglem oświetlało mu drogę czerwonym blaskiem.

Przy kracie jednego z lochów, w którym nikogo nie zamknął, sparzał mimo woli w słabo oświetlony otwór.

I nagle wrzasnął jak opętany, upuszczając naczynie z węglem i trzymane pod pachą narzędzia tortur.

— A więc tu jesteś, psie? — wychrypiał. — To i dobrze.

Jak błyskawica przyskoczył do kraty i zatrzasnął ją.

W kącie lochu wstrzymując dech cisnął się do ściany śmiertelnie blady Paweł Lederer...

Fickiem wstrząsnęło straszne podejrzenie.

Czyżby zamecznik nie uwolnił jeńców?

Nie.

Przeświadczył się jednym spojrzeniem.

Są tam — Kalina, Drozd i Kenderessy. A w sąsiednim lochu trzy dziewczyny. Przywódcy zbójników leżą w pętach na ziemi. Gdy zobaczył i Ficka, łańcuchy zabrzęczały, a skulone w kącie lochu dziewczęta zamarły.

— Dobrze słuchaj — powiedział świszczącym głosem do Lederera, gdy wrócił po tym odskoku — albo nie, nawet nie musisz słuchać, otwórz jeno szeroko oczy! Wszystko, co zobaczysz, będzie niczym w porównaniu z tym, czego ty doświadczysz, nim wyzioniesz swą zdradziecką duszę.

Ficko postanowił porachować się najpierw z dziewczętami, i to na korytarzu, tak by zbójnicy oraz Lederer widzieli, co robi, i słyszeli każde słowo.

Wszedł do lochu, dziewcząt, teraz już z pochodnią.

— Magdusiu, chodź ze mną! — ozwał się najłagodniejszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć.

Magdusia przytuliła się do Mariszy i Erziki i wybuchnęła płaczem.

— Nie idziesz? — fala gniewu wywołanego jej oporem i płaczem pozbawiła jego głos wszelkiej łagodności. Zionął już tylko złością.

Rozjuszony chwycił Magdusię za ramię, oderwał od

zmartwiałych towarzyszek i wywlókł na korytarz.

Łańcuchy zbójników zabręczały groźnie, kiedy w ciszy korytarza rozległ się przejmujący okrzyk. Był to okrzyk przerażenia, które wstrząsnęło Magdusią na widok naczynia z rozżarzoną węglą i narzędzi tortur.

Graf Nyáry, Mikołaj Loszonsky i towarzyszący im czachticzanie aż się spocili, kopiąc daremnie.

Między beczkami nie było już nierozkopanego skrawka ziemi.

— Diabeł podszeptał temu karłowi, żeby przeniósł skarb w inne miejsce! — Graf, który zapewne pierwszy raz w życiu spociał się przy takiej robocie, otarł uznojone czoło.

— Nie wierzę, że ukrył go gdzie indziej, a nie tutaj — ozwał się kasztelan.

— Ja też nie — odparł graf — toteż chwilę odpocznijmy, spróbujmy wina czachtickiej pani, a potem będziemy szukać dalej.

Popijając wino graf wlepił wzrok w olbrzymią beczkę, przez którą, jak zapamiętał z opowiadań Lederera, wiodło wejście do tajnych korytarzy. Bez słowa podszedł do beczki, i chwilę później przed jego zdumionymi towarzyszami w beczce rozwarł się ciemny, odstrasający otwór.

— Pijcie sobie spokojnie, póki nie wrócimy — powiedział do czachticzan. Wziął latarnię i skinął na kasztelana.

Ledwo przeszli korytarzem kilka kroków, stanęli jak wryci.

Przed nim czerniała bezdenna przepaść.

Korytarz, który mniej więcej po pięciu krokach skręcał w prawo, urywał się nad przepaścią.

Graf wpadł na myśl, czy Ficko nie ukrył swoich skarbów w tajnym korytarzu. Ale nie mogli zrobić już ani kroku. Zakręt był tak ostry, że nad przepaścią nie dało się przerzucić

ani drabiny, ani desek. Tu umiałby sobie poradzić jedynie Lederer, który wiedział, jak się podnosi zapadnię.

Gdy wrócili do czachticzan, którzy natychmiast wyniuchali dobre wino, posłyszeli z góry. spoza wiodących podwórzec drzwi, chaotyczną bieganinę, krzyki, podejrżane łomoty.

Skupili się przy drzwiach i nasłuchiwali.

— Dzwonią na trwogę!

— Słyszeliście? Ktoś krzyczał: „Otwórzcie bramę albo porąbamy, wywalimy!”

— Strzał! a teraz drugi! Okropna strzelanina!

Nasłuchiwali w napięciu, co się dzieje na dworze.

— Czyżby przedwcześnie wybuchł bunt? — zastanawiał się graf Nyáry. — Jeśli tak to musiały zajść jakieś straszne rzeczy, które zmusiły do działania. Pastor nie dałby hasła buntu bez nader ważnej przyczyny.

Chwilę później strzelanina ucichła, a drzwi piwnicy zadudniły odgłosem potężnych uderzeń.

— Zdobywają zamek szturmem! — domyślili się poszukiwacze skarbu.

Ale kto? Co się zdarzyło tam na górze?

— Dowiemy się tak czy owak! — powiedział graf.

— My zajmijmy się tym, po cośmy tu przyszli. Do roboty!

I łopaty znowu pograżyły się w ziemi. Oczy pilnowały czy łopaty nie natrafią na skrzynkę, a uszy nasłuchiwały piekielnego rumoru, jaki się rozszalał nad ziemią.

W kasztelu zauważono, że w Czachticach coś się dzieje. Oznaką tego było najpierw bicie dzwonów na trwogę, a następnie słupy dymu i płomieni strzelające ku niebu z potężnych ognisk na okolicznych wzgórzach.

Żołnierze i hajducy byli bezradni. Nikt nie ośmielił się wejść do grafki, która zamknęła się w tajnej komnacie z Iloną, Dorą i czterema dziewczynami. Nawet wtenczas,

kiedy dowiedzieli się od hajduka, który przybiegł z zamku, że czachticzanie podnieśli bunt i atakują zamek.

Gdy grafka wyszła wreszcie z tajnej komnaty, oznajmili jej, że w Czachticach wybuchł bunt i rebelianci prawdopodobnie obsadzili już zamek.

W pierwszej chwili rozkrzyczała się na dowódcę żołnierzy, że beczynnienie tkwi z wojskiem w kasztelu, ale kiedy jej wyjawiał, że cały zapas prochu strzelniczego nasiąkł wodą i nie nadaje się do użytku, zaś bez broni palnej nie ma nadziei na zwycięstwo, uspokoiła się nad podziw.

— A niech się motłoch burzy, tu w kasztelu nic mi nie grozi — myślała. Za parę dni wyjedzie stąd. Jej poseł już powiadomił księcia siedmiogrodzkiego, jej brata, że po Nowym Roku zawita do niego. Również Jerzemu Zawodskiemu poseł przypomniał obietnicę odwiedzenia jej w ostatni dzień roku. Wyjedzie razem z nią. Jeżeli nie zechce dobrowolnie, wywiezie go siłą. Tylko czy rebelianci — Bóg wie, ilu ich jest — nie zatarasują dróg, nie uniemożliwią ucieczki?

— Mości kapitanie — poleciła dowódcy żołnierzy — ponieważ nie wiem, gdzie obecnie palatyn przebywa, wyprawcie natychmiast posłów do Preszporka oraz do Bytczy z wiadomością, iż w Czachticach wybuchł bunt, i zażądajcie posiłków i odpowiedniej ilości prochu strzelniczego.

Była przeświadczona, że cokolwiek palatyn myśli o niej, postara się o stłumienie buntu, Gdyby zaś wpadło mu do głowy badać przyczyny owej rebelii i mieszać się do jej prywatnego życia, ona będzie już za górami, za lasami,

— Ficko jeszcze nie wrócił? — przypomniała sobie raptem klejnoty i swoich wrogów, z którymi musi wyrównać rachunki. Rozejrzała się niecierpliwie.

— Nie — odparły służebne.

— Wobec tego godnie się przygotowujemy na przyjęcie zbójników oraz ich ukochanych — roześmiała się zło-

wieszczo. — Mam i dla Ficka niespodziankę!

Na jej rozkaz żołnierze wynieśli na podwórzec ciężki żelazny tron, skonstruowany po stłumieniu powstania Dózszy. Ówczesny pan Czachtic kazał wystawić go na rynku, aby przypominał rebeliantom, co ich czeka — los Dózszy, chłopskiego przywódcy, którego panowie po stłumieniu powstania posadzili na rozpalonym żelaznym tronie...

— Nagrzejcie tron porządnie, aby księciu było na nim ciepło — upajała się wyobrażeniem mąk Jana Kaliny, gdy jego ciało zacznie skwierczeć, przypiekane rozpalonym żelazem. Świadcami śmierci Kaliny będą jego kamracy oraz kapitan pandurów i zdrajca Lederer, którzy również na tym tronie rozstaną się ze światem. Widowisku przypatrywać się będą ich ukochane oraz jej rodzona córka Erzika. I dla niej ma niespodziankę. Nie umrze zwyczajną śmiercią...

Na podwórzu trzaskało ognisko, w którym czarny, pokryty rdza tron rozpalał się do białości.

Płomienie ogrzewały żołnierzy, lecz na myśli o egzekucji wstrząsali się z zimna.

— Dora, Ilona! — zawołała grafka staruchy, które z chichotem rzucały pod tron grube polana. — Chodźcie, pokażę czachticzanom, iż nic sobie nie robię z ich buntu!

I po chwili zrzuciły z murów trupy czterech dziewczyn, współtowarzyszek Barbary Repaszówny.

Straszliwie okaleczone, zakrwawione ciała stoczyły się po skarpie. Naznaczyły śnieg czerwoną smugą i zatrzymały się pod występem skalnym. Słońce, które z rozpromienionym obliczem zaczynało swą wędrówkę po niebie, ze zdumieniem spozierało na zbocze pod kasztelem.

W białym śniegu jakby czerwieniał ogromny sztandar o niezwykle długim drzewcu...

Magdusia Kalinianka wolałaby umrzeć, niż patrzeć na twarz Ficka, na płonące węgle u jego nóg i wielkie klesz-

cze, które w nich nagrzewał.

— Masz przed sobą jedynie dwie drogi, moja miła — rzekł Ficko. — Jedna prowadzi do mnie, druga w objęcia śmierci. Albo zostaniesz moją żoną, albo umrzesz!

W lochu znowu groźnie zabrzączały łańcuchy. Ficko roześmiał się:

— Tak się ratujecie, żem uczynił was świadkami sceny, jąta zazwyczaj odgrywa się w cztery oczy?

I podszedł do Magdusi tak blisko, że uczuła na twarzy jego cuchnący oddech.

— Którą z tych dróg wybierasz?

— Śmierć!

— Jeszcze zmienisz zdanie — rzekł tłumiąc rozpierającą go wściekłość. — Lżej by ci się umierało w obecnej postaci, kiedy jesteś tak urodziwa i powabna, że nie tylko mnie, ale i Panu Bogu byś się spodobała. Zobaczmy co powiesz, gdy rozpalonymi kleszczami ujmę ci urody. No więc, najprzód pozbawimy twoje lica rumieńca dumy, gołąbeczko!

Wyciągnął z węgli rozżarzone kleszcze i przysunął do jej twarzy. W padającymi od rozpalonego żelaza blasku zdało się, iż płomienie liżą całe jej ciało.

Marisza i Erzika wybuchnęły płaczem, który pomieszał się z rechotem Ficka i brzęczeniem łańcuchów.

— No, zobaczmy! Pożegnaj się ze swoją urodą. Za chwilę skóra zacznie skwierczeć i staniesz się tak szpetna, że rodzona matka cię nie pozna!

— Imrich! — zawołała takim głosem, jakby piekło się przed nią otworzyło i chciało ją pochłonać.

Wzywała mężczyznę, któremu od dawna oddała serce, nie wiedząc, że leży w odległości kilku kroków, spętany łańcuchami. A jednak wierzyła, że ją ocali.

Ledwo wykrzyknęła jego imię. Ficko z takim impetem runął na ziemię, że aż kleszcze wypadły mu z rąk.

— To ty pożegnaj się ze swoim podłym życiem! — posłyszała znajomy głos.

— Imrich! — zawołała Magdusia znowu, lecz tym razem był to okrzyk radości, podziwu i wdzięczności.

Imrich Kenderessy powalił niespodziewającego się niczego Ficka jednym uderzeniem, ułapił za szyję i ścisnął z taką mocą, że karzeł zaczął charczeć.

— Poniechaj tego podleca i zajmij się swoją miłą! — przyskoczył Andrzej Drozd i oderwał go od Ficka.

Erzika i Marisza wybiegły z lochu, obejmowały i całowały ocaloną w ostatniej chwili Magdusię. Płakały z radości. Magdusia rzuciła się swemu ukochanemu na szyję, drżąc ze wzruszenia i szczęścia, że to właśnie on ją uratował i że jest przy niej, a ona pocałunkami może mu wyznać, jak go miłuje...

Marisza, ujrawszy w drzwiach lochu Jana Kalinę, poszła za jej przykładem. A Erzika rozpromienionym wzrokiem spoglądała na Andrzeja Drozda zmagającego się z Fickiem.

Powitania zakochanych przerwał nieludzki wrzask Ficka i odgłos zązartej walki.

— Omal byśmy zapomnieli o człowieku, który nas ocalił — powiedział Kalina

Otworzył kratę, którą Ficko niedawno zatrzasnął, i przyjaciele uścisnęli się gorąco.

— Dziękuję ci, Pawle, w swoim imieniu i w imieniu nas wszystkich!

— Nie macie mi za co dziękować Przecież to ja wpakowałam was w tę kabałę, uwierzywszy temu diabłu — odparł Lederer.

— Szczęśliwy jestem, że choć raz mnie się udało uratować ciebie — roześmiał się Jan Kalina.

Paweł Lederer owego wieczoru, kiedy złośliwa starucha

oznajmiła mu, że Barbara znowu wpadła w ręce czachticzej pani, chodził zrozpaczony po podziemnych korytarzach, zaglądał do lochów, wołał jej imię. Był przeświadczony, że jego miłą zawleczono do podziemi, dlatego tylko tam jej szukał. Po kilku godzinach poszukiwań, akurat kiedy zawędrował w pobliże tajnego wyjścia pod kasztelem, posłyszał ogłuszający łoskot zwodzonych drzwi i wrzask Ficka. Rzucił się do ucieczki co sił w nogach. Ale po pewnym czasie zorientował się, że Ficko i ci, co mu towarzyszyli, wracają do kasztelu, i pobiegł spenetrować lochy. Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał tam Mariszę, Erżikę i Magdusię, a w sąsiednim lochu Jana, Imricha i Andrzeja! Dziewczęta, które niebyły związane, pocieszył i uspokoił, a potem zabrał się do uwolnienia z pęt zbójników. Była to ciężka praca, ale dzięki temu, że miał ze sobą narzędzia, w końcu poradził sobie z okowami. Akurat, gdy uwolnił ostatniego z nich, posłyszał w dali rechot Ficka. Ułożył łańcuchy w ten sposób, aby wydawało się, że zbójnicy są spętani, i wybiegł. Wiedział jednak, że nie uda mu się uciec tak, by Ficko go nie spostrzegł. Dlatego wśliznął się do sąsiedniego lochu i czekał, co będzie dalej.

Teraz widział, że Ficko coraz bardziej opada z sił. Nie szczędził ich we wścieklej walce, gdy dopadł go Andrzej Drozd.

Zbliżał się koniec tych zmaganiań. Ale gdy Ficko spostrzegł Pawła i uświadomił sobie, że zamecznik ukoronował swoją zdradę, uwolnieniem zbójników, wybuch wściekłości i żądzy zemsty przywrócił mu siły. Nic to jednak nie pomogło. Drozd też się rozognił. Trzymał Ficka prawicą za szyję, a lewą ręką grzmocił go w plecy. Było to jego najczulsze miejsce. Przy każdym uderzeniu Ficko wrzeszczał przeraźliwie i miotał się jak ryba na wędce.

— Wreszcie zdechniesz, karle!

Nie żartował. Ficko przestał się już szarpać.

— Nie zaduś go, Andrzeju — przyskoczył doń Kalina.
— Zostaw go кату!

Drozd z trudem dał się przekonać. Ale gdy rozluźnił uścisk na szyi Ficka, wydawało się, że już po nim. Zwiśł bezwładnie, nogi kołysały mu się jak kłody.

— Czekaj, już ja cię przywrócę do życia! — zawołał Drozd. — Ty lubisz udawać umarłego. Zaraz zobaczymy, czy i teraz nie chcesz wystrychnąć mnie na dudka.

Podczas walki naczynie z węglem przewróciło się. A jego zawartość wysypała się tworząc płonący stos. Zbójnik chwycił Ficka za ręce i nogi i posadził go na rozpalonych węglach.

— Na czymś takim jeszcze nie siedziałeś! Tu ożyjesz, choćby twoja czarna dusza istotnie była już za górami, za lasami.

Tym razem Ficko doprawdy nie udawał, Zerwał się dopiero wtenczas, gdy żar przepalił mu nogawice i wgrzył się w ciało. Znowu rzucił się do walki, lecz wystarczył jeden cios i rozciągnął się na ziemi.

Zbójnicy zdecydowali się opuścić podziemia wyjściem prowadzącym do zamku.

— Wstawaj, Ficko — kopnął go Drozd i idź grzecznie przed nami, bo jeśli nie, to cie, zwiążemy i będziemy wlec za sobą na powrozie. Ale nie waż się nacisnąć jakiegś dźwigni w murze. Ani myślimy zginąć w przepaści. Gdyby hajdukowi przyszła chętka zmierzyć z nami siły, wyperswaduj im to, póki bowiem dziewczęta nie znajdą się w bezpiecznym miejscu, nie mamy ochoty się bić. Pamiętaj, jeżeli nie przemówisz hajdukowi do rozumu, wyprawimy cię na tamten świat.

Chwilę później podziemnymi korytarzami ciągnął dziwny pochód.

Na przedzie, zataczając się, bez słowa kroczył Ficko, jakby to była jego ostatnia droga na miejsce straceń, za nim

z pochodnią w ręce szedł Lederer, a na końcu trzy zakocha-
ne pary.

Niedaleko wyjścia, tam, gdzie przed zapadnia, zionęła
przepaść, Ficko stanął.

— Dalej nie przejdziemy — rzekł tępo.

— Przejdziemy — zapewnił go Lederer, bacząc, aby ten
podlec nie strącił go w przepaść.

Ficko mało nie rozniosło ze złości, gdy Paweł od razu
natrafił na dźwignię i zapadnia podniosła się z ogłuszają-
cym łoskotem.

Graf. kasztelan i towarzyszący im czachticzanie posły-
szeli ów łomot.

— A więc już z dwóch stron grozi nam niebezpieczeń-
stwo — zaklął graf, którego niepowodzenie poszukiwań
doprowadzało już do furii. — Z korytarza ktoś nadchodzi,
a z dworu diabli wiedzą, kto się włamuje. Schowajmy się
za beczki, a latarnie trzeba owinąć suknem, żeby nas nie
zdradziły!

Uliczka między dwoma rzędami beczek opustoszała mi-
giem. Wnet potem otwarło się dno największej beczki
i w tej samej chwili wyleciały drzwi wiodące z podwórca.

Z beczki wyszedł: Ficko, a za nim Paweł Lederer z po-
chodnią w ręce. Przez wyłamane drzwi wpadł Wawrzek z
zastępem czachticzan — pokonali straż i opanowali zamek.

Gdy Ficko zobaczył oparte o beczki łopaty i rozkopaną
dookoła ziemię, wrzasnął przeraźliwie:

— Ograbili mnie, ograbili!

Wszyscy spoglądali w niemym osłupieniu, jak chwyciw-
szy jedną z łona: pobiegł pędem na środek korytarza i za-
czął kopać, jakby postradał zmysły.

Wyrzucał ziemię łopatą, a kiedy już z wysiłku pot zlepił
mu ryże włosy, ostatkiem sił wy dobył z jamy skrzynkę,

otworzył ją trzęsącymi się rękami, a spojrzawszy do środka z radości zapomniał o bożym świecie i jął podskakiwać jak opętany.

— Mój skarb, mój skarb! Nie ukradli mi go!

Ocknął się z upojenia dopiero wtenczas, gdy zza beczek wybiegły groźne postacie.

— Dzięki, Ficko — roześmiał się graf Nyáry. — Cośmy się naszukali twojego skarbu! Ulitowałeś się nad nami, sam go dla nas znalazłeś. Przyjaciele, bierzcie skrzynkę!

— Złodziej! — wrzasnął Ficko i rzucił się na grafa.

Ale Andrzej Drozd wyrósł przy nim jak spod ziemi.

— Ficko, już ci powiedziałem, abyś się miarkował, bo jak nie, to nim wyjdziemy na świat boży, wypłujesz wszystkie zęby i nie będziesz miał ni jednego całego zebra!

I tak go grzmotnął, że Ficko poleciał jak z procy, obił się o beczkę, aż zadudniła, i rozpląszczył się na ziemi. Ale na widok czachticzan podnoszących skrzynkę z jego skarbem zerwał się jak oparzony i ryknąwszy strasznym głosem, naprzężył się do skoku.

Drozd ani na chwilę nie spuszczał go z oczu. Gdy rzucił się na wynoszących skarb mężczyzn, natknął się na pięści zbójnika.

— Zwiążmy go — ozwał się Imrich Kenderessy. — Jest niepoprawny, skacze i skacze, a tobie, Andrzeju, pięści i siła jeszcze się przydadzą.

Na podwórku zamkowym, gdzie czachticzenie z niecierpliwością wyczekiwali powrotu śmiałków z podziemi, rozległy się burzliwe okrzyki radości. Ujrzeni bowiem wszystkich tych, którzy bronili ich przed pańską samowolą i ośmielili się przeszkodzić Czachtickiej pani w popełnianiu złoczynstw. Stali przed nimi uśmiechnięci Andrzej Drozd, Imrich Kenderessy, Jan Kalina i Mikołaj Loszon-sky. Powitali ich wybuchem radości, podziwu i wdzięczności.

I patrzcie no, pojмали Ficka, jest spętany i tak przerażony, że niemal nie śmie oddychać. Ale jest tu również zamcznik, kamrat Ficka, ten, co zdradził Jana Kalinę. I podczas kiedy zbójników, dziewczęta oraz grafa i kasztelana otoczył wiwatujący tłum, kilku krewkich młodzieńców rzuciło się na Pawła Lederera.

— Mamy cię, nikczemny zdrajco! — krzyczeli, — Pomacamy ci kości!

Powalili go na ziemię. Na szczęście dostrzegł to Jan Ponicenus.

Rzekł jeno kilka słów, a młodzieńcy, którzy zamierzali zatłuc Pawła, wzięli go na ramiona i ponieśli między rozradowanych ludzi.

Na podwórku zamkowym było coraz tłoczniej, Wzrastał też entuzjazm, szczególnie kiedy gruchnęła wieść, że wszyscy czachticzanie, od których Ficko wymusił taki czy inny podatek, dostaną pieniądze z powrotem. W końcu cała ogromna ciżba popłynęła na rynek, gdzie na ogólne żądanie miano postawić Ficka pod pręgierzem.

I tak się stało.

Ficko, przywiązany do pręgierza, nie mógł poruszyć nawet palcem, chociaż żółć się w nim burzyła. Więc tylko zgrzytał zębami, charczał, wrzeszczał, wzmagając tym nienawiść tłumowi przeciwko sobie. Mężczyźni i kobiety podchodzili doń, pokazywali mu język, lżyli go, opluwali, a gromada wyrostków obrała go sobie za cel w rzucaniu kamieniami.

Słońce już. Wysyczało oślepiająco na ośnieżonych dachach, kiedy Mikołaj Loszonsky uroczyście oznajmił zabranym na rynku ludziom:

— Tu oto jest spis, w którym dokładnie zanotowano, kogo i na jaką sumę czachticka pani ograbiła za pośrednictwem Ficka oraz innych swoich sługosów.

I jął wywoływać po kolei nazwiska, a gdy wywołani

podchodzili, sięgał do skrzynki ze skarbem Ficka i odliczał im na dłoń całą bezprawnie pobraną kwotę.

Na rynku zapanowała niewysłowiona radość. Fickowi zdało się, że tego nie przeżyje. Widząc opróżniającą się skrzynkę, najprzód znieruchomiał, potem zaś przeraził wic się rozwrzeszczał.

Rozradowany tłum odpowiedział na jego wrzask wybuchami śmiechu gradem plunień i kamieni.

Graf Nyáry, schylony nad przeniesioną na plebanię skrzynką z resztkami skarbu Ficka, tak był oczarowany pięknem i bezcenną wartością klejnotów Elżbiety Batorówny, że zapomniał o bożym świecie.

— Skrzynkę opieczętujemy — wyrwał go z ekstazy Jan Ponicensus — i tak jak jest, oddamy córkom i synowi czachtickiej pani.

— Naturalnie — wyraził swą zgodę kasztelan.

— Oczywiście — przystał na to również grał Nyáry, uśmiechając się szelmowsko — ale nim ją opieczętujemy, weźmiemy sobie coś na pamiątkę...

I wyjął ze skrzynki dwa złote naszyjniki oraz trzy bransolety wysadzone mnóstwem drogich kamieni, które już samym kształtem, wielkością i blaskiem zdradzały, jak wielką mają wartość.

— Jakim prawem przywłaszczacie sobie te klejnoty? — oburzył się Jan Ponicensus.

— Daremnie bym to wam tłumaczył, księżu proboszczu — uśmiechnął się grał pobłażliwie — nigdy nie pojmiecie zasad moralnych zbieracza. Lecz mogę wam rzec, że jestem niezmiernie szczęśliwy, iż z tej walki, która nie jest tylko moją zemstą osobistą, wynoszę tak miłą pamiątkę.

— Ale przecież spadkobiercy Elżbiety Batorówny stwierdzą ich stratę. — Pastor spróbował wpłynąć na grafa, grając na innej strunie. — Mają spis klejnotów, nie mówiąc

o tym, że zachowali je w pamięci.

— Dzięki za troskliwość, księżę proboszczu — odparł graf. — Ale Ficko, zagrabiwszy klejnoty nie musiał przecież całego łupu ukryć w jednym miejscu. Powiedzmy, że te dwa naszyjniki i trzy bransolety ukrył gdzie indziej. Niechaj więc wezmą go na męki i wypróbowanymi metodami przymuszą, by wyznał, gdzie je schował!

— Chcecie, aby poniósł karę za to, czego nie popełnił?

— Czyżby raptem zrobiło się wam żal tego szatana? Jakąkolwiek karę poniesie, nie wyrówna ona nawet tych złoczynstw, które popełnił.

Spór rozstrzygnęli przywódcy zbójników.

— Ja bym wam chętnie oddał wszystkie klejnoty, panie — uśmiechnął się do grafa Jan Kalina. Wiedział, że graf uczyni teraz wszystko, aby czachticką panią skazano na śmierć, inaczej bowiem mogłaby go kiedyś oskarżyć o kradzież najcenniejszych swoich klejnotów. Słowa Kaliny zaskoczyły pastora, a grafa najwyraźniej uradowały.

— My, niestety, nie możemy sobie na coś takiego pozwolić, panie, bo jeszcze bardziej zasłużylibyśmy sobie na szubienicę.

— Szkoda — szczerze żałował graf — Waszym ukochanym i tej biedaczce Barbarze należałoby się kilka błyskotek jako odszkodowanie za tyle cierpień i przeżyty strach.

Erzika, Marisza i Magdusia czuwały w sąsiedniej izbie z pastorem przy łóżku Barbary. Jej rany nie były ciężkie, ale zmogły ją ból i rozpacz i przeraziła bliskość śmierci, w której objęcia się rzuciła. A nadto tak przemarzła, że ciągle nie mogła się rozgrzać.

Akurat kiedy graf Nyáry zajrzał do sąsiedniej izby w duchu ozdabiając dziewczęta klejnotami, wszedł tam Paweł Lederer. W zamieszaniu wywołanym burzliwymi wypadkami nikt nie zdążył mu powiedzieć, co się stało z Barbarą. Stał w drzwiach jak skamieniały, a kiedy się opamiętał,

zaczął się zastanawiać, czy to nie jakiś omam, który wnet zniknie, a wraz z nim obraz kobiety kochanej tym bardziej, im bardziej daleka i niedosiężna mu się zdała.

— Barbara! — wykrzyknął.

Podbiegł do łóżka, jakby za pomocą wszystkich zmysłów, chciał się przeświadczyć, czy to rzeczywiście ona.

To spotkanie było tak rozrzewniające, że pastrowe i dziewczętom popłynęły łzy z oczu, zaś pastor, kasztelan, graf i zbójnicy milczeli wzruszeni.

Na odbytej potem naradzie uzgodnili, że Mikołaj Loszonsky uda się do Preszporaka, gdzie zasiadał sejm, wytoczy oskarżenie przeciw czachtickiej pani o liczne morderstwa, naruszanie prawa, doprowadzenie do buntu i zażąda natychmiastowego postawienia jej przed sądem, gdyż inaczej rebelianci sami będą musieli postarać się o to, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Graph Nyáry miał jechać prosto do Wiednia, zanieść tam wieść o wydarzeniach w Czachticach oraz o rebelii, i dołożyć wszelkich starań, by król interweniował, gdyby palatyn, kierując się rozlicznymi względami, nadal się ociągał.

A czachticzanie z pastorem i zbójnikami mieli baczyć, by z kasztelu nikomu nie udało się uciec i uniknąć w ten sposób kary.

Przed plebanią czekały sanie.

Wsiedli do nich graf Nyáry i Mikołaj Loszonsky. Kilku zbójników, którzy mieli towarzyszyć im przynajmniej do Pieszczan, wskoczyło na konie.

— Niechaj Bóg was prowadzi i ochrania — żegnał się z nimi pastor, obok którego stali Kalina, Drozd, Lederer i Kenderessy. Zadzźwięczały dzwonki, kopyta zadudniły po białej drodze.

— Czy tylko coś dziająją? — Kalina patrzył za nimi w zamyśleniu.

— Jeśli nic nie dziają, przyjdzie kolej na nas! — odparł Andrzej Drozd.

— A my możemy być przygotowani na to — ozwał się Imrich Kenderessy — że tak zwana sprawiedliwość nie zapomni o nas. To pewne, że postawią nas przed sądem.

— Nie strasz, Imrich — ofuknął go Drozd — bo szyja zaczyna mnie świerzbic...

Zaśmiali się, lecz był to wymuszony i gorzki śmiech.

— Gdyby was sądzili, przyjaciele — rzekł pastor — i mnie musieliby posadzić na ławie oskarżonych!

21. Sąd

In flagranti

— Wiesz może, co się stało z Fickiem? — spytała czachticka pani Erzę Kardoszową. Od chwili, kiedy rebelianci pilnowali wejść do kasztelu i zamku, jej pierwszej udało się tutaj przedostać.

— Wiem — odrzekła.

I opowiedziała grafce o ostatnich wydarzeniach: że Ficka schwytano, postawiono pod pręgierzem, a następnie uwięziono.

— i pojechali ze skargą do Preszporoka — kończyła — Stary kasztelan wybrał się do palatyna. A czachticzenie ostrzą sobie zęby na Dorę. Ilonę i na mnie oraz inne wierne sługi waszej miłości.

Ze ostrzą sobie zęby również na grafkę, nie odważyła się powiedzieć.

Grafkę najbardziej zaskoczyła wieść o bogactwie Ficka. Nazgarniał u niej niesłychane pieniądze, a w dodatku ukradł jej klejnoty!

— A gdzie teraz są moje klejnoty? — spytała, zdecydowana odebrać je.

— Na plebanii.

— Możesz odejść. Przyślij tu Dorę i Ilonę.

Miała już plan zdobycia klejnotów. O pozostałych sprawach nie myślała. Była przeświadczona, iż z Preszporka nie grozi jej niebezpieczeństwo. Przynajmniej przez te kilka dni do końca roku, kiedy wyjedzie stąd na zawsze.

— Słuchajcie — oświadczyła starym służebnym — jak wiecie, za parę dni wyjeżdżam. Jeszcze raz mi usłużcie, a szczerze was za wszystko wynagrodzę. Najprzód wszakże muszę odzyskać klejnoty.

I wtajemniczyła je w swój plan.

Hajducy z Myjawy i Starej Tury będą czatować na kasztelana wracającego z Preszporka. Schwytają go i uwiężą w Podoli albo na innym folwarku. Ilona i Dora postarają się, aby czachticzenie dowiedzieli się o tym. Zbójnicy i rebelianci z pewnością bezzwłocznie wyprawią się, by go uwolnić. Kiedy niemal wszyscy mężczyźni opuszczą Czachtice, ona z żołnierzami wtargnie na plebańię i zabierze swoje klejnoty.

— i uwolnimy Ficka — jej blada twarz zapłonęła gniewem — musi ponieść zasłużoną karę za to, że mnie okradł. Przynieście na dziedziniec największy kocioł, jaki znajdziecie w kasztelu, i napełnijcie wodą. Ugotujemy Ficka żywcem, a potem zrzucimy z murów, wilkom na pożarcie. Razem z Fickiem sprowadzimy do kasztelu Magdusię Kaliniankę, Erzikę Priborską, Mariszę Szutowską i Barbarę Repaszównę oraz tyle innych dziewcząt i kobiet, ile tylko uda się schwytać moim wiernym sługom. Nim opuszczę kasztel, dam ich kochankom i mężom porządną nauczkę, aby nie wtykali nosa w cudze sprawy. Wszystkie, żywe czy martwe, wrzucimy do wielkiego ogniska, które oświeci mi drogę przy odjeździe, niechaj zresztą i cały kasztel spłonie, i tak już mnie więcej nie zobaczy!

Gdy poseł czachtickiej pani wrócił z Preszporka z wieścią, iż palatyn, bardzo zajęty sprawami państwowymi, do

Czachtic może przybyć dopiero po Nowym Roku, przyjęła to z wielkim zadowoleniem. Wtenczas ona będzie już w Siedmiogrodzie, pod opieką swego brata.

Powrócił również poseł wysłany do Jerzego Zavodskiego. Sekretarz palatyna powiadał krótko: „Przyjadę, jak obiecałem!”

— Przyjedzie! — rozpromieniła się Elżbieta Batorówna. Wszystko przebiegało zgodnie z jej życzeniami. Dwudziestego ósmego grudnia hajducy pojмали Mikołaja Loszonskiego i uwięzili go w podolskim folwarku.

— Możemy już rozpuścić po Czachticach wieść o schwytaniu kasztelana? — spytała Dora Senteszowa.

— Jeszcze nic, dopiero w ostatni dzień roku.

Nie mogła się doczekać chwili, gdy odzyska klejnoty i wyrwie zemstę, ale trzymała się na wodzy, aby zbytnim pośpiechem nie zepsuć wszystkiego, toteż uznała, że najlepiej będzie odłożyć wykonanie planu do dnia wyjazdu. Gdy czachticzanie ruszą gremialnie na odsiecz kasztelanowi, ona odbierze swoje klejnoty, pomści się na Ficku i rebeliantach i opuści kasztel bez przeszkód.

Z radości aż objęła Erzę, gdy starucha oznajmiła, że nie przysłała do kasztelu z pustymi rękami, ale — wystawiając się na największe niebezpieczeństwo — przyprowadziła dwie dziewczyny.

— Jeszcze trzy dni — szepnęła w upojeniu — jeszcze dwie kapiele, a potem przybędzie on i zacznie się zupełnie nowe życie.

Życie, o jakim zawsze marzyła.

Nie przeczuwała, jakie chmury się nad nią zbierają...

Posłowie zgromadzeni na sejmie, gdzie kasztelan Mikołaj Loszonsky jednak się dostał, chociaż niektórzy panowie chcieli mu to uniemożliwić, z najwyższym wzburzeniem wysłuchali straszliwego oskarżenia o wielokrotne morder-

stwa.

Panowie posłowie nie byli zbyt wrażliwi, burza protestów zerwała się dopiero wtenczas, gdy Mikołaj Loszonsky wyjawiał, że czachtickiej pani nie wystarczyła krew prostych dziewcząt z udu, lecz że w swoim niepojętym krwiożerczym szaleństwie przelewała również krew szlachecką...

Palatyn Jerzy Thurzo widział, że musi wkroczyć w tę sprawę.

Znalazł się w nader nieprzyjemnym położeniu.

Nie umiał znaleźć takiego rozwiązania, aby dobre imię Batorych i Nádsadych nie zostało splamione, a przy tym aby wszyscy byli zadowoleni, zaś w Czachticach zapanał spokój.

Przez trzy dni milczał na posiedzeniach sejmowych, jakby oniemiał. Czuł wlepione w siebie spojrzenia pytające, co zamierza przedsięwziąć. Czuł i to, że w Czachticach czekają na niego, pragną, aby zrobił porządek, dowiódł światu, że sprawiedliwość jeszcze istnieje. Nawet trzeciego dnia nie była zdecydowana, co czynić, chociaż długo naradzał się ze swoim sekretarzem.

Wtedy to przybył graf Nyáry z poleceniem króla, na którego udało mu się wpłynąć przy pomocy kardynała.

Król polecał palatynowi, aby nie zwlekając wyprawił się do Czachtic, osobiście zbadał wszystko, stłumił bunt i postawił winnych przed sądem.

— Czyżby jego królewska mość uważał spytał urażony palatyn grafu Nyáryego — iż staję się protektorem złoczyńców i nie zamierzam ich ukarać?

— Król wie — odparł graf Nyáry — w jakim trudnym położeniu się znajdujesz, drogi przyjacielu, i dlatego swoim poleceniem, które jednocześnie jest rozkazem, chce położyć kres twemu wahaniu, a zarazem przejmuje na siebie część odpowiedzialności za twoją decyzję.

Palatyn długo się naradzał z zięciami czachtickiej pani, Jerzym Drugethem z Humennego, nadżupanem zemplíńskim, mężem Katarzyny, oraz Mikołajem Zrinyim, mężem Anny.

— Drodzy przyjaciele — tymi słowami zamknął palatyn naradę — niewymownie żałuję, iż nie mogę oszczędzić wam tego bólu. Proponowane przeze mnie rozstrzygnięcie jest możliwie najoględniejsze i z całego serca pragnę, aby zadowoliło zarówno naszych prawników, jak i króla. Nie baczę na to, że zapewne podważę swoją pozycję. Zapewniani was, że bez względu na okoliczności postąpię tak, jak postanowiłem, chociaż Elżbieta Batorówna chciała pozbawić mnie życia i chociaż wy sami, mimo moich nalegań, nie uniemożliwiliście jej dalszych złoczynstw.

Zięciowie Elżbiety Batorówny z zadowoleniem przyjęli przedstawione przez palatyna rozwiązanie.

Palatyn bowiem z godną podziwu energią postanowił nie dopuścić do splamienia tarczy dwóch zasłużonych rodów, choćby nawet wbrew woli króla, przekazanej przez grafa Nyáryego.

— Ta zwyrodniała niewiasta nie zasługuje na taką ofiarę z mojej strony — rzekł w zamyśleniu do swego sekretarza, kiedy ponownie rozważali jego plan. — Powinienem postawić ją przed sądem razem z jej współnikami. Wszelako stoją mi przed oczyma jej dzieci, zięciowie i nieboszczyk mąż, który był moim przyjacielem. Nie mogę zdobyć się na to, by ich napiętnować, stawiając Elżbietę Batorównę pod pręgierzem jaku wielokrotną morderczynię.

Jerzy Zavodsky milczał. Ani nie bronił, ani nie oskarż czachtickiej pani.

— Mości sekretarzu — palatyna drażniło jego milczenie — czyżbyś zjadł na obiad własny język?

— Wasza dostojność zechce mi wybaczyć — usprawiedliwił się Zavodsky — lecz z wiadomych powodów nie

chce wywierać wpływu na decyzję waszej dostojności.

— Dobrze — palatyn uśmiechnął się na znak przebaczenia — lecz za karę pozbawiani cię radości spotkania w cztery oczy z Elżbietą Batorówną w ostatni dzień roku.

Była to jedna z najprzyjemniejszych kar, jakie kiedykolwiek nałożył.

— Pozbawię cię tej radości w ten sposób, że trzydziestego grudnia złożymy jej niespodzianą wizytę. Zaś tego dnia, kiedy miałeś się z nią spotkać, odwożę ją potajemnie do Wranowa.

Palatyn bowiem postanowił wywieźć czachticką panią do jej zamku we Wranowie. Niechaj córki strzegą jej tam póki burza nie ucichnie i póki jej współników nie osiągnie najcięższa kara. A potem niechaj na zawsze zamknie się za nią brama jakiegoś klasztoru, gdzie w wyrzeczeniach w niemej pokucie strawi resztę swojego życia i pojedna się z Bogiem.

Trzydziestego grudnia roku 1610 po południu jeden ze zbójników stojących na straży przed Czachticami przybiegł bez tchu na plebanię, gdzie zebrali się przywódca zbójników oraz rebeliantów, i zastanawiali się właśnie, dlaczego Mikołaj Loszonsky tak długo nie wraca.

— Do Czachtic ciągnie palatyn z ogromnym orszakem — oznajmił zbójnik.

Jan Ponicensus rozpromienił się, a radosna wieść, że sam palatyn przybywa, by uczynić porządek, lotem błyskawicy rozniosła się po mieście. Ludzie gromadzili się na podwórzu plebanii.

— Synowie moi mili — radził Jan Ponicensus. przywódcom zbójników — spełniliście swoje zadanie, ratujcie teraz skórę. Zwłaszcza ty. Ja nie jestem bowiem pewien, że palatyn jest na ciebie rozjuszony. Ale dla żadnego z was nie miałby litości!

— Ratujcie się — prosiły Magdusia, Erzika i Marisza, a to samo szeptała Ledererowi Barbara, która pod wpływem szczęśliwej miłości przedziwnie szybko wracała do zdrowia.

— Nie — odrzekł Jan Kalina. — Nie uciekniemy. Mamy czyste sumienie!

Radość z przybycia palatyna i jego orszaku zaprawiała goryczą jedyni e myśl o losie zbójników.

Gdy palatyn wreszcie przybył. Jan Ponicensus powitał go z najwyższym szacunkiem i poprosił, aby zaszczycił jego dom swoją obecnością.

Palatyn, któremu towarzyszyli Jerzy Zavodsky, graf Ny-ary (przyłączył się bowiem do orszaku jako pełnomocnik króla), zięciowie czachtickiej pani, Jerzy Drugeth i Mikołaj Zrinyi, oraz Megyery opiekun najmłodszego Nádsadyego*, przyjął zaproszenie. Z pochmurnym obliczem zadawał pytania pastorowi, rycarzowi oraz najszacowniejszym mieszczanom i tak samo przyjmował ich odpowiedzi. Był nieprzenikniony. Nikt nie mógł zmiarkować, co zmyśla.

— Gdzie są przywódcy zbójników oraz ich tajny zausz-
nik, u którym wspominaliście? — zapytał chłodno, wstając, gdyż postanowił udać się do kasztelu przez podziemia, aby przekonać się na własne oczy, jakie straszne tajemnice kryją korytarze, i aby zaskoczyć czachticką panią swym niespodzianym zjawieniem się.

Pytanie to przeraziło obecnych. Zapadła głucha cisza, albowiem każdy czuł, że byłby zdrajcą, gdyby powiedział, gdzie są zbójnicy.

— Gdzie oni są? — powtórzył palatyn ostrym głosem, wpatrując się surowo w pastora i czachticzan.

— Tutaj — odrzekł Jan Ponicensus, a jego łagodne oczy zmierzyły się z roziskrzonym wzrokiem palatyna. — Wsze-

*Najmłodszy Nádsady — Paweł Nádsady, syn Franciszka Nádsadyego i Elżbiety Bar-
torówny.

lako nie poczuwają się do winy i dlatego ufają w sprawiedliwość waszej dostojności. Nie uciekli, ale czekają w czeladni na decyzję co do swego losu.

— Waszmość sekretarzu, każ przyprować zbójników!

— Ktoś ty? — spytał pierwszego, który wszedł do izby za Jerzym Zavodskim.

— Imrich Kenderessy — brzmiała odpowiedź — były kapitan pandurów.

— Dłaczego, będąc powołanym do stania na straży prawa, ładu i spokoju, zadałeś -się ze zbójnikami?

— Jeno dlatego, że w okolicznościach, w jakich się znalazłem, nie jako pandur, lecz jako zbójnik mogłem być obrońcą prawa i sprawiedliwości.

— Jesteś obwiniony o kradzież klejnotów Elżbiety Batorówny.

— Moja niewinność już zastała dowiedziona. Złodzieja sami schwytałiśmy, a jego łup znajduje się pod opieką wielbego ojca i czeka na oddanie właścicielom.

— Kto jest złodziejem i gdzie się znajduje?

— Ficko. Uwięziono go w domu gminnym.

Palatyn rozkazał, aby za jakieś dwie, trzy godziny przyproważono Ficka do kasztelu.

— A, ciebie już znam. Janie Kalina! — zawołał, gdy jego oczy spoczęły na mężczyźnie, który stał dumnie wyprostowany śmiało patrzył na palatyna. — Książę pan!

Palatyn zaśmiał się. Tak złowieszczo, że Jan Ponicensz zbladł, ogarnięty złym przeczuciem.

— Twoje historię też już znam, przeto nie jestem jej ciekaw. A ty kto jesteś? — zapytał mężczyznę potężnej postury, stojącego obok Kaliny.

— Andrzej Drozd!

— Czyli ów wichrzyciel, który utworzył zbójnicką bandę?

— Tak.

— Dlaczego zostałeś zbójnikiem?

— Mój żywot był gorszy od żywota zwierzęcia. Pracowałem od świtu do zmroku, byłem posłuszny, bez szemrania kładłem się na deresz, chociaż moje życie było nędzną rośliną niegodną człowieka. Lecz potem w Czachticach zaczęły dziać się rzeczy, na które nie mogłem patrzeć, i gdyby nawet nie było innych powodów, już to samo wyгнаłyby mnie w góry.

— Chciałeś być panem?

— Nie! Chciałem jeno żyć jak człowiek.

— A ty kto jesteś, jak się zowiesz? — wskazał palcem Pawła Lederera.

— Jestem Lederer, zamecznik czachtickiej pani.

— Byłeś pomocnikiem zbójników?

— Tak.

— Znasz podziemne korytarze?

— Jak własną kieszeń.

— Dobrze, poprowadzisz nas, wy zaś... — spojrzał na zbójników. Czachticzanie siedzieli wokół stołu jak na rozżarzonych węglach. Nie mieli pojęcia, jak się skończy to przesłuchanie. Drżeli o swoich ulubieńców.

A najbardziej drżały Erzika, Marisza, Magdusia i Barbara, z zapartym tchem oczekując decyzji palatyna w przyległej izbie.

— Waszmość sekretarzu — ozwał się palatyn — każ i tych ludzi doprowadzić do kasztelu.

Na te słowa wpadła do izby Erzika Priborska i stanęła przed palatynem:

— Wasza dostojność, oczekiwaliśmy od was sprawiedliwości, a nie ukarania obrońców prawdy i prześladowanych.

Jan Ponicensus zdrętwiał, przerażony śmiałością dziewczyny.

— Kim jesteś? — spytał zaskoczony palatyn.

— Jestem Erzika Priborska, żona Andrzeja Drozda, dzielnego człowieka, którego wasza dostojność chce wtrącić do więzienia.

Palatyn był skonfundowany.

Błysnęła mu myśl, że stoi przed nim córka sekretarza. Obrzucił go badawczym spojrzeniem. Sekretarz był błądy jak chusta.

— Czy i wy, panie, waszmość sekretarzu — spytała ze zdumieniem, poznawszy ojca, którego po raz pierwszy ujrziała w Preszporku, a teraz tutaj — czy i wy pragniecie wtrącić tych ludzi do więzienia?

Jerzy Zavodsky nie wiedział, co począć. Gdy patrzył na dziewczynę, którą pierwszy raz miał tak blisko siebie, że czuł na twarzy jej gorący oddech, budziły się w nim wyrzuty sumienia. Przecież to jego córka. Jego poseł daremnie szukał jej przez długie miesiące, gdy postanowili z żoną, którą we wszystko wtajemniczył, że ją przygarną, a teraz spotyka się z nią w takich okolicznościach, że nie może radośnie wykrzyknąć, objąć jej i wycałować. Lecz jej przepastne, czyste oczy w niego się wpatrują, jego pytają, czy i on pragnie uwięzić sprawiedliwych...

— Mylisz się, Erziko — ozwał się palatyn, podczas gdy sekretarz patrzył na córkę bezradnie i niezdecydowanie. Andrzej Drozd nie jest twoim mężem. Superintendent Elias Lani uznał wasz związek za nieważny.

— Jest moim mężem i zawsze nim będzie! a wasza dostojność dopuści się krzywdy, wtrącając go i jego druhów do więzienia.

Palatynowi podobało się, że Erzika z takim ogniem broni męża, był wszakże nieugięty.

— Waszmość sekretarzu — rzekł już na odchodnym — wykonaj mój rozkaz. Zbójników do więzienia!

— Ja, korny i całym sercem oddany admirator wasze dostojności, ośmielałam się prosić o łaskę dla tych niewinnych ludzi — ozwał się nieśmiało Jan Ponicensus.

— a ja — zawołał sekretarz przyłączam się do prośby księdza proboszcza!

Erzika Priborska podbiegła do sekretarza, objęła go i ucałowała, szepcząc w radosnym upojeniu:

— Dziękuję, zem się nie zawiodła...

Ta scena wzruszyła palatyna. Uświadomił sobie, że oto córka pierwszy raz w życiu objęła i ucałowała ojca. Ale przemógł roztkliwienie spostrzegłszy uśmiezek grafa Stefana Nyáryego.

Toć ten królewski podszeptowacz pilnie baczy na jego słowa i czyny!

— Jak ty byś, przyjacielu — spytał grafa odpowiedział na taką prośbę?

— Ustuchałbym głosu serca i ułaskawiłbym zbójników — odparł grafi Nyáry, lecz głos jego brzmiał tak nieszczerze i nieprzekonująco, że palatyn — jak zawsze, gdy okoliczności zmuszały go do zejścia z prostej drogi — stał się ponad miarę ostrożny. Wyobraził sobie, jak król przyjąłby wieść, że ułaskawił zbójników bez sądu, jedynie na prośbę kilku ludzi. Wiedział, jakie wzburzenie by to wywołało w całym kraju i jak by się rozpleniły bandy zbójników,

— Nie! — zawołał, jakby chciał przekrzyczeć głos serca. — Dla zbójników nie ma łaski!

Wpatrywały się w niego oczy pobladłych mężczyzn i dziewcząt, niezdolnych uwierzyć, by istotnie mógł się dopuścić tak niesłychanej krzywdy.

— Skoro dla nas, zbójników, nie ma łaski — przerwał ciężkie milczenie Jan Kalina — ufam, że wasza dostojność będzie ją miał dla czachtickiej pani!

Zwrócił się do pastora i sekretarza:

— Nie proście o sprawiedliwość tam, gdzie ją mają tyl-

ko dla panów, nie proście o łaskę tam, gdzie można się jej doprosić tylko dla morderców i złoczyńców, jeśli są panami!

— Zwiążcie nas przeto, sługusy pańskiej sprawiedliwości! Andrzej Drozd wysunął do palatyna splecione ręce. — i powieście nas ku wiecznej chwale waszej sprawiedliwości.

Palatyn poczerwieniał. Zawrzał gniewem.

— Mości sekretarzu, pełń swoją powinność!

— Nie! — zawołał Jerzy Zavodsky. Gdy poczuł na sobie pytające spojrzenie Erziki, nagle wzburzył się w nim tłumiony przez lata całe sprzeciw wobec postępowania wbrew swoim uczuciom i sumieniu. — Nie uważam tych ludzi za złoczyńców i nie splamię swego honoru ich krzywdą. Nie jestem już sekretarzem waszej dostojności.

— Tedy jesteś od tej chwili moim więźniem. Mikołaju Zrinyi, ciebie mianuję swoim sekretarzem i rozkazuję ci, abyś razem ze zbójnikami kazał spętać i tego niewdzięcznika!

Był aż brunatny z gniewu. Nowy sekretarz sumiennie spełnił jego rozkaz.

Żołnierze palatyna jęli wiązać zbójników i Jerzego Zavodskiego. Ciężką mieli pracę, gdyż Erzika, Marisza i Magdusia osłoniły ukochanych własnymi ciałami jakby miano ich poprowadzić prosto do grobu.

Palatyn przyglądał się tej scenie z posepna mina. Nie uszło jego uwagi, że Erzika Priborska nie tylko Drozda, ale i Jerzego Zavodskiego osłania, obejmuje i całuje.

Drgnęło mu coś w sercu, lecz nad wzruszeniem zwyciężył upór.

— Dumna jestem z ciebie, ojczy, dumna i strasznie, strasznie cię miłuję!

Ci, co nie znali tajemnicy Erziki, ze zdumieniem słuchali

jej wyznania.

Palatyn dał znak do odejścia.

— Więźniów — polecił nowy sekretarz żołnierzom — za dwie godziny potrzyjcie tu w mieście, aby nie zobaczono was z kasztelu i nie zmiarkowano, że palatyn przybył do Czachtic.

Plebania sprawiała wrażenie domu żałoby, z którego przed chwilą poniesiono drogich zmarłych na cmentarz.

Jan Ponicensus z żoną pocieszali dziewczęta, wlewali nadzieje, w ich serca, lecz i w nich samych nagromadziło się tyle bólu i smutku, że w końcu zapłakali do wtóru nieszczęsnym istotom.

— Jedyne graf Nyáry może ich ocalić! — błysnęła myśl Erzice. — Poproszę go o to.

— Wszystkie go poprosimy! — zawołała Magdusia i w duszach dziewcząt zatliła się iskra nadziei.

— Czego palatyn nie uczyni, może uczynić król — pokażą Jan Ponicensus. — Graf Nyáry jest dziwnym człowiekiem, ale wierzę, iż wasze łzy zmiękczą mu serce.

Przed plebanią rozlegały się krzyki i tumult. Wieść o uwięzieniu przywódców zbójników wzburzyła i rozgoryczyła czachticzian.

— Hańba! Hańba!

— Wypuście zbójników!

— Nie ma na świecie sprawiedliwości!

Rozjątrzone okrzyki dobiegały palatyna ze wszystkich stron.

Złowieszcze szemranie tłumu ucichło dopiero wtenczas, gdy palatyn stanął i powiódł lodowatym, surowym wzrokiem po krzyczących i wymachujących rękami ludziach.

Był przeświadczony, że na jego energiczne wezwanie wszyscy spotulnieją. Toteż nie posiadał się ze zdumienia, gdy z tłumu jęli wysuwać się jacyś mężczyźni. Naliczył ich ponad dwudziestu. Byli to zbójnicy, towarzysze Drozda

Kaliny i Kenderessyego.

— Wszystkich uwięzić! — wydał nowy rozkaz i nie zwracając uwagi na ucichły tłum, który spoglądał za nim z ogłupieniem, ruszył do zamku, a stamtąd do podziemi.

Był tu milczący pochód. Na przedzie kroczył Paweł Lederer z dwiema pochodniami w rękach i z brzęczącym pękiem najrozmaitszych kluczy, za nim palatyn, zięciowie czachtickiej pani, graf Nyáry i żołnierze.

— Za tą beczką jest tajne wejście — objaśniał Lederer — a dalej rozległa przepaść. O, tu są dźwignie — proszę się nie przestraszyć, drzwi spadną z łoskotem — a przed nami ziele otchłań. W niej i w wielu innych takich przepaściach Ficko grzebał niewygodnych ludzi bez śladu. Tam rozchodzą się korytarze do lochów zamkowych, ten korytarz prowadzi do katowni. Od niej szerszy korytarz wiedzie do tajnego wejścia w zboczu nad Wiśniewem, drugi do kasztelu. To jest katownia. Tu jest skrzynia, w której przywieziono z Niemiec żelazną pannę, a tu są jej szczątki, na polecenie bowiem sprawiedliwego człowieka została rozbita.

— Kto był tym człowiekiem? — spytał palatyn. Słuchał z napięciem relacji zamecznika o tajemnicach czachtickich podziemi i ze zgrozą oglądał straszliwe urządzenia.

— Jaśnie pan graf Nyáry — odpowiedział Lederer.

— Jak to, przyjacielu — zwrócił się palatyn do grafa — ty wiedziałeś o tych potwornościach?

— Zawsze dowiaduję się o wszystkim wcześniej od innych — odparł Nyáry z zagadkowym uśmiechem.

— Tutaj są szczątki drugiej żelaznej panny, którą ja zniszczyłem, a tam jest krwawa łazienka — ciągnął Lederer swoje wyjaśnienia. Proszę, w zagłębieniu została jeszcze skrzepła krew. Błękitna krew.

Palatyn z przerażeniem odwrócił twarz.

— Chodźmy dalej - rzekł czując lodowaty dreszcz grozy.

— Teraz zbliżamy się do lochów ciągnących się pod kasztel. Tutaj też jest przepaść.

Podniosła się zapadnia, odsłaniając przepaść, ale palatyn natychmiast kazał zamecznikowi opuścić ją z powrotem: z przepaści bił zapierający dech trupi odór.

— Tu są lochy — wyjaśniał Lederer milczącemu orszakowi — w których od niepamiętnych czasów umierali sami niewinni ludzie, a niewinne dziewczęta czekały na straszny koniec. Zbliżamy się do schodów wiodących na górę do kasztelu.

Paweł Lederer, unosząc wysoko pochodnię, szedł ku schodom pewnym krokiem, chociaż nie widział dobrze drogi.

Naraz stanął jak wryty, wydając okrzyk przerażenia.

Przed nim leżała naga dziewczyna... Ten widok ściał krew w żyłach nie tylko palatynowi, Drugethowi i Zrinyiemu, ale i zahartowanym żołnierzom.

Ciało dziewczyny było zmasakrowane, twarz poorana tak, że rodzona matka by jej nie poznała, włosy wyrwane z głowy piersi oderżnięte, a na ramionach i nogach ciało wyszarpane aż do kości...

Palatyn wyrwał Ledererowi z ręki pochodnię i popędził schodami w górę, tak że reszta ledwie za nim nadażała.

— Otwieraj! -krzyknął na zamecznika, nie mogąc otworzyć drzwi na końcu korytarza.

Drugeth i Zrinyi spoglądali na palatyna wstrzymując oddech. Nie ośmielili się rzec ni słowa, by go ułagodzić. Nigdy jeszcze nie widzieli go w takim stanie.

Pierwszą osobą, na którą palatyn natknął się na górze była drobna kobieta o dobrotliwej twarzy. Katarzyna Be-necka.

— Gdzie jest czachticka pani?

— W tajnej komnacie — odparła prostodusznie.

— Prowadź mnie do niej!

— Nie mogę. Tam poza Dorą i Iloną nikł nie śmie wchodzić.

— Powiedziałem, żebyś mnie zaprowadziła do pani - krzyknął palatyn takim głosem, że roztrzęsła się jak osika.

Teraz już i żołnierze spostrzegli niespodziewanych gości. Kapitan niemal wrósł w ziemię ze zdumienia, ale zaraz się opamiętał, wydał żołnierzom rozkaz oddania honorów i chciał się zameldować. Palatyn wszakże jakby oślepl na wszystkim, gnał za przełożoną kobietą.

— To tutaj — wyjąkała zadyszana Katarzyna, wskazując jedno z drzwi.

Palatyn nacisnął klamkę i z impetem otworzył drzwi.

Na progu skamieniał. Ujrzał oto Elżbietę Batorównę.

Twarz i ramiona, wychylające się z podwiniętych rękawów, miała zakrwawione, Również suknia była cała w krwawych plamach.

Jej obłąkańczy krzyk, przerywany wybuchami śmiechu, zmroził palatyna do szpiku kości. Stojące obok niej Ilona i Dora też śmiały się jak opętane,

Kiedy wszakże, usłyszawszy trzask otwieranych drzwi, zwróciły ku nim głowy, śmiech ustał jak na komendę. Zobaczywszy palatyna, a za nim Drugetha i Zrinyiego, znieruchomiały z wybałuszonymi oczyma, niezdolne wymówić słowa.

Wzrok palatyna zsunął się z trzech osłupiałych kobiet w dół, pod ich nogi,

Na kobiercu leżały dwie nagie dziewczyny.

Przerażone, zasłaniały swoją nagość rękami, usiłowały nawet owinać się w kobierzec.

Zapomniały, że nie są już nagie...

Ich nagość przykryła purpurowym płaszczem własna

krew.

Kiedy grafka i jej służebne uświadomiły sobie, że w drzwiach nie stoją upiorne mary, lecz że zostały przyłapano na gorącym uczynku przez ludzi z krwi i kości, zaczęły przeraźliwie wrzeszczeć jak w ataku szaleństwa i wyrwijając sobie włosy z głowy biegały po komnacie niczym furie.

Szukały miejsca, gdzie mogłyby ująć przed zgubą. Istniało takie miejsce. W ścianie były tajne drzwi wychodzące na wąski korytarz, ten zaś prowadził do schodów, którymi zstępowało się do podziemi. Elżbieta Batorówna w końcu namacała tajny mechanizm tych drzwi i nacisnęła. W ścianie rozdziawił się czarny otwór. Lecz nie zdołała wśliznąć się weń, albowiem palatyn, który odgadł jej zamysł, skoczył jak strzała i zagroził jej drogę.

Naparła na niego całym ciałem.

Palatyn odepchnął ją gwałtownie, a kiedy poczuł i ujrzał na swojej ręce krew, ciarki go przeszły i przeniknął niewymowny wstręt.

Odepchnięta grafka potknęła się o jedną z dziewczyn i upadła na kobierzec. Wnet jednak zerwała się i skoczyła do palatyna.

— Czego tu szukacie? Zakradliście się do mojego kasztelu jak złodziej! — krzyczała.

Zięciowie patrzyli na nią oszołomieni. Usta grafa Nyáryego wykrzywił uśmiech zadowolenia i pogardy.

Rzuciła się na palatyna i wbiła mu w twarz ostre paznokcie.

— Bestia! — zawołał palatyn, chwycił ją za ręce i ścisnął tak mocno, że jęknęła z bólu. — Zwiążcie te bestie!

Żołnierze raz-dwa spętali panią i jej sługi.

— Protestuję przeciw temu gwałtowi! — krzyczała Elżbieta Batorówna. — Jakim prawem pozwalacie sobie tak się ze mną obchodzić?

— Zatkajcie jej usta! — polecił palatyn żołnierzom. Spełnili rozkaz nie zwlekając.

— Nikt już nigdy nie posłyszysz twojego głosu — palatyn kipiał z gniewu, lecz świadomość wagi tej chwili pomogła mi się opanować, mówił śmiertelnie poważnym i lodowatym głosem, przybrawszy majestatyczną pozę — nikt nigdy cię nie ujrzy, a ty już nigdy nie skrzywdzisz żadnej istoty ludzkiej...

Drugeth i Zrinyi słuchali z zapartym tchem. Elżbieta Batorówna ze związanymi rękami, trzymana przez żołnierzy, miotła się jak szalona, jej oczy płynęły wściekłością, a twarz mieniła się. Ale słowa palatyna, pod którymi huczał tłumiony gniew i które mroziły miazdząc wzgardą, padły na nią jak grudy lodu, chłodziły roznamietnienie, groza ją przenikała, a serce waliło w rosnącym strachu.

— Wiedz — ciągnął palatyn — że są to twoje ostatnie chwile na ziemi, której powietrzem nie jesteś godna oddychać, że ostatni raz widzisz światło boże, ostatni raz znajdujesz się między ludźmi, do społeczności których nie jesteś godna należeć. Znikniesz z tego świata i już nigdy nań nie powrócisz. Niechaj cię otoczy wieczna ciemność, abyś w niej w wiecznej ciszy i samotności wyraźnie ujrzała swój dotychczasowy zwyrodniały żywot, pojęła głębię podłości. I proś Boga, aby ci odpuścił twoje wołające o pomstę do nieba zbrodnie i okazał ci łaskę.

W tajnej komnacie zapadła grobowa cisza, którą chwilami przerywały tylko jęki skatowanych dziewcząt...

— Czachticka pani — kończył palatyn podniesionym głosem — skazuje, cię na dożywotnie uwięzienie w podziemiach twojego własnego kasztelu!...

Taki oto wyrok wydał na grafkę, która przez całe swoje życie robiła, co chciała, nie ograniczała niczym swojej wolności i nikomu nie pozwalała jej ograniczyć.

Teraz niespodzianie straciła ją na zawsze i nie mogła za-

protestować ani słowem, nie mogła nawet dotknąć tego człowieka, który obraził ją tak jak jeszcze nikt w życiu, nie mogła rzucić się na niego, wydrapać mu tych zimnych oczu pod surowym czołem, wyrwać z ust języka, narzędzia straszliwego wyroku.

— i wy otrzymacie zasłużoną nagrodę smagnął wzrokiem Ilonę i Dorę. — Zabierzcie te bestie! rozkazał żołnierzom. — i trzeba opatrzeć te biedactwa, jeśli tylko życie się w nich jeszcze kołocze.

Ilona i Dora były przeraźliwie wrzeszczeć, ale żołnierze nie cackali się z nimi. Uderzeniem pięści zamknęli im usta, aż się im w oczach zaćmiło. Dora nie uległa tak łatwo. Tajne drzwi ciągnęły ją niczym magnes, dawały możliwość uniknięcia losu, jaki gotował jej palatyn. Ale daremne były jej wysiłki. Rzuciło się na nią trzech żołnierzy, powalili ją na podłogę i przydusili, że ledwo mogła oddychać. Spętali ją tak niemiłosiernie, że leżała jak kłoda.

— Czachticką panią zaprowadźcie prosto do lochu — rzekł palatyn i ruszył do wyjścia nie zaszczyciwszy już Elżbiety Batorówny ni jednym spojrzeniem.

Zrinyi i Drugeth szli za nim w milczeniu jak nieme cienie.

Graf Nyáry przystanął w drzwiach, a kiedy żołnierze wyprowadzający Elżbietę Batorównę zbliżyli się, podszedł tuż do mej.

Jego wargi, skrzywione w złośliwym uśmiechu, cienkie były jak ostrze noża, i słowa, które wymówił szeptem, cięży jak nożem:

— Jeszcze raz wyjdiesz na powierzchnię ziemi, jeszcze raz ujrzysz słońce — tego dnia, gdy będą cię prowadzić na szubienicę! Nie spoczne, póki cię nie powieszą jak naj-nędzniejszego złoczyńcy!

Elżbieta Batorówna z furią zaczęła się szarpać w rękach żołnierzy, a graf Nyáry wybuchnął śmiechem... śmiechem,

który pełznął za nią niby syczący wąż, co pręży się do śmiertelnego ukąszenia...

Dla zbójników nie ma łaski

Palatyn gorzał takim gniewem, iż chwilami zdało mu się, że go trafi apopleksja. Ze wzburzeniem chodził po dziedzińcu kasztelu. Mroźne powietrze, śnieg skrzypiący pod nogami i widok jasnego nieba, na które ukradkiem wpęzwały cienie zbliżającego się wieczoru, z wolna uspokajały jego rozedrgane nerwy. Nie mógł wszakże wymazać z pamięci okropnego obrazu skatowanych dziewcząt.

Kapitan podszedł nieśmiało i zapytał o rozkazy.

— Nie potrzebuje, was! — przepędził go palatyn.

Zbliżyli się też bojaźliwie zięciowie Elżbiety Batorówny.

— Zgroza, zgroza! — były to jedyne słowa, na które się zdobył.

Stał tak długo na murach, wpatrzony w pogrążającą się w ciemności dolinę, póki nie uspokoił się zupełnie.

— Przyjaciele — rzekł do Drugetha i Zrinyiego, stojących w milczeniu obok niego — przykro mi, jeśli nie zgadzacie się z moją decyzją. Ale musiałem się przemagać ze wszystkich sił, aby nie kazać na miejscu jej uśmiercić.

— Zgadzamy się — odparł Zrinyi — prosimy jeno waszą dostojność, abyście swojego sprawiedliwego gniewu nie prze nieśli również na nas, abyście nie przestali nas daryć ojcowskim i przyjacielskim uczuciem.

— Żal mi was niepomierne — palatyn uściśnął im dłoń. — Przede wszystkim ze względu na was oraz ze względu na dobre imię Batorych i Nádsadych od pierwszej chwili chciałem przeprowadzić tę sprawę w największej ci-

chości, by nawet sąd nie miał wglądu w ohydne czyny Elżbiety Batorówny. Doprawdy żałuję, iż musiałem odstąpić od pierwotnego zamiaru, by wywieźć ją na pewien czas do Wranowa, gdzie przebywałaby w odosobnieniu od świata, nie mogąc dopuszczać się złoczynstw.

Jak cień wyrósł przy nich graf Nyáry.

— Obawiam się, wasza dostojność — rzekł słodziutkim głosem, który, doprowadzał palatyna do wściekłości — iż będziesz musiał odstąpić również od swego drugiego zamierzenia.

Palatyn spojrział na niego wrogo.

— Króla — uśmiechnął się graf Nyáry — zapewne nie zadowolili, że ty sądziłeś morderczynię, a nie sąd. Zwłaszcza, gdy pokażę mu te własnoręczne zapiski Elżbiety Batorówny. Notowała tu nazwiska dziewcząt, które zginęły z jej ręki oraz z rąk jej służebnych. Nazwiska są opatrzone uwagami w rodzaju „taka niska”, „taka pucołowata, czarnowłosa”, a jest ich sześćset dziesięć!

— Sześćset dziesięć! — zawołał palatyn ze zgrozą. — Skąd masz te zapiski?

— Zawsze wiem o tym — graf wykrzywił usta w uśmiechu — o czym inni nie mają pojęcia...

— Cokolwiek wiesz, przyjacielu rzekł palatyn, patrząc mu ostre w oczy — póki ja jestem palatynem, czachticka pani nie stanie przed sądem. Nikt spośród węgierskiej szlachty nie będzie pragnął, aby na tak zasłużone rody padł cień tej morderczyni i aby cały świat z przerażeniem spoglądał na naszą szlachtę i na nasz kraj, że mogły zrodzić taką zwyrodniałą i podłą niewiastę!

Graf Nyáry jeno się uśmiechnął.

W tej chwili brama kasztelu otwarła się na oścież

Żołnierze prowadzili Kalinę, Drozda, Kenderessyego, Jerzego Zavodskiego, gromadę zbójników oraz Ficka, który kuśtykał obok byłego sekretarza palatyna.

Orszak więźniów przedelfował przed palatynem. Spojrzał na Jerzego Zawodskiego, jakby nie wierzył własnym oczom.

Jego wieloletni przyjaciel i doradca kroczy oto obok Ficka, zrównany z nim, zmuszony oddychać tym samym powietrzem co on...

— Rozwiążcie tego więźnia! — zawołał do żołnierzy. Serce ścisnęło mu się z bólu, że aż tak dał się porwać złości. — Opuść mi, przyjacielu — przystąpił do niego. Chcę zapomnieć o nieporozumieniu między nami, a ty zapomnij o karze, jaka cię spotkała. Co było, to było.

— Mylicie się, wasza dostojność — rzeki Jerzy Zawodsky — owo nieporozumienie między nami trwa. Uwieszenie zbójników uważam za niesprawiedliwość teraz tak samo, jak w chwili kiedy i ja stałem się więźniem.

— Żałuję — odparł palatyn — że nie zgadzamy się w poglądach. Ja dla zbójników nie mam łaski! ...

Niebawem grupa więźniów powiększyła się o Pawła Lederera i Katarzynę Benecką, z której zamecznik przez ten czas, gdy palatyn był w tajnej komnacie, wydobył, gdzie uwieszono Mikołaja Loszonskiego. Natychmiast powiadomił o tym kapitana, który wysłał po niego kilku żołnierzy.

— Tego potwora Ficka i wszystkich pomocników Elżbiety Batorówny — rozkazał palatyn — zawieźcie do Wielkiej Bytczy i oddajcie pod straż kasztelanowi. Zbójnicy pozostaną tu w lochach, póki nie nadejdzie dzień sądu!

Żołnierze wykonali rozkaz.

— Kto tu jest kasztelanem? — spytał raptem palatyn kapitana.

— Od chwili, kiedy Mikołaja Loszonskiego pozbawiono tej godności, nikt. Ficko jeno go zastępował.

— A gdzie przebywa Mikołaj Loszonsky?

— W Podoli, jest tam więziony. Ale posłałem już żoł-

nierzy, aby go uwolnili.

— Dobrze. Gdy wróci, powiedzcie mu, że go mianuję kasztelanem tego kasztelu. — Zwrócił się do zięciów Elżbiety Batorówny: — Mam nadzieję, że nie wniesiecie żadnych zastrzeżeń. Ten starzec zasłużył sobie na takie drobne zadośćuczynienie. Jego powinnością będzie strzec dobrze więźniów, zwłaszcza Elżbiety Batorówny...

Dwadzieścia cztery godziny miłości za jedno życie

Na podwórku kasztelu umieszczono już współników zbrodni Elżbiety Batorówny na wozie, a palatyn ze swoim orszakiem szykował się do odjazdu, gdy wtem jeden z żołnierzy zameldował, że zamek czachticki stoi w płomieniach.

— Szybko do Czachtic! — zawołał palatyn. — Mości kapitanie, zestawcie tu dwudziestu żołnierzy dla strzeżenia kasztelu i więźniów, a resztą ruszajcie za mną!

Przeczuwał, iż w mieście coś się dzieje.

Jego orszak powiększony o żołnierzy pędził przez mroczniejącą krainę co koń wyskoczy.

Zamek istotnie stał w płomieniach. Potężne języki ognia strzelały ku niebu niczym płomienny protest miasta, oświetlając dziedziniec, na którym zgromadziły się całe wzburzone i rozkrzyczane Czachtice.

Nad tłumem górowała dostojna postać Jana Ponicensa, który daremnie uśmierzał rozjątrzenie wywołane uwięzieniem zbójników.

— Chcemy sprawiedliwości! — takie okrzyki powitały orszak palatyna.

— Jeśli wasza dostojność pragnie, aby do Czachtic powrócił spokój, a lud uwierzył, że sprawiedliwość istnieje

jeszcze na świecie — ozwał się Jerzy Zawodsky — radzę wypuścić zbójników na wolność.

— Nie! Tu by oznaczało, że ustąpiłem przed gwałtem. Byłby to postępek wymuszony przez zbuntowany motłoch!

Tłum otoczył orszak palatyna. Groźnie, z zaciśniętymi pięściami, ze złowieszczym szemraniem, z którego wybijały się okrzyki:

— Puśćcie zbójników na wolność!

Wtem gruchnęła wieść, że palatyna skazał grafkę na dożywotne uwięzienie w jej własnym kasztelu. Podziałało to uspokajająco na wzburzone umysły i jedynie dzięki temu tłum na stanowcze wezwanie ucichł i jął się rozchodzić. Wojsko, gotowe strzelać i rąbać szablami, nie musiało posunąć się do tej ostateczności.

Tylko dwudziestu mężczyzn nie ruszyło się z miejsca. I stali w pobliżu kolasy palatyna ponurzy i niezdecydowani.

Graf Nyáry, który wmieszał się w rzednący tłum, poczuł nagle delikatne dotknięcie gorącej ręki.

Była to Erzika.

W jej głosie drżały łzy:

— Ocalcie, panie, Andrzeja Drozda i jego druhów! Do śmierci będę wam za to wdzięczna!

— Ocale wszystkich, ale nie pragnę twojej dozgonnej wdzięczności, Erziko. Zadowolę się o wiele bardziej krótkotrwałą wdzięcznością.

— Uczynię, co tylko zechcecie! — serce Erziki zabił radośnie.

— Nie musisz więc być mi wdzięczna przez całe życie, a jeno przez dwadzieścia cztery godziny — zmrużywszy, oczy chłonał młodość i świeżość Erziki, całą jej postać drżąc z obawy o ukochanego męża. — Podaruj mi jeno dwadzieścia cztery godziny ze swojego życia, a ja za to

zwrócić ci ukochanego, podaruję ci całe jego życie.

Wszystka krew uderzyła jej do twarzy, że zapłonęła ogniem podobnym temu, co trawił dach zamku.

— Podlec! — w tym jednym słowie znalazła ujście jej obrażona godność i jednocześnie drobna pięść wylądowała na jego obliczu.

— Tym uderzeniem — uśmiechnął się graf chłodno — wbiłaś gwóźdź do trumny Andrzeja Drozda. Ale wybaczę ci, jeśli przyjdiesz. A jeśli miłujesz Drozda, przyjdiesz z pewnością!...

Jerzy Zavodsky, który zaobserwował tę scenę, ruszył z pospiechem w stronę córki. Gdy Erzika go zoczyła, podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję. Dusząc się płaczem zawołała:

— Jeśli on umrze, umrę i ja. Wczesnej od niego!...

Grał Nyáry podszedł do palatyna.

— Rad byłbym wielce, gdyby wasza dostojność uczynił to, co jako powiernik króla pozwolę sobie doradzić. Jeżeli tak stąd wyjedziesz, będą cię przeklinać nie tylko dzisiaj, ale i następne pokolenia, a własne sumienie do śmierci nie da ci spokoju, albowiem jednaką miarą mierzyłeś złoczyńców i tych, co z nimi walczyli. Razem ze złoczyńcami wtrąciłeś do lochu tych, którzy wydali im walkę.

Palatyn spoglądał na niego ze zdumieniem.

— Teraz, kiedy ani tłum, ani nikt inny nie wywiera na ciebie nacisku, wasza dostojność może uczynić to, co przed chwilą, gdy rebelianci tego żądali, miałbym wam za złe: każ uwolnić zbójników i weź ich do wojska. Będą to twoi najodważniejsi, najlepsi żołnierze!

— Nie mogę! — odparł palatyn, lecz graf zauważył, że waha się. — Przyznaje, iż z ciężkim sercem kazałem uwięzić tych ludzi, musiałem wszakże tak postąpić, w przeciwnym bowiem wypadku zbójniczenie rozpleniłoby się jak zaraza i cały kraj przeklinałby moją ustępliwość i mięk-

kość.

— Nie musisz uwolnić wszystkich. Starczy jednego zatrzymać. Postaw przed sądem przywódcę zbójników i każ go przykładnie ukarać. Będzie to dostateczną przestrożą dla innych.

Palatyn zamyślił się. Im dłużej rozważał propozycję grafa Nyáryego, tym bardziej przypadała mu do gustu.

— A kto właściwie był ich przywódcą? — zapytał wreszcie.

— Andrzej Drozd!

Po chwili graf Nyáry z zadowoleniem posłyszał, jak palatyn głośno oznajmia, że postanowił puścić zbójników wolno.

Lud otoczył palatyna, wiwatując na jego cześć. Palatyn, widząc tę niepomiarłą radość miał chęć zataić, że jeden ze zbójników pozostanie w lochu i odpokutuje za wszystkich. Wszelako powiedział i to, ale tak, że burza radości nie ucichła, sądzono bowiem, że ten jeden zostanie w więzieniu tylko dla formalności, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo...

Magdusia Kalinianka i Marisza Szutowaska precyzyjnie się do palatyna i dziękowały mu ze łzami w oczach. Z promieniejącą radością twarzą podeszła też Erzika Priborska. Na jej widok palatyn zmieszał się.

— Ty mi nie dziękuj — rzekł — ty nie masz mi za co dziękować...

— Dlaczego? — zapytała z nagłym przestrawieniem, który stał radość z jej twarzy.

Palatyn nie zdobył się na odpowiedź. Serce ścisnęło mu się ze współczucia. Zdjęła go pokusa, by uszczęśliwić i tę dziewczynę, lecz przemógł się.

Erzika wyczytała odpowiedź z oblicza grafa Nyáryego — było jak wyciosane z lodu...

Godzinę później, kiedy przybyli uwolnieni zbrojnicy pojęła, dlaczego palatyn bronił się przed jej wdzięcznością.

Wrócili wszyscy z wyjątkiem tego, na którego ona czekała...

Wszystko wychodzi na jaw

Gdy palatyn wrócił do Bytczy, panowało tam ogromne poruszenie. Nie mówiono o niczym innym, tylko o wypadkach w Czachticach. Palatyn nie nastarczył odpowiadać na pytania gości, albowiem gody weselne jeszcze trwały, a weselnicy nie kwapili się do odjazdu.

Drugiego, trzeciego i czwartego dnia zaczęli się zjeżdżać sędziowie. Tymczasem w zamku bytczańskim, w katowni, gdzie miał wstęp jedynie kat ze swymi pomocnikami, kasztelan Kacper Bajáky prowadził przesłuchania. Asy stówa mu notariusz przysięgły Kacper Bajáky oraz protokolant Daniel Eördöghom, który notował zeznania przesłuchiwanym.

Dzień po dniu, od rana do wieczora, przesłuchiwali Ficka, Ilonę Jó, Dorę Senteszową i Katarzynę Benecką.

Przesłuchali także kilku czachticzów.

Szóstego stycznia w sali narad przy długim stole, u którego szczytu zajął miejsce królewski sędzia tabularny Teodozjusz Sirmiensis*. zasiedli panowie o poważnych obliczach. Wśród nich znajdowali się również palatyn Jerzy Thurzo, i graf Nyáry, którzy siedzieli po obu stronach królewskiego sędziego tabularnego.

Wszyscy milczeli, w sali panowała głucha cisza.

*Teodozjusz Sirmiensis — najwybitniejszy członek swego rodu, który w r. 1554 otrzymał od Ferdynanda i majątki w Suliovie i w Hradnej. Od r. 1593 był podżupanem żupy trenczyńskiej, następnie sędzią tabularnym; funkcji wicepalatyna nie przyjął ze względu na podeszły wiek.

Sędzia zawołał do stojącego u drzwi hajduka:

— Panowie mogą wejść!

Drzwi otwarty się i weszli kasztelan, notariusz i protokolant.

— Pozwalamy sobie oznajmić prześwietnemu sądowi, iż przesłuchanie świadków zostało ukończone, a protokół z niego jest sporządzony.

Kiedy i oni zajęli miejsca, Teodozjusz Sirmiensis wezwał notariusza:

— Waszmość notariuszu, odczytajcie protokół! Notariusz odchrząknął i jął czytać podniesionym głosem:

Przesłuchiwanym współwinnym Elżbiety Batorówny postawiono jedenaście pytań. Oto one:

1. *Jak długo byłeś(aś) w służbie u czachtickiej pani i w jaki sposób dostałeś(aś) się na jej zamek?*
2. *Od tego dnia de dziewcząt i kobiet zostało zamordowanych z jej rozkazu?*
3. *Kim były owe zamordowane kobiety i skąd pochodziły?*
4. *Kto werbował i zwabiał te dziewczęta i kobiety do zamku?*
5. *Jakim torturom je poddawano i w jaki sposób mordowano te nieszczęśniczki?*
6. *Kto grafce pomagał w torturowaniu i mordowaniu?*
7. *Gdzie grzebano trupy, kto je grzebał i jak?*
8. *Czy sama czachticka pani też mordowała i torturowała, i jak się zachowywała torturując i mordując te nieszczęśniczki?*
9. *W jakich pomieszczeniach torturowano i mordowano te nieszczęśniczki w Czachticach, Sárvárze, Kerestúrze, Beckovej oraz gdzie indziej?*
10. *Kto widział te poczynania czachtickiej pani albo*

wiedział o nich?

11. Czy wiesz, kiedy czachticka pani zaczęła się dopuszczać tych ohydnych czynów?

Na powyższe pytania przesłuchiwani odpowiedzieli następująco:

Zeznanie Ficka

(Na pierwsze pytanie): Służył u pani 16 lat, jeśli nie dłużej. Marcin Cheytesy siłą zaprowadził go do zanku.

(Na drugie). O kobietach nie wie, ale o dziewczętach wie. Przez lata jego służby było tych dziewcząt 37. Oprócz nich, kiedy jego wysokość palatyn wyjechał do Preszporka, kazała pochować w jakiejś jamie pięć dziewcząt. Dwie w ogrodzie nad potokiem. Jeszcze dwie pochowali w nocy przy kościele w Podoli. Przynieśli je spod kasztelu, tam bowiem zostały uśmiercone. Dora je zamordowała.

(Na trzecie) Nie wie, skąd pochodziły te dziewczęta.

(Na czwarte): Sześć razy on sam wybrał się z Dorą na werbunek dziewcząt. Tak oto je zwabiali, że niby wystarają się im o dobrą służbę. Z Dorą chodziły na połów dziewcząt: żona Jana Bársonyego, ta co mieszka w Táplan-Falva koło Gyöngyös, następnie mieszkająca w Sárvárze Chorwatka z żoną Macieja Ötvösa, co mieszka naprzeciw Zalayów. Również żona Jana Szabó przyprowadziła dziewczyny, nawet swoje córki przyprowadziła, chociaż wiedziała, że zostaną zabite. Ale przyprowadziła również wiele innych. Żona Jerzego Szabó też dała jej swoją córkę. Ją też zabiła. Więcej nie przyprowadziła. Żona Stefana Szabó przyprowadziła dużo dziewczyn. Ilona także. Katarzyna ani jednej, jeno grzebała te, które Dora zamordowała

(Na piąte): Tak oto je torturowano: w Sárvárze pasmami nici omotano im ręce, a Anna Darabulowa związała im je na plecach. Tak, że ręce ich były czarne jak węgiel, a bito je po całym ciele, póki skóra nie popękała. Po piętach i po dłoniach bito je potąd, pokąd nie naliczono do dwustu. Ilona i Dora też je biły, ale nauczyły się tego od Darabulowej. Dora nożycami odcięła piersi tej, co nie zmarła już w Czachticach.

(Na szóste): Oprócz Ilony Jó, Anny Darabulowa i Dory Senteszowej mieszka w Czachticach pewna kobieta, Ilona, którą zwą Łysą Furmanichą, ona też męczyła dziewczyny. Sama pani kłuła je igłą. Jak jej się nie podobały koronki, te staruchy zaraz wlokły je do katowni i zamęczały na śmierć, między innymi żelazkami do trefienia włosów, ale nie tylko one, sarna pani też miażdżyła im nosy i wargi. Pani wsadzała im do ust oba palce wskazujące i póty je rozciągała, póki się nie rozerwały. Jeśli do dziesiątej nie uszyły tego, co miały uszyć, wnet prowadzono je na męki. Niekiedy stało przed nią aż pięć całkiem nagich dziewcząt, na oczach mężczyzn, i takie nagie musiały w ich obecności szyć. Córkę Sitkowej zabiła za to, że ponoć ukradła jej gruszkę. Zaczęli ją torturować jeszcze w Pieszczanach, a potem pani z Iloną zamordowały ją. W Kerestúrze zabiła Madę, tę dziewczynę z Wiednia.

(Na siódme): Te staruchy ukrywały i grzebały trupy w Czachticach. Ficko pomagał w pogrzebaniu czterech. Dwie pogrzebano w Podoli, jedną w Kerestúrze, a jedną w Sárvárze. Pani obdarowała te stare kobiety za zamordowanie dziewcząt, a sama też wyrывała im ciało z policzków i skądinąd, a skórę między palcami przecinała nożycami. Skatowane dziewczyny kazała wynosić na śnieg i polewać lodowatą wodą, sama też je polewała, wskutek czego dziewczyny owe zamarzły. Kiedy była tu w Bytczy, przed wyjazdem zmusiła jedną służebną, by stała w zimnej wo-

dzie po szyję, tę mianowicie, która w Ilavie uciekła, ale ją złapali i w Czachticach umarła.

(Na ósme): Kiedy pani sama nie torturowała dziewcząt, kazała torturować tym kobietom, tylko im. Czasem przez cały tydzień nie dała im jeść, a jeśli ktoś to uczynił, natychmiast zostawał ukarany.

(Na dziewiąte): w Beckovej w komorze je katowała. W Sárvárze w jednej z komnat zamku, gdzie nie każdy miał dostęp. W Kerestúrze w klozecie mężczyli. W Czachticach w podziemiach. Kiedy byliśmy w podróży, pani katowała dziewczyny nawet w koczku, biła je, szczypała, wbijała szpilki w wargi i pod paznokcie.

(Na dziesiąte). Benedykt Descö najlepiej o tym wiedział, lecz nigdy nie mówił pani tego, pozostali słudzy też wiedzieli. Żelaznogłowy Isztok, który uciekł za Dunaj, wiedział o wszystkim lepiej ode mnie, on też więcej dziewczyn pogrzebał, jeno że nie wiadomo gdzie.

(Na jedenaste): Katowała dziewczęta już za życia nieboszczyka pana, ale nie mordowała ich tyle, co teraz. Kiedy zjawiała się Anna Darabulowa, stała się bardziej okrutna. Pani ma szkatułę, w którą wprawione jest zwierciadło, przed tym zwierciadłem i po dwie godziny się modliła. Kiedyś Majorowa z Myjavy przygotowała jakąś wodę, przyniosła ją pani, w dzieży chlebowej ją wykapała, potem zaś wylała wodę do potoku. Gdy drugi raz tak ją wykapała w owej wodzie, w dzieży zamiesili ciasto na jakieś kołaczki, które miano posłać królowi, jego dostojności palatynowi oraz Imrichowi Megyeryemu.

Zeznanie Ilony Jó

(Na pierwsze pytanie): Służyła u czachtickiej pani dzieścię lat. Była mamką jej trzech córek i Pawła Nádsadyego.

(*Na drugie*): Nie wie, ile dziewczyn i kobiet zamordowała, ale było ich dużo.

(*Na trzecie*): Nie o wszystkich może powiedzieć, kim były i jakiej narodowości. Zamordowała siostrę Hrehora Jánosiego. Z Wojczic przywieziono dwie szlachcianki, jedna z nich jeszcze żyje. Również z Czeskiego Brzozowa dwie. Żona Jana Bársonyego też przyprowadziła jedną dziewczynę, taką wysoką, córkę szlachcica. Wie o zamordowaniu około pięćdziesięciu.

(*Na czwarte*): Dziewczyny dostarczała żona Jana Szalaja, następnie Sidowa oraz jedna Słowaczka, co w Sárvárze mieszkała. Również Bársonyowa najęła jeszcze jedną, mieszka w Taplán-Falva. Żona Jana Liptaia też przyprowadziła dwie albo trzy, chociaż wiedziała, że zostaną zamordowane, albowiem pani jej zagroziła. Ona przyprowadziła dwie, jedna z nich umarła, druga, ta Kiszegleiówna, jeszcze żyje. Z Bársonyową odeszła; i tam została, ale Bársonyowa sama przyprowadziła taką wysoką dziewczynę. Potem często chodziła z Danielem Vasem na poszukiwanie dziewcząt dla pani. Ale nie znaleźli. Tylko taką małą z Wojczic.

(*Na piąte*): Ona też biła dziewczęta, gdy pani jej kazała, ale najwięcej męczyła je Darabulowa, kazała im stać w zimnej wodzie, przez całą noc biła je, polewała. Pani sama rozpałała do białości klucz i przyciskała go dziewczynom do dłoni, to samo zrobiła z pieniądzem, który znalazły i nie oddały jej. Oprócz tego żonę Zichy w Ecsede pani zabiła ze starą służebną. W Sárvárze siostrę nieboszczyka pana, którą pan też widział na własne oczy, kazała rozdziać do naga. Było to w lecie, nasmarowała ją całą miodem i tak: zostawiła przez cały dzień i przez noc, żeby ją owady kąsały. Niektóre dziewczęta, gdy od wielkiej męki dostały rzucawki i padły na ziemię, pan nauczył panią, aby im papier w oleju namoczony wetknęła między palce i zapaliła,

a wstaną, choćby były na poły martwe. Zona Stefana Szabó też wiele dziewczyn przyprowadziła, inne też przyprowadzały, za pieniądze albo za suknie. I Horváthowa, co mieszka w wiosce w pobliżu zamku, dużo dziewczyn przyprowadziła. I Szilvási, i Daniel Vas widzieli, jak pani sama katowała dziewczęta, do naga je rozdziewała i tak stały przed nimi. Nagie dziewczęta powalone na ziemię biła tak, że służebne garścią zbierały krew sprzed jej łoża, a potem kazała zasypywać popiołem krwawe plamy. Dora nożycami przecinała opuchnięte części ciała dziewcząt. Pani niekiedy wygryzała im kawałki ciała. Jedną dziewczynę, uśmierciła w którejś wsi w pobliżu Wranowa i tam ją zostawiła i kazała pogrzebać.

(Na szóste): Kiedy Anna ochromiała, Dora i Katarzyna biły dziewczęta, później ona też.

(Na siódme): Nie wie, gdzie grzebały trupy teraz, ale wie, że do wykopu na zboże wrzuciły pięć dziewczyn, które potem Dora i Katarzyna ze śpiewami pochowały w Sárvárze. W Kerestúrze chowali studenci.

(Na ósme): Pani sama biła i katowała dziewczyny tak, że niekiedy koszule, miała całą we krwi, i musiała wkładać drugą, a kamienna ściana tak była zakrwawiona, że trzeba ją było myć. Również wtenczas, gdy Dora biła dziewczęta, pani przyglądała się temu.

(Na dziewiąte): Wszędzie, dokąd przybyła, najprzód szukała miejsca, gdzie mogłaby męczyć dziewczęta.

W Wiedniu zakonnicy rzucali w okna skorupami, gdy posłyszeli krzyki i jęki. Również w Preszporoku kazała Dorze bić dziewczęta.

(Na dziesiąte): Baltazar Poki, Stefan Vágghi, Daniel Vas i wszyscy pozostali słudzy pani wiedzieli o tych strasznych rzeczach. Kozma też o nich wiedział.

(Na jedenaste): Nie wie, kiedy pani zaczęła popełniać te straszne czyny, albowiem gdy ona przyszła na służbę, już

je popełniała. Ale wszystkich okrucieństw nauczyła panią Darabulowa i była jej zaufaną. Wie, a także widziała, jak pani świecą przypalała dziewczętom przyrodzenie.

Zeznanie Dory Senteszowej

(Na pierwsze pytanie): Jest u czachtickiej pani pięć lat. Ilona zwerbowała ją na służbę pięknymi słowami i obietnicami.

(Na drugie): Wie, że pani zamordowała około trzydziestu służebnych i szwaczek.

(Na trzecie): Nie wie, jakiej narodowości i skąd były te dziewczyny, ale jak zeznał również pierwszy oskarżony pochodziły podobno z wielu miejscowości.

(Na czwarte): Szaliowa, Bársonyowa, wdowa Koechi, która mieszka w Dömölek.

(Na piąte): Potwierdza zeznania poprzednich dwojga oskarżonych, dodaje tylko, że czachticka pani przypalała dziewczęta również rozpaloną łyżką i że gdyby służebne nie były dziewcząt, ona biłaby je nogą od krzesła.

Dziewczętom wbijała szpilki w wargi i tak je męczyła.

Kiedy pani była chora i nie mogła bić, przyciągała dziewczynę do siebie, zębami wyszarpywała z policzków i pleców kawałki ciała.

Wbiła szpilkę w pierś dziewczyny i powiedziała, że jeśli tę kurwę to boli, niechaj ją wyciągnie, a kiedy to uczyniła, jęła ją bić i miażdżyła jej palce.

(Na szóste): Kobiety pomagały pani w katowaniu dziewcząt, raz jedna, raz druga, albowiem zmuszała je.

(Na siódme): Przez półtora tygodnia zmarło w Czachticach pięć dziewcząt, pani wszystkie kazała rzucić na gromadę w kamorze, potem wyjechała do Sárváru, a Katarzy-

na z resztą domowników przeniosła je do wykopu na zboże. Ona pojechała wtenczas z panią do Sárváru. Inne trupy, których nie mogła ukryć, kazała proboszczowi publicznie pochować. Jedną zmarłą zawiozła razem z kredensowym i Katarzyną do Podoli i tam ją pochowali.

(Na ósme): Pani sama była dziewczęta. Co do reszty zeznaje tak jak poprzednicy.

(Na dziewiąte): Na temat katowni zeznaje: gdziekolwiek pani była, wszędzie katowała dziewczęta. Co do reszty zeznaje tak jak pozostali.

(Na dziesiąte): Zeznaje tak jak poprzednicy.

(Na jedenaste): Nie wie, kiedy pan. zaczęła popełniać okrucieństwa, jest bowiem na służbie dopiero pięć lat.

Zeznanie Katarzyny Beneckiej

(Na pierwsze pytonie): Służy u pani dziesięć lat. Vargowa, matka obecnego pastora w Sárvárze, załatwiła jej miejsce praczki w zamku.

(Na drugie): Nie liczyła, ile dziewcząt zamordowano, ona bowiem jest tylko praczką. Ale myśli, że było ich pięćdziesiąt.

(Na trzecie): Nie wie, jakiej były narodowości i skąd pochodziły, albowiem ona ich na zamek nie przyprowadzała,

(Na czwarte): Zeznaje tak jak pozostali Również Liptalowa przyprowadziła jedną dziewczynę. Do tego dodaje: także Kardoszowa przyprowadziła dwie i dlatego potem nie odważyła się chodzić po wsiach. Ale najwięcej dziewcząt przyprowadziła Dora. Te, które ostatnio umarły, też ona przyprowadziła.

(Na piąte): Zeznaje jak pozostali i dodaje, iż kobiety nauczyły się katować dziewczęta od Darabulowej, ją też zmu-

szaly do bicia dziewcząt. A Ilona nawet kazała zawlec ją do katowni i zbić do nieprzytomności.

Kiedy Ilona była dziewczęta, pani wołała: bij, bij mocniej!

Tę dziewczynę, którą znaleziono nieżywą, Batorówna była jeszcze wtenczas, kiedy była już na śmierć zbita. Potem o jedenastej umarła.

(Na szóste): Ilona była najzjadlejsza, chociaż jedną ręką prawie już nie władała, i dlatego pani wezwała ją do Sarvaru, aby dawała baczenie. Jej dwie córki pani wydała za mąż i obdarowała je czternastoma sukniami. Jej radom bardziej dawała ucha jak radom innych. Dora też była dziewczęta, a i ona, kiedy ją zmusili, bo jeśli nie usłuchała, była katowana. Kiedyś przez cały miesiąc leżała w ranach. Raz czachticka pani wysłała wszystkie młode służebne do kasztelu. Dora je tam zaprowadziła, było to wtenczas, kiedy jaśnie oświecona pani Zrinyi przyjechała do Czachtic. Dora trzymała je tam w lochu, ani jeść, ani pić im nie dała, jak niewolnicom nie wolno im było ruszyć się na krok, zimną wodą, je oblewała w nocy przymuszała stać nago i powiedziała: niechaj piorun trzaśnie tego, kto by je nakarmił, a tak ich pilnowała, że ani hajduk, ani nikt inny nie mógł dać im jeść. Ale potem, gdy Batorówna chciała pojechać z panią Zrinyi do Pieszczan, posłała Katarzynę do kasztelu, czy które z nich mogłyby towarzyszyć jej do Pieszczan, albowiem posłała je do kasztelu jeno dla poprawy. Katarzyna grzała je omdlewające z wycieńczenia, a kiedy rzekła pani, że ani jedna z tych dziewczyn nie może przyjść, załamywała ręce, bardzo się gniewała na Dorę i mówiła, że nie powinno było się tak stać. A potem, kiedy rozkazała przenieść dziewczyny na zamek, była je wraz z Dorą, jeść im nie dały, i dziewczęta zmarły tam w jednej izbie.

Raz, kiedy Katarzyna jechała z panią z Pieszczan do

Czachtic, w powozie skołała jedna dziewczyna, która pani już umierającą, siłą postawiła na nogi i jeszcze ją biła.

(Na siódme): Dwie z uśmierconych dziewczyn pochowano w Podoli, tak jak zeznali poprzedni. Ale potem pięciu dziewczynom, które umarły, a jak, to wie Dora, albowiem wepchnęła je pod łóżko, chociaż już dawno nie żyły, noszono jedzenie, jakby były żywe. Potem pani wyjechała do Sárváru, a Katarzynie rozkazała zerwać kamienne płyty podłogi i tam je pochować. Ale ona tego nie uczyniła, gdyż sił jej nie stało. Toteż zwłoki tych biedaczek zostały pod łóżkiem, aż trupi odór niósł się po całym zamku, a nawet na dworze było go czuć. A kiedy ona potem nie wiedziała co począć, westchnąwszy do Boga pochowała je w wykopie na zboże z pomocą Darabulowej, Barbary i Katarzyny, która dzień i noc przebywała z Dorą. Dora sama pochowała jedną dziewczynę w jarze, a osiem uśmierciła

(Na ósme): Jak pozostali.

(Na dziewiąte): Tak samo, dodaje tylko, że Ilonę Harcajónnę pani męczyła w Wiedniu.

(Na dziesiąte): Zeznaje tak jak pozostali.

(Na jedenaste): Torturowania i wszelkich okrucieństw nauczyła się od Darabulowej.

W sali zapanowała grobowa cisza.

Obrazy potwornych tortur i przelewu krwi napełniły wszystkich takim przerażeniem i zgrozą, że siedzieli jak omroczeni. Pierwszy ozwał się graf Nyáry:

— W protokole jest dużo niejasności, wielu zbrodni można jeno domniemywać z pewnych wzmianek. Podejrzewam, że przesłuchanie zostało przeprowadzone niedokładnie.

Kasztelan Kacper Bajáky poruszył się niespokojnie i spojrzął na palatyną.

— Wszystko jest w porządku — rzekł palatyn z rozdrażnieniem. Przykazał kasztelanowi, aby zeznań dotyczących

bezpośrednio Elżbiety Batorówny, a zwłaszcza jej kąpieli we krwi, nie umieszczał w protokole, i rozsierzdziło go, że to polecenie nie zostało całkowicie spełnione.

— Pozwolę sobie zauważyć — nie ustępował graf Nyáry — że to nie jest w porządku. Ze swojej strony nie uważam przesłuchania za zakończone. Żądam, aby postawiono świadkom dodatkowe pytania, które pozwoliłyby z całą dokładnością ustalić, ile dziewczyn czachticka pani uśmierciła, a przede wszystkim ile z nich wywodziło się ze stanu szlacheckiego, oraz proszę o przesłuchanie świadków, aby sprawdzić, czy Elżbieta Batorówna kąpała się we krwi swoich ofiar.

Większość obecnych zmartwiała. Krwawe kąpiele czachtickiej pani uważali za bajkę, a oto, jak się zda, i ta niewiarygodna rzecz jest prawdą.

— w protokole — ciągnął graf Nyáry — wspomniani są również inni współwinni Elżbiety Batorówny. Dowiedzieliśmy się o wielu pomocnikach złoczyńców, werbownikach, ofiar. Żądam, aby również ich wina została ustalona, aby oni również zostali przesłuchani i ukarani.

Palatyn spurpurowiał z gniewu:

— Twoje żądania są nie do spełnienia. Spowodowałyby to przeciągnięcie tej przykrej sprawy, którą chcę jak najrychlej zakończyć.

Wybuchła gwałtowna sprzeczka między palatynem i grafem, który powoływał się na wyraźne żądanie króla, aby również Elżbieta Batorówna stanęła przed sądem

— Mam dość argumentów, by przekonać króla, że czynię słusznie krzyczał palatyn. Graf Nyáry wyszedł z sali rozgniewany.

Sędziowie radzili do późnej nocy. Po tej naradzie hajducy miejscy zwieźli drzewo na ognisko.

W Bytczy wszyscy wiedzieli, że rano odbędzie się egzekucja...

Egzekucja

Tej nocy cała Bytcza spała niespokojnym snem, a już o świcie wszyscy byli na nogach, by nie stracić widowiska, które zdarza się rzadko kiedy.

Na wieży rozdzwonił się dzwon za umarłych, a sędziowie i palatyn, z obliczami posepnymi i pełnymi powagi, wyruszyli na miejsce egzekucji, gdzie zbiegło się całe miasto.

Zgromadzeni wokół ogromnego stosu drzewa gapie z zapartym tchem wlepiali wzrok w nadchodzącego kata w czerwonym płaszczu i kapturze osłaniającym twarz oraz Ficka, Ilonę Jo i Dorę Senteszową, powadzonych przez pandurów

Katowscy pachołkowie rozdmuchali żar w żelaznym naczyniu. Kat zakasał rękawy i wetknął w żar kleszcze drugą zaś ręką wbił w pieńk lśniący miecz.

Królewski sędzia tabularny rozwinął rulon papieru rozejrzał się po ucichłym tłumie i jał czytać gromkim głosem:

Wyrok

My, najwyższy królewski sędzia Teodozjusz Sirmiensis z Suliova, Kacper Ordódy, podżupan trenczyński, Jan Dávid podżupan orawski ze Świętego Piotra, urzędnicy namiestnictwa twa Jerzy Lehocky, Jerzy Zaturecky, Mikołaj Hrabovsky, Jan Borczicky, sędzia tabularny żupy trenczyńskiej Szentmárjai, to jest Gabriel Hlinicky, żyliński tricesimator Michał Tužinsky, następnie Rafael Kvaszovsky, Benedykt Kozár, Stefan Marszovsky, Stefan Akay i Jan Medvecky niniejszym ogłaszamy wszem wobec: że gdyśmy się tutaj dzisiaj, dnia 7 stycznia roku 1611 na wezwanie jaśnie oświe-

conego pana grafa Jerzego Thurzo z Bethlenfalva, palatyna oraz stałego żupana żupy orawskiej w mieście Bytczy stawili, w imieniu jego dostojności królewskiego palatyna jego sekretarz Jerzy Zavodsky przeciw Janowi Fickowi oraz pochodzącym z Sárváru kobietom Ilonie, Dorze i Katarzynie wniósł to oto oskarżenie.

Jasną jest rzeczą, iż z woli Bożej, z woli Najjaśniejszego Pana, wielmożów i stanów kraju, jasnie oświecony pan graf Jerzy Thurzo po to został powołany na wysoki urząd palatyna, aby bez względu na osoby ochraniał dobrych i niewinnych, złych zaś karał. Dlatego też jego dostojność, pragnąc zadośćuczynić swej powinności, uporawszy się z innymi, dla szczęścia kraju pożytecznymi sprawami, nie chcąc zamykać oczu i być głuchym na straszliwe okrucieństwa, jakimi od zarania świata kobieciecý ród się nie skalał, i na przelew ludzkiej krwi, których to czynów dopuszczała się Elżbieta Batorówna, wdowa po Franciszku Nádsady, mężu świetlanej pamięci, dla ojczyzny nader zasłużonym, oraz na gwałty, jakich niewiasta owa na swoich służebnych, a także innych niewinnych kobietach się dopuściła, zgładziwszy tym sposobem wręcz niewiarygodną ilość owych istot, zarządził przeprowadzenie dokładnego śledztwa odnośnie do oskarżenia wniesionego przeciw grafce Nádsady. Prawdziwość oskarżenia zeznaniami jej własnej służby została potwierdzona.

Dowiedziawszy się o okrucieństwach w czachtickim zamku popełnianych, jego dostojność wracając z preszporckich oktav, z grafem Mikołajem Zrinym i Jerzym Druge-*

**Preszporckie oktawy — *iudicia octavalia*, czyli tzw. sądy oktawialne. Powstały na podłożu praktyki sądowej z czasów Arpadowców, kiedy roki sądowe odbywały się w określone, przyjęte zwyczajowo dni. Ich nazwa pochodziła stąd, że zawsze wyznaczane były na ósmy dzień po jakimś święcie. Dekret z r. 1446 ustalał, że sądy oktawialne mają się odbywać cztery razy w roku, a późniejsze dekryty to zatwierdziły. Sąd oktawialny miał zakres działania i moc prawną najwyższego sądu, a zasiadali w nim oprócz sędziów — dwaj przedstawiciele wyższego duchowieństwa i dwaj przedstawiciele wyższej szlachty oraz szesnastu najwybitniejszych znawców prawa w kraju. Instytucja sądów oktawialnych wstała zniesiona w r. 1723.

them, zięciami czachtickiej pani, z Imrichem Megyerym, opiekunem jej syna, osieroconego Pawła Nádsadyego, z licznym orszakiem służby i wojska niespodzianie zawitał do czachtickiego zamku i już na samym wstępie przeświadczył się o tym, co zeznali świadkowie. Znaleźli tam bowiem dziewczynę, imieniem Dorica, zmarła w wyniku bicia i zadanych mąk, oraz jeszcze dwie dziewczyny na śmierć skatowane. Znaleźli też grafkę Nádsady. Jej straszliwe, gorsze od zwierzęcego bestialstwo i okrucieństwo napęłniło jego dostojność takim gniewem, iż Elżbietę Batorówną jako krwiożerczą, bezbożną, przychwycona na gorącym uczynku skazał na dożywotnie uwięzienie w czachtickim kasztelu. Ficka, Ilonę, Dorę i Katarzynę jako pomocników w tych strasznych morderstwach, do czego sami też się przyznali, jego dostojność postawił przed sądem i za ich krwawe czyny żądał wymierzenia najsurowszej kary, aby sprawiedliwości stało się zadość, innych zaś odstraszyło od podobnych okrucieństw.

Zostały nam przedłożone urzędowo poświadczone protokoły śledztwa przeciw grafce Nádsady i wypowiedzi świadków. Zostały publicznie odczytane, a oskarżeni co do poszczególnych punktów oddzielnie przesłuchani: z pierwotnych zeznań nic nie zataili ani nie odwołali, a jeno to dodali, że wszystko, co czynili, czynili jeno z obawy przed groźbami swej pani i przez nią przymuszeni. Po czym wezwaliśmy przed swoje oblicze świadków w tej oto kolejności:

1. Jerzy Kubanowicz, mieszkaniec Czachtic, świadek przysięgły. Był w zamku czachtickim i widział zwłoki jednej spośród zamordowanych na ostatku dziewczyn, które wynoszono w chwili uwięzienia Batorówny; na zwłokach zauważył ślady bicia i poparzeń.

2. Jan Valko.

3. Marcin Jankowicz.

4. Marcin Krezko.

5. Andrzej Uhrovicz. wszyscy mieszkańcy Czachtic zezna-

li tak samo jak Jerzy Kubanowicz.

6. Ładysław Antalowicz, mieszkaniec Czachtic, potwierdził to samo pod przysięgą.

7. Tomasz Zima, czachticzanie, zeznał, iż wie o pogrzebie dwóch dziewczyn na czachtickim, a jedną dziewczyny na podolskim cmentarzu. Gdy czachticki predykant obwinił z ambony Elżbietę Batorównę, trupy zamordowanych dziewcząt wyważone były do Podoli.

8. Jan Chrapmann, zaprzysiężony przez sąd mieszkaniec Czachtic, świadczył zgodnie z poprzednimi. Do owego świadectwa dodał jeno, że gdy spytał pewną dziewczynę, której udało się ocalić, kim są pomocnicy czachtickiej pani, taką otrzymał odpowiedź: pani sama przelewała krew, a pomagała jej w tym jeno niewiasta za mężczyzną przebrana. Wszelako imienia owej niewiasty dziewczyna nie wymieniła.

9. Andrzej Bútora, mieszkaniec Czachtic, świadczył tak, jako Jan Chrapmann.

10. Dziewczyna imieniem Zuzanna pod przysięgą oświadczyła, iż Batorówna wymordowała niezliczoną ilość służebnych, jej współtowarzyszek. Pomocnicami pani w katorowaniu i mordowaniu były: Ilona, Dora, Anna, którą zwali też Darabulową; Ficko był pani wysłańcem, porywał dziewczęta i przyprowadzał je na zamek. Katarzyna była niewiastą dobrego serca, biła dziewczęta wbrew swej woli; a nawet taka była litościwa, że potajemnie przynosiła im jadło do lochu. Ta sama Zuzanna zeznała dalej, że Jakub Szilvási w skrzyni uwięzionej pani znalazł pismo, to jest spis, podług którego liczba zamordowanych dziewcząt wynosi 610, i że liczbę, ową czachticka pani własnoręcznie zapisała.*

*...liczba zamordowanych dziewcząt wynosi 610... — według zeznań oskarżonych liczba ofiar Elżbiety Batorówny wynosiła od 37—80. Różni autorzy podają różne liczby, najczęściej określają ilość ofiar na około 300.

11. Sara Baranayi, wdowa po Piotrze Mártonie, świadek przysięgły: zeznała to, co Zuzanna i rzekła, iż przez cztery lata jej służby u grafki Nádsady spośród służebnych w zamku zamordowano ponad 80 dziewczyn. Słyszała to od sárvárskiego kasztelana nazwiskiem Bichiérdy, a sama też to widziała i doświadcza.

12. Ilona, wdowa po Stefanie Kováczu, pod przysięgą zeznała, iż przez trzy lata jej służby grafka Nádsady oraz jej pomocnicy więcej niż 30 dziewczyn zamordowali stosując rozliczne tortury. Rzekła o wielu przypadkach czarowania i przyrządzania trucizn. A szczególnie, że za pomocą czarowania, przyrządzania trucizn, różnorakie tajemne zaklęcia wymawiając pani chciała pozbawić żywota jego dośójność królewskiego namiestnika palatyna, pana Imricha Megyeryego oraz innych. Wypowiedzi pozostałych świadków potwierdza niemal bez wyjątku

13. Anna, wdowa po Stefanie Gönczym, była ostatnim świadkiem. Po złożeniu przysięgi opowiedziała o zbrodniach czachtickiej pani i jej pomocnic. Podala, iż wśród zamordowanych była również jej dziesięcioletnia córka, do której nie chcieli jej dopuścić, kiedy chciała odwiedzić ją w zamku.

Wszystko to przyjąwszy do wiadomość, i osądziwszy, postanowiliśmy, co następuje:

Jako że w wyniku publicznego przyznania się oskarżonych potwierdzonego przed tym sądem wypowiedziami wymienionych świadków, a szczególnie zeznaniem Dory, głównej współwinowajczyni, dowiedzione zostało, iż czachticka pani dopuściła się straszliwej zbrodni przelewając krew niewinnych niewiast, w czym Dora, Ilona i Ficko byli jej tajnymi świadomymi i czynnymi pomocnikami, i jako że powszechne podejrzenia na skutek jasnych, dobrowolnych zeznań oskarżonych dostatecznie się wyjaśniły, a w wypowiedziach przesłuchanych świadków znalazły potwierdzenie po sprawiedliwym osądzeniu i rozważaniu wszystkiego

ten eto ogłasza się wyrok:

Zeznanie oskarżonych przed sądem dobrowolnie i na mękach uczynione oraz przesłuchanie świadków z całą jasnością udowodniły złoçystwa oskarżonych — złoçystwa przechodzące wszelkie ludzkie wyobrażenie — a mianowicie mordowanie i torturowanie najrozmaitszymi i najbardziej wyrafinowanymi sposobami — a jako że okrutne zbrodnie winny być karane jak najsurowiej, postanowiliśmy, aby najprzód Ilonie, następnie zaś Dorze, jako głównym winowajczyniom owej straszliwej zbrodni przelewu niewinnej krwi niewieściej palce obu rąk, owe narzędzia torturowania i mordowania wyrwane były żelaznymi kleszczami kata, one zaś potem żywcem były spalone. A co się tyczy Ficka, którego winę młody wiek oraz udział w mniejszej ilości złoçystw łagodzi skazuje się go na ścięciu głowy i spalenie jego ciała z ciałami skazanych kobiet.

Ten wyrok był przez nas oskarżonym publicznie podany do wiadomości i było zarządzone jego natychmiastowe wykonanie.*

Gdy Teodozjusz Sirmiensis z Suliova doczytał wyrok do końca, skazańcy, zdjęci zgrozą przed straszliwą śmiercią, wyrwali się pandurom i rzucili do ucieczki, o schwytani krzyczeli tak przeraźliwie, że otaczającym miejsce kaźni ludziom krew ścięło w żyłach.

Katowscy pachołcy wywlekli z grupy skazańców Ilonę Jó i podsunęli katu najpierw jedną jej rękę, potem drugą.

Kat wyrywał jej palec po palcu. Ryczała jak ranione zwierzę. Przy wyrywaniu czwartego palca zemdłała.

*Ten wyrok był... publicznie podany do wiadomości... — i w powieści pominięto wyrok dotyczący czwartej oskarżonej, Katarzyny Beneckiej. Według dokumentów historycznych oprócz Ficka wszyscy świadkowie, a także dwie pozostałe oskarżone, zeznawali na jej korzyść; została więc uniewinniona, lecz jeszcze przez pewien czas trzymano ją w więzieniu na wypadek gdyby wyszły na jaw jakieś dodatkowe dowody jej winy.

Pachołcy wnieśli ją po drabinie na stos polan i przywiązali do jednego z dwóch sterczących zeń słupów.

Dora Senteszowa omdlała już na widok swej towarzyszki przywiązanej do stupa i jej palców czerwieniejących w śniegu u stóp kata. Chwilę później ją też, pozbawianą palców, przywiązali do słupa obok Ilony Jó.

Przyszła kolej na Ficka

Trzech pandurów musiało pomóc pachołkom powalić go na ziemię i przycisnąć mu głowę do pieńka. Kat zamachnął się mieczem i głowa Ficka oddzieliła się od karku. Miecz, przecinając szyję, przeciął również potworny ryk dobywający się z gardła Ficka.

Odcięta głowa potoczyła się po ziemi, a ci, co widzieli jej otwarte usta, przysięgliby, że nadal słyszą ów nieludzki ryk...

Kat chwycił trupa Ficka, i rzucił go na stos polan jak kłodę, cisnął za nim jego głowę, zgarnął dwadzieścia krwawych paków i niczym śmiecie dorzucił do reszty. Potem rozkazał pachołkom podłożyć ogień..

Ogień trzaskał, płomienie strzelały wysoko, liżąc dwie kobiety, które z przeraźliwym krzykiem ocknęły się z omdlenia, lecz po chwili umilkły już na zawsze...

A do Czachtic pocałował kurier z poleceniem, aby na narożnikach kasztelu wzniesiono cztery szubienice na znak, iż sprawiedliwość stało się zadość...

Gdy ogień przygasał, graf Nyáry podszedł do palatyna i rzekł:

— Zapewniam waszą dostojność, że raz jeszcze rozgorzeje ogień, tu lub gdzie indziej, a w nim obróci się w popiół największy zbrodniarz wszystkich stuleci. Elżbieta Batorówna!...

Dnia 10 stycznia Roku Pańskiego 1611 kreślę te słowa z sercem radością napełnionym.

Dzisiaj niespodzianie zawitał do kasztelu nasz palatyn, graf Jerzy Thurzo, któremu niechaj będzie cześć i chwała. Przybył ze swoim orszakiem, aby zabrać Andrzeja Drozda do Preszporka, postawić go przed sądem i wymierzyć mu karę. Niemało się zadziwił, gdy zamiast w lochu, znalazł Drozda wiodącego przyjacielską rozmowę z kasztelanem.

— Mości kasztelanie, trawicie czas w społeczności zbójnika, którego macie trzymać w więzieniu? — spytał zgorzszony.

Była tam również Erzika Priborska. 'Z przestraczem objęła Drozda, a na palatyna spoglądała ze łzami w oczach.

— Gdyby ten człowiek miał być w więzieniu, moje miejsce byłoby przy nim, albowiem robiłem to samo co on — odrzekł kasztelan. — Wasza dostojność mianował mnie kasztelanem tego kasztelu, a razem z tą godnością powierzył mi strzeżenie Andrzeja Drozda. Strzegłem go sumiennie i oto oddaję go waszej dostojności.

Palatyn skinął na żołnierzy, aby spętali Andrzeja Drozda.

— Wszelako — Mikołaj Loszonsky wyprostował się dumnie — wraz z nim oddaję i godność, którą wasza dostojność zaszczycił mnie raczył, a z tą godnością siebie samego, albowiem zasłużyłem na taki sam los, jaki przypadł w udziale Drozdowi.

— Wielu zasługuje na taki sam los — rzekł palatyn — lecz wszystkim przebaczyłem. Jeden odpokutuje za wszystkich, a mianowicie ich przywódca. Andrzej Drozd.

— Skoro wasza dostojność raczył tak postanowić — kasztelan podszedł do palatyna — aby jeden cierpiał za

wszystkich, proszę, bym ja nim był.

— Nie! — zawołał Andrzej Drozd.

— Dlaczego chcesz ponieść taką ofiarę? — spytał palatyn. wyraźnie wzruszony.

— Jestem stary. Moje dni i tak są policzone. A gdy umrę, przynajmniej nikt nie będzie mnie oplakiwać, podczas gdy...

Palatyn spojrział na Erżikę, która wpatrywała się w kasztelana oczyma pełnymi łez.

Położył rękę na ramieniu kasztelana:

— Mikołaju, zawsze byłeś wzorem męstwa!

Wtem Andrzej Drozd przyskoczył do palatyna:

— Nigdy nic dopuszczę, aby cierpiał za mnie ktoś, kogo darzę taką czcią i miłością!

Palatyn spojrział na kasztelana, na Drozda i Erżikę Priborską i uczuł, że serce bierze w nim górę. Już i uśmiech złagodził surowe oblicze:

— Wiec którego z was mam rozkazać zabrać!'

— Żadnego! — zawołała Erżika, która natychmiast wyчуła zmianę w nastroju palatyna.

— Niechaj będzie tak, jak zadecydowałaś! — rzekł palatyn i ogarnął go szczery żal, iż przyczynił tyle strapienia dwóm młodym sercom.

Odwiedzili mnie dzisiaj Drozd, Kenderessy, Kalina, Lederer, Erżika, Magdusia, Marisza i Barbara, którą szczęście szybko uzdrowiło. Wszyscy są szczęśliwi, a moje stare serce raduje się z nimi.

Najszczęśliwsi wszakże są Andrzej i Erżika, gdyż Jerzy Zavodsky przywiózł dzisiaj dokument uznający ich małżeństwo.

Ale i reszta nie pozostanie długo w tyle za nimi, albowiem już w niedzielę wyjdą pierwsze zapowiedzi... Muszą się śpieszyć, toć niebawem przywdzieją żołnierskie mundu-

ry.

Jedynie Lederer nie wstępuje do wojska. Już przejął pracownię mistrza Repasza, która była mu sądzona wraz z jego córką...

Tyle szczęścia i zadowolenia nigdy wokół siebie nie widział. Wszystkim nam lżej się oddycha, miastu też.

Jeszcze jeden szczęśliwy człowiek pojawił się dzisiaj u mnie. Mnich, franciszkanin. Zaszedł na plebanię, a ja powitałem go z radością. Był to Michał Priborsky, który przed kilkoma miesiącami zniknął bez śladu. Kiedy dowiedział się, że Erzika nie jest jego siostrą, widząc jej miłość do Andrzeja Drozda i pojawiając się, że nigdy nie pokocha go inaczej niż jak brata, do klasztoru wstąpił, szukając zapomnienia i pociechy. Znalazł ją. Jest szczęśliwy, a ze szczęścia Erziki szczerze się raduje...

Dnia 15 sierpnia Roku Pańskiego 1614 piszę te słowa, tuż po odejściu mego przyjaciela Mikołaja Loszonskiego, który przyniósł mi wieść, iż czachticka pani tej nocy w podziemnym lochu dokonała żywota.

Tedy zakończył się spór między palatynem i królem, czy postawić Elżbietę Batorównę przed sądem czy nie. Stoi już przed Najwyższym Sędzią...

Skonała bez światła, bez pociechy, opuszczona przez cały świat...

Śmierć wyprzedziła grafa Nyáryego, nie uczczyła mu ostatecznego zwycięstwa.

Nie on, lecz śmierć postawiła Elżbietę Batorównę przed sądem...

Przed sądem najsprawiedliwszym!

Na dworze wyje rozszała wiatr. Jakby dziesięć czarownic umarło...

Spis treści

1. Wcieniu szubienicy.....	4
Tajemnice czachtickiego zamku.....	9
Krwawe poselstwo.....	18
Walka o zwłoki.....	21
Matka, syn i ktoś trzeci.....	28
Zniweczone szczęście.....	34
Złowrogie posągi przed bramą.....	39
Spotkanie serc.....	43
Nowy towarzysz zbójnika.....	45
Barbaro, Barbaro!.....	49
2. Zbójnik w zamku.....	53
Na dereszcu.....	53
Odwiedziny zbójnika.....	58
Miłość przed niczym się nie cofnie.....	67
Spotkanie na skraju lasu.....	71
3. Przed zwierciadłem.....	80
Sama z sobą.....	80
Tajemnica Elżbiety Batorówny.....	87
W objęciach nieznajomego.....	94
Szydercza twarz w oknie.....	102
4. Żelazna panna.....	107
Z zawiązanymi oczyma.....	107
W śmiercionośnym uścisku.....	113
Oskarżenie zetłałych kości.....	120
Zdrajca.....	127
5. Pod kasztelem bitwa, na rynku szubienica.....	132
Przygotowania.....	132
W pułapce.....	136
Bitwa się zaczyna.....	147
Pożółkły list.....	151

Ptak w żelaznej klatce.....	160
Tajemnicze postacie na stoku.....	168
Zagadkowy wystrzał.....	176
6. Jak w sądny dzień.....	184
Sromotny powrót, gorzka zapłata.....	184
Protestacja.....	188
Ktoś zniknął, ktoś się zjawił.....	193
Dwanaście dziewcząt na śmiertelnym łożu.....	196
Nocna wycieczka wychodzi na jaw.....	200
7. Człowiek, który spadł z nieba.....	207
Coś musi się stać.....	207
W objęciach żelaznej panny.....	209
Niespodziewany ratunek.....	214
Wybuch radości na korytarzu grozy.....	217
Miłość silniejsza od śmierci.....	222
Ciężka powinność.....	226
8. Uciekająca do lasu dziewczyna.....	234
Znalezieni i znaleziona.....	234
Rywale.....	239
Cztery niewiasty pogrzebane za życia.....	247
Ucieczka.....	250
Serce jednak zwyciężyło!.....	255
Śladem uciekinierów.....	257
9. Złe duchy występują z piekieł.....	262
Ujawnienie strasznej prawdy.....	262
Pocałunek ohydnych ust.....	271
Schwytni.....	278
Narada.....	282
Zamknięte drzwi.....	290
Ciemna postać pod drzewem.....	297
10. Do Preszporka.....	311

Nieposłuszny kasztelan.....	311
Zniweczone nadzieje.....	320
Zgasła ostatnia iskierka.....	327
Chmury nad Czachticami.....	335
11. Starcie rywali.....	343
W odurzającym blasku złota.....	343
Samowtór w podziemiach.....	345
Kto nie ujrzy świata bożego?.....	353
Naostrzony nóż.....	356
Popłoch w jaskini.....	359
Narada bojowa.....	364
12. Zaręczyny wbrew woli.....	372
W Preszporku.....	372
Motyl w świetle.....	379
Na balu u Eszterházych.....	385
Para narzeczonych wbrew woli.....	390
Zdradziecki pergamin.....	396
Ostatni gość.....	400
13. Skradzione klejnoty.....	405
Zwada między sługami.....	405
Atak na zamek.....	411
" Jedno z nas musi zemrzeć!"	415
Wytropiony.....	424
Wino rozwiązuje Fickowi język.....	429
14. Rozpoznany nieznajomy.....	434
Z uchem przy dziurce od klucza.....	434
Dwoje o czterech obliczach.....	440
Ojciec Erziki Priborskiej.....	446
Tylko raz jeszcze się spotkać!.....	454
15. Z kroniki czachtickiego probostwa.....	460
Powrót Elżbiety Batorówny.....	460
Pogrzeb konia i panna młoda w błocie.....	465

Ficko na zwiadach.....	468
Nieszczęsne Czachtice.....	472
Dwóch zaginionych.....	477
16. Do zaślubin wszystko gotowe.....	489
Ostatnie dni wolności.....	489
Chmury nad narzeczoną.....	497
Testament grafa Nyáryego.....	501
Zniszczony dokument.....	507
Smutna między wesołymi.....	511
Obława na zbójników i zagadkowy pocałunek.....	517
17. Same niespodzianki.....	522
Właściwy oblubieniec.....	522
Burza w kościele.....	526
Najniebezpieczniejszy wróg.....	531
Strzał w samo serce.....	537
Stalowa koszula.....	542
Na zawsze należymy do siebie.....	545
Ofiara, jakiej deresz jeszcze nie miał.....	549
18. Połączonymi siłami.....	558
Narada na plebanii.....	558
Palatyn i jego sekretarz.....	567
Pomścić się, pomścić!.....	575
Nowa recepta.....	581
Chwila szaleństwa.....	588
19. Na weselu w Wielkiej Bytczy.....	594
Niezwykły gość.....	594
Panowie są oburzeni.....	600
Dwa spotkania.....	607
Poselstwo Czachtic i czyjeś jeszcze.....	610
W cztery oczy.....	618
Wino śmierci.....	622

Ostatni taniec.....	626
Książę-zbójnik.....	635
20. Błękitna krew.....	640
Od wszelkiego złego zachowaj nas, Panie (Z kroniki czachtickiego probostwa).....	640
U progu burzliwych wydarzeń (Z kroniki czachtickiego probostwa).....	644
Dusze zapalają się płomieniem (Z kroniki czachtickiego probostwa).....	649
Śnieg zawiął ślady.....	652
Zastawiona pułapka.....	659
Skok w przepaść.....	666
Nad ziemią bunt — pod ziemią brzęczą okowy.....	673
21. Sąd.....	691
In flagranti.....	691
Dla zbójników nie ma łaski.....	710
Dwadzieścia cztery godziny miłości za jedno życie... ..	713
Wszystko wychodzi na jaw.....	717
Zeznanie Ficka.....	719
Zeznanie Ilony Jó.....	721
Zeznanie Dory Senteszowej.....	724
Zeznanie Katarzyny Beneckiej.....	725
Egzekucja.....	729
Wyrok.....	729
Jeszcze kilka stron z kroniki czachtickiego probostwa	736